

Nieznana prawda
o największej nuklearnej katastrofie

O PÓŁNOCY w CZARNOBYLU

Adam Higginbotham

O PÓŁNOCY W CZARNOBYLU

Nie jest sztuką pisać mizerną książkę przez 10 lat. W tych czasach nie jest też bardzo trudno skompletować zawrotną ilość materiałów. Sztuką i wielkim wyczynem jest napisanie takiej książki, która wyczerpie temat, ale jednocześnie będzie przystępna i skutecznie utrzyma uwagę czytelnika. Autor uczłowieczył czarnobylską historię. Ubrał ją w dialogi, fakty przeplótł ludzkimi historiami, nie bał się anegdot. Tylko taka narracja sprawia, że historia może dotrzeć do szerokiego grona odbiorców. A im więcej osób wyciągnie z czarnobylskiej lekcji wnioski, tym lepiej dla świata.

WOJTEK DREWNIAK, współtwórca programu *Historia bez cenzury*

Nieczęsto zdarza się, by tak chłodny i spokojny przekaz wywołał tyle emocji w czytelniku, tymczasem O północy w Czarnobylu trzyma w napięciu jak dobry thriller. Punkt po punkcie bezlitośnie obnaża wady mariażu radzieckiej rzeczywistości z fizyką jądrową. Zostaje jedynie pytanie: jakim cudem Czarnobyl wydarzył się tak późno?

GABRIELA NINA PIASECKA, naEKRANIE.pl

Czytasz, jesteś tam i czujesz to: najpierw dumę z potęgi nauki, której udało się okiełznać atom, a potem strach przed ewakuacją. Najtrafniejszy obraz katastrofy czarnobylskiej. To nie książka, lecz żywy dokument przenoszący czytelnika do 1986 roku wraz ze wszystkimi towarzyszącymi temu emocjami.

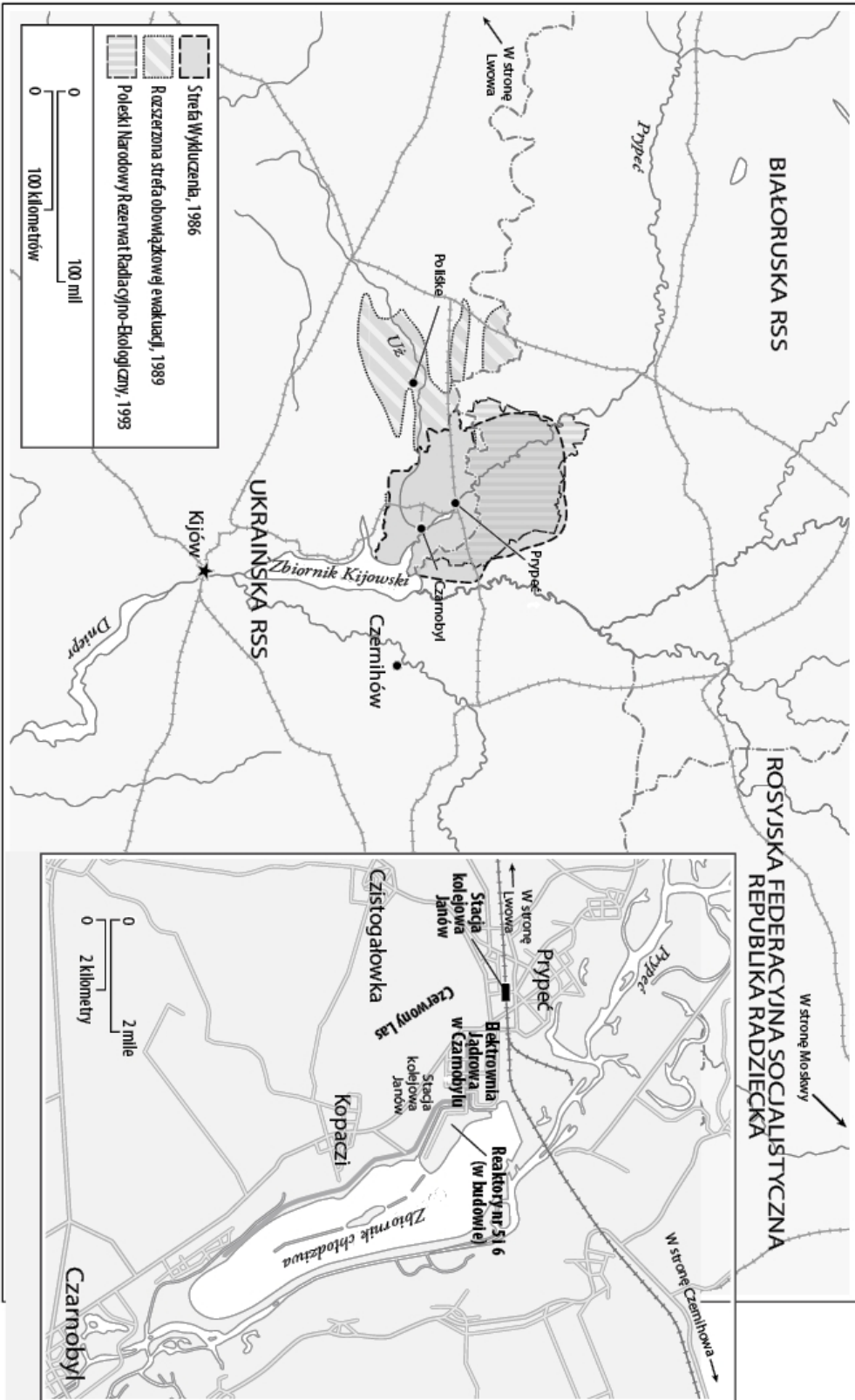
NAPROMIENIOWANI.PL

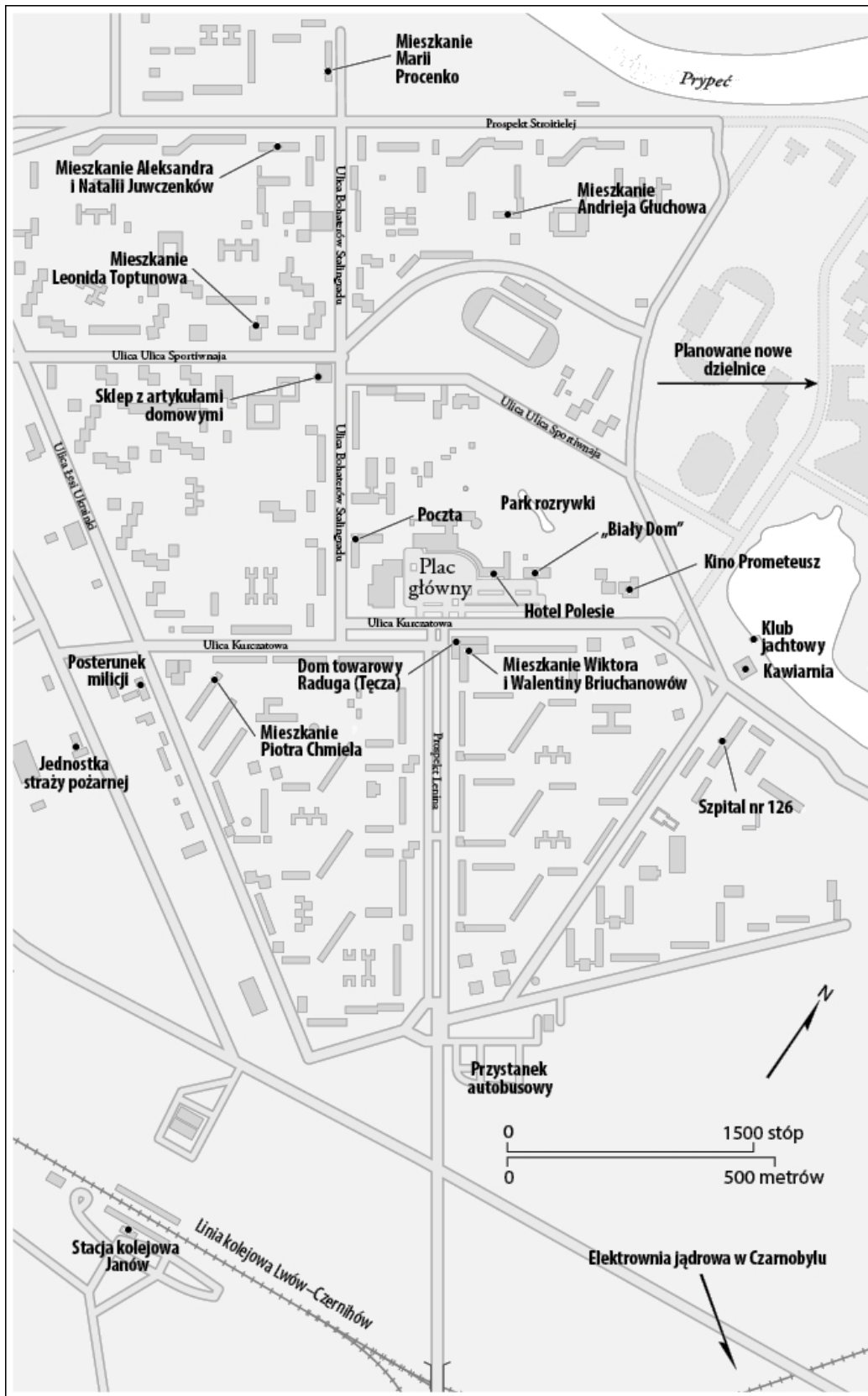
O północy w Czarnobylu Adama Higginbothama to solidna porcja informacji o awarii w elektrowni jądrowej w Czarnobylu. To doskonały początek podróży dla tych, którzy chcą głębiej poznać wszystkie zawiłości związane z wydarzeniami na Polesiu sprzed przeszło 33 lat.

TOMASZ RÓG, Licznik Geigera

Dla Vanessy

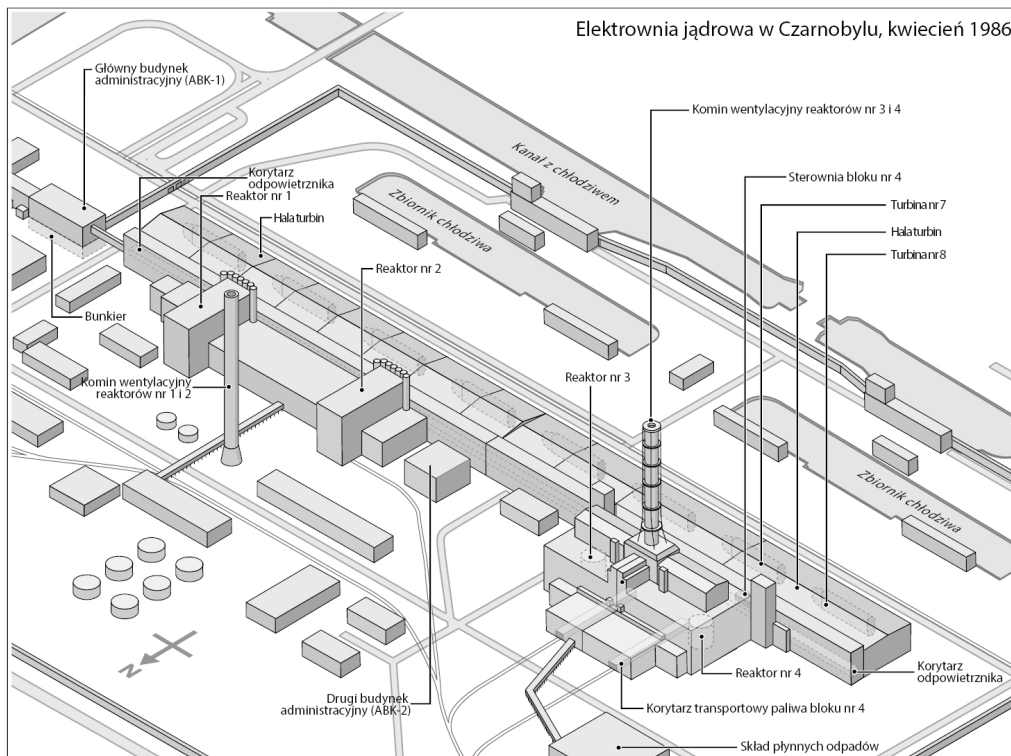


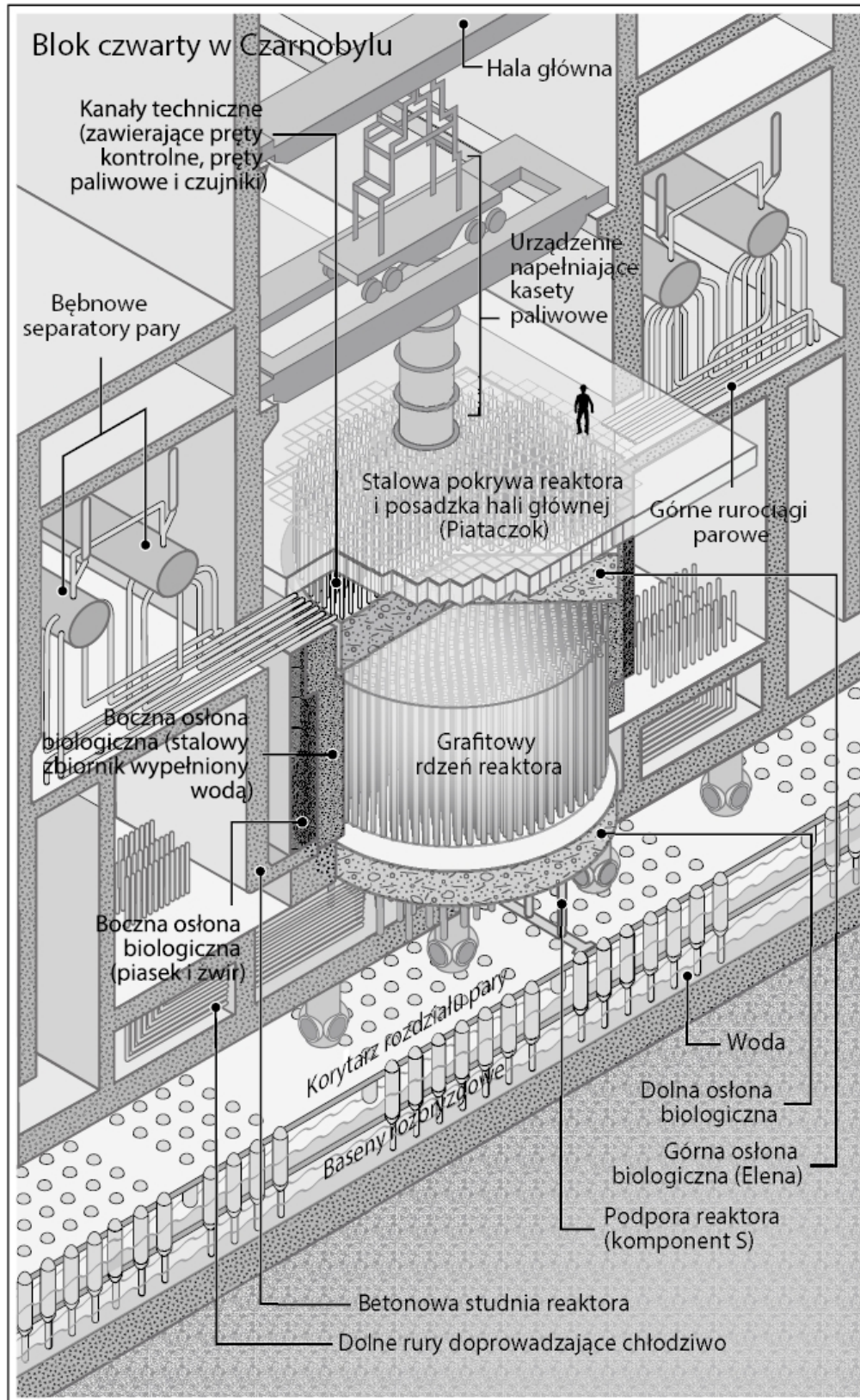




Miasto Prypeć w kwietniu 1986

Elektrownia jądrowa w Czarnobylu, kwiecień 1986





Osoby dramatu

Elektrownia atomowa w Czarnobylu i miasto Prypeć

ZARZĄD

Wiktor Briuchanow dyrektor elektrowni

Nikołaj Fomin główny inżynier; wicedyrektor

Anatolij Diatłow zastępca głównego inżyniera do spraw bloków

PRACOWNICY

Aleksander Akimow główny operator, piąta zmiana, reaktor bloku czwartego

Leonid Toptunow starszy inżynier sterowania reaktora, piąta zmiana, blok czwarty

Borys Stolarczuk starszy inżynier sterowania bloku, piąta zmiana, blok czwarty

Jurij Tregub starszy inżynier sterowania reaktora, blok czwarty

Aleksander Juwczenko starszy inżynier mechanik, piąta zmiana, blok czwarty

Walerij Pierewaczenko naczelnik działu reaktorowego, piąta zmiana, blok czwarty

Serafim Worobiew naczelnik obrony cywilnej elektrowni

Wieniamin Prianisznikow naczelnik do spraw szkoleń w zakresie bezpieczeństwa w elektrowni

STRAŻACY

Major Leonid Tielatnikow dowodzący Zmilitaryzowaną Jednostką Pożarniczą numer 2 (elektrownia w Czarnobylu)

Porucznik Władimir Prawik naczelnik trzeciej zmiany, Zmilitaryzowana Jednostka Pożarnicza numer 2 (elektrownia

w Czarnobylu)

Porucznik Piotr Chmiel naczelnik pierwszej zmiany,
Zmilitaryzowana Jednostka Pożarnicza numer 2 (elektrownia
w Czarnobylu)

Porucznik Wiktor Kibenok naczelnik trzeciej zmiany,
Samodzielna Zmilitaryzowana Jednostka Pożarnicza numer 6
(Prypeć)

Sierżant Wasilij Ignatienko członek trzeciej zmiany,
Samodzielna Zmilitaryzowana Jednostka Pożarnicza numer 6
(Prypeć)

PRYPEĆ

Aleksander Esaułow zastępca przewodniczącego ispołkomu,
czyli rady miasta w Prypeci; wiceburmistrz

Maria Procenko główna architekt miasta Prypeć

Natalia Juwczenko nauczycielka języka rosyjskiego
i literatury w szkole numer 4, żona Aleksandra Juwczenki

RZĄD

Michaił Gorbaczow sekretarz generalny Komunistycznej Partii
Związku Radzieckiego; przywódca ZSRR

Nikołaj Ryżkow przewodniczący Rady Ministrów; premier
ZSRR

Jegor Ligaczow główny ideolog Komunistycznej Partii Związku
Radzieckiego; druga najbardziej wpływowa postać w Biurze
Politycznym KPZR

Wiktor Czebrikow przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa
Państwowego (KGB)

Władimir Dołgich sekretarz Komitetu Centralnego Partii
Komunistycznej, odpowiedzialny za przemysł ciężki, w tym

energię atomową

Władimir Marin przewodniczący sektora energii atomowej Wydziału Przemysłu Ciężkiego i Energetycznego w Komitecie Centralnym Partii Komunistycznej

Anatolij Majoriec radziecki minister energii i elektryfikacji

Giennadij Szaszarin wiceminister energetyki, odpowiedzialny za energetykę atomową

Wołodymyr Szczerbicki I sekretarz Komunistycznej Partii Ukrainy, członek sowieckiego Politbiura, przewodniczący Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej

Ołeksandr Laszko przewodniczący Rady Ministrów Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej; premier Ukrainy

Władimir Małomuż II sekretarz kijowskiego obwodu Partii Komunistycznej

Witalij Skliarow ukraiński minister energetyki i elektryfikacji

Borys Szczerbina wiceprzewodniczący Sowieckiej Rady Ministrów; pierwszy przewodniczący komisji rządowej w Czarnobylu

Iwan Silajew wiceprzewodniczący Sowieckiej Rady Ministrów, odpowiedzialny za przemysł maszynowy; członek Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej ZSRR; drugi przewodniczący komisji rządowej w Czarnobylu

EKSPERCI NUKLEARNI

Anatolij Aleksandrow prezydent Akademii Nauk ZSRR, dyrektor Instytutu Energii Atomowej im. Kurczatowa, odpowiedzialny za rozwój nauk i technologii jądrowych w ZSRR

Jefim Sławski szef Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich, kontrolujący wszelkie aspekty radzieckiego programu broni jądrowych

Nikołaj Dolleżal kierownik NIKIET-u, radzieckiej agencji projektującej reaktory

Walerij Legasow pierwszy wicedyrektor Instytutu Kurczatowa, bezpośredni zastępca Anatolija Aleksandrowa

Jewgienij Wielichow wicedyrektor Instytutu Kurczatowa, doradca Michaiła Gorbaczowa do spraw nauki i rywal Walerija Legasowa

Aleksander Meszkow wiceminister budowy maszyn średnich

Borys Pruszyński naczelny inżynier organizacji „Sojuzatomenergo” Ministerstwa Energetyki, przewodniczący OPAS-u, ministerialnej grupy kryzysowej do spraw wypadków w elektrowniach jądrowych

Aleksander Borowoj przewodniczący laboratorium neutrino w Instytucie Kurczatowa i naukowy dowódca ekspedycji kompleksu czarnobylskiego

Hans Blix przewodniczący Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej z siedzibą w Wiedniu, w Austrii

GENERALICJA

Generał Borys Iwanow zastępca dowódcy Radzieckich Sił Obrony Cywilnej

Generał Władimir Pikałow dowodzący oddziałami chemicznymi w radzieckiej armii

Generał major Nikołaj Antoszkina dowódca 17. Armii Powietrznodesantowej, dystrykt kijowski

General major Nikołaj Tarakanow zastępca dowódcy
Radzieckich Sił Obrony Cywilnej

LEKARZE

Doktor Andżelina Guskowa ordynator oddziału klinicznego
Szpitala numer 6 w Moskwie

Doktor Aleksander Baranow ordynator hematologii, Szpital
numer 6 w Moskwie

Doktor Robert Gale specjalista do spraw hematologii
w Centrum Medycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego (UCLA)
w Los Angeles

Prolog

SOBOTA, 26 KWIETNIA 1986, GODZINA 16.16[1]
ELEKTROWNIA JĄDROWA W CZARNOBYLU,
UKRAIŃSKA SRR

Starszy porucznik Aleksander Logaczew kochał promieniowanie tak, jak inni mężczyźni kochają swoje żony. Logaczew – dwudziestosześcioletni, wysoki i przystojny, ze starannie przystrzyżonymi ciemnymi włosami i oczami w kolorze lodowego błękitu – do radzieckiej armii wstąpił jeszcze jako chłopiec. Dobrze go tam przeszkolili. Instruktorzy z wojskowej akademii pod Moskwą nauczyli go, jak się obchodzić ze śmiertelnymi truciznami i jak zachowywać się w sąsiedztwie promieniowania. Odbył podróże do semejskiego poligonu w Kazachstanie i do wyludnionych terenów w górach Ural, gdzie środowisko wciąż jest skażone po katastrofie kysztymskiej. Wreszcie, w ramach szkoleń, udał się także na niedostępne wyspy Nowej Ziemi, daleko za kołem podbiegunowym, gdzie dokonano detonacji potwornej Car-Bomby – największej broni termojądrowej w historii ludzkości[2].

Dziś, jako dowódca rekonesansu 427. Pułku Zmechanizowanego Czerwonego Sztandaru Sił Obrony Cywilnej dystryktu kijowskiego, Logaczew – mając na uwadze wytyczne z podręczników, ufając dozymetrom i, w razie potrzeby, mogąc sięgnąć po zestaw ratunkowy przygotowany na wypadek wojny nuklearnej, bakteriologicznej lub chemicznej, który był schowany w kabinie opancerzonego samochodu jednostki – wiedział, jak

ochronić siebie i swoich towarzyszy przed gazami bojowymi, bronią biologiczną, promieniami gamma i promieniowaniem neutronowym. Wierzył też, że najlepszą ochronę stanowi psychika. Ci, którzy bali się radiacji, wystawiali się na największe ryzyko. Ale ci, którzy pokochali i docenili promieniowanie, zrozumieli jego kaprysy – mogli bez szwanku przetrwać nawet najintensywniejsze dawki promieni gamma[3].

Niespodziewanie został wezwany do elektrowni jądrowej w Czarnobylu i teraz pędził peryferiami Kijowa na czele kolumny złożonej z ponad trzydziestu pojazdów. Nie miał jednak powodu odczuwać niepokoju. Wiosenne powietrze wlatujące przez uchylone okno opancerzonego pojazdu zwiadowczego niosło zapach drzew i świeżo skoszonej trawy[4]. Jego ludzie, dzień wcześniej zebrani na placu paradnym w celu dokonania comiesięcznej inspekcji, byli dobrze przeszkoleni i gotowi. U jego stóp leżała bateria instrumentów służących do wykrywania promieniowania – w tym nowo zainstalowane urządzenie elektroniczne dwukrotnie bardziej czułe od starszych modeli – która pomrukiwała cicho, nie wykrywając niczego niecodziennego w atmosferze.

Gdy jednak dotarli do elektrowni, stało się jasne, że doszło do czegoś nadzwyczajnego. Dozymetr zareagował po raz pierwszy, gdy minęli betonowe słupy, wyznaczające teren należący do elektrowni. Porucznik nakazał się zatrzymać i zanotować odczyt: 51 rentgenów na godzinę. Gdyby spędzili tu godzinę, przyjęliby maksymalną dawkę promieniowania dozwoloną dla radzieckich żołnierzy w czasie wojny. Pojechali dalej wzdłuż linii słupów

wysokiego napięcia, w stronę elektrowni jądrowej. Odczyty wskazywały coraz większe wartości, póki na powrót nie spadły[5].

Wreszcie, objechawszy betonowy brzeg kanału chłodniczego, ujrzeli zarys czwartego bloku elektrowni atomowej w Czarnobylu. Logaczew z załogą patrzyli oniemiałi. Dach dwudziestopiętrowego budynku był rozdarty, a zaczernione górne piętra zapadły się na stertę gruzu. Widzieli roztrzaskane żelbetowe panele, walające się bloki grafitu i połyskujące tu i ówdzie metalowe kasety paliwowe z rdzenia reaktora. Ku jasnemu niebu wznosiła się chmura pary.

Otrzymali rozkaz przeprowadzenia pełnej inspekcji elektrowni. Opancerzony wóz okrążył kompleks w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę[6]. Sierżant Właskin odczytywał na głos dane z nowych przyrządów, a Logaczew, za pomocą długopisu i kolorowego flamastra, zapisywał je na ręcznie naszkicowanej mapie z pergaminowego papieru: 1 rentgen na godzinę, potem 2, następnie 3. Skręcili w lewo, a odczyty skoczyły: 10, 30, 50, 100.

– Dwieście pięćdziesiąt rentgenów na godzinę! – krzyknął sierżant z oczami szeroko otwartymi z niedowierzania. – Towarzyszu poruczniku... – zaczął, wskazując na radiometr. Logaczew spojrzał na cyfrowy ekran i poczuł przebiegający po karku dreszcz przerażenia: 2080 rentgenów na godzinę[7]. Niemożliwe.

Starszy porucznik z trudem zachowywał spokój, starając się przypomnieć sobie, co było napisane w podręcznikach: pokonać lęk. Ale tym razem szkolenie go zawiodło. Logaczew usłyszał własny krzyk, gdy w panice wydarł się na kierowcę, przerażony, że pojazd odmówi posłuszeństwa.

– Dlaczego jedziesz w tę stronę, skurwielu?! Pojebało cię?! – wrzeszczał. – Jeśli silnik zdechnie, za kwadrans będziemy trupami!

CZEŚĆ PIERWSZA
NARODZINY MIASTA

Radziecki Prometeusz

Słyszając zbliżający się odgłos wirujących łopat śmigłowca, ptaki wzbiły się w powietrze i rozpięchły nad zamarzniętymi łąkami oraz perłowymi węzłami potoków i stawów wokół zlewiska rzeki Prypeć. Na dole, grzęznąc po kolana w śniegu i wypuszczając z ust obłoki gęstej pary, Wiktor Briuchanow czekał na przylot moskiewskiej nomenklatury[8].

Helikopter wylądował. Delegacja ministrów i oficjeli z Komunistycznej Partii z trudem poruszała się po oblodzonym polu. Srogi mróz podgryzał poły ich wełnianych płaszczy i podszcypywał wnętrza futrzanych czapek. Minister energetyki i elektryfikacji ZSRR oraz starsi partyjni przywódcy Radzieckiej Socjalistycznej Republiki Ukrainy dołączyli do Briuchanowa w miejscu, w którym stanąć miało urzeczywistnienie ich zuchwałego projektu. Briuchanow miał zaledwie trzydzieści cztery lata, był inteligentny i ambitny, a także oddany partii. Przybył na zachodnią Ukrainę z rozkazem rozpoczęcia budowy czegoś, co – jeśli radzieccy planiści dopną swego – stanie się największą elektrownią jądrową na świecie[9].

Dotarłszy nad brzeg rzeki, kilkunastu mężczyzn wzniosło toast kolejką koniaku za powodzenie planów. Fotograf ustawił ich pomiędzy łopatami a teodolitem, na tle niezgrabnie przycupniętego helikoptera. Stali tak w śniegu, patrząc, jak minister Nieporożny centymetr po centymetrze wprowadza pierwszy pał w ziemię.

Był 20 lutego 1970 roku. Po miesiącach debat radzieckie władze wreszcie zdecydowały, jak nazwać elektrownię, która pewnego dnia rozślawi radzieckich inżynierów na cały świat. Rozważali kilka opcji: Kijów Północny, Ukraina Zachodnia albo Elektrownia Atomowa Prypeć[10]. Jednak Wołodymyr Szczerbicki, onieśmielający przywódca Komunistycznej Partii Ukrainy, podpisał dekret zatwierdzający, że elektrownia przyjmie nazwę stolicy regionu: małego średniowiecznego miasta zamieszkanego przez dwa tysiące osób i znajdującego się czternaście kilometrów od miejsca, w którym Briuchanow i jego przełożeni tkwili po kolana w śniegu[11].

Miasto Czarnobyl zostało założone w XII wieku. Przez kolejne osiemset lat zamieszkiwali je chłopci, którzy łowili ryby w rzekach, paśli krowy na polanach i zbierali grzyby w gęstych lasach na pograniczu północnej Ukrainy i południowej Białorusi. Czarnobyl doświadczył pogromów, czystek, głodu, wojen, ale w drugiej połowie XX wieku na powrót zawitał do niego pokój. Wyewoluował w ciche, prowincjonalne skupisko z garstką fabryk, szpitalem, księgarnią, pałacem kultury. Mieściła się w nim także niewielka stocznia, w której naprawiano holowniki i barki pływające po Prypeci i Dnieprze – dwóch rzekach, które spotykały się nieopodal. Woda przesiąkała płaską niczym talerz okolicę, obfitą w torfowiska, moczary i podmokłe lasy. Na zlewisko rzeki Dniepr składała się sieć trzydziestu dwóch tysięcy rzek i strumyków, pokrywających niemal połowę Ukrainy[12]. Zaledwie piętnaście kilometrów od miejsca, które wybrano dla nowej elektrowni, rzeki łączyły się w ogromnym Zbiorniku Kijowskim, dostarczającym świeżą wodę dwóm i pół miliona mieszkańców stolicy republiki,

mieszczącej się dwie godziny jazdy samochodem na południowy wschód[13].

Wiktor Briuchanow odwiedził już tej zimy Czarnobyl. Zameldował się w jedynym hotelu w mieście, ponurym parterowym budynku przy ulicy Sowieckiej[14]. Szczupły, ale umięśniony, miał niecierpliwą twarz o oliwkowej cerze i gęste, ciemne loki. Najstarszy z czwórki rodzeństwa urodził się w rosyjskiej rodzinie, ale wychowywał w Uzbekistanie, w górach sowieckiej Azji Centralnej[15]. Wyglądał egzotycznie. Gdy po raz pierwszy ujrzał go major KGB, pomyślał, że jest Grekiem[16].

Briuchanow usiadł na hotelowym łóżku i wypakował zawartość teczki: notes, plik dokumentów z planami i drewniany suwak logarytmiczny. Dyrektor i, jak dotąd, jedyny pracownik elektrowni atomowej w Czarnobylu miał mgliste pojęcie na temat energii jądrowej. Na politechnice w Taszkencie studiował inżynierię elektryczną. Szybko awansował z podrzędnego pracownika przy turbinie w uzbeckiej hydroelektrowni na nadzorcę uruchamiającego największą elektrownię węglową na Ukrainie, w Słowiańsku należącym do przemysłowego zagłębia na wschodzie republiki. Dla radzieckiego Ministerstwa Energetyki[17] wiedza i doświadczenie miały mniejsze znaczenie w zarządzie niż lojalność i umiejętność zrealizowania planu. Kwestie techniczne można było zostawić ekspertom.

Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku, starając się sprostać rosącemu zapotrzebowaniu na energię elektryczną i dogonić Zachód, ZSRR przystąpił do gwałtownej rozbudowy sieci reaktorów. Swego czasu radzieccy naukowcy twierdzili, że są najlepsi na świecie w dziedzinie energii atomowej. Zaskoczyli

swoich kapitalistycznych rywali w 1954 roku, kiedy to wybudowali pierwszy reaktor generujący elektryczność do celów komercyjnych. Od tamtej pory jednak zostali daleko w tyle. W lipcu 1969 roku, gdy amerykańscy astronauta przygotowywali się do pierwszego lądowania na Księżycu, radziecki minister energetyki i elektryfikacji wezwał do gwałtownej ekspansji na polu energii atomowej[18]. Wyznaczył ambitne cele stworzenia sieci nowych elektrowni z gigantycznymi, masowo produkowanymi reaktorami, które miały stanąć w europejskiej części Związku Radzieckiego, od Zatoki Fińskiej po Morze Kaspijskie[19].

Zimą 1969 roku, gdy dekada chyliła się ku końcowi, minister wezwał Briuchanowa do Moskwy i zaproponował mu nowe zadanie. Był to niezwykle prestiżowy projekt. Chodziło nie tylko o pierwszą elektrownię atomową na Ukrainie, ale też pierwszą elektrownię atomową wybudowaną od zera przez Ministerstwo Energetyki i Elektryfikacji. Do tej pory każdy reaktor w ZSRR budowany był przez Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich – tajną organizację w ramach sowieckiego programu broni jądrowych, tak tajną, że, by nie wzbudzać podejrzeń, nawet jej nazwa została zawoalowana[20]. Niezrażony wielkością wyzwania, oddany partii Briuchanow z chęcią przyjął propozycję dzierżenia sztandaru Czerwonego Atomu.

Siedząc sam na hotelowym łóżku, młody inżynier analizował swoje zadanie zrealizowania w szczerym polu projektu, który miał kosztować czterysta milionów rubli[21]. Wyciągnął listę materiałów i za pomocą suwaka liczył ich koszty. Następnie zaniósł swoje wyniki do banku w Kijowie. Niemal codziennie

podróżował do miasta autobusem, a gdy ten nie przyjeżdżał, łapał stopa. Jako że projekt nie przewidywał księgowego, nie było listy płac, a on nie otrzymywał żadnej pensji[22].

Przed rozpoczęciem budowy elektrowni Briuchanow musiał stworzyć zaplecze i sprowadzić materiały na plac budowy: pociągnąć bocznice kolejową od pobliskiego Janowa i zbudować nową przystań na rzece, by móc zaopatrywać się w żwir i żelbet[23]. Zatrudnił robotników i wkrótce armia mężczyzn i kobiet za sterami koparek i masywnych wywrotek BelAZ zaczęła przecierać szlaki w zarośniętej, lesistej i mrocznej okolicy. By mieć gdzie zakwaterować siebie, nowo zatrudnionego księgowego i garstkę robotników, Briuchanow zlecił wybudowanie tymczasowej wioski w pobliskim lesie. Robotnicy postawili kilka drewnianych chat na kółkach, każdą wyposażoną w kuchnię i piec. Mieszkańcy nazwali osadę po prostu Leśna. Gdy zrobiło się cieplej, Briuchanow kazał wybudować szkołę, która uczyła dzieci w klasach od pierwszej do czwartej. W sierpniu 1970 roku dołączyła do niego jego rodzina: żona Walentyna, sześciolatka córka Lilia i mały synek Oleg.

Walentyna i Wiktor Briuchanowowie spędzili pierwszą dekadę wspólnego życia, aktywnie wspierając sen o socjalistycznej elektryfikacji. Czarnobyl był trzecią elektrownią, którą pomogli postawić w ciągu sześciu lat. Poznali się jako młodzi specjaliści, pracujący przy projekcie hydroelektrowni Angren, sto kilometrów od stolicy Uzbekistanu, Taszkientu. Walentyna była asystentką inżyniera turbiny, a Wiktor, świeżo po studiach, odbywał staż. Planował wrócić na uczelnię, żeby obronić pracę, ale kierownik działu zachęcał go, by został.

– Poczekaj – mówił – spotkasz tutaj swoją przyszłą żonę.

Wiktor poznał Walentinę przez ich wspólnych przyjaciół zimą 1959 roku.

– Wpadniesz jej w oko – zapewniali.

Chodzili ze sobą zaledwie przez rok, a w grudniu 1960 roku pobrali się w Taszkencie. Lilia urodziła się w 1964 roku.

Rodzina mieszkała w lesie przez dwa lata. Dla Walentyny Leśna była miejscem jak z bajki. Niecały tuzin rodzin zamieszkiwał prowizoryczne chatki. Nocą, gdy cichł ryk buldożerów i koparek, polanę skrywała aksamitna cisza, a w rozjaśnianym przez samotną lampę mroku niesły się pohukiwania sów. Co jakiś czas, by motywować robotników do realizacji celów, Moskwa przysyłała radzieckie sławy, w tym cygańską gwiazdę Nikołaja Sliczenko wraz z trupą[24]. Brygady przodowników wykopały dół pod pierwszy reaktor i wyłobiły wielki rezerwuar – sztuczne jezioro o długości jedenastu kilometrów i szerokości dwóch i pół kilometra, w którym mogły zmieścić się miliony metrów sześciennych wody potrzebnej do chłodzenia czterech wielkich reaktorów[25].

Tymczasem Wiktor nadzorował budowę nowego osiedla – tak zwanego atomowego miasta, atomgradu – nad rzeką. Nazwano je Prypeć. Miało ono pomieścić tysiące pracowników elektrowni i ich rodziny. Kilka budynków mieszkalnych postawiono już w 1972 roku. Miasto rozrastało się tak szybko, że początkowo nie było w nim utwardzonych dróg ani ciepłowni, ale jego mieszkańcy byli młodzi i pełni entuzjazmu. Pierwsza grupa specjalistów przybyłych[26] na miejsce była idealistami i pionierami nuklearnej przyszłości, zapalonymi do wprowadzania nowych

technologii. Takie problemy były dla nich błaahostkami – w zimne noce spali w płaszczach.

Walentina i Wiktor byli jednymi z pierwszych, którzy się tu wprowadzili. Zimą 1972 roku zajęli mieszkanie z trzema sypialniami przy prospekcie Lenina 6, tuż przy wjeździe do miasta. Zanim ukończono pierwszą szkołę, ich córka jeździła autostopem do Leśnej, gdzie uczęszczała do szkoły.

Zgodnie z wytycznymi radzieckich planistów[27] Prypeć od elektrowni miała oddzielać strefa bezpieczeństwa, w której wprowadzono zakaz budowy. Dzięki temu mieszkańcy mieli uniknąć promieniowania jonizującego o niskim natężeniu. Ale z Prypeci do elektrowni można było dotrzeć samochodem w mniej niż dziesięć minut – odległość wynosiła trzy kilometry w linii prostej. A gdy miasto się rozrosło, mieszkańcy zaczęli budować w strefie bezpieczeństwa letnie dache[28] z małymi ogródkami warzywnymi, nic nie robiąc sobie z zakazu.

Pierwotne instrukcje, jakie otrzymał Wiktor Briuchanow[29], zakładały budowę dwóch reaktorów. Był to nowy model znany pod akronimem RBMK – *Reaktor Bolszoy Moszcznosti Kanałnyj*, czyli Reaktor Kanałowy Wielkiej Mocy. Zgodnie z radziecką słabością do gigantomanii RBMK był większy i o większej mocy niż jakikolwiek reaktor zbudowany na Zachodzie. W teorii każdy z reaktorów mógł wytworzyć tysiąc megawatów energii elektrycznej, co wystarczało do obsługi co najmniej miliona nowoczesnych gospodarstw[30]. Terminy wyznaczone przez Moskwę i Kijów sprawiły, że Briuchanow musiał pracować w nieludzkim tempie. Według dziewiątego planu pięcioletniego pierwszy reaktor miał zostać oddany do użytku w grudniu 1975,

a drugi przed końcem 1979 roku. Wiktor szybko uzmysłowił sobie, że taki plan jest niemożliwy do wykonania[31].

Zanim młody kierownik rozpoczął w 1970 roku pracę w Czarnobyli, socjalistyczny eksperyment ekonomiczny wyhamował. ZSRR uginał się pod ciężarem dekad centralnego planowania, przerośniętej biurokracji, ogromnych wydatków na zbrojenia i przeżerającej wszystko korupcji. Wchodził w erę stagnacji. Braki i cięcia, kradzieże i defraudacje nękały niemal każdą gałąź przemysłu. Inżynieria jądrowa nie była wyjątkiem[32]. Briuchanow od początku borykał się z niedostatkiem sprzętu budowlanego[33]. Kluczowe części i materiały pojawiały się z opóźnieniem – o ile w ogóle – i często były defektywne. Brakowało stali i cyrkonu potrzebnych do budowy kilometrów rur i kanałów paliwowych, które miały dotrzeć do serca reaktora. System rur i żelbet często okazywały się tak marnej jakości, że trzeba było je wyrzucać[34]. Jakość radzieckich wyrobów na każdym poziomie była tak niska, że budowniczy elektrowni musieli wprowadzić dodatkowy „przeгляд przedmontażowy”, co oznaczało, że po dostarczeniu każdego elementu wyposażenia – transformatora, turbiny, rozdzielnicy – trzeba było je rozebrać do ostatniej śrubki w poszukiwaniu usterek, naprawić i złożyć na nowo zgodnie z pierwotnymi specyfikacjami. Dopiero wtedy można je było bezpiecznie zainstalować. Taka duplikacja pracy oznaczała miesiące opóźnień i miliony wyrzuconych rubli przy każdym projekcie budowlanym[35].

Na przełomie 1971 i 1972 roku[36] Briuchanow zmagał się z niesubordynacją pracowników fizycznych, wewnętrznymi

przepychankami kierowników i ciągłymi reprimendami ze strony przełożonych w Kijowie. Robotnicy narzekali na braki żywienia i kolejki w stołówce. Młodemu kierownikowi nie udało się przedstawić szacunkowych kosztów i dokumentacji projektu. Nie dopełnił terminów i przekroczył miesięczne kwoty narzucone przez Moskwę. A kłopoty się piętrzyły: nowi mieszkańcy Prypeci domagali się piekarni, szpitala, pałacu kultury, centrum handlowego. Setki mieszkań czekały na wybudowanie[37].

W końcu w lipcu 1972 roku wyczerpany i pozbawiony złudzeń Wiktor Briuchanow udał się do Kijowa na spotkanie z przełożonym z Ministerstwa Energetyki i Elektryfikacji. Od niecałych trzech lat był dyrektorem elektrowni atomowej w Czarnobylu, która nawet jeszcze nie powstała. Planował złożyć dymisję[38].

Za wszystkimi katastrofalnymi niepowodzeniami ZSRR w czasie ery stagnacji – za kleptokratyczną nieudolnością, nepotyzmem, gburowatą niekompetencją i marnotrawstwem związanym z gospodarką planową – stała monolityczna władza Komunistycznej Partii. Partia zrodziła się[39] jako jedna z frakcji ubiegających się o władzę w Rosji po rewolucji z 1917 roku. W zamierzeniu miała reprezentować robotników, ale szybko ukształtowała rządy jednopartyjne z ambicją poprowadzenia proletariatu w stronę „prawdziwego komunizmu”.

W odróżnieniu od zwykłego socjalizmu „prawdziwy komunizm” był marksistowską utopią, „bezklasowym społeczeństwem dającym nieograniczone możliwości ludzkiego rozwoju”[40], egalitarnym marzeniem rządów ludu. Rewolucję jednak zastąpiły polityczne represje, a realizacja merytokratycznej

krainy Shangri-La została odłożona na potem. Partia jednak wciąż starała się wprowadzać założenia marksizmu-leninizmu, przeobrażając się w skostniały aparat ideologiczny z etatowymi przedstawicielami, teoretycznie niezwiązany z rządem, ale w rzeczywistości kontrolujący podejmowanie decyzji na każdym szczeblu społecznym.

Na przestrzeni dekad partia ustanowiła surową hierarchię personalnych zależności i posiadała władzę obsadzania wszystkich wpływowych stanowisk kolektywnie zwanych nomenklaturą[41]. Istnieli też partyjni kierownicy – tak zwani aparaczczyki – którzy nadzorowali każdy zakład, czy to cywilny, czy wojskowy, każde przedsięwzięcie i ministerstwo, tworząc w całym radzieckim imperium biurokrację pozostającą w cieniu funkcjonariuszy. Oficjalnie każdą z piętnastu republik ZSRR rządziła lokalna rada ministerialna z premierem na czele, ale w rzeczywistości władzę sprawował I sekretarz lokalnego wydziału Partii Komunistycznej. Natomiast im wszystkim polecenia z Moskwy wydawał Leonid Breżniew, sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, przewodniczący Biura Politycznego i władający krajem liczącym 242 miliony osób. Taka struktura okazała się niewydajna i zaburzała funkcjonowanie nowoczesnego państwa, ale do partii zawsze należało ostatnie słowo[42].

Nie każdy mógł zostać członkiem partii. Wymagane było przejście drobiazgowego procesu rekrutacji, poparcie członków i regularne płacenie składek. Do 1970 roku mniej niż jeden na piętnastu obywateli Związku Radzieckiego był członkiem partii. Ale członkostwo niesło korzyści dostępne tylko dla elity, w tym

możliwość zakupu reglamentowanych produktów, zagranicznej prasy, możliwość korzystania z oddzielnej opieki medycznej i podróżowania za granicę. Ale przede wszystkim bez legitymacji partyjnej trudno było zdobyć jakiegokolwiek kierownicze stanowisko. Wyjątki zdarzały się rzadko[43]. Gdy Wiktor Briuchanow wstąpił do partii w 1966 roku była ona już wszechobecna. W zakładzie pracy odpowiadał przed dwoma podmiotami: bezpośrednim przełożonym i komitetem lokalnej Partii Komunistycznej. Nie zmieniło się to, gdy został dyrektorem elektrowni jądrowej. Otrzymywał dyrektywy z Ministerstwa Energetyki w Moskwie i był nękanym wymogami stawianymi przez komitet partyjny w Kijowie[44].

Chociaż na początku lat siedemdziesiątych wielu członków partii wciąż wierzyło w założenia marksizmu-leninizmu, pod złowrogim spojrzeniem Breżniewa i jego geriatrycznych popleczników ideologia ta stała się zaledwie fasadą. Zakończyły się wprawdzie masowe pogromy i egzekucje trzech dekad rządów Stalina, ale w całym ZSRR liderzy partyjni i kierownicy dużych zakładów – kołchozów, fabryk czołgów, elektrowni, szpitali – rządzą, stosując zastraszanie i tyranie. Byli to twardogłowi biurokraci, którzy zgodnie ze słowami pisarza i historyka Piersa Paula Reada „mieli twarze kierowców ciężarówek, a dłonie pianistów”[45]. We wszystkich biurach na terenie całego kraju codziennie słyhać było poniżające[46], naszpikowane przekleństwami reprimendy udzielane podniesionym głosem. W ten sposób zrodziła się kultura potakiwaczy, którzy nauczyli się antycypować kaprysy swoich przełożonych i zgadzać się z ich każdym słowem, jednocześnie przenosząc te zachowania na

swoich podwładnych. Kiedy kierownik wysuwał wniosek pod głosowanie, mógł się spodziewać, że za każdym razem zostanie przyjęty jednogłośnie. Tryumf brutalnej siły nad zdrowym rozsądkiem.

Awansu na stanowiskach politycznych, ekonomicznych i naukowych mogli oczekiwać tylko ci, którzy trzymali język za zębami, unikali konfliktów i wykazywali bezwarunkowe posłuszeństwo wobec przełożonych. Do połowy lat siedemdziesiątych ten ślepy konformizm zdusił umiejętność podejmowania decyzji na wszelkich szczeblach partyjnej maszyny, infekując nie tylko biurokrację, lecz także dyscypliny techniczne i ekonomiczne. Kłamstwa i oszustwa rozpleniły się po całym systemie, biegnąc w obydwie strony łańcucha zarządzania. Ci na niższych szczeblach przedstawiali przełożonym raporty naszpikowane zafałszowanymi danymi i wyolbrzymionymi szacunkami, ogłaszając tryumfalne osiągnięcie nieosiągalnych celów i wyrobienie niewyrobionych norm. Celem zachowania własnej pozycji kierownik każdego szczebla przekazywał te kłamstwa wyżej, czasem jeszcze je wyolbrzymiając.

Na szczycie tej chwiejącej się piramidy kłamstw, analizując rzędy liczb, które nie miały żadnego poparcia w rzeczywistości, znajdowały się tęgie głowy z Państwowego Komitetu Planowania – Gosplanu – w Moskwie. Gosplan – mózg gospodarki planowej – zarządzać miał scentralizowaną dystrybucją zasobów w całym ZSRR, od szczoteczek do zębów po traktory, od żelbetu po buty na koturnach. Moskiewscy ekonomiści nie mieli jednak wiarygodnych źródeł na temat tego, co dzieje się w wielkim imperium, którym rzekomo zarządzali.

Kreatywna księgowość była tak wielka, że w pewnym momencie KGB skierowało kamery satelitów szpiegowskich na radziecki Uzbekistan celem zebrania wiarygodnych informacji dotyczących zbiorów bawełny[47].

Niedobory i pozornie niewytłumaczalne nadwyżki towarów i materiałów były częścią ponurej prozy życia, a możliwość zrobienia zakupów stała się wielką niewiadomą[48]. Ludzie chodzili z awoszką – siatkową torbą na sprawunki – pod pachą na wszelki wypadek, gdyby właśnie rzucili jakiś przydatny towar – czy to cukier, papier toaletowy czy czechosłowackie ratatouille w puszcze. Kłopoty z zaopatrzeniem stały się w końcu tak wielkim problemem centralnie planowanej gospodarki, że żniwa gniły na polach, a radzieccy rybacy patrzyli, jak złowione ryby zdychają w ich sieciach, podczas gdy półki sklepowe pozostawały puste[49].

Pewny siebie, ale łagodny Wiktor Briuchanow różnił się od większości radzieckich dyrektorów. Miał dobre maniery, a jego podwładni go lubili. Swoim przełożonym imponował niezwykłą pamięcią i przenikliwym zmysłem finansowym, a także znajomością wielu technicznych aspektów swojej pracy, w tym chemii i fizyki. Początkowo był tak pewny swoich opinii, że mógł wchodzić z nimi w otwarte polemiki. Kiedy więc presja gigantycznego przedsięwzięcia, jakiego podjął się w Czarnobylu, przerosła go – postanowił odejść[50].

Gdy jednak tego lipcowego dnia 1972 roku Briuchanow dotarł do Kijowa, wyznaczony przez partię przełożony z Ministerstwa Energetyki wziął jego podanie, podarł na jego oczach i kazał wracać do pracy. Młody dyrektor zdał sobie sprawę, że nie ma odwrotu. Jego najważniejszym zadaniem było spełniać zachcianki

partii i wywiązywać się z planu za wszelką cenę. Miesiąc później budowniczy wylali pierwszy metr sześcienny betonu pod fundamenty elektrowni[51].

Trzydzieści lat później, 7 listopada 1985 roku, Briuchanow stał w ciszy na podeście przed nowym pałacem kultury w Prypeci, z którego okien zwisały ręcznie namalowane portrety przywódców partii i kraju. Pracownicy elektrowni i budowniczowie paradowali po placu, niosąc transparenty i afisze[52]. W przemówieniach z okazji rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej wychwalano wspaniałe osiągnięcia dyrektora: wypełnienie planów partii oraz łaskawe zarządzanie miastem i elektrownią[53].

Briuchanow poświęcił najlepsze lata swojego życia na stworzenie imperium z białego żelbetu, na które składało się miasto liczące niemal pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców i cztery gigantyczne tysiącowatowe reaktory. Rozpoczęto prace nad budową kolejnych dwóch reaktorów, które miały stanąć w ciągu dwóch lat[54]. Gdyby w 1988 roku oddano do użytku blok piąty i szósty w elektrowni w Czarnobylu, Briuchanow zarządzałby największą elektrownią jądrową na świecie.

Pod jego rządami elektrownia w Czarnobylu – teraz oficjalnie imienia W.I. Lenina – stała się wzorem dla wszystkich radzieckich specjalistów od energii jądrowej. Wielu z nich przybywało tu wprost z Moskiewskiego Instytutu Politechniczno-Fizycznego, radzieckiego odpowiednika Massachusetts Institute of Technology[55]. ZSRR, który był daleko w tyle, jeśli chodzi o komputeryzację, nie posiadał symulatorów, na których mógłby szkolić inżynierów, więc dla wielu z nich praca w Czarnobylu była pierwszym zetknięciem się z reaktorem jądrowym w praktyce.

Celem rozświetlenia cudownego miasta Prypeć miejscowy ispołkom przygotował album wypełniony barwnymi zdjęciami bawiących się mieszkańców[56]. Średnia wieku wynosiła dwadzieścia sześć lat, a ponad jedna trzecia była dziećmi. Młode rodziny miały dostęp do pięciu szkół, trzech basenów, trzydziestu pięciu placów zabaw i plaż na piaszczystych brzegach rzeki. Planiści zadbali o zachowanie leśnego krajobrazu i każdy blok mieszkalny otoczony był drzewami. Budynki i przestrzenie publiczne przyozdobione były rzeźbami i spektakularnymi mozaikami celebrującymi naukę i technologię. Nowoczesne i wyrafinowane miasto znajdowało się w środku leśnej głuszy, umożliwiając bliski kontakt z naturą[57]. Pewnego letniego dnia zona Briuchanowa, Walentina, dostrzegła parę łosi wynurzających się z Prypeci i snujących się po plaży, które następnie zniknęły w lesie, nie zważając na zainteresowanie plażowiczów opalających się na piasku[58].

Miasto, wraz z całym jego dobrodziejstwem – w tym szpitalem i piętnastoma przedszkolami – traktowane było jako przedłużenie elektrowni i finansowane bezpośrednio z Moskwy przez Ministerstwo Energetyki. Funkcjonowało w ekonomicznej bańce niczym oaza dostatku na pustyni niedoborów i deprawacji. Sklepy z żywnością zaopatrywano lepiej niż te w Kijowie, można w nich było dostać wieprzowinę, cielęcinę, świeże ogórki i pomidory, a także ponad pięć rodzajów kielbas. W domu towarowym Raduga – czyli Tęcza – dostępna była nawet austriacka zastawa i francuskie perfumy – i to bez konieczności zapisywania się na listę[59]. W atomgradzie funkcjonowało kino, szkoła muzyczna, salon piękności i klub jachtowy.

Prypeć była mała. Niewiele budynków miało więcej niż dziesięć pięter, a całe miasto można było przejść w dwadzieścia minut. Każdy znał każdego, a milicja i lokalny szef KGB, którego biuro mieściło się na piątym piętrze ispołkomu, nie mieli dużo do roboty[60]. Zgłaszano głównie drobne przejawy wandalizmu i pijaństwo w miejscach publicznych[61]. Każdej wiosny ukazywała się ponura strona miasta – gdy śnieg topniał, pojawiały się ciała pijaków, którzy zimą wpadli pod lód i utonęli[62].

Ktoś wychowany na Zachodzie dostrzegłby niedostatki Prypeci: pozółkłą trawę przebijającą między betonowymi płytami czy nijaką jednostajność wielopiętrowych budynków. Ale dla mężczyzn i kobiet urodzonych w radzieckich miastach przemysłowych, wychowanych na spieczonych kazachskich stepach lub w koloniach karnych na Syberii nowy atomgrad był prawdziwym robotniczym rajem. Amatorskie filmy i zdjęcia ukazują mieszkańców Prypeci nie jako stłamszone ofiary socjalistycznego eksperymentu, ale jako beztroskich młodych ludzi pływających kajakami, żaglówkami, tańczących lub pozujących w nowych kreacjach. Ich dzieci bawią się na wielkim stalowym słoniu lub jaskrawo pomalowanej ciężarówce. Radośni optymiści w mieście przyszłości.

Pod koniec grudnia 1985 roku Wiktor i Walentyna Briuchanowowie mogli uznać kończący się rok za czas tryumfów i przełomów w życiu rodzinnym oraz w pracy. W sierpniu ich córka wyszła za mąż i wraz z mężem wróciła na studia w instytucie medycznym w Kijowie. Wkrótce potem zaszła w ciążę. W grudniu para świętowała pięćdziesiąte urodziny

Wiktora, a zarazem swoje srebrne gody, urządzając przyjęcie w wielkim narożnym mieszkaniu z widokiem na główny plac Prypeci[63].

Wiktora spotkał zaszczyt zaproszenia do Moskwy na zbliżający się, dwudziesty siódmy zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, co było ważnym gestem aprobaty jego przełożonych. Zjazd był istotny dla całego ZSRR, gdyż po raz pierwszy poprowadzić go miał nowy sekretarz generalny imperium, Michaił Gorbaczow.

Gorbaczow doszedł do władzy w marcu 1985 roku, przerywając długi łańcuch geriatrycznych aparaczyków, których problemy zdrowotne, pijaństwo i demencja starcza musiały być ukrywane przez coraz bardziej zdesperowaną ochronę. Pięćdziesięcioletni Gorbaczow był dynamiczny i budził entuzjazm na Zachodzie. Politycznie ukształtowany w latach sześćdziesiątych jako pierwszy z pełniących tę funkcję wykorzystywał potęgę telewizji. Mówił dziarsko ze swoim południowym akcentem i chętnie wchodził w tłum – niby spontanicznie, lecz w rzeczywistości był to gest drobiazgowo wyreżyserowany przez KGB. Często pojawiał się we flagowym programie informacyjnym publicznej telewizji, *Wriemia*, oglądanym co wieczór przez niemal dwieście milionów osób. Ogłosił plan ekonomicznych przekształceń – pierestrojki – a w punkcie kulminacyjnym partyjnego zjazdu w marcu 1986 roku mówił o potrzebie głośności, czyli jawności rządów[64]. Jako oddany socjalista Gorbaczow uważał, że ZSRR zboczył z kursu, ale powracając do fundamentów położonych przez Lenina, nadal ma szansę osiągnąć stan komunistycznej utopii[65]. Jednak do tego

celu prowadziła długa droga. Gospodarka chwiała się pod ciężarem zimnej wojny. Radzieccy żołnierze ugrzęźli w Afganistanie, a w 1983 roku amerykański prezydent Ronald Reagan przeniósł wyścig zbrojeń w kosmos, inicjując program obrony strategicznej „Gwiezdne wojny”. Nuklearna zagłada wydawała się bliższa niż kiedykolwiek. Tymczasem w ZSRR było po staremu – kraj wciąż dusił się z powodu biurokracji i korupcji ery stagnacji.

Szesnaście lat budowy czterech reaktorów i całego miasta na odludnych moczarach było dla Wiktora Briuchanowa praktyczną lekcją realiów systemu. Utworzony na kowadle partii, sprężysty za sprawą przywilejów, dobrze poinformowany i posiadający własną opinię młody specjalista przeobraził się w posłuszne narzędzie nomenklatury. Osiągnął cele i zrealizował plan, wykazał wartość swoją i swoich ludzi, dostał też premię za sprostanie terminom i wyrobienie norm[66]. Podobnie jak inni radzieccy dyrektorzy, nauczył się też, jak działać doraźnie i naginać zasoby, żeby sprostać nierealnym celom. Musiał oszczędzać, być kreatywnym w księgowości i omijać przepisy.

Gdy okazało się, że materiały wymienione przez architektów elektrowni w Czarnobylu są niedostępne, Briuchanow musiał improwizować. Plany zakładały wykorzystanie ognioodpornych kabli, ale te były trudno dostępne, więc budowniczowie musieli sobie poradzić inaczej.

Ministerstwo Energetyki w Moskwie, dowiedziawszy się, że dach hali turbin został pokryty łatwopalnym bituminem, nakazało go wymienić. Ale ognioodporny materiał, którym trzeba było pokryć powierzchnię o szerokości pięćdziesięciu metrów

i długości niemal kilometra, nie był nawet produkowany w Związku Radzieckim[67], więc ministerstwo zrobiło wyjątek i bitumin pozostał. Gdy lokalny sekretarz partii nakazał Briuchanowowi wybudować w Prypeci olimpijski basen, ten zaoponował: takie obiekty znajdowały się jedynie w radzieckich miastach liczących więcej niż milion mieszkańców. Sekretarz nalegał: „Macie go zbudować”[68]. Briuchanow więc go posłuchał. Fundusze pozyskał, manipulując przy budżecie miasta i oszukując bank[69].

Zbliżał się termin oddania czwartego i najbardziej zaawansowanego reaktora elektrowni w Czarnobylu, a wciąż nie wykonano czasochłonnego testu bezpieczeństwa turbin. Briuchanow po cichu przełożył go na kiedy indziej, żeby sprostać wyznaczonemu przez Moskwę terminowi na ostatni dzień 1983 roku[70].

Niczym kapryśna kochanka Ministerstwo Energetyki i Elektryfikacji znów nie było zadowolone. Na początku lat osiemdziesiątych[71] wyśrubowany plan konstrukcji jądrowych został jeszcze bardziej dokręcony i wprowadzono oszałamiające plany budowy coraz większych elektrowni na zachodzie ZSRR. Moskwa miała plan, by pod koniec wieku Czarnobyl stał się częścią gęstej sieci[72] megakompleksów, z których każdy mógł pomieścić nawet tuzin reaktorów. W 1984 roku plan ukończenia piątego reaktora został przesunięty o rok[73]. Ekipę nękały problemy z siłą roboczą i zasobami: beton był wadliwy, a robotnikom brakowało narzędzi[74]. Agenci KGB i ich informatorzy w elektrowni wciąż donosili o alarmujących wadach konstrukcyjnych[75].

W 1985 roku Briuchanow otrzymał instrukcję budowy Czarnobyla 2, osobnej elektrowni z kolejnymi czterema reaktorami RBMK z wykorzystaniem jeszcze potężniejszego modelu, który świeżo wyjechał z deski kreślarskiej. Elektrownia miała stanąć kilkaset metrów od istniejącej, na drugim brzegu kanału, a towarzyszyć jej miało nowe osiedle dla pracowników w obrębie Prypeci[76]. Trzeba było także wybudować most i dziesięciopiętrowy budynek administracyjny, na szczycie którego znajdowałyby się biuro dyrektora, skąd mógłby on podziwiać swoje nuklearne królestwo[77].

Briuchanow pracował na okrągło[78]. Niemal o każdej porze dnia i nocy można go było zastać gdzieś w elektrowni. Jeśli pojawiła się jakaś awaria[79] – co zdarzało się często – dyrektor nie miał czasu nawet zjeść i przez całą dobę funkcjonował wyłącznie na kawie i papierosach. Podczas zebrań często milczał, nigdy też nie wypowiadał dwóch słów, jeśli wystarczyło jedno. Samotny i wyczerpany, miał niewielu przyjaciół, a z kłopotów nie zwierzał się nawet własnej żonie[80].

Zmieniła się też załoga Briuchanowa. Pełna zapału drużyna młodych specjalistów, która zasiedliła nieocieplane leśne kwatery i pomogła uruchomić pierwszy reaktor, dawno stąd wyjechała, a na jej miejsce spłynęły tysiące nowych pracowników. Wiktorowi trudno było utrzymać dyscyplinę. Chociaż był utalentowany technicznie, brakowało mu zmysłu interpersonalnego wymaganego przy zarządzaniu na sowiecką skalę[81]. Przełożony budowniczych elektrowni, despotyczny i mający dobre znajomości w partii, który autorytetem rywalizował z dyrektorem, przezywał go „ślamazarą”[82].

Era stagnacji wywołała moralny rozkład w radzieckich zakładach pracy, potęgując brak odpowiedzialności osobistej, nawet w elektrowniach jądrowych[83]. Radziecki utopizm ekonomiczny nie uznawał bezrobocia, chronicznymi problemami były więc przerost zatrudnienia i absencje[84]. Na Briuchanowie, jako dyrektorze elektrowni i przylegającego do niej miasta, ciążyła odpowiedzialność zapewnienia każdemu mieszkańcowi Prypeci zatrudnienia. Praca na budowie dawała zajęcie dwudziestu pięciu tysiącom osób. Wiktor planował też wybudowanie fabryki elektroniki Jupiter, która umożliwiłaby pracę większej liczbie kobiet[85]. Ale to nie wystarczyło. Na każdą zmianę do elektrowni w Czarnobyli przyjeżdżały autobusem z Prypeci setki mężczyzn i kobiet, a w godzinach pracy większość z nich siedziała, nic nie robiąc. Niektórzy byli inżynierami na stażu, którzy planowali dostać się do wysoko wykwalifikowanej elity zwanej atomistami; póki co jednak przyglądali się ekspertom przy pracy[86]. Byli też mechanicy i elektrycy z innych obszarów przemysłu energetycznego – tak zwani energetycy[87] – szczerze wierzący w nieszkodliwość elektrowni jądrowych. Wmawiano im, że promieniowanie jest tak nieszkodliwe, że „można nim smarować chleb”, a reaktor jest „jak samowar[88] [...] prostszy od elektrowni ciepłej”[89]. W domach niektórzy z nich pili ze szklanek[90] w opalizujące wzory, które, jeśli wierzyć ich przechwałkom, powstały po zanurzeniu w radioaktywnej wodzie służącej do chłodzenia reaktora. Inni spędzali swoje zmiany na czytaniu książek lub graniu w karty[91]. Ci, którzy rzeczywiście mieli coś ważnego do zrobienia, nazywani byli – z biurokratyczną szczerością niepozbawioną kpiny – Grupą Efektywnego

Zarządzania[92]. Ciężar zbędnej siły roboczej dawał się we znaki nawet tym, którzy mieli pilne obowiązki, i infekował środowisko elektrowni niekompetencją i niebezpiecznym poczuciem inercji.

Doświadczona ekipa niezależnych inżynierów jądrowych, którzy nadzorowali uruchomienie pierwszych czterech reaktorów, opuściła elektrownię, brakowało starszych specjalistów[93]. Głównym inżynierem – zastępcą Briuchanowa odpowiedzialnym za funkcjonowanie elektrowni – był Nikołaj Fomin, były sekretarz partii i arogancki, chępliwy aparatczyk starej szkoły. Łysiejący, o beczkowatym torsie, onieśmielającym uśmiechu i pewnym siebie barytonowym głose, którego ton gwałtownie wzrastał, gdy górę brały w nim emocje, Fomin miał w sobie tę sowiecką apodyktyczną charyzmę, której brakowało Briuchanowowi[94]. Był inżynierem elektrykiem i dostał to stanowisko dzięki wsparciu partii w Moskwie, mimo tego, że Ministerstwo Energetyki było temu przeciwnie[95]. Nie miał żadnego doświadczenia z energią jądrową, a wiedzę z zakresu fizyki jądrowej zdobył podczas kursu korespondencyjnego[96]. Ale ideologicznie był bez zarzutu.

Wiosną 1986 roku Czarnobyl był oficjalnie jedną z najlepszych elektrowni jądrowych w Związku Radzieckim i mówiło się, że lojalność Briuchanowa wobec partii miała zostać wkrótce nagrodzona. Na podstawie wyników ostatniego planu pięcioletniego elektrownia miała otrzymać najwyższe wyróżnienie – Order Lenina. Załoga dostałaby premię finansową, a Briuchanow zostałby odznaczony gwiazdą Bohatera Pracy Socjalistycznej. Ministerstwo Energetyki podpisało już decyzję awansu Briuchanowa do Moskwy, a Fomin miał przejąć obowiązki

dyrektora elektrowni[97]. Planowano ogłosić to w święto 1 Maja dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR[98].

Briuchanow stworzył piękne i kochane przez mieszkańców miasto Prypeć od podstaw. Pomimo utworzenia rady miasta każda decyzja dotycząca atomgradu – nieważne jak trywialna – musiała zostać przez niego osobiście zatwierdzona. Architekci od początku nalegali, by sadzić w mieście jak najwięcej różnych drzew i krzewów – brzoź, wiązów, kasztanowców, jaśminu, bzu i berberysów[99]. Ale Briuchanow uwielbiał kwiaty i nakazał sadzić właśnie je. Na posiedzeniu ispołkomu w 1985 roku wykazał się wielkim gestem. Na jego życzenie na ulicach miało zakwitnąć pięćdziesiąt tysięcy róż: po jednej dla każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w mieście. Nie obeszło się bez wątpliwości. Skąd zdobyć tyle kwiatów? A jednak następnej wiosny za ogromną sumę zakupiono na Litwie i Łotwie trzydzieści tysięcy róż bałtyckich i zasadzono pod topolami wzdłuż długiego prospektu Lenina i wokół centralnego placu[100].

Na podwyższonym placu przy ulicy Kurczatowa, na końcu malowniczej promenady wiodącej do miasta, planowano postawić pomnik Lenina, na dobrą sprawę obowiązkowy w każdym dużym radzieckim mieście. Pomnika jednak dotąd nie było. Rada miasta ogłosiła ukończenie projektu, a na cokole, na którym miał stanąć, znalazła się trójkątna drewniana skrzynia z portretem, sierpem i młotem oraz sloganem: „Imię i cel Lenina będą żyły wiecznie!”.

Tymczasem Wiktor Briuchanow dał swoje błogosławieństwo kolejnemu pomnikowi antycznych bogów – gigantycznej, realistycznej statule wysokości sześciu metrów i odlanej z brązu, postawionej przed kinem. Przedstawiała ona tytana, nagiego pod

połami powłóczystej szaty, wznoszącego ku górze języki płomieni. Był to Prometeusz, który zstąpił z Olimpu. Niósł dar ognia, ofiarując ludzkości światło, ciepło i załóżek cywilizacji – podobnie jak przodownicy z Czerwonego Atomu rozświetlili domostwa w całym ZSRR[101].

Ale grecki mit miał też mroczną stronę: rozwścieczony kradzieżą największego sekretu bogów Zeus przykuł Prometeusza do skały, gdzie gigantyczny orzeł codziennie przez całą wieczność miał wydziobywać mu odrastającą wątrobę.

Człowiek też nie uniknął zemsty za przyjęcie daru Prometeusza. Zeus zesłał na ziemię pierwszą kobietę, Pandorę. Niosła ona puszkę, po której otwarciu rozprzestrzenić się miało niemożliwe do opanowania zło.

Alfa, beta i gamma

Wszystko w kosmosie składa się z atomów, cząstek pyłu gwiazdowego tworzącego materię. Na atomy, miliony razy mniejsze od średnicy ludzkiego włosa, składa się głównie pusta przestrzeń. Ale w ich środku znajduje się jądro – niewiarygodnie gęste, jakby sześć miliardów samochodów zostało upchniętych w jednej walizce – i pełne uśpionej energii[102]. Wokół jądra, złożonego z protonów i neutronów, orbituje chmura elektronów, a wszystko to razem trzyma tak zwane oddziaływanie silne[103].

Oddziaływanie silne, podobnie jak grawitacja, należy do czterech podstawowych sił, na których opiera się wszechświat. Swego czasu naukowcy wierzyli, że jest ono tak mocne, że atomy są niezniszczalne i niepodzielne. Twierdzili też, że „ani masa, ani energia nie mogą być stworzone ani zniszczone”[104]. W 1905 roku Albert Einstein obalił te teorie. Stwierdził, że jeśli udałoby się rozerwać atom, jego niewielka masa wyzwoliłaby stosunkowo dużą energię[105]. Swoją teorię zawarł w równaniu: wyzwolona energia równa się utraconej masie pomnożonej przez prędkość światła do kwadratu. $E=mc^2$.

W 1938 roku trzech naukowców w Niemczech odkryło, że gdy atomy ciężkiego metalu uranu bombarduje się neutronami, ich jądro może się rozpaść, wyzwalaając energię. Gdy jądro się rozpada, neutrony wyrzucane są z olbrzymią prędkością, uderzając w pobliskie atomy, co z kolei powoduje ich rozbitcie i wyzwolenie jeszcze większej energii. Jeśli zebrać wystarczająco

dużo atomów uranu w odpowiedniej konfiguracji – tworząc masę krytyczną – proces sam się podtrzymuje, a neutrony jednego jądra rozbijają inne jądra i wyzwalają jeszcze więcej neutronów pędzących na zderzenie z kolejnymi jądrami. Powstała reakcja łańcuchowa rozszczepiania atomów wyzwala niewiarygodną ilość energii.

O godzinie 8.16 rano, 6 sierpnia 1945 roku, bomba jądrowa zawierająca sześćdziesiąt cztery kilogramy uranu została zdetonowana pięćset osiemdziesiąt metrów nad japońskim miastem Hiroszima, w okrutny sposób udowadniając słuszność równania Einsteina[106]. Sama bomba okazała się szalenie nieefektywna: tylko jeden kilogram uranu wywołał reakcję łańcuchową i tylko siedemset miligramów masy – tyle co waży motyl – zostało zamienionych na energię[107]. Ale to wystarczyło, żeby w ułamku sekundy zrównać całe miasto z powierzchnią ziemi. Około siedemdziesięciu ośmiu tysięcy osób zmarło natychmiast lub tuż po eksplozji – wyparowało, zostało zmiażdżonych lub spłonęło w burzy ognia, która nastąpiła po śmiertelnej fali uderzeniowej. Natomiast jeszcze w tym samym roku kolejne dwadzieścia pięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zachorowało i zmarło w wyniku wystawienia na promieniowanie wyzwolone podczas eksplozji pierwszej bomby atomowej[108].

Promieniowanie powstaje w wyniku rozpadu niestabilnych atomów. Atomy różnych pierwiastków różnią się masą[109], w zależności od liczby protonów i neutronów w każdym jądrze. Każdy pierwiastek ma unikalną liczbę protonów, która nigdy się nie zmienia i określa jego liczbę atomową i miejsce w układzie okresowym; przykładowo: wodór ma tylko jeden proton, tlen

osiem, złoto siedemdziesiąt dziewięć. Ale atomy danego pierwiastka mogą różnić się pod względem neutronów, tworząc różne izotopy, od deuteru (wodoru z jednym dodatkowym) do uranu 235 (uranu ze 143 dodatkowymi neutronami).

Dodając lub odejmując neutrony do jądra stabilnego atomu, tworzy się niestabilne izotopy. Każdy niestabilny izotop będzie próbował odzyskać równowagę, wyrzucając cząstki jądra, żeby osiągnąć stabilność. W ten sposób utworzy inny izotop, albo nawet zupełnie nowy pierwiastek. Na przykład pluton 239 oddaje dwa protony i dwa neutrony, a jego jądro staje się uranem 235. Ten dynamiczny proces jądrowego rozkładu to radioaktywność; energia wyzwolana podczas wyrzucania neutronów przez atomy w formie fal lub cząstek jest promieniowaniem[110].

Promieniowanie nas otacza[111]. Wydziela je Słońce, jest obecne w promieniach kosmicznych, a miasta leżące na dużej wysokości otrzymują większe dawki promieniowania tła niż te na poziomie morza. Podziemne złoża toru i uranu emitują promieniowanie tak samo jak kamienie i cegły, z których stawiane są domy. Granit, z którego zbudowano Kapitol Stanów Zjednoczonych, jest tak radioaktywny, że budynek nie przeszedłby federalnych testów bezpieczeństwa, regulujących pracę elektrowni jądrowej. Wszystkie żywe tkanki w jakimś stopniu promieniują: zarówno ludzie, jak i banany emitują promieniowanie, bo zawierają niewielką ilość promieniotwórczego potasu 40; najwięcej potasu 40 w ludzkim organizmie zawierają mięśnie, więc mężczyźni są generalnie bardziej radioaktywni od kobiet. Orzechy brazylijskie, które zawierają tysiąc razy więcej radu niż inne

produkty organiczne, są najbardziej radioaktywną żywnością na świecie.

Radiacja jest niewidoczna, nie ma smaku ani zapachu. Nie udowodniono jeszcze czy wystawienie na jakiegokolwiek promieniowanie jest zupełnie bezpieczne, natomiast robi się ono groźne, gdy emitowane cząstki i fale rozbijają lub zmieniają atomy, z których zbudowane są tkanki żywych organizmów. Takie promieniowanie o wysokiej energii to promieniowanie jonizujące.

Promieniowanie jonizujące występuje w trzech podstawowych formach: cząstek alfa, cząstek beta i promieni gamma. Cząstki alfa są stosunkowo duże, ciężkie i poruszają się powoli, przez co nie potrafią przeniknąć przez skórę. Może je zatrzymać nawet kartka papieru. Jeśli jednak zostaną wchłonięte do organizmu – na przykład połknięte lub wciągnięte z powietrzem – potrafią wywołać spustoszenie wśród chromosomów i doprowadzić do śmierci. Radon 222, który zbiera się w formie gazu w niewietrzonych piwnicach, emituje cząstki alfa, które mogą dostać się do płuc, powodując raka[112]. Polon 210 też emituje cząstki alfa i jest jedną z substancji rakotwórczych w papierosowym dymie[113]. Tę właśnie truciznę podał w herbacie Aleksandrowi Litwinienko agent FSB w Londynie w 2006 roku[114].

Cząstki beta są mniejsze i poruszają się szybciej od cząstek alfa. Potrafią przeniknąć do tkanek i spowodować widoczne oparzenia i trwałe szkody genetyczne. Papier nie uchroni przed cząstkami beta, ale folia aluminiowa – lub odpowiedni dystans – już tak. Z odległości trzech metrów cząstki beta nie stanowią dużego zagrożenia, ale okazują się niebezpieczne, jeśli zostaną

wchłonięte. Organizm może pomylić emitujące cząstki beta izotopy z niezbędnymi do życia składnikami i odkładać je w konkretnych organach: stront 90, izotop należący do tej samej chemicznej rodziny co wapń, składowany jest w kościach, ruten wchłaniany jest przez jelito, jod 131 gromadzi się głównie w tarczycy u dzieci, gdzie może powodować raka.

Promienie gamma – fale elektromagnetyczne wysokiej częstotliwości, podróżujące z prędkością światła – mają najwięcej energii z wyżej wymienionych. Potrafią pokonać duże dystanse, penetrować wszystko z wyjątkiem grubego betonu i ołowiu, a także niszczyć elektronikę. Promienie gamma mogą przeniknąć przez ludzki organizm bez zwalniania, rozbijając komórki niczym kule mikroskopijnych kul[115].

Wystawienie na promieniowanie jonizujące w wysokiej dawce powoduje chorobę popromienną, a ludzkie tkanki zostają rozerwane, zniekształcone i zniszczone na poziomie mikroskopowym. Jej objawami są nudności, wymioty, krwawienie, utrata włosów, a następnie zapaść układu odpornościowego, nieprawidłowości w szpiku kostnym, dezintegracja organów wewnętrznych i ostatecznie śmierć[116].

Pionierzy atomistyki, którzy jako pierwsi badali promieniowanie pod koniec XIX wieku, byli oczarowani efektami radiacji. Wilhelm Röntgen, który w 1895 roku odkrył promienie X, podczas eksperymentu obserwował z zaciekawieniem projekcję kości własnej dłoni na ścianie laboratorium[117]. Gdy wkrótce potem wykonał pierwsze na świecie zdjęcie z użyciem promieni X, na którym znalazła się dłoń jego żony – wraz z obrączką ślubną – kobieta była przerażona.

– Ujrzałam własną śmierć![118] – powiedziała.

Z czasem Röntgen zaczął stosować środki ostrożności, by chronić się przed negatywnymi skutkami własnego odkrycia, ale inni nie byli tak rozważni. W 1896 roku Thomas Edison opracował fluoroskop, który emitował promienie X na ekran, pozwalając zajrzeć do wnętrza obiektów[119]. Eksperymenty Edisona wymagały asystenta, który musiał trzymać dłoń na skrzynce, wystawiając się na działanie promieni. Gdy dłoń pomocnika została poparzona, zaczął po prostu używać drugiej. Ale oparzenia nie chciały się goić. Chirurdzy musieli amputować lewe ramię i cztery palce prawej dłoni. Gdy nowotwór rozprzestrzenił się wzdłuż ramienia, je także trzeba było usunąć. Choroba dotarła do jego klatki piersiowej i zmarł w październiku 1904 roku, jako pierwsza znana ofiara wyzwolonego przez człowieka promieniowania[120].

Mimo że zdawano sobie sprawę z zewnętrznych szkód powstających w wyniku promieniowania, wciąż niewiele wiedziano na temat wewnętrznych zagrożeń. Na początku XX wieku sprzedawano syrop zawierający rad, który miał dodawać energii. W 1903 roku Maria Skłodowska i Pierre Curie dostali Nagrodę Nobla za odkrycie polonu i radu – emitujących cząstki alfa i niemal milion razy bardziej radioaktywnych niż uran – które wydobywali z ton sześciennych kleistej, smolistej rudy w paryskim laboratorium[121]. Pierre zginął w wypadku drogowym, ale Maria kontynuowała badania nad radioaktywnymi cząstkami aż do śmierci w 1934 roku, której przyczyną było prawdopodobnie uszkodzenie szpiku przez promieniowanie. Ponad osiemdziesiąt lat od jej śmierci laboratoryjne notatniki

Skłodowskiej są tak radioaktywne, że przechowuje się je w pojemnikach pokrytych ołowiem.

Jako że rad w połączeniu z innymi pierwiastkami świeci w ciemności, zegarmistrzowie tworzyli fluorescencyjne cyfry na tarczach zegarów, a do precyzyjnej pracy ich malowania zatrudniali młode kobiety[122]. W fabrykach zegarków w New Jersey, Connecticut i Illinois „radowe dziewczyny” uczone były, aby lizać koniuszki pędzelków przed zanurzeniem ich w radioaktywnej farbie. Gdy szczęki i szkielety dziewcząt zaczęły gnić i się rozpadać, pracodawcy twierdzili, że chorują na syfilis. Proces sądowy wykazał, że menedżerowie byli świadomi ryzyka pracy z radem i robili wszystko, żeby ukryć prawdę przed pracownikami. To wówczas społeczeństwo dowiedziało się o niebezpieczeństwie obcowania z radioaktywnym materiałem[123].

Biologiczne działanie promieniowania na ludzkie ciało zaczęto mierzyć w ramach (ang. *roentgen equivalent man*, rentgen w stosunku do człowieka). Składała się na to skomplikowana kombinacja czynników: typ promieniowania, czas ekspozycji, jak bardzo penetruje ciało i w jakich miejscach oraz jak bardzo te części ciała podatne są na promieniowanie. Fragmenty ciała, w których komórki szybko się dzielą – szpik kostny, skóra, przewód pokarmowy – są bardziej podatne niż serce, wątroba i mózg. Niektóre radionuklidy – jak rad czy stront – emitują silniejsze promieniowanie, przez co są bardziej niebezpieczne niż cez czy potas[124].

Ci, którzy przeżyli bombardowanie Hiroszimy i trzy dni później Nagasaki, stali się przedmiotem trwającego ponad

siedemdziesiąt lat badania konsekwencji choroby popromiennej na dużej liczbie osób, które umożliwiło stworzenie uniwersalnej bazy danych dotyczącej długofalowych skutków promieniowania jonizującego u ludzi[125]. Spośród tych, którzy przeżyli eksplozję w Nagasaki, trzydzieści pięć tysięcy zmarło w ciągu kolejnej doby. Osoby cierpiące na chorobę popromienną utraciły włosy w ciągu jednego lub dwóch tygodni, a potem dostały krwawej biegunki, stały się podatne na infekcje i miały wysoką gorączkę. Kolejne trzydzieści siedem tysięcy osób zmarło w ciągu trzech miesięcy. Podobna liczba przeżyła dłużej, ale w ciągu trzech lat zachorowała na białaczkę. Pod koniec lat czterdziestych był to pierwszy nowotwór, którego wiązano z promieniowaniem[126].

Efekt promieniowania jonizującego na przedmioty nieożywione i organizmy żywe był intensywnie badany pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku przez Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych. W ramach rządowego projektu stworzenia samolotów napędzanych energią jądrową Lockheed Aircraft zbudował chłodzony wodą dziesięciomegawatowy reaktor jądrowy schowany w podziemnym szybie w lasach północnej Georgii. Po przyciśnięciu jednego guzika reaktor wysuwał się na powierzchnię, wystawiając wszystko w zasięgu trzystu metrów na śmiertelną dawkę promieniowania. W czerwcu 1959 roku Radiation Effects Reactor po raz pierwszy pokazał swoją moc, zabijając niemal wszystko w otoczeniu: owady spadały na ziemię, małe zwierzęta wraz z żyjącymi na nich bakteriami padały martwe. Fenomen ten naukowcy nazwali „natychmiastową taksydermią”. Rośliny reagowały różnie: dęby spłonęły, ale paluszniki niemal nie ucierpiały. Największą odpornością

wykazały się sosny. Równie tajemnicza była reakcja przedmiotów, które znalazły się w zasięgu reaktora. Przezroczyste butelki Coca-Coli zbrązowiały, płyn hydrauliczny zmienił się w gumę, sprzęt elektroniczny przestał działać, a gumowe opony stwardniały niczym skała[127].

Promieniowanie jonizujące może okazać się dla istoty ludzkiej zgubne, ale rzadko towarzyszą mu jakieś objawy. Człowiek może dostać dawkę setki razy przekraczającą śmiertelną i nic nie poczuć.

Dwudziestego pierwszego sierpnia 1945 roku, dwa tygodnie po zrzuconiu bomby na Hiroszimę, Harry K. Daghlian Jr., dwudziestoczteroletni fizyk biorący udział w Projekcie Manhattan, przeprowadzał po godzinach eksperyment w Los Alamos, w Nowym Meksyku, kiedy nagle omsknęła mu się dłoń. Badana przez niego kula plutonu otoczona węglikiem wolframu osiągnęła masę krytyczną. Młody naukowiec ujrzał niebieski błysk i został uderzony falą promieni gamma i neutronowych o mocy ponad 500 remów[128]. Natychmiast zakończył eksperyment i zgłosił się do szpitala[129], chociaż nie miał żadnych widocznych objawów. Ale promieniowanie i tak zabiło go bezlitośnie niczym rozpędzony pociąg. Dwadzieścia pięć dni później Daghlian zapadł w śpiączkę, z której już się nie obudził. Był pierwszą osobą, która zmarła w wyniku przypadkowego wystawienia na działanie reakcji jądrowej. „New York Times” napisał, że zmarł w wyniku poparzeń doznanych „podczas przemysłowego wypadku”[130]. Przemysł energii jądrowej od samego początku starał się uciec z cienia armii. Pierwszy reaktor jądrowy, zbudowany ręcznie na nieużywanym boisku futbolowym

uniwersytetu w Chicago w 1942 roku, służył Projektowi Manhattan, który był kluczowy dla stworzenia materiału rozszczepialnego, potrzebnego do budowy pierwszej na świecie bomby atomowej. Kolejne reaktory – zbudowane na trudno dostępnych ziemiach wzdłuż rzeki Columbia w Hanford, w stanie Waszyngton – wykorzystywane były wyłącznie do produkcji plutonu zasilającego rosnący arsenał bomb atomowych Stanów Zjednoczonych. Amerykańska marynarka wojenna odpowiedzialna była za projekt reaktora wykorzystywany później niemal w każdej elektrowni jądrowej w kraju. Pierwsza elektrownia jądrowa w Stanach została zbudowana w oparciu o projekty budowy pierwszego lotniskowca zasilanego energią jądrową.

W ZSRR schemat był podobny. Pierwsza radziecka bomba atomowa – RDS-1 lub „gadżet”[131], jak nazywali ją budowniczowie – została zdetonowana o świcie 29 sierpnia 1949 roku na poligonie znajdującym się sto czterdzieści kilometrów na północny zachód od miasta Semej na kazachskich stepach. Projekt pod kryptonimem „Problem numer 1” prowadzony był przez Igora Kurczatowa, czterdziestosześcioletniego fizyka z krzaczastą, szpiczastą brodą wiktoriańskiego spirytysty, który był ceniony przez tajne służby[132] za dyskrecję i polityczną przebiegłość. Bomba była wierną kopią Fat Mana, który cztery lata wcześniej obrócił w pył Nagasaki, i zawierała rdzeń z plutonu wyprodukowanego w reaktorze – znanym jako reaktor A lub Annuszka – wzorowanym na tych z Hanford[133].

Kurczatow odniósł sukces przy pomocy dobrze ulokowanych szpiegów i informacji zawartych w książce *Energia atomowa dla*

celów militarnych, opublikowanej przez amerykański rząd w 1945 roku i natychmiast przetłumaczonej w Moskwie na język rosyjski[134]. Pieczę nad energią atomową sprawował nowo powstały Wydział Pierwszy i atomowe Politbiuro, nadzorowane przez sadystycznego poplecznika Stalina Ławrientija Berię, szefa NKWD, organizacji poprzedzającej KGB[135]. Radzieckim projektem jądrowym od samego początku kierowały bezlitosny wyzysk i paranoiczna potrzeba tajności. W 1950 roku Wydział Pierwszy zatrudniał siedemset tysięcy ludzi, z czego ponad połowa była przymusową siłą roboczą (w tym pięćdziesiąt tysięcy jeńców wojennych) w kopalniach uranu. W chwili, gdy więźniowie odpracowali już swoje wyroki, Dyrektoriat pakował ich w ciężarówki i zsyłał na daleką Syberię, żeby nikomu nie mogli wyjawić, co widzieli. Wielu z nich nigdy nie wróciło[136]. A gdy ekipa Kurczatowa odniosła sukces, została nagrodzona przez Bierię proporcjonalnie do kary, jaką wymierzyliby im w przypadku porażki. Tym, których tajne służby miały natychmiast rozstrzelać – czyli Kurczatowa i Nikołaja Dolleżala, autora projektu reaktora Annuszka – przyznano najwyższy order państwowy, Bohatera Pracy Socjalistycznej, a także dacje, samochody i nagrody pieniężne. Ci, którym dano by zaledwie maksymalne kary więzienia, otrzymali drugi najwyższy order, czyli Order Lenina[137].

Już w momencie detonacji „gadżetu” Igor Kurczatow planował rozpoczęcie pracy nad reaktorem generującym energię elektryczną. Prace rozpoczęły się w 1950 roku w nowo wybudowanym zamkniętym mieście Obnińsku, dwie godziny na południowy zachód od Moskwy. Ta sama grupa specjalistów,

którzy wybudowali Annuszkę, pracowała nad nowym reaktorem. Miał on podgrzewać wodę i zmieniać ją w parę, która z kolei miała zasilać turbinę. Zasoby były nikłe i niektórzy twierdzili, że reaktor nigdy nie stanie się użyteczny. Beria pozwolił na kontynuowanie projektu wyłącznie przez wzgląd na prestiżową pozycję Kurczatowa jako ojca bomby atomowej[138]. Dopiero pod koniec 1952 roku rząd uznał energię jądrową, powołując nową organizację zajmującą się projektowaniem reaktorów – Instytut Badań Naukowych i Projektowania Technologii Energetycznej, znany pod rosyjskim akronimem NIKIET[139].

Rok później ZSRR przetestował pierwszą broń termojądrową, bombę wodorową, tysiąc razy silniejszą niż bomba atomowa. Od tego momentu stało się jasne, że oba światowe mocarstwa miały teoretyczną możliwość zniszczenia całej ludzkości[140]. Nawet Kurczatow był wstrząśnięty[141] siłą stworzonej przez siebie broni, która całą ziemię w promieniu pięciu kilometrów od miejsca detonacji zamieniła w szkło. Niecałe cztery miesiące później amerykański prezydent Dwight D. Eisenhower wygłosił przemówienie *Atom dla pokoju* podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ, próbując uspokoić amerykańską opinię publiczną, nad którą zawisło widmo apokalipsy. Eisenhower wzywał do globalnej współpracy nad opanowaniem rozpędzającego się wyścigu zbrojeń i okiełznania energii atomowej tak, żeby służyła ludzkości. Zaproponował zwołanie międzynarodowej konferencji w tym celu[142]. Nikogo specjalnie nie zdziwiło, gdy ZSRR publicznie uznał ten pomysł za pustą propagandę[143].

Jednak gdy w sierpniu 1955 roku w Genewie odbyła się Międzynarodowa Konferencja ONZ w Sprawie Pokojowego

Wykorzystania Energii Atomowej, sowiecka delegacja zjawiała się. Po raz pierwszy od dwudziestu lat[144] radzieckim naukowcom pozwolono spotkać się z ich zachodnimi kolegami po fachu. Wykorzystali tę sytuację, by wygłosić własną mowę propagandową: powiedzieli, że 27 czerwca ubiegłego roku udało się podłączyć obniński reaktor, oznaczony jako AM-1, do moskiewskiej sieci elektrycznej.

Był to pierwszy reaktor na świecie wykorzystujący moc jądrową do produkcji elektryczności na potrzeby cywilne. Naukowcy ochrzcili go Atom Mirnyj-1, czyli Pokojowy Atom-1. Natomiast Amerykanie mieli ukończyć swoją pierwszą elektrownię jądrową w Shippingport, w stanie Pensylwania, dopiero za dwa lata. Ukryty w staroświeckim, otynkowanym budynku z wysokim kominem, który łatwo było pomylić z fabryką czekolady, AM-1 generował tylko pięć megawatów energii – tyle, ile potrzeba, by zasilić lokomotywę[145] – ale symbolizował socjalistyczną przewagę w ujarzmianiu energii jądrowej w służbie ludzkości. Jego uruchomienie wyznaczyło początek przemysłu jądrowego w ZSRR i początek zimnowojennego wyścigu technologicznego pomiędzy supermocarstwami.

Wkrótce po śmierci Stalina w 1953 roku Ławrientij Beria został aresztowany, osadzony w więzieniu i rozstrzelany[146]. Pierwszy Dyrektoriat został zreorganizowany i przemianowany. Nowe Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich – w skrócie MinŚredmasz lub Średmasz – miało teraz nadzorować wszystko, co związane z energią jądrową, od wydobywania uranu po testowanie bomb[147]. Nowo wybrany I sekretarz KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Nikita Chruszczow,

zakończył erę stalinowskich represji, wyzwolił sztukę, postawił na nowoczesną technologię i obiecał, że „prawdziwy komunizm” – robotnicze Shangri-La równości i dostatku dla każdego – zostanie osiągnięty przed 1980 rokiem. W celu zmodernizowania radzieckiej gospodarki i umocnienia własnej władzy Chruszczow osobiście promował podróże kosmiczne i technologię jądrową[148].

Sukces Pokojowego Atomu-1[149] sprawił, że radzieccy fizycy i ich partyjni przełożeni posmakowali panaceum, które miało wyzwolić Związek Radziecki od zdeprawowanej przeszłości i pomóc skierować go na drogę ku świetlanej przyszłości. Obywatele radzieccy, wciąż odbudowujący kraj po zniszczeniach II wojny światowej, postrzegali reaktor w Obnińsku jako przykład światowej dominacji technologicznej ZSRR, która potrafiła przysłużyć się zwykłym obywatelom, dostarczając im ciepło i światło do domostw. Fizycy pracujący nad AM-1 otrzymali Ordery Lenina, a moc atomu wysławiana była w artykułach prasowych, filmach i programach radiowych. Ministerstwo Kultury wydało podręczniki dla szkół podstawowych, w których uczono dzieci podstaw działania energii atomowej i tego, że Związek Radziecki rozwija program jądrowy w celach pokojowych, w przeciwieństwie do militarnych zapędów Stanów Zjednoczonych[150]. Według historyka Paula Josephsona naukowcy jądrowi stali się obok kosmonautów i męczenników wielkiej wojny ojczyźnianej „niemal mitycznymi postaciami w panteonie sowieckich bohaterów”[151].

Jednak ten mały reaktor w Obnińsku nie był tym, na co wyglądał[152]. Nie stworzono go w celu wytwarzania energii elektrycznej, ale po to, aby szybko i tanio produkować paliwo do

bomb plutonowych. Jego budowę nadzorowała ta sama ekipa z Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich, która wybudowała reaktor Annuszka. Na drodze do jego ukończenia stanęła korozja, wycieki i wadliwe urządzenia. Pierwotnie miał dostarczać napęd do jądrowych łodzi podwodnych. Dopiero gdy okazało się to niepraktyczne, jego oryginalny akronim AM – Atom Morskij[153] – rozwinęto do nowej pełnej nazwy sugerującej bardziej niewinne cele.

Reaktor ten był też z natury niestabilny[154].

W przeciwieństwie do broni jądrowej, w której duża liczba atomów uranu rozszczepia się w ułamku sekundy, wyzwalaając energię w śmiercionośnym błysku ciepła i światła, proces działania reaktora musi być precyzyjnie regulowany tygodniami, miesiącami, a nawet latami. Wymaga to trzech czynników: moderatora, prętów regulacyjnych i chłodziwa.

Najprostsza forma reaktora jądrowego nie wymaga żadnego sprzętu. Jeśli umieścić właściwą ilość uranu 235 w obecności moderatora neutronów – na przykład wody lub grafitu, które spowolniają ruch neutronów uranu, umożliwiając ich zderzenie – rozpocznie się samopodtrzymująca reakcja łańcuchowa wyzwalająca energię pod postacią ciepła. Idealna kombinacja tych czynników występuje nawet w naturze[155]: wykryto ją w pochodzących sprzed dwóch miliardów lat złożach uranu na terenie afrykańskiego państwa Gabon, gdzie funkcję moderatora pełniły wody gruntowe. Reakcja łańcuchowa rozpoczęła się tam dwa miliardy lat temu, produkując niewielką ilość energii cieplnej – około stu kilowatów, czyli wystarczającą do zapalenia

tysiąca żarówek – i trwała z przerwami przez milion lat, póki woda nie wyparowała.

Jednak by utrzymywać stabilną moc reaktora, należy sztucznie kontrolować zachowanie neutronów. Zapewniając reakcję łańcuchową na stałym poziomie, ciepło wydzielane w wyniku rozszczepiania atomów można wykorzystać do wytworzenia energii elektrycznej. W idealnych warunkach rozszczepienie każdego atomu powodowałoby rozszczepienie sąsiadującego atomu, a każda kolejna generacja neutronów byłaby taka sama, przez co reaktor pozostawałby w tym samym stanie krytycznym.

Jeśli któryś z procesów rozszczepiania da inną liczbę neutronów niż poprzedni, reaktor przyjmuje masę podkrytyczną, reakcja łańcuchowa spowalnia i ostatecznie zamiera, a reaktor przestaje funkcjonować. Z kolei gdy kolejna generacja wyprodukuje więcej neutronów niż poprzednia, reaktor może zacząć pracować zbyt szybko, przyjąć stan nadkrytyczny i wyzwolić dużą ilość energii, niczym bomba jądrowa. Utrzymywanie stabilnego stanu jest zadaniem wymagającym ogromnej precyzji. Pierwsi inżynierowie jądrowi musieli stworzyć narzędzia, by opanować siły, które są niezwykle trudne do okiełznania.

Bardzo trudno opanować mikroskopową i niewidzialną aktywność subatomową we wnętrzu reaktora atomowego: uzyskanie jednego wata elektryczności wymaga ponad trzydziestu miliardów rozszczepień na sekundę[156]. Około dziewięćdziesięciu dziewięciu procent neutronów wydzielanych w trakcie rozszczepienia to cząstki o wysokiej energii wyrzucone

z dużą prędkością, tak zwane neutrony natychmiastowe, które przemieszczają się z prędkością dwudziestu tysięcy kilometrów na sekundę. Neutrony natychmiastowe zderzają się z sąsiadami, powodując kolejne rozszczepienia i podtrzymując reakcję łańcuchową w ciągu dziesięciu nanosekund. Tej niewielkiej cząstki czasu – przez twórców Projektu Manhattan dowcipnie nazwanej shakiem od idiomu *shake of a lamb's tail*[157] oznaczającego „w mgnieniu oka” – nie da się zmierzyć mechanicznie. Na szczęście pozostały jeden procent neutronów porusza się z dającą się już zmierzyć w sekundach, a nawet minutach prędkością[158]. To właśnie istnienie tych neutronów opóźnionych, poruszających się na tyle wolno, że dają się kontrolować, umożliwia działanie reaktora jądrowego.

Tempo reakcji łańcuchowej można kontrolować, wprowadzając elektromechaniczne pręty zawierające pierwiastki absorbujące neutrony, takie jak bor czy kadm, które działają jak gąbki, pochłaniając i zatrzymując neutrony opóźnione, a tym samym uniemożliwiając im zderzenia z innymi cząstkami. Gdy pręty zostają całkowicie wsunięte do reaktora, pozostaje on w stanie podkrytycznym, a gdy się je wysuwa – reakcja powoli przyspiesza i reaktor osiąga stan krytyczny, w którym to stanie może zostać utrzymany lub wyregulowany. Wysunięcie prętów przyspiesza reakcję, a tym samym ilość wyzwalanego ciepła i energii, natomiast wsuwanie daje odwrotny efekt. Kontrolowanie reaktora jedynie za pomocą niecałego procenta neutronów czyni zadanie niezwykle delikatnym: jeśli pręty wysunie się zbyt szybko, wsunie zbyt głęboko lub w zbyt dużej ilości – albo gdy zawiedzie jeden z wielu systemów bezpieczeństwa – reaktor może zostać

przeciążony rozszczepianiem neutronów natychmiastowych i osiągnąć stan nadkrytyczny, przez co utraci się nad nim panowanie. Ten katastrofalny scenariusz może uruchomić podobne procesy, co w bombie atomowej, wyzwalając wielkie pokłady energii, które będą wzrastać, póki rdzeń reaktora się nie stopi lub – nie eksploduje[159].

Żeby wyprodukować elektryczność, paliwo uranowe wewnątrz reaktora musi stać się na tyle gorące, aby woda mogła się zamienić w parę, ale nie za gorące, inaczej paliwo samo zacznie się topić. Żeby temu zapobiec, reaktor, poza prętami kontrolnymi i moderatorami neutronów, potrzebuje też chłodziwa, które będzie odprowadzało nadmiar ciepła. Pierwsze reaktory wyprodukowane w Wielkiej Brytanii jako moderatora używały grafitu, a jako chłodziwa powietrza. Późniejsze modele komercyjne w Stanach Zjednoczonych zarówno w charakterze chłodziwa, jak i moderatora używały wrzącej wody. Oba projekty miały swoje zagrożenia i korzyści: woda się nie pali, ale gdy zmieni się w parę pod ciśnieniem, może doprowadzić do eksplozji, natomiast grafit nie może eksplodować, ale w ekstremalnej temperaturze może zapłonąć[160]. Pierwsze radzieckie reaktory kopiowały rozwiązania stosowane w Projekcie Manhattan, wykorzystując grafit i wodę[161]. Była to ryzykowna kombinacja[162]: grafit gwałtownie płonie w wysokich temperaturach, a woda może eksplodować.

Swoje projekty reaktora, który później nazwany został Pokojowy Atom-1, przedstawiły trzy konkurujące ze sobą ekipy[163]. Pierwsza zaprojektowała reaktor grafitowo-wodny, druga proponowała użycie grafitu jako moderatora, a helu jako

chłodziwa, a trzecia sugerowała, by w charakterze moderatora użyć berylu. Radzieccy inżynierowie pracujący[164] przy plutonie mieli największe doświadczenie z reaktorami grafitowo-wodnymi. Były one też tańsze i łatwiejsze do wyprodukowania. Pozostałe, bardziej eksperymentalne – i potencjalnie bezpieczniejsze – projekty nie przeszły[165].

Dopiero na zaawansowanym etapie konstrukcji reaktora Pokojowego Atomu-1 fizycy z Obnińska odkryli pierwszy poważny problem tego projektu – ryzyko, że woda wycieknie na rozgrzany grafit, co może nie tylko doprowadzić do eksplozji i radioaktywnego wycieku, lecz także uniemożliwić panowanie nad reaktorem. Ekipa opóźniała uruchomienie, pracując nad rozwiązaniami, które poradziłyby sobie z problemem. Gdy w czerwcu 1954 roku reaktor wreszcie włączono, ujawnił się kolejny poważny problem, którego naukowcom nie udało się naprawić, znany jako dodatni współczynnik reaktywności przestrzeni parowych[166].

Podczas normalnej pracy wszystkie reaktory chłodzone wodą zawierają w rdzeniu także nieco pary, która formuje bańki, swoiste przestrzenie, w płynie. Woda jest wydajniejszym moderatorem neutronów niż para, zatem wielkość bąbelków pary wpływa na reaktywność rdzenia. W reaktorach wykorzystujących wodę zarówno jako chłodziwo, jak i moderator im więcej jest obecnej pary, tym mniej neutronów jest zatrzymywanych i reaktywność zostaje spowolniona. Jeśli wytworzy się zbyt dużo pary lub gdy chłodziwo całkowicie wycieknie, reakcja łańcuchowa ustaje i reaktor się zatrzymuje. Ten ujemny współczynnik reaktywności przestrzeni parowych działa jak automatyczny

hamulec bezpieczeństwa, powszechnie stosowany w reaktorach wodno-wodnych na Zachodzie.

Ale w reaktorze wodno-grafitowym jak Pokojowy Atom-1 efekt jest odwrotny. Jeśli reaktor się rozgrzewa i coraz więcej wody zamienia się w parę, grafitowy moderator działa jak uprzednio. Reakcja łańcuchowa przyspiesza, woda się podgrzewa i jeszcze szybciej zamienia w parę. Para absorbuje coraz mniej neutronów, przez co reakcja łańcuchowa przyspiesza jeszcze bardziej w pętli sprzężenia rosnących mocy i ciepła. Żeby zatrzymać lub spowolnić ten proces, operatorzy muszą wprowadzić do reaktora pręty kontrolne. Jeśli im się to z jakiegoś powodu nie uda, utracą panowanie nad reaktorem, który może się stopić lub eksplodować. Ten dodatni współczynnik reaktywności przestrzeni parowych był poważnym defektem serca reaktora Pokojowego Atomu-1 i rzucał cień na działanie każdego radzieckiego reaktora wodno-grafitowego[167].

Dwudziestego lutego 1965 roku Igor Kurczatow po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat pokazał się publicznie. Ojciec bomby od 1943 roku brał udział w poufnych badaniach nad „Problemem numer 1” odizolowany w tajnych laboratoriach w Moskwie i Obnińsku lub na terenach poligonów w Kazachstanie. Teraz jednak stał przed delegatami na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w Moskwie, roztaczając fantastyczną wizję nowego ZSRR zasilanego energią jądrową. W krótkiej, ale porywającej przemowie Kurczatow nakreślił plany ambitnego programu eksperymentalnej technologii reaktorów, w którym po futurystycznym imperium komunistycznym poruszałyby się

napędzane energią atomową statki, pociągi i samoloty. Przewidywał, że za sprawą sieci gigantycznych elektrowni jądrowych tania elektryczność dotrze do każdego zakątka ZSRR. Obiecywał, że w ciągu zaledwie czterech lat Związek Radziecki będzie produkował dwa miliony kilowatów, czyli czterysta razy więcej niż elektrownia w Obnińsku[168].

W celu zrealizowania tej zuchwałej wizji Kurczatow – teraz przewodniczący własnego Instytutu Energii Atomowej – przekonał szefa Średmaszu, żeby pozwolił mu wybudować cztery prototypy reaktorów[169], z których wybrany zostałby ten mający posłużyć za podstawę radzieckiego przemysłu jądrowego. Wcześniej jednak Kurczatow musiał przekonać także tęgie głowy z Gosplanu, które kontrolowały przepływ wszystkich zasobów przez ZSRR. Departament Energetyki i Elektryfikacji podlegający Gosplanowi decydował o wszystkim, począwszy od tego, ile pieniędzy zostanie przeznaczonych na budowę każdej elektrowni, po zarządzenie, ile elektryczności miała produkować po uruchomieniu. Przedstawiciele Gosplanu nie interesowała ideologia, sowiecki prestiż ani tryumf socjalistów nad kapitalistami. Żądali racjonalnych danych i namacalnych rezultatów[170].

Argumenty radzieckich naukowców, podobnie jak uczonych zachodnich[171], że energia jądrowa szybko i tanio zastąpi energię konwencjonalną, były podkoloryzowane i oparte na myśleniu życzeniowym o elektryczności „zbyt taniej, by dało się to zmierzyć”[172]. W przeciwieństwie do amerykańskich wizjonerów atomistyki radzieccy naukowcy nie mogli polegać na pozyskiwaniu inwestorów z wolnego rynku. Ekonomia też nie

stała po ich stronie: koszty budowy reaktora były kolosalne, a ZSRR był zasobny w złoża paliw kopalnych, zwłaszcza na Syberii wciąż odkrywano nowe zasoby ropy i gazu.

Na korzyść energii atomowej przemawiał rozmiar ZSRR[173] i jego mierna infrastruktura. Naukowcy przypominali, że syberyjskie złoża znajdują się tysiące mil od miejsc, w których są najbardziej potrzebne, czyli zachodniego Związku Radzieckiego, gdzie mieszka większość ludności i znajduje się największy przemysł. Transport zasobów bądź energii elektrycznej na takie dystanse był kosztowny i nieefektywny, a elektrownie wodne – największa konkurencja elektrowni jądrowych – wymagały zalewania dużych obszarów cennej ziemi uprawnej. Natomiast, chociaż budowa elektrowni jądrowych była droga, one same nie miały specjalnie negatywnego wpływu na środowisko, były w dużej mierze samowystarczalne, można było je ulokować w pobliżu dużych miast, a wybudowane w większej ilości mogły dostarczyć dużo energii.

Przekonany obietnicami Kurczatowa Gosplan wyłożył pieniądze na budowę prototypów dwóch elektrowni: jednej z reaktorem korzystającym z wody pod ciśnieniem, który stawał się już standardem w USA, a drugiej typu wodno-grafitowego – większej wersji reaktora Pokojowego Atomu-1[174]. Jednak koszty budowy szybko wzrosły i Gosplan zaczął podejrzewać, że naukowcy wprowadzili go w błąd. Obcięto więc fundusze i nakazano zaprzestanie pracy nad elektrownią PWR, stopniowo burząc marzenia Kurczatowa o atomowej przyszłości. Ojciec bomby pragnął przywrócenia tych planów i pisał do przewodniczącego Gosplanu, zarzekając się, że elektrownie są

kluczowe dla przyszłości radzieckiego atomu. Jego prośby zignorowano. Kurczatow zmarł w 1960 roku, nie doczekawszy się realizacji swojego marzenia[175].

Tymczasem Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich ukończyło nowy projekt ukryty w tajnej siedzibie znanej jako Kombinat 816 lub Tomsk-7 mieszczącej się w zachodniej części Syberii[176]. Reaktor EI-2, albo Iwan II[177], był potężnym wojskowym reaktorem wodno-grafitowym, oszczędnie skonstruowanym. Jego poprzednik, Iwan-1, był prostym modelem zbudowanym wyłącznie w celu produkcji plutonu do głowic nuklearnych. Ale EI-2 miał wykonywać dwa zadania jednocześnie. Produkował pluton na potrzeby głowic, a jako produkt uboczny procesu generował sto megawatów elektryczności. Gdy dwa lata po śmierci Kurczatowa ponownie ruszył program cywilnej energii jądrowej w Związku Radzieckim, który był już daleko w tyle za Stanami Zjednoczonymi, postawiono na reaktory, które były niedrogie w budowie i tanie w eksploatacji. Wyrafinowane, eksperymentalne reaktory Igora Kurczatowa musiały ustąpić miejsca niezłomnemu Iwanowi II, który gotów był stać się flagowym radzieckim reaktorem[178].

Niecały rok po tym, jak Igor Kurczatow przedstawił swoją wizję atomowego imperium ZSRR w Moskwie, młoda, szczerząca się królowa Elżbieta II zjawiała się na ceremonii uruchomienia elektrowni jądrowej Calder Hall na północno-zachodnim wybrzeżu Anglii. W eleganckich rękawiczkach pociągnęła za dźwignię, a wskazówka zegara drgnęła, pokazując, że do brytyjskiej sieci energetycznej wpłynęła elektryczność wyprodukowana w jednym z chłodzonych gazem reaktorów. Uruchomiona została pierwsza

komercyjna elektrownia jądrowa na świecie, oznajmiając brzask nowej rewolucji przemysłowej i tryumf tych, którzy wierzyli, że atom ma pokojowe zastosowanie, nad tymi, którzy obawiali się, że przyniesie tylko zniszczenie. „Dla nich – komentował głos kroniki filmowej – ten dzień jest zwycięstwem”[179].

Wszystko to było wielką propagandą. Prawda była znacznie mroczniejsza. Calder Hall miał produkować pluton na potrzeby powstającej brytyjskiej bomby atomowej. Elektryczność była jedynie kosztowną zasłoną dymną[180]. Wojskowe korzenie cywilnego przemysłu atomowego przeniknęły nie tylko jego technologię, lecz także umysły twórców. Nawet na Zachodzie fizycy jądrowi żyli w atmosferze tajemnic i sekretów, gdzie lekkomyślne eksperymenty łączyły się z niechęcią przyznania do błędu.

Rok po uruchomieniu Calder Hall, w październiku 1957 roku, naukowcy w sąsiadującym reaktorze powielającym Windscale stanęli przed niemożliwym do zrealizowania w wyznaczonym czasie zadaniem wyprodukowania trytu na potrzeby detonacji brytyjskiej bomby wodorowej. Cierpiący na braki kadrowe i pracujący na sprzęcie, którego do końca nie rozumieli, działali w trybie awaryjnym, nie przestrzegając wszystkich zasad bezpieczeństwa. Dziewiątego października dwa tysiące ton grafitu[181] w pierwszym reaktorze w Windscale wybuchł pożar. Grafit płonął przez dwa dni[182], powodując skażenie radioaktywne w Zjednoczonym Królestwie i Europie, zanieczyszczając pobliskie farmy wysokim stężeniem jodu 131. Zdesperowany dyrektor elektrowni nakazał zalać reaktor wodą, nie mając pewności, czy ugasi ona pożar, czy doprowadzi do eksplozji, która sprawi, że większość Wielkiej Brytanii nie będzie

nadawała się do zamieszkania. Komisja śledcza szybko sporządziła raport, ale tuż przed jego publikacją brytyjski premier nakazał wycofanie wszystkich egzemplarzy z wyjątkiem dwóch lub trzech i zniszczenie metalowej matrycy przygotowanej do druku[183]. Następnie wypuścił własną, ocenioną wersję raportu, w którym obwinił operatorów elektrowni. Brytyjski rząd nie ujawnił skali wypadku[184] przez kolejne trzydzieści lat.

Tymczasem w ZSRR atmosfera tajemnicy spowijająca przemysł nuklearny sięgała nowych szczytów. Za czasów Chruszczowa radzieccy naukowcy mogli się cieszyć bezprecedensową autonomią, a opinia publiczna – nauczona bezgranicznie ufać nowym bogom nauki i technologii – trzymana była w niewiedzy. W tej szkodliwej atmosferze, po pierwszych sukcesach w ujarzmianiu atomu na potrzeby pokojowe, naukowcy nabrali zbytnej pewności siebie. Promieniami gamma próbowali wydłużyć przydatność do spożycia kurczaków i truskawek, projektowali przenośne reaktory montowane na pojazdach gaśnicowych lub mające dryfować wokół Arktyki i, podobnie jak naukowcy amerykańscy, projektowali samoloty napędzane siłą jądrową. Broni nuklearnej używali także do gaszenia pożarów i tworzenia podziemnych jaskiń, siłę eksplozji ograniczając dopiero wtedy, gdy drgania sejsmiczne uszkadzały pobliskie budynki[185].

Po śmierci Igora Kurczatowa Instytut Energii Atomowej został nazwany jego imieniem, a wiodącą rolę w dziedzinie radzieckich nauk jądrowych przejął jego uczeń, Anatolij Aleksandrow. Był to człowiek imponującej postury z lśniącą, łysą czaszką, który pomógł zbudować pierwsze reaktory produkujące pluton.

Dyrektorem Instytutu Kurczatowa został mianowany w 1960 roku. Jako oddany komunista[186] wierzył bezgranicznie w naukę jako instrument realizacji sowieckiego marzenia ekonomicznego. Bardziej od nowatorskich technologii cenił monumentalne projekty. Gdy rozpoczęła się era stagnacji, radzieccy naukowcy mieli wystarczające środki na priorytetowe dla kraju przedsięwzięcia – badania kosmiczne, odwracanie biegu rzek, energię jądrową – podczas gdy nowo powstałe technologie, jak informatyka, genetyka i światłowody, zostawały w tyle. Aleksandrow nadzorował projekty reaktorów dla atomowych łodzi podwodnych i lodolamaczy, a także prototypy nowych kanałowych reaktorów grafitowych, mających produkować elektryczność. Żeby zredukować koszty budowy, stawiał na korzyści skali. Nakazał zwiększyć rozmiar reaktorów jądrowych, stosując standardowe komponenty oraz powszechnie materiały. Nie widział powodów, dla których ich produkcja powinna się różnić od produkcji czołgów lub kombajnów. W masowym produkowaniu tych wielkich reaktorów widział klucz do rozwoju gospodarczego ZSRR, a energia jądrowa miała pozwolić spełnić utopijne marzenia o nawadnianiu pustyń, tworzeniu tropikalnych oaz za kołem podbiegunowym i równaniu gór za pomocą bomb atomowych – na, jak to określali Rosjanie, „korygowaniu błędów natury”.

Pomimo rozległych wizji i politycznych wpływów Aleksandrow nie miał władzy nad radzieckim sektorem jądrowym[187]. Włókł się za nim ponury cień niewzruszonego Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich z wojowniczym szefem, weteranem rewolucji, Jefimem Sławskim, zwanym także Wielkim Jefimem lub Ajatollahem[188]. Chociaż za młodu walczyli podczas rosyjskiej

wojny domowej po przeciwnych stronach – Sławski jako polityczny komisarz armii konnej, Aleksandrow w szeregach Białej Gwardii – dwaj atomowi magnaci byli sobie bliscy i lubili wspominać stare czasy przy kieliszku wódki lub koniaku. Ale gdy zimna wojna nabrała pędu, militarno-przemysłowe potrzeby Średmaszu okazały się ważniejsze od naukowców z Instytutu Kurczatowa[189]. W pierwszych latach istnienia ministerstwo przejęło kontrolę nad rozległym imperium atomowym, wprowadzając własnych naukowców, żołnierzy, laboratoria, fabryki, szpitale, uczelnie i poligony. Średmasz miał niemal niewyczerpane zasoby, od kopalni złota po elektrownie, a wszystko to funkcjonowało za nieprzeniknioną kurtyną tajemnicy[190].

Nawet nazwy placówek Średmaszu były utajnione: zarówno poszczególne instytuty w Moskwie i Leningradzie, jak i całe miasta, znane jako *pocztowije jaszcziki* – „skrytki pocztowe” – opisane były za pomocą kodów[191]. Za czasów Sławskiego, przebiegłego politycznego gracza z dostępem do najwyższych władz, Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich stało się zamkniętym i niemal autonomicznym państwem w państwie[192].

W atmosferze ciągłej wojennej paranoi podtrzymywanej przez Średmasz, każdy wypadek, nieważne jak błahy, traktowany był jako tajemnica państwowa i badany przez KGB. Nawet gdy w połowie lat sześćdziesiątych radziecki przemysł jądrowy zaczął nabierać rozpędu, atmosfera niejawności wciąż się utrzymywała[193]. Po partyjnym puczu, w wyniku którego Chruszczow został odsunięty od władzy, w 1966 roku

odpowiedzialność za nowe elektrownie jądrowe na terenie ZSRR przejęło od Średmaszu cywilne Ministerstwo Energetyki i Elektryfikacji. Jednak cała reszta – od projektowania i nadzorowania reaktorów, poprzez ich prototypy, aż do każdego aspektu przepływu paliwa – nadal pozostawała w gestii Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich.

ZSRR, jako jeden z dwunastu założycieli[194] Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, od 1957 roku był zobligowany informować o wszelkich wypadkach z użyciem energii jądrowej na swoim terenie. Ale władze radzieckie nie poinformowały instytucji o żadnym z kilkunastu niebezpiecznych incydentów, które na przestrzeni dekad wydarzyły się na ich terenie. Przez niemal trzydzieści lat obywatelom mocarstwa i całemu światu wmawiano, że przemysł jądrowy ZSRR jest najbezpieczniejszy na świecie[195].

Koszt tej iluzji okazał się wysoki.

W niedzielę 29 września 1957 roku o godzinie 16.20 doszło do potężnej eksplozji w pobliżu Czelabińska-40 w Uralu Południowym, na terenie obiektu Średmaszu tak tajnego, że nie widniał na żadnych mapach. Teren zamknięty obejmował zarówno zakład jądrowy Majak – kilka reaktorów produkujących pluton i fabryki radiochemiczne postawione na odludziu od fundamentów przez przymusową siłę roboczą – oraz zamknięte miasto Oziorsk, w którym mieszkali uprzywilejowani pracownicy zakładów. Było ciepłe, słoneczne popołudnie. Gdy doszło do eksplozji, wielu mieszkańców oglądało mecz piłki nożnej na miejskim stadionie. Myśleli, że to odgłosy detonacji dynamitu

wywołanej przez skazanych pracujących w pobliskiej strefie przemysłowej i nie zwrócili na nie uwagi. Mecz trwał dalej[196].

Do eksplozji doszło wewnątrz podziemnego zbiornika na odpady po produkcji wysoce radioaktywnego plutonu. Wybuch, który nastąpił w wyniku awarii systemu chłodzącego i monitorującego temperaturę, wyrzucił stu sześćdziesiąt tonową betonową pokrywę zbiornika dwadzieścia metrów w powietrze, wybił szyby w pobliskich barakach więziennych, wyrwał metalową bramę i wydzielił wysoki na kilometr słup pyłu oraz dymu. W ciągu kilku godzin gruba na kilka centymetrów radioaktywna chmura opadła na strefę przemysłową. Pracujący na jej terenie żołnierze wkrótce trafili do szpitala, wymiotując i krwawiąc[197].

Nie posiadano żadnych planów akcji ratunkowej na wypadek radioaktywnej katastrofy. Początkowo nikt nie zdawał sobie sprawy, że do takowej doszło. Dopiero po kilku godzinach udało się dotrzeć do zarządców fabryki, którzy przebywali akurat na pokazie cyrkowym w Moskwie. W tym czasie wysoce promieniotwórczy opad – dwa miliony kiurów – o szerokości sześciu i długości niemal pięćdziesięciu kilometrów rozprzestrzenił się po całym Uralu. Następnego dnia na pobliskie wioski spadł niewielki deszcz i gęsty, czarny śnieg[198]. Sprzątanie strefy zamkniętej zajęło rok[199]. Tak zwaną likwidację skutków eksplozji rozpoczęli żołnierze, którzy wbiegli na zakazany teren z łopatami i wrzucali odpady do pobliskiego bagna. Władze Oziorska, najwyraźniej bardziej bojąc się paniki niż promieniowania, próbowały zatuszować katastrofę. Ale gdy plotki rozeszły się wśród młodych inżynierów i techników, prawie trzy tysiące pracowników opuściło miasto, wybierając próbę sił

w tak zwanym wielkim świecie po drugiej stronie ogrodzenia niż pozostawanie w wygodnym, ale zanieczyszczonym mieście.

W odległych wioskach bosym kobietom i dzieciom nakazano zbierać ziemniaki i buraki, a następnie wrzucać je do rowów wykopanych przez buldożery. Akcję nadzorowali ludzie w kombinezonach i maskach. Żołnierze wyprowadzili krowy na otwartą przestrzeń i tam zastrzelili. W ciągu następnych dwóch lat nakazano ewakuację dziesięciu tysięcy osób. Całe osiedla zrównano z ziemią, z mapy zniknęły dwadzieścia trzy wioski[200]. Na szkodliwe promieniowanie mogło zostać wystawionych nawet pół miliona osób[201].

Pogłoski o wydarzeniach w Majaku dotarły na Zachód, ale Czelabińsk-40 należał do najpilniej strzeżonych lokacji wojskowych w ZSRR. Radziecki rząd zaprzeczał jego istnieniu, nie mógł więc przyznać, że coś się tam stało. CIA wysłała samoloty szpiegowskie U-2 w celu sfotografowania terenu. Podczas drugiej z tych misji, w maju 1960 roku, samolot Francisa Gary'ego Powersa został zestrzelony przez Sowieców pociskiem klasy ziemia-powietrze SA-2[202], co stało się jednym z przełomowych wydarzeń zimnej wojny.

Chociaż prawda wyszła na jaw dopiero po wielu latach, wydarzenia w Majaku długo pozostawały najpoważniejszym wypadkiem jądrowym w historii.

3

Piątek, 25 kwietnia, godzina 17.00, Prypeć

robotnikom, a nie żołdatom!

Chai bude atom

Pogoda dla bogaczy

attaché

nachłodziwych, KWN Klub wesołych i błyskotliwych

sowieckoje szampańskoje

Sekrety pokojowego atomu

Dwudziestego dziewiątego września 1966 roku Rada Ministrów ZSRR w Moskwie wydała dekret zatwierdzający pierwszy z nowej generacji gigantycznych reaktorów jądrowych wodno-grafitowych, znanych pod akronimem RBMK: *Reaktor Bolszoi Moszcznosti Kanalnyj*, czyli Reaktor Kanałowy Dużej Mocy[252]. Zbudowany przez pracowników wojskowych Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich, służący do produkcji plutonu Iwan II był bezpośrednim następcą pionierskiego reaktora Pokojowego Atomu-1[253] przeobrażonym na skalę olimpijską.

Szeroki na dwanaście i wysoki na siedem metrów rdzeń reaktora RBMK był masywnym cylindrem większym od piętrowego domu, a składało się na niego tysiąc siedemset ton moderujących bloków grafitowych ułożonych w 2488 kolumn, z których każda miała wydrążony na wylot okrągły otwór[254]. W otworach tych znajdowało ponad tysiąc sześćset żaroodpornych rur ciśnieniowych ze stopu cyrkonu, a każda z nich miała kilka metalowych kaset zawierających hermetycznie zamknięte pręty paliwowe, na które składało się sto dziewięćdziesiąt ton wzbogaconego ditlenku uranu sprasowanego w ceramiczne pastylki o średnicy małego palca dorosłego człowieka[255]. Po osiągnięciu stanu krytycznego, gdy uran zaczynał się rozgrzewać, wydzielając energię wynikłą z rozszczepiania atomów, paliwo było chłodzone wodą wpompowywaną do rdzenia od spodu. Pod

niewiarygodnym ciśnieniem sześćdziesięciu dziewięciu atmosfer woda osiągała temperaturę 280 stopni Celsjusza i zmieniała się w mieszaninę wody i gorącej pary, która była wyprowadzana do gigantycznych separatorów bębnowych. One z kolei kierowały parę do turbin generujących elektryczność, podczas gdy reszta wody wracała do obiegu i jako chłodziwo ponownie przepływała przez rdzeń.

Moc reaktora regulowano za pomocą dwustu jedenastu prętów kontrolnych wykonanych z węgliku boru, z których większość miała długość pięciu metrów. Można je było wsunąć bądź wysunąć, by zwiększyć lub zmniejszyć tempo reakcji łańcuchowej, a co za tym idzie, zwiększyć lub zmniejszyć ilość ciepła i generowanej energii[256]. W celu zabezpieczenia elektrowni i jej pracowników przed promieniowaniem rdzeń reaktora – strefa aktywna – został otoczony masywnym cylindrycznym zbiornikiem wypełnionym wodą i umieszczonym w stalowym płaszczu oraz przestrzenią wypełnioną piaskiem. Całość została ulokowana w betonowej studni o wysokości ośmiu pięter i przykryta płytą stalowej konstrukcji, wypełnioną zbrojnym żelbetonem z serpentynitu odbijającego neutrony[257]. Szczyt studni, niczym wielka pokrywa, przykrywała osłona biologiczna[258] ze stali nierdzewnej o średnicy siedemnastu i grubości trzech metrów, znana jako struktura JE lub pieszczotliwie Jelena. Wypełniona kruszywem serpentynitu i azotem Jelena ważyła dwa tysiące ton – tyle co sześć wypełnionych jumbo jetów – i na miejscu trzymała ją prawie wyłącznie siła grawitacji. Wydrążono w niej otwory, przez które przechodziły kanały paliwowe, zwieńczały ją setki wąskich rur odprowadzających parę i wodę. Spoczywały na

niej dwa tysiące ruchomych stalowych bloków, przykrywających pionowe kanały paliwowe i formujących podłogę hali reaktora. Ten mozaikowaty metalowy krąg, widoczne oblicze reaktora w trakcie jego codziennego działania, zwany był przez załogę *piataczokiem*[259], czyli pięciokopiejkówką.

Reaktor RBMK był tryumfem sowieckiej gigantomanii, świadectwem nieustępliwości jego twórców: dwadzieścia razy większy objętościowo od reaktorów zachodnich, mogący wygenerować trzy tysiące dwieście megawatów energii cieplnej lub tysiąc megawatów elektryczności, wystarczającej, by zasilić połowę Kijowa[260]. Radzieccy naukowcy nazwali go narodowym reaktorem ZSRR – nie tylko unikalnym technologicznie, ale też największym na świecie[261]. Anatolij Aleksandrow, łysy dyrektor Instytutu Energii Atomowej imienia Kurczatowa, osobiście podpisał się pod projektem[262], składając go jako tajny wynalazek w radzieckim biurze patentowym. W przeciwieństwie do jego głównego konkurenta[263], reaktora WWER – skomplikowanego dzieła inżynierskiego, przez krytyków pogardliwie nazywanego „amerykańskim reaktorem”, ze względu na podobieństwa do reaktorów wodnych produkowanych w Stanach Zjednoczonych – RBMK można było złożyć z części produkowanych w istniejących radzieckich fabrykach i nie wymagał specjalnych narzędzi. Jego modułowa konstrukcja – setki bloków grafitowych formujących kolumny – oznaczała, że można go było łatwo złożyć na miejscu, a w razie potrzeby rozbudować.

Aleksandrow oszczędzał też na bezpieczeństwie[264]. Na Zachodzie wokół niemal każdego reaktora budowano grubą,

betonową kopułę, mającą chronić przed promieniowaniem w razie poważnego wypadku. Ze względu na gigantyczny rozmiar RBMK taka kopuła podwajałaby koszty budowy każdego reaktora. Mniej kosztownym rozwiązaniem[265] było podzielenie reaktora na tysiąc sześćset rur ciśnieniowych oraz zamykanie każdej pary zestawów paliwowych w cienkiej metalowej pokrywie zawierającej skomplikowaną sieć wodną, która, według jej twórców, czyniła poważne wypadki niezmiernie mało prawdopodobnymi. Projektanci stworzyli też system awaryjny, który miał poradzić sobie w przypadku pęknięcia którejś z rur[266], kierując za sprawą serii zaworów radioaktywną parę pod ciśnieniem w dół, do gigantycznych zbiorników wypełnionych wodą znajdujących się pod reaktorem. Tam problematyczna rura uległaby ochłodzeniu.

Pęknięcie rur pod ciśnieniem było najgorszym wypadkiem, jaki przewidzieli projektanci RBMK – tak zwaną maksymalną przewidywaną awarią projektową. Termin ten obejmował także inne wypadki, w tym trzęsienie ziemi, uderzenie samolotu w elektrownię albo pęknięcie jednej z rur dostarczających chłodziwo do reaktora, co spowodowałoby pozbawienie rdzenia wody i jego stopienie. Aby ustrzec się przed tą ostatnią ewentualnością, projektanci stworzyli awaryjny system chłodzenia zasilany azotem pod ciśnieniem, a wszyscy operatorzy zostali odpowiednio przeszkoleni, aby za wszelką cenę utrzymywać dopływ wody do reaktora.

Teoretycznie możliwe były gorsze wypadki: według obliczeń, jeśli jednocześnie pękłyby trzy lub cztery z tysiąca sześciuset rur pod ciśnieniem, nagły wyrzut pary wystarczyłby, żeby podnieść wazącą dwa tysiące ton Jelenę i piataczoka, rozrywając przy

okazji pozostałe rury, co zaskutkowałoby gigantyczną eksplozją[267]. Projektanci jednak nie przygotowali się na taką katastrofę[268], uznając, że leży ona poza granicami prawdopodobieństwa. Jednak nadali takiej katastrofie nazwę: nieprzewidziana awaria.

Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich poleciło[269] sporządzić pierwszy projekt RBMK biura konstrukcyjnego w Leningradzie, która budowała także czołgi i traktory. Średmasz odrzucił jednak otrzymane propozycje, uznając je za technicznie błędne. Jeden z naukowców z Instytutu Kurczatowa[270] ostrzegł, że projekt jest zbyt niebezpieczny, by wprowadzić go do użytku publicznego. Inny stwierdził, że dodatni współczynnik reaktywności przestrzeni parowych czyni reaktor niezwykle podatnym na eksplozję. Jego zwierzchnicy próbowali go usunąć z instytutu za ten przejaw nieposłuszeństwa, zaczął jednak pisać listy, które ostatecznie dotarły do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii i Rady Ministrów ZSRR[271].

Tymczasem rząd, stosując się do rygorystycznych potrzeb gospodarki centralnie planowanej, wydał już dekret nakazujący budowę czterech gigantycznych reaktorów[272]. Projektanci z NIKIET-u zakasali więc rękawy, drastycznie zmieniając projekty RBMK, przerabiając go z ustrojstwa mogącego produkować pluton i elektryczność w nieszkodliwy generator elektryczności dla celów cywilnych. Wprowadzanie tych zmian okazało się trudne i zajęło znacznie więcej czasu niż się spodziewano. Prymitywne radzieckie komputery nie radziły sobie z obliczaniem spodziewanej mocy reaktora i dawały niewiarygodne wyniki. Dopiero w 1968 roku[273] ukończono

projekt nowego reaktora obecnie zwanego RBMK-1000. Żeby zyskać na czasie, Średmasz zdecydował, by całkowicie pominąć etap prototypu. Wprowadzenie reaktorów do produkcji masowej było najszybszą drogą, by przekonać się, jak poradzą sobie one w generowaniu energii elektrycznej na skalę przemysłową[274].

Budowa pierwszego reaktora RBMK w Związku Radzieckim rozpoczęła się[275] w 1970 roku nad Zatoką Fińską, niedaleko Leningradu. W międzyczasie dwa instytuty ekonomiczno-techniczne w Kijowie rozważały możliwe lokalizacje pierwszej elektrowni jądrowej na terenie Ukrainy, szybko ograniczywszy się do dwóch miejsc. Gdy okazało się, że pierwsze z nich zostało przeznaczone pod budowę elektrowni na paliwo kopalne, Rada Ministrów USRR zdecydowała, że generująca dwa tysiące megawatów elektrownia jądrowa stanie w drugim z wybranych miejsc – na piaszczystym brzegu rzeki w pobliżu wsi Kopaczi w obwodzie kijowskim, czternaście kilometrów od miasta Czarnobyl[276].

Pierwszą jednostkę RBMK w Leningradzie uruchomiono 21 grudnia 1973 roku, dzień przed świętem radzieckich energetyków – Dniem Elektroenergetyka. Dumni ojcowie RBMK-100, Anatolij Aleksandrow z Instytutu Kurczatowa i Nikołaj Dolleżal z NIKIET-u, osobiście nadzorowali jego narodziny. Trwały prace nad drugą jednostką w Leningradzie, a budowniczcy już zaczęli kopać fundamenty pod elektrownie RBMK w Czarnobylu i Kursku[277]. Reaktor w Leningradzie nie zdążył jeszcze osiągnąć pełnej mocy[278], kiedy okazało się, że przeniesienie pomysłu z projektu do masowej produkcji wiąże się z wielkimi kosztami. RBMK od początku borykał się z poważnymi

usterkami. Wiele z nich zaobserwowano od razu, inne miały wyjść na światło dzienne dopiero później.

Pierwszy problem wiązał się z dodatnim współczynnikiem reaktywności przestrzeni parowych, który czynił radzieckie reaktory podatnymi na utratę panowania nad nimi w przypadku utraty chłodziwa[279]. Był to efekt gorszej konstrukcji wynikającej z oszczędności. Żeby mógł konkurować z elektrowniami na paliwo, kopalne, RBMK musiał maksymalnie wykorzystywać spalane paliwo uranowe. Dopiero w Leningradzie projektanci odkryli, że efekty dodatniego współczynnika reaktywności przestrzeni parowych zwiększały się, gdy wypalenie paliwa było większe. Im dłużej działał reaktor, tym trudniej było nad nim panować. W momencie dotarcia do końca trzyletniego cyklu, po upływie którego miał zostać wyłączony na czas przeglądu, RBMK osiągnął bardzo niestabilny stan. Projektanci wprowadzili modyfikacje, ale nie dało się całkowicie usunąć problemu. Ani Aleksandrow, ani Dolleżał nie zagłębiali się w te problemy, nawet nie trudzili się, by w pełni je zrozumieć, nie dołączyli też żadnych wytycznych odnośnie do tej kwestii w podręcznikach dołączonych do każdego reaktora. Eksperymenty w Leningradzie wykazały, że istnieją istotne różnice pomiędzy tym, jak reaktor miał działać w teorii, a jak działał w praktyce. Projektanci postanowili nie analizować tych wyników. Reaktor RBMK został wprowadzony do masowej produkcji i nikt nie wiedział, jak zachowa się w przypadku poważnej awarii[280].

Drugi problem z reaktorem wynikał z jego kolosalnych rozmiarów. RBMK był tak ogromny, że reaktywność w jednej jego części miała niewiele wspólnego z reaktywnością w drugiej.

Operatorzy musieli nim kierować nie jak pojedynczą jednostką, ale jakby to było kilka reaktorów w jednym[281]. Pewien specjalista porównał RBMK do wielkiego bloku mieszkalnego, gdzie rodzina w jednym mieszkaniu mogła hucznie świętować wesele, a sąsiedzi obok pogrążeni byli w żałobie[282]. Odizolowane punkty dużej reaktywności mogły znajdować się głęboko w rdzeniu, gdzie trudno było je wykryć. Problem ten dawał się we znaki szczególnie podczas uruchamiania i wygaszania, gdy reaktor działał na niskiej mocy, a systemy mające wykrywać reaktywność wewnątrz rdzenia zawodziły. W tych kluczowych momentach inżynierowie w sterowni działali kompletnie po omacku, nie wiedząc, co się dzieje w strefie aktywnej[283]. Zamiast odczytywać dane z instrumentów, musieli szacować aktywność rdzenia, korzystając z „doświadczenia i intuicji”[284]. Uruchamianie i zamykanie reaktora stawało się przez to najtrudniejszą i najbardziej podstępłą fazą operacji RBMK.

Trzeci problem leżał w sercu systemu bezpieczeństwa awaryjnego, ostatniej linii obrony przed katastrofą. Jeśli operatorzy znaleźli się w sytuacji wymagającej awaryjnego wyłączenia reaktora – na przykład w przypadku poważnego wycieku chłodziwa lub utraty panowania nad RBMK – mogli wcisnąć przycisk „scram”, który uruchamiał ostatni etap pięciostopniowego systemu redukcji mocy, w języku rosyjskim znany jako AZ-5. Wciśnięcie tego guzika wprowadzało jednocześnie do rdzenia dwadzieścia cztery specjalne, absorbujące neutrony pręty kontrolne z węgliku boru, a także wszystkie pozostałe z wysuniętych 187 manualnych bądź automatycznych

prętów kontrolnych, zatrzymując reakcję łańcuchową w reaktorze[285]. Mechanizm AZ-5 nie był jednak przystosowany do przeprowadzenia nagłego zatrzymania awaryjnego. Dolleżal i naukowcy z NIKIET-u twierdzili, że nagłe odcięcie elektryczności produkowanej przez reaktor zaburzyłoby funkcjonowanie sieci energetycznej Związku Radzieckiego i że takie natychmiastowe wyłączenie byłoby konieczne jedynie w niezwykle mało prawdopodobnej sytuacji całkowitej utraty zewnętrznego zasilania elektrowni. Zaprojektowali więc system AZ-5 tak, żeby redukował moc reaktora stopniowo. Zamiast posiadać odrębne silniki, system był napędzany przez te same serwomechanizmy elektryczne, które były wykorzystywane do zarządzania mocą reaktora podczas normalnego działania[286]. W pozycji całkowitego wyciągnięcia potrzeba było od osiemnastu do dwudziestu jeden sekund na wprowadzenie prętów AZ-5 do końca rdzenia. Projektanci mieli nadzieję, że powolny ruch prętów zostanie zrekompensowany ich dużą liczbą. Ale w fizyce neutronowej osiemnaście sekund to bardzo dużo – a w przypadku reaktora z dodatnim współczynnikiem reaktywności przestrzeni parowych wręcz cała wieczność[287].

Do listy tych poważnych defektów dochodziła niedbała konstrukcja reaktora. Pełne uruchomienie leningradzkiego reaktora numer 1 zostało przesunięte niemal o rok, po tym jak zestawy paliwowe utknęły w kanałach[288] i musiały zostać odesłane do Moskwy na kolejne testy. Zawory i zegary pokazujące przepływ cieczy w innych reaktorach RBMK[289], wykorzystywane do kluczowego doprowadzania wody do ponad tysiąca sześciuset kanałów wypełnionych uranem, okazały się tak

niedokładne, że operatorzy w pomieszczeniu kontrolnym często nie mieli pojęcia, w jakim stopniu reaktory są chłodzone i czy w ogóle są chłodzone. Wypadki zdawały się nieuniknione.

Wieczorem 30 listopada 1975 roku[290], nieco ponad rok po tym, jak po raz pierwszy osiągnął pełną moc operacyjną, reaktor w Leningradzie został ponownie uruchomiony po planowej przerwie technicznej i zaczął wymykać się spod kontroli. Uruchomiono procedurę awaryjną AZ-5, ale zanim udało się zatrzymać reakcję łańcuchową, doszło do częściowego stopienia, uszkodzenia trzydziestu dwóch zestawów paliwowych i uwolnienia promieniowania nad Zatoką Fińską. Był to pierwszy poważny wypadek z reaktorem RBMK i Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich powołało komisję mającą zbadać, co poszło źle. Oficjalny werdykt głosił, że defekt produkcyjny doprowadził do uszkodzenia pojedynczego kanału paliwowego. Ale komisja знаła prawdę[291]: wypadek był efektem błędów w projekcie reaktora, które spowodowały niekontrolowany wzrost współczynnika reaktywności przestrzeni parowych.

Średmasz ukrył wyniki śledztwa[292] i zatuszował wypadek. Operatorzy pozostałych reaktorów RBMK nie zostali poinformowani o prawdziwych przyczynach wypadku. Jednak komisja wprowadziła szereg ważnych zaleceń dotyczących wszystkich reaktorów RBMK-1000: zaimplementowanie nowych procedur bezpieczeństwa przed całkowitą utratą chłodziwa, przeanalizowanie, co stałoby się w przypadku nagłego wzrostu ciśnienia pary w rdzeniu i stworzenie szybciej działającego systemu awaryjnego. Pomimo pilności tych poleceń projektanci nie zrealizowali ani jednego z powyższych punktów, a Moskwa

wciąż nalegała na budowę coraz większej liczby reaktorów. Dzień po wypadku w Leningradzie Rada Ministrów ZSRR dała zezwolenie na budowę drugiej pary jednostek RBMK-1000 w Czarnobylu, podnosząc spodziewaną moc elektrowni do imponujących czterech tysięcy megawatów[293].

Dnia 1 sierpnia 1977 roku, ponad siedem lat po tym, jak Wiktor Briuchanow obserwował wbijanie pierwszego pala w pokrytą śniegiem ziemię nad Prypecią, i dwa lata później, niż planowano, reaktor numer 1 elektrowni w Czarnobylu wreszcie osiągnął stan krytyczny[294]. Młodzi operatorzy pękali z dumy, uruchamiając pierwszą elektrownię jądrową na Ukrainie[295]. Cały dzień i noc trwali na stanowiskach, obserwując wprowadzanie pierwszych zestawów paliwowych, powolne nabieranie mocy przez reaktor i wreszcie podłączenie go do transformatorów. O godzinie 20.10 27 września naukowcy i projektanci z Instytutu Kurczatowa oraz NIKIET-u dołączyli do specjalistów, świętując wprowadzenie pierwszej na Ukrainie elektryczności z generatora jądrowego do sieci 110 i 330 kilowoltów. Razem zaśpiewali[296] wersy, którymi atomiści z całego ZSRR świętowali uruchomienie reaktora: *A poka, a poka tok dajut RBMK!* („A na razie, na razie prąd dają RBMK!”).

Czarnobylscy operatorzy niebawem jednak odkryli, że reaktor, któremu poświęcili tak dużo uwagi, był kapryśną kochanką. Wrodzona niestabilność RBMK czyniła go tak trudnym do opanowania, że praca starszych inżynierów kontroli reaktora okazała się wyczerpująca nie tylko psychicznie, ale i fizycznie. W każdej minucie musieli wykonywać po kilkanaście poprawek[297], cały czas musieli być czujni. Pocili się niczym

niewolnicy kopiący rowy. Z Leningradu docierały pogłoski[298], że inżynierowie Średmaszu, by móc poradzić sobie z tym skomplikowanym zadaniem, obsługiwali panel kontrolny, „grając w duetach”. Operatorzy reaktora pracowali tak ciężko, że przyciski obsługi prętów kontrolnych szybko się zużywały i trzeba było je ciągle wymieniać. Gdy pewien były oficer jądrowej łodzi podwodnej zajął po raz pierwszy stanowisko przy reaktorze numer 1, przeraził się jego kolosalnym rozmiarem i przestarzałą obsługą.

– Jakim cudem da się opanować tę niezdarną kupę gówna? – zapytał. – I co ona robi w cywilnym obiegu?[299].

Podczas pierwszego planowego technicznego wyłączenia reaktora operatorzy elektrowni w Czarnobylu odkryli, że instalacja jest wadliwa[300]: rury z chłodziwem wodno-parowym przeżarła korozja, cyrkonowo-stalowe spoiwa przewodów paliwowych się poluzowały, a projektanci nie stworzyli systemu awaryjnego, chroniącego reaktor przed utratą wody. Czarnobylscy inżynierowie musieli zaprojektować i wykonać własny system. Tymczasem w Moskwie projektanci odkrywali kolejne błędy we własnym dziele.

W 1980 roku NIKIET ukończył tajne badania, które wykazały dziewięć poważnych błędów projektowych i ciepło-przepływowych niestabilności, podważających bezpieczeństwo reaktora RBMK[301]. Raport jasno wykazywał, że wypadki są możliwe nie tylko w rzadkich przypadkach, ale też wręcz prawdopodobne podczas zwykłego użytkowania. Mimo to nie wykonano żadnych kroków, by zmodyfikować reaktor czy chociaż ostrzec personel elektrowni przed potencjalnymi niebezpieczeństwami. Zamiast

stworzyć nowe systemy bezpieczeństwa, NIKIET po prostu zmienił instrukcję użytkowania RBMK-1000. Po kilku dekadach bezawaryjnego działania reaktorów wojskowych atomowi wodzowie z NIKIET-u i Instytutu Kurczatowa najwyraźniej uwierzyli, że dobrze napisane podręczniki zagwarantują bezpieczeństwo. Wierzyli w to do tego stopnia, że uznali, iż dopóki ludzie będą trzymać się instrukcji, nic złego nie może się stać, tak jak w przypadku elektromechanicznych systemów bezpieczeństwa[302].

Jednocześnie załogi radzieckich elektrowni jądrowych ciągle musiały się mierzyć ze wzrastającymi wymogami produkcyjnymi, wadliwym lub nieodpowiednim sprzętem[303]. Przyzwyczyły się, że w starciu z oszałamiającą i dysfunkcyjną biurokracją muszą naginać, a nawet ignorować reguły, żeby wykonać plan. Nowe instrukcje otrzymane z NIKIET-u nie były ani przejrzyste, ani opatrzone komentarzami. Jedna z nowych wytycznych mówiła[304], że w rdzeniu powinna cały czas znajdować się minimalna liczba prętów kontrolnych. NIKIET jednak nie zaznaczył, że ten margines reaktywności operacyjnej to kluczowe dla bezpieczeństwa założenie mające chronić przed poważnym wypadkiem. Pozbawieni wyjaśnień, dlaczego te zalecenia są ważne, operatorzy pracowali jak dawniej, nieświadomi, że nagięcie tych reguł może nieść katastrofalne skutki[305].

Tymczasem każdy wypadek w elektrowni jądrowej w Związku Radzieckim traktowany był jako tajemnica państwowa i ukrywany nawet przed specjalistami w miejscu, w którym się wydarzył.

Wczesnego wieczora 9 września 1982 roku Nikołaj Steinberg siedział przy biurku[306] na trzecim piętrze pomiędzy reaktorem

pierwszym a drugim, z widokiem na komin wentylacyjny przez nie współdzielony. Trzydziestopięcioletni Steinberg miał krótką kozią bródkę, wiele uroku osobistego i pracował w Czarnobylu od 1971 roku, gdzie przybył prosto z Moskiewskiego Instytutu Energetyki jako absolwent Wydziału Jądrowej Hydrauliki Termicznej i przedstawiciel nowego pokolenia ambitnych atomistów. Spędził dwa lata na studiowaniu RBMK, zanim w ogóle pierwszy taki powstał, i obserwował stawianie czarnobylskich reaktorów od zera, a teraz był szefem działu turbin dla reaktora numer 3 i 4. Gdy ujrzał parę wydobywającą się z komina wentylacyjnego, wiedział, że oznacza ona kłopoty: doszło co najmniej do pęknięcia rurociągu i na pewno do wzrostu napięcia promieniowania. Podniósł słuchawkę telefonu.

Zanim jednak dodzwonił się do pomieszczenia kontrolnego reaktora pierwszego w celu polecenia operatorom, by go wyłączyli, kierownik zmiany nakazał mu się rozłączyć. Gdy Steinberg zaproponował, ten odłożył słuchawkę za niego. Inżynier wezwał swoich podopiecznych i czekał na alarm. Ale alarm nie nadszedł. Sześć godzin później, o północy, cała zmiana poszła do domu.

Gdy wrócił do pracy następnego ranka, dowiedział się jedynie, pomimo doświadczenia i zajmowania odpowiedzialnego stanowiska, że był problem z reaktorem numer 1[307]. Dyrektor Briuchanow i główny inżynier elektrowni początkowo twierdzili, że nie doszło do wycieku radioaktywnego, a miejscowi oficerowie KGB podjęli środki, by „opanować rozprzestrzenianie się panikę, prowokacyjnych plotek i innych negatywnych działań”[308]. W rzeczywistości radioaktywne zanieczyszczenie zostało rozwiane przez wiatr i spadło razem z deszczem na

Prypeć i teren w promieniu czternastu kilometrów od elektrowni. Znajdował się w nim jod 131, cząstki ditlenku uranu oraz gorące drobiny zawierające cynk 65 oraz cyrkon-niob 95, będące dowodem na częściowe zniszczenie rdzenia reaktora. Poziom promieniowanie we wsi Czystogołowka, pięć kilometrów od elektrowni, był setki razy większy niż norma. Ale ekipa z Sojuzatomenergo – radzieckiej organizacji zajmującej się energią jądrową – podważyła te dane. Zanieczyszczony teren wokół elektrowni został spłukany wodą i przykryty ziemią oraz liśćmi. W Prypeci specjalne ciężarówki wylały pianę na ulice, a na prospekcie Lenina dyskretnie położono nową warstwę asfaltu[309].

Śledztwo wykazało, że doszło do częściowego stopienia reaktora numer 1. Po przeglądzie technicznym i ponownym uruchomieniu reaktora[310] jeden z wadliwych zaworów chłodzących pozostał zamknięty. Okazało się, że paliwo uranowe w przewodzie rozgrzało się i doszło do pęknięcia. Nikt nie zginął, ale naprawa szkód zajęła osiem miesięcy. Pracownicy wynosili grafit[311] z reaktora w wiadrach, wystawiając się na duże dawki promieniowania. Główny inżynier wziął winę na siebie, został zdegradowany i wysłany do pracy w Bułgarii. Incydent został zaklasyfikowany jako ściśle tajny, a tych, którzy o nim wiedzieli, KGB zmusiło do podpisania klauzuli milczenia[312]. Nikołaj Steinberg prawdę o tych wydarzeniach poznał dopiero po bardzo długim czasie[313].

W kolejnych latach na terenie całego Związku Radzieckiego doszło do jeszcze poważniejszych awarii w elektrowniach jądrowych i wszystkie zostały utajnione. W październiku 1982

roku nastąpiła eksplozja generatora[314] w reaktorze numer 1 w armeńskim mieście Mecamor. Spłonęła hala turbin, a żeby uratować rdzeń, trzeba było wzywać brygadę kryzysową z Półwyspu Kolskiego, leżącego ponad trzy tysiące kilometrów dalej, pod kołem podbiegunowym. Niecałe trzy lata później, podczas uruchamiania pierwszego reaktora w elektrowni Bałakowo doszło do pęknięcia zaworu bezpieczeństwa i gorąca para o temperaturze 300 stopni Celsjusza wydostała się do przestrzeni otaczającej szyb reaktora. Czternastu mężczyzn zostało ugotowanych żywcem. Oba incydenty utajniono[315], a operatorzy innych elektrowni wiedzieli o nich dzięki plotkom krążącym wśród atomistów i aluzjom, które można było wyczytać w „Prawdzie”.

Jednak do najbardziej niebezpiecznego zatajenia doszło w centralnym biurze projektowym NIKIET-u w Moskwie, gdzie powstał projekt RBMK-1000. W 1983 roku do długiej listy usterek reaktora, które ujawniły się od momentu uruchomienia, doszła jeszcze jedna – dziwny błąd projektowy prętów systemu bezpieczeństwa AZ-5. Pierwsze oznaki pojawiły się pod koniec tego roku podczas próby włączenia dwóch najnowszych reaktorów RBMK sieci energetycznej Związku Radzieckiego: jednostki numer 1 Ignalińskiej Elektrowni Jądrowej na Litwie i jednostki numer 4 w Czarnobylu, czyli najbardziej zaawansowanego reaktora linii RBMK-1000.

Podczas przeprowadzania testów przed wprowadzeniem reaktorów do użytku ekipy w Ignalinie i Czarnobylu zauważyły mały, ale niepokojący problem. Po wciśnięciu guzika AZ-5, wyłączającego awaryjnie reaktor, pręty kontrolne zaczynały być

wprowadzane do rdzenia, ale zamiast od razu zatrzymać jednostkę, na początku, na krótką chwilę moc reaktora zamiast spadać, wzrastała. Specjaliści odkryli, że skok tego dodatniego efektu wyłączeniowego[316] zależy od aktualnych warunków panujących w reaktorze w momencie uruchomienia procedury zamknięcia, a szczególnie od tego, ile z dwustu jedenastu prętów kontrolnych było wysuniętych z rdzenia. Jeśli w środku było ich więcej niż trzydzieści, mechanizm AZ-5 działał bez zarzutu i reaktor wyłączał się szybko i bezpiecznie. Jeśli jednak było ich mniej niż trzydzieści, zachowanie RBMK stawało się nieprzewidywalne i AZ-5 nie działał, jak należy. Jeśli prętów w rdzeniu było tylko piętnaście, reaktywność zaczynała spadać dopiero po sześciu sekundach. A w niektórych przypadkach – jeśli prętów było siedem lub mniej – wciśnięcie guzika AZ-5 mogło zamiast wyłączenia reaktora zainicjować reakcję łańcuchową, przy której traciło się nad nim panowanie. Gdyby tak się stało, wzrost mocy RBMK mógł być tak wielki, że nie dałoby się zatrzymać jego zniszczenia[317].

Przyczyna dodatniego efektu scram[318] tkwiła w projekcie prętów kontrolnych, co z kolei było konsekwencją „oszczędzania neutronów” przez NIKIET i tańszej eksploatacji reaktora. Podobnie jak ręczne pręty kontrolne wykorzystywane w trakcie zwykłego funkcjonowania reaktora, pręty awaryjne AZ-5 wykonane były z węgliku boru, który pochłaniał wolne neutrony, spowalniając reakcję łańcuchową[319]. Ale nawet po pełnym wysunięciu[320] z wypełnionych wodą kanałów kontrolnych koniuszki prętów czekały wewnątrz aktywnej strefy reaktora, gdzie w niewielkim stopniu, ale przez cały czas hamowały moc.

Żeby temu zapobiec, ich końce zostały wykonane z grafitu, który ułatwiał rozszczepianie jąder atomu. W momencie rozpoczęcia procedury awaryjnej AZ-5 pręty były wsuwane do kanałów kontrolnych, a grafit zastępował pochłaniającą neutrony wodę, chwilowo zwiększając reaktywność rdzenia. Dopiero gdy do kanału została wprowadzona część wykonana z boru, reaktywność zaczynała spadać.

Było to absurdalne i przyprawiające o dreszcze rozwiązanie, tak jakby wciśnięcie hamulca w samochodzie powodowało jego przyspieszenie, a nie spowolnienie. Kolejne eksperymenty potwierdziły, że dodatni efekt scram końcówek prętów może wytworzyć lokalną krytyczność w dolnej części gigantycznego rdzenia RBMK, zwłaszcza w przypadku uruchomienia procedury AZ-5, gdy reaktor działał na niecałej połowie mocy.

Zaalarmowany dyrektor do spraw reaktorów jądrowych w Instytucie Kurczatowa napisał do NIKIET-u, opisując anomalie systemu AZ-5 i potrzebę ich bliższego zbadania. „Wydaje się prawdopodobne – ostrzegął – że głębsza analiza ujawni inne niebezpieczne sytuacje”. Nikołaj Dolleżał, główny inżynier NIKIET-u, odpowiedział mu mglistymi zapewnieniami: zdawali sobie sprawę z problemu i podjęli odpowiednie środki. Ale prawda wyglądała inaczej. Chociaż zatwierdzono częściową modyfikację mechanizmu AZ-5, okazała się ona kosztowna i niewygodna, wprowadzano ją więc stopniowo, w jednym reaktorze RBMK naraz. Czarnobylskie reaktory numer 1, 2 i 3 stopniowo dostawały zgodę na wprowadzenie zmian. Ale reaktor czwarty, będący już na ukończeniu, musiał poczekać na pierwsze wyłączenie techniczne do kwietnia 1986 roku[321].

W tym czasie NIKIET wysłał wszystkim starszym dyrektorom wszystkich elektrowni RBMK pismo o dodatnim efekcie wyłączenia. W biurokratycznej zawierusze i atmosferze tajemnicy pismo to nigdy nie dotarło do operatorów reaktora[322]. Z tego, co wiedział Anatolij Aleksandrow i inni, szanowany RBMK-1000 – radziecki reaktor narodowy – mógł mieć jedynie przejściowe problemy. W chwili, gdy Wiktor Briuchanow złożył swój podpis zatwierdzający ukończenie budowy czwartego reaktora Elektrowni Jądrowej imienia W.I. Lenina w Czarnobylu, czyli ostatniego dnia 1983 roku[323], świat wiedział tylko o jednym wypadku z energią jądrową. A winne temu były wyłącznie Stany Zjednoczone.

Wczesnym rankiem 28 marca 1979 roku garść granulek jonitu oczyszczającego wodę, mniejszych od ziarna gorczycy, zablokowała zawór w obiegu wtórnym chłodziwa reaktora numer 2 w elektrowni jądrowej Three Mile Island w pobliżu Harrisburga w stanie Pensylwania. W ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin seria niewielkich awarii sprzętu i ludzkich błędów doprowadziła do znacznej straty chłodziwa, częściowo odsłoniwszy rdzeń. Reaktor zaczął się topić, zalewając budynek tysiącami litrów radioaktywnej wody. Załoga nie miała wyboru, musiała wypuścić radioaktywny gaz wprost do atmosfery. Chociaż nikt nie ucierpiał z powodu promieniowania – chmura krótkożyciowych izotopów gazów obojętnych skierowała się nad Ocean Atlantycki – wiadomość o wypadku wywołała powszechną panikę. Drogi trzech stanów zostały zablokowane, gdy sto trzydzieści pięć tysięcy mieszkańców Pensylwanii rzuciło się do ucieczki. Prezydent Jimmy Carter – który był inżynierem jądrowym w amerykańskiej

marynarce wojennej i potrafił rozpoznać niebezpieczeństwo – zjawił się na miejscu wypadku. Narastający stopniowo od dekady międzynarodowy ruch antynuklearny nie mógł wyobrazić sobie lepszego dowodu na niebezpieczeństwo tej technologii. Rozwój amerykańskiego przemysłu jądrowego, i tak cierpiący z powodu rosnących kosztów i niechęci społecznej, stanął niemal z dnia na dzień[324].

Chociaż wypadek stawiał Stany Zjednoczone w bardzo złym świetle, został zatajony w ZSRR w obawie, że zburzyłyby wizję rzekomo nieskazitelnego pokojowego atomu[325]. Władze radzieckie publicznie przypisywały incydent niedoskonałościom kapitalizmu[326]. Członek akademii Walerij Legasow, bezpośredni zastępca Aleksandrowa w Instytucie Kurczatowa, opublikował artykuł, w którym twierdził, że wydarzenia z Three Mile Island nie mogłyby mieć miejsca w ZSRR, ponieważ radzieccy operatorzy byli znacznie lepiej wyszkoleni[327], a standardy bezpieczeństwa zdecydowanie wyższe niż w USA. Tymczasem radzieccy fizycy w tajemnicy zaczęli analizować[328] prawdopodobieństwo poważnych awarii w elektrowniach jądrowych i przeglądać regulacje bezpieczeństwa. Ale ani Średmasz, ani NIKIET nie poczynili żadnych kroków, żeby nowe zasady zaimplementować w reaktorach RBMK[329].

W styczniu 1986 roku w nowym numerze „Soviet Life” – kolorowym anglojęzycznym magazynie, przypominającym poczytne amerykańskie tygodniki, ale wydawanym przez radziecką ambasadę w Stanach Zjednoczonych – znalazł się dziesięciostronicowy raport na temat cudów energii nuklearnej[330] z elektrownią w Czarnobylu w roli głównej.

W specjalnym dziale zamieszczono wywiady z mieszkańcami Prypeci, miasta „zrodzonego z atomu”, kolorowe fotografie elektrowni i zdjęcia uśmiechniętej załogi. Legasow był współautorem kolejnego eseju, w którym zachwalał radzieckie osiągnięcia radzieckich naukowców: „W ciągu trzydziestu lat od otwarcia pierwszej elektrowni jądrowej w ZSRR nie doszło do ani jednego wypadku, w wyniku którego personelowi elektrowni lub pobliskim mieszkańcom groziłoby poważne niebezpieczeństwo. Nie doszło do ani jednej przerwy w obsłudze, w konsekwencji której skażone zostałyby powietrze, woda lub gleba”[331].

W oddzielnym wywiadzie Witalij Skliarow, ukraiński minister energetyki i elektryfikacji, zapewniał czytelników, że ryzyko stopienia reaktora wynosi „jeden na dziesięć tysięcy lat”[332].

Piątek, 25 kwietnia, godzina 23.55, sterownia reaktora numer 4

W oświetlonej bladym światłem neonówek sterowni bloku czwartego unosiła się chmura gryzącego dymu papierosowego[333]. Nocna zmiana dopiero przyjechała, a już panowała napięta atmosfera. Zaplanowany na minione popołudnie test generatora turbiny jeszcze nie został wykonany. Zastępca głównego inżyniera do spraw bloków energetycznych, Anatolij Diatłow, rozpoczynał drugą dobę bez zmrużenia oka[334]. Był wyczerpany i niezadowolony[335].

Test miał na celu sprawdzenie kluczowego dla bezpieczeństwa systemu, który miał chronić reaktor numer 4 w przypadku odcięcia zasilania. Projektanci RBMK przygotowali się na sytuację całkowitej utraty zewnętrznego zasilania. Był to jeden ze scenariuszy tak zwanego przewidywalnego wypadku utraty zasilania, w konsekwencji którego gigantyczne pompy chłodziwa, zapewniające przepływ wody przez rdzeń reaktora, nagle się zatrzymują[336]. Elektrownia wyposażona była w awaryjne generatory dieslowe[337], ale ich uruchomienie zajmowało od czterdziestu sekund do trzech minut. Tworzyła się niebezpieczna przerwa w dostawie chłodziwa – wystarczająco długa, by reaktor zaczął się topić.

Projektanci wymyślili więc coś, co nazwali jednostką zatrzymującą[338]. Był to mechanizm wykorzystujący pęd turbin do podtrzymywania pomp w tych kluczowych sekundach.

Jednostka zatrzymująca była istotnym elementem bezpieczeństwa reaktora numer 4 i miała zostać przetestowana jeszcze przed uruchomieniem go w grudniu 1983 roku. Ale dyrektor Briuchanow zezwolił na pominięcie testu, żeby wyrobić się w terminie wyznaczonym na koniec roku. Chociaż usiłowano wykonać podobne próby, każde podejście do nich kończyło się niepowodzeniem. Na początku 1986 roku test był odwlekany już od ponad dwóch lat, ale planowane techniczne wyłączenie reaktora dawało szansę na przeprowadzenie próby w rzeczywistych warunkach. W piątkowe popołudnie, o godzinie czternastej, po wprowadzeniu nowych modyfikacji do jednej z dwóch turbin reaktora – turbiny numer 8 – można było wreszcie rozpocząć test.

Wówczas zainterweniował główny dyspozytor sieci elektrycznej w Kijowie. Fabryki i zakłady w całej Ukrainie pracowały jak szalone, starając się wyrobić na ostatnią chwilę z wykonaniem planu, żeby otrzymać premie przed majowym świętem. Potrzebowały więc każdego kilowata energii produkowanej przez elektrownię w Czarnobylu[339]. Dyspozytor stwierdził, że blok czwarty nie może zostać odłączony przed upływem szczytowego obciążenia, które przypadało na dwudziestą pierwszą[340].

Przed północą[341] ekipa inżynierów elektrycznych mająca nadzorować test zagroziła, że zerwie umowę i powróci do Doniecka, jeśli próba wkrótce się nie zacznie. W sterowni numer 4 zmiana, która była zaznajomiona z programem testu, właśnie zakończyła pracę, a ekipa szykowała się do domu. Natomiast fizykowi z działu bezpieczeństwa jądrowego, który miał wszystko osobiście obserwować, by służyć pomocą operatorom, powiedziano,

że eksperyment został zakończony. Nawet się nie pofatygował, by to sprawdzić[342]. Do instrumentów podszedł starszy inżynier kontroli reaktora, dwudziestopięcioletni Leonid Toptunow, pracujący na tym stanowisku zaledwie od dwóch miesięcy. Po raz pierwszy w życiu miał pilotować kapryśny reaktor w czasie jego wyłączenia[343].

Zastępca głównego inżyniera, Diatłow, naciskał. Jeśli test nie zostanie wykonany tej nocy[344], to odwlecze się co najmniej o kolejny rok. A on nie lubił czekać. Pięćdziesięcioletni Anatolij Diatłow wyglądał jak stuprocentowy surowy radziecki technokrata. Był wysoki i wychudzony, miał wystające kości policzkowe, rzadkie siwe włosy zaczesane z wysokiego czoła do tyłu i wąskie syberyjskie oczy, z których nawet na fotografiach zdawała się wyzierać złośliwość[345]. Był doświadczonym fizykiem[346], przybyłym do Czarnobyla po czternastu latach pracy przy wojskowych reaktorach na radzieckim Dalekim Wschodzie. Diatłow był jednym z trzech najstarszych zarządców w elektrowni, którzy mieli doświadczenie z energią jądrową. Nadzorował działania w bloku trzecim i czwartym, a jego zadaniem było zatrudnianie i szkolenie personelu.

Diatłow, syn chłopca, który zapalał co wieczór boje na rzece Jenisej nieopodal zakładów karnych w Krasnojarsku, uciekł z domu w wieku czternastu lat. Uczył się szkole zawodowej, pracował jako elektryk, a następnie udało mu się dostać do MEPhI, Moskiewskiego Instytutu Fizyczno-Technicznego. Ukończył go w 1959 roku, skąd został oddelegowany do odległego bastionu radzieckiego kompleksu wojskowo-przemysłowego, Stoczni imienia Lenina w mieście Komsomolsk nad

Amurem[347]. Jako przewodniczący tajnego Laboratorium 23[348] zarządzał grupą dwudziestu mężczyzn, którzy montowali reaktory na atomowych łodziach podwodnych klasy odpowiadającej typowi Yankee i Victor.

Zanim w 1973 roku Diatłow przybył do Czarnobyla[349], nadzorował montowanie, testowanie i uruchamianie ponad czterdziestu rdzeni reaktora WM. Te niewielkie, tworzone na potrzeby marynarki konstrukcje[350] były odmianą reaktorów WWER, znacznie mniejszych od masywnych, kontrolowanych za pomocą grafitowych potworów z Czarnobyla. Ale Diatłow, specjalista od spraw finansowych, postanowił zgłębić wiedzę na temat RBMK-1000. Był odpowiedzialny za uruchamianie każdego z czterech czarnobylskich reaktorów, pracował po dziesięć godzin dziennie, sześć, a czasem siedem dni w tygodniu. Do elektrowni przychodził piechotą ze swojego mieszkania w Prypeci – odkrył, że spacerowanie pomaga trzymać czarne myśli na dystans – a w utrzymaniu formy pomagał mu jogging. Rzadko można go było zastać w biurze, gdyż dniami i nocami przemierzał korytarze elektrowni, dokonując inspekcji sprzętu, szukając przecieków i niepokojących wibracji oraz mając oko na załogę. Miał bzika na punkcie detali, znał się na swojej pracy i z dumą obnosił się z wiedzą z zakresu matematyki, fizyki, mechaniki, termodynamiki i inżynierii elektrycznej dotyczącej reaktora i jego systemów.

Jednak nawyki wyrobione w czasach zarządzania ściśle tajnym laboratorium wojskowym nie pomagały Diatłowowi[351] w kierowaniu inżynierami i operatorami w cywilnej elektrowni jądrowej. Nie tolerował obiboków ani tych, którzy nie wypełniali jego poleceń. Nawet koledzy, których sprowadził tu

z Komsomolska, narzekali, że trudno się z nim pracuje[352]. Potrafił być arogancki i apodyktyczny, doprawiając swoje wypowiedzi przekleństwami i slangiem radzieckiej marynarki i mamrocząc pod nosem na temat niedoświadczonych techników, których nazywał czertowymi karasiami[353], czyli pieprzonymi karasiami. Wymagał, żeby każda odkryta przez niego usterka została natychmiast naprawiona, a przy sobie nosił notes, w którym zapisywał nazwiska tych, którzy nie wypełnili jego poleceń[354].

Zastępca głównego inżyniera uważał, że zawsze ma rację, i uparcie trzymał się swoich przekonań w sprawach technicznych, nawet jeśli zostały obalone przez kogoś z góry[355]. Długie doświadczenie Diatłowa w stoczni i z chimerycznymi konstrukcjami w Czarnobylu nauczyło go, że kategoryczne wytyczne radzieckiej biurokracji i szara strefa radzieckiej rzeczywistości to dwie bardzo różne rzeczy[356].

Diatłow spełniał wszelkie warunki, by uchodzić za radzieckiego samouka: w dzień oddawał się pracy, nocami – kulturze. Uwielbiał poezję i znał na pamięć wszystkie osiem rozdziałów poematu *Eugeniusz Oniegin* Puszkina. Poza pracą potrafił być dobrym kompanem, ale nie miał wielu bliskich przyjaciół[357]. Dopiero dużo później na powierzchnię wypłynął jego sekret: przed przybyciem do Czarnobyla brał udział w wypadku z udziałem reaktora w Laboratorium 23. Doszło do eksplozji i Diatłow został wystawiony na potężną dawkę promieniowania 100 remów. Wypadek został, oczywiście, zatuszowany. Później jeden z jego dwóch synów zachorował na białaczkę. Nie ma pewności, czy te dwa wydarzenia były ze sobą

powiązane. Chłopiec zmarł w wieku dziewięciu lat. Diatłow pochował go nad brzegiem rzeki w Komsomolsku[358].

Specjaliści podlegli Diatłowowi w Czarnobylu mogli go nie lubić za to, jak ich traktował, ale wielu go podziwiała[359] i mało kto wątpił w jego doświadczenie. Wierzyli, że wiedział wszystko o reaktorach[360]. Miażdżąc sprzeciw i roztaczając wokół siebie atmosferę nieomyślności, Diatłow – podobnie jak sam Związek Radziecki – oczekiwał, że podwładni niczym roboty będą wykonywać jego polecenia niezależnie od własnych opinii.

A jednak zastępca głównego inżyniera odnosił się do reaktora, przy którym pracował, z dziwną rezerwą. Pomimo tylu godzin spędzonych na studiowaniu najnowszych raportów technicznych i regulacji, pomimo posiadania doskonałej wiedzy z zakresu termodynamiki i fizyki Diatłow twierdził, że w reaktorze RBMK-1000 tkwi coś niezgłębionego, jakaś nuklearna tajemnica, której nawet on w pełni nie rozumiał[361].

Sterownia bloku czwartego była wielkim pudłem bez okien, szerokim na mniej więcej dwadzieścia i głębokim na dziesięć metrów, z wypolerowaną kamienną posadzką oraz nisko podwieszonym sufitem z wbudowanymi neonówkami i przewodami wentylacyjnymi. Zwykle pracowała tu ekipa złożona z czterech osób. Z tyłu kierownik zmiany miał swoje biurko, zza którego mógł obserwować trzech operatorów kierujących jednostką przy trzech długich, szarych, stalowych panelach kontrolnych rozstawionych w półkolu przez całą szerokość pomieszczenia. Po lewej znajdował się starszy inżynier sterowania reaktorem, w przełożeniu na rosyjski akronim znany jako SIUR[362]. Po prawej stał starszy inżynier kontroli turbiny.

A w środku starszy inżynier kontroli jednostki pilnujący przepływu wody – setek tysięcy metrów sześciennych – od pomp, przez reaktor, do separatorów pary, turbin i z powrotem. Panele kontrolne całej trójki zawierały setki przełączników, guzików, pokręteł, lampek i diod alarmowych, potrzebnych do zarządzania podstawowymi czynnościami uzyskiwania elektryczności z rozszczepienia atomu.

Na ścianie za panelami znajdował się sięgający aż do sufitu zestaw instrumentów informujących za pomocą podświetlanych diod, ekranów telewizji przemysłowej i obracających się bębnow, które powoli wypluwały na rolce papieru dane o statusie systemów[363]. Za panelami i w korytarzu schowane były tysiące metrów kabli. Były także szafki z komputerami wypełnione świecącymi przełącznikami i klikającymi przekaźnikami. Była to skomplikowana, ale przestarzała technologia łącząca panele kontrolne z reaktorem.

Leonid Toptunow po zajęciu stanowiska starszego inżyniera sterowania reaktorem spojrzął na dwa wyświetlacze pokazujące warunki operacyjne w reaktorze numer 4. Jeden wskazywał stan każdego z 1659 wypełnionych uranem kanałów paliwowych. Drugi składał się z dwustu jedenastu świecących diod ułożonych w okrąg o średnicy trzech metrów. Działające na zasadzie selsynów przyrządy wskazywały pozycję prętów kontrolnych z węgla boru, wysuwanych lub wsuwanych do reaktora w celu kontrolowania reakcji łańcuchowej. Toptunow miał w zasięgu ręki przełączniki, dzięki którym mógł zaznaczyć grupę prętów, oraz kontroler, którym mógł je wsuwać i wysuwać. Obok podświetlany wyświetlacz cyfrowy pokazywał moc reaktora w megawatach. Tuż

za nim stał kierownik zmiany, Aleksander Akimow, odpowiedzialny za przebieg testu pod nadzorem zastępcy głównego inżyniera Diatłowa. W surowej hierarchii elektrowni doświadczony inżynier kontroli reaktora Akimow należał w tym pomieszczeniu do najwyższych rangą operatorów[364]. Rola Diatłowa była administracyjna: bez względu na doświadczenie nie mógł przejąć kontroli nad reaktorem, tak jak szef linii lotniczej nie może wejść do kabiny pasażerskiego odrzutowca i nim sterować.

Akimow, tyczkowaty[365] w grubych okularach, z przerzedzonymi włosami i małym wąsikiem, był oddanym komunistą i jednym z najlepiej znających się na rzeczy techników w elektrowni trzydziestodwulatek. Razem z żoną, Lubą, miał dwóch synów, a w wolnym czasie lubił czytać biografie historyczne albo polować na zające i kaczki na bagnach wokół Prypeci[366]. Akimow był mądry[367], kompetentny i lubiany, ale jego koledzy przyznawali, że łatwo dawał sobą pomiatać przełożonym.

W sterowni numer 4 zrobiło się tłoczno[368]. Oprócz Toptunowa i pozostałych dwóch operatorów czuwających nad turbiną i pompami obecni byli członkowie poprzedniej zmiany, a także inni gapie. Z przylegającego pomieszczenia wyłączenie generatora turbiny numer 8 obserwowali specjaliści z Doniecka. Diatłow nerwowo przemierzał pokój.

Gdy tylko dyspozytor z Kijowa wydał pozwolenie, operatorzy rozpoczęli długi, kontrolowany proces ograniczenia mocy reaktora, który teraz pracował na mocy siedmiuset dwudziestu megawatów, tuż powyżej minimalnego poziomu wymaganego do wykonania

testu. Jednak Diatłow, być może zakładając, że bezpieczniejsza będzie jeszcze mniejsza moc, nakazał sprowadzić reaktor do dwustu megawatów[369]. Trzymający egzemplarz protokołu testowego Akimow sprzeciwił się zwierzchnikowi na tyle gwałtownie, że kłótnię dwóch mężczyzn słyszeli pozostali, pomimo ciągłego huku turbin dobiegającego z hali turbin[370]. Akimow zdawał sobie sprawę, że przy mocy dwustu megawatów reaktor stanie się niebezpiecznie niestabilny i jeszcze trudniejszy do opanowania. Program testu zakładał, że zostanie on przeprowadzony przy mocy nie mniejszej niż siedemset megawatów. Diatłow upierał się jednak, że wie lepiej. Pokonany Akimow niechętnie zgodził się wydać polecenie i Toptunow wznowił obniżanie mocy. Dwadzieścia osiem minut po północy młody inżynier popełnił błąd.

Gdy o północy Toptunow przejął stanowisko, skomputeryzowany system regulacji jednostki ustawiony był na lokalne sterowanie automatyczne, które pozwalało zarządzać poszczególnymi obszarami rdzenia niezależnie – zwykle jednak była ona wyłączana, gdy reaktor działał na niskiej mocy[371]. Toptunow rozpoczął więc przełączanie[372] systemu na globalnie automatyczny, który działał jak automatyczny pilot pomagający utrzymać RBMK na stałym kursie, podczas gdy reszta ekipy przygotowywała się do inicjacji testu. Przed zakończeniem transformacji powinien był wybrać poziom, na którym komputer miał w nowym trybie utrzymywać moc reaktora. Jednak z jakiegoś powodu pominął ten krok. Reaktor okazał się bezlitosny. Nie otrzymawszy nowych instrukcji, komputer ustawił się na ostatnią podaną mu wartość – bliską zeru.

Toptunow z niepokojem obserwował, jak podświetlane szare cyfry na ekranie reaktymetru spadają: 500... 400... 300... 200... 100 megawatów[373]. Reaktor wymykał się spod kontroli.

Rozległa się seria alarmów. „Błąd pomiaru obwodów”. „Uruchomienie awaryjnego wzrostu mocy”. „Mały przepływ wody”. Akimow widział, co się działo.

– Utrzymać moc! Utrzymać moc![374] – krzyknął.

Ale Toptunow nie potrafił powstrzymać spadku mocy. W ciągu dwóch minut moc reaktora numer 4 spadła do trzydziestu megawatów – mniej niż jednego procenta jego mocy znamionowej. O godzinie 0.30 wyświetlacz reaktymetru wskazywał wartość bliską zeru. A jednak co najmniej przez kolejne cztery minuty Toptunow nie podjął żadnego działania. W czasie gdy zwlekał, w rdzeniu zaczął gromadzić się pochłaniający neutrony gaz ksenon 135, zduszający resztki reaktywności[375]. Reaktor doświadczył tak zwanego zatrucia ksenonem. Gdy moc tkwiła na minimum i wydzielało się coraz więcej ksenonu, procedury bezpieczeństwa jądrowego dość jasno określały, co w takim wypadku powinni zrobić operatorzy: zaniechać testu i natychmiast wyłączyć reaktor.

Ale tak nie postąpili.

Później wypłynęły sprzeczne zeznania na temat tego, co wówczas zaszło. Diatłow twierdził, że nie było go w sterowni, gdy za pierwszym razem spadła moc – chociaż nie potrafił sobie przypomnieć dlaczego – i nie wydawał żadnych poleceń operatorom przy pulpicie starszego inżyniera sterowania reaktorem w tych krytycznych minutach[376].

Stało to w sprzeczności z zeznaniami innych obecnych osób[377]. Według Toptunowa Diatłow nie tylko znajdował się w pomieszczeniu, gdy spadła moc, lecz także, pałając wściekłością, kazał mu wyciągnąć więcej prętów kontrolnych z reaktora, żeby ją zwiększyć. Toptunow zdawał sobie sprawę, że takie działanie wprowadzi zwiększy reaktywność, ale zarazem uczyni rdzeń niebezpiecznie niestabilnym. Odmówił więc wykonania polecenia Diatłowa.

– Nie podniosę mocy![378] – zaprotestował.

Diatłow zaczął straszyć młodego operatora, że jeśli nie wykona jego poleceń, zastępca głównego inżyniera znajdzie innego operatora, który to zrobi[379]. Kierownik poprzedniej zmiany, Jurij Tregub, został, aby oglądać test, i był wystarczająco wykwalifikowany, żeby przejąć kontrolę nad panelem; a Toptunow zdawał sobie sprawę, że taka niesubordynacja może oznaczać, że jego kariera w jednym z najbardziej prestiżowych zakładów radzieckiego przemysłu nuklearnego, a wraz z nią wygodne życie w Prypeci, może się zakończyć równie szybko, jak się zaczęła.

Tymczasem reaktor wciąż wypełniał się pochłaniającym neutrony ksenonem 135, coraz głębiej spadając w jamę negatywnej reaktywności. W końcu, po upływie sześciu długich minut od utraty mocy, przerażony wizją utraty pracy Toptunow uległ Diatłowowi. Zastępca głównego inżyniera odsunął się od konsoli, wycierając pot ze skroni, i wrócił na swoje miejsce pośrodku pomieszczenia.

Jednak ożywienie pochłaniającego neutrony reaktora nie jest łatwe. Toptunow męczył się ze znalezieniem odpowiedniego balansu podczas manualnego wysuwania prętów kontrolnych.

Stojący za nim Tregub zauważył, że młody technik wysuwa je niewspółmiernie w trzecim i czwartym kwadrancie rdzenia. Moc nadal utrzymywała się w pobliżu zera.

– Dlaczego wysuwasz je nierówno? – zapytał doświadczony inżynier. – Musisz wysuwać stąd[380].

Tregub pokazał, które pręty wybrać. Toptunow prawą dłoń przyciskał klawisze, a lewą trzymał na kontrolerze. Atmosfera w sterowni jeszcze bardziej zgęstniała. Tregub stał obok Toptunowa przez dwadzieścia minut i razem udało im się podnieść moc reaktora do dwustu megawatów. Nie dali rady więcej. Zatrucie ksenonowe pożerało neutrony w rdzeniu, a brakowało prętów kontrolnych do wysunięcia. Ponad setka została wysunięta w całości.

O pierwszej nad ranem Toptunowowi i Tregubowi udało się odsunąć niebezpieczeństwo przypadkowego wyłączenia reaktora, ale w tym celu wysunęli z rdzenia dwieście trzy z dwustu jedenastu prętów kontrolnych[381]. Wysunięcie tak dużej liczby prętów bez pozwolenia głównego inżyniera było zabronione. Operatorzy wiedzieli, że komputerowy system monitorujący liczbę prętów w rdzeniu – margines reaktywności operacyjnej – nie zawsze jest dokładny, a nie mieli świadomości, jak ważne jest to dla bezpiecznego działania reaktora[382]. Nawet nie podejrzewali, że jednoczesne włożenie tylu prętów do rdzenia mogłoby sprawić, że wymknie się spod kontroli. Na tym etapie przed katastrofą mogła uchronić jedynie ostrożna stabilizacja reaktora i jego powolne wyłączenie.

Tymczasem uruchomiły się dwie ogromne pompy cyrkulacyjne podłączone do reaktora. Oryginalny plan testu nie zakładał

udziału tych dwóch dodatkowych pomp przy tak niskiej mocy. Wpompowując chłodziwo do rdzenia, jeszcze bardziej zaburzyły delikatny balans reaktywności, wody i pary w reaktorze. Odpowiadający za pompy dwudziestosiedmioletni starszy inżynier kontroli bloku Borys Stolarczuk z trudem utrzymywał prawidłowy poziom wody w bębnach separatorów pary, gdy pompy pracowały z niemal pełną mocą, wtłaczając do reaktora piętnaście metrów sześciennych chłodziwa pod wysokim ciśnieniem na sekundę[383]. Napływająca woda pochłaniała neutrony w rdzeniu, ponownie osłabiając reaktywność, co automatyczny system regulacji reaktora próbował rekompensować, wyciągając jeszcze więcej prętów[384]. Po chwili woda płynęła w zamkniętym obiegu tak szybko, że docierała do rdzenia w temperaturze bliskiej wrzeniu i zamiany w parę, czyniąc go podatnym na zjawisko dodatniego współczynnika reaktywności przestrzeni parowych przy najmniejszym wzroście mocy[385].

Wreszcie nadszedł moment wyłączenia generatora. Niektórzy operatorzy byli wyraźnie zestresowani[386]. Anatolij Diatłow odczuwał jednak tylko spokój. Test miał zostać wykonany, niezależnie od protokołu ani wątpliwości jego podwładnych. Dziesięciu mężczyzn wpatrzonych w instrumenty stanęło w gotowości przy pulpitych w sterowni numer 4[387].

– Na co czekasz?– zwrócił się do Akimowa zastępca głównego inżyniera[388].

Była godzina 1.22.

Symulacja skutków utraty napięcia na pojedynczy reaktor w Czarnobylu wydawała się pozornie prostym zadaniem i wielu obecnych w sterowni błędnie uważało, że test ten to zadanie

głównie dla elektryków[389]. Uważano, że rola reaktora jest właściwie marginalna. Schemat testu niemal duplikował[390] test przeprowadzony w 1984 roku na reaktorze numer 3, podczas którego wprawdzie nie udało się utrzymać pracy pomp, ale który zakończył się bez incydentów. Nikołaj Fomin, główny inżynier, osobiście zarządził wykonanie tego testu[391], bez konsultacji z górą, nie widząc powodu, dla którego tym razem miałyby przebiec on inaczej. O swoich planach nie poinformował Krajowego Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego, NIKIET-u ani specjalistów z Instytutu Kurczatowa w Moskwie. Nawet nie zwracał głowy dyrektorowi Briuchanowowi.

Bogatszy o wcześniejsze obserwacje Fomin wprowadził dwie istotne zmiany[392] do nowego testu: tym razem wszystkie osiem głównych pomp cyrkulacyjnych miało być podłączonych do reaktora, zwiększając ilość wody przepływającej przez główny obwód w trakcie wyłączenia. Zażądał także podłączenia specjalnej skrzynki elektrycznej do obwodów panelu kontrolnego na czas testu, która miała symulować efekty zaprogramowanego wypadku po przyciśnięciu guzika. Program nowego testu – sporządzonego miesiąc wcześniej przez Gennadija Metlenkę, przewodniczącego inżynierów elektryków z Doniecka, i zatwierdzonego przez Fomina i Diatłowa w kwietniu – wydawał się jasny. Najpierw operatorzy mieli odciąć dopływ pary z reaktora do turbiny, która zaczęłaby zwalniać. W tym samym momencie wcisnęliby guzik uruchamiający efekt zaplanowanej awarii. Do systemu bezpieczeństwa reaktora wysłany zostałby sygnał, że utracono całe zewnętrzne zasilanie, co uruchomiłoby awaryjne generatory dieslowe i podłączyłoby turbinę numer 8 zasilania pomp głównego

obiegu. Jeśli wszystko poszłoby dobrze, elektryczność produkowana przez rozpędzoną turbinę utrzymywałaby pracę pomp do momentu, aż ich zasilanie przejęłyby generatory spalinowe. Technicy spodziewali się, że eksperyment zajmie mniej niż minutę. Znak do rozpoczęcia miał dać Metlenko, który rejestrował rezultaty za pomocą oscyloskopu. Zakończyć test miało rutynowe wyłączenie reaktora przez operatorów po wciśnięciu przycisku AZ-5.

O godzinie 1.23 Leonidowi Toptunowi udało się ustabilizować pracę reaktora na poziomie mocy dwustu megawatów. Diatłow, Akimow i Metlenko stali pośrodku pomieszczenia, czekając na rozpoczęcie testu[393]. Powyżej, na poziomie +12,5[394], w ogromnej, wysokiej na trzy piętra pompowni obok studni reaktora, znajdował się na swoim stanowisku, w dudniącym hałasie pracujących jednocześnie ośmiu pomp cyrkulacyjnych, starszy operator pomp chłodziwa, Walerij Chodemczuk. Do podstawy rdzenia reaktora dostawała się przez zawory woda w temperaturze tylko o kilka stopni niższej od temperatury wrzenia. Nad nimi 164 z 211 rdzeni kontrolnych zostało maksymalnie wysuniętych[395].

Reaktor był jak odbezpieczony pistolet. Teraz wystarczyło tylko, żeby ktoś pociągnął za spust. Kilka sekund później Metlenko wydał polecenie:

– Włączyć oscyloskop![396]. Przy panelu turbiny starszy operator Igor Kerszenbaum zamknął zawory wylotu pary. Sześć sekund później inżynier nacisnął przycisk rozpoczynający symulację wypadku. Aleksander Akimow obserwował, jak wskazówka tachometru mierzącego prędkość turbiny numer 8

opada, a cztery główne pompy cyrkulacyjne zaczynają zwalniać. W sterowni panowała cisza. Wkrótce wszystko miało się skończyć. W środku reaktora woda przepływająca przez kanały paliwowe zwalniała i nagrzewała się[397]. Wewnątrz rdzenia wzrosła ilość chłodziwa zmienionego w parę. Ta absorbowwała mniej neutronów, przez co wzrastała reaktywność, wydzielając jeszcze więcej ciepła, w wyniku czego jeszcze więcej wody zmieniano się w parę, absorbując jeszcze mniej neutronów, zwiększając reaktywność i wydzielając więcej ciepła. Zaistniało zjawisko dodatniego współczynnika reaktywności przestrzeni parowych. Reaktor wpadł w błędne koło prowadzące do katastrofy.

Mimo to instrumenty panelu kontrolnego Leonida Toptunowa nie wykazywały niczego niezwykłego[398]. Przez kolejne dwadzieścia sekund odczyty z reaktora pozostawały w normie. Akimow i Toptunow rozmawiali po cichu. Przy panelu pomp Boris Stoliarczuk, pochłonięty własnymi zadaniami, nie słyszał hałasu. Za nimi wszystkimi stał cichy i beznamiętny zastępca głównego inżyniera Diatłow. Generator turbiny numer 8 zwolnił do 2300 obrotów na minutę. Pora było zakończyć test.

– SIUR, wygasić reaktor![399] – polecił Akimow podniesionym głosem i zamachał ręką. – AZ-5!

Podniósł przezroczystą plastikową pokrywę na panelu kontrolnym. Toptunow nacisnął palcem zaplombowany papierową plombą czerwony okrągły guzik[400]. Test zakończył się po dokładnie trzydziestu sześciu sekundach.

– Reaktor został wygaszony![401] – zakomunikował Toptunow. W hali reaktora nad nimi warkotały elektryczne serwomotory. Świejące ekrany wskaźników selsynów pokazywały powolne

wprowadzenie dwustu jedenastu prętów do reaktora. Jeden metr. Dwa metry...

To, co następnie wydarzyło się w rdzeniu, działo się tak szybko, że nie zostało zarejestrowane przez przyrządy[402].

Na ułamek sekundy, gdy wykonane z węglika boru pręty zostały wprowadzone do reaktora, ogólna reaktywność spadła, tak jak powinna[403]. Ale chwilę potem grafitowe końcówki zaczęły wypierać wodę w dolnej części rdzenia, zwiększając dodatni współczynnik reaktywności przestrzeni parowych, generując więcej pary i zwiększając reaktywność[404]. Na dnie reaktora powstała masa krytyczna. Po upływie dwóch sekund rozpoczęła się reakcja łańcuchowa[405] w niepohamowanym tempie przemieszczająca się do góry i na zewnątrz rdzenia.

W sterowni, w chwili, gdy załoga chciała odetchnąć z ulgą, panel SIUR-a nagle rozbrzmiał serią alarmów[406]. Zapaliły się na czerwono lampki ostrzegawcze głoszące „niebezpieczny wzrost mocy” i „awaryjny system kontroli mocy”. Rozległy się elektryczne brzęczyki[407]. Toptunow krzyknął:

– Nagły wzrost mocy!

– Wyłączyć reaktor![408] – zakomenderował raz jeszcze Akimow, tym razem krzycząc.

Stojący przy panelu turbin[409], dwadzieścia metrów dalej, Jurij Tregub usłyszał odgłos, który wziął za dźwięk zwalniającej turbiny numer 8, podobny do rozpędzonej wołgi: łuu-łuu-łuu-łuu. Ale odgłos przerodził się w huk, a budynek zaczął złowieszczo wibrować. Tregub pomyślał, że to jakiś efekt testu. Tymczasem zniszczeniu ulegał reaktor[410]. W ciągu trzech sekund moc termiczna trzystukrotnie przekroczyła maksimum. W dolnej

części południowo-wschodniego kwadrantu rdzenia część kanałów paliwowych gwałtownie się przegrzała i paliwo zaczęło się topić. Gdy temperatura osiągnęła 3000 stopni Celsjusza, wykonane z cyrkonu koszulki elementów paliwowych zaczęły się odkształcać, pękać, a następnie eksplodować, rozrzucając drobinki metalu i ditlenku uranu do kanałów paliwowych, gdzie natychmiast powodowały wyparowanie wody. Potem pęknięciu uległy same kanały[411]. Pręty AZ-5 zaklinowały się w połowie drogi[412]. Wszystkie osiem zaworów awaryjnego ujścia pary zostało otwartych, ale mechanizm szybko uległ przeciążeniu i uszkodzeniu.

Na poziomie +50[413], wysoko ponad halą główną, naczelnik działu reaktorowego Walerij Pierewaczenko zdumiony oglądał, jak osiemdziesięciokilogramowe pokrywy kanałów paliwowych w okrągłym piataczoku zaczynają podskakiwać niczym łódeczki na wzburzonej stawie. Panel kontrolny Toptunowa rozbrzmiał alarmem[414]: *powyższenie dawlenia w RP* – „wzrost ciśnienia w przestrzeni reaktora”. Ściany sterowni zaczęły się trząść[415]. Drgania spowalniały, ale przybierały na sile. Boris Stoliarczuk usłyszał narastający jęk[416] – krzyk konającej potężnej bestii. Rozległa się głośna eksplozja.

Jak do tego mogło dojść?

Gdy uległy zniszczeniu kanały paliwowe[417], całkowicie ustała cyrkulacja wody w rdzeniu. Zawory kontrolne wielkich głównych pomp cyrkulacyjnych uległy zamknięciu, a cała woda w rdzeniu zamieniła się w parę. Konający reaktor przeszła fala neutronów, a moc termiczna skoczyła do dwunastu miliardów watów. Ciśnienie pary w zamkniętym reaktorze rosło

wykładniczo – osiem atmosfer na sekundę – unosząc Jelenę, dwutonową, betonowo-stalową pokrywę. Temperatura wewnątrz reaktora wzrosła do 4650 stopni Celsjusza[418].

Na ścianie pomieszczenia kontrolnego numer 4 rozbłysły lampki alarmowe selsynów[419]. Wskazówki znieruchomiały na poziomie trzech metrów. Zdesperowany Akimow wcisnął przycisk zwalniający pręty AZ-5 z uchwytów[420], żeby mogły opaść pod wpływem własnego ciężaru na dno reaktora. Ale wskazówki ani drgnęły. Było za późno.

O 1.24 rozległo się potężne dudnienie, prawdopodobnie spowodowane mieszanką wodoru i tlenu, która zapłonęła nagle w środku reaktora[421]. Całym budynkiem wstrząsnęła katastrofalna eksplozja rozdzierająca reaktor numer 4, równoważna z detonacją sześćdziesięciu ton dynamitu[422]. Eksplozja odbiła się od ścian szybu reaktora[423], rozerwała setki rur z parą i wodą, a następnie wyrzuciła pokrywę w powietrze niczym kopiejkę. Ponadto roztrzaskała 350-tonową maszynę przeładunku paliwa, wyrwała suwnicę z mocowań, zniszczyła górne ściany hali reaktora i rozbiła betonowy dach, odsłaniając rozgwieżdżone niebo.

Rdzeń reaktora został całkowicie zniszczony. Niemal siedem ton paliwa uranowego, razem ze szczątkami prętów kontrolnych, kanałów cyrkonowych i grafitowych bloków, zostało startych na proch i wyrzuconych w atmosferę, formując mieszanek gazów i aerozoli niosących radioizotopy, w tym jod 131, neptun 239, cez 137, stront 90 i pluton 239 – najbardziej niebezpieczne substancje znane człowiekowi[424]. Od dwudziestu pięciu do trzydziestu ton uranu i wysoce radioaktywnego grafitu zostało wyrzuconych

z rdzenia i rozrzuconych wokół bloku czwartego, powodując niewielkie pożary w miejscach, gdzie upadły. W kontakcie z powietrzem tysiąc trzysta ton rozżarzonego grafitu natychmiast zapłonęło[425].

W warsztacie na wysokości +12,5, kilkadziesiąt metrów od pomieszczenia kontrolnego, Aleksander Juwczenko rozmawiał z kolegą, który przyszedł po puszkę farby. Usłyszał dudnienie, a podłoga zaczęła się trząść. Pomyślał, że coś ciężkiego – na przykład głowica suwnicy – uderzyło o posadzkę w hali reaktora. Następnie usłyszał eksplozję. Juwczenko ujrzał, jak grube betonowe kolumny i ściany wyginają się, jakby były z gumy, a drzwi zostają wyrwane z zawiasów przez falę uderzeniową niosącą mokrą, drażniącą chmurę pary i pyłu. Z sufitu posypał się tynk. Zgasły światła. Pierwszym impulsem Juwczenki było znalezienie bezpiecznej kryjówki. „W końcu wybuchła wojna z Amerykanami”, pomyślał[426].

W hali turbin inżynier Jurij Korniejew z przerażeniem patrzył, jak panele sufitowe z blachy falistej nad generatorem turbiny numer 8 lecą w jego kierunku i spadają niczym ogromne karty do gry, rozbijając sprzęt na dole[427].

Były marynarz okrętu podwodnego Anatolij Kurguz spojrzął w stronę hali głównej i ujrzał chmurę gęstej pary zmierzającą w jego kierunku. Otumaniony piekącą chmurą radioaktywnej pary Kurguz z trudem zatrzasnął służbę, odcinając halę i ratując swoich kolegów. Była to ostatnia rzecz, jaką zrobił, zanim stracił przytomność[428].

Znajdujący się tuż przy głównych pompach cyrkulacyjnych Walerij Chodemczuk zmarł jako pierwszy. W wyniku eksplozji

wyparował lub został przysypany spadającym betonem i elementami maszyn.

W sterowni bloku czwartego z sufitu posypał się kurz z paneli podsufitki[429]. Akimow, Toptunow i zastępca głównego inżyniera Diatłow spojrzeli po sobie zbici z tropu. Z przewodów wentylacyjnych wydobyła się szara mgła, a światła zgasły [430]. Gdy znowu się zapaliły, Boris Stoliarczuk poczuł ostry, mechaniczny zapach, nieprzypominający niczego, co znał. Na ścianie lampki monitorujące poziom napromieniowania zmieniły kolor z zielonego na czerwony.

Na zewnątrz elektrowni, na betonowym brzegu kanału, do którego spływało chłodziwo, dwaj pracownicy innej zmiany całą noc spędzili na wędkowaniu. Gdy usłyszeli pierwszą eksplozję, nadal trzymali wędki zanurzone w ciepłej wodzie wypływającej z reaktora[431]. Odwrócili się w stronę elektrowni w momencie, gdy nastąpił drugi wybuch. Grzmiący huk przywodził na myśl samolot przekraczający barierę dźwięku. Ziemia się zatrzęsała, a wędkarzy powaliła fala uderzeniowa. Nad blokiem czwartym unosił się czarny dym, a iskry i rozgrzane szczątki wyrzucane były ku niebu. Kiedy dym opadł, zauważyli, że na wysokości całego 150-metrowego komina unosiła się dziwna, zimna poświata.

W pokoju numer 29 na siódmym piętrze drugiego budynku administracyjnego inżynier Aleksander Tumanow pracował do późna. Z biura miał dobry widok na północną część elektrowni. Około godziny 1.25 usłyszał dudnienie i poczuł, że budynek drży. Następnie do jego uszu dotarł trzask i dwa potężne łomoty. Przez okno ujrzał kaskadę iskier wylatujących z bloku czwartego i coś,

co wyglądało jak fragmenty stopionego metalu lub płonących szmat wystrzeliwanych we wszystkie kierunki. Większe fragmenty płonących szczątków spadły na dach bloku trzeciego i budynki w pobliżu reaktora, gdzie wywołały pożar.

Trzy kilometry dalej mieszkańcy Prypeci spali. W mieszkaniu Wiktora Briuchanowa przy prospekcie Lenina zadzwonił telefon.

Sobota, 26 kwietnia, godzina 1.28, Zmilitaryzowana Jednostka Straży Pożarnej numer 2

Tuż po godzinie 1.25, gdy purpurowy stożek opalizującego dymu uniósł się na wysokość stu pięćdziesięciu metrów wokół pomalowanego w paski niczym cukierek komina wentylacyjnego, rozległ się alarm w wojskowej jednostce straży pożarnej numer 2[432]. Deska rozdzielcza w dyspozytorni zawierająca setki lampek – po jednej na każde pomieszczenie w czarnobylskiej elektrowni – nagle rozświeciła się z góry na dół[433].

Większość z czternastu strażaków[434] drzemała na swoich łóżkach, gdy potężny huk roztrzaskał okna i wstrząsnął budynkiem remizy, wybudzając ich ze snu. Gdy rozległa się syrena, zakładali już buty i wybiegli na betonowy dziedziniec przed jednostką, gdzie czekały w gotowości trzy ciężarówki z kluczykami w stacyjkach. Usłyszeli dyspozytora, krzyczącego, że pali się w elektrowni. Unieśli głowy i ujrzeli gigantyczną chmurę w kształcie grzyba ponad blokami trzecim i czwartym, niecałe pięćset metrów – dwie minuty jazdy – od nich.

Porucznik Prawik wydał rozkaz odjazdu[435] i wielkie czerwone ciężarówki marki ZiŁ jedna po drugiej wyruszyły w drogę. Dwudziestoczteroletni drugi najmłodszy członek zmiany, sierżant Aleksander Petrowski, nie mógł znaleźć swojego kasku, więc złapał czapkę Prawika. Była godzina 1.28. Za kierownicą pierwszej ciężarówki siedział Anatolij Zacharow, przysadzisty, towarzyski trzydziestotrzylatek, który pełnił w jednostce funkcję

sekretarza partii. Pracował również jako ratownik w Prypeci, gdzie korzystając z pomocy lornetki i motorówki, wyląwiał z rzeki pijanych kąpielowiczów. Zacharow skręcił w prawo i na pełnym gazie skierował pojazd do głównej bramy elektrowni. Następnie skręcił ostro w lewo i wjechał na teren zakładu, mijając podłużną halę generatorów diesla. W radiu rozbrzmiewały pytania i instrukcje. Co się stało? Jakie są zniszczenia? Dwie cysterny już jadą za nimi. Jednostka z Prypeci także jest w drodze[436]. Porucznik Prawik wywołał alarm numer 3[437], zgłaszający stan najwyższego zagrożenia i wzywający każdą jednostkę straży pożarnej z okolic Kijowa.

Przed ciężarówką rozprzestrzeniała się gigantyczna sylwetka elektrowni[438]. Zacharow skręcił w drogę dojazdową po prawej, przejechał podwyższoną groblą między betonowymi palami i pomknął w stronę północnej ściany trzeciego reaktora. Z odległości trzydziestu metrów ujrzał pozostałości czwartego.

W sterowni bloku czwartego wszyscy się przekrzykiwali[439], a zastępca głównego inżyniera Anatolij Diatłow próbował zrozumieć, co pokazują instrumenty. Czerwone i żółte lampki ostrzegawcze błyskały przy panelach turbiny, reaktora i pomp, a elektryczne alarmy wyły bez przerwy[440]. Rysował się z tego ponury obraz. Przy stanowisku starszego inżyniera sterowania blokiem Borisa Stolarczyuka przyrządy wskazywały, że wszystkie osiem głównych zaworów jest otwartych, a mimo to w separatorach nie ma wody. Taki scenariusz był najgroźniejszym przewidywalnym wypadkiem i najgorszym koszmarem każdego atomisty – strefa aktywna pochłonęła tysiące litrów chłodziwa, podnosząc groźbę stopienia reaktora.

Natomiast panel kontrolny starszego inżyniera sterowania reaktorem Toptunowa pokazywał, że pręty kontrolne utknęły na czwartym metrze, nie przebywszy nawet połowy drogi. Operator wypuścił pręty z elektromagnetycznych zaczepów, żeby grawitacja sprowadziła je na sam dół, ale jakimś cudem się zatrzymały. Szare cyfry reaktymetru pokazujące aktywność rdzenia skakały z góry na dół i do góry. Coś tam się nadal działo, ale Diatłow i zgromadzeni wokół niego technicy stracili nad tym panowanie.

Zdesperowany Diatłow odwrócił się w stronę dwóch stażystów na stanowisko inżynierów kontroli reaktora, którzy przybyli obserwować test, Wiktora Proskuriakowa i Aleksandra Kudriawcewa, wydając im polecenie ręcznego wprowadzenia prętów[441].

– Udajcie się do reaktora – polecił – i ręcznie wprowadźcie pręty kontrolne do rdzenia[442].

Dwaj mężczyźni posłuchali go, ale gdy tylko wyszli, zdał sobie sprawę z własnego błędu – jeśli pręty nie chcą opaść pod ciężarem grawitacji, nie uda się ich wprowadzić ręcznie. Wybiegł na korytarz wezwać stażystów, ale ci zniknęli w kłębach dymu i pary wypełniających korytarze i klatki schodowe bloku numer 4[443].

Powróciwszy do sterowni, Diatłow przejął dowodzenie. Wydał polecenie kierownikowi zmiany Aleksandrowi Akimowowi, by odesłał niepotrzebny personel, który wciąż był na stanowiskach, w tym starszego inżyniera kontroli reaktora Leonida Toptunowa, który nacisnął guzik AZ-5. Następnie kazał Akimowowi uruchomić awaryjne pompy chłodziwa i wentylatory rozwiewające dym, po czym polecił otwarcie zaworów rur z chłodziwem.

– Chłopaki – powiedział – musimy wtłoczyć wodę do reaktora[444].

Na górze, w pozbawionym okien pomieszczeniu starszych inżynierów na poziomie +12,5, Aleksander Juwczenko tkwił pogrążony w ciemności spowodowanej przez pył i kłęby pary. Zza rozbitych drzwi dobiegał złowieszczy, syczący dźwięk[445]. Juwczenko chwycił za słuchawkę telefonu, chcąc się połączyć ze sterownią numer 4, ale linia była głucha. Nagle zadzwonił ktoś ze sterowni numer 3 z poleceniem: „Natychmiast przynieście nosze”.

Juwczenko złapał nosze i zbiegł na poziom +10, ale zanim dobiegł do sterowni, zatrzymała go otumaniona postać w poczerniałym ubraniu i z zakrwawioną twarzą, uniemożliwiająca jej rozpoznanie. Dopiero gdy przemówiła, Juwczenko zdał sobie sprawę, że to jego przyjaciel, operator pomp chłodziwa Wiktor Diegtiarenko. Powiedział, że idzie od strony swojego stanowiska i że są tam inni potrzebujący pomocy. Oświetlając sobie drogę za pomocą latarki, Juwczenko natrafił na drugiego operatora po drugiej stronie sterty gruzu, trzymającego się na nogach, ale brudnego, mokrego i groteskowo poparzonego przez wydobywającą się parę. Drżał z powodu szoku, ale machnął ręką, żeby Juwczenko szedł dalej.

– Ze mną w porządku – powiedział. – Pomóż Chodemczukowi. Jest w pompowni[446].

Następnie Juwczenko ujrzał wyłaniającego się z mroku jego kolegę, Jurija Treguba[447]. Został on wysłany ze sterowni numer 5, by ręcznie odkręcić zawory awaryjnego systemu chłodzącego i zalać rdzeń reaktora wodą. Zdając sobie sprawę, że to zadanie wymaga obecności dwóch osób, Juwczenko powiedział koledze,

gdzie szukać pomocy i towarzyszył mu w drodze do zbiorników z chłodziwem. Przeszli przez najbliższe wejście przysypane gruzem, zeszli po schodach dwa piętra w dół i znaleźli się po kolana w wodzie. Drzwi do hali się zaklinowały, ale udało im się zajrzeć do środka przez wąską szparę.

Wszystko było w ruinie. Gigantyczne stalowe zbiorniki z wodą zostały rozerwane, jak gdyby były z tektury, a ponad rumowiskiem, gdzie powinny być ściany i sufit, widzieli tylko gwiazdy. Resztki nieoświetlonej elektrowni rozjaśniało jedynie światło księżyca.

Dwaj mężczyźni skierowali się w stronę korytarza transportowego[448] znajdującego się na poziomie gruntu i wyszli na zewnątrz. Stojący nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od reaktora Tregub i Juwczenko znaleźli się wśród pierwszych osób, które zdały sobie sprawę, co stało się z reaktorem numer 4. Był to okropny, apokaliptyczny widok: dach hali reaktora przestał istnieć, a ściana po prawej została niemal całkowicie zniszczona przez siłę eksplozji. Połowa systemu chłodzącego po prostu zniknęła: po lewej stronie zbiorniki z wodą i rury, które doprowadzały chłodziwo do pomp cyrkulacyjnych, teraz zwisały w powietrzu. W tej chwili Juwczenko zdał sobie sprawę, że Walerij Chodemczuk nie żyje: w miejscu jego stanowiska leżała obecnie sterta gruzu rozświetlana błyskami z końcówek 6000-woltowych kabli, grubych niczym ramię dorosłego mężczyzny, dyndających i powodujących spięcia ze wszystkim, czego dotknęły, obsypując rumowisko iskrami.

Gdzieś w sercu tej bezkształtnej masy zbrojeń i roztrzaskanego betonu – w głębi ruin reaktora numer 4 –

Aleksander Juwczenko ujrzał coś jeszcze bardziej przerażającego: połyskujący słup eterycznego bladoniebieskiego światła biegnący prosto ku niebu. Delikatna i przedziwna poświata, oświetlana połyskującymi kolorami płonącego budynku, rozgrzanych elementów metalu i maszynierii, była tak piękna, że zatrzymała urzeczonego Juwczenkę na kilka sekund, zanim Tregub nie szarpnął go za ramię i nie zaciągnął za róg, gdzie było nieco bezpieczniej. Zjawisko, które tak zauroczyło młodego inżyniera, było jonizacją powietrza wywołaną promieniowaniem, dającą niemal stuprocentową pewność, że reaktor jądrowy został odsłonięty.

Na spotkanie trzem wozom straży pożarnej przed blok numer 3 wybiegł oficer ochrony przeciwpożarowej. Był świadkiem eksplozji i uruchomił alarm. Anatolij Zacharow wyskoczył z kabiny i rozejrzał się. Na ziemi rozsypane były szczątki grafitowych bloków, z których większość była rozżarzona do czerwoności. Zacharow obserwował budowę reaktora i dobrze zdawał sobie sprawę z tego, co to jest.

– Tolik, co to? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Chłopaki, to są bebechy reaktora – odparł. – Jeśli dożyjemy do rana, będziemy żyli wiecznie.

Prawik nakazał Zacharowowi pozostać przy radiu i czekać na instrukcje. Razem z dowódcą składu, Leonidem Szawrejem, mieli dokonać rozeznania, żeby ustalić źródło ognia.

– A potem się wycofamy – dodał i zniknął w otchłani elektrowni[449].

Wewnątrz hali turbin bloku czwartego dwaj strażacy napotkali obraz totalnego chaosu[450]. Wszędzie leżały szczątki szkła,

cementu i metalu. Kilku otumanionych operatorów biegało w kłębach dymu unoszących się z rumowiska. Ściany budynku drżały, a z góry dobiegał odgłos ulatniającej się pary. Szyby wzdłuż ściany A wyleciały, a żarówki nad turbiną numer 7 się przepaliły. Z wianuszka pękniętych rur doprowadzających buchała para i gorąca woda, a przez chmury pary widać było błyski płomieni w pobliżu pomp paliwowych. Dach częściowo się zawalił i ciężkie szczątki, wyrzucone siłą eksplozji, wciąż z niego spadały. W pewnej chwili ołowiana plomba używana do zamykania kanału reaktora upadła metr od miejsca, w którym stali operatorzy turbiny.

Prawik i Szawrej byli tylko strażakami i nie mieli sprzętu do mierzenia promieniowania[451]. Ich krótkofalówki nie działały. Odnaleźli telefon, z którego zamierzali dozwonić się do dyspozytora elektrowni, żeby uzyskać więcej informacji o zagrożeniu, ale nie mogli się połączyć. Przez kolejny kwadrans biegali po elektrowni. Nie potrafili ustalić żadnych szczegółów, poza tym, że część dachu nad halą turbin się zapadła, a resztę, która się ostała, trawił ogień.

Gdy powrócili do swoich kolegów pod blokiem numer 3, na miejscu była już brygada straży pożarnej z Prypeci. Przed drugą nad ranem[452] w stronę elektrowni pędzili strażacy z siedemnastu innych jednostek z okolicy Kijowa, a towarzyszyły im ekipy ratownicze, specjalne pojazdy z drabinami i cysterny. Wkrótce minister spraw wewnętrznych powołał w Kijowie centrum kryzysowe poświęcone tej sytuacji i nakazał informować o rozwoju wydarzeń co czterdzieści minut[453].

Tymczasem Piotr Chmiel, szef pierwszej zmiany Zmilitaryzowanej Jednostki Straży Pożarnej numer 2, gotowy był położyć się spać po długiej nocy mocno zakropionej alkoholem, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Dobijał się do niego Radczenko, kierowca z remizy.

– W bloku czwartym wybuchł pożar[454] – powiedział. Potrzeba było każdej pary rąk.

Chmiel polecił mu poczekać i założył mundur. Następnie podążył za nim do gazika uaza, czekającego na ulicy. Po drodze młody porucznik zabrał niedopitą butelkę z *sowieckoj szampanskoje* ze stołu kuchennego. Gdy uaz wszedł w ostry zakręt na ulicy Łesi Ukrainki, Chmiel chwycił mocniej za butelkę i wychylił do dna.

Niezależnie od niebezpieczeństwa, nie można było zmarnować dobrego radzieckiego szampana.

Dyrektora elektrowni Wiktora Briuchanowa obudził telefon niecałe dwie minuty po eksplozji[455]. Jego żona poruszyła się i otworzyła oczy, dopiero gdy zapalił światło. Telefony z elektrowni w środku nocy nie były niczym nadzwyczajnym, więc początkowo nie była zaniepokojona. Teraz jednak, gdy mąż w milczeniu słuchał relacji z wydarzeń, Walentyna widziała, jak krew odpływa mu z twarzy. Wiktor odłożył słuchawkę, jak w transie założył ubranie i wyszedł, nie odzywając się ani słowem.

Briuchanow dotarł do elektrowni przed drugą w nocy. Z daleka ujrzał postrzępiony i rozświetlony przez czerwony żar zarys bloku numer 4. Zdał sobie sprawę, że stało się najgorsze.

„Trafię do więzienia”, pomyślał[456].

Dyrektor skierował się do głównego budynku administracyjnego i nakazał szefowi ochrony otworzyć schron awaryjny w piwnicy. Wzmocniony bunkier, zaprojektowany w celu ochrony przed atakiem nuklearnym, posiadał centrum kryzysowe z biurkami i telefonami dla dyrektorów każdego z działów, prysznicze dekontaminacyjne, punkt medyczny dla rannych, filtry powietrza chroniące przed trującymi gazami i radionuklidami, spalinowy generator oraz zbiorniki ze słodką wodą pozwalające zaspokoić potrzeby półtora tysiąca osób przez trzy dni – wszystko to upchnięte za hermetyczną śluzą[457]. Następnie Briuchanow udał się do swojego biura na trzecim piętrze i próbował się dodzwonić do kierownika zmiany[458]. Nikt nie podnosił słuchawki. Poleciał uruchomić automatyczny telefoniczny system alarmowy mający informować starszy personel o niebezpieczeństwie najwyższego stopnia – o poważnym wypadku radiacyjnym. Oznaczało to, że promieniowanie wydostało się nie tylko na teren elektrowni, lecz także przedostało do gleby i atmosfery.

Przybył burmistrz Prypeci w towarzystwie majora KGB i sekretarza partyjni elektrowni oraz miasta. Aparatczycy zadawali trudne pytania, na które dyrektor nie potrafił udzielić odpowiedzi[459].

Bunkier był długi i wąski, miał niski sufit i zastawiony był stołami oraz krzesłami, które szybko zajęli szefowie oddziałów wezwani telefonicznym alarmem. Briuchanow zajął miejsce przy drzwiach za biurkiem wyposażonym w kilka telefonów i mały panel kontrolny, skąd zaczął relacjonować swoim zwierzchnikom wydarzenia z elektrowni. Najpierw zadzwonił do Moskwy, gdzie

rozmawiał ze swoim szefem z Sojuzatomenergo. Potem zadzwonił do I i II sekretarza partii w Kijowie.

– Doszło do wypadku – powiedział. – Ale nie wiadomo jeszcze, co się stało. Diatłow bada sprawę[460].

Następnie poinformował ukraińskie Ministerstwo Energetyki i dyrektora jednostki odpowiedzialnej za zasilanie obwodu kijowskiego[461].

Wkrótce otrzymał pierwsze raporty zniszczeń od szefa bezpieczeństwa elektrowni oraz kierownika zmiany: doszło do eksplozji w reaktorze numer 4, ale starają się dostarczać chłodziwo[462]. Briuchanow usłyszał, że przyrządy pomiarowe w sterowni wciąż wskazują zerowy poziom chłodziwa. Obawiał się, że może ich czekać najczarniejszy przewidywalny scenariusz, czyli brak wody w reaktorze. Nikt mu nie zasugerował, że reaktor mógł zostać zniszczony.

W bunkrze szybko znalazło się około trzydziestu, czterdziestu osób[463]. Szum wentylatorów nadawał ton panującemu pandemonium. Od twardych betonowych ścian odbijał się gwar kilkunastu prowadzonych jednocześnie rozmów telefonicznych – kierownicy każdego z działów Elektrowni Jądrowej im. W.I. Lenina dzwonili do swoich pracowników, nakazując im dostarczać wodę do rdzenia reaktora numer 4. Siedzący przy swoim biurku Briuchanow sprawiał wrażenie odurzonego: jego i tak lakoniczny sposób bycia jeszcze się pogłębił, jego ruchy zastygły. Siedział otepiały pod wpływem szoku.

Ujrzawszy z zewnątrz skalę zniszczeń, Aleksander Juwczenko i Jurij Tregub biegiem wrócili powiedzieć, co widzieli[464]. Ale zanim dotarli do sterowni, napotkali bezpośredniego przełożonego

Juwczenki, Walerija Pierewaczenkę, kierownika reaktora ich zmiany. Razem z nim było dwóch stażystów, którym zastępca głównego inżyniera, Diatłow, nakazał ręcznie wprowadzić pręty do reaktora. Gdy Pierewaczenko oznajmił, jakie dostali instrukcje, Juwczenko próbował wyjaśnić mu, że ich misja jest pozbawiona sensu, ponieważ pręty kontrolne i sam reaktor przestały istnieć. Ale Pierewaczenko nalegał. Twierdził, że Juwczenko widział reaktor od dołu, a zniszczenia trzeba ocenić też z góry[465].

Gdy Tregub przeszedł do sterowni, Juwczenko zgodził się pomóc w znalezieniu drogi do hali reaktora. Rozkaz to rozkaz, a poza tym jako jedyny miał latarkę. Czterech mężczyzn udało się schodami z poziomu +12 na poziom +35. Juwczenko kroczył za nimi przez labirynt zawalonych ścian i powyginanych wraków, aż dotarli do masywnej śluzy hali reaktora. Wykonane ze stali i wypełnione betonem drzwi ważyły kilka ton, a mechanizm korbowy utrzymujący je otwarte został zniszczony w wyniku eksplozji. Jeśli weszliby do środka, a drzwi by się za nimi zamknęły, znaleźliby się w pułapce. Juwczenko zgodził się więc zostać na zewnątrz. Oparł się ramieniem o drzwi i z całej siły powstrzymywał je przed zamknięciem, podczas gdy trzej koledzy weszli do środka.

Wewnątrz nie było dużo miejsca. Pierewaczenko stanął na wąskiej półce i poświecił latarką Juwczenki. Żółty snop światła ogarnął zarys gigantycznej Jeleny, która balansowała teraz na krawędzi studni reaktora. Setki stalowych rur zostały wyrwane i sterczały na wszystkie strony niczym włosy sponiewieranej lalki. Po prętach kontrolnych nie było ani śladu. Spoglądając

w roztopiony krater na dole, nagle zdali sobie sprawę, że patrzą wprost w aktywną strefę reaktora – w jego rozpalone wnętrze.

Pierewaczenko, Proskuriakow i Kudriawcew stali na półce, dopóki Juwczenko był w stanie utrzymać drzwi – najwyżej minutę. Ale to i tak okazało się za długo. Cała trójka w kilka sekund otrzymała śmiertelną dawkę promieniowania.

Gdy zszokowani koledzy wrócili na korytarz, Juwczenko chciał osobiście zobaczyć zniszczenia, ale Pierewaczenko, weteran załogi atomowej łodzi podwodnej, który doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, odepchnął młodszego kolegę. Drzwi się zatrzasnęły.

– Nie ma tam nic do oglądania – powiedział. – Wracajmy!

W mroku hali turbin zastępca szefa sekcji, Razim Dawlietbajew, z trudem próbował opanować chaos w swoim oddziale. Przepisy stanowiły, że to operatorzy elektrowni, a nie straż pożarna, powinni gasić pożary w danej części elektrowni, ale płomienie szalały teraz na kilku poziomach hali turbin i groziły jeszcze większą katastrofą. Turbiny wypełnione były setkami litrów wysoce łatwopalnego oleju, a generatory turbin wodorem, który potrzebny był do chłodzenia cewek. Gdyby któraś z tych substancji zapaliłaby się, ogień mógłby rozprzestrzenić się po całej długiej na kilometr hali turbin i objąć pozostałe trzy reaktory lub doprowadzić do kolejnej wielkiej eksplozji czwartego.

W tumanach radioaktywnej pary[466], wśród fontann wrzącej wody leżącej się z pękniętych rur i iskier sypiących się z porwanych kabli, Dawlietbajew nakazał swoim ludziom uruchomienie spryskiwaczy nad turbiną numer 7, a następnie odprowadzenie smaru do zbiorników awaryjnych i zatrzymanie

strumienia oleju tryskającego z przerwanego przewodu na poziomie +5; plama oleju rozlewała się po podłodze na poziomie 0 i spływała do piwnic. Trzech inżynierów przedarło się do zalanych gorącą wodą pomieszczeń, w których mieściły się przyrządy kontrolujące pompy oleju, żeby je wyłączyć i zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia. Dwóch innych ugasiło pożar na poziomie +5, pozostałych czterech walczyło z ogniem gdzie indziej. Główny mechanik odciął pompy od odgazowycy, uniemożliwiając wypływanie radioaktywnej wody z pękniętych rur do hali turbin.

W hali trudno było oddychać, a wilgotne, zaparowane powietrze pachniało ozonem. Operatorzy nie zwracali uwagi na promieniowanie, a spanikowani dozymetryści biegający po bloku nie byli w stanie udzielić żadnej użytecznej informacji, ponieważ wskazówki ich sprzętów wykraczały poza skalę. Większe radiometry schowane były w sejfie i nie można ich było wyciągnąć bez zgody z góry[467]. Razim Dawlietbajew wmawiał sobie, że wyrazisty zapach unoszący się w hali turbin brał się od krótkich spięć, do których ciągle dochodziło[468]. Później, gdy zrobiło mu się niedobrze, mimo że wiedział, iż nudności są wczesnym objawem zatrucia substancjami promieniotwórczymi, wciąż przypisywał je roztworowi jodku potasu, który wypił.

Inżynier Jurij Korniejew zajęty był wyłączaniem turbiny numer 8, gdy przybiegł elektryk Anatolij Baranow[469]. Elektryk zaczął zastępować wodór azotem w generatorach turbin numer 7 i 8, by zapobiec kolejnej eksplozji. Gdy skończyli pracę, wokół zapadła dziwna cisza. Wyszli na mały balkon, żeby zapalić. Dopiero później zdali sobie sprawę z ceny ich przerwy na

papierosa – posadzka pod balkonem pokryta była resztkami promieniującego grafitu z reaktora.

W innych częściach elektrowni inżynierowie zaczęli przeszukiwać gruzy w poszukiwaniu martwych oraz rannych[470]. Operatorzy z poziomu hali turbin uciekli przed eksplozją, ale po pół godzinie okazało się, że brakuje Władimira Szaszenoka, który monitorował test turbiny z pomieszczenia numer 604. Trzech mężczyzn zaczęło się więc przedzierać[471] przez sterty gruzu do miejsca na podwyższeniu po drugiej stronie hali turbin, wewnątrz zabudowań reaktora. Drogę zagraadzały im rumowiska, musieli unikać słupów pary i brodzić po kostki w wodzie[472]. Gdy dotarli do pomieszczenia nr 604, przekonali się, że zostało obrócone w perzynę. Eksplozja powaliła betonowe ściany. Ciemność i gęsty pył nie przepuszczały promienia latarki. W ciemności zaczęli wołać Szaszenoka, ale nie było żadnej odpowiedzi. W końcu natrafili na jego bezwładne ciało. Szaszenok leżał nieprzytomny na boku, a krwista piana spływała mu z ust. Wzięli go pod ramiona i wynieśli z pomieszczenia.

Na zewnątrz porucznik Prawik ze Zmilitaryzowanej Jednostki Straży Pożarnej numer 2 wspinał się po drabinie przeciwpożarowej, która biegła zygzakiem po północnej ścianie bloku numer 3[473]. Buty stukały o metalową konstrukcję. Towarzyszyło mu kilku mężczyzn[474] ze straży w Prypeci, w tym dowódca, porucznik Wiktor Kibenok, a także Wasilij Ignatienko, przysadzisty dwudziestopięciolatek, cieszący się powszechnym szacunkiem sportowiec z brygady numer 6. Słyszał jedynie mruczenie trzech reaktorów elektrowni i trzaski płomieni.

Droga ku górze dłużyła się. Płaskie dachy bloku trzeciego i jego nieszczęsnego bliźniaka wyglądały jak gigantyczne schody. Osiem poziomów budynku tworzyło coś w rodzaju piramidy zwieńczonej blokiem wentylacyjnym, wysokim na dwadzieścia pięter i ukoronowanym kominem dominującym nad obydwoma reaktorami pomalowanym w białe i czerwone pasy. Strażacy mogli stąd dostrzec żarzące się ruiny bloku numer 4 i dokonać oględzin zniszczeń. Wokół nich szalało kilkadziesiąt niewielkich pożarów[475]: u podstawy komina, na dachu bloku trzeciego, a także w oddali, na pokryciu hali turbin. Niektóre z nich, wzniecone przez płonące szczątki wyrzucone przez eksplozję, płonęły intensywnie wysokimi na półtora metra płomieniami [476]. Inne były mniejsze, ale zaskakująco żarliwe, syczące i trzeszczące, niczym zimne ognie. Powietrze wypełniał czarny dym, a także coś jeszcze, czego strażacy nie rozpoznali – mgliste wyziewy o przedziwnym zapachu[477].

W mroku brodzili wśród setek elementów wydzielających śmiertelne promieniowanie jonizujące: kawałków grafitu, fragmentów kanałów paliwowych i grudek ditlenku uranu[478]. Te ostatnie były rozsypanym na dachu paliwem reaktora, emitującym promieniowanie gamma o wydajności tysięcy rentgenów na godzinę.

Prawika i pozostałych przyciągnęło tutaj jednak bardziej namacalne zagrożenie, mianowicie pożary na dachu bloku trzeciego, tuż nad reaktorem[479]. Wiatr z zachodu powodował rozprzestrzenianie się małych pożarów na wciąż działające reaktory nr 1 i 2. Jeśli nie opanują tych pożarów, cała elektrownia stanie na krawędzi katastrofy. Prawik poruszał się szybko. Wraz

z Kibenokiem i jego ludźmi wnieśli na dach węże. Prawik nakazał podłączyć ciężarówki do hydrantów, zaprojektowanych tak, aby dostarczały wodę w górne części elektrowni za pomocą systemu przeciwpożarowego elektrowni. Kiedy jednak uruchomiono pompy, z węży dobiegł tylko syk powietrza.

– Dajcie więcej ciśnienia![480] – krzyknął Prawik przez radio. Bez skutku. Hydranty uległy zniszczeniu w eksplozji.

Tym razem nawet swarliwi mężczyźni z trzeciej zmiany nie uchylali się przed rozkazami. Spoceni, w ciężkich mundurach i gumowych kurtkach, rozwinęli więcej węży niż na szkoleniach – pięć w siedemnaście sekund[481]. Zarzucili je na ramiona, wciągnęli po schodach i rozlali pianę na dach bloku numer 3. Kibenok miał osobnego węża[482] podłączonego do strażackiego urala z Prypeci, który mógł pompować czterdzieści litrów wody na sekundę. Ale mimo tego strażacy na dachu męczyli się z ugaszeniem nawet najmniejszych płomieni, które zdawały się palić jeszcze intensywniej, gdy polewano je wodą[483]. Najprawdopodobniej płonęły grudki ditlenku uranu, który przed eksplozją został podgrzany do temperatury 4000 stopni Celsjusza i zapłonął w kontakcie z powietrzem. Polewane wodą wydzielały tlen, łatwopalny wodór i radioaktywną parę[484].

Na dole dwudziestoczteroletni sierżant Aleksander Petrowski wezwał dwóch mężczyzn, by weszli na dach bloku wentylacyjnego. Jako nastolatek Petrowski znalazł się w ekipie piętnastu spawaczy pracujących przy budowie bloku trzeciego i czwartego. Pomagał stawiać reaktory i znał każde pomieszczenie kompleksu, od piwnicy aż po dach. W tamtych czasach w powietrzu zawsze występowało jakieś promieniowanie i nigdy nie stanowiło

problemu. Nie przejmował się, że napromieniuje się nieco bardziej.

Petrowski zdążył dotrzeć zaledwie do pierwszego poziomu dachów – w połowie drogi na szczyt, na poziomie +30 – gdy napotkał porucznika Prawika i ludzi z brygady w Prypeci zmierzających na dół. Stało im się ewidentnie coś okropnego: sześciu mężczyzn zataczało się i mówiło niewyraźnie, podpierali się nawzajem na schodach, wymiotując. Petrowski nakazał jednemu ze swoich ludzi bezpiecznie sprowadzić ich na dół, a sam ruszył na górę z Iwanem Szawrejem, jednym z białoruskich braci z trzeciej zmiany. Pędząc na poziom +71, na którym, jak sądził, jego towarzysze wciąż walczyli z płomieniami, Szawrej pośliznął się na stromym schodku. Petrowski wyciągnął rękę, żeby go złapać. Wtedy poczuł, jak pożyczona czapka zsuwa mu się z głowy. Bezradnie powiódł za nią wzrokiem, aż zniknęła w mroku, po czym ruszył dalej z odsłoniętą głową, chroniony jedynie przez koszulę i wodoodporną kurtkę.

Po dotarciu na szczyt dwaj strażacy zobaczyli, że są na dachu sami. Pozostał tylko jeden działający wąż, więc zaczęli gasić, co mogli. U podnóża komina wentylacyjnego celowali strumień na płonące szczątki grafitu, ale okazało się, że nawet gdy udało się ugasić ogień, materiał wciąż się żarzył i nie była go w stanie zagasić żadna ilość wody. Po trzydziestu minutach udało się zdusić niemal wszystkie płomienie w pobliżu, ale był jeszcze jeden duży problem: z końca dwumetrowego przewodu wentylacyjnego wciąż wydobywały się języki ognia. Ciśnienie wody było zbyt niskie, a Petrowski nie dosięgał bezpośrednio ujścia przewodu.

Szawrej był o głowę wyższy. W momencie, gdy podawał koledze ciężką, aluminiową dyszę, sierżant Petrowski nagle oślepl[485].

Śmiertelna dawka promieniowania to około 500 remów – rentgenów na przeciętnego człowieka – czyli dawka przyjęta przez przeciętnego człowieka przebywającego przez sześćdziesiąt minut w polu o promieniowaniu 500 rentgenów na godzinę[486]. W niektórych miejscach dachu bloku trzeciego kawałki paliwa uranowego i grafitu emitowały promienie gamma i promieniowanie neutronowe o natężeniu 3000 rentgenów na godzinę[487]. W innych rejonach wartości te mogły sięgać nawet 8000 rentgenów na godzinę, co oznaczało, że człowiek otrzymywał śmiertelną dawkę w niecałe cztery minuty.

Oślepienie Petrowskiego było nagłe, całkowite i trwało tylko trzydzieści sekund. Zdawało się jednak ciągnąć w nieskończoność i wprawilo go w przerażenie. Kiedy wzrok mu wrócił, sierżanta opuściła odwaga.

– Jebać to, Wania! – krzyknął do Szawreja. – Spierdalamy stąd![488]

Po drugiej stronie kompleksu starszy brat Iwana Szawreja, Leonid, walczył z płomieniami na dachu hali turbin. Na wysokości +31,5 wystrzelone szczątki porobiły dziury na wylot w blasze falistej. Niektóre panele całkowicie się zapadły, inne zwisały niebezpiecznie, sprawiając, że w ciemności niemal nie było widać, gdzie można postawić stopę. Żar był tak wielki, że bitumit topił się pod butami, przylepiając do nich i utrudniając chodzenie[489]. Pierwsza grupa strażaków nie była w stanie dosięgnąć płomieni sikawkami, zasypywała więc dziury piaskiem[490].

Gdy Leonid Szawrej zszedł na ziemię po kolejnego węża, dowiedział się, że przybył szef brygady major Leonid P. Tielatnikow, by przejąć dowodzenie[491]. Major nakazał Szawrejowi powrócić na dach hali turbin, a gdyby udało się ugasić płomienie, miał tam pozostać na warcie aż do odwołania. Kilka minut po trzeciej nad ranem dołączył do niego wciąż pijany „ludowym szampanem” porucznik Piotr Chmiel[492]. Razem, wśród porozrzucanych szlauchów i radioaktywnych odłamków, czekali na świt.

W bunkrze pod blokiem administracyjnym dyrektor Briuchanow i jego załoga wciąż wisieli na telefonach, nie mogąc uwierzyć w to, co dzieje się nad nimi[493]. Otumanieni stresem pracowali jak roboty, wciąż jednak trzymali się swojej wersji, że reaktor jądrowy nie może eksplodować. Chociaż wielu z nich widziało już skalę zniszczeń bloku numer 4, nadal nie potrafili – bądź nie chcieli – przyjąć prawdy. Briuchanow osobiście udał się na miejsce katastrofy, ale po powrocie do bunkra nadal nie wierzył w to, co zobaczył. Wolał myśleć, że reaktor jest nienaruszony, a do eksplozji doszło gdzie indziej, na przykład w separatorze pary albo w zbiorniku turbiny. Dyrektor i jego załoga wierzyli, że tak długo, jak podają wodę do reaktora numer 4, niwelując ryzyko jego stopienia, unikną prawdziwej katastrofy.

A jednak nie każdy poddał się złudzeniom[494]. Naczelnik obrony cywilnej elektrowni, Serafim Worobiew, przybył do bunkra tuż po drugiej nad ranem. Pierwsze, co zrobił, to wyjął potężny wojskowy radiometr DP-5 i uruchomił go. Wielkie bakelitowe pudło ze stalową sondą na końcu długiego kabla zostało skonstruowane na wypadek ataku jądrowego i w przeciwieństwie

do liczników Geigera używanych w elektrowni potrafiło wykryć intensywne promieniowanie gamma aż do 200 rentgenów na godzinę. Przepisy nakazywały mu, żeby zgłaszał lokalnym władzom wszelkie wypadki, w konsekwencji których promieniowanie wydostało się poza obszar elektrowni. Worobiew wyszedł więc na zewnątrz, by dokonać pomiarów. Doszedł zaledwie do przystanku autobusowego przy głównym wejściu, gdy instrument wykazał 150 milirentgenów na godzinę – ponad sto razy więcej niż norma. Pobiegnął do Briuchanowa, żeby ten ostrzegł załogę elektrowni i mieszkańców Prypeci.

– Wiktorze Pietrowiczu – powiedział – musimy wydać ostrzeżenie!

Dyrektor nakazał mu czekać. Potrzebował czasu do namysłu. Worobiew wrócił więc do samochodu, by zebrać więcej danych. Gdy podjechał bliżej bloku czwartego, wskazówka DP-5 skoczyła do 20 rentgenów na godzinę. Gdy mijał podstacje elektryczne, doszła do 100 rentgenów i ciągle szła dalej: 120, 150, 175. Wreszcie przekroczyła 200 rentgenów na godzinę i wyszła poza skalę. Worobiew nie wiedział, jakie jest rzeczywiste promieniowanie, ale musiało być ogromne. Podjechał do góry gruzów leżących pod północną ścianą reaktora i ujrzał czarne ślady grafitu. Niecałe sto metrów dalej do czekającej karetki wyprowadzano pierwszych operatorów, dziwnie drażliwych, narzekających na bóle głowy lub nudności albo wymiotujących[495].

Worobiew powrócił do bunkra i podał Briuchanowowi najbardziej ostrożne wiarygodne dane z dozymetru: wokół elektrowni panowało promieniowanie sięgające 200 rentgenów na

godzinę. Nalegał, by ostrzec mieszkańców Prypeci o tym, co się stało.

– Musimy powiedzieć ludziom, że doszło do radioaktywnego wypadku i powinni podjąć środki bezpieczeństwa: zamknąć okna i nie wychodzić na zewnątrz – oznajmił dyrektorowi. Ale Briuchanow wciąż się ociągał. Powiedział, że poczeka aż Korobiejnikow, szef bezpieczeństwa radiacyjnego elektrowni, wyrazi swoją opinię. O trzeciej nad ranem[496] Briuchanow zadzwonił do swoich zwierzchników partyjnych w Moskwie i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Kijowie, by zdać najświeższy raport. Poinformował o eksplozji i częściowym zawaleniu dachu hali turbin. Dodał, że sprawdzana jest kwestia promieniowania.

Minęła godzina, zanim naczelnik do spraw bezpieczeństwa radiacyjnego dotarł na miejsce. Worobiew z niedowierzaniem słuchał jego raportu: pomiary wykazały, że promieniowanie faktycznie jest wyższe, ale wynosi zaledwie 13 mikrorentgenów na godzinę[497]. Twierdził, że dokonał pobieżnej analizy i wynika z niej, że radionuklidy unoszące się w powietrzu to głównie gazy szlachetne, które szybko się rozproszą i nie stanowią dużego zagrożenia dla ludności, więc nie ma o co się martwić. Briuchanow najwyraźniej czekał na taki raport. Wstał, rozejrzał się po pomieszczeniu i powiedział ponuro:

– Niektórzy tutaj niczego nie pojmują i sięją panikę.

Nie było wątpliwości, kogo miał na myśli.

Ale Worobiew wiedział, że niemożliwe jest podejść do elektrowni z któregokolwiek kierunku bez narażania się na promieniowanie dziesiątki tysięcy wyższe, niż donosił naczelnik

do spraw bezpieczeństwa radiacyjnego. Wszystko, co usłyszał, musiało być kłamstwem, a jednak jego wiara we własne doświadczenie i przyrządy została zachwiana[498].

Worobiew wziął DP-5 i po raz trzeci wyszedł na zewnątrz, by zweryfikować wyniki. Gdy pędził w stronę Prypeci, po niebie ciągnął się kosmyk bursztynowej poświaty. Natrafił na policyjną blokadę, gromadę ludzi czekających na otwartej przestrzeni na autobus do Kijowa i ślady po opadzie promieniotwórczym na asfalcie. Natężenie promieniowania gamma rosło co kilka metrów tysiąckrotnie. Gdy wrócił do elektrowni, jego samochód i ubrania były tak zanieczyszczone, że DP-5 nie radził sobie z odczytami. Stukając obcasami, zbiegł po schodach do bunkra w stanie na granicy hysterii i z dzikim spojrzeniem.

– Nie zaszła żadna pomyłka[499] – powiedział do Briuchanowa. – Trzeba podjąć akcję zgodnie z planem.

– Wynoś się – przerwał mu dyrektor i go odepchnął. – Twój sprzęt jest wadliwy. Wynoś się stąd!

Zdesperowany Worobiew podniósł słuchawkę, żeby poinformować ukraińskie i białoruskie władze obrony cywilnej, ale operator powiedział, że nie ma pozwolenia na wykonywanie połączeń międzymiastowych. Ostatecznie udało mu się połączyć z Kijowem dzięki swojej prywatnej linii, której Briuchanow i jego towarzysze w pośpiechu zapomnieli odłączyć. Ale gdy Worobiew przedstawił to, czego się dowiedział, oficer, który przyjął raport, nie uwierzył mu.

Gdy naczelnik działu reaktorowego, Walerij Pierewaczenko, powrócił do sterowni bloku czwartego, zdał zastępcy głównego inżyniera, Diatłowowi, raport z tego, co ujrzał podczas nieudanej

misji ręcznego wprowadzenia prętów kontrolnych. Reaktor został zniszczony. Diatłow zapewnił go, że to niemożliwe[500]. Wiedział, że gdzieś w bloku czwartym doszło do eksplozji, ale nie dopuszczał myśli, że mógł eksplodować sam rdzeń reaktora. Dekady doświadczenia na polu energii jądrowej, nadzorowanie i wodowanie łodzi podwodnych, uruchamianie reaktorów numer 3 i 4 w Czarnobylu nie pozwalały mu w to uwierzyć. Nawet kursy i podręczniki, jakie czytał, by być na bieżąco z przepisami dotyczącymi RBMK-1000, nie wspominały o tym, że reaktor może eksplodować. Diatłow wyruszył osobiście zbadać miejsce, spodziewając się znaleźć dowody na eksplozję gazu gdzieś w systemie chłodzenia rdzenia.

Na korytarzu[501] natknął się na Olega Genricha i potwornie poparzonego Anatolija Kurguza. Skóra zwisała mu z twarzy, a dłonie były w szkarłatnych strzępach. Diatłow nakazał im natychmiast iść do izby chorych, a sam podszedł do okna, skąd z przerażeniem ujrzał, że ściana bloku, od poziomu +12 do +70, czyli ponad siedemnaście pięter, była całkowicie zburzona. Doszedł do końca korytarza, zszedł schodami i powoli obszedł z zewnątrz bloki trzeci i czwarty. Ujrzał wozy strażackie, języki ognia przebiegające po dachach budynków i porozrzucane wszędzie gruzy.

Wróciwszy do sterowni, Diatłow zauważył, że Leonid Toptunow, którego osobiście zwolnił ze stanowiska, powrócił[502]. Rozgniewany zażądał wyjaśnienia tego braku posłuszeństwa, na co młody operator odparł, że wiedziony poczuciem odpowiedzialności za elektrownię i towarzyszy zawrócił, żeby pomóc. Diatłow ponownie nakazał mu odejść, jednak gdy zastępca

głównego inżyniera wyszedł po kilku minutach, uparty Toptunow powrócił. A gdy przybył nowy kierownik zmiany, który miał zastąpić Aleksandra Akimowa, ten także został. Obaj postanowili wypełnić rozkazy i zapewnić dopływ chłodziwa do reaktora, uprzednio znajdując gigantyczne zawory doprowadzające wodę i odkręcając je – jeśli zajdzie potrzeba, nawet ręcznie.

Poziom promieniowania w sterowni był teraz niebezpiecznie wysoki[503]. Liczne kursy wokół reaktora czwartego, na terenie, na którym roilo się od radioaktywnych szczątków, i częste napady wymiotów sprawiały, że Diatłowa opuszczały siły. Tuż przed świtem zabrał wydruki z systemu Skala, monitorującego pracę reaktora w ostatnich chwilach istnienia, i po raz ostatni opuścił sterownię numer 4.

Była godzina 5.15 rano, gdy osłabiony i co chwilę wymiotujący Diatłow, z radioaktywną wodą chlupiącą w butach, chwiejnym krokiem zszedł schodami do bunkra, by zdać raport dyrektorowi Briuchanowowi. Na biurku położył trzy odczyty ze Skali: dwa pokazujące poziom mocy reaktora i jeden pokazujący ciśnienie w obiegu chłodziwa. Ale gdy Briuchanow i Serhij Paraszyn, sekretarz Partii Komunistycznej w elektrowni, poprosili go o wyjaśnienie, co stało się w reaktorze numer 4, Diatłow bezradnie rozłożył ręce.

– Nie wiem. Nic z tego nie rozumiem – powiedział[504].

Przed 5.30 elektrownia wypełniła się technikami i specjalistami, wezwanymi z Prypeci, których zadaniem było powstrzymanie nadciągającej katastrofy. Ignorując instrukcje z góry, naczelnik zmiany reaktora trzeciego nakazał jego awaryjne wyłączenie i odcięcie sterowni od systemu

wentylacyjnego[505]. Po drugiej stronie elektrowni bloki pierwszy i drugi wciąż działały, a operatorzy trwali na swoich stanowiskach. Wszystkie alarmy nieprzerwanie wyły, a pancerne drzwi w korytarzach zostały uszczelnione[506].

Na posadzce korytarza obok sterowni bloku czwartego leżały aluminiowe panele sufitowe, a z góry lała się radioaktywna woda, która w większości przepłynęła przez wrak reaktora i zawierała paliwo jądrowe.

Mimo tego faktu siedzący w bunkrze Briuchanow uparcie powtarzał: „Pompujcie wodę”[507].

Na wysokości +27, wewnątrz wąskiego pomieszczenia z rurami, Aleksander Akimow i Leonid Toptunow brodzili w ciemności, szukając zaworów dostarczających wodę do bębnow separatora[508]. W normalnych warunkach zaworami sterowało się zdalnie, ale teraz kable elektryczne były zerwane, a zasilanie odcięte. Obaj musieli zebrać całą swoją siłę, żeby centymetr po centymetrze przekręcić koło wielkie niczym tors dorosłego mężczyzny. O 7.30 rano, przemoknięci, stojący po kostki w napromieniowanej wodzie leżącej się z sufitu, wreszcie odkręcili zawory w jednym rurociągu z chłodziwem. Od sześciu godzin wystawieni byli na silne promieniowanie gamma i zaczęli doświadczać pierwszych objawów choroby popromiennej. Białe fartuchy poszarzały, były brudne i mokre, nasączone emitującymi cząstki beta radionuklidami uderzającymi w ich skórę z mocą setek rentgenów na godzinę[509]. Toptunow wciąż wymiotował. Akimow ledwie mógł się poruszać[510]. Niezależnie od tego, jak naciskali, ostatni zawór nie chciał się otworzyć. Ostatecznie pomogli im towarzysze, a Toptunow i Akimow powlekli się po

schodach w stronę sterowni bloku czwartego, oświetlając sobie drogę lampą górniczą[511].

Woda, którą z takim wysiłkiem wypuścili, bezużytecznie spływała[512] na zniszczony reaktor, rozlewając się po całym bloku czwartym, po korytarzach i schodach i powoli wyczerpując rezerwy dzielone z blokiem trzecim. Zalewała piwnicę i kable łączące oba reaktory, podnosząc ryzyko kolejnych zniszczeń. Musiało minąć wiele godzin i wielu mężczyzn musiało się poświęcić złudzeniu, że reaktor numer 4 nie ucierpiał, zanim dyrektor Briuchanow i inni w bunkrze przyznali się do potwornej pomyłki.

W sobotę, przed godziną 6.35 rano, z okolic Kijowa do Czarnobyla zostało wezwanych 37 brygad straży pożarnej – 186 strażaków i 81 wozów[513]. Wspólnymi siłami udało im się ugasić widoczne pożary w okolicy budynków bloku czwartego. Zastępca straży pożarnej w obwodzie kijowskim odwołał alarm pożarowy. Z ruin budynku reaktora wciąż jednak wydobywały się ku jasnemu, wiosennemu niebu pasma dymu i coś, co wyglądało jak para.

Starszy inżynier kontroli bloku Boris Stoliarczuk przebrnął przez gruzy do końca korytarza odgazowувacza, wychylił się przez jedno z rozbitych okien sterowni rezerwowej i wyciągnął szyję, żeby spojrzeć w dół. Świtało. Powietrze było jasne i przejrzyste. To, co Stoliarczuk ujrzał, nie przeraziło go, ale w głowie zaświtała mu jedna myśl: „Jestem tak młody, a to już koniec”[514]. Na miejscu reaktora numer 4 tkwił żarzący się wulkan wypełniony uranem i grafitem – radioaktywny piec, którego nie dało się ugasić.

Sobota, godzina 1.30 w nocy, Kijów

Witalij Skliarow nie potrafił zasnąć w swojej luksusowej daczce[515]. Dawno minęła północ, a ukraiński minister energii i elektryfikacji wiercił się w łóżku. Sfrustrowany gapił się w sufit, gdy o wpół do drugiej zadzwonił telefon.

Dzwonił główny dyspozytor ukraińskiej sieci, który ze swojego biura w Kijowie monitorował poziom energii w całej republice. Telefon od dyspozytora w środku nocy oznaczał, że gdzieś w gęstej sieci ukraińskich elektrowni lub linii wysokiego napięcia wydarzyło się coś niedobrego. Przez chwilę Skliarow miał nadzieję, że cokolwiek się stało, tym razem obyło się bez ofiar.

Pięćdziesięcioletni Skliarow kierował całą swoją karierą[516]. Szesnaście lat zajęła mu droga awansu ze stanowiska młodszego technika na stanowisko dyrektora elektrowni węglowej w Ługańsku. Ale na tym jego kariera się nie skończyła. Następnie został głównym inżynierem rady energetycznej w Kijowie, a potem samym ministrem energetyki. Całe życie był komunistą, a jego praca nie tylko umożliwiała mu podróże daleko poza granice ZSRR, lecz także sprawiała, że często miał kontakt z tak zwanymi służbami specjalnymi, czyli KGB. Posmakowanie życia po drugiej stronie żelaznej kurtyny jedynie pogłębiło jego cynizm, a awans w szeregach nomenklatury nauczył go, jak ostrożnie stąpać po polu minowym partyjnej polityki.

Chociaż załogi ukraińskich elektrowni jądrowych bezpośrednio podlegały Moskwie, to Skliarow odpowiadał za wyprodukowaną

przez nich elektryczność. Jako wiceminister energii pomagał uruchomić pierwszy reaktor w Czarnobylu, a teraz miał do czynienia z mandarynami radzieckiego nuklearnego państwa w państwie: Aleksandrowem i Sławskim. Był informowany o problemach w elektrowni, w tym o pęknięciu jednego z kanałów w reaktorze numer 1 we wrześniu 1982 roku [517]. Podczas swojej długiej kariery Skliarow miał do czynienia także z wypadkami w konwencjonalnych elektrowniach – takimi jak powalone linie, przerwy w dostawie energii elektrycznej, pożary kabli i ropy – które nie obeszły się bez rannych i ofiar śmiertelnych[518]. Ale opisywana przez dyspozytora lawina problemów w Czarnobylu rysowała znacznie gorszą wizję katastrofy niż te, z którymi dotąd miał do czynienia.

– Nastąpiła seria zakłóceń operacyjnych w elektrowni jądrowej w Czarnobylu – twierdził rozmówca. – Blok czwarty przestał funkcjonować o 1.20. Dostaliśmy informację o pożarze w elektrowni, który wybuchł w hali głównej i hali turbin bloku czwartego. Utraciliśmy kontakt z elektrownią[519].

Skliarow natychmiast zadzwonił do premiera USRR[520]. Gdy Ołeksandr Laszko usłyszał wieści, nakazał Skliarowowi zwrócić się do samej góry i zadzwonić do I sekretarza Komunistycznej Partii Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Wołodymyr Szczerbicki, przywódca republiki i wieloletni członek Politbiura, był starym partyjniakiem – sześćdziesięcioletnim znajomym Breżniewa, niewykazującym zainteresowania reformami Gorbaczowa. Szczerbicki pozostawił instrukcje, by nie przeszkadzać mu w weekend – wyjechał z Kijowa na wieś, gdzie hodował ukochane

gołębie – i strażnik, który odebrał telefon w jego dacy, odmówił budzenia szefa[521]. Skliarow ponownie zadzwonił do Laszki, przedstawiając sytuację. Pięć minut później zaspany Szczerbicki był już na linii.

– Co się stało? – wymamrotał I sekretarz.

Pierwsze telefony awaryjne rozdzwoniły się u moskiewskich ministrów niecałe trzydzieści minut po eksplozji. Szyfrowane połączenia odezwały się w radzieckim Ministerstwie Energetyki, w trzecim oddziale Ministerstwa Zdrowia i w kwaterze głównej Ministerstwa Obrony. Macki scentralizowanego państwa zaczęły się budzić do życia. Ukraiński minister spraw wewnętrznych poinformował lokalne władze KGB, obronę cywilną, prokuraturę, a także zwierzchników w Moskwie.

Boris Pruszyński, naczelny inżynier organizacji Sojuzatomenergo Ministerstwa Energetyki, przewodniczący OPAS-u, ministerialnej załogi kryzysowej do spraw wypadków w elektrowniach jądrowych, był w łóżku, gdy obudził go telefon od dyżurnej operatorki. Powiedziała mu, że doszło do wypadku w bloku czwartym elektrowni atomowej w Czarnobylu. Następnie odczytała na głos kod sygnału oznaczającego stopień awarii: *Adin, dwa, tri, czetyrie*. „Jeden, dwa, trzy, cztery”. Ledwie przytomny Pruszyński starał sobie przypomnieć, co oznaczają te cyfry. Awaria lokalna czy generalna? Pożar? Promieniowanie? Z ofiarami czy bez? Nie było dobrze. Zaczął się niecierpliwić. „Mówcie normalnie – nakazał. – Co się stało?”[522].

Była godzina 1.50 w nocy.

O godzinie 2.20 telefon z centrali Ministerstwa Obrony obudził marszałka Siergieja Achromiejewa, dowódcę sztabu generalnego

radzieckiej armii[523]. Doszło do eksplozji w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Możliwe, że promieniowanie przedostało się do atmosfery. Nikt niczego nie wiedział na pewno. Achromiejew nakazał oficerowi dyżurnemu uzyskać więcej informacji i zwołać zebranie sztabu generalnego. Gdy godzinę później marszałek dotarł do kwatery głównej, wciąż nie było nowych szczegółów. Mimo to zaczął wydawać rozkazy.

Szef Obrony Cywilnej ZSRR – oddziału radzieckich sił zbrojnych, odpowiedzialnego za ochronę cywilów w wypadku klęski żywiołowej, wojny jądrowej lub ataku chemicznego – był na konferencji we Lwowie[524]. Marszałkowi udało się do niego dodzwonić i wydać rozkaz natychmiastowego utworzenia mobilnej jednostki rozpoznania radiacyjnego obrony cywilnej w Kijowie. Zawiadomił też specjalny oddział radzieckiej armii zajmujący się skażeniami radioaktywnymi, znajdujący się na wschód od rzeki Wołgi, nakazując przetransportować do Czarnobyla drogą lotniczą sprzęt i ludzi. Jak zrozumiał generał pułkownik Boris Iwanow, zastępca generała Radzieckich Sił Obrony Cywilnej, miał do czynienia z eksplozją gazu i pożarem w bloku czwartym czarnobylskiej elektrowni. Zamierzał rozmieścić żołnierzy zgodnie z opracowanymi planami. Mieli oni chronić pracowników i pobliskich mieszkańców w razie kolejnych wypadków w elektrowni. Do takich scenariuszy jego załoga została specjalnie przeszkolona.

Boris Pruszyński wysłuchał dyżurnej operatorki dekodującej raport o wypadku: najwyższy stopień zagrożenia, podejrzenie poważnego wypadku z wyciekiem promieniowania do atmosfery, pożar i eksplozja. Poprosił ją o połączenie bezpośrednio

z elektrownią. Dziesięć minut później zadzwonił do niego kierownik zmiany z Czarnobyla, ale nie potrafił udzielić dokładniejszych informacji. Powiedział tylko, że reaktor został wyłączony i do rdzenia pompowane jest chłodziwo. Nie było wiadomo, czy są ofiary. Pozostając na linii, próbował połączyć się przez interkom z blokiem czwartym, ale nikt nie odpowiadał.

Pruszyński odłożył słuchawkę i natychmiast wydał rozkaz wezwania wszystkich osiemnastu członków załogi kryzysowej do spraw wypadków w elektrowniach jądrowych na naradę – po raz pierwszy od jej powstania[525]. Następnie zadzwonił do swojego przyjaciela Georgija Kopczyńskiego, fizyka, który spędził trzy lata w Czarnobylu jako zastępca głównego inżyniera i doskonale znał załogę oraz samą elektrownię[526]. Aktualnie przebywał w Moskwie, gdzie w Komitecie Centralnym Komunistycznej Partii pełnił funkcję starszego doradcy do spraw energii jądrowej. Pruszyński poinformował go, że w elektrowni doszło do wypadku, ale nie są znane żadne szczegóły.

– Doszło do jakiejś eksplozji – powiedział. – Płonie czwarty blok[527].

Kopczyński zadzwonił do swojego przełożonego, Władimira Marina, szefa przemysłu nuklearnego Komunistycznej Partii. Uzgodnili, że członkowie partii powinni się jak najszybciej spotkać w biurach Komitetu Centralnego. Następnie wezwał samochód, ubrał się, spakował małą walizkę i udał się do Sojuzatomenergo przy alei Chińskiej[528]. Gdy przybył na miejsce, dyrektor czekał już przy biurku, a oficer KGB siedział w rogu i nic nie mówił. Kiedy zjechali się członkowie OPAS-u, postanowiono skoordynować działania z innymi ministerstwami i oddziałami:

Ministerstwem Budowy Maszyn Średnich, Ministerstwem Zdrowia i Krajowym Komitetem Hydrometeorologii, który monitorował pogodę i stan środowiska w całym Związku Radzieckim.

Cały czas próbowali się połączyć z elektrownią atomową w Czarnobylu. Bezskutecznie[529].

O trzeciej nad ranem Władimir Marin wciąż był w domu, gdy telefon zadzwonił po raz drugi. Dzwonił sam Wiktor Briuchanow z bunkra pod elektrownią. Dyrektor przyznał, że w elektrowni doszło do potwornego wypadku, ale zapewnił przełożonego, że sam reaktor pozostał nienaruszony[530]. Marin przekazał wiadomość żonie, następnie szybko się ubrał i nakazał szoferowi zawieźć się do Komitetu Centralnego. Przed wyjściem zadzwonił do swojego bezpośredniego przełożonego, który następnie przekazał wiadomość wyżej.

Gdy nad Kremlen świtało[531], a na liniach specjalnych łączących Moskwę, Kijów i Czarnobyl ruch robił się coraz bardziej napięty, uspokajające zapewnienia Briuchanowa rozchodziły się wśród partyjnych wyższych sfer.

Przed szóstą wiadomość o wypadku dotarła do ministra energetyki ZSRR Anatolija Majorieca, który zadzwonił do premiera Związku Radzieckiego Nikołaja Ryzkowa. Poinformował go, że w elektrowni doszło do pożaru, jeden blok nie funkcjonuje, ale sytuacja jest pod kontrolą. W drodze do miejsca wypadku jest grupa ekspertów, która ma uzyskać więcej informacji, a jego zastępca od energii jądrowej – doświadczony specjalista od spraw nuklearnych – został wezwany z wakacji na Krymie, żeby na miejscu poprowadzić komisję[532]. Ryzkow nakazał Majorieczowi

skontaktować się z ekipą i oddzwonić, jak tylko uzyska więcej informacji[533].

Tymczasem w Sojuzatomenergo Georgij Kopczyński wraz z innymi ekspertami jądrowymi zaczęli domyślać się, że sytuacja może być znacznie gorsza, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. Udało im się połączyć z kierownikiem zmiany w elektrowni, który ujawniał objawy paniki. Dyrektor agencji poinstruował go, żeby znalazł kogoś z zarządu elektrowni i nakazał mu natychmiast zadzwonić do Sojuzatomenergo.

Jako pierwszy zadzwonił zastępca głównego inżyniera w Czarnobylu. Ze spokojem powiedział, co wie: blok czwarty został wyłączony z powodu rutynowych prac konserwacyjnych, przeprowadzano jakieś testy związane z elektryką, ale nie mógł powiedzieć, jakie dokładnie. Podczas testów doszło do wypadku.

Kiedy jednak zapytano go, jak przebiega proces chłodzenia rdzenia, który był niezbędny w celu szybkiej naprawy i ponownego uruchomienia reaktora, inżynier nagle stracił nad sobą panowanie.

– Nie ma już czego chłodzić! – krzyknął, po czym na linii zapanowała cisza[534].

Przebywający w swoim kijowskim biurze ukraiński minister energii Witalij Skliarow, nie mogąc uzyskać bardziej precyzyjnych informacji o tym, co wydarzyło się w elektrowni, wysłał swojego zastępcę do spraw energii jądrowej samochodem do Czarnobyla. Przez kolejne dwie godziny, zanim jego wysłannik dotarł na miejsce, Skliarow uparcie próbował się dodzwonić do elektrowni i wisił na telefonie ze swoimi zwierzchnikami w Moskwie.

Wyczuwał atmosferę coraz głębszej rozpacz, ale nikt nie potrafił udzielić konkretnych odpowiedzi[535].

O 5.15 rano zastępca zadzwonił z miejsca katastrofy i powiedział, że elektrownia wciąż płonie, a strażacy zmagają się z ogniem. Dach i dwie ściany reaktora się zawaliły, przyrządy nie działają i kończą się zapasy wody do chłodzenia reaktora. Skliarow zadał kluczowe pytania, na które odpowiedzi unikał każdy, kogo pytał: Jaki jest poziom promieniowania? W jakim stanie jest reaktor? Ale nawet jego zaufany specjalista nie potrafił na nie odpowiedzieć.

– Sprawy wyglądają bardzo, bardzo źle – wydusił z siebie.

Jaki wypadek mógł tak bardzo wykraczać poza kompetencje specjalistów?

Skliarow ponownie zadzwonił do I sekretarza Szczerbickiego i powtórzył, czego się dowiedział.

– Witaliju Fiedorowiczu – zaczął Szczerbicki, a Skliarow wstrzymał oddech. Kiedy I sekretarz zwracał się przez patronimik, zawsze oznaczało to problemy. – Musicie tam pojechać osobiście.

Skliarow nie miał ochoty zbliżyć się do płonącej elektrowni jądrowej, próbował więc stawiać opór.

– Elektrownia podlega Moskwie. Nie należy do nas – argumentował.

– Elektrownia może i nie należy do Ukrainy – odparł Szczerbicki – ale ziemia i ludzie tak[536].

Dyrektor Briuchanow siedział przy biurku w bunkrze pod elektrownią otępiały ze zdumienia. Najwyraźniej wciąż nie pojmował prawdziwej skali katastrofy i nie przyjmował do

wiadomości odczytów promieniowania dostarczonych przez naczelnika obrony cywilnej. Główny inżynier Fomin, który zatwierdził test bloku czwartego bez informowania o nim Briuchanowa, wydawał się w szoku. Jego pewność siebie została złamana niczym spróchniała gałązka. Siedział, powtarzając w kółko głosem zagubionego dziecka to samo pytanie: „Co się stało? Co się stało?”[537].

Przed ósmą rano próbki pobrane przez specjalistów[538] z Departamentu Bezpieczeństwa Nuklearnego wykazały w glebie i wodzie w pobliżu elektrowni obecność produktów rozszczepiania atomów i cząstek paliwa jądrowego. Był to ostateczny dowód, że rdzeń reaktora uległ zniszczeniu, a radioaktywne substancje przedostały się do atmosfery. Przed dziewiątą[539] wysłani przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych żołnierze w zielonych gumowych płaszczach i maskach gazowych blokowali dostęp do elektrowni, a wiceprzewodniczący partii w obwodzie kijowskim, Władimir Małomuż, przybył na miejsce, by ocenić, jak sobie radzą z kryzysową sytuacją. Czekał w biurze Briuchanowa na trzecim piętrze budynku administracyjnego, podczas gdy dyrektor wysłuchiwał raportów[540]. Lekarz zarządzający izbą przyjęć w elektrowni poinformował o ofiarach. Jedna osoba nie żyła i było kilkudziesięciu rannych. Nie ulegało wątpliwości, że zostali wystawieni na niezwykle wysoki poziom promieniowania; wykazywali oznaki choroby popromiennej. A mimo to kierownik działu dozymetrii, który miał dokonać pomiarów promieniowania poza elektrownią, upierał się, że nie ma potrzeby ewakuacji Prypeci. Worobiew, naczelnik obrony cywilnej elektrowni, ponownie próbował się wtrącić, przypominając, że ich

obowiązkiem jest poinformowanie mieszkańców o wypadku, ale tym razem przerwał mu Małomuż.

– Siadajcie – powiedział. – Nie wy o tym decydujecie[541].

Wiceprzewodniczący partii w obwodzie kijowskim nakazał Briuchanowowi dostarczyć pisemny raport na temat sytuacji. Został on sporządzony przez kilka osób z personelu pod nadzorem sekretarza elektrowni i dostarczony na biurko dyrektora około godziny dziesiątej[542]. Dokument był zwięzły – zajmował jedną stronę maszynopisu – i stwierdzał eksplozję, zapadnięcie się dachu hali reaktora i ogień, który został już niemal ugaszony. Trzydziestu czterech strażaków trafiło do szpitala. Dziewięciu doznało poparzeń różnego stopnia, a trzech było w stanie krytycznym. Jeden człowiek zaginął, a inny zmarł. Nie wspomniano o ofiarach napromieniowania. W dokumencie stwierdzono, że poziom promieniowania w okolicy bloku czwartego sięgał 1000 mikrorentgenów na sekundę – czyli akceptowalne 3,6 rentgena na godzinę[543]. Nie uściślał jednak, że był to maksymalny odczyt, na jaki pozwalały wykorzystane przyrządy[544]. Kończył się zapewnieniem, że sytuacja w Prypeci jest w normie i że badany jest poziom napromieniowania w mieście. Briuchanow podpisał się pod dokumentem niebieskim długopisem.

Około dziewiątej rano, gdy wojskowy samolot z Borisem Pruszyńskim i jego ekipą na pokładzie startował[545] z moskiewskiego lotniska Czkałowski, premier Ryżkow przybył na Kreml. Nikołaj Ryżkow był synem górnika i ekspertem w logistyce. Jego sumienna praca nad zarządzaniem radziecką gospodarką pomogła mu w awansie. Miał pięćdziesiąt sześć lat,

był energiczny i w dobrej formie, z sympatią przyjmował reformy Gorbaczowa. Zwykle zaglądał do swojego biura[546] w weekendy nieco spóźniony i tym razem nie było wyjątku. Gdy tylko przybył, nakazał Anatolijowi Majorieczowi podać najświeższe informacje na temat pożaru na Ukrainie.

Raport ministra energii był przygnębiający. Majoriec twierdził, że sprawy mają się znacznie gorzej, niż początkowo sądził: to nie był zwykły wypadek. Doszło do eksplozji w jednym z reaktorów. Zniszczenia były ogromne. Konsekwencje trudne do przewidzenia. Trzeba było podjąć natychmiastowe środki.

Ryżkow nakazał Majorieczowi zebrać drugą ekipę bardziej doświadczonych ekspertów i natychmiast polecieć do Kijowa. Wydał polecenie Aerofłotowi, by udostępniono samolot. Następnie, zgodnie z przyjętymi procedurami przy poważnej katastrofie, Ryżkow zaczął organizować jeszcze jedną ekipę, w skład której wchodzić mieli jeszcze bardziej doświadczeni eksperci, których osobiście wybrał do składu rządowej komisji. Mieli za zadanie udać się na miejsce zdarzenia i ocenić, kto jest odpowiedzialny za wypadek i jakie są jego konsekwencje. Na przewodniczącego wybrał Borisa Szczerbinę, łysiejącego i o twarzy buldoga, wiceministra ZSRR zajmującego się sprawami paliw i energetyki[547]. Przebywał właśnie w Orenburgu przy granicy z Kazachstanem, gdzie miał wygłosić przemówienie do miejscowych pracowników przemysłu naftowego. Ryżkow nakazał mu natychmiast się pakować i wracać do Moskwy, gdzie czekał na niego samolot na Ukrainę [548].

O jedenastej, gdy druga ekipa pod przewodnictwem Majorieca była już w drodze, Ryżkow podpisał formalny dekret o powołaniu

komisji. Polecił jak najszybciej zebrać jej członków, w tym ekspertów z Radzieckiej Akademii Nauk, Instytutu Kurczatowa, Prokuratury Generalnej ZSRR, KGB, Ministerstwa Zdrowia i Rady Ministrów Ukrainy.

Członek akademii Walerij Legasow[549], pierwszy wicedyrektor Instytutu Energii Atomowej imienia Kurczatowa, obudziwszy się rano, nie był świadom wydarzeń na Ukrainie. Zapowiadał się piękny dzień. Nie wiedział, czy spędzić go z żoną, Margaritą, czy udać się do pracy na wydziale Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego, czy na zebranie aktywu Komunistycznej Partii w siedzibie Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich.

Jak na wiernego komunistę przystało, wybrał spotkanie partyjne. Kiedy przybył na nie tuż przed godziną dziesiątą, kolega wspomniał mu o nieprzyjemnym incydencie w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Zebranie poprowadził przewodniczący Średmaszu, Jefim Sławski. Płynęło tradycyjne pustosłowie: starszy człowiek drobiazgowo i monotonicznie wyliczał sukcesy i zwycięstwa ministerstwa, a garstkę towarzyszy zrugął za porażki. Ogólnie wszystko szło wspaniale, jak zawsze: wszystkie plany udało się wykonać, zrealizowano cele. W trakcie tego tradycyjnego wychwalania cudów przemysłu nuklearnego Sławski zrobił pauzę i wspomniał, że najwyraźniej doszło do jakiejś awarii w elektrowni atomowej na Ukrainie. Szybko jednak dodał, że elektrownią tą zarządzają towarzysze z Ministerstwa Energetyki. Wypadek nie mógł powstrzymać dumnego marszu radzieckiej energii jądrowej.

W południe zarządzono przerwę i Legasow udał się na piętro, by porozmawiać z kolegą. Tam Aleksander Meszkow, zastępca Sławskiego, przekazał mu pilną wiadomość: Legasow został wybrany do komisji rządowej badającej wypadek w Czarnobylu. O czwartej po południu miał stawić się na moskiewskim lotnisku Wnukowo. Legasow wezwał samochód, żeby natychmiast zabrał go do Instytutu Kurczatowa. Był doświadczonym specjalistą w wiodącej agencji prowadzącej badania nad energią jądrową, ale z wykształcenia był chemikiem, a nie specjalistą od reaktorów. Potrzebował porady eksperta.

Walerij Legasow, syn starszego ideologa partyjnego, był przewodniczącym komitetu Komunistycznej Partii w instytucie Kurczatowa[550]. W latach pięćdziesiątych, jeszcze jako studenci, wstąpili wraz z Margeritą do Komsomołu, by zbierać pszenicę na równinach południowej Syberii. Po obronie dyplomu Walerij wolał pracę w radiochemii w odległym chemicznym kombinacie Tomsk-7 zamiast ciepłej posady w Moskwie. Był intelektualistą i naukowcem, wierzył w socjalizm i równe traktowanie nawet wykształconej elity. Legasow był dowcipny i pewny siebie, a jego uprzywilejowane pochodzenie pozwoliło mu z pewnością siebie wypowiadać się w świecie zahukanych aparatczyków. W wolnym czasie pisał wiersze. Pomimo swojej szczerości był lubiany przez partyjnych zwierzchników i szybko piął się po szczeblach kariery, zdobywając nagrody za swoją pracę i wszelkie zaszczyty, które mógł zdobyć radziecki naukowiec, z wyjątkiem najwyższego odznaczenia ze wszystkich, czyli medalu Bohatera Pracy Socjalistycznej.

Legasow był krępy, ale umięśniony, miał ciemne włosy i nosił grube okulary. Dotarł właśnie do szczytu swojej kariery i żył uprzywilejowanym życiem szanowanego radzieckiego naukowca. Grał w tenisa, jeździł na nartach, pływał i dużo podróżował. Razem z żoną zajmowali willę przy trzypasmowej ulicy Spacerowej 26, nieopodal jego gabinetu. W willi przyjmowali przyjaciół i kolegów z instytutu, w tym jego szefa Anatolija Aleksandrowa. Osiemdziesięcioletni przewodniczący Akademii Nauk i przewodniczący Instytutu Kurczatowa był sąsiadem Legasowa. Aleksandrow lubił wpadać na kolację i partię szachów. Często mawiał, że jego zastępca potrafi myśleć kilka ruchów naprzód [551]. Liczący zaledwie czterdzieści dziewięć lat Legasow zdawał się pewnym następcą dyrektora Instytutu Kurczatowa, gdy tylko Aleksandrow ustąpi miejsca.

Na jego drodze stała tylko jedna osoba: jego drugi sąsiad, Jewgienij Welichow, tęgi i towarzyski fizyk plazmy wywodzący się z rodziny wynalazców i wolnomyślicieli[552]. Był zwierzchnikiem zakładu badań termojądrowych, wchodzącego w skład Instytutu Kurczatowa, który znajdował się na przedmieściach Moskwy, a także wysoko postawionym członkiem administracji Instytutu Kurczatowa. Podróżował na Zachód[553], miał dobre kontakty z tamtejszymi naukowcami, sprawnie porozumiewał się po angielsku i lubił nosić krawaty uniwersytetu Princeton. Ale rzadko wpadał na przyjęcia przy Piechotnej 26. Gdy Legasow wyznał, że zastanawia go domniemana wrogość kolegi, żona dała mu prostą radę: „Nie opowiadaj mu tak często o swoich sukcesach”[554].

Legasow dotarł do instytutu w porze obiadowej i chwilę mu zajęło, zanim znalazł człowieka, którego szukał – Aleksandra Kaługina, eksperta do spraw reaktorów RBMK. Kaługin miał tego dnia wolne, ale gdy dowiedział się o powołaniu, przyniósł ze sobą całą dokumentację techniczną na temat elektrowni w Czarnobylu, jaką tylko potrafił znaleźć[555]. Następnie Legasow udał się do domu, by poinformować żonę, że wyjeżdża, chociaż sam nie wiedział po co i na jak długo, a następnie udał się na lotnisko. Pomimo ładnej pogody wciąż miał na sobie garnitur i drogi skórzany płaszcz, które założył rano[556].

Około godziny jedenastej, nieco ponad dziewięć godzin od wybuchu, pierwsze samoloty z Moskwy wylądowały na lotnisku w Kijowie[557]. Dowodzona przez Borisa Pruszyńskiego ekipa do spraw wypadków nuklearnych z Ministerstwa Energetyki miała w składzie naukowców z Sojuzatomenergo i instytutów, które projektowały reaktor i elektrownię, członków KGB oraz grupkę specjalistów ze Szpitala numer 6 w Moskwie – kliniki Instytutu Biofizyki, specjalizującej się w leczeniu obrażeń wywołanych promieniowaniem. Po wylądowaniu Pruszyński dowiedział się, że w drodze na miejsce jest komisja rządowa, która ma przejąć kontrolę nad sytuacją[558]. Jeśli jednak do Biura Politycznego w Moskwie dotarły świeże informacje na temat skali wypadku, nie przekazano ich Pruszyńskiemu i jego specjalistom. Liczącą sto czterdzieści kilometrów trasę do Prypeci pokonali autobusem, pod eskortą policyjną i w ponurych nastrojach. Wiedzieli, że dwóch mężczyzn zmarło. Wciąż jednak nie mieli pojęcia, co się stało. Może zawalił się dach hali reaktora albo jakaś maszyna stanęła

w ogniu? Nadal myśleli, że RBMK został bezpiecznie wyłączony i jest chłodzony wodą. Nikt nie spodziewał się więcej ofiar.

Kiedy autobus dojechał do rozwidlenia, z którego jedna droga prowadziła do miasta, a druga do elektrowni, Pruszyński, ku swojemu zdumieniu ujrzał oficera milicji noszącego maseczkę przeciwpylową do letniego munduru. Lepestok, czyli „płatek”, to maska radzieckiej produkcji filtrująca radioaktywne cząstki z powietrza. Nie rozumiał, skąd konieczność jej użycia. Osoba, która w Prypeci wyszła im na powitanie, zapewniła go, że wszystko jest pod kontrolą. Pruszyński odetchnął z ulgą i zameldował się w hotelu Polesie – siedmiopiętrowym betonowym budynku z widokiem na główny plac – a następnie zszedł na obiad do hotelowej restauracji. Po posiłku wszedł na hotelowy taras i ujrzał zmierzającego ku niemu dyrektora Briuchanowa.

– Co się stało z reaktorem? – zapytał Pruszyński.

Chociaż zszokowany dyrektor wciąż podawał przełożonym sprzeczne informacje i jeszcze przez kilka kolejnych godzin miał im wmawiać, że reaktor numer 4 pozostał nienaruszony[559], tym razem powiedział prawdę:

– Nie ma już żadnego reaktora.

Pruszyńskiego zamurowało. Zdawał sobie sprawę, że ten człowiek nie jest ekspertem nuklearnym, ale to, co mówił, było wprost niepojęte.

– Niech pan sam spojrzy – polecił zdesperowany Briuchanow. – Separatory widać z ulicy.

Tymczasem w Moskwie wcześniejszy pisemny raport Briuchanowa docierał do członków partii różnego szczebla. Koło

południa zastępca ministra energetyki, Aleksiej Makuchin, wysłał do Komitetu Centralnego siedemnastowersowy telegraf na podstawie uspokajającego raportu dyrektora. Chociaż opatrzony był nagłówkiem „Pilny”, przeszedł z Departamentu Głównego[560] do Departamentu Energetyki Atomowej i dopiero sobotniego popołudnia dotarł do Gorbaczowa.

„Doszło do eksplozji w górnej części komory reaktora – głośna depecha. – Dach, część ścian komory reaktora, kilka paneli sufitowych w maszynowni (...) zostało zniszczonych w wyniku eksplozji, a dach stanął w płomieniach. Ogień został ugaszony o 3.30”[561].

Dla rządu, który przyzwyczajony był do katastrof przemysłowych, nie było to nic zaskakującego. Doszło do jakiejś eksplozji. Wybuchł pożar, który najwyraźniej ugaszono. Poważny wypadek, ale wszystko pod kontrolą. Najważniejsze, że sam reaktor nie został uszkodzony. Udało się zapobiec potencjalnej katastrofie nuklearnej.

„Personel przedsięwziął kroki, aby schłodzić paliwo w rdzeniu reaktora – głosił dalej raport. – W opinii dyrekcji Ministerstwa Zdrowia ZSRR nie są wymagane specjalne środki, w tym ewakuacja ludności miasta”.

O godzinie czternastej na pokładzie wycarterowanego odrzutowca przybyła z Moskwy do Kijowa druga ekipa, tym razem starszych przedstawicieli rządowych[562]. Witalij Skliarow, ukraiński odpowiednik Majorieca, powitał ich na płycie lotniska i razem przesiedli się do dwóch, staroświecko wyglądających dwupłatowców Antonow An-2. Majoriec, który był nowy na tym

stanowisku i nie był ekspertem od spraw jądrowych, powiedział z pewnością w głosie:

– Wiecie co? Chyba nie posiedzimy w Prypeci długo. – Myślał, że najdalej za czterdzieści osiem godzin wrócą do domu.

– Anatoliju Iwanowiczu – odparł Skliarow. – Nie sądzę, aby wystarczyły nam dwa dni.

– Nie próbujcie nas przestraszyć, towarzyszu Skliarow. Naszym głównym zadaniem jest przywrócenie sprawności uszkodzonemu reaktorowi najszybciej, jak to możliwe, i ponowne podłączenie go do sieci[563].

Wylądowali na gruntowym pasie w pobliżu Czarnobyla i pomknęli do Prypeci. Gdy jechali w cieniu topoli prospektem Lenina, Skliarow zauważył, że ludzie wiodą swoje życie, jak w każde inne sobotnie popołudnie. Dzieci grają w piłkę. Na balkonach rozwieszona jest świeże pranie, a przed nowym centrum handlowym spacerują pary[564]. Zapytał kogoś o poziom promieniowania i usłyszał, że jest ono około dziesięciu razy wyższe od promieniowania tła, czyli w dopuszczalnych normach[565]. Tchnęło to w niego odrobinę optymizmu.

Ministrowie zgromadzili się w siedzibie Komunistycznej Partii w Prypeci i ispołkomu oraz w ratuszu miejskim, czteropiętrowym betonowym budynku obok hotelu Polesie, nazywanym przez jego pracowników Biełyjim Domem, czyli Białym Domem. Małomuż, przewodniczący partii z Kijowa, ustanowił tam swój posterunek. Generał Iwanow, szef Radzieckiej Obrony Cywilnej, który przybył z Moskwy, zaproponował, żeby przedstawiciele partii wydali przez radio komunikat ostrzegający mieszkańców Prypeci o wypadku.

W tym czasie jego żołnierze badali poziom napromieniowania wokół elektrowni i w mieście.

Zgromadzeni ministrowie i eksperci rozpoczęli zażartą debatę, jak najlepiej ochłodzić reaktor numer 4 i uprzątnąć bałagan spowodowany katastrofą. Nie udało im się jednak podjąć konkretnych działań przed przybyciem z Moskwy przewodniczącego komisji, Borysa Szczerbiny. Było ciepło i słonecznie. W hotelu obok rozpoczęła się tradycyjna ukraińska ceremonia ślubna.

Krążąc helikopterem nad miejscem katastrofy[566], Boris Pruszyński przekonał się, że dyrektor Briuchanow miał rację co do reaktora numer 4 w elektrowni w Czarnobylu. Wciąż jednak trudno mu było uwierzyć w to, co widział.

Dach hali głównej się zawalił. W środku był tylko czarny krater, a ponad dziesięć pięter zostało jakby wyjętych za pomocą wielkiej łyżki. Północna ściana budynku leżała w gruzach porozrzucanych po dachach niższych budynków, aż po kraniec kompleksu. W ruinach hali mógł dostrzec wraki 120-tonowej maszyny do przeładunku paliwa, głównych pomp cyrkulacyjnych i awaryjnych zbiorników z chłodziwem. Pilot przechylił helikopter na bok, żeby fotograf mógł zrobić zdjęcia przez okno. Pruszyński ujrzał pokrywę reaktora – ważącą dwa tysiące ton betonowo-stalową Jelenę – wywróconą do góry nogami. Pod nią, głęboko w studni reaktora, pomimo świecącego jasno słońca dostrzegł żarzącą się siatkę utworzoną przez pręty paliwowe, a także plamę, która świeciła groźnym, pomarańczowym kolorem. Gdy helikopter oddalał się z miejsca, Pruszyński próbował przyjąć do

wiadomości to, co jego umysł wciąż odrzucał: reaktor numer 4 przestał istnieć.

O godzinie szesnastej podczas posiedzenia partii w pomieszczeniu konferencyjnym Białego Domu główny inżynier Nikołaj Fomin przyznał w końcu, że wysiłki dostarczania chłodziwa do reaktora numer 4 okazały się próżne[567]. Przyznał też, że reaktor został zniszczony i wszędzie wałały się resztki wysoce radioaktywnego grafitu. Ale to nie wszystko. Nad ranem fizycy z elektrowni weszli do sterowni bloku czwartego i ustalili, że przed eksplozją pręty kontrolne nie zostały w pełni wprowadzone do reaktora[568]. Podejrzewali, że paliwo pozostałe w kanałach RBMK może wkrótce zainicjować nową reakcję łańcuchową, tym razem na otwartej przestrzeni, i że nie będą jej w stanie kontrolować. Kiedy reaktor się obudzi, wywoła kolejne eksplozje, które wyrzucą do atmosfery śmiertelne promieniowanie gamma i promieniowanie neutronowe niecałe dwa i pół kilometra od Prypeci. Ustalili, że do osiągnięcia kolejnego stanu krytycznego pozostały tylko trzy godziny. Mieli czas do około godziny siódmej wieczorem.

Tuż przed siedemnastą do Białego Domu przyjechał starszy porucznik Aleksander Logaczew z obrony cywilnej okręgu kijowskiego z pomiarami promieniowania wokół elektrowni. Jego opancerzony siedmiotonowy pojazd pędził prospektem Lenina z prędkością stu kilometrów na godzinę – tak szybko, że na wiadukcie kolejowym wyskoczył w powietrze – a następnie wjechał po schodach na deptak przed głównym wejściem. Zdyszany Logaczew pokazał Małomużowi mapę, na której

ołówkiem zaznaczony był poziom promieniowania nieopodal stołówki w elektrowni: 2080 rentgenów na godzinę[569].

– Mieliście na myśli milirentgeny – zauważył szef partii.

– Rentgeny – uściślił Logaczew.

Przełożony dalej studiował mapę. Wypalił jednego papierosa i zapalił kolejnego.

– Musimy ewakuować miasto – stwierdził[570].

Samolot ze Szczerbiną i Legasowem na pokładzie wylądował na lotnisku Kijów-Żulany o godzinie 19.20[571] w sobotę. Powitała ich delegacja zdenerwowanych ukraińskich ministrów i kolumna połyskujących czarnych samochodów, która o zmroku dowiozła ich pod drzwi i społkomu w Prypeci[572]. W trakcie drogi na północ Legasow patrzył, jak farmy kołchozów ustępują miejsca chłopskim pastwiskom, bagnom, łągom i gęstym lasom sosnowym[573]. On i Szczerbina byli spięci tym, co ich czekało, rozmowa się nie kleiła i w końcu przygasła. W przedłużającej się ciszy Legasow pragnął jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Dotarłszy do Prypeci, Szczerbina – mający duże doświadczenie z eksplozjami gazu i innymi wypadkami przemysłowymi – wyłonił się z limuzyny marki Czajka z uśmiechem pewności siebie na ustach[574]. Oto na miejsce przybył wybawca gospodarki planowej, aby uchronić podwładnych przed potencjalnie złymi decyzjami.

Skliarow, ukraiński minister energetyki, często widywał Szczerbinę podczas inspekcji budowlanych w republice elektrowni. Sześćdziesięciosześcioletni Szczerbina był inteligentny, energiczny, pracowity, uparty i pewny siebie, ale też emocjonalny i impulsywny, zawsze gotowy pokazać, że zna się

lepiej od innych, nawet specjalistów[575]. Był niski i żylasty, a nikczemną posturę nadrabiał władcym sposobem bycia. Niektórzy traktowali go z respektem i podziwem[576]. Ale minister energetyki nie potrafił z nim pracować.

Szczerbina po cichu przedstawił się każdemu z zebranych ekspertów, aż doszedł do Skliarowa, który był już w elektrowni i na własne oczy widział zniszczenia.

– Sracie w spodnie? – zapytał Szczerbina.

– Jeszcze nie – odparł Skliarow. – Ale obawiam się, że zmierzamy w tym kierunku[577].

W budynku znajdował się Boris Pruszyński, który właśnie wrócił z elektrowni. Gdy zjawił się Szczerbina, Pruszyński stał na korytarzu i dzielił się swoimi niepokojącymi odkryciami z radzieckim ministrem energetyki jądrowej. Przeleciawszy nad reaktorem helikopterem, Pruszyński kontynuował swoje dochodzenie na ziemi, badając ruiny bloku czwartego przez lornetkę. Widział przez nią kawałki grafitu rozrzucone na ziemi wokół elektrowni. Było jasne, że doszło do eksplozji w reaktorze i w gruzach leżą kawałki paliwa jądrowego.

– Musimy ewakuować miejscową ludność – powiedział Pruszyński.

– Dlaczego siejcie taką panikę? – zapytał Szczerbina[578].

Pierwsze posiedzenie rządowej komisji rozpoczęło się w sekretariacie partii w Prypeci po dwudziestej drugiej. Trzydziestu ministrów, wojskowych i ekspertów zajęło trzy rzędy krzeseł przy drzwiach. Szczerbina stanął pośrodku pomieszczenia przy stole zawalonym mapami, dokumentami i popielniczkami

wypełnionymi petami. Było gorąco, a powietrze gęstniało od dymu. Napięcie wręcz dusiło[579].

Legasow przysłuchiwał się, jak Szczerbina przyjął raporty od regionalnego szefa partii Małomuża i radzieckiego ministra energetyki Majorieca. Żaden z nich jednak nie przedstawił szczegółowych informacji na temat sytuacji w elektrowni i w mieście. Żaden też nie miał planu, jak uporać się z konsekwencjami wypadku[580]. Powiedzieli tylko, że podczas testu wyłączenia turbiny w bloku czwartym doszło do dwóch szybko następujących po sobie eksplozji i hala reaktora została zniszczona. Dwóch pracowników zginęło i były setki rannych. Poszkodowani zostali przewiezieni do miejskiego szpitala. Sytuacja radiacyjna w bloku czwartym była skomplikowana i chociaż poziom promieniowania w Prypeci znacznie wykraczał ponad normę, nie stanowił zagrożenia dla ludzkiego życia[581].

Szczerbina podzielił członków komisji na grupy. Jedna, pod kierownictwem Meskowa, wiceministra średniego przemysłu maszynowego, miała zbadać przyczyny wypadku. Druga – przeprowadzić kolejne pomiary promieniowania. Generał Iwanow z Radzieckiej Obrony Cywilnej i generał Bedrow z ukraińskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych mieli przygotować ewentualną ewakuację. Zadaniem Jewgienija Worobiewa, wiceministra zdrowia ZSRR, było zajęcie się sprawami medycznymi. Natomiast Walerij Legasow miał nadzorować ekipę walczącą z następstwami katastrofy[582].

Legasowa, podobnie jak ekspertów z elektrowni, najbardziej niepokoiła możliwość zapoczątkowania w szczątkach reaktora numer 4 nowej reakcji łańcuchowej[583]. Operatorzy elektrowni

próbowali wtłoczyć do reaktora (za pomocą strażackich motopomp) roztwór kwasu borowego pochłaniającego neutrony, ale nikał on w gąszczu popękanych rur i nie mieli pewności, dokąd dotarł, a zapasy się kończyły. Skliarow zarządził dostarczenie kolejnych dziesięciu ton z oddalonej o trzysta kilometrów na zachód Rówieńskiej Elektrowni Jądrowej. Ale jej dyrektor ociągał się[584] – a co, jeśli to u niego dojdzie do awarii? Gdy w końcu materiał załadowano na ciężarówkę, pojazd doznał awarii. Do Czarnobyla dotarł dopiero następnego dnia.

Tymczasem Legasow[585] zdał sobie sprawę, że heroiczne, ale skazane na niepowodzenie próby schłodzenia reaktora wodą doprowadziły jedynie do zalania piwnic w bloku trzecim i czwartym skażoną wodą i emisji radioaktywnej pary do atmosfery. W dodatku z reaktora unosiły się trujące gazy. Żarząca się siatka przewodów paliwowych i złowieszczą plama, którą Pruszyński widział z powietrza, wskazywały na to, że w reaktorze coś płonie. Trzeba było jakoś ugasić ogień i go zabezpieczyć.

Porozrzucone szczątki reaktora czyniły elektrownię i jej okolice radioaktywnym polem minowym. Zbliżenie się do bloku czwartego na więcej niż krótką chwilę było potencjalnie śmiertelne. Zbliżenie się do samego reaktora, żeby go przykryć lub ugasić ogień konwencjonalnymi metodami, jak piana czy woda – co Brytyjczycy uczynili w Windscale niemal trzydzieści lat wcześniej – było niewykonalne. Nikt z komisji nie potrafił jednak powiedzieć, jak ugasić płonący reaktor. Legasow rozejrzał się skonsternowany. Politycy ignorowali sugestie naukowców, a naukowcy byli zbyt sparaliżowani, żeby podejmować decyzje. Wszyscy wiedzieli, że coś trzeba zrobić[586]. Ale co?

Gęste chmury radionuklidów unosiły się z reaktora, a eksperci zebrani w Białym Domu wciąż nie mogli dojść do porozumienia w kwestii ewakuacji Prypeci. Obrona cywilna od południa co godzinę robiła pomiary na ulicach miasta i wyniki były alarmujące: na ulicy Łesi Ukrainki, niecałe trzy kilometry od reaktora, promieniowanie po południu wynosiło 0,5 rentgena na godzinę. Wieczorem było już 1,8 rentgena[587]. To dziesiątki tysięcy razy więcej niż promieniowanie tła, ale wiceminister zdrowia wciąż upierał się, że nie stanowi to bezpośredniego zagrożenia dla mieszkańców. Oburzony stwierdził, że nawet po, wciąż utajnionej, katastrofie w Majaku w 1957 roku nie ewakuowano mieszkańców tajnego miasta.

– Nie ewakuowano tam ludzi – powiedział. – Dlaczego mielibyśmy ewakuować tu?[588].

Oficjalnie wyznaczona przez radzieckie władze granica dla ewakuacji w przypadku katastrofy jądrowej była rzeczywiście odległa. Dokument Kryteria podejmowania decyzji odnośnie do ochrony mieszkańców w przypadku awarii reaktora jądrowego stanowił, że ewakuacja jest konieczna dopiero wtedy, gdy mieszkańcom grozi dawka 75 remów, czyli piętnastokrotnie większa niż roczna dawka pracowników elektrowni jądrowej[589]. Nawet rozporządzenia dotyczące tego, kiedy należy mieszkańców poinformować o wycieku, były sprzeczne i nie było jasne, kto powinien podjąć ostateczną decyzję o ewakuacji[590]. Szczerbina mógł bać się wybuchu paniki w Prypeci. Nie miał jednak podstaw, by sądzić, że radzieccy obywatele – od dawna przyzwyczajeni do złych wieści i nieufający oficjalnym informacjom – spanikowaliby na wieść o wypadku[591]. Bardziej paląca była kwestia

utrzymania wszystkiego w tajemnicy. W sobotę nad ranem milicja rozstawiła na drogach blokady, a KGB odcięło miasto od telefonicznych linii międzymiastowych. Wieczorem nie działały również lokalne telefony, mieszkańców Prypeci wciąż nie informowano przez radio o wypadku i nawet nie doradzano pozostać wewnątrz i zamknąć okna. Szczerbina zdawał sobie sprawę, że w przypadku ewakuacji nie da się ukryć wywiezienia pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców atomgradu[592].

A jednak wojskowi i naukowcy nie podzielali optymizmu ministra zdrowia. Nawet jeśli poziom promieniowania wydawał się nieszkodliwy na krótszą metę, nic nie zapowiadało poprawy. Póki co radioaktywna para z reaktora unosiła się na północ i północny zachód, z dala od Prypeci i Kijowa, w kierunku Białorusi[593]. W sobotnie południe wojskowi zebrali odczyty promieniowania, które sięgały śmiertelnych 30 rentgenów na godzinę nawet pięćdziesiąt kilometrów od elektrowni. Ale wiatr mógł zmienić kierunek w każdej chwili, a na południowym wschodzie szalały burze. Gdyby na Prypeć spadł choćby najmniejszy deszcz, opad radioaktywny miałby katastrofalne skutki dla mieszkańców[594]. Ukraiński premier zarządził przygotowanie transportu – ponad tysiąc autobusów i ciężarówek – potrzebnego w razie ewentualnej ewakuacji miasta. Nic jednak nie można było zrobić bez rozkazu z góry, a Szczerbina chciał uzyskać więcej informacji przed podjęciem decyzji. Postanowił poczekać do rana[595].

W tym czasie coś zaczęło się dziać w otchłani bloku czwartego. Około ósmej wieczorem w sobotę zastępca głównego inżyniera elektrowni zauważył rubinową poświatę unoszącą się znad ruin.

Po niej nastąpiła seria niewielkich eksplozji i jasnych błysków, które pojawiały się w ruinach niczym gejzery światła, oświetlając 150-metrowy komin wentylacyjny na całej jego wysokości[596]. Dwie godziny później ekipa prowadzona przez podlegający Ministerstwu Energetyki ośrodek badań nad energią jądrową WNIAES pobierała próbki wody chłodzącej, gdy ścianami bloku czwartego wstrząsnął potężny ryk. Naukowcy schronili się pod suwnicą przed lecącymi z nieba rozżarzonymi odłamkami. Wskazówki ich dozymetrów wyszły poza skalę[597].

Tymczasem w Prypeci narady komisji rządowej przebiegały w oparach absurdu. W pewnym momencie asystenci przewodniczącego przedstawili plan naprawy reaktora numer 4 i ponownego podłączenia go do sieci, mimo że już wtedy było wiadomo, że jest to po prostu niemożliwe. Jak wspomina Witalij Skliarow, tuż przed północą funkcjonariusz przerwał zebranie, informując Szczerbinę, że wkrótce zadzwoni do niego I sekretarz Gorbaczow, który chciał zasięgnąć najświeższych informacji na temat sytuacji. Wiceminister zarządził przerwę. Gdy Skliarow się podniósł, Szczerbina go powstrzymał.

– Nie, nie. Siadajcie – powiedział. – Posłuchajcie, co mam do powiedzenia, a potem dokładnie to powtórzycie swoim zwierzchnikom.

Zadzwonił telefon linii WCz – szyfrowanego połączenia z Moskwą – i Szczerbina podniósł słuchawkę.

– Doszło do wypadku – przekazał Gorbaczowowi zastępca ministra. – Panuje kompletna panika. Nie ma tu ani organów partyjnych, ani sekretarza obwodu, ani rejonowych komitetów. Będę się domagał, by minister energetyki ponownie uruchomił

wszystkie reaktory. Podejmiemy wszelkie środki, żeby zlikwidować skutki wypadku.

Szczerbina milczał przez chwilę, słuchając odpowiedzi Gorbaczowa.

W końcu powiedział „dobrze” i odłożył słuchawkę. Odwrócił się do Skliarowa.

– Słyszeliście?

Słyszał i był w szoku.

– Nie możecie uruchomić ponownie reaktora, bo go już nie ma – odparł. – Przestał istnieć.

– Panikujecie.

– Widziałem na własne oczy.

Kilka minut później specjalny telefon zadzwonił ponownie. Tym razem dzwonił Szczerbicki, przewodniczący Komunistycznej Partii Ukrainy.

Szczerbina powtórzył Szczerbickiemu to, co przed chwilą powiedział Gorbaczowowi, czyli wyłożył nierzeczywisty, zakłamujący rzeczywistość plan. Następnie przekazał słuchawkę Skliarowowi, mówiąc:

– Chce z wami rozmawiać. Powtórzcie to, co powiedziałem.

– Nie zgadzam się z tym, co mówi towarzysz Boris Jewdokimowicz – powiedział Skliarow do telefonu. – Musimy ewakuować wszystkich.

Szczerbina wyrwał słuchawkę z ręki ministra.

– Panikuje! – wrzasnął. – Jak zamierzacie ewakuować tych wszystkich ludzi? Ośmieszymy się przed całym światem![598]

Sobota, godzina 6.15, Prypeć

Było po trzeciej nad ranem[599], gdy Aleksandra Esaułowa obudził telefon. „Cholera – pomyślał, sięgając po słuchawkę. – Kolejny zmarnowany weekend”.

Samotnie – bez żony i dzieci – wybył za miasto w nadziei, że znajdzie trochę czasu dla siebie. Może nawet uda mu się wyskoczyć na ryby. W domu miał dwójkę latorośli – pięcioletnią córkę i półrocznego syna – w związku z czym nawet gdy nie był w pracy, miał pełne ręce roboty. A jako zastępca przewodniczącego ispołkomu Prypeci – odpowiednik zastępcy burmistrza – Esaułow non stop cierpiał na biurokratyczne bóle głowy.

Do Prypeci przybył z Kijowa, gdzie pracował w dziale planowania budżetu miejskiego. Dla trzydziestotrzyletniego księgowego i jego rodziny był to niezły awans. Wyrwał się z zapyziałego mieszkania komunalnego, w którym każdego ranka ustawiała się kolejka do ubikacji, wprost na wiejską okolicę, gdzie było czyste powietrze. Miał prestiżową pracę, sekretarkę i samochód – zdezelowany wprawdzie, ale na chodzie – do dyspozycji. Mimo wszystko nowe obowiązki były dla niego uciążliwe. Musiał panować nad budżetem, wydatkami i wpływami Prypeci, jak również pełnić funkcję przewodniczącego komisji planowania, nadzorować transport, opiekę zdrowotną, komunikację, sprzątanie dróg, biuro zatrudnienia i dystrybucję materiałów budowlanych. Zawsze coś szło nie tak, jak trzeba, a mieszkańcy Prypeci lubili narzekać[600].

Teraz dzwoniła do niego Maria Bojarczuk, sekretarka ispołkomu. Obudził ją sąsiad, który przybył właśnie z elektrowni jądrowej. Doszło do wypadku: pożaru, a może eksplozji[601].

O 3.50 Esaułow siedział już przy biurku w ispołkomie na piętrze Białego Domu. Przewodniczący – burmistrz miasta – udał się do elektrowni, by sprawdzić, co się stało. Esaułow zadzwonił do dowódcy obrony cywilnej Prypeci, który natychmiast wyskoczył z łóżka i pobiegł do biura. Żaden z nich nie miał jednak pojęcia, co robić. Elektrownia miała własną obronę cywilną i miasto nigdy nie brało udziału w jej ćwiczeniach. Już wcześniej zdarzały się tam wypadki, ale zawsze sprzątno po nich bez zbędnego rozgłosu.

Dzwonili pod wszystkie numery w elektrowni, jakie mieli, ale nikt nie potrafił udzielić im informacji. Chcieli tam pojechać, lecz nie mieli samochodu. Pozostało siedzieć i czekać. Na zewnątrz lampy uliczne oświetlały plac bursztynową poświatą. W mieszkaniach przy ulicy Kurczatowa światła były pogaszone. Panowała cisza.

Gdy świtało, Esaułow ujrzał karetkę pogotowia pędzącą prospektem Lenina od strony elektrowni[602]. Błyskała światłami, ale syrenę miała wyłączoną. Kierowca skreślił ostro w prawo przy domu handlowym Tęcza, przeciął południową część placu i skierował się w stronę szpitala. Po chwili w tym samym kierunku popędziła druga karetka.

Niebieskie światła zniknęły za rogiem i na ulicy znowu zapanował spokój. Ale po chwili przeleciała kolejna karetka. I jeszcze jedna. Esaułow zaczął podejrzewać, że ten wypadek różnił się od poprzednich[603].

Nad ranem wśród bliskich i przyjaciół pracowników nocnej zmiany czarnobylskiej elektrowni zaczęły krążyć plotki o wypadku. Nikt jednak nie wiedział jakim.

Okolo siódmej Andriej Głuchow, pracownik laboratorium w elektrowni, był w swoim mieszkaniu przy prospekcie Robotników, kiedy zadzwonił telefon. Dzwonił przyjaciel z Wydziału Pomiarów i Monitoringu Również był w domu i dowiedział się, że w elektrowni wydarzyło się coś niedobrego, ale nie znał szczegółów. Jako członek Wydziału Bezpieczeństwa Jądrowego Głuchow mógł dzwonić bezpośrednio do sterowni każdego reaktora w elektrowni. Może spróbowałby się czegoś dowiedzieć?

Głuchow odłożył słuchawkę i wykręcił bezpośredni numer stanowiska swojego przyjaciela Leonida Toptunowa, starszego inżyniera kontroli reaktora w bloku czwartym. Nikt nie odebrał. „Dziwne – pomyślał. – Może jest zajęty?”. Zadzwonił do sterowni bloku drugiego, gdzie natychmiast odebrał starszy inżynier kontroli reaktora.

– Witajcie, Borisie[604] – powiedział Głuchow. – Jak leci?

– W porządku – odparł inżynier. – Podnosimy moc reaktora drugiego. Parametry w normie. Nic szczególnego do przekazania.

– Dobrze. A co z reaktorem czwartym?

Na linii zapanowała długa cisza.

– Poinstruowano nas, żeby o tym nie rozmawiać. Lepiej wyrzycie przez okno.

Głuchow wyszedł na balkon[605]. Jego mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze i z tego punktu, tuż za nowo postawionym diabelskim młynem, miał dobry widok na

elektrownię. Ale nie dojrzał niczego niezwykłego. Znad reaktora czwartego unosił się tylko jakiś dym. Głuchow wypił kawę i powiedział żonie, że wyjdzie na ulicę Kurczatowa na spotkanie autobusu przywożącego pracowników nocnej zmiany. Powiedzą mu, co się stało.

Czekał na przystanku, ale autobus nie nadjechał. Zamiast niego zatrzymała się ciężarówka wypełniona milicjantami. Głuchow zaczął ich wypytywać.

– Sprawa nie jest jasna – odparł milicjant. – Zawaliła się ściana reaktora.

– Co?

– Zawaliła się ściana reaktora.

Głuchow nie mógł sobie tego wyobrazić, ale pomyślał, że Toptunow na pewno będzie potrafił to wyjaśnić. „Może spóźniłem się na autobus – zastanawiał się. – Leonid pewnie jest już w domu”. Do mieszkania Toptunowa z przystanku był niecały kwadrans piechotą. Głuchow wszedł na ostatnie piętro, skręcił w prawo i podszedł do ładnie obitych czerwoną imitacją skóry drzwi na końcu korytarza, numer 88. Nacisnął dzwonek. I jeszcze raz. Nikt nie otworzył.

Szpital w Prypeci[606], Centrum Medyczo-Sanitarne numer 126, był małą placówką we wschodniej części miasta mieszczącą się za niskim żelaznym płotem w budynku koloru herbacianego. Był dobrze wyposażony jak na rozrastające się młode miasto, miał ponad czterysta łóżek, tysiąc dwieście pracowników i dużą izbę porodową. Nie był jednak przystosowany do radzenia sobie z wypadkami z udziałem promieniowania i gdy sobotnim rankiem zaczęły podjeżdżać pierwsze karetki, pracownicy nie wiedzieli, co

robić. Był weekend i trudno było znaleźć lekarzy, a poza tym nikt nie rozumiał, z czym ma do czynienia: mężczyźni w mundurach gasili ogień w elektrowni, a skarżyli się na bóle głowy, suchość w gardle i nudności. Twarze jednych były przerażająco fioletowe, a innych trupio blade. Wszyscy wymiotowali i nie mogli przestać nawet wówczas, gdy doszczętnie opróżnili swoje żołądki. Pielęgniarka przełożona rozplakała się.

Przed godziną szóstą ordynator szpitala rozpoznał chorobę popromienną i poinformował Instytut Biofizyki w Moskwie[607]. Mężczyznom i kobietom przybywającym z elektrowni nakazywano się rozbierać i oddawać wszystkie rzeczy osobiste: zegarki, pieniądze, legitymacje partyjne[608]. Wszystko było skażone. Dotychczasowych pacjentów odesłano do domów, niektórych w piżamach, a pielęgniarki sięgnęły po zestawy ratunkowe z odpowiednimi lekami i jednorazowymi strzykawkami na wypadek promieniowania. Do rana szpital przyjął dziewięćdziesięciu pacjentów. Wśród nich znajdowali się pracownicy sterowni bloku czwartego: starszy inżynier kontroli reaktora Leonid Toptunow, kierownik zmiany Aleksander Akimow i ich apodyktyczny szef, zastępca głównego inżyniera Anatolij Diatłow.

Ten ostatni początkowo odmówił leczenia i powiedział, że chce się jedynie przespać, ale pielęgniarka namówiła go na podłączenie do kroplówki, dzięki czemu poczuł się lepiej[609]. Pozostali również nie wyglądali na poważnie rannych. Aleksander Juwczenko miał zawroty głowy i był rozdrażniony, ale wkrótce zasnął i obudził się, dopiero gdy pielęgniarka przyszła podłączyć kroplówkę. Rozpoznał w niej sąsiadkę z bloku i poprosił, żeby po

skończeniu zmiany odszukała jego żonę i poinformowała ją, że wkrótce wróci do domu. Tymczasem Juwczenko z przyjaciółmi próbowali ocenić, jaką dawkę promieniowania przyjęli. Szacowali, że 20 remów, ewentualnie pięćdziesiąt. Ale jeden z nich, weteran marynarki, który doświadczył wypadku na jądrowej łodzi podwodnej, na podstawie własnego doświadczenia powiedział:

– Przy pięćdziesięciu byście nie wymiotowali[610].

Jako jeden z pierwszych do szpitala dotarł Władimir Szaszenok, wyniesiony przez kolegów z gruzów pomieszczenia numer 604. W całości pokryty był poparzeniami i pęcherzami, jego klatka piersiowa była zapadnięta i wyglądało na to, że ma złamany kręgosłup[611]. Kiedy go nieśli, pielęgniarka zauważyła, że próbuje jej coś powiedzieć, więc pochyliła się nad jego ustami.

– Nie zbliżajcie się do mnie – powiedział. – Byłem w pobliżu reaktora.

Pielęgniarki rozcięły strzępy jego brudnego ubrania i znalazły mu łóżko na oddziale intensywnej terapii, ale nic więcej nie mogły zrobić. O szóstej Szaszenok był martwy[612].

Było przed ósmą, gdy Natalia Juwczenko usłyszała dzwonek do drzwi. Obudziła się wcześniej, niewyspana i zdenerwowana. Jej syn był przeziębiony i płakał całą noc, pogłębiając jej niepokój. Ale w Związku Radzieckim szkoły działały także w soboty i o 8.30 musiała stawić się na lekcje. Umyła się, ubrała i czekała, aż Aleksander wróci z pracy. Jako że nocna zmiana kończyła się o ósmej, to jeśli nie spóźniłby się na autobus, zdążyłby do domu tuż przed wyjściem żony[613].

Jednak zamiast męża w drzwiach stał ktoś obcy: kobieta, której twarz wyglądała znajomo, chociaż początkowo nie potrafiła

jej rozpoznać. Sąsiadka, która pracowała w szpitalu.

– Natalio – odezwała się. – Wasz mąż prosił mnie, żebym przekazała, żebyś nie szła do pracy. Leży w szpitalu. W elektrowni doszło do wypadku[614].

Tuż za rogiem[615], w domu przy ulicy Bohaterów Stalingradu, Maria Procenko usłyszała zamieszanie w mieszkaniu poniżej. Zawsze gdy chciała przekazać sąsiadom z dołu ważną wiadomość albo podzielić się czymś szczególnie pysznym, co przygotowała, Procenko stukała łyżką w kuchenny kaloryfer, tak więc zrobiła i teraz. Odpowiedź nadeszła natychmiast: „Zejdź na dół!”.

Procenko była niską, ale okazałą czterdziestolatką, która nosiła krótko przyszywane, kręcone włosy. Urodziła się w Chinach w rodzinie chińsko-rosyjskiej, jednak jej charakter został ukształtowany przez radziecki tygiel. Jej dziadek został aresztowany i zniknął w gułagu za czasów czystek Stalina. Gdy była mała, jej starsi bracia zmarli na dyfteryt, bo z powodu godziny policyjnej w mieście przy granicy z Chinami, gdzie mieszkali, nie pozwolono do nich wezwać lekarza. Pograżony w żałobie ojciec uzależnił się od opium, a matka uciekła z Marią do Kazachskiej SRR, gdzie samotnie ją wychowywała. Procenko ukończyła architekturę w Instytucie Dróg i Transportu w Ust-Kamienogorsku i od siedmiu lat pełniła funkcję głównego architekta Prypeci. Miała własne biuro na piętrze budynku ispołkomu, skąd doglądała wykonanie nowych projektów budowlanych z nietypowym jak na obywatela ZSRR przywiązaniem wagi do detali. Ze względu na to, że urodziła się w Chinach, nie wolno jej było wstąpić do partii, ale i tak wносиła

do swojej pracy zapał. Po ulicach chodziła z linijką, badając jakość betonu w nowych mieszkaniach. Rugała budowniczych za krzywe chodniki:

– Jak się będziecie czuli, jeśli dzieci połamią sobie na nich nogi? – Kiedy perswazja nie działała, obrzucała ich inwektywą. Niejeden mężczyzna się jej bał[616].

Wiele budynków w Prypeci, w tym pałac kultury, hotel i budynek ispołkomu, zostały wzniesione według sztamponowych projektów tworzonych w Moskwie, które miały zostać identycznie odtworzone w każdym zakątku ZSRR. Ale Procenko robiła, co mogła, żeby nadać im wyjątkowy charakter. Na przekór obowiązującej doktrynie ponurej proletariackiej estetyki[617], odrzucającej zachodni indywidualizm i ekonomiczność, pragnęła, żeby było pięknie. Przy dekorowaniu wnętrza budynków publicznych w Prypeci, projektowaniu parkietu i botanicznych wzorów z kutego żelaza w restauracji czy wykładając niewielkie fragmenty marmurem w pałacu kultury, musiała oszczędnie korzystać z niewielkich zasobów twardego drewna, płytek ceramicznych i granitu. Patrzyła, jak miasto rozrasta się z dwóch mikrodzielnic do trzech, a potem czterech. Pomagała wybierać nazwy nowych ulic i dopieszczała kolejne obiekty miejskie. Biblioteka, basen, centrum handlowe, stadion – wszystko to przeszło przez jej rękę.

Opuszczając mieszkanie, Procenko myślała, że spędzi dzień w biurze, przygotowując się do kolejnej wyprawy na miasto. Dzień wcześniej odwiedziła ją delegacja z Instytutu Urbanistyki w Kijowie. Wspólnie planowali infrastrukturę sześciu nowych dzielnic Prypeci, które miały powstać nad rzeką, a w których

zamieszkać mieli pracownicy nowej elektrowni Czarnobyl Dwa, budowanej przez dyrektora Briuchanowa. Z rzeki wydobywano już piasek pod fundamenty nowych bloków. Gdyby zostały zasiedlone, w Prypeci mieszkałoby dwieście tysięcy osób[618].

Było po ósmej, kiedy Procenko dotarła do mieszkania piętro niżej. Jej piętnastoletnia córka wyszła już do szkoły, a mąż, który pracował jako mechanik, spał. Zastała sąsiadów – bliską przyjaciółkę Swietłanę i jej męża Wiktora – przy kuchennym stole. Pomimo wczesnej pory pili bimber. Swietłana powiedziała, że z elektrowni zadzwonił jej brat. Doszło do eksplozji.

– Wyplukujemy szitiki[619] – powiedział Wiktor, wznosząc kieliszek. Podobnie jak wielu innych budowniczych w elektrowni, wierzył, że w wyniku promieniowania w krwi powstają zakażone krwinki – szitiki – na które remedium jest wódka.

Procenko próbowała mu wytłumaczyć, że bez względu na okoliczności nie przełknie samogonu, kiedy w drzwiach pojawił się jej mąż.

– Telefon do ciebie.

Dzwoniła sekretarka z ispołkomu.

– Już jadę – powiedziała Procenko[620].

O dziewiątej na ulicach Prypeci zaroilo się od setek milicjantów, a drogi dojazdowe do miasta zostały odcięte. Ale gdy zarząd miasta – w tym Procenko, wiceburmistrz Esaułow, szef obrony cywilnej Prypeci i dyrektorzy szkół oraz przedsiębiorstw – obradował w Białym Domu, w pozostałej części miasta poranek ten zdawał się nie różnić od innych ciepłych sobotnich poranków[621].

W pięciu miejskich szkołach oraz w przedszkolach Złota Rybka i Promyczek tysiące dzieci rozpoczęły lekcje. Matki przechadzały się z wózkami w cieniu drzew. Ludzie udawali się na plażę, żeby się poopalać, łowić ryby i popływać w rzece. W sklepach spożywczych pracownicy wykładali świeże warzywa, kiełbasy, piwo i wódkę na święto 1 Maja. Inni zmierzali na swoje dachy i ogródki warzywne na przedmieściach miasta. Przed kawiarnią na molo przy rzece trwały ostatnie przygotowania do wesela, a na stadionie drużyna piłkarska rozgrzewała się przed popołudniowym meczem[622].

W sali konferencyjnej Białego Domu na podium wyszedł II sekretarz partii w regionie kijowskim, Władimir Małomuż. Przybył z Kijowa godzinę lub dwie temu, a jako że w kryzysowych sytuacjach partia była ważniejsza od rządu, teraz to on dowodził. Obok niego stali dwaj mężczyźni, którzy w mieście mieli największą władzę: Wiktor Briuchanow i kierownik budowy Wasilij Kizima[623].

– Doszło do wypadku – powiedział Małomuż, ale nie podał szczegółów. – Prowadzimy ocenę zagrożenia. Gdy będziemy wiedzieli coś więcej, poinformujemy was[624].

Tymczasem, jak wyjaśnił[625], życie w Prypeci powinno toczyć się jak zawsze. Dzieci powinny pozostać w szkołach, sklepy powinny zostać otwarte, a śluby powinny odbywać się bez zakłóceń.

Naturalnie rodziły się pytania[626]. Pionierzy ze szkoły numer 3 – łącznie tysiąc pięćset dzieci, radzieckich odpowiedników harcerzy – miało się tego dnia zebrać w pałacu kultury. Czy spotkanie powinno się odbyć? Na kolejny dzień planowane były

w miastach młodzieżowe biegi ulicami. Czy one również powinny się odbyć? Małomuż zapewniał dyrektora szkoły, że nie ma potrzeby zmieniania planów, życie powinno toczyć się normalnie.

– I proszę nie panikować – dodał. – Pod żadnym pozorem proszę nie wpadać w panikę[627].

O godzinie 10.15 pojedynczy pojazd opancerzony[628] – należący do 427. Pułku Zmechanizowanego Sił Obrony Cywilnej ZSRR pod Czerwonym Sztandarem – skręcił z drogi z Kijowa w stronę Prypeci. Miał uszczelnione włazy i włączone przyrządy pomiarowe; jego silnik zawył, gdy wspinał się na wiadukt nad torami kolejowymi. Przez kuloodporną szybę można było dostrzec zarys miasta. Wszystko wydawało się w porządku.

Zgodnie z protokołem wojskowym osiemset metrów za nim sunęły pozostałe pojazdy zwiadowcze, doganiając go na placu przed Białym Domem. Żołnierzom obrony cywilnej nakazano wykonać pomiary promieniowania w mieście i okolicy, ale nie wyposażono ich w szczegółową mapę elektrowni i Prypeci. Na piętrze Białego Domu oddział mężczyzn znalazł Marię Procenko, która miała mapy, ale nie mogła ich skopiować. W obawie, by fotokopiarki nie posłużyły do powielania samizdatów, dostęp do nich był w ZSRR ściśle kontrolowany przez KGB[629]. Procenko zasiadła przy swoim stole kreślarskim i tak szybko, jak potrafiła, zaczęła ręcznie nakreślać schemat miasta[630].

W południe żołnierze rozdzielili się na grupy i zaczęli wykonywać pomiary na terenie miasta. Z południa nad Prypeć nadleciał śmigłowiec Mi-8 należący do radzieckich sił zbrojnych, dywizjonu 225[631]. Na miejscu pilota zasiadł kapitan Siergiej Wołodin, który wraz ze swoją dwuosobową załogą od rana czekał

w gotowości w bazie wojskowej w Boryspolu. Jego obowiązki wynikały z rutynowych działań, które wymagały, by jedna załoga helikoptera była zawsze w gotowości w razie sytuacji kryzysowej w okolicy Kijowa. Wołodin i jego kompani przyzwyczajeni byli do wożenia radzieckich dygnitarzy. Ich helikopter został do tego celu specjalnie przystosowany: do kabiny wstawiono wygodne fotele, toaletę, a nawet bar. Chociaż załoga przeszła obowiązkowe szkolenie na wypadek misji bojowych w górach Afganistanu, nigdy ich tam nie powołano[632]

Około dziewiątej rano Wołodin dostał rozkaz przeprowadzenia pomiarów promieniowania z powietrza w okolicy elektrowni w Czarnobylu[633]. Po drodze miał zabrać starszego oficera obrony cywilnej, który zapozna go z niezbędnymi szczegółami. Podpisawszy plan lotu, Wołodin udał się do oficera drużyny pobrać podręczne dozymetry dla siebie i kolegów. Okazało się jednak, że baterie były wyczerpane, a mógł je wymienić jedynie oficer oddziałów chemicznych, który był w tej chwili po drugiej stronie lotniska, gdzie budował garaż dla dowódcy bazy. Wołodin stwierdził, że poradzi sobie bez dozymetrów[634]. I chociaż zarówno jego, jak i jego załogę wyposażono w maski oraz gumowe płaszcze ochronne, latanie w nich zdawało się graniczyć z cudem. Na zewnątrz było ciepło, a w kokpicie panował upał, który dawał się we znaki nawet wtedy, gdy byli w swoich letnich mundurach[635]. Około dziesiątej mechanik pokładowy uruchomił silniki i Wołodin, ubrany w koszulkę z krótkim rękawem, wystartował. Zabrał oficera obrony cywilnej, który posiadał własne instrumenty badające promieniowanie, i ruszyli w stronę Prypeci.

Wołodin dobrze znał Czarnobyl[636]. Często prowadził helikoptery do wielkiej bazy lotniczej w Kownie na Litwie na coroczny przegląd i po drodze mijał połyskujące, białe bloki elektrowni. Czasami ze zwykłej ciekawości uruchamiał wojskowy radiometr DP-3 zainstalowany za jego siedzeniem w kokpicie. DP-3 przystosowany był na wypadek ataku jądrowego i posiadał cztery skale czułości: od 10 do 100, 250 i 500 rentgenów na godzinę. Ale wskazówka ani razu nawet nie drgnęła.

Teraz, zbliżając się do elektrowni na wysokości dwustu metrów, pilot ujrzał biały dym unoszący się z budynku. Nakazał mechanikowi uruchomienie pokładowego radiometru. Nawigator przygotowywał obliczenia mające na podstawie badania z powietrza ocenić poziom promieniowania na ziemi. Wołodin kątem oka ujrzał żółty autobus Ikarusa przemieszczający się pomiędzy nieukończonymi blokami piątym i szóstym. „Cóż – pomyślał. – Skoro ludzie pracują tam na dole, wszystko musi być w porządku”.

Wtedy dostrzegł, że zachodnia ściana elektrowni się zawaliła. W środku coś się paliło.

– Osiemnaście rentgenów na godzinę – powiedział mechanik. – Drastycznie rośnie.

Do kokpitu zajrzał major obrony cywilnej. Zakomunikował, że jego ręka została napromieniowana. Wcześniej otworzył okno, żeby pobrać pomiary na zewnątrz: 20 rentgenów na godzinę.

Wołodin zawrócił i poleciał do Prypeci, żeby major mógł zebrać szczegółowe instrukcje odnośnie do lotu rozpoznawczego. Okrążył miasto, chcąc wylądować pod wiatr. Zauważył, że dużo ludzi spaceruje po ulicach, łowi ryby nad rzeką, sadi ziemniaki

w ogródkach. Niebo było błękitne, las się zielenił, a ponad nim przeleciało stado białych mew.

Wołodin osadził Mi-8 w okolicy placu zabaw na południowo-zachodnich obrzeżach miasta, gdzie miał nadzieję nie zwracać zbyt dużej uwagi. Ale taka maszyna zawsze budzi ciekawość miejscowych i szybko otoczył ją tłumek dorosłych oraz dzieci. Dorosli chcieli wiedzieć, co się dzieje w elektrowni i jak szybko będą mogli powrócić do pracy w niej. Dzieci chciały zobaczyć wnętrze helikoptera. Kiedy major obrony cywilnej udał się do miasta, Wołodin pozwalał im szóstkami albo siódmkami zwiedzać wnętrze.

Tymczasem w elektrowni do załogi wezwanej w nocy dołączyli pracownicy porannej zmiany, którzy jak zwykle przyszli do pracy na ósmą. W siedzibie głównej, zaledwie czterysta metrów od bloku czwartego, jak co dzień rozpoczęła się odprawa, ale została przerwana wiadomością o wypadku i wszystkich odesłano do domu. Nie panowała jednak atmosfera niepokoju. Niektórzy pracownicy wykorzystali niespodziewany dzień wolny i udali się na dache lub popływać w rzece. Permanentnie dochodziło do wypadków w elektrowni i promieniowanie nigdy nikogo nie skrzywdziło. Ostatnim razem ciężarówki spryskały ulice Prypeci pianą, a gdy tylko odjechały, dzieci bawiły się w niej na bosaka[637].

Zza swojego biurka w Białym Domu Maria Procenko zadzwoniła do domu i poleciła mężowi odkurzyć i umyć podłogi w mieszkaniu oraz dopilnować, żeby po powrocie do domu córka zmieniła ubrania i wzięła prysznic. Kiedy zadzwoniła ponownie po dwóch godzinach, okazało się, że puścili jej ostrzeżenia mimo

uszu. Oglądali razem film w telewizji, a córka nawet nie zawracała sobie głowy myciem.

– Umyję się po filmie – powiedziała[638].

Nawet ci, którzy widzieli katastrofę na własne oczy, ulegli beztrudnej atmosferze panującej w mieście. Kierownik pracujący przy budowie piątego i szóstego bloku[639] wracał nocą z podróży do Mińska, gdy ujrzał płomienie. Upłynęła zaledwie godzina od eksplozji, gdy zatrzymał samochód niecałe sto metrów od zburzonego bloku numer 4 i niczym zahipnotyzowany patrzył, jak strażacy walczą z ogniem na dachu. Kiedy jednak obudził się o dziesiątej następnego ranka, w Prypeci życie toczyło się po staremu. Postanowił więc spędzić dzień razem z rodziną.

Zaczęły jednak pojawiać się oznaki, że nie wszystko jest w porządku. Jego sąsiad, który był elektrykiem, odrzucił propozycję wypadu na plażę, gdyż kładł gumową matę na dachu budynku, w którym znajdowało się jego mieszkanie. Zamierzał się na niej opalać. Po krótkim czasie spędzonym przy pracy zauważył u siebie okazałą opaleniznę, a z jego ciała zaczął wydzielać się swąd palonej skóry. Kiedy zszedł na przerwę, zauważył, że jest dziwnie podekscytowany i rozweselony, jakby wypił alkohol. Nikt nie wyraził ochoty dołączenia do niego, więc powrócił na dach samotnie pracować nad swoją ekspresową opalenizną[640].

Inżynierowie pierwszej zmiany w elektrowni szybko zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa i postanowili ostrzec swoje rodziny. Niektórzy zadzwonili i polecieli bliskim zostać w mieszkaniach. Wiedząc, że KGB[641] podsłuchuje rozmowy, jeden z nich próbował szyfrem przekazać żonie, by uciekła z miasta. Inny przekonał dyrektora Briuchanowa[642], żeby

pozwolił mu udać się do domu na obiad, po czym spakował rodzinę do samochodu, chcąc wywieźć ją w bezpieczne miejsce, ale został zawrócony na końcu prospektu Lenina przez uzbrojonego milicjanta pilnującego blokady. Miasto zostało odcięte. Nikomu nie wolno było go opuścić bez oficjalnego pozwolenia.

Dyrektor do spraw szkolenia technicznego, Weniamin Prianisznikow, dotarł na stację Janów około godziny jedenastej, przegapiwszy dramatyczne wydarzenia ostatnich dwunastu godzin. Wracał ze służbowej podróży do Lwowa. W pociągu usłyszał, jak pasażerowie rozmawiają o poważnym wypadku. Prianisznikow, fizyk jądrowy z doświadczeniem przy produkcji plutonu w zakładach Krasnojarsk-26 i na atomowych poligonach w Kazachstanie, pracował w Czarnobylu od samego początku i był dumny ze swojego stanowiska w elektrowni. Doskonale znał reaktory i nie wierzył plotkom: eksplozja rdzenia reaktora pod żadnym pozorem nie była możliwa. Tak zawzięcie klócił się ze swoimi współpasażerami, że niemal doszło do rękoczynów[643].

Kiedy jednak przybył do Prypeci, zobaczył cysterny 427. Pułku Zmechanizowanego Sił Obrony Cywilnej spryskujące ulice detergentem, który spływając do ścieków, tworzył białą pianę. Rozpoznał, że to substancja absorbująca radionuklidy z ziemi. I wszędzie kręcili się milicjanci[644]. Prianisznikow pobiegł do domu ostrzec żonę i córkę, ale nikogo nie zastał.

Z mieszkania próbował dodzwonić się do elektrowni, ale telefon był głuchy. Wziął rower i pojechał na daczę, kilka kilometrów za miastem, gdzie zastał żonę pielęgnującą kwiaty. Nie chciała uwierzyć, że coś się stało. Dopiero gdy na liściach

truskawek pokazał jej czarne plamy grafitu, zgodziła się wrócić do domu.

Prianisznikow podejrzewał, że doszło do katastrofalnej awarii reaktora, ale bez dozymetru trudno było przekonać sąsiadów do takiej heretyckiej wizji. Nie chcieli go słuchać, a ponieważ jego ojciec i dziadek zginęli z rąk partii, zdawał sobie sprawę, że dalsze naleganie mogło okazać się niebezpieczne[645].

Kiedy major obrony cywilnej powrócił do helikoptera kapitana Wołodina, zakomunikował, że zniszczenia w elektrowni spowodowane były eksplozją. Rządowa komisja z Moskwy była w drodze, a gdy dotrze na miejsce, będzie potrzebowała pełnego raportu. zaproponował, że wraz z Wołodinem i jego załogą oblecą miasto, szukając miejsc, w których skażenie może być niebezpiecznie wysokie. Zanim odlecieli, Wołodin nakazał gapiom zabrać dzieci do domów i pozamykać okna[646].

Około 13.30 pilot podniósł helikopter na wysokość stu metrów, poleciał na północ do pierwszej z trzech wsi w okolicy Prypeci i skręcił na zachód. Dozymetr w kokpicie wskazywał zero. Wołodin opuścił maszynę do pięćdziesięciu metrów i poleciał w stronę kolejnej wioski: nic. Obniżył helikopter do dwudziestu pięciu metrów, ale wskazówka ani drgnęła. Wołodin podejrzewał, że dozymetr nie jest wystarczająco czuły, żeby dokonać takich pomiarów. Poleciał więc wzdłuż torów kolejowych w kierunku elektrowni w Czarnobyli.

Po prawej widział ludzi pracujących w ogrodach we wsi Czystogółowka. W stronę wioski, w kierunku południowego zachodu, wiał wiatr, niosąc cienką smugę białego dymu – a może pary – od strony elektrowni i stacji[647].

Czystogółowka nie znajdowała się na trasie lotu, ale Wołodin postanowił wykonać pomiary. Co, jeśli dym jest radioaktywny? Skazone cząstki będą opadać wprost na głowy ludzi. Nad stacją kolejową przechylił stery i helikopter skręcił w prawo.

Na szybie zaczęły gromadzić się wielkie krople płynu. Z początku Wołodin myślał, że to deszcz. Zauważył jednak, że nie rozbija się o szybę jak woda, tylko jest dziwnie ciężki. Spływał wolno niczym galareta, a następnie wyparowywał, pozostawiając osad przypominający sól. A na niebie nie było żadnej chmury. Wołodin pochylił się nad kokpitem i spojrzał w górę: tuż nad nim unosił się ten sam biały dym, zwężający się w jednych miejscach, poszerzający w innych, niczym chmura.

– Kapitanie, doszliśmy do granicy! – krzyknął mechanik.

– Jakiej granicy?

– DP-3. Wskazówka wyszła poza skalę.

– Przełączcie na większy zakres – polecił Wołodin i spojrzał na swój dozymetr, który był ustawiony na najszerszą skalę. Wskazówka tkwiła na najwyższej wartości 500 rentgenów na godzinę. Wołodin zdawał sobie sprawę z tego, że urządzenie wskazuje odczyt z odbiornika umieszczonego za jego fotelem. Dane wydawały się niewiarygodne: poziom promieniowania w środku kokpitu przewyższał największe promieniowanie przewidziane w przypadku wojny jądrowej. Musieli uciekać od tej chmury jak najszybciej.

Wołodin pchnął stery i helikopter zanurkował, skręcając w lewo. Pod nimi mignęły zielone czubki drzew. Osiągnął maksymalną prędkość i skierował się w stronę Prypeci. Drzwi

kokpitu otworzyły się i stanął w nich przerażony major obrony cywilnej ze swoim radiometrem w dłoni.

– Coście narobili?! – próbował przekrzyczeć ryk silników. – Zabijecie nas!

Natalia Juwczenko cały ranek spędziła na próbie ustalenia, co się stało z jej mężem, Aleksandrem. Najpierw zeszła na dół do budki telefonicznej i zadzwoniła do szpitala, ale nie chcieli jej nic powiedzieć. Potem dowiedziała się, że jest tam KGB i nikomu nie pozwalają wejść. Nie potrafiła jednak siedzieć beczynn timer domu. Nie tylko Aleksander nie powrócił ze swojej zmiany. Przyszła do niej bliska przyjaciółka, Masza, mówiąc, że jej mąż, który pracował w bloku trzecim, również nie wrócił[648].

Natalia zostawiła więc syna, Kiryła, pod opieką sąsiadów i obie kobiety zaczęły chodzić od drzwi do drzwi, od mieszkania do mieszkania, od budynku do budynku, ulicami i podwórkami, po klatkach schodowych, szukając kogokolwiek z elektrowni, kto mógłby im powiedzieć, co się stało. Juwczenko chciała wysłać telegram rodzicom, ale poczta była zamknięta. Jej przyjaciółka próbowała zadzwonić do rodziców w Odessie, ale linia była głucha.

W końcu mąż Maszy wrócił do domu. Najwyraźniej nic mu się nie stało, ale potwierdził wiadomość o wypadku. Wyjawiał, że przed świtem pomógł zawieźć Aleksandra do szpitala. Potem inny sąsiad powiedział, że widział go w szpitalu – był cały – i opisał, gdzie Natalia może go znaleźć: na pierwszym albo drugim piętrze, z tyłu. Mogą jej nie wpuścić do środka, ale niech spróbuje zawołać go przez okno.

Było późne popołudnie, kiedy Natalia dotarła do Centrum Medyczno-Sanitarnego numer 126. Aleksander stanął w oknie

bez koszulki, w samych spodniach od piżamy. Wychylił się i zapytał żonę, czy w nocy zostawiła otwarte okna w mieszkaniu.

Natalia odetchnęła z ulgą. Wyglądał na zdrowego, tylko na ramieniu miał jaskrawoczerwoną plamę, jakby od oparzenia. Niepokoiło ją jedynie to, że włosy na skroniach całkowicie mu posiwiały.

– Oczywiście – odparła. – Było gorąco i duszno.

Za plecami męża ujrzała inne osoby krzątające się po oddziale, zapewne pacjentów. Nie potrafiła tego stwierdzić. Żadna z nich nie podeszła do okna. Natalia bała się, że ktoś ją zauważy i każą jej stąd odejść.

– Natasza – powiedział Aleksander – zamknij wszystkie okna. Wyrzuć jedzenie, które było na zewnątrz. I umyj wszystko w mieszkaniu.

Nie mógł powiedzieć nic więcej. W szpitalu było KGB, które przesłuchiwało wszystkich. Uzgodnili jednak, że spotkają się w tym samym miejscu następnego dnia. Innym kobietom udało się przesmuglować wódkę, papierosy i ludowe specyfiki[649]. Niektóre przywiązywały torby do końca liny zrzuconej przez okno. Aleksander poprosił Natalię o przyniesienie kilku rzeczy: ręcznika, szczoteczki i pasty do zębów, czegoś do czytania – czyli tego, co zwykle przydaje się w szpitalu. Wydawało się, że panika minęła. Juwczenko była przekonana, że problemy w elektrowni udało się opanować i wszystko powraca do normy. Wróciła więc do domu i postąpiła tak, jak jej polecił mąż.

O szesnastej członkowie ekipy ratowniczej OPAS zaczęli segregować pacjentów[650]. Aleksander Esaułow, wiceburmistrz Prypeci, wstał, gdy lekarz prowadzący wyjął przetarty notes

i przez telefon zaczął wymieniać objawy komuś z Instytutu Biofizyki w Moskwie.

– Wielu jest w poważnym stanie – powiedział ponurym głosem. – Poparzenia są rozległe. Niektórzy intensywnie wymiotują i mają liczne poparzenia zewnętrzne. Ich stan pogarszają poparzenia termiczne. Powinni zostać natychmiast zabrani do Moskwy.

Kiedy jednak powiedział, że na natychmiastowe przewiezienie oczekuje dwadzieścia pięć osób, rozmówca po drugiej stronie zaprotestował. Medyk podniósł głos:

– W takim razie to zorganizujcie[651].

Wciąż przybywało pacjentów z objawami choroby popromiennej. Po naradzie[652] ordynator szpitala nakazał podawanie wszystkim w Prypeci stabilnego jodu zapobiegającego skutkom jodu 131, szczególnie niebezpiecznym w przypadku dzieci. Nie było jednak wystarczająco dużego zapasu tabletek z jodem, a wciąż starano się zachować kryzys w tajemnicy. Esaułow wykorzystał swoje partyjne kontakty w okręgach Czarnobyla i Polesia, dyskretnie prosząc o pomoc. Przed wieczorem dostarczono w sumie dwadzieścia trzy tysiące dawek jodku potasu i przygotowywano się do rozprowadzenia ich od drzwi do drzwi w całym mieście.

O godzinie dwudziestej II sekretarz Małomuż wezwał Esaułowa do Białego Domu[653]. Wiceburmistrz zastał pod budynkiem szereg najróżniejszych środków transportu: wołgi, moskwicze, patrole milicyjne, pojazdy eskortowe, wojskowe gaziki i nowe czarne sedany partyjnych oficjeli. Przed pomieszczeniem, w którym trwało spotkanie komisji rządowej, czekała grupa

umundurowanych pułkowników i generałów. Małomuż nakazał Esaułowowi przewieźć najbardziej poszkodowanych pacjentów z Prypeci na lotnisko Boryspol pod Kijowem, skąd wojskowy odrzutowiec dostarczony przez generała Iwanowa, szefa obrony cywilnej, miał ich zabrać do Moskwy.

Przez okno Esaułow ujrzał tłum opuszczający kino Prometeusz po wieczornym seansie i matki z dziećmi zmierzające w stronę kawiarni. Z restauracji na dole dobiegały odgłosy wesela. Słyszał okrzyki „gorzko!”, a potem chóralne: „Raz, dwaaaa, trzyyyy!”.

Późnym wieczorem w sobotę[654] telefony i specjalne odbiorniki radiowe w całej Prypeci zamilkły[655]. Odbiorniki, tak zwane radiotoczki, wisiały w każdym domu na terenie Związku Radzieckiego, dostarczając propagandę niczym gaz lub elektryczność na trzech kanałach: ZSRR, republiki i miasta. Emisja rozpoczynała się o szóstej rano radzieckim hymnem i pozdrowieniem *gawarit Moskwa*. Wiele osób miało radio włączone przez cały czas – wyłączenie go traktowane było podejrzliwie – podtrzymując w ten sposób strażkę partyjnego oświecenia w kuchni. Kiedy odbiorniki i telefony umilkły, nawet ci mieszkańcy Prypeci, którzy cały dzień spędzili poza miastem, zaczęli domyślać się, że stało się coś niezwykłego.

Przedstawiciele lokalnych wspólnot mieszkaniowych polecieli ludziom umyć klatki schodowe, a do drzwi pukały młode kobiety z Komsomołu, rozdając tabletki ze stabilnym jodem. Rozeszły się plotki, że wyłączono wszystkie reaktory w elektrowni. Mówiło się o ewakuacji miasta. Niektórzy nawet spakowali walizki i wyszli na ulicę, spodziewając się, że rozpocznie się w każdej chwili, ale nie było żadnej oficjalnej informacji[656].

Aleksander Korol większość ranka spędził w mieszkaniu Leonida Toptunowa, czekając, aż przyjaciel wróci i wyjaśni, co się stało w bloku czwartym. Słyszał, że w elektrowni doszło do najpoważniejszego przewidzianego wypadku, ale nie chciało mu się w to wierzyć. W końcu przybyła dziewczyna Toptunowa, która była pielęgniarką, i powiedziała, że wszyscy z nocnej zmiany trafili do szpitala numer 126. Niektórych wieczorem mieli przewieźć do kliniki w Moskwie[657].

Było po godzinie dwudziestej pierwszej[658], kiedy Korol dotarł do szpitala z ręcznikiem, pastą do zębów i szczoteczką Toptunowa. Przed budynkiem stały dwa ikarusy[659]. Jeden z nich wypełniony był strażakami i jego przyjaciółmi z nocnej zmiany. Wszyscy byli w piżamach, większość wyglądała na zupełnie zdrowych. Korol wszedł do środka i znalazł Toptunowa. Przyjaciel wyglądał jak zawsze, ale Aleksander zauważył, że siedzenia i ściany autobusu pokryte były folią[660]. Gdy Toptunow przemówił, sprawiał wrażenie oszołomionego i zdezorientowanego. Korol zapytał, co się stało.

– Nie wiem – odparł młody operator. – Pręty weszły do połowy, a potem stanęły.

Korol nie zadawał więcej pytań. Wiedział, że niewiele osób w Prypeci wie, że tych pracowników wywożą z miasta. Przechodził wzdłuż autobusu z długopisem i kartką, notując nazwiska i adresy rodzin jego przyjaciół, żeby mógł im przekazać, że zabierają ich do Moskwy. Wtedy do środka wniesiono na noszach dwóch mężczyzn. Jeden z nich podniósł głowę.

– Cześć! – powiedział wesoło Korol.

Ale Aleksander nie rozpoznał go. Jego twarz była cała czerwona i opuchnięta[661]. Kiedy Korol zobaczył mężczyznę na drugich noszach, którego ciało w trzydziestu procentach było poparzone, zdał sobie sprawę, że cokolwiek się stało, doszło do poważnego wypadku. Pora było się zwijać. Autobus odjeżdżał. Wyszedł z ikarusa i odprowadził go wzrokiem[662].

Tej nocy Korol spotkał się wraz z innymi starszymi inżynierami w mieszkaniu, gdzie pili piwo i dyskutowali o tym, co mogło doprowadzić do wypadku. Mieli wiele teorii, a żadnej odpowiedzi. Włączyli telewizor, ale w wiadomościach ani słowem nie wspomniano o wypadku czy o elektrowni.

W wielkim narożnym mieszkaniu na końcu prospektu Lenina Walentina Briuchanowa na próżno cały dzień czekała na wieści od męża, którego ostatni raz widziała, gdy w milczeniu wychodził przed świtem. Dyrektor elektrowni wrócił dopiero po północy, przynosząc pozwolenie dla ciężarnej córki i jej męża na zabranie rodzinnego samochodu, przejście przez milicyjne kordony i ucieczkę z miasta. W domu spędził tylko kilka minut. Powiedział, że musi wracać do elektrowni.

– Wiesz, że kapitan zawsze ostatni opuszcza statek – powiedział Walentinie. – Od tej pory ty jesteś odpowiedzialna za rodzinę[663].

Kiedy Weniamin Prianisznikow w końcu dodzwonił się do swojego szefa w elektrowni, ten przekazał mu, że prowadzą ćwiczenia i że powinien pilnować swoich spraw. Prianicznikow zamknął żonę i córkę w mieszkaniu. Nakazał im się spakować i być gotowymi do opuszczenia miasta pierwszym porannym pociągiem. Rodzina szykowała się spać, gdy usłyszała dziwne

odgłosy dobiegające z elektrowni. Z balkonu na piątym piętrze ujrzeli żółte i zielone płomienie buchające w górę na kilkaset metrów ponad ruinami reaktora numer 4[664].

Wczesnym niedzielnym rankiem[665] samolot generała Iwanowa wystartował z lotniska Boryspol z dwudziestoma sześcioma wykazującymi wczesne objawy choroby popromiennej mężczyznami na pokładzie. Wśród nich byli Leonid Toptunow, kierownik zmiany Aleksander Akimow, zastępca głównego inżyniera Diatłow, Aleksander Juwczenko i strażacy, którzy walczyli z płomieniami na dachu hali reaktora. Większość z nich nie miała pojęcia, dlaczego i gdzie ich zabierają. Martwili się o losy swoich rodzin i tym, co stało się w elektrowni. Lot do Moskwy zajął niecałe dwie godziny. Ci, którzy byli przytomni, całą drogę wymiotowali.

Rano na posterunku milicji w Prypeci, gdzie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych urządziło centrum kryzysowe, oficer dyżurny zanotował w dzienniku kilka zdań. O 7.07 napisał: „Ludzie odpoczywają. O ósmej załoga rozpocznie pracę. Sytuacja jest w normie. Poziom promieniowania wzrasta”[666].

Niedziela, 27 kwietnia, Prypeć

Pierwszy z wielkich helikopterów transportowych przyleciał o świcie i wylądował w pobliżu placu miejskiego. Betonowe fasady Białego Domu i budynków mieszkalnych przy ulicy Kurczatowa odbiły pogłosem hałas z wirników, podmuch powietrza wzburzył kurz i zerwał płatki kwiatów. Generał major Nikołaj Antoszkin, czterdziestotrzyletni dowódca 17. Armii Powietrznodesantowej nakierowywał pilota za pomocą czapki, póki maszyna nie osiadła na ulicy przed hotelem Polesie[667].

Generał Antoszkin został wysłany ze swojej jednostki w Kijowie poprzedniej nocy i dotarł do Prypeci samochodem po północy w sobotę w towarzystwie eksperta od broni chemicznej[668]. Miał niewielkie pojęcie o tym, co dzieje się w elektrowni, nie dano mu żadnych instrukcji, ludzi ani sprzętu, nawet krótkofalówek do bezpośredniej komunikacji z pilotami. Gdy tylko przybył do Prypeci, udał się do Białego Domu, by zgłosić się do Borysa Szczerbiny[669]. Przewodniczący rządowej komisji był lakoniczny:

– Potrzebujemy helikopterów[670] – powiedział.

Korzystając z telefonu w jednym z biur zajętych przez generałów oraz admirałów armii, marynarki i obrony cywilnej, Antoszkin obudził swojego zastępcę w Kijowie i polecił mu załatwić helikoptery. Pierwsza z maszyn przyleciała z pobliskiej bazy w Czernihowie nocą, w deszczu, pośród burzy i przy dużym zachmurzeniu. Antoszkin wykorzystał władzę nadaną mu przez

komisję rządową, by wezwać pilotów szkoleniowych ze szkoły w Torzoku na północ od Moskwy, a także z baz oddalonych o tysiące kilometrów, przy granicy z Kazachstanem[671].

Gdy w niedzielę nad Czarnobyłem wschodziło słońce, generał miał do swojej dyspozycji kryzysowe siły powietrzne liczące osiemdziesiąt helikopterów i czekające na rozkazy na czterech lądowiskach wokół elektrowni, a reszta była w drodze z różnych baz na terenie Związku Radzieckiego. Antoszkin nie zmrużył oka od ponad doby.

Łoskot lądującego śmigłowca obudził Borysa Szczerbinę, Walerija Legasowa i innych członków komisji śpiących w hotelu. Do późnej nocy próbowali rozwiązać piętrzące się problemy wokół wraku reaktora numer 4. Istniało ryzyko powstania nowej reakcji łańcuchowej. Trzeba było uporać się z ogniem i stłumić widoczną smugę radioaktywnych cząstek wydalanych do atmosfery. Zastanawiano się też, czy ewakuować miasto, i próbowano rozwikłać tajemnicę, co doprowadziło do wypadku[672].

Legasow obliczył, że w reaktorze znajdowało się dwa tysiące ton grafitowych bloków, które zajęły się ogniem i osiągnęły temperaturę przekraczającą 1000 stopni Celsjusza[673]. Żar może wkrótce stopić cyrkonowe pokrycie pozostałych w rdzeniu kaset paliwowych i pastylki ditlenku uranu, dodając do chmury unoszącej się z reaktora jeszcze więcej radioaktywnych cząstek[674]. Legasow obliczył, że grafit będzie płonął w tempie jednej tony na godzinę[675]. Nawet biorąc pod uwagę materiał wyrzucony z rdzenia przez eksplozję, jeśli jego obliczenia były poprawne, pożar mógł utrzymywać się przez ponad dwa

miesiące[676], wyrzucając w powietrze radionuklidy, które przez kolejne lata zatruwałyby cały glob.

Złożoność problemu nie miała precedensu. Tradycyjne techniki gaszenia ognia okazały się bezskuteczne[677]. Grafit i paliwo jądrowe płonęły w tak wysokiej temperaturze, że ugasić ich nie dawało się ani za pomocą wody, ani za pomocą piany: woda natychmiast zamieniała się w parę, jeszcze bardziej rozprzestrzeniając radioaktywne cząstki, a ponadto dochodziło do podziału jej części składowych, czyli tlenu i wodoru, zwiększając ryzyko kolejnej eksplozji[678]. Poza tym silne promieniowanie gamma w pobliżu reaktora i tak uniemożliwiało zbliżenie się do niego na dłuższą chwilę[679].

Legasow i coraz bardziej wyczerpani pozostali specjaliści jądrowi debatowali godzinami, przerzucając się pomysłami, wyszukując informacje w książkach i podręcznikach, odbierając z Moskwy instrukcje telefonicznie i dalekopisem. Dowódcy straży pożarnej z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i eksperci z Ministerstwa Energetyki szukali pomocy u swoich kolegów ze stolicy. Jeden z fizyków, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na proste pytanie dotyczące materiałów w elektrowni, zadzwonił do żony i kazał jej sprawdzić w domu[680]. W Instytucie Kurczatowa osiemdziesięcioletni dyrektor Anatolij Aleksandrow – przewodniczący Radzieckiej Akademii Nauk, właściciel patentu na reaktor RBMK i mentor Legasowa – zasiadł przy szyfrowanej linii telefonicznej i doradzał naukowcom w Prypeci, jak odzyskać kontrolę nad reaktorem numer 4[681]. Legasow proponował przykryć go żelaznymi kulkami, tworząc w ten sposób pokrywę chroniącą przed promieniowaniem. Szczerbina chciał wysłać

łodzie straży pożarnej, które z rzeki Prypeć polewałyby reaktor wodą pod wysokim ciśnieniem. Żelazne kulki składowane były w magazynie znajdującym się na drodze radioaktywnego opadu z reaktora i były zbyt skażone, żeby się do nich dostać. Polewanie reaktora wodą było bezcelowe i niebezpieczne.

Pomysłami przerzucano się przez całą noc. Tymczasem ekipa[682] z ośrodka badań jądrowych Ministerstwa Energetyki, WNIIAES, powróciła ze zwiadu, podczas którego na własne oczy widziała przerażające światła błyskające z ruin reaktora. Oznajmili Szczerbinie, że poziom promieniowania jest niebezpieczny.

O godzinie drugiej w nocy Szczerbina zadzwonił do swojego partyjnego przełożonego w Moskwie, Władimira Dołgicha – sekretarza Komitetu Centralnego, odpowiedzialnego za przemysł ciężki i energetykę – i poprosił o pozwolenie na ewakuację miasta[683]. Zanim naukowcy tuż przed świtem udali się do łóżek, podjął też decyzję dotyczącą reaktora: za pomocą helikopterów Antoszkina będzie go bombardował z powietrza[684].

Jednak członkowie komisji wciąż nie uzgodnili, jakich materiałów użyć ani jak dokładnie przeprowadzić taką akcję.

Około godziny siódmej w niedzielę Borys Szczerbina wszedł do Białego Domu okupowanego przez radzieckie autorytety wojskowe w dziedzinie promieniowania: generała Borysa Iwanowa, zastępcę dowódcy Radzieckich Sił Obrony Cywilnej, i generała pułkownika Władimira Pikałowa, dowódcę wojsk chemicznych ZSRR, i oznajmił, że jest gotowy przeprowadzić ewakuację.

– Podjąłem decyzję – powiedział Szczerbina. – Co o niej myślicie?[685]

Iwanow podał mu raport dotyczący promieniowania[686]. Wbrew oczekiwaniom Ministerstwa Zdrowia, które liczyło na to, że poziom skażenia ulic w Prypeci spadnie, ten wciąż wzrastał. Szef obrony cywilnej i jego lokalny zastępca nie mieli wątpliwości: mieszkańcom zagrażały nie tylko nuklidy napływające z reaktora, ale także promieniotwórczy opad odkładający się na ziemi.

Miasto musi być ewakuowane. Zdanie oficerów potwierdzał raport ordynatora szpitala numer 126. Jedynie Pikałow, imponujący dowódca wojsk chemicznych o krzaczastych brwiach, odznaczony weteran wielkiej wojny ojczyźnianej, twierdził, że nie należy spieszyć się z ewakuacją.

Szczerbina oznajmił, że podjął decyzję: ewakuację należy rozpocząć tego popołudnia. Wciąż jednak wstrzymywał się z wydaniem rozkazu. Wpierw chciał na własne oczy zobaczyć reaktor numer 4[687].

Tuż po ósmej, w tych samych służbowych ubraniach, w jakich przybyli z Moskwy, Szczerbina i Legasow weszli na pokład helikoptera Mi-8 zaparkowanego na miejskim boisku do gry w piłkę nożną[688]. Dołączyli do nich generałowie Pikałow i Antoszkina oraz dwaj mężczyźni z prokuratury w Kijowie z nową kamerą na wyposażeniu, za pomocą której mieli sfilmować miejsce wypadku[689]. Lot z Prypeci do elektrowni trwał niecałe dwie minuty, a gdy helikopter przechylił się za zachodnim krańcem długiej hali turbin, sześciu mężczyzn wyjrzało przez okrągłe okienka w kabinie i zobaczyło okropny widok w dole.

Nawet najbardziej sceptyczne radzieckie oko musiało przyznać, że reaktor czwarty elektrowni w Czarnobylu już nigdy nie wygeneruje ani jednego wata energii elektrycznej[690]. W blasku dnia było jasne, że jest kompletnie zniszczony. Dach i górne ściany zostały zburzone. Legasow ujrzał pokrywę reaktora przewróconą na bok pod wpływem ogromnej eksplozji i spoczywającą pod ostrym kątem na szczycie studni. Na dachu maszynowni i na ziemi widział porzucane szczątki grafitowych bloków i zestawów paliwowych. Z krateru, na wysokość kilkuset metrów, unosiła się biała para, najpewniej efekt płonącego grafitu, jak przypuszczał Legasow. W głębi czarnych ruin budynku naukowiec mógł dostrzec czerwony żar, świadczący o tym, że coś – sam nie wiedział co – wciąż się tam intensywnie paliło.

Wracając helikopterem do Prypeci, Legasow zdawał sobie sprawę, że tym razem nie jest to kolejny nieszczęśliwy wypadek radzieckiej inżynierii, ale katastrofa na skalę globalną, która wpłynie na wiele pokoleń[691]. Jego zadaniem było ją powstrzymać.

O godzinie dziesiątej w niedzielę, trzydzieści dwie godziny po eksplozji, Borys Szczerbina zebrał przedstawicieli partii w biurze gorkomu i w końcu wydał rozkaz ewakuacji Prypeci[692].

O 13.10 radiotoczki we wszystkich kuchniach miasta w końcu przerwały milczenie[693]. Mocnym, pewnym siebie głosem młoda kobieta odczytała obwieszczenie[694] sporządzone przez starszych funkcjonariuszy i podpisane przez Szczerbinę[695]:

Uwaga! Uwaga! Drodzy towarzysze! Rada miejska informuje, że w związku z awarią w elektrowni jądrowej w Czarnobylu rośnie skażenie radioaktywne w mieście Prypeci. Partia,

radzieckie organizacje i wojsko podjęły niezbędne kroki. W trosce o zapewnienie maksymalnego bezpieczeństwa mieszkańcom – a przede wszystkim dzieciom – niezbędna jest tymczasowa ewakuacja do pobliskich miejscowości w rejonie Kijowa. Prosimy o zachowanie spokoju, dyscypliny i porządku podczas tymczasowej ewakuacji.

Starannie dobrano słowa obwieszczenia[696]: nie mówiło ono, na jak długo mieszkańcy będą musieli opuścić swoje domy, ale wyraźnie sugerowało, że na krótko. Kazano im spakować tylko dokumenty i ubranie oraz jedzenie na dwa lub trzy dni, pozamykać okna, wyłączyć gaz i prąd. Pracownicy miejscy mieli pozostać i podtrzymywać infrastrukturę miejską[697]. Pustych domów miały pilnować patrole milicji. Niektórzy spakowali tylko najcenniejsze przedmioty: suknie balowe, biżuterię, zastawę. Inni szykowali się na najgorsze i zabrali zimowe ubrania.

Wcześniej tego ranka Natalia Juwczenko przyniosła ręcznik, szczoteczkę do zębów i inne rzeczy, o które prosił jej mąż, pod szpital numer 126, ale gdy dotarła na miejsce, gdzie rozmawiali dzień wcześniej, nie dostrzegła ani jego, ani żadnego innego pracownika elektrowni. Okna były otwarte, ale całe skrzydło szpitala, które jeszcze kilka godzin temu wypełnione było pacjentami, teraz stało opustoszałe. Szukała kogoś, kto powiedziałby jej, gdzie podziali się pacjenci. Na próżno[698].

Kiedy Juwczenko powróciła do mieszkania przy prospekcie Robotników, sąsiedzi poinformowali ją o ewakuacji. Mieli zostać wywiezieni na trzy dni. Zabiorą ich autobusy. Do tego czasu należy trzymać dzieci w środku i czekać. Nie było czasu na strach

ani panikę. Zbyt wiele pytań domagało się odpowiedzi. Gdzie są moi przyjaciele? Dokąd nas zabierają? Kiedy wrócimy?

Natalia skupiła się na najważniejszych sprawach. Po pierwsze, musiała upewnić się, że ma wszystkie dokumenty. Zabrała dowody osobiste, dyplomy uniwersyteckie, karty szczepień i dokumenty mieszkania. Gdzie znajdzie mleko na trzy dni dla Kiryła? Wszystkie sklepy były zamknięte. I przede wszystkim musiała znaleźć męża.

Niebawem dowiedziała się, dlaczego Aleksander nagle zniknął. Sasza Korol, korzystając z listy adresów zapisanych w autobusie dotarł do jej mieszkania i wyjaśnił, że widział, jak jej męża zabierano do Moskwy. Z własnej inicjatywy dał Natalii sto rubli, czyli niemal miesięczną pensję[699], oraz karton mleka dla dziecka.

Mleko położyła na siodełku roweru Aleksandra stojącego w korytarzu i poszła pakować się do sypialni. Wypełniła małą walizkę ubraniami chłopca, kilkoma sukienkami i butami, a następnie zeszła na dół i czekała.

Maria Procenko pozostała przy swoim biurku na piętrze Białego Domu przez cały dzień aż do późnego wieczora w sobotę. Nieustannie odwiedzali ją członkowie komisji rządowej, wojskowi i naukowcy. Było dużo roboty, a brakowało rąk, gdyż większość załogi ispołkomu odesłano do domu[700].

Pomimo kryzysu w elektrowni Procenko musiała zająć się papierkową robotą dotyczącą planowanej rozbudowy miasta. Była pewna, że odbędzie się ona zgodnie z harmonogramem.

Co godzinę odwiedzali ją żołnierze z obrony cywilnej, prosząc o sporządzenie kolejnego zestawu map, na których notowali

rosnące poziomy promieniowania w Prypeci i okolicach. O ósmej wieczorem w sobotę burmistrz kazał jej przygotować miasto do ewentualnej ewakuacji. Nic nie było jeszcze pewne, ale powiedział, że jeśli nadejdzie rozkaz, powinna być gotowa wywieźć wszystkich mieszkańców Prypeci autobusem lub pociągiem.

Procenko dołączyła do grupy dwudziestu przedstawicieli administracji miasta obradujących nad ewakuacją w pomieszczeniu naprzeciw jej biura. Architekt wyłożyła mapy i policzyła wszystkie budynki mieszkalne w mieście, podczas gdy szef działu paszportów wewnętrznych i *żeki* liczyli, ile rodzin mieszka w każdym bloku, a także ile w danej rodzinie jest dzieci i osób starszych. Następnie Procenko wraz z dowódcą miejskiej obrony cywilnej obliczyła, ile potrzeba autobusów, żeby zebrać wszystkich z sześciu mikrodzielnic.

W sumie w Prypeci mieszkało 51 300[701] mężczyzn, kobiet i dzieci. Ponad cztery tysiące z nich było operatorami w elektrowni i budowniczymi, którzy mieli pozostać, żeby wspierać prawidłowe funkcjonowanie miasta i czarnobylskiego kompleksu. Żeby wywieźć bezpiecznie wszystkich mieszkańców[702], potrzeba było ponad tysiąc autobusów, dwa statki i trzy pociągi spalinowe skierowane na stację Janów.

Ukraiński minister transportu w Kijowie zwrócił się do przedsiębiorstw transportowych w całym mieście i w pobliskich miejscowościach o dostarczenie autobusów i wezwanie do pracy kierowców w sobotę wieczorem oraz przygotowanie ich do podróży pod eskortą policyjną w stronę Prypeci[703]. O godzinie 23.25 ukraińska Rada Ministrów wydała rozkaz. O 3.50[704] pięćset pojazdów przyjechało w okolice miasta, a niecałe pół godziny

później drugie tyle dotarło do miejscowości Czarnobyl. Długa na dwanaście kilometrów kolumna pojazdów zatrzymała się na drodze do Prypeci, a czekający na kolejne instrukcje kierowcy posilali się w barze na kółkach. Operacja przeprowadzana była potajemnie. W niedzielny poranek na przystankach w całym Kijowie sfrustrowani pasażerowie czekali na autobusy, które nie przyjechały[705].

W niedzielę, w porze obiadowej, mieszkańcy Prypeci wylegli przed budynki w oczekiwaniu na wyjazd z miasta, trzymając w rękach małe torby na zakupy, w których mieli swój dobytek, jedzenie – gotowane ziemniaki, chleb, smalec[706] – i dokumenty. Nie było oznak paniki. Pomimo nakazów, by pozostać wewnątrz[707], rodzice nie potrafili zapanować nad dziećmi, które biegały i bawiły się na zanieczyszczonych ulicach. Niektóre rodziny wyruszyły pieszo[708].

W tym samym czasie załogi dwóch helikopterów 51. Pułku Straży przygotowywały się do ataku na reaktor z powietrza[709]. Zatwierdzona o ósmej rano przez Borysa Szczerbinę operacja rozpoczęła się w improwizacyjnym szaleństwie[710]. Generał Antoszkina i jego ludzie musieli zaplanować nie tylko miejsca startu i lądowań, lecz także trasy lotów, prędkość, trajektorię. Ich obowiązkiem było też badanie poziomów promieniowania. A każdy z nich podlegał kaprysom porywczego przewodniczącego rządowej komisji. Kiedy piloci odbywali loty zwiadowcze nad reaktorem, Szczerbina zastanawiał się, gdzie składować tony materiału, który zamierzali zrzucić na ruiny bloku czwartego.

Walerij Legasow wraz z innymi naukowcami ostatecznie opracowali złożoną mieszankę substancji[711], jaką zamierzali

zrzucić na reaktor numer 4. Zawierała ona glinę, ołów i dolomit, których obecność, jak mieli nadzieję, zdusi pożar grafitu, schłodzi paliwo jądrowe i powstrzyma wydzielanie radionuklidów do atmosfery. Aleksandrow i fizycy jądrowi z Instytutu Kurczatowa zalecali stosowanie ołowiu i dolomitu, naturalnie występującego minerału zawierającego wapń i węglan magnezu. Naukowcy mieli nadzieję, że odznaczający się niską temperaturą topnienia ołów rozpuści się pod wpływem żaru, pomagając schłodzić temperaturę i uwięzić radionuklidy wydzielane przez zniszczony rdzeń[712]. Liczyli też na to, że spłynie na dno reaktora, gdzie stężeje, tworząc barierę przed promieniowaniem gamma. Dolomit z kolei miał schłodzić paliwo, a także rozłożyć się pod wpływem ciepła, wydzielając dwutlenek węgla, który pozbawi ogień tlenu. Aleksandrow zasugerował zastosowanie gliny, która miała pomóc uszczelnić reaktor i absorbować radionuklidy.

Ale żadnego z tych składników nie było w elektrowni. Szczególnie ołowiu brakowało w całym ZSRR, a operację trzeba było rozpocząć natychmiast. Szczerbina nakazał pilotom zrzucić na reaktor sproszkowany bor – pochłaniacz neutronów, który odsuwał ryzyko dalszych reakcji łańcuchowych w uranie – dostarczony ciężarówką z elektrowni w Równem. Legasow zbliżył się do reaktora w transporterze opancerzonym, żeby osobiście zebrać odczyty promieniowania, i dane wykazały, że reakcja łańcuchowa w ruinach się zatrzymała. Naukowcy musieli być jednak pewni, że nie zacznie się znowu.

Tymczasem Szczerbina wysłał generała Antoszkina i dwóch wiceministrów ZSRR, a zarazem specjalistów jądrowych, na brzeg Prypeci, gdzie osobiście mieli napełniać worki piaskiem[713].

Legasow twierdził, że piasek zdusi ogień i utworzy powłokę filtrującą na szczycie reaktora, więżąc rozgrzane cząstki i radioaktywne gazy. Piasek był tani i było go pod dostatkiem. W ramach przygotowań do rozbudowy miasta rozpoczęto już wydobywanie piasku z rzeki i teraz całe jego tony leżały na brzegu obok kawiarni, dwie przecznice od hotelu Polesie, przed którym wylądowały helikoptery. Dobrze się składało, bo wymagana ilość była ogromna: naukowcy twierdzili, że reaktor powinien zostać przykryty co najmniej metrową warstwą substancji absorbujących. Według ich obliczeń potrzeba było około pięćdziesięciu tysięcy worków[714].

Było upalnie i generał wraz z ministrami – wciąż w garniturach i eleganckich butach – spływali potem. Ale to nie słońce sprawiało największy problem, tylko promieniowanie. Nie mieli masek ani dozymetrów. Jeden z ministrów zwrócił się o pomoc do kierownika grupy specjalistów montażu jądrowego, który domagał się, by jego ludzie dostali premię za pracę w skażonym terenie. Ale nawet przy wsparciu jego ekipy zadanie przerastało ich siły. Dwaj specjaliści udali się do pobliskiego kolektywu Družba, czyli Przyjaźń. Pracujący w polu kołchoźnicy akurat odpoczywali na słońcu, nie wierząc w to, co się mówiło o wypadku i o potrzebie ugaszenia reaktora, ani w to, że gleba, którą orali, została już skażona. Dopiero gdy kierownik kołchozu oraz sekretarz partii przyjechali na miejsce i kilkakrotnie wyjaśnili sytuację, pracownicy zgodzili się pomóc. Ostatecznie około stu do stu pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet z kołchozu zgodziło się pomóc w pracy nad brzegiem rzeki, a dołączyli do nich żołnierze z obrony cywilnej Kijowa[715].

Borys Szcherbina pozostawał jednak niezadowolony[716]. W Białym Domu naciskał na ministrów i generałów, żeby pracowali ciężiej, szybciej, i pałał pogardą wobec przedstawicieli przemysłu jądrowego. Wrzeszczał, że doskonale radzą sobie z wysadzaniem reaktorów, ale są beznadziejni w napełnianiu worków piaskiem.

Przewodniczący, nawet jeśli był świadomy rosnącego poziomu napromieniowania – nie okazywał tego[717]. Szcherbina niebezpieczeństwo radiacji traktował z wyniosłą pogardą niczym dowódca kawalerii przechadzający się po polu bitwy wśród ognia dział. Wzięli z niego przykład niemal wszyscy członkowie komisji: wspomnianie o otaczającym ich promieniowaniu stało się wręcz przejawem braku taktu. Wśród ministrów panowała atmosfera radzieckiej brawury.

W końcu, w niedzielne popołudnie, pierwsze dziesięć worków z piaskiem – każdy ważący co najmniej sześćdziesiąt kilogramów – zostało dostarczonych na plac i załadowanych na pokład helikopterów generała Antoszkina[718].

Podstawiono w sumie 1225 autobusów[719] pomalowanych na różne kolory reprezentujące kilkanaście przedsiębiorstw przewozowych; były czerwone, żółte, zielone, niebieskie, czerwono-białe i w paski. A do tego dwieście pięćdziesiąt ciężarówek i innych pojazdów, w tym ambulansów obrony cywilnej, ciężarówek naprawczych i cystern. O godzinie czternastej[720] – półtora dnia po tym, jak pierwszy obłok radionuklidów został wyrzucony do atmosfery – ta pstrokata parada pojazdów czekająca na granicy miasta w końcu ruszyła.

Maria Procenko czekała[721] na nią na kładce kolejowej przy wjeździe do miasta, z mapą pod pachą, ubrana w bluzkę, spódniczkę oraz letnie sandały. Wraz z nią czekali wojskowy oraz milicjant. Uścisnęli sobie dłonie. Rozumieli, jakie ich czeka zadanie. Nie musieli dużo mówić[722].

Kiedy nadjechał pierwszy autobus, milicjant go zatrzymał, a Procenko weszła do środka. Pokazała kierowcy mapę i podała instrukcje. Poleciała, by autobusy jechały piątkami, pokazała, do których mikrodzielnic mają pojechać, jak do nich dotrzeć, przed którymi budynkami się zatrzymać i jak wyjechać z miasta. Następnie opuściła pojazd, milicjant zatrzymał kolejną grupę autobusów i Procenko pokazała mapę kolejnemu kierowcy.

Patrzyła, jak stopniowo, godzina po godzinie, kolejne pojazdy odjeżdżają piątkami malowniczym prospektem Lenina, by następnie, wypuszczając cierpkie spaliny, ostro skręcić i zniknąć za zakrętem.

Mieszkańcy Prypeci, zgromadzeni przed 540 klatkami 160 bloków, wsiadali do autobusów, a drzwi zamykały się za nimi z łoskotem[723].

Około godziny piętnastej pułkownik Borys Nesterow, zastępca dowódcy Sił Powietrznych Kijowskiego Obwodu Wojskowego, pilot helikoptera z dwudziestoletnim doświadczeniem, który służył w Syrii i walczył w górach północnego Afganistanu, ujrzał swój cel. Nadlatywał z zachodu potężnym śmigłowcem transportowym Mi-8, unosząc się na wysokości dwustu metrów. Gdy spostrzegł pomalowany w białe i czerwone pasy komin wentylacyjny bloku czwartego, przygotował się do redukcji prędkości. Mechanik

pokładowy otworzył luk w przedziale towarowym i przypiął swoją uprząż do kadłuba. U jego stóp leżało dziesięć worków[724].

Nesterow zwolnił do stu kilometrów na godzinę i wydał rozkaz:

– Przygotować się do zrzutu!

Ruiny reaktora czwartego zbliżały się szybko. W słuchawkach pułkownika pojawiły się trzaski, pokładowy termometr podskoczył nagle z 10 do 65 stopni Celsjusza, a radiometr umieszczony za siedzeniem wykroczył poza skalę. Przez szybę kokpitu między pedałami Nesterow ujrzał obłok białej pary i krawędzie reaktora rozżarzone niczym piec podczas wytopu.

Helikopter nie został wyposażony w żadne celowniki, które ułatwiłyby zadanie. Żeby zrzucić worki na reaktor, mechanik musiał, wzięwszy pod uwagę trajektorię, wycelować na oko najlepiej, jak potrafił, i wypchnąć je wszystkie jeden po drugim. Kiedy się wychylał, otaczała go chmura toksycznego gazu i był wystawiony na działanie promieniowania gamma oraz neutronowego. Chronił go jedynie mundur. Intensywny żar bijący z dołu uniemożliwiał zawieszenie helikoptera w miejscu. Gdyby śmigłowiec utracił pęd, dostałby się w słup mocno podgrzanego powietrza, jego wirniki doświadczyłyby radykalnego spadku momentu obrotowego i spadłyby.

Pułkownik zwolnił do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, walcząc o utrzymanie stabilnego lotu i mając nadzieję, że mechanik wykona swoje zadanie.

– Zrzucaj! – krzyknął.

Inżynier zepchnął pierwszy z worków, potem kolejny i następny...

– Ładunek został zrzuty!

Nesterow skręcił w prawo i polecał, by przygotować się do kolejnej rundy.

O godzinie siedemnastej Maria Procenko złożyła mapę, zatrzymała ostatni autobus, weszła na pokład i pojechała prospektem Lenina jako jedyny pasażer wkraczający do opuszczonego miasta. Poleciała kierowcy, by jechał od dzielnicy do dzielnicy, chcąc sprawdzić efekty pracy. O 18.30 wróciła do ispołkomu zaraportować burmistrzowi, że zadanie zostało wykonane[725].

– Władimirze Pawłowiczu, zrobione. Wszyscy zostali ewakuowani – powiedziała.

Nie licząc grupy osób podtrzymujących witalne funkcje miasta oraz ekipy pracującej przy pozostałych reaktorach w elektrowni, miasto było opustoszałe.

Jej raport został przesłany aż do przewodniczącego rządowej komisji. Procenko nie czuła smutku, tylko satysfakcję z dobrze wykonanego ważnego zadania. Było jak za czasów, gdy udzielała się w Pionierach: „Partia przemawia, a Komsomoł donosi o wykonaniu zadania”.

Dopiero wieczorem zaczęła się źle czuć: jej gardło było podrażnione, potwornie bolała ją głowa, a stopy i kostki piekły i swędziały. Nie połączyła tych objawów z promieniowaniem, po części dlatego, że nie miała pojęcia o skutkach promieniowania cząstek alfa i beta, które znajdowały się w kurzu omiatającym jej odsłonięte nogi, gdy przez kilka godzin stała na wiadukcie, a po części dlatego, że wolała o tym nie myśleć. Kiedy zaczęła się biegunka, Procenko wmówiła sobie, że to od nieświeżych ogórków. A bóle głowy i gardła? No cóż, od dwóch dni nie zmrużyła oka.

Swędzenie ustało, gdy włożyła stopy do umywalki i nakierowała na nie strumień zimnej wody. Ale wkrótce powróciło.

Procenko wróciła do biurka, by dalej rysować mapy dla żołnierzy, którzy wykonywali teraz pomiary co sześćdziesiąt minut. Zaczęli badać też budynek ispołkomu i poinformowali ją, że korytarze są skażone. Woźnego już dawno nie było, więc Procenko wzięła mokrą szmatę i sama wytarła linoleum gołymi rękami, bo nie mogła znaleźć rękawiczek.

Kiedy wielokolorowa kawalkada autobusów wyjeżdżała z miasta, niewielu mieszkańców wiedziało, dokąd jedzie. Nikt im niczego nie powiedział. Byli jednak pewni, że niedługo wrócą[726]. Część konwoju była daleko za miastem[727], gdy ktoś zdał sobie sprawę, że pojazdy mają sporo skażonego kurzu na kołach i muszą wrócić do Prypeci na dekontaminację. Jeden z pracowników elektrowni był już z żoną i dziećmi pięćdziesiąt kilometrów poza miastem, gdy polecił im jechać dalej, a sam postanowił wrócić do elektrowni pomóc kolegom[728]. Kierowca wysadził go w miejscowości Iwanków, gdzie musiał przekonać milicjanta, żeby pozwolił mu wrócić. Niektórym udało się namówić kierowców, żeby zawieźli ich do Kijowa, ale plan Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zakładał, że mieszkańcy Prypeci zostaną rozlokowani w okolicznych miasteczkach i wioskach Polesia, gdzie przyjmą ich rolnicy i pracownicy kolchozu.

Żona Wiktora Briuchanowa, Walentina, płakała, gdy wywożono ją z miasta. W autobusie Natalii Juwczenko pasażerowie szeptali nerwowo, zastanawiając się, gdzie mogą ich wywieźć. Rozglądali się za nazwami mijanych miejscowości

i widzieli współczucie na zmęczonych twarzach chłopów, którzy obserwowali ich przejazd[729].

Na drugim piętrze Białego Domu trwało zebranie rządowej komisji. Maria Procenko pozostała w biurze. Było około dwudziestej, gdy wyjrzała przez okno i ujrzała kobietę idącą przez plac. Była sama i niosła walizkę. Procenko nie rozumiała. Wszystkie kobiety i dzieci miały zostać wywiezione kilka godzin temu. Nakazała oficerowi dyżurnemu iść i ją sprawdzić, a sama patrzyła przez okno, jak ją zatrzymał i przepytował. Kobieta skinęła głową, a następnie ruszyła dalej z walizką w ręku. Kiedy strażnik powrócił, okazało się, że wieść o ewakuacji nie dotarła na stację kolejową, gdzie pociągi zatrzymywały się zgodnie z rozkładem. Kobieta wracała pociągiem z miasta Chmielnicki – trzysta kilometrów na południowy zachód – i nie podejrzewała, że przez kilka dni jej nieobecności coś się zmieniło w mieście.

Kiedy strażnik powiedział jej o ewakuacji, nie okazała ani strachu, ani paniki. Powiedziała, że oczywiście zgadza się zostać ewakuowana, ale najpierw musi pójść do domu.

Gdy z walizką szła w stronę mieszkania, zdała sobie sprawę, że Prypeć jest dziwnie opustoszała. W zaledwie kilka godzin ukochane miasto przyszłości Wiktora Briuchanowa stało się miastem duchów. Pranie trzepotało na balkonach przy prospekcie Lenina. Plaże i restauracje świeciły pustkami, a place zabaw wymarły.

Teraz ulice rozbrzmiewały innymi dźwiękami: szczekaniem zdezorientowanych psów, których sierść była tak skażona, że właściciele musieli je zostawić, zawodzeniem pojazdów zwiadowczych obrony cywilnej i nieustającym łoskotem silników

helikopterów, które wciąż latały, zrzucając worki z borem i piaskiem do radioaktywnego wulkanu[730].

CZEŚĆ DRUGA
UPADEK IMPERIUM

Chmura

Pod wpływem ogromnego ciepła niewidzialna radioaktywna chmura uniosła się z ruin reaktora i pokierowana sprzyjającymi wiatrami przebyła tysiące kilometrów.

W wyniku eksplozji[731] wystrzeliła w spokojne nocne powietrze na wysokość około tysiąca pięciuset metrów, gdzie z prędkością od stu do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę porwały ją potężne, wiejące z południa i południowego wschodu prądy, przemieszczając się nad terytorium ZSRR w stronę Bałtyku[732]. Chmura niosła ksenon 133, mikroskopijne cząsteczki rozgrzanego grafitu i cząstki złożone z radioaktywnych izotopów, w tym jodu 131 i cezu 137, które emitowały tak duże ciepło, że rozgrzewały powietrze wokół[733]. Szybowały w powietrzu niczym setki tysięcy miniaturowych balonów. Radioaktywność wewnątrz chmury wynosiła dwadzieścia milionów kiurów[734]. Zanim radzieccy naukowcy zaczęli regularnie monitorować z powietrza miejsce katastrofy w niedzielę 27 kwietnia – czyli całą dobę po eksplozji – niewidzialny potwór rozprzestrzenił się, sprawiając, że stali się nieświadomi jego rozmiarów i mocy[735]. Pomiary pokazały tylko jego ogon. W ciągu dwudziestu czterech godzin[736] dotarł on do Skandynawii.

W niedzielne południe automatyczna stacja pomiarowa Risø na północ od Roskilde zarejestrowała przybycie chmury do Danii[737]. Ale że była niedziela, odczytu nikt nie sprawdził. Tego

wieczoru żołnierz fińskich Narodowych Sił Obronnych, wykonujący pomiary w stacji Kajaani na południu Finlandii, odnotował niezwykle wzrost promieniowania tła. Zgłosił to zjawisko do centrum operacyjnego w Helsinkach, ale nie podjęto dalszych kroków. Późnym wieczorem radioaktywna chmura połączyła się z chmurami deszczowymi nad Szwecją, a wilgoć sprawiła, że zanieczyszczenia zaczęły się ze sobą zbijać[738].

Deszcz, który spadł w okolicy miasta Gävle, dwie godziny samochodem na północ od Sztokholmu, był silnie radioaktywny.

Tuż przed siódmą rano w poniedziałek, 28 kwietnia, Cliff Robinson jadł śniadanie w kafejce elektrowni jądrowej Forsmark, sześćdziesiąt pięć kilometrów na południowy wschód od Gävle nad Zatoką Botnicką[739]. Robinson był dwudziestodziewięcioletnim Szwedem angielskiego pochodzenia pracującym w laboratorium radiochemicznym, który wraz z innymi pracownikami dojeżdżał do Forsmark autobusem, gdzie budowano duży podziemny skład na radioaktywne odpady[740].

Wypiwszy kawę, Robinson poszedł do szatni, by umyć zęby. W drodze powrotnej przekroczył punkt monitorowania promieniowania i uruchomił alarm. Wciąż zaspany technik nie rozumiał, co się stało. Dopiero co przyjechał i jeszcze nie wszedł do bloku reaktora, nie mógł być więc napromieniowany. Na miejscu zjawił się pracownik ochrony radiacyjnej, który usłyszał sygnał, Robinson wyjaśnił mu więc, co się stało. Przeszedł przed detektor raz jeszcze i alarm znów się włączył. Ale przy trzecim przejściu sprzęt nie zareagował. Skonsternowani mężczyźni uznali, że doszło do jakiejś awarii. Może próg czułości alarmu się

rozkalibrował? Pracownik polecił Robinsonowi wracać do pracy, a sprzętem zdecydowali zająć się później.

Tak się złożyło, że praca Robinsona polegała na prowadzeniu pomiarów promieniowania w Forsmark-1 w budynku elektrowni i jego okolicy. Reaktor miał dopiero sześć lat[741], ale wykazywał niewielkie usterki, a zimą doszło do kilku małych wycieków przez nieszczelne kanały paliwowe. Robinson udał się na górne poziomy elektrowni, by pobrać pomiary z powietrza przy kominie wentylacyjnym, a następnie zabrał je do laboratorium, żeby poddać analizie. Taka procedura trochę trwała. Około dziewiątej zszedł na dół na kolejną kawę. Kiedy jednak doszedł do punktu monitorującego promieniowanie, ujrzał długą kolejkę pracowników. Każdy z nich uruchamiał alarm. Jeszcze bardziej skonsternowany, wziął od jednego z nich but, owinał plastikową torbą celem uniknięcia zanieczyszczenia krzyżowego i wrócił z nim do laboratorium. Położył go na detektorze germanowym, czułym urządzeniu badającym promieniowanie gamma, i czekał.

Nie musiał czekać długo. Wyniki pojawiły się zatrważająco szybko w postaci zielonych, gwałtownie wzrastających wierzchołków na ekranie komputera. Serce Robinsona zamarło. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. But był mocno zanieczyszczony całym spektrum produktów rozszczepienia znajdujących się w rdzeniu reaktora Forsmark-1: cezem 137, cezem 134 i szybko rozpadającymi się izotopami jodu, a także innymi cząstkami, w tym kobaltu 60 i neptunu 239. Substancje te mogły dostać się do atmosfery jedynie z paliwa jądrowego. Robinson natychmiast zadzwonił do szefa, który obawiając się

najgorszego, nakazał mu wrócić pod komin i pobrać świeże próbki z powietrza.

O godzinie 9.30 menedżer elektrowni Karl Erik Sandstedt został zawiadomiony o zanieczyszczeniu. Był nim również skonsternowany co Robinson[742]. Nie udało się ustalić źródła wycieku, a poziom promieniowania gruntu na zewnątrz świadczył o tym, że musiało do niego dojść w którymś z reaktorów Forsmark. O 10.30 Sandstedt wydał polecenie zamknięcia dróg dojazdowych do elektrowni. Miejscowe władze wydały ostrzeżenie przez radio, nakazując mieszkańcom trzymać się z daleka od Forsmark, a milicja rozstawiła blokady. Trzydzieści minut później Robinson badał nowe próbki w laboratorium, kiedy usłyszał syreny. Cała elektrownia była ewakuowana[743].

W mniej więcej tym samym czasie agencje jądrowe i obronne w Sztokholmie otrzymały zawiadomienia o podobnym skażeniu w Studsviku, dwieście kilometrów od Forsmark. Próbki powietrza pobrane w Sztokholmie również wykazały podniesiony poziom promieniowania i obecność cząsteczek grafitu, co wskazywało na katastrofę w elektrowni jądrowej, ale zupełnie innego typu niż ta w Forsmark. Przed godziną trzynastą za pomocą obliczeń meteorologicznych, opracowanych w ramach układu o zakazie prób broni nuklearnej, szwedzki Narodowy Instytut Badań Obronnych zbudował modele warunków pogodowych nad Bałtykiem. Potwierdziły one, że radioaktywne skażenie nie pochodziło z Forsmark. Nadeszło nad Szwecję z zagranicy. A wiatr wiał z południowego wschodu[744].

Około godziny jedenastej czasu moskiewskiego Hejdar Alijew przebywał w swoim biurze na Kremlu, kiedy zadzwonił telefon

wzywający go na nagłe spotkanie do Politbiura[745]. Jako wicepremier Alijew był jedną z osób, które miały największą władzę w Związku Radzieckim[746]. Niegdyś był przewodniczącym azerbejdżańskiego KGB oraz jednym z członków Politbiura, należał więc do osób decyzyjnych w sprawach imperium. W poniedziałek rano Alijew znał tylko pobieżne informacje na temat wypadku w elektrowni na Ukrainie. W radzieckiej prasie, radiu i telewizji ani słowem nie wspomniano o Czarnobylu. Władze w Kijowie, nawet bez instrukcji z Moskwy, próbowały ukryć wieści o wypadku[747]. W sobotę, gdy instrumenty w Kijowskim Instytucie Biologii wykazały nagły wzrost promieniowania, oficerowie KGB zaplombowali urządzenia „celem uniknięcia paniki i szerzenia prowokacyjnych plotek”. Jeszcze zanim sekretarz generalny Gorbaczow zwołał zebranie kryzysowe, Alijew zdał sobie sprawę, że promieniowanie zostanie wykryte daleko poza granicami ZSRR[748].

Kilkunastu mężczyzn, w tym Alijew, premier Ryzkow, szef propagandy Aleksander Jakowlew, konserwatywny przeciwnik Gorbaczowa Jegor Ligaczow i przewodniczący KGB Wiktor Czebrikow, zebrało się nie w sali konferencyjnej Politbiura, ale w ponurym gabinecie Gorbaczowa na drugim piętrze Kremla[749]. Pomimo niedawnego remontu i położenia dywanów w wykwintne wzory oraz zawieszenia kryształowych żyrandoli pod kopułą gabinet był surowy i nieprzyjazny. Wszyscy czuli zdenerwowanie[750].

Gorbaczow zapytał wprost:

– Co się stało?[751]

Władimir Dołgich, sekretarz Komitetu Centralnego, sprawujący pieczę nad radzieckim sektorem energetycznym, zaczął wyjaśniać, czego się dowiedział na podstawie telefonicznych rozmów ze Szczerbiną i ekspertami przebywającymi w Prypeci[752]. Opisał eksplozję, zniszczenie reaktora i ewakuację miasta. Siły powietrzne za pomocą helikopterów zrzucały na ruiny reaktora piasek, glinę i ołów. Radioaktywna chmura przemieszczała się na północ i zachód, została już wykryta na Litwie[753]. Informacje wciąż były szczątkowe i sprzeczne[754]: wojsko mówiło jedno, naukowcy co innego. Teraz musieli postanowić, co – i czy w ogóle – powiedzieć obywatelom Związku Radzieckiego o wypadku.

Dla Gorbaczowa był to nagły i niespodziewany test na otwartość i jawność rządu, które obiecał na zjeździe partyjnym zaledwie miesiąc wcześniej. Do tej pory głośność była jedynie sloganem[755].

– Powinniśmy wydać oświadczenie najszybciej, jak to możliwe – powiedział. – Nie możemy zwlekać[756].

Jednak instynkt paranoi i tajemnicy był głęboko zakorzeniony. Prawda o jakimkolwiek incydencie mogła podkopać prestiż Związku Radzieckiego albo wywołać panikę. Nawet trzy dekady po eksplozji w Majaku z 1957 roku wydarzenia te oficjalnie nie miały miejsca. Kiedy w 1983 roku radziecki pilot omyłkowo zestrzelił koreańskiego jumbo jeta, zabijając 269 osób na pokładzie, ZSRR zaprzeczał, by cokolwiek wiedział o tym incydencie. A Gorbaczow nie czuł się pewnie u władzy, narażony był na reakcyjną rewoltę, która zniszczyła Chruszczowa i jego program liberalizacji. Musiał być ostrożny[757].

Chociaż oficjalny zapis z zebrania[758] pokazywał, że panowała ogólna zgoda co do potrzeby wydania oficjalnego oświadczenia odnośnie do katastrofy, Hejdar Alijew twierdził, że nie dawał on pełnego obrazu wydarzeń. Zastępca premiera nalegał na natychmiastową i pełną szczerość. Wkrótce cała Europa dowie się, że stało się coś potwornego, ta katastrofa była zbyt wielka, żeby zamieść ją pod dywan. Jaki jest sens ukrywania czegoś, co i tak wszyscy wiedzą? Ale zanim dokończył, Jegor Ligaczow, uznawany za drugą najważniejszą osobę na Kremlu[759], przerwał mu.

– Czego chcecie? – zapytał zadzierzyscie. – Jakie informacje chcecie ujawnić?

– Dajcie spokój! – odparł Alijew. – Nie możemy tego ukrywać! [760]

Pozostali zgromadzeni[761] argumentowali, że nie mają wystarczających informacji, żeby wydać oświadczenie. Obawiali się paniki i uważali, że jakiegokolwiek oficjalne oświadczenie musi być starannie przemyślane[762].

– Oświadczenie powinno zostać sformułowane w taki sposób, żeby uniknąć paniki[763] – powiedział Andriej Gromyko, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

Zanim doszło do głosowania, Ligaczow najwyraźniej ich przekonał: Politbiuro postanowiło przyjąć tradycyjną linię. Partyjna starszyzna sformułowała liczące dwadzieścia trzy słowa, niewiele mówiące oświadczenie, które miało zostać opublikowane przez rządową agencję informacyjną TASS i przeciwdziałać temu, co rzecznik Komitetu Centralnego nazwał „burżuazyjną falsyfikacją [...] propagandą i wymysłami”[764].

Niezależnie od intencji Gorbaczowa, wydawało się, że najlepsze jest rozwiązanie tradycyjne.

O godzinie czternastej szwedzkie władze w Sztokholmie nie miały wątpliwości: za granicą doszło do poważnego wypadku jądrowego i skażenie dotarło nad Szwecję. Godzinę później Ministerstwo Spraw Zagranicznych zapytało rządy NRD, Polski i ZSRR, czy do wypadku nie doszło na terytorium ich kraju. Następnie wysłano identyczny komunikat do przedstawicieli Międzynarodowej Agencji Energetyki Jądrowej. W międzyczasie Finlandia i Dania również potwierdziły wykrycie skażenia terenu[765].

Jedyny mały hotel w Czarnobylu, w którym niegdyś Wiktor Briuchanow zasiadł na łóżku z planami elektrowni atomowej, teraz wypełniał się wyczerpanymi aparatczykami z Moskwy. Radionuklidy wciąż uwalniały się z pozostałości reaktora numer 4, a piloci helikopterów usiłowali ugasić płonący grafit. Tymczasem sowieckie władze zapewniały Szwedów, że nic im nie wiadomo o wypadku jądrowym na ich terenie[766].

Tego popołudnia *attaché* do spraw nauk ścisłych ze szwedzkiej ambasady w Moskwie skontaktował się z Komitetem do spraw Wykorzystania Energetyki Jądrowej – publicznym obliczem Średmaszu, czyli Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich. Komitet jednak nie chciał potwierdzić ani zaprzeczyć informacji o problemach z reaktorem[767]. Wieczorem, podczas przyjęcia w szwedzkiej ambasadzie, ambasador Torsten Örn przyparł do muru przedstawiciela Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zapytał go wprost, czy wiadomo mu cokolwiek o niedawnym wypadku jądrowym w ZSRR. Ten odparł, że sporządzi oficjalne

zapytanie, ale nie udzieli dalszych komentarzy[768]. W końcu, o godzinie dwudziestej w poniedziałek, 28 kwietnia, niemal trzy dni po tym, jak z ruin reaktora czwartego wyzwoliła się radioaktywna chmura, Radio Moskwa wyemitowało oświadczenie TASS-u sporządzone w gabinecie Gorbaczowa. „W elektrowni jądrowej w Czarnobylu doszło do wypadku – głosiło. – Jeden z reaktorów jądrowych uległ uszkodzeniu[769]. Podjęto środki mające wyeliminować skutki wypadku. Poszkodowanym udziela się pomocy. Powołano komisję rządową”. Lakoniczność i poziom zbieżności z prawdą oświadczenia były typowe dla radzieckich wiadomości i kontynuowały sposób, w jaki rząd w przeszłości ukrywał wypadki przemysłowe. Godzinę później Radio Moscow’s World Service powtórzyło oświadczenie w języku angielskim dla zagranicznych słuchaczy, po czym podano długą listę wypadków jądrowych na Zachodzie. Oba oświadczenia nie podawały, kiedy doszło do wypadku na Ukrainie.

O 21.25 czasu moskiewskiego *Wriemia*, największy serwis informacyjny, emitowany w całym Związku Radzieckim, wygłosił to samo, liczące dwadzieścia trzy słowa oświadczenie, odczytane w imieniu Rady Ministrów ZSRR. Była to dwudziesta pierwsza informacja w wiadomościach. Nie towarzyszyły jej żadne zdjęcia. Jedynie ponury wyraz twarzy prowadzącego i wspomnienie o Radzie Ministrów mogły sugerować, że wydarzyło się coś na wyjątkową skalę[770].

Następnego ranka, we wtorek 29 kwietnia, moskiewska prasa milczała na temat katastrofy. Gazety w Kijowie poinformowały o wypadku, ale redaktorzy starali się nie robić afery. „Prawda Ukrainy” opublikowała krótki tekst na dole trzeciej strony, pod

artykułem opowiadającym o historii dwóch emerytów walczących o zainstalowanie telefonów w ich domach. „Robotniczyja Hazeta” – gazeta ukraińskich robotników – wieść o Czarnobylu chowała pomiędzy wynikami meczów piłkarskich a relacją z turnieju szachowego[771].

Tymczasem na Kremlu generalny sekretarz Gorbaczow zwołał drugie nadzwyczajne zebranie Politbiura w ciągu dwóch dni, ponownie o 10.30. Teraz martwił się, że reakcja na katastrofę była nieadekwatna do skali problemu: promieniowanie wciąż się rozchodziło, podwyższony poziom zanotowano w Skandynawii, a Polacy zadawali niezręczne pytania. Czy możliwe, że skażenie dotrze do Leningradu lub Moskwy?[772]

Władimir Dołgich podzielił się z towarzyszami najświeższymi doniesieniami: radioaktywna chmura z Czarnobyla rozdzieliła się na trzy części, kierując się na północ, południe i zachód, a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych odgrodziło teren w promieniu co najmniej dziesięciu kilometrów od elektrowni, ale poziom promieniowania z reaktora spada[773]. Szef KGB zaprotestował: jego źródła nie wskazywały na zmniejszenie promieniowania. Zdaniem Czerbikowa sytuacja była wręcz katastrofalna[774]. Przygotowywano dalszą ewakuację okolicy, do szpitala w Moskwie dotarło dwieście ofiar, a Wołodymyr Szczerbicki, premier Ukrainy, odnotował wybuchy paniki w republice.

Wszyscy obecni zgodzili się, że muszą odizolować reaktor najszybciej, jak to możliwe. W celu opanowania sytuacji powołali specjalną siedmioosobową grupę operacyjną pod przewodnictwem premiera Ryzkowa, w skład której wchodził także Dołgich,

Czebrikow, minister spraw wewnętrznych i minister obrony. Grupa została upoważniona do zarządzania wszystkimi członkami partii i ministerstw na terenie całego imperium oraz miała koordynować działania z Moskwy, przekazując wszelkie środki do dyspozycji rządowej komisji w Czarnobylu.

Dyskusja ponownie zeszła na temat, co powiedzieć światu.

– Im bardziej szczerzy będziemy, tym lepiej – stwierdził Gorbaczow, sugerując, że powinni udzielić konkretnych informacji przynajmniej krajom satelickim ZSRR, Waszyngtonowi i Londynowi.

– Macie rację – przyznał Anatolij Dobrynin, niedawno mianowany do Komitetu Centralnego po dwudziestu latach pełnienia urzędu radzieckiego ambasadora w USA. – Jestem pewien, że zdjęcia już są na biurku Reagana[775].

Uzgodnili, że prześlą oświadczenie do ambasadorów w stolicach na całym świecie, w tym do Hawany, Warszawy, Bonn i Rzymu[776].

– Czy powinniśmy poinformować naszych ludzi?– zapytał Alijew.

– Niewykluczone – odparł Ligaczow[777].

We wtorek wieczorem serwis informacyjny *Wriemia* opublikował nowe oświadczenie[778] w imieniu Rady Ministrów ZSRR. Przyznano w nim, że w wyniku eksplozji w elektrowni atomowej w Czarnobylu zginęły dwie osoby, że część bloku reaktora uległa uszkodzeniu i że ewakuowano Prypeć. Nie wspomniano o wycieku radioaktywnym. Tym razem wiadomość wyemitowano jako szóstą, tuż za budującymi doniesieniami na temat potęgi radzieckiej gospodarki.

Tymczasem zagraniczne media wywęszyły, że za żelazną kurtyną doszło do spektakularnej katastrofy i Czarnobyl trafił na czołówki wszystkich wydań wiadomości. Gazety i sieci telewizyjne poleciły swoim korespondentom zdobyć więcej szczegółów, niezależnie od wiarygodności źródeł. Zagranicznym dziennikarzom w Moskwie odmówiono wydania pozwolenia na podróż na Ukrainę, musieli więc operować na szczątkach informacji. Luther Whittington z agencji prasowej United Press International[779] dopiero niedawno przybył do ZSRR i kilka tygodni wcześniej na placu Czerwonym poznał Ukrainkę, która ponoć miała kontakty ze służbami ratowniczymi. Whittington zadzwonił do niej do Kijowa. Z jej słów zrozumiał, że w wyniku eksplozji na miejscu zginęło osiemdziesiąt osób, a kolejne dwa tysiące są w drodze do szpitala. Żadne niezależne źródło nie potrafiło potwierdzić tych informacji, a jeden z kolegów Whittingtona, Nicholas Daniloff z U.S. News & World Report, twierdził później, że jego znajomość języka rosyjskiego była tak słaba, że mógł przeinaczyć słowa kobiety. Tak czy inaczej, w świat poszła sensacyjna wiadomość, która przyniosła spodziewany skutek.

„2000 OSÓB ZGINEŁO W KATASTROFIE JĄDROWEJ: Rosjanie proszą o pomoc w opanowaniu pożaru elektrowni jądrowej” – głosił nagłówek wtorkowego wydania „New York Post”, tego samego dnia, gdy gazety w Kijowie ukrywały wiadomość między doniesieniami sportowymi. Londyński „Daily Mail” następnego dnia obwieścił: **„2000 OFIAR ŚMIERTELNYCH ATOMOWEGO HORRORU”**[780]. Tego wieczoru te szokujące dane trafiły do wydań amerykańskich wiadomości wszystkich

stacji. Informator z Pentagonu powiedział stacji NBC, że satelitarne zdjęcia elektrowni świadczą o takim zniszczeniu, iż tysiące ofiar są nieuniknione. Dwa tysiące „wydają się właściwą liczbą, bo w elektrowni pracowało cztery tysiące osób”[781]. Wkrótce amerykański sekretarz stanu George Shultz otrzymał raport wywiadu określający radzieckie doniesienia o dwóch ofiarach śmiertelnych jako „niedorzeczne”[782].

Tymczasem radioaktywna chmura[783] zmierzała na północ i zachód, obejmując całą Skandynawię, kierując skażenie nad Polskę i formując klin w stronę Niemiec. Obfite deszcze sprawiły, że promieniotwórcze cząstki spadły na tereny od Czechosłowacji po południowo-wschodnią Francję. Rządy RFN i Szwecji wystosowały gniewne skargi do Moskwy z powodu braku informacji o wypadku. Domagały się też dalszych informacji, ale bezskutecznie. Zamiast tego przedstawiciele radzieckiej ambasady skontaktowali się z naukowcami z Bonn i Sztokholmu, prosząc o porady dotyczące gaszenia płonącego reaktora, a w szczególności grafitu. Szerzące się plotki, publiczne spekulacje ekspertów o stopieniu reaktora, a teraz jeszcze bardziej przerażające doniesienia o możliwym radioaktywnym pożarze rozprzestrzeniły panikę po całej Europie[784].

W duńskich aptekach szybko zabrakło tabletek z jodkiem potasu. Szwecja zakazała importu żywności z ZSRR i pięciu krajów Europy Wschodniej. Radioaktywne cząstki wykryto ponoć w mleku matek, a rządowe centrale telefoniczne były przeciążone od połączeń od ludzi dzwoniących z pytaniem, czy bezpiecznie jest pić wodę oraz wychodzić na zewnątrz. W komunistycznej Polsce telewizja państwowa zapewniła obywateli, że nie grozi im

niebezpieczeństwo, ale władze i tak podawały dzieciom stabilny jod oraz ograniczyły sprzedaż produktów mlecznych[785]. W Holandii pewien amator radia twierdził, że podsłuchał kogoś z Kijowa, kto powiedział, że w Czarnobylu stopiły się dwa reaktory, a nie jeden. „Świat nie ma pojęcia o skali katastrofy – miał rzec Ukrainiec. – Pomóżcie nam[786]”.

Rzecznik Związku Radzieckiego zbagatelizował te doniesienia jako oportunistyczną zachodnią propagandę, ale ze względu na tajność wszystkich działań nie mógł przedstawić dowodów na poparcie swoich twierdzeń[787]. W środę wieczorem Radio Moskwa przyznało, że oprócz dwóch ofiar śmiertelnych hospitalizowanych było 197 osób, ale 49 z nich po wykonaniu badań zostało wypisanych ze szpitala. „Sytuacja radiacyjna – jak to mętnie określił spiker – poprawia się”. Tuż po eksplozji wykonano rzekomo zdjęcie elektrowni, które pokazano w telewizji, demonstrując, że nie została ona całkowicie zniszczona. W tym samym czasie Radio Kijów ogłosiło, że zamierza ukrócić „zachodnie plotki” o tysiącach ofiar.

Szef KGB, Czebrikow, poinformował swoich zwierzchników[788], że walczy z burżuazyjną konspiracją u źródła. Powiedział Komitetowi Centralnemu Partii Komunistycznej, że przedsięwziął „środki mające na celu kontrolowanie działalności zagranicznych dyplomatów i korespondentów, ograniczenie ich dostępu do informacji na temat wypadku w Czarnobylu i pokrzyżowanie ich planów wykorzystania tych plotek w antyradzieckiej kampanii propagandowej na Zachodzie”[789].

Tego samego dnia w Moskwie Nicholas Daniloff odkrył, że nie może przeteleksować swojej depeszy do siedziby U.S. News & World Report w Waszyngtonie. Postanowił skorzystać więc z urzędnika w biurze UPI, oddalonym o dwadzieścia minut drogi samochodem. Kiedy przygotowywał się do wyjścia, ujrzał przez okno kilku mężczyzn wyciągających kable z otwartej studzienki na podwórku i najwyraźniej usiłujących kompletnie odciąć go od świata. Okazało się to bezskuteczne. Sowieckie próby przytemperowania zachodnich reporterów jedynie pogłębiły plotki. Pod koniec tygodnia „New York Post” miał opublikować „niepotwierdzone doniesienia” z Ukrainy, że w wyniku wypadku zginęło piętnaście tysięcy osób, a ich ciała odkryto w masowych grobach w pobliżu elektrowni[790].

W siedzibie rządowej komisji w Prypeci rosło napięcie. W niedzielę wieczorem młody dowódca sił powietrznych, generał Antoszkina, udał się do Białego Domu złożyć przewodniczącemu Borysowi Szczerbinię raport na temat postępów w bombardowaniu reaktora. Za pomocą trzech helikopterów pilotom udało się przez noc zrzucić na reaktor numer 4 dziesięć ton boru i osiemdziesiąt ton piasku[791]. Był to heroiczny wysiłek ludzi pracujących w okropnych warunkach, ale nie zrobił wrażenia na Szczerbinię. Taka ilość była niezwykle mała, biorąc pod uwagę globalną skalę katastrofy.

– Osiemdziesiąt ton piasku na taki reaktor to jak strzelanie do słońca ze śrutówki – skwitował[792].

Musieli się bardziej postarać. Antoszkina nakazał sprowadzić ciężkie helikoptery, w tym gigantycznego Mi-26, największy helikopter świata nazywany latającą krową i potrafiący unieść do

dwudziestu ton ładunku. Całą noc opracowywał sposoby zwiększenia efektywności operacji. Następnego dnia komisja poleciła ludności pobliskich miast i wiosek pomóc przy napełnianiu worków piaskiem. Antoszkin stworzył prowizoryczny system kontroli lotów w celu przyspieszenia załadunku i nakazał wykorzystanie spadochronów hamulcowych z myśliwców MiG-23 w charakterze improwizowanych siatek ładunkowych. Na razie piloci myśliwców ręcznie zrzucali worki do bloku czwartego, bez żadnych zabezpieczeń, wystawiając się na działanie promieni gamma emitowanych z ruin budynku[793].

Załogi latały od rana do wieczora, a w nocy wracały do bazy w Czernihowie, by poddać maszyny dekontaminacji, pozbyć się mundurów i usunąć w saunie radioaktywny pył z ciał. Całkowite pozbycie się promieniowania z helikopterów okazało się jednak niemożliwe i gdy następnego dnia mundurowi wracali na kolejną misję, okazywało się, że trawa pod helikopterami żółkła[794]. Większość załóg przelatywała nad reaktorem dziesięć do piętnastu razy, każdorazowo dokonując dwóch lub trzech zrzutów, ale pierwsi piloci latali więcej: jeden z nich w ciągu trzech dni przeleciał nad reaktorem siedemdziesiąt sześć razy. Według Antoszkina po drugim lub trzecim locie niektórzy z załogi wyskakiwali z helikopterów, gdy tylko dotknęły ziemi, i pędzili wymiotować w krzakach nad rzeką[795].

Nad ranem, we wtorek 29 kwietnia, okazało się, że praca załóg Antoszkina zaczyna przynosić rezultaty: promieniowanie z reaktora zaczęło spadać, a temperatura spadła z ponad 1000 do 500 stopni Celsjusza[796]. Ale promieniowanie na ulicach Prypeci było tak groźne, że komisja rządowa zmuszona była się przenieść

do nowej siedziby, dziewiętnaście kilometrów dalej, w mieście Czarnobyl[797]. Teren bezpośrednio otaczający elektrownię, o przekątnej około półtora kilometra, nazwano Osobają Zoną, czyli Strefą Specjalną, ponieważ był wysoce skażony radioaktywnymi opadem i szczątkami[798]. Naukowcy, specjaliści i operatorzy, którzy utrzymywali funkcjonowanie pozostałych trzech reaktorów, teraz wkraczali do niej wyłącznie w opancerzonych pojazdach.

Tego samego popołudnia w Moskwie premier Ryzkow poprowadził pierwsze spotkanie grupy operacyjnej Politbiura, na którym szybko położył się cień gospodarki centralnie planowanej[799]. Legasow i pozostali naukowcy obliczyli, że aby ugasić pożar grafitu, trzeba będzie zrzucić dwa tysiące ton ołowiu, ale bał się prosić o tak dużą ilość tak rzadkiego materiału w tak krótkim czasie[800]. Szczerbina – dobrze obeznany z działaniem systemu – wyszedł naprzeciw i na wszelki wypadek zażądał sześciu tysięcy ton. Ryzkow musiał wszystkie pociągi wiozące ołów na terenie Związku Radzieckiego skierować w stronę Czarnobyla. Pierwsze dwa i pół tysiąca ton dotarło następnego ranka[801].

Do wtorkowego wieczoru załogi Antoszkina zrzuciły na reaktor czwarty kolejne sto dziewięćdziesiąt ton piasku i gliny, ale pożar trwał dalej, radionuklidy uciekały z ruin reaktora[802]. Raport naukowy przedstawiony członkom partii w Kijowie wykazywał, że poziom promieniowania tła w ukraińskich miastach Równe i Żytomierz oddalonych o ponad sto kilometrów na zachód i południowy zachód od elektrowni wzrósł prawie dwudziestokrotnie[803]. Lokalni dowódcy obrony cywilnej przygotowywali się do ewakuacji miejscowości znajdujących się

w promieniu dziesięciu kilometrów od kompleksu – w sumie dziesięciu tysięcy osób – i prosili Szczerbinę o wydanie pozwolenia na rozpoczęcie operacji. Ale ku ich konsternacji – odmówił[804].

Następnego ranka dostarczono do Czarnobyla helikopterem spadochrony[805], ale wbrew temu, co nakazał generał Antoszkin, nie pochodziły one z nadwyżek, tylko było to czternaście nowych czasz, zebranych z baz wojskowych na terenie całego ZSRR. Antoszkin przeprowadził testy, które wykazały, że każdy spadochron jest w stanie utrzymać półtorej tony ładunku[806]. Do wieczora jego załogi zrzuciły na reaktor kolejne tysiąc ton absorbentów. Generał złożył wieczorem raport u Szczerbiny, na którego twarzy po raz pierwszy od rozpoczęcia operacji pojawił się uśmiech[807].

W środę 30 kwietnia – w przeddzień uroczystości pierwszomajowych, podczas których na ulice miast i miasteczek w ZSRR miały wylec pochody – wiatr kolejny raz zmienił kierunek. Teraz zwrócił się niemal wprost na południe[808], niosąc skażone cząstki alfa i beta, a także niebezpiecznie wysokie poziomy promieniowania gamma w formie jodu 131 – radioizotopu, który gromadzi się w tarczycy, zwłaszcza u dzieci – na Kijów. Dokładnie o godzinie pierwszej po południu poziom promieniowania na ulicach miasta zaczął gwałtownie rosnać[809]. Przed zmrokiem na prospekcie Nauki, blisko centrum Kijowa, na wschodnim brzegu Dniepru, zanotowano radioaktywność w wysokości 2,2 milirentgena na godzinę (lub 22 mikrosiwertów na godzinę), czyli setki razy wyższą niż norma. Rozprzestrzenianie się radioaktywnej chmury było śledzone[810]

przez sprzęt monitorujący pogodę należący do Komitetu Hydrometeorologii ZSRR, który tego dnia wysłał tajne raporty do premiera Ryzkowa w Moskwie, jak i do przywódców ukraińskiej Komunistycznej Partii w Kijowie, w tym do I sekretarza Szczerbickiego.

Starsi lekarze w ukraińskim Ministerstwie Zdrowia, zwykle zdyscyplinowani i opanowani, zaczęli panikować. Rozważali podjęcie kroków w celu ochrony przed radioaktywnymi aerozolami i poinformowanie mieszkańców. Ale nic nie zrobili[811]. Walentin Zgurski, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Rady Miejskiej Kijowa – burmistrz miasta, odpowiedzialny także za koordynację obrony cywilnej – niegdyś pracował w fabryce produkującej urządzenia do pomiarów promieniowania gamma i doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa[812]. Próbował przekonać Szczerbickiego, żeby odwołał wielki pierwszomajowy pochód, który miał przejść ulicami miasta następnego dnia. Ale I sekretarz powiedział mu, że rozkaz nadszedł z Moskwy. Nie tylko pochód się odbędzie, ale też sami mieli wziąć w nim udział razem ze swoimi rodzinami, żeby pokazać, że nie ma powodów do paniki[813].

Następnego ranka przygotowania do świętowania odbywały się jak zwykle. Partyjni działacze rozwiesili transparenty, a mieszkańcy wylegli na ulice. O dziesiątej rano I sekretarz miał rozpocząć pochód z wysokiej trybuny przy placu Rewolucji Październikowej. Zostało tylko dziesięć minut, ale nigdzie nie było go widać[814]. Jego miejsce na podeście pozostawało puste. Przedstawiciele ukraińskiego Politbiura, burmistrz i pozostali zgromadzeni dygnitarze zaczęli się denerwować. Tylko I sekretarz

mógł rozpocząć pochód, a przez te wszystkie lata nigdy nie spóźnił się na pierwszomajowe święto. W końcu jego czajka zjechała ze wzgórza i gwałtownie zahamowała pod mównicą. Szczerbicki wygramolił się z tylnego siedzenia, czerwony na twarzy i klnący pod nosem.

– Powiedziałem mu, że nie możemy organizować pochodu na Chreszczatiku – wymamrotał do zgromadzonych dygnitarzy. – To nie jest plac Czerwony. To jest wąwóz, tutaj gromadzi się napromieniowanie. Odpowiedział mi: „Jeśli spartolisz paradę, będziesz mógł złożyć swoją legitymację partyjną”[815].

Nikt nie miał wątpliwości, o kim mówił wściekły I sekretarz. Jedynym człowiekiem, który mógł mu zagrozić wyrzuceniem z partii, był sam Gorbaczow.

– Do diabła z tym – powiedział Szczerbicki. – Zaczynamy pochód[816].

Tuż po godzinie dziesiątej wiwatujące tłumy ruszyły szeroką aleją Chreszczatiku. Świeciło słońce i panowała świąteczna atmosfera. Wszędzie widać było czerwone transparenty[817] i jaskrawe piwonie w wiosennych odcieniach żółci i błękitu. Starsi przedstawiciele partyjni ubrani byli w szare garnitury przepasane czerwoną szarfą, a dziewczynki z Pionierów, wystrojone w białe mundurki i czerwone chusty, wiwatowały gałązkami kwitnącej wiśni. Młodzi tancerze w haftowanych bluzach i szerokich szarawarach – tradycyjnym ubiorze ukraińskich kozaków – kołysali się ramię w ramię w szeregu lub wirowali w małych kółkach.

Mieszkańcy Kijowa wraz z dziećmi maszerowali w gęstych kolumnach pod słynnymi kasztanowcami, niosąc balony lub

zdjęcia radzieckich i ukraińskich przywódców partyjnych i mijając fontanny przy placu Rewolucji Październikowej, gdzie wysokie na sześć pięter portrety Marksa, Engelsa i Lenina beznamiętnie spoglądały na tłum.

Szczerbickiemu, który ze swojej trybuny machał po ojcowsku mijającym go tłumom, udało się wywalczyć ustępstwa ze względu na promieniowanie: pochód zamiast czterech godzin miał trwać dwie i zamiast czterech lub pięciu tysięcy osób z każdej dzielnicy organizatorzy partyjni zebrali tylko dwa tysiące. I sekretarz musiał jednak obiecać, że jego wnuk Wołodymyr weźmie udział w pochodzie. Zgurski przyprowadził swoich trzech synów i dwoje wnucząt[818]. Niektórzy przedstawiciele partyjni uzbroili się w dozymetry i dyskretnie na nie zerkali. Inni okazjonalnie spoglądali w niebo[819].

Później, gdy wiatr ponownie zmienił kierunek[820], tym razem niosąc radionuklidy w stronę Moskwy, radzieccy piloci rozpylili w chmurach jodek srebra, który miał wytrącić z nich wilgoć. Stolica została ocalona. Ale trzysta kilometrów na południe chłopcy patrzyli, jak na setki kilometrów kwadratowych żyznej białoruskiej ziemi spada czarny deszcz[821].

W Moskwie pochód z okazji 1 Maja przeszedł przez plac Czerwony[822] jak co roku w atmosferze karnawału. Robotnicy z całego Związku Radzieckiego maszerowali ramię w ramię dziewiątkami przed granitowym mauzoleum Lenina, wymachując goździkami i czerwonymi transparentami przed Gorbaczowem i innymi członkami Politbiura. Premier Ryzkow wkrótce jednak zwołał kolejne pilne zebranie Czarnobylskiej Grupy Operacyjnej, na które stawiało się kilkunastu ministrów – w tym

reprezentantów Ministerstwa Zdrowia, Ministerstwa Obrony i Ministerstwa Spraw Zagranicznych – a także Ligaczow i Czebrikow – przywódcy ideologiczni i KGB. Naukowców reprezentował Anatolij Aleksandrow, przewodniczący Instytutu Kurczatowa[823].

Gdy ulicami maszerowały parady, grupa zmagiała się z kolejnymi problemami napływającymi z Czarnobyla. Skala katastrofy przytłoczyła radzieckie Ministerstwo Zdrowia. Ryżkow zwolnił ministra z odpowiedzialności za działania medyczne i przekazał władzę wiceministrowi zdrowia, Olegowi Szczepinowi. Polecił mu przedstawiać codzienne raporty na temat liczby ofiar wypadku przebywających w szpitalach w całym ZSRR oraz informować, u ilu z nich zdiagnozowano chorobę popromienną. Szczerbina, Legasow oraz pozostali członkowie rządowej komisji, mimo że opuścili już Prypeć, zostali wystawieni na niebezpiecznie wysokie poziomy promieniowania i musieli zostać jak najszybciej zastąpieni. Trzeba było zamówić środki medyczne z Zachodu i zapłacić za nie twardą walutą. Musiano też rozważyć propozycję zagranicznych lekarzy, którzy chcieli przybyć do Moskwy, by pomóc w leczeniu ofiar promieniowania[824].

Marszałek Achromiejew, szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR, donosił, że żołnierze Ministerstwa Obrony rozpoczęli dekontaminację bezpośredniej okolicy elektrowni w Czarnobylu, ale pilnie potrzebnych było więcej ludzi, gdyż skażenie wciąż się rozprzestrzeniało. Było też jasne, że próby ukrycia prawdy przed Zachodem jedynie pogorszyły sprawę. Zachodni dyplomaci i reporterzy zalewali Moskwę protestami i pytaniami o naturę i skalę katastrofy. Ryżkow postanowił

zwołać konferencję prasową dla zagranicznych dziennikarzy i przedstawił szczegóły Szczerbinie, Aleksandrowowi i Andranikowi Petrosjancowowi, przewodniczącemu Państwowego Komitetu ZSRR do spraw Wykorzystania Energii Atomowej.

Ryżkow zgromadził członków rezerwowej komisji rządowej i nakazał im polecieć do Czarnobyla następnego dnia. Na czele nowej drużyny miał stanąć Iwan Silajew[825], pięćdziesięcioletni były minister radzieckiego przemysłu lotniczego. Jego głównym naukowcem, mającym zastąpić Walerija Legasowa, był Jewgienij Wielichow – sąsiad Legasowa i rywal do fotela przewodniczącego Instytutu Kurczatowa.

Po zakończeniu spotkania Ryżkow udał się do gabinetu Gorbaczowa[826]. Premier i Ligaczow doszli do wniosku, że nadszedł czas, by osobiście zjawili się na miejscu katastrofy. Ryżkow powiedział sekretarzowi generalnemu o swoich zamiarach, licząc na to, że Gorbaczow zechce do nich dołączyć. Ale sekretarz generalny najwyraźniej nie miał na to ochoty. Ryżkow i Ligaczow wraz z przewodniczącym KGB polecili do Kijowa bez niego[827].

Przedstawiciele Politbiura w towarzystwie Szczerbickiego, I sekretarza Ukrainy i premiera Ukrainy przelecieli helikopterem nad elektrownią w Czarnobylu. Odwiedzili wioskę, do której tymczasowo przesiedlono mieszkańców Prypeci[828]. Ryżkow zauważył, że napotkane osoby są dziwnie spokojne. Podejrzał, że nie zdają sobie sprawy z rozmiarów katastrofy. Nie potrafił im odpowiedzieć na pytanie, kiedy będą mogli wrócić do domów. Kazał im się uzbroić w cierpliwość i czekać.

O czternastej Ryżkow i Ligaczow wzięli udział w odprawie w tymczasowej siedzibie partii w mieście Czarnobyl. Rozmowa zeszła na temat ewakuacji miejscowości w pobliżu elektrowni. Szczerbina poinformował Ryżkova, że rozpoczęła się ewakuacja strefy w promieniu dziesięciu kilometrów[829].

Na stole leżały mapy terenów otaczających elektrownię jądrową – sporządzone wysiłkami wojska, meteorologów i geologów, wszystkie ściśle tajne – pokazujące, jak daleko sięga opad radioaktywny z elektrowni. Położone jedna na drugiej ukazywały postrzępiony kleks wokół Prypeci rozciągający się na południe aż do Czarnobyla. Na północy przecinał granicę z Białorusią i rozwidlał się na zachód, sięgając miast Wilcza i Poliśke. Skażenie rozprzestrzeniło się daleko poza dziesięciokilometrową strefę, dosięgając dziesiątek tysięcy osób, nawet w odległości trzydziestu kilometrów od elektrowni[830].

Premier Ryżkow uważnie studiował mapy. Poszczególne miejsca wydawały się tymczasowo bezpieczne, inne nie, a w niektórych wioskach skażenie było nierównomierne i różniło się w zależności od ulicy. Trzeba było ewidentnie coś zrobić, nie wiadomo tylko co. Zgromadzeni czekali na decyzję premiera.

– Ewakuujemy mieszkańców w promieniu trzydziestu kilometrów – powiedział w końcu Ryżkow.

– Wszystkich? – zapytał ktoś.

– Wszystkich – potwierdził premier i zakreślił obszar na mapie. – Zaczynajcie natychmiast.

Chiński syndrom

Pułkownik Lubomir Mimka miał doskonały widok z dachu hotelu Polesie[831]. Przed nim roztaczała się panorama Prypeci: od połyskującej, konstruktywistycznej rzeźby nad wejściem do szkoły muzycznej po lewej po rząd kolorowych łopoczących flag nad placem po prawej. Wraz z operatorem radiowym mieli całe miasto do swojej dyspozycji. Hotel był opustoszały, nie było nawet ptaków. Świergot wróbli, które niegdyś fruwały między topolami i akacjami, całkowicie ucichł. Kiedy weszli do sali bankietowej na dole, natrafili na dziwaczny czarny dywan rozciągnięty od ściany do ściany. Dopiero gdy operator stanął na nim w swoim dusznym, gumowym stroju ochronnym, a pod butami zaczęło mu chrzęścić, zdali sobie sprawę, że są to tysiące otumanionych promieniowaniem much. Rozwinęli szlauch ze ściany i umyli podłogę, a następnie ruszyli na górę, gdzie upał i poziom promieniowania były nie do zniesienia. Z dachu, wspartego grubymi, betonowymi filarami podtrzymującymi taras, pułkownik Mimka miał doskonały widok na znajdujący się trzy kilometry dalej reaktor numer 4.

Niemal od początku operacji hotel służył jako prowizoryczna wieża kontroli lotów, a teraz generał Antoszkin opracował system, który umożliwiał zrzucać setki ton materiału dziennie do reaktora. Mimka, na oko oceniając dystans i trajektorię, wydawał pilotom ostatnie instrukcje przez radio. W operacji brały udział dziesiątki maszyn – niezbyt ciężkie Mi-8, ciężkie Mi-6

i superciężkie Mi-26, które startowały na zmianę z trzech oddzielnych lądowisk. Każdy helikopter miał przyczepiony do podwozia przynajmniej jeden odwrócony spadochron wypełniony workami z piaskiem lub gliną przez wojskowych albo zaprzęgniętych do pracy okolicznych mieszkańców. Helikoptery podnosiły się, wzbijając tumany kurzu, i pędziły w stronę reaktora z prędkością stu kilometrów na godzinę[832].

Mimka czekał, aż znajdą się trzysta metrów od celu, oceniając ich pozycję na podstawie położenia wobec słupów wysokiego napięcia ustawionych przy elektrowni. Gdy dawał polecenie „gotowy”, pilot kładł palec na spuście. Po upływie dwóch lub trzech sekund Mimka mówił „zrzucać” i pilot zrzucał ładunek, a helikopter szybko zawracał, by zabrać kolejną partię materiału.

Mimka wstawał codziennie o czwartej rano, a przy śniadaniu pobierano mu krew, żeby zbadać przyjętą dawkę promieniowania. O szóstej odbywał lot rozpoznawczy nad reaktorem, po czym lądował na placu przed hotelem. Na dachu pozostawał, póki nie zrobiło się ciemno, nawet do dziewiątej wieczorem, po czym odbywał ostatni lot nad reaktorem czwartym, notując poziom promieniowania i temperaturę. Następnie poddawał się odkażeniu, o dwudziestej drugiej jadł kolację i składał raport. O północy wreszcie zasypiał, a cztery godziny później budził go jeden z żołnierzy.

Generał Antoszkina ustalił dla swoich ludzi granicę ekspozycji na promieniowanie na 22 remów, chociaż niektórzy zaniżali wyniki[833], żeby latać dłużej. Wydawano im gorzkie tabletki z jodkiem potasu[834] i słodką pastę wprost z fabryki w Leningradzie, która miała pomóc w walce z promieniowaniem,

a którą nazywali pastilą[835]. Kiedy dostarczono pierwszą partię ołowiu w sztabkach i arkuszach, a także dziesięciokilogramowe opakowania śrutu do myśliwskich strzelb z przypiętymi metkami, piloci musieli sami stworzyć improwizowane osłony. Podłogi kabin helikopterów wykładali grubymi na cztery i pięć milimetrów arkuszami blachy ołowianej, a siedzenia ołowianym śrutem. Nawet ułożyli o tym wierszyk: *Jesli chcesz byt otcem, zakriwaj jajco swincom* – „Jeśli chcesz być kiedyś ojcem, przykryj jajca tym ustrojstwem”[836].

Pomimo trwającego bombardowania reaktora Legasow i pozostali naukowcy przysłani z Instytutu Energii Atomowej Kurczatowa oraz Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich w Moskwie nie mieli pojęcia, co się dzieje w ruinach bloku czwartego. Piloci widzieli czerwoną poświatę, ale nikt nie miał pewności, co ją spowodowało. W stolicy wezwano nocą fizyków do Instytutu Kurczatowa[837], żeby obliczyli, ile paliwa uranowego mogło pozostać w ruinach reaktora[838]. Pięć, sześć razy dziennie naukowcy lecieli helikopterami nad miejsce wypadku, mierzyli poziom promieniowania w powietrzu i oceniali temperaturę płonącego rdzenia na podstawie analizy radioaktywnych izotopów w atmosferze[839]. Pobrali odczyty temperatury powierzchni reaktora za pomocą szwedzkiej kamery na podczerwień. Kiedy ładunek zrzucony przez pilotów trafił w cel, widzieli czarną chmurę radioaktywnego dymu, wzbijającą się na sto metrów w powietrze, a następnie rozwiewaną przez wiatr[840]. Po zmroku nad budynkiem unosiła się piękna karmazynowa poświata[841]. Spoglądając podczas wieczornych lotów zwiadowczych w żarzące się ruiny reaktora, pułkownik Mimka

przypominał sobie lawę, którą widział w wulkanach Kamczatki na radzieckim Dalekim Wschodzie[842].

Na samym początku akcji jeden z członków grupy Kurczatowa[843] w Czarnobylu – specjalista od reaktorów RBMK, Konstantin Fedulenko – ostrzegał Legasowa, że zrzucanie ładunku z helikopterów może okazać się szkodliwe. Widział, że każdy ładunek zrzucony w ruiny budynku wzniecał w powietrze radioaktywne cząstki. A biorąc pod uwagę niewielki rozmiar celu – częściowo przykrytego przez przewróconą pokrywę – i prędkość helikopterów, można się było spodziewać, że tylko niewielka ilość piasku i ołowiu trafia w sam reaktor.

Ale Legasow się z nim nie zgadzał. Powiedział, że jest za późno, by zmieniać kurs.

– Decyzja została podjęta – powiedział.

Dwaj naukowcy spierali się przez kilka minut, aż Fedulenko wyjawiał, czego się naprawdę boi – że ich zmagania z płonącym grafitem są kompletną stratą czasu. Powiedział, że powinni dać pożarowi wypalić się samemu.

Legasow nie chciał tego słuchać. Upierał się, że muszą działać natychmiast, niezależnie od efektów.

– Ludzie nie zrozumieją tego, jeśli będziemy siedzieć z założonymi rękami – powiedział. – Muszą widzieć, że coś robimy.

Ilość zrzuconego materiału na reaktor rosła z dnia na dzień[844]. W poniedziałek, 28 kwietnia, piloci wykonali 93 loty, zrzucając łącznie trzysta ton. Następnego dnia wykonali 186 lotów, zrzucając siedemset pięćdziesiąt ton. W środę, 30 kwietnia, zaczęli zrzucać ołów[845] i tego dnia reaktor czwarty został

przykryty ponad tysiącem ton absorbentów, w tym piaskiem, gliną i dolomitem. Na lądowiskach ludzie ze Specjalnego Batalionu 731. – złożonego naprędce z powołanych rezerwistów[846] z okolic Kijowa – pracowali po szesnaście godzin dziennie w huku śmigieł, układając worki na czaszach spadochronów podczepionych do helikopterów. Wysoka temperatura i pęd wirników[847] powodowały nieustanne tornado radioaktywnego kurzu wzbijającego się w powietrze na trzydzieści metrów. Żołnierze nie mieli żadnej osłony – nawet masek. Kurz wchodził im do oczu i ust, przyklepał się do ubrań. Nocą spali płytko w swoich mundurach w namiotach nad Prypecią, a rano wstawali, by dalej pracować.

Poziom promieniowania spadał: z 6 milionów kiurów w niedzielę do 5 milionów w poniedziałek, 4 milionów we wtorek i 3 milionów w środę. Pod koniec dnia zdawało się, że pożar udało się ugasić. Następnego wieczoru, 1 maja, generał Antoszkin zaraportował Borysowi Szczerbinie, że jego piloci zrzucili na reaktor numer 4 ponad tysiąc dwieście ton ołowiu[848], piasku i innych materiałów. Niektórzy członkowie komisji rządowej wstali i nagrodzili go oklaskami. Szczerbina wyraził uznanie rzadkim u niego uśmiechem. Następnie wyznaczył nowy cel: tysiąc pięćset ton[849].

Ale następnego wieczoru Walerij Legasow i jego ekipa analizująca dane z bloku czwartego dokonali strasznego odkrycia, którego nie potrafili wyjaśnić. Radioaktywność reaktora zamiast dalej spadać, w ciągu jednej nocy gwałtownie wzrosła z 3 do 6 milionów kiurów[850]. Temperatura rdzenia także znacznie się

podniosła. W czwartek wieczorem Legasow oszacował, że sięga 1700 stopni Celsjusza[851].

Naukowcy zaczęli się obawiać, że paliwo uranowe oraz cyrkonowe powłoki w reaktorze numer 4 tak się rozgrzały, że zaczęły się topić, tworząc radioaktywną lawę, co oznaczało topnienie rdzenia reaktora[852]. Co gorsza, cztery tysiące sześćset ton piasku, ołowiu i dolomitu zrzucanych z wysokości setek metrów w połączeniu z siłą eksplozji sprzed tygodnia mogły naruszyć fundamenty reaktora. Jeśli temperatura stopionego paliwa osiągnie 2800 stopni Celsjusza, może przetopić się przez żelazobetonowe podłoże studni reaktora[853]. Pod ciśnieniem mogłoby się przedostać do piwnicy budynku, a następnie do gleby. Był to najczarniejszy scenariusz katastrofy reaktora – chiński syndrom.

Po raz pierwszy opisali go amerykańscy naukowcy, a spopularyzował go nazwany tak hollywoodzki film, który swoją premierę miał niecały miesiąc przed katastrofą w Three Mile Island. W filmie Jane Fonda wciela się w dociekliwą reporterkę telewizyjną, która odkrywa, że stopione paliwo uranowe może przepalić się przez fundamenty wadliwego reaktora w Kalifornii i dotrzeć na drugi koniec świata, czyli do Chin. I choć ten hipotetyczny scenariusz przeczył prawom fizyki, geologii i geografii, gdyby doszło do stopienia reaktora w Czarnobylu, chiński syndrom niósł dwa poważne zagrożenia. Pierwsze i najbardziej oczywiste dotyczyło lokalnego środowiska. Elektrownia została ulokowana tylko kilka metrów ponad lustrem wody rzeki Prypec, co mogło nieść katastrofalne konsekwencje. Cała gama radioaktywnych nuklidów mogła zatruć pitną wodę nie

tylko dla mieszkańców Kijowa, ale też dla wszystkich, którzy czerpali wodę z Dniepru – a było to około trzydziestu milionów osób – oraz zagrażało Morzu Czarnemu[854].

Ale drugie zagrożenie było jeszcze bardziej przerażające. Stopione paliwo dotarłoby do Prypeci i Dniepru dopiero wówczas, gdy przetopiłoby się przez fundamenty budynku. Wcześniej musiałyby się przedostać przez baseny rozbryzgowe pod reaktorem numer 4, które zostały zalane. Niektórzy naukowcy obawiali się, że jeśli rozgrzane do białości paliwo zetknie się z tysiącami metrów sześciennych wody, dojdzie do eksplozji pary o jeszcze większej sile niż ta pierwsza. Wybuch ten mógł zniszczyć nie tylko to, co pozostało po czwartym, ale też trzy pozostałe reaktory[855].

Ta potężna brudna bomba, na którą złożyłoby się ponad pięć tysięcy ton radioaktywnego grafitu i pięćset ton paliwa jądrowego, spowodowałaby eksplozję, która zniszczyłaby wszystko w Strefie Specjalnej i wpuściłaby do atmosfery takie zanieczyszczenie, że duża część Europy nie nadawałaby się do zamieszkania przez sto lat.

W piątek, 2 maja, przybyła z Moskwy nowa ekipa pod kierownictwem Iwana Silajewa, w skład której wchodził rywal Legasowa, Jewgienij Wielichow, a która miała zastąpić Borysa Szczerbinę i członków jego rządowej komisji[856].

Wicepremier i jego ludzie byli wyczerpani oraz rozdrażnieni[857] z powodu lekkomyślnego podejścia wobec niewidzialnego niebezpieczeństwa, w jakim przebywali. Członkom komisji podano tabletki z jodem dopiero po dwudziestu czterech godzinach[858] od przybycia na miejsce katastrofy i nie wszyscy

kwapili się je łykać. Ich oczy i gardła były czerwone od kontaktu z radioaktywnym pyłem, głos niektórych stał się podniesiony i skrzekliwy, co było osobliwym skutkiem ubocznym skażenia cząstkami alfa[859]. Innym było niedobrze, kręciło im się w głowach i nie mogli się skoncentrować[860]. Gdy w niedzielę, 4 maja, wrócili do Moskwy, zostali przewiezieni do szpitala i przebadani pod kątem choroby popromiennej. Musieli oddać swoje ubrania i drogie zegarki[861], gdyż były zbyt skażone, żeby mogli dalej je nosić. Jeden z asystentów Szczerbiny musiał brać prysznic osiemnaście razy, zanim udało mu się usunąć radioaktywne cząstki ze skóry. Pielęgniarki ogoliły głowy wszystkim z wyjątkiem Szczerbiny, który stwierdził, że to się nie godzi członkowi Rady Ministrów ZSRR, i pozwolił sobie włosy jedynie przystrzyc.

Walerij Legasow wyłamał się z reszty towarzystwa i pomimo rosnących dawek promieniowania postanowił pozostać w Czarnobylu[862]. W niedzielę wieczorem promieniowanie z reaktora osiągnęło poziom siedmiu milionów kiurów, czyli więcej niż w dniu, w którym rozpoczęło się bombardowanie z helikopterów. Legasow i Jewgienij Wielichow poróżnili się na temat tego, jak reagować.

Wielichow, podobnie jak Legasow, nie miał bezpośredniego kontaktu z reaktorami atomowymi i zamierzał się nauczyć wszystkiego na miejscu[863]. Jego sposób bycia nie odpowiadał generałom, którzy woleli wysportowanego i zdecydowanego Legasowa – zaprzysięgłego socjalistę i sowieckiego przywódcę w tradycyjnym rozumieniu – od tęgiego naukowca, który miał przyjaciół na Zachodzie i nosił krzykliwe koszule w kratę[864].

Ale Wielichow[865] mógł liczyć na swoją wieloletnią znajomość z Gorbaczowem – który nie przepadał za Legasowem i podejrzewał, że nie mówił mu całej prawdy – i zagwarantować mu składanie bezpośrednich raportów, którym sekretarz generalny mógłby w pełni zaufać.

Oprócz różnych osobowości obu naukowców podzieliło podejście do poradzenia sobie z topnieniem reaktora numer 4. Wielichow niedawno oglądał *Chiński syndrom*, wyświetlony rok wcześniej na specjalnym pokazie dla członków Wydziału Fizyki Uniwersytetu Moskiewskiego, i obawiał się najgorszego. Legasow i inni specjaliści jądrowi znajdujący się na miejscu nie poddawali się hollywoodzkiej wizji rozwoju wydarzeń[866]. Uważali, że szanse na pełne stopienie reaktora są niezmiernie małe[867].

Wciąż jednak nie mieli pojęcia, co się dzieje w jego wnętrzu. Nie posiadali wiarygodnych danych, a pomiary radionuklidów uciekających do atmosfery obciążone były pięćdziesięcioprocentowym marginesem błędu[868]. Nie wiedzieli, w jakim stanie jest grafit, i nie znali wszystkich produktów rozszczepienia paliwa[869]. Nie byli pewni, czy cyrkon się pali ani jak te cząstki mogą reagować z tysiącami ton materiałów zrzuconych z helikopterów. Nie wiedzieli, jak gorące paliwo jądrowe może zareagować w kontakcie z wodą[870]. Nie mieli też opracowanych procedur działania.

Naukowcy na Zachodzie symulowali najczarniejsze scenariusze[871] stopienia reaktora od piętnastu lat, a badania nabrały tempa po wypadku w Three Mile Island. Ale radzieccy fizycy byli tak pewni bezpieczeństwa swoich reaktorów, że nie rozważali heretyckich teorii, wykraczających poza przewidziane

w projektach problemy. Zwracanie się w tym momencie o pomoc do zachodnich specjalistów było nie do pomyślenia. Pomimo coraz większego niepokoju naukowców komisja rządowa i Politbiuro były zdeterminowane, żeby wiadomość o możliwości stopienia reaktora nie wyszła poza trzydziestokilometrową strefę zamkniętą.

Wielichow skontaktował się z przewodniczącym laboratorium[872] na przedmieściach Moskwy i wezwał jego ekipę do pracy w majowy weekend. Kilkunastu naukowcom nie podano szczegółowych informacji, znali tylko ogólny zarys wydarzeń. Mieli za zadanie obliczyć potencjalne tempo topnienia rdzenia reaktora, byli jednak fizykami teoretykami, ekspertami w ezoterycznych dziedzinach, takich jak lasery, plazma i inercyjna synteza jądrowa. Żaden z nich nie znał się na reaktorach, więc najpierw musieli przyswoić informacje na temat RBMK-1000. Przekopali bibliotekę, szukając publikacji na temat właściwości różnych izotopów, ciepła rozpadu oraz przewodnictwa cieplnego i zaprzęgli olbrzymie radzieckie komputery do obliczeń.

Kiedy Wielichow i Legasow spierali się na temat ryzyka stopienia, grafit płonął dalej, a temperatura w reaktorze numer 4 rosła[873]. Wielichow zadzwonił do Gorbaczowa[874]. Wydarzenia w Czarnobylu były tak tajne, że przez sześć tygodni nie mógł zadzwonić nawet do własnej żony. Ale gdy tylko chciał porozmawiać z sekretarzem generalnym, mógł do niego zadzwonić z telefonu w swojej limuzynie.

– Czy powinniśmy ewakuować Kijów? – zapytał Gorbaczow.

Wielichow przyznał, że nie jest pewien.

Nowy dowódca rządowej komisji, Iwan Silajew – Bohater Pracy Socjalistycznej i zdobywca dwóch Orderów Lenina, wieloletni technokrata o bezpośrednim sposobie bycia i z siwymi włosami zaczesanymi z czoła – był bardziej opanowany niż Borys Szczerbina[875]. Zetknął się z jeszcze bardziej dramatyczną sytuacją[876] niż jego poprzednik: pożar, promieniowanie, topnienie rdzenia, a na domiar złego możliwość eksplozji. Nakazał informować o wydarzeniach co pół godziny. Członkowie komisji rozpoczynali pracę o ósmej rano, a kończyli o pierwszej w nocy. Wielu spało po dwie, trzy godziny[877].

W siedzibie w Czarnobylu Silajew przyjął typowo sowieckie podejście do kryzysu: zamiast wybrać jeden kurs, mający na celu zatrzymanie możliwości stopienia, nakazał działanie na wszystkich frontach jednocześnie, wzywając do patriotycznych poświęceń. Wydał załodze elektrowni instrukcję opracowania sposobu wpompowania pod reaktor azotu, który miał złagodzić topnienie i pozbawić grafit tlenu. Wezwał budowniczych metra[878] z Kijowa, żeby zaczęli kopać ziemię pod blokiem czwartym w celu zamrożenia gleby za pomocą ciekłego azotu lub amoniaku i chronienia wód gruntowych przed stopionym paliwem. Nakazał też znaleźć odważnych mężczyzn, którzy weszliby do ciemnych piwnic pod reaktorem i otworzyli zawory w basenach rozbryzgowych, co spowodowałoby wypompowanie pięciu tysięcy metrów sześciennych wysoce radioaktywnej wody[879].

Tymczasem generał Antoszkina kontynuował loty helikopterami[880].

W sobotę, 3 maja, o godzinie pierwszej w nocy[881] kapitan Piotr Zborowski z 427. Pułku Zmechanizowanego Czerwonego Sztandaru zakończył kąpiel w obozie znajdującym się trzydzieści kilometrów na południe od elektrowni. Właśnie się wycierał, kiedy powiedziano mu, że ktoś go szuka. Zjawili się pułkownik i generał major. Żadnego z nich wcześniej nie widział.

– Ubierajcie się – powiedział generał. – Przewodniczący komisji rządowej chce was widzieć.

Zborowski miał trzydzieści sześć lat i szesnaście lat doświadczenia w akcjach ratunkowych. Ze względu na swoją siłę fizyczną nazywany był Łosiem. Wraz ze swoimi ludźmi spędził trzy dni w tumanach kurzu, ładując worki z piaskiem i gliną na spadochrony podczepione do helikopterów Antoszkina. Nie jadł niczego od śniadania poprzedniego ranka i czekał na leczniczą dawkę stu gramów wódki.

– Nigdzie nie idę, dopóki nie zjem kolacji – powiedział Zborowski.

– Poczekamy – odparł generał.

Baseny rozbryzgowe pod reaktorem numer 4 leżały w labiryncie klaustrofobicznych przestrzeni. Znajdowały się w ogromnym betonowym zbiorniku mogącym pomieścić siedem tysięcy metrów sześciennych wody, podzielonym na dwa piętra, po których przebiegała gęsta sieć rur. Kondygnacje z kolei podzielone były na korytarze i pomieszczenia, częściowo wypełnione wodą. Baseny stanowiły część systemu bezpieczeństwa reaktora i miały na celu uchronić przed eksplozją pary w przypadku pęknięcia kanału w rdzeniu. W razie wypadku para miała zostać skierowana zaworami wprost do basenów, gdzie zostałyby

przepuszczona przez wodę, bezpiecznie zmieniając stan w ciekły[882].

Ale 26 kwietnia system ten został szybko przeciążony, a następnie uszkodzony podczas eksplozji reaktora. Ani załoga elektrowni, ani naukowcy nie wiedzieli, ile wody znajduje się w zbiornikach i czy nie zostały naruszone. Technikom z elektrowni udało się otworzyć jeden zawór, ale usłyszeli tylko świst uciekającego powietrza. Mimo tego naukowcy podejrzewali, że w zbiornikach jest woda. Nadszedł rozkaz znalezienia odpowiedniego miejsca na wysadzenie dziury w ścianie, która miała prawie dwa metry grubości i pokryta była warstwą stali nierdzewnej. Kiedy polecenie dotarło do kierownika zmiany bloku trzeciego, zasugerował on, że zadanie to można wykonać w mniej drastyczny sposób. Na planach elektrowni znalazł dwa zawory służące do opróżniania zbiorników w celach konserwacji. Znajdowały się one w podziemnym labiryncie pod reaktorem. Dotarł do nich, korzystając z latarki i wojskowego dozymetru DP-5.

Przed wypadkiem odkręcenie zaworów było prostym zadaniem: trzeba było zejść na poziom -3, trzy metry pod powierzchnią ziemi, znaleźć korytarz 001 – długi betonowy tunel łączący blok trzeci i czwarty – następnie znaleźć pomieszczenie z zaworami i odkręcić te oznaczone jako 4GT-21 i 4GT-22. Niestety, radioaktywna woda zalała korytarz 001. W pomieszczeniu z zaworami sięgała półtora metra. Kiedy kierownik zmiany bloku trzeciego tam dotarł, dozymetr DP-5 wykroczył poza skalę. Nikt nie wiedział, jakie promieniowanie panuje wewnątrz. A zawory

mogły nie dać się odkręcić, dopóki korytarz nie zostanie osuszony[883].

Świtało, gdy Łoś Zborowski został wprowadzony do sali zebrania na piętrze siedziby komisji rządowej w Czarnobylu. Zastępca ministra Silajewa wstał zza biurka, wkładając kciuki za szlufki spodni.

– Towarzyszu kapitanie, dostaliście rozkaz od rządu: macie wypompować wodę spod bloku czwartego.

Zborowski nawet nie miał czasu się zastanowić.

– Tak jest!

– Szczegóły dostaniecie w bazie wojskowej – odparł Silajew. – Bądźcie gotowi punkt dziewiąta.

Dopiero w drodze powrotnej kapitanowi przypomniały się ostatnie doniesienia z pobliza reaktora czwartego: 2800 rentgenów na godzinę przy zewnętrznej ścianie reaktora. W wojskowej szkole technicznej uczono go, że dawką śmiertelną jest 700 remów. Pod ścianą dostałby taką dawkę w kwadrans. Jakie promieniowanie musiało być pod samym reaktorem?

Zborowski udał się do odległej o sto dwadzieścia kilometrów bazy obrony cywilnej w Kijowie, by zabrać ludzi i sprzęt, a po drodze wpadł do domu. Jego ubrania były mocno skażone, więc rozebrał się na korytarzu przed wejściem do mieszkania. Ucałował dwunastoletniego syna i pożegnał się z żoną. Nie powiedział jej, dokąd idzie.

Gdy stawiał się u Silajewa o dziewiątej rano w sobotę, dowiedział się, że całą operację trzeba zaplanować od zera, nawet podstawowe kwestie: jak dostać się do piwnicy pod reaktorem czwartym i gdzie wypompować wodę. Podczas zebrania rządowej

komisji nie udało się dojść do porozumienia, gdzie bezpiecznie skierować pięć tysięcy metrów sześciennych – czyli wystarczająco dużo, by wypełnić dwa baseny olimpijskie – wysoce radioaktywnej wody. Czekał na decyzję, Zborowski objechał elektrownię w opancerzonym pojeździe zwiadowczym i znalazł miejsce, w którym można by przebić się przez ścianę do tunelu technicznego. Bojąc się skutków używania materiałów wybuchowych w pobliżu reaktora, Zborowski poszukał ochotników, którzy weszliby z młotami. Zgłosiło się pięciu mężczyzn. Promieniowanie było wysokie. Kapitan obliczył, że każdy z nich może pracować maksymalnie przez dwanaście minut. Kiedy się w końcu przebili, Zborowski przewiązał się w pasie liną i zszedł do piwnicy, niczym nurek. Szedł w ciemności. W pewnym momencie pod butami zaczęła chłupotać woda[884]. Jej poziom stopniowo wzrastał[885] aż do głębokości przekraczającej cztery metry. Woda była ciepła, miała 45 stopni Celsjusza i śmierdziała siarkowodorem.

Tymczasem w Moskwie drużyna Jewgienija Wielichowa zaczęła przeprowadzać eksperymenty mające na celu zbadać zachowanie stopionego paliwa jądrowego. Nie mając danych z elektrowni, Wielichow zażądał, by przetransportować mu pudła z pracami naukowymi na ten temat od swoich kontaktów na Zachodzie, ale naukowcy nie mieli czasu, żeby zapoznać się z tą stertą materiału. Postanowili, że szybciej będzie przeprowadzić badania samodzielnie. Pracowali całą dobę, drzemali na fotelach w biurze. W laboratorium podgrzewali laserami metalowe cylindry i pastylki paliwa uranowego, kładli je na betonie i notowali wyniki[886]. Próbki wysłali do Kijowa, gdzie specjalista

zbadał interakcję pomiędzy ditlenkiem uranu, stopionym cementem i piaskiem[887]. Szybko potwierdziły się najgorsze obawy Wielichowa: paliwo o wadze zaledwie dziesięciu kilogramów jest w stanie wytworzyć wystarczające ciepło, żeby przetopić się przez żelbetowe podłoże studni reaktora i podróżować dalej w głąb z prędkością dwóch i pół metra dziennie[888]. Naukowcy odkryli także, że rozgrzany uran może wchodzić w reakcję z resztkami gruzów, metalu i piasku, tworząc zupełnie nowe związki – wysoce radioaktywne i o nieznanym właściwościach[889].

Komisja w Czarnobylu wciąż nie wiedziała, co zrobić z radioaktywną wodą wypełniającą baseny rozbryzgowe, tymczasem temperatura w reaktorze wciąż rosła. Silajew zwoływał kolejne zebrania. Łoś Zborowski usiłował spać, choćby przez kilka minut, kiedy tylko nadarzała się okazja, mimo zgiełku powstałego przez przekrzykujących się naukowców, generałów i polityków, którzy debatowali do późnej nocy.

W trakcie zebrania zadzwonił z Moskwy Gorbaczow. Jego głos był na tyle donośny, że usłyszeli go wszyscy w pomieszczeniu:

– Podjęliście już decyzję?[890]

Fizycy z elektrowni, zżerani przez strach, chodzili jak w transie. Nie bali się długotrwałych skutków promieniowania, ale eksplozji, która mogła w każdej chwili zabić ich i wszystkich innych w promieniu setek metrów[891].

Po dwóch dniach debat Zborowski postanowił poprosić jednego ze starszych pracowników elektrowni o poradę na temat wody. Zapytany, powiedział mu o dwóch zbiornikach tuż za Prypecią, idealnych na tę okazję. Każdy zbiornik mógł pomieścić co

najmniej dwadzieścia tysięcy metrów sześciennych. Żeby doprowadzić do nich wodę z bloku czwartego, potrzeba było półtora kilometra wężów.

Tymczasem woda w piwnicy pod reaktorem zaczęła z niewyjaśnionych powodów się podgrzewać, jej temperatura wynosiła teraz 80 stopni. A o osiemnastej w niedzielę odczyty Legasowa z ruin reaktora wskazywały na 2000 stopni Celsjusza. Coś się działo. Trzeba było natychmiast wkroczyć do akcji[892].

Bitwa o Czarnobyl

Tuż po godzinie dwudziestej w piątek, 2 maja, samolot Air Force One z prezydentem Ronaldem Reaganem na pokładzie wylądował na tokijskim lotnisku Haneda w ramach dziesięciodniowej podróży po Azji i Pacyfiku. Reagan przybył do Japonii na pierwszy w historii zjazd krajów G7, na którym zjawili się przywódcy między innymi Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Kanady. Jego podróż od samego początku odbywała się w cieniu nuklearnej katastrofy z drugiego końca świata[893].

Pierwsze doniesienia o promieniowaniu zanotowanym w Szwecji dotarły do Reagana w poniedziałek, gdy znajdował się na pokładzie prezydenckiego samolotu opuszczającego Hawaje. W planowany dzień wolny na Bali, we środę, odbyło się spotkanie amerykańskiego wywiadu, który przedstawił stan swojej wiedzy na temat wydarzeń w Czarnobylu[894]. Wykręcanie się radzieckich władz od komentarzy przerodziło się w globalny dyplomatyczny i ekologiczny kryzys. Za sprawą satelitów szpiegowskich mogących robić zdjęcia w rozdzielczości tak wysokiej, że było widać na nich węże strażackie ułożone wokół elektrowni[895], CIA nabrało przekonania, że skala katastrofy jest znacznie większa, niż przyznawała to Moskwa. Przedstawiciele amerykańskiej Nuclear Regulatory Commission zaczęli podejrzewać, że w wyniku awarii zagrożony jest przynajmniej jeden z pozostałych reaktorów w Czarnobylu[896]. Moskwa jednak odrzuciła propozycję medycznej i technicznej

pomocy zaoferowanej przez Reagana, a amerykańscy eksperci mogli tylko przypuszczać, co dzieje się w ruinach reaktora[897].

Tymczasem wysiłki radzieckiego rządu, żeby wszystko zachować w tajemnicy, zaczęły się sypać. W tajnym raporcie do Gorbaczowa, 3 maja, radziecki minister spraw zagranicznych, Eduard Szewardnadze, ostrzegął, że dalsze ukrywanie wszystkiego w tajemnicy jest bezproduktywne i rodzi jedynie brak zaufania, nie tylko na Zachodzie, ale też u sojuszników, którzy planują wdrożyć radziecką technologię jądrową, w tym w Indiach i na Kubie. Szewardnadze pisał także, że takie podejście zagraża marzeniu Gorbaczowa, by wraz ze Stanami Zjednoczonymi zrealizować historyczną inicjatywę rozbrojenia jądrowego. Zachodnie gazety pytały, czy kraj, który nie potrafi powiedzieć prawdy o katastrofie jądrowej, będzie mówił prawdę o liczbie posiadanych głowic nuklearnych[898].

W niedzielny ranek, 4 maja, prezydent Reagan, przebywając w apartamencie hotelu Okura, wygłosił swoje cotygodniowe radiowe przesłanie do narodu. Opowiadał o spotkaniach w Azji Południowo-Wschodniej, potrzebie ekspansji wolnego handlu i problemach z międzynarodowym terroryzmem, nawiązując do niedawnych nalotów amerykańskich F-111 na cele w Trypolisie w odpowiedzi na sponsorowany przez Libię Kadafiego zamach bombowy na berlińską dyskotekę, do której uczęszczali amerykańscy żołnierze.

Reagan wyraził współczucie dla ofiar i zaoferował pomoc, a następnie jego głos przybrał surowszy ton. Skontrastował otwartość „wolnych narodów” z „upartym wypieraniem się”

radzieckiego rządu i odmową informowania świata o ryzyku wiążącym się z nuklearną katastrofą.

– Katastrofa jądrowa, w efekcie której skażonych zostało kilka krajów, nie jest sprawą wewnętrzną – powiedział Reagan ze swojską chrypką. – Sowieci winni są światu wyjaśnienia[899].

Tego dnia radioaktywny deszcz spadł na Japonię, a skażenie niesione przez prądy na wysokości dziewięciu tysięcy metrów z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę skierowało się w stronę wybrzeży Alaski i Kalifornii[900]. Następnego popołudnia, w poniedziałek 5 maja, zaproszona przez radziecki rząd delegacja z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej wylądowała w Moskwie. Na jej czele stał dyrektor generalny Hans Blix. Gościom obiecano przedstawić pełną i szczerą relację z wydarzeń w Czarnobylu[901].

Na kilka godzin przed ich przybyciem Politbiuro ponownie zebrało się na Kremlu, by przedyskutować kryzys. Wśród ponad dwudziestu osób siedzących przy stole tym razem znajdowali się Borys Szczerbina, sędziwy naukowiec Anatolij Aleksandrow oraz Jefim Sławski, zadziorny minister budowy maszyn średnich. Z Czarnobyla przyleciał Walerij Legasow, by osobiście przedstawić raport.

Było o czym rozmawiać, a sytuacja rysowała się nieciekawie.

Premier Nikołaj Ryzkow przedstawił szczegółową analizę i opisał, co widział na miejscu katastrofy dwa dni wcześniej. Powiedział, że operacja gaszenia pożaru z helikopterów przebiega sprawnie i póki co udało się odsunąć niebezpieczeństwo kolejnej reakcji łańcuchowej we wraku reaktora. Ale działanie władz radzieckich i lokalnych nosiło znamiona niekompetencji.

– Skrajnie trudne warunki ujawniły wysoki poziom zorganizowania w jednych obszarach i kompletną dezorganizację w innych – powiedział.

Ewakuacja strefy w promieniu trzydziestu kilometrów wokół elektrowni wciąż trwała. Ewakuowano już sto tysięcy osób, w tym dwa rejony na Białorusi. Jednak przebieg akcji ratowniczej był chaotyczny.

– Pięć lub sześć tysięcy osób zaginęło – powiedział Ryzkow. – Nie wiemy, gdzie są.

Obrona cywilna i Ministerstwo Zdrowia zawiodły na całej linii. Nie było żadnej przejrzystości ani planu. Osobom opuszczającym strefę ewakuacji nie wykonano badań krwi pod kątem wystawienia na promieniowanie. Fiasko tej akcji wykpiwało dziesiątki lat przygotowań ZSRR do skutków wojny nuklearnej[902].

– Mogę sobie tylko wyobrazić, co by się tu działo, gdyby doszło do czegoś poważniejszego – powiedział skonsternowany premier[903].

Póki co do szpitali przyjęto 1800 osób, w tym 445 dzieci; spodziewano się więcej. Strefa wysokiego promieniowania obejmowała obecnie zachodnią część Związku Radzieckiego, od Krymu na południu do Leningradu na północy, w większości miejsc pięcio- lub dziesięciokrotnie przekraczając średni poziom promieniowania naturalnego. Dowódca wojsk chemicznych ZSRR zebrał w strefie ewakuacji dwa tysiące ludzi i zarządził sporządzenie planu dekontaminacji. Ryzkow nakazał postawienie wokół miejsca katastrofy trzydziestokilometrowej tamy, by powstrzymać spływanie zanieczyszczeń wraz z deszczami do

Prypeci i Dniepru. Dał na to wojskowym zaledwie czterdzieści osiem godzin.

Następnie premier powiedział towarzyszom, że teraz muszą stawić czoła największemu niebezpieczeństwu – stopieniu reaktora. Naukowcy przedstawili mu dwa scenariusze, które są możliwe, gdy paliwo przepali się przez posadzkę reaktora. Pierwszy mówił, że ciepło wydzielane przez radioaktywne procesy samo się ostudzi. Według ich obliczeń mogło to trwać miesiące.

Drugi scenariusz zaprezentowany przez Legasowa i Aleksandrowa był znacznie czarniejszy. Podzielali obawy Wielichowa, że stopione paliwo, osiągające temperaturę 2800 stopni Celsjusza, w zetknięciu z wodą w basenach rozbryzgowych może spowodować eksplozję pary, która zniszczyłaby nie tylko resztki bloku czwartego, ale też obróciłaby w pył blok trzeci. Naukowcy ostrzegli Ryzkowa, żeby przygotował się na możliwość „eksplozji jądrowej z jeszcze straszniejszymi konsekwencjami”[904].

Następnie do głosu doszedł Szczerbina, a Legasow przedstawił techniczne przeszkody, jakie napotkali: promieniowanie, płonący grafit, rosnąca temperatura rdzenia. A to wszystko przy jednoczesnej potrzebie szybkiego działania. Do dyskusji włączył się Aleksadnrow. Doszło do sprzeczek.

– Nie dajcie się ponieść emocjom – powiedział do Szczerbiny zastępca Gorbaczowa, Ligaczow.

– Pomyliły się wam rentgeny i milirentgeny – powiedział przewodniczący ukraińskiej Komunistycznej Partii, Szczerbicki, do zastępcy ministra hydrometeorologii.

Achromiejew, szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR, proponował, żeby przebili się do basenów rozbryzgowych za pomocą ślepych pocisków. Szadow, minister przemysłu węglowego, odparł, że byłoby to zbyt niebezpieczne. Powiedział, że jeśli da się wypompować wodę, to jego ludzie wypełnią zbiorniki cementem.

– Jeśli zajdzie potrzeba – powiedział – wykopimy tunel pod budynkiem.

Legasow się z nim zgadzał: powinni podkopać się pod reaktor, żeby wpompować azot i schłodzić reaktor od spodu. Zapewnił Gorbaczowa, że nie ma potrzeby wystosowywania prośby o pomoc z Zachodu. W najgorszym wypadku strefa ewakuacji nie przekroczy dwustu pięćdziesięciu kilometrów od elektrowni.

Ale Gorbaczow rozmawiał już z Wielichowem, który pozostał w Czarnobylu, i obawiał się, że stoją przed strasznym scenariuszem: w przypadku eksplozji musieliby ewakuować strefę w promieniu pięciuset kilometrów, co oznaczałoby ewakuację najgęściej zaludnionych terenów ZSRR, w tym największych miast na Białorusi i Ukrainie, jak Mińsk i Lwów. Władze w Kijowie[905] – trzecim największym mieście ZSRR, liczącym ponad dwa miliony mieszkańców – zaczęły po cichu sporządzać plan ewakuacji, ale bały się go wprowadzić w życie. Obawiały się masowej paniki i plądrowania sklepów, mieszkań i muzeów. Setki ludzi zostałyby stratowanych na stacjach kolejowych i na lotniskach.

– Powinniśmy przyspieszyć nasze działania i pracować całą dobę – powiedział Gorbaczow. Musieli działać nie jak w stanie wojny, ale jak podczas ataku nuklearnego. – Czas – ucieka – dodał[906].

Dyskusje jeszcze się toczyły, gdy Szczerbina dostał wiadomość z bloku czwartego: rozpoczęła się operacja wypompowywania wody przez kapitana Zborowskiego.

Zborowski udał się[907] do elektrowni w towarzystwie dwudziestu mężczyzn rekrutowanych z obrony cywilnej i jednostek straży pożarnej. Przybywszy na miejsce[908], zastali złowrogą ciszę. Miejsce było opuszczone, nie licząc resztek załogi pracującej przy reaktorach pierwszym, drugim i trzecim. Wokół bloku czwartego, wśród ruin, walał się porzucony sprzęt: stojące od tygodnia wozy strażackie, zbyt skażone, żeby je ruszać, były pogięte od worków z ołowiem, które nie trafiły do reaktora. Ofensywę z powietrza tymczasowo wstrzymano, a z gruzów unosiła się cienka biała strużka dymu lub pary. Na ziemi, połyskując w słońcu, leżały kawałki grafitu wyrzucone przez eksplozję.

W kijowskiej bazie załoga ćwiczyła rozwijanie węży z helikoptera[909] w celu skrócenia czasu przebywania mężczyzn w pobliżu reaktora, ale eksperyment się nie powiódł. Musieli więc ręcznie rozwinąć półtora kilometra węży. Wielokrotnie ćwiczyli łączenie przewodów i podłączanie ich do specjalnych wozów strażackich marki ZiŁ, mogących przepompować sto dziesięć litrów wody na sekundę.

Początkowo kapitan Zborowski nie czuł lęku[910]. W końcu jego towarzysze nie daliby mu zadania, które wystawiałoby go na pewną śmierć. Jego skalę zaczął rozumieć, dopiero gdy znalazł się na terenie elektrowni. Pracownicy, którzy widzieli, jak zabierano ich kolegów do specjalnej kliniki w Moskwie, patrzyli na niego ze współczuciem, jak na skazańca prowadzonego na stracenie.

Nad specjalistami pozostałymi w elektrowni pieczę w dalszym ciągu sprawowali dyrektor Wiktor Briuchanow i niegdyś napuszony Nikołaj Fomin[911]. Obaj siedzieli przy telefonach w mrocznym bunkrze pod elektrownią, czekając na instrukcje od komisji rządowej. Byli wyczerpani, zmęczeni wystawieniem na promieniowanie i stresem. Fomin spędził w bunkrze pięć dni, śpiąc przy szumiących cały czas wentylatorach. Po ewakuacji Prypeci[912] Briuchanow i pozostali operatorzy zostali wysłani do obozu Pionierów „Skazocznyj”, czyli „Bajkowy”, znajdującego się trzydzieści kilometrów od elektrowni.

„Skazocznyj” powstał z myślą o dzieciach pracowników elektrowni, które mogły spędzić tutaj wakacje. Składały się na niego małe ceglane i drewniane domki umiejscowione głęboko w lesie, przyozdobione rzeźbami smoków, morskich stworów i postaci z mitologii słowiańskiej[913]. Teraz w lasach pełno było karetek[914] pogotowia, samochodów, wozów strażackich i pojazdów wojskowych. Przy wjeździe rozstawiono punkt kontroli dozymetrycznej. Na płocie i w oknach kantyny porozwieszane były notatki: wiadomości od pracowników elektrowni szukających żon i dzieci, zawiadomienia od przesiedlonych rodzin, które podawały nazwy wiosek, w których miały przebywać, i prośby o informację na temat rodzin zagubionych podczas ewakuacji.

W czasie, gdy kapitan Zborowski ze swoimi ludźmi przygotowywali się do powierzonego im zadania, ruszyła inna operacja mająca zatrzymać topnienie reaktora. Najpierw z Kijowa przyjechali pracownicy metra[915], by wykopać głęboki dół w pobliżu reaktora trzeciego. Korzystając z japońskiego sprzętu wiertniczego, posuwali się w kierunku reaktora czwartego,

wiercąc serię otworów w jednej linii o długości stu czterdziestu metrów. Mieli nadzieję wpuścić w nie wąskie rury z ciekłym azotem, który miał zamrozić glebę i zatrzymać stopione paliwo, zanim dotrze do wody.

Jednocześnie technicy[916] z elektrowni rozpoczęli wdrażanie planu Legasowa, który miał na celu gaszenie reaktora azotem w stanie lotnym. Zadanie miało polegać na wykorzystaniu istniejącej sieci rur w elektrowni tak, aby skierować azot przez piwnicę do ruin hali reaktora. Pracownicy elektrowni od początku uważali to przedsięwzięcie za chybione: rury pod reaktorem niemal na pewno zostały zniszczone, a nawet jeśli azot dotarłby do hali reaktora, nie pozbawiłby go tlenu, gdyż zniszczeniu uległ dach. Gaz zamiast ugasić płomienie, po prostu uleciałby do góry. Ale rozkaz to rozkaz.

Rządowa komisja Silajewa[917] nakazała, by ciężarówkami i koleją zwieźć do Czarnobyli ciekły azot z całej Ukrainy. Znajdujące się w fabryce Kriogenmasz w Odessie dwie ogromne parownice potrzebne do zamiany cieczy w gaz zostały przetransportowane na lotnisko w Czernihowie, a nieopodal bloku administracyjnego elektrowni postawiono specjalną halę, w której miały być przechowywane. Na miejsce dostarczyły je dwie „latające krowy” Mi-26 Antoszkina[918], ale okazało się, że parownice nie przejdą przez drzwi hali. Trzeba było młotami wybić większe wrota. O godzinie dwudziestej technicy zameldowali Silajewowi, że jak tylko zostanie dostarczony azot, będzie można rozpocząć pompowanie. Miał przybyć jeszcze nocą, ale rankiem wciąż go nie było. Operatorzy czekali cały dzień.

O dwudziestej trzeciej dyrektor Briuchanow odebrał telefon od Silajewa.

– Znajdź azot – powiedział przewodniczący komisji – albo każe cię rozstrzelać[919].

W towarzystwie wydelegowanych żołnierzy Briuchanow zlokalizował konwój cystern w Iwankowie, sześćdziesiąt kilometrów od elektrowni. Przerażeni skutkami promieniowania kierowcy odmówili dalszej jazdy. Konwój otoczony został przez uzbrojonych w karabiny maszynowe żołnierzy, którzy trzymając kierowców na muszce, nakazali im dostarczyć ładunek.

Była ósma wieczorem we wtorek[920], 6 maja, kiedy ludzie Łosia Zborowskiego założyli w końcu maski i kombinezony ochronne L-1 zaprojektowane na wypadek wojny jądrowej i udali się w stronę reaktora numer 4. Zborowski przeprowadził własne badania radiacji i obliczył, w których miejscach i jak długo mogą przebywać. Natężenie promieniowania gamma różniło się drastycznie od 50 w pobliżu bloku pierwszego do ponad 800 rentgenów w najbardziej niebezpiecznych miejscach, niecałe dwieście pięćdziesiąt metrów od bloku czwartego. Mężczyźni zatrzymali ciężarówki[921] w korytarzu transportowym, długim tunelu obok reaktora, którym dostarczano paliwo do elektrowni. Rozwinęli węże w pięć minut[922] – jedną trzecią ustalonego czasu – i zaczęli pompować. Zostawili silniki na chodzie[923], zamknęli wrota do tunelu i pobiegli do pobliskiego bunkra. W końcu poziom wody w piwnicy zaczął spadać[924]. Briuchanow i Fomin ze swoich stanowisk pod elektrownią zatelefonowali do Silajewa, który odebrał wiadomość w Moskwie.

Co kilka godzin trzej mężczyźni[925] pędzili do ciężarówek z benzyną i olejem. Dwaj pozostali co godzinę wykonywali pomiary promieniowania i temperatury wody. O trzeciej nad ranem[926] dwóch strażaków wbiegło do bunkru, by zgłosić, że węże pękły. Ekipa żołnierzy wojsk chemicznych wykonująca pomiary promieniowania wjechała na nie po ciemku transporterem opancerzonym, przecinając je w dwudziestu miejscach i miażdżąc uszczelki łączące. Radioaktywna woda tryskała na ziemię pięćdziesiąt metrów od reaktora. Dwaj sierżanci wybiegli naprawiać szkody. Potrzebowali dwudziestu nowych fragmentów węży, wymiana każdego z nich zajmowała dwie minuty. Pracowali na kolanach w powiększających się kałużach emitującej promienie gamma wody. Gumowe, dwupalczaste rękawice były niewygodne i ciepłe. Zrzucili je więc i pracowali gołymi rękami. Ukończywszy zadanie godzinę później, zmęczeni i wyczerpani mężczyźni wrócili z dziwnym posmakiem kwaśnych jabłek w ustach.

Pompowanie trwało całą noc i kolejny dzień. Po czternastu godzinach nieprzerwanej pracy silnik jednej z ciężarówek padł[927] i trzeba było go wymienić. Ludzie Zborowskiego byli przerażeni[928]. Jeden z nich został wysłany do remizy strażackiej w Czarnobylu po wódkę, ale puściły mu nerwy i nie wrócił. Inny zaczął wykrzykiwać[929] coś niezrozumiałego i wymiotować, został więc zabrany do szpitala. Kiedy nadeszła pora, by Łoś dokonał kolejnych pomiarów, nakazał jednemu ze strażaków iść ze sobą na wszelki wypadek, gdyby stracił przytomność albo zgubił się w budynku. Oficer odmówił.

– Nie zadzieraj ze mną[930] – krzyknął Zborowski. – Albo każę moim ludziom cię związać i rzucić koło reaktora czwartego! Po kwadransie nawet nie piśniesz.

Oficer założył gumowy kombinezon i zrobił, co mu kazano.

Szczegóły o tym, co się stało w Czarnobylu, zaczęły przedostawać się do leżącego sto czterdzieści kilometrów dalej Kijowa[931]. Wieści rozprzestrzeniały się pocztą pantoflową i za sprawą „wrogich głosów”, czyli rosyjskojęzycznej stacji radiowej BBC, Radia Szwecja i Głosu Ameryki, nadających na terenie ZSRR, a przynajmniej tam, gdzie KGB nie udało się ich zagłuszyć. Niepokojące plotki szerzyły się na mieście. Departament inwigilujący Ministerstwa Spraw Wewnętrznych[932] donosił o wyolbrzymionych spekulacjach na temat liczby ofiar, zanieczyszczeniu wody i powietrza. Jeden z informatorów podsłuchał taksówkarza opowiadającego, że ewakuacji Prypeci towarzyszył chaos i kradzieże, z którymi żołnierze nie potrafili sobie poradzić, że wśród zabitych jest przedstawiciel rządu, że ciężarnym kobietom robi się aborcje i że Dniepr jest radioaktywny.

Radzieckie władze wciąż zapewniały, że niebezpieczeństwo dotyczy tylko trzydziestokilometrowej strefy zamkniętej, ale od kilku dni notowano na ulicach Kijowa[933] promieniowanie gamma, a cząstki promieniotwórcze z reaktora powoli wtapiały się w asfalt. Szcherbicki zdawał sobie sprawę, że w mieście drastycznie wzrósł poziom promieniowania[934], a stężenie radioaktywnego jodu w dorzeczu Dniepru przekroczyło normę kilka tysięcy razy.

Tymczasem szef ukraińskiego KGB twierdził[935], że liczby ofiar wypadku podawane przez telewizję moskiewską i kijowską były sprzeczne. Jego koledzy wciąż jednak zwlekali, zastanawiając się, co i kiedy powiedzieć ludziom.

W końcu, we wtorek, 6 maja, dziesięć dni po wypadku, ukraiński minister zdrowia pojawił się w lokalnych mediach, by ostrzec mieszkańców Kijowa przed promieniowaniem: mieli pozostać wewnątrz budynków, zamknąć okna i unikać przeciągów. Krążyły plotki[936], że starsi członkowie partii wysłali po cichu swoje dzieci i wnuki do obozów pionierów i sanatoriów na południu. Kilka dni wcześniej w jednej z kijowskich aptek[937] odwiedzanych przez członków ukraińskiego Komitetu Centralnego lekarz i pisarz Jurij Szczerbak zaobserwował długą kolejkę uprzywilejowanych mieszkańców chcących kupić stabilny jod. Rozeszły się także plotki o możliwej drugiej eksplozji w elektrowni i tajnych rządowych planach ewakuacji całego miasta. Wiele osób postrzegało uspokajające doniesienia władz jako czężą propagandę[938].

Wieczorem stacje kolejowe zapełniły się tysiącami osób[939], które próbowały uciec z miasta. Wiele z nich spało w hali głównej, żeby nie stracić miejsca w kolejce. Radziecki dowód osobisty[940] uniemożliwiał mieszkańcom opuszczenie swoich rejonów bez powodu, wielu robotników szybko złożyło więc podania o wakacje, a ci, którym ich odmawiano, odchodzili z pracy. Wkrótce na ulicach pojawiły się floty pomarańczowych ciężarówek[941] nieustannie spryskujących asfalt w celu zmycia radioaktywnego opadu. Kolejki ustawiały się pod bankami. Niektóre z placówek były zamykane po kilku godzinach pracy, inne wprowadzały

ograniczenia pobrań do stu rubli na osobę. Po południu w większości banków skończyła się gotówka. Kiedy w aptekach skończył się jod, ludzie zaczęli pić jodynę przeznaczoną do stosowania zewnętrznego, która podrażniała ich gardła. Przed sklepami monopolowymi kolejki wydłużyły się czterokrotnie, gdyż ludzie próbowali się leczyć za pomocą wina i wódki. Z tego powodu zastępca ukraińskiego ministra zdrowia musiał wydać komunikat: „Plotki, że alkohol pomaga zwalczać skutki promieniowania, są nieprawdziwe”[942].

W środę tłumy kijowian[943] próbowały uciec z miasta w ilościach, jakich nie zanotowano od czasu niemieckiej inwazji z 1941 roku. Na stacjach kolejowych[944] ludzie wciskali konduktorom ruble bezpośrednio do rąk, upychali się po dziesięciu w czteroosobowych przedziałach i wspinali się na półki bagażowe. Inni próbowali uciec samochodami, przez co trasy wylotowe w kierunku południa szybko się zakorkowały: w ciągu dnia wyjechało z miasta autobusami i samochodami prawie dwadzieścia tysięcy osób[945]. Rząd przewidział dodatkowe połączenia lotnicze oraz podwoił liczbę pociągów z Kijowa do Moskwy. W tych ostatnich zachodni dziennikarze odnotowali[946] wagony wypełnione pozostawionymi bez opieki dziećmi z czołami i nosami przyklejonymi do szyb, wypatrującymi czekających na peronach krewnych.

W obawie przed masową paniką[947] ukraiński premier zaczął rozważać ewakuację dzieci z miasta, ale komisja rządowa z Czarnobyla nie wystosowała w tej kwestii żadnych wytycznych, a nikt z władz republiki nie miał zamiaru brać na siebie odpowiedzialności za tak drastyczny krok, którego nie dałoby się

ukryć, a który wysłałby w świat przesłanie o tym, jak dramatyczna stała się sytuacja. Premier potrzebował konsultacji z ekspertem. Poprosił o przysłanie z Kremla do Kijowa na pilną naradę speców od radiacji i meteorologii – Leonida Iljina i Jurija Izraela.

Zachodnia delegacja z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, w skład której wchodził dyrektor generalny, były szwedzki dyplomata Hans Blix, i Amerykanin Morris Rosen, dyrektor bezpieczeństwa jądrowego, otrzymała zgodę na odwiedzenie elektrowni. Uczestnicy delegacji stali się zatem pierwszymi przedstawicielami spoza Związku Radzieckiego, którym pozwolono przybyć na miejsce awarii. Mieli wylecieć do Kijowa w czwartek, 8 maja. Kiedy ta wieść dotarła do Jewgienija Wielichowa, ten się przeraził. Naukowiec poprosił wiceministra Silajewa o przesłanie Gorbaczowowi następującej depechy: „Powiedz im, że w naszym wychodku wybuchło szambo i będą musieli się wspiąć na górę gówna”[948].

Dopiero o czwartej nad ranem[949] w czwartek zawory w zalonym korytarzu 001 zaczęły wyłaniać się spod radioaktywnej wody. Wiceminister Silajew nalegał[950], żeby natychmiast wysłać ludzi, którzy je otworzą. Ale w piwnicach znajdowały się kilometry rur i wszystkie wyglądały identycznie, panowała nieprzenikniona ciemność. Jedynie ktoś doskonale zaznajomiony z siecią gęstych, ciemnych korytarzy mógł poradzić sobie z zadaniem. Wyselekcjonowano trzech pracowników elektrowni: dwóch do odkręcenia zaworów i jednego do pomocy, w razie gdyby coś poszło nie tak[951]. Wydano im stroje nurków, a ukraiński wiceminister osobiście zawiózł ich pod elektrownię.

Pracownicy weszli do piwnicy między blokiem trzecim a czwartym z kluczami i latarkami w dłoniach[952] oraz z podręcznymi dozymetrami przyczepionymi do kombinezonów na wysokościach klatki piersiowej oraz kostek.

Kierownik zmiany Borys Baranow wszedł pierwszy, a za nim podążyli dwaj inżynierowie, Aleksiej Ananenko i Walerij Bezpawow. Kiedy zeszli na poziom -3, Baranow zatrzymał się, żeby dokonać odczytu w korytarzu pod blokiem czwartym. Maksymalnie wyciągnął teleskopowe ramię dozymetru DP-5 i skierował czujnik w mrok. Dozymetr natychmiast wykroczył poza skalę we wszystkich zakresach. Nie było z niego żadnego pożytku.

– Szybko – polecił Baranow.

Trzej mężczyźni ruszyli pędem. Kiedy biegli, jeden z nich spojrzał do tyłu i ujrzał gigantyczny stożek czegoś czarnego i kruszejącego, zmieszanego z cementem. Był to materiał, który przeniknął z korytarza piętro wyżej. Inżynier poczuł na języku metaliczny posmak.

Droga do korytarza 001 została przebadana przez dozymetrystę za pomocą DP-5, który pobrał odczyty tuż nad poziomem powierzchni wody. Co się działo potem – pozostało tajemnicą. Nikt nie wiedział, ile tam było wody i jak bardzo była radioaktywna. Każda sekunda spędzona w tunelu oznaczała wystawienie na większe promieniowanie.

Baranow obserwował[953], jak obaj inżynierowie wchodzi do środka. Panowała upiorna cisza. Plusk wody pod stopami odbijał się echem od niskiego sufitu, w uszach słyszeli własne urywane oddechy, tłumione przez zawilgocone maski. Dobra wiadomość

była taka, że woda sięgała tylko do kostek i udało się znaleźć szeroką rurę biegnącą przy posadzce, po której można było przejść. Zawory pozostały nienaruszone i były wyraźnie oznakowane: 4GT-21 i 4GT-22. Udało się je odkręcić bez problemu. Po chwili Ananenko usłyszał odgłos bulgotu wody w basenach rozbryzgowych znajdujących się ponad ich głowami.

O świcie 8 maja udało się zlikwidować ryzyko drugiej katastrofalnej eksplozji. Wkrótce potem ubrany po cywilnemu funkcjonariusz odszukał Łosia Zborowskiego w bunkrze i wręczył mu kopertę z wynagrodzeniem od rządu. W środku Zborowski znalazł 1000 rubli w gotówce[954].

Radość z opróżnienia basenów rozbryzgowych trwała krótko[955]. Żołnierzom i inżynierom udało się wprawdzie odsunąć ryzyko drugiej eksplozji, ale pozostawał problem skażenia wody, co tylko pogłębiło obawy przed wystąpieniem chińskiego syndromu. Niektóre obliczenia wykazały[956], że gdyby paliwo przetopiło się przez fundamenty bloku czwartego, wsiąkłoby trzy kilometry w głąb ziemi, zanim by się zatrzymało. Budowniczy kijowskiego metra zaczęli wiercić w kierunku reaktora w nadziei na zamrożenie gleby ciekłym azotem, ale ich wysiłki hamował deszcz, kurz i radioaktywne szczątki[957]. Co chwila natrafiali na jakieś niewzględzone w planach przeszkody – jak zatopione betonowe płyty dźwigów używane podczas budowy elektrowni – na których łamały się drogocenne wiertła. Musieli zatem wznawiać wiercenie na jeszcze większej głębokości.

Tymczasem Silajew[958] wydał rozkaz pompowania lotnego azotu do basenów rozbryzgowych. Piwnicę zamierzano zalać

cementem, jak tylko zostanie wypompowana z niej woda. Pod koniec tygodnia Politbiuro zdecydowało się na najbardziej drastyczny krok[959]: radzieccy dyplomaci zwrócili się do Niemieckiego Forum Atomowego – wiodącej grupy przemysłu jądrowego w RFN – z prośbą o pomoc. Sowieccy wysłannicy nie podali żadnych szczegółów, ale oznajmili, że pilnie potrzebują porady w kwestii, „jak poradzić sobie z czymś niezwykle gorącym, co może przetopić się przez fundamenty reaktora”.

W moskiewskim laboratorium Wielichowa[960] naukowcy kontynuowali całodobowe badania nad właściwościami stopionego ditlenku uranu, żeby, zgodnie z zaleceniem Politbiura, poznać skutki najczarniejszego scenariusza. Fizycy pracowali wraz z dwiema oddzielnymi grupami matematyków, którzy całe dni i noce sprawdzali ich teorie na komputerach. Cykl obliczeniowy sprawdzania jednego algorytmu zajmował od dziesięciu do czternastu godzin, więc przy każdym matematyku siedział kolega, który poprawiał jego błędy lub go budził, kiedy ten zasnął. Dopiero gdy wyniki obu grup się pokryły, mogli być ich pewni.

Rezultaty obliczeń wprawiły ich w zdumienie[961]. Wyglądało na to, że jeśli paliwo rozprzestrzeni się na wystarczająco dużej powierzchni, formując powłokę o grubości najwyżej dziesięciu centymetrów, będzie stygnąć szybciej i w końcu samo stężeje. Jednak naukowcy odkryli także, że substancja wyciekająca z reaktora, na którą składał się ditlenek uranu zmieszany z piaskiem, cyrkonem i ołowiem tworzący radioaktywną lawę zwaną korium, może zachowywać się nieobliczalnie. Gdyby przykryć go od góry, na przykład tysiącami metrów sześciennych płynnego cementu, żar radioaktywnego rozpadu zostałby

uwieczony i topnienie korium by przyspieszyło. I chociaż w teorii zamrożenie ziemi pod reaktorem powinno zatrzymać topnienie, komputerowe obliczenia pokazały, że stałoby się tak jedynie w ściśle ograniczonych miejscach. Jeśli rury chłodzące oddalone byłyby od siebie o więcej niż cztery centymetry, korium po prostu podzieliłoby się na części i przepaliło między nimi, po czym po drugiej stronie stopiłoby się ponownie w jedną masę niczym jakaś prymitywna, ale uparta forma życia dążąca do wnętrza ziemi. Naukowcy zdali sobie sprawę, że wysiłki budowniczych metra skazane są na porażkę i trzeba zaniechać planu wypełnienia basenów cementem.

Naukowcy nie postrzegali siebie[962] jako grupki profesorów akademickich badających tajemne zagadnienia fizyki, ale jako jedynych ludzi stojących pomiędzy głupimi ignorantami z Czarnobyli a globalną katastrofą. Kierownik laboratorium Wiaczesław Pismienny spakował igłowy wydruk komputerowej symulacji do walizki, po czym wsiadł na pokład samolotu Jak-40 lecącego do Kijowa.

Rankiem 8 maja w czwartek, zaledwie kilka godzin po tym, jak zaczęto wypompowywać wodę z basenów rozbryzgowych pod blokiem czwartym, Hans Blix i Morris Rosen z IAEA wyruszyli w podróż z Moskwy do elektrowni w Czarnobylu. Na lotnisku w Kijowie odebrał ich Jewgienij Wielichow[963] i razem polecili helikopterem na północ.

W środku było gorąco i wszyscy pocili się w swoich zielonych kombinezonach[964]. Na horyzoncie pojawiła się elektrownia. Rosen, doświadczony administrator amerykańskiego przemysłu

jądrowego, zapytał Wielichowa, jaki zakres powinien ustawić na swoim dozymetrze.

– Około setki – odparł Wielichow.

– Milirentgenów?

– Nie. Rentgenów.

Rosen wyglądał na zbitego z tropu. Jego przyrząd nie miał tak dużej skali, ale Wielichow zapewnił go, że wszystko będzie w porządku. Jego radziecki dozymetr spokojnie sobie radził z takimi wielkościami, a poza tym sam codziennie odbywał takie loty.

Naukowiec nie przyznał się[965] amerykańskiemu koledze, jak niewielkie pojęcie ma na temat poziomu promieniowania wokół elektrowni. Nie potrafił na przykład zrozumieć, dlaczego promieniowanie nie spada zgodnie z oczekiwaniami, gdy oddala się od bloku czwartego, tylko maleje znacznie wolniej, niż wskazywałoby na to prawo odwrotności kwadratów. Dopiero później odkrył, że podczas każdego lotu wraz z pozostałymi naukowcami byli narażeni na promieniowanie gamma nie tylko z reaktora, ale też z dziesiątków odłamków paliwa porzrzucanych po okolicy.

Wielichow mógł sobie jednak pozwolić na odrobinę optymizmu. Zmagania z topniejącym reaktorem wciąż trwały, ale poziom radionuklidów emitowanych do atmosfery nagle zaczął spadać – równie drastycznie i nieoczekiwanie, jak pięć dni temu zaczął rosnać.

Rosen i Blix ujrzeli cienką smużkę dymu unoszącą się z ruin reaktora, ale poziom promieniowania, choć wciąż znaczący, malał. Pożar grafitu był niemal całkowicie ugaszony[966]. Temperatura

na powierzchni reaktora[967] spadła z 2000 do zaledwie 300 stopni Celsjusza. I chociaż radzieccy naukowcy nie rozumieli, dlaczego tak się działo, w końcu wyglądało na to, że po trzynastu dniach sytuacja kryzysowa została opanowana. Rosen wolał jednak nie ryzykować. Kiedy helikopter znalazł się osiemset metrów od reaktora, Wielichow zapytał go, czy chce podlecieć bliżej.

– Nie – odparł Amerykanin. – Stąd widzę doskonale[968].

Następnego dnia na konferencji prasowej[969] w Moskwie Rosen powiedział reporterom, że pożar grafitu ugaszono, a pomiary dokonane z helikoptera wykazały, że „promieniowanie jest stosunkowo niewielkie”. Był pewny, że ryzyko stopienia reaktora zostało oddalone.

– Sytuacja się stabilizuje – powiedział. – Mogę zapewnić, że na miejscu pracuje grupa kompetentnych, bardzo kompetentnych radzieckich ekspertów. Mają bardzo dużo błyskotliwych pomysłów i cały czas działają.

W niedzielę, 11 maja[970], centralna telewizja moskiewska wyemitowała pierwszy reportaż z trzydziestokilometrowej strefy wykluczenia ukazujący milicjantów w maskach na blokadach, opuszczone domy i zaplombowane studnie. W siedzibie komisji rządowej w centrum miasta Czarnobyl Wielichow i wiceminister Silajew udzielili wywiadów. Siedzący pod portretem Lenina przy stole w sali konferencyjnej, otoczony przez ubranych na biało techników debatujących nad mapami i notatkami, Silajew wyglądał na bladego, ale pełnego życia.

– Doszliśmy dzisiaj do wniosku, że udało się wyeliminować pierwotne i najgroźniejsze niebezpieczeństwo – powiedział,

przeglądając plik zdjęć lotniczych reaktora, aż dotarł do zrobionego tego dnia. – To jest najnowsze – powiedział. – Jak widzicie, sytuacja jest opanowana. Nie ma żadnego dymu i nic się nie żarzy. To, oczywiście, historyczna chwila. Światowe, a zwłaszcza burżuazyjne zachodnie gazety krzyczały na cały głos, że czeka nas ogromna katastrofa, ale ona już nam nie grozi. Jesteśmy przekonani, że niebezpieczeństwo minęło. Tymczasem fizycy w Moskwie[971] wciąż ostrzegali, że stopione korium w dalszym ciągu przemieszcza się w ruinach reaktora czwartego, stanowiąc zagrożenie, ale ich doniesienia spotykały się z ostrą krytyką. Specjaliści jądrowi z Instytutu Kurczatowa i Średmaszu uważali ich za akademickich intruzów, którzy nie mają żadnego praktycznego doświadczenia z reaktorami. Zapewniali, że korium stężeje na długo przed dotarciem do najgłębszych fundamentów bloku czwartego. Teoretycy zgadzali się, że taki scenariusz jest prawdopodobny, ale nikt nie może go zagwarantować. Obliczyli, że szansa na to, iż radioaktywna lava przetopi się przez wszystkie cztery grube na 1,8 metra stropy z żelbetu i dotrze do wody czwartej największej rzeki w Europie, wynosi jeden na dziesięć.

W oficjalnym raporcie teoretycy twierdzili, że jedyną gwarancją zapobieżenia chińskiemu syndromowi jest postawienie odważnej konstrukcji, i to w najbardziej niebezpiecznych warunkach, jakie można sobie wyobrazić. Zalecali, by pod blokiem czwartym wydrążyć jamę o wysokości pięciu metrów i powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych[972], w której stanąłby ogromny, zbudowany specjalnie na tę okazję wymiennik ciepła chłodzony wodą, który zamroziłby ziemię i zatrzymał korium. Żeby zilustrować niebezpieczeństwo, kierownik

laboratorium Pismienny przyniósł na spotkanie w siedzibie Średmaszu w Moskwie duży kawałek betonu stopiony podczas eksperymentów z uwięzioną wewnątrz pastylką ditlenku uranu.

Kierownika konstrukcji Średmaszu nie trzeba było dłużej przekonywać.

– Zbudujcie to – powiedział[973].

W Szpitalu numer 6

Dwa kroki do tyłu![974] Dwa kroki do tyłu, bo inaczej nie będę z nikim rozmawiać! Dwa kroki do tyłu!

Główna ekonomistka rady miejskiej Prypeci weszła na stołek i spojrzała na tłum, który wypełnił mały pokój, korytarz, klatkę schodową i wylewał się aż na ulicę. Swietłana Kiriczenko zwykle była łagodna i często się śmiała, ale teraz została zesłana do małej miejscowości Poliśke, około pięćdziesięciu kilometrów od elektrowni jądrowej, gdzie ulice były dziurawe, a ozdobą głównego placu był pomnik Lenina. Kiriczenko i członkowie ispołkomu w Prypeci powołali w ratuszu biuro, w którym teraz musieli stawić czoła rozgniewanym i zdezorientowanym ewakuowanym mieszkańcom. Sfrustrowany tłum napierał, żądając spotkania z burmistrzem. Ludzie sadzali na jej biurku rozwrzeszczane dzieci, pytali, co mogą zrobić z chorymi dziadkami i kiedy otrzymają pensje, ale przede wszystkim chcieli wiedzieć, kiedy będą mogli wrócić do domu.

Ostatnie dwadzieścia tysięcy osób opuściło swoje mieszkania w Prypeci przed zapadnięciem zmroku[975] 27 kwietnia, w niedzielę, wsiadając do autobusów, które porozwoziły ich do ponad pięćdziesięciu miast i wsi rozsianych na terenie północno-zachodniej Ukrainy. Rodzinom powiedziano, że za trzy dni będą mogły wrócić do domu, więc szybko skończyła im się żywność, pieniądze i czyste ubrania, a te, które uważali za czyste, wcale takie nie były. Kiedy dozymetrysta rozstawił prowizoryczny punkt

monitorujący pod szpitalem w Poliśke, ustawiła się do niego kolejka. Posuwała się szybko, ale ani trochę się nie skracała. Dozymetrysta przykładał urządzenie do ubrań, włosów i butów kolejnych osób, wypowiadając zmęczonym głosem niczym mantrę: „Czyste... Skazone... Skazone... Czyste... Strzepnijcie ubrania z wiatrem... Czyste... Skazone... Skazone... Skazone”[976].

Wiele wiejskich rodzin ugościło ewakuowanych najlepiej, jak potrafiło. Żona Wiktora Briuchanowa, Walentina, posiadająca tytuł inżyniera[977], znalazła nocleg wraz z kierownikiem laboratorium w państwowym gospodarstwie rolnym we wsi Rozważew, gdzie doiła krowy. Została rozdzielona[978] z ciężarną córką i matką, nie wiedziała też, co się stało z jej mężem ani gdzie którekolwiek z nich przebywa. Nie miała się jak tego dowiedzieć.

Natalia Juwczenko i jej dwuletni syn Kirył wraz z tysiącem dwustoma uchodźcami trafili trzydzieści kilometrów dalej[979], do wsi Ługowiki nad rzeką Uż, gdzie nie było ani jednego telefonu. Ostatni raz widziała męża, Aleksandra, gdy machał jej przez okno szpitala w Prypeci, każąc wrócić do domu i zamknąć okna. Nie wiedziała, gdzie go zabrano ani w jakim był stanie. Wraz z dwiema innymi rodzinami z tego samego bloku została przyjęta przez starszą parę rolników, którzy udostępnili im swoją sypialnię. Natalia i inni, którzy mieli małe dzieci, dzielili łóżko. Reszta spała na podłodze. W poniedziałek starzec zabrał dzieci na ryby, ale Kirył wciąż był chory, a w domu panowała wilgoć.

We wtorek zabrakło żywności, a Juwczenko kończyły się pieniądze. Zwróciła się do swojego sąsiada:

– Siergiej, wynośmy się stąd.

Razem udało im się uzbierać pieniądze na autobus do Kijowa. Tam zabrała Kiryła na lotnisko, skąd polecili do Mołdawii, gdzie rodzice jej i Aleksandra wciąż mieszkali naprzeciwko siebie, po przeciwnych stronach ulicy. Tam Juwczenko postanowiła jeszcze raz spróbować dowiedzieć się, co się stało z jej mężem.

W środę rząd nadal ukrywał wieści o wypadku[980], nawet przed pracownikami innych elektrowni atomowych, ale pewne informacje zaczęły wyciekać i obie rodziny uruchomiły wszystkie swoje kontakty, żeby czegokolwiek się dowiedzieć. Dzięki wujkowi z Moskwy, który miał znajomości w wojsku, Natalia ustaliła, że większość najbardziej poparzonych mężczyzn z elektrowni zostało zabranych do specjalnego szpitala – będącego częścią Trzeciego Departamentu systemu opieki zdrowotnej – przeznaczonego dla pracowników radzieckiego sektora jądrowego. Juwczenko wraz z teściową poleciały do Moskwy, gdzie przekonały się, że mieszkańcy miasta nie zdają sobie sprawy z wydarzeń na Ukrainie i są w ferworze przygotowań do pierwszomajowego marszu, który miał się odbyć następnego dnia.

Kobiety miały sprzeczne informacje na temat miejsca pobytu Aleksandra. Natalia dostała adres szpitala na terenie radzieckiego Instytutu Biofizyki, do którego trudno się było dostać, a jej teściowej podano adres instytutu badań nad rakiem przy Szosie Kaszirskoje, w zupełnie innej części miasta. Starsza kobieta upierała się, że jej źródło jest pewne. Natalia nie chciała się sprzeczać. Kiedy od pracowników centrum onkologii usłyszały, że nie ma tam pacjenta o nazwisku Aleksander Juwczenko, wezwały taksówkę, a kierowcy poleciły jechać do Szpitala numer 6.

Na miejsce dotarły po południu. Gdy Natalia zobaczyła gmach, wiedziała, że dobrze trafiły. Postawiony z brązowej cegły ośmiopiętrowy budynek szpitala[981] nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale jego otoczenie już tak: otaczał go stalowy płot, każdego wejścia pilnowali strażnicy, a technicy ze specjalnym sprzętem sprawdzali buty i spodnie każdej osoby opuszczającej budynek.

Przed głównym wejściem zgromadził się tłum. Juwczenko rozpoznała wiele twarzy z Prypeci. Wszyscy byli oszołomieni i przestraszeni, ale nikomu nie pozwolono wejść do środka budynku. W pewnej chwili wyszedł lekarz, który zaczął głośno czytać listę pacjentów z Czarnobyli i ich aktualny stan. Tłum był hałaśliwy i niecierpliwy, ludzie się przepychali, rozpychali łokciami i wykrzykiwali pytania. Jeśli ktoś nie usłyszał słów lekarza, ten musiał je powtarzać. Juwczenko skupiła się, żeby wyłapać z wrzawy to, co mówił, ale nie usłyszała wzmianki o mężu. W końcu udało jej się przepchnąć do samego lekarza.

– A co z Aleksandrem Juwczenko? – zapytała.

Lekarz spojrzał na listę.

– Chodźcie ze mną – powiedział.

Pierwsi pacjenci z elektrowni[982] wylądowali w Moskwie o świcie w niedzielę, 27 kwietnia. Na lotnisku Wnukowo czekali na nich lekarze[983] w strojach ochronnych oraz autobusy z siedzeniami przykrytymi folią. Specjaliści ze Szpitala numer 6 – liczącego sześćset łóżek[984] i przeznaczonego do leczenia pracowników Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich oraz ofiar promieniowania – przygotowali dla nich cały oddział. Niektórzy pacjenci mieli na sobie te same ubrania co w chwili

wybuchu[985]. Wielu było pokrytych radioaktywnym pyłem. Środki transportu, którymi ich przywieziono, okazały się niezdatne do użytku. Samolot, który przywiózł pierwszą grupę poszkodowanych, został rozmontowany, a autobus wysłany do Instytutu Kurczatowa, gdzie przygotowano dla niego dół, w którym go zakopano[986].

Do wieczora przyjęto dwieście siedmioro mężczyzn i kobiet, głównie pracowników elektrowni i strażaków, ale też strażników, którzy zostali na swoich posterunkach nieopodal płonącego reaktora, budowniczych, którzy czekali na przystanku, i wędkarzy, którzy w pobliżu łowili ryby. U stu piętnastu z nich zdiagnozowano objawy choroby popromiennej[987]. Otrzymali takie dawki promieniowania[988], że lekarze nie dawali im żadnych szans na przeżycie.

Ordynatorem Oddziału Klinicznego Szpitala numer 6 była sześćdziesięciodwuletnia doktor Andżelina Guskowa. Karierę w medycynie jądrowej rozpoczęła ponad trzy dekady wcześniej, u zarania radzieckiego planu dotyczącego broni nuklearnej. W 1949 roku, zaraz po zdobyciu dyplomu neurologa, została przeniesiona do Czelabińska-40, zamkniętego miasta w południowym Uralu, gdzie miała leczyć więźniów gułagu pracujących w fabrykach plutonu zakładów Majak. Była to jedna z najtajniejszych lokacji w ZSRR i nawet tacy specjaliści jak Guskowa często nie mieli pojęcia, dokąd zmierzają, a po przybyciu na miejsce zabraniano im je opuszczać i komunikować się z zewnętrznym światem[989]. Kiedy Guskowa przez dwa lata nie dawała znaku życia, jej matka uznała, że została aresztowana i przepadła gdzieś w czeluściach KGB. Tymczasem gdy

rodzicielka pisała listy z prośbami o jej uwolnienie, młoda lekarka rozwijała karierę na brutalnym froncie biofizyki[990].

W Majaku Guskowa po raz pierwszy ujrzała ofiary choroby popromiennej. Do kliniki, w której pracowała, przybyło trzynastu cierpiących z powodu nudności i wymiotujących więźniów gułagu. Nie rozpoznała objawów, więc zdiagnozowała u nich zatrucie pokarmowe i odesłała do pracy. Dopiero gdy mężczyźni wrócili, skarżąc się na gorączkę i krwotoki wewnętrzne, zdała sobie sprawę, że zostali wystawieni na duże dawki promieniowania podczas kopania rowów w pobliżu radiochemicznych zakładów numer 25. Co najmniej jeden więzień otrzymał dawkę, którą uznawano za śmiertelną: 600 remów.

Później zgłosiła się młoda kobieta pracująca w fabryce w warsztacie, skarżąc się na dolegliwości objawiające się osłabieniem, zawrotami głowy i bólami tak silnymi, że miała ochotę „chodzić po ścianach”. Guskowa była jednym z pierwszych lekarzy w historii, który ujrzał objawy nowej choroby – przewlekłej choroby popromiennej spowodowanej długotrwałym wystawieniem na niskie dawki promieniowania. Opracowała nowe metody diagnozowania i leczenia, przeprowadziła badania, które dały do zrozumienia jej przełożonym ze Średmaszu, że wystawienie na promieniowanie może być nieszkodliwe, jeśli jest się ostrożnym. Szybko otrzymała awans. Udała się w okolice miasta Semej, do miejsca zwanego Poligonem, gdzie testowano nowe bronie. Zobaczyła tam pierwsze testy radzieckiej broni jądrowej, a także udzieliła pomocy kamerzystom, którzy tuż po eksplozji rzucili się w kierunku miejsca wybuchu, by ratować swoje filmy. Została też osobistym lekarzem ojca radzieckiej

bomby atomowej, samego Igora Kurczatowa, a we wrześniu 1957 roku służyła pomocą ofiarom pierwszej radzieckiej katastrofy jądrowej, w zakładach Majak, po eksplozji zbiornika odpadów radioaktywnych numer 14[991]. Tego samego roku, w wieku trzydziestu trzech lat, została przeniesiona do nowej kliniki, którą otwierano w Instytucie Biofizyki w Moskwie[992].

Nuklearne imperium zbudowane przez Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich rozrastało się przez następne trzydzieści lat z oszałamiającą prędkością, nie dając dużo czasu na analizę kwestii bezpieczeństwa i dążąc ku zagładzie. Cenę za ten rozwój ponosili nieszczęśni technicy reaktorów i załogi łodzi podwodnych, którzy to padali ofiarami energii jądrowej i byli potajemnie grzebani lub wysyłani na badania na oddział Guskowej w Szpitalu numer 6 w Moskwie[993]. Same wypadki były utajnione, a ci, którym udało się przeżyć, musieli zachować w tajemnicy prawdziwą przyczynę choroby, która miała nękać ich do końca dni. Guskowej i jej kolegom udało się jednak zebrać szerokie dane kliniczne na temat wpływu promieniowania na człowieka. Średmasz nie miał zamiaru przyjąć do wiadomości niebezpieczeństw związanych z rozwojem przemysłu jądrowego, w 1970 roku napisała więc książkę, w której opisywała możliwe skutki poważnego wypadku w elektrowni jądrowej[994]. Kiedy jednak pokazała maszynopis wiceministrowi zdrowia, on rzucił nim przez cały gabinet i zabronił jej go publikować. Rok później[995] zawarła wyniki swoich wieloletnich badań w książce *Choroba popromienna u człowieka*, za którą dostała Nagrodę Lenina.

W 1986 roku Guskowa miała za sobą ponad dziesięć lat prowadzenia największego w ZSRR oddziału leczącego choroby związane z promieniowaniem[996]. Zajmowała się w tym czasie ponad tysiącem ofiar wystawionych na silne promieniowanie i wiedziała o wypadkach jądrowych więcej od innych lekarzy, niewykluczone, że także zagranicznych. Jako oddana komunistka i jedna z niewielu kobiet na wysokich szczeblach radzieckiej administracji medycznej była uparta i szanowana przez pracowników, a także dumna z pracy służącej ochronie ludności i bezpieczeństwa ZSRR. Mieszkała sama w mieszkaniu na terenie szpitala, a telefon obok jej łóżka mógł zadzwonić o każdej porze[997].

Przejsie przez punkt kontrolny, wejście po pięciu kamiennych schodach i przekroczenie bramy Szpitala numer 6 zajęło Natalii Juwczenko chwilę. Czas jednak zdawał się ciągnąć w nieskończoność. „To koniec”, pomyślała.

Gdy tylko masywne drzwi placówki zamknęły się za nią, Juwczenko odkryła prawdę. Została wybrana z tłumu nie dlatego, że chciano powiedzieć jej, że owdowiała, ale ze względu na uprzywilejowany status jej rodziny.

Dzięki znajomościom w Ministerstwie Budowy Maszyn Średnich wujek załatwił jej przepustkę umożliwiającą wejście na teren szpitala. Oczekiwał na nią wiele godzin, zastanawiając się, dlaczego tak długo to trwa[998].

Juwczenko wcisnęła się do ciasnej, wąskiej windy mogącej pomieścić dwie osoby i operatora. Szpital był mroczny i zaniedbany[999]. Korytarze były wysokie i wyłożone płytkami. Tu i ówdzie z dziur w ścianach wystawały kable. Wszyscy

pracownicy, od żołnierzy myjących podłogi po techników, ubrani byli na biało lub niebiesko i nosili czepki oraz maski przykrywające usta i nosy. Szpary w progach każdej z sal zatykano wilgotnymi szmatami, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się radioaktywnego kurzu. Winda zatrzymała się, a Juwczenko otworzyła drzwi i skierowała się na lewo do pokoju 801. W pokoju tym znalazła Aleksandra oraz nieznanego jej strażaka nazwiskiem Prawik. Gęste, niesforne włosy jej męża zgolono przy samej skórze.

– Cholera – powiedział. – Zobacz, jak głupio wyglądam. Spójrz na moją głowę.

Ujrzawszy go po tylu dniach pełnych lęku i niepewności, Natalia poczuła radość. Niezależnie od tego, co przydarzyło mu się w elektrowni, był to ten sam Sasza, którego znała – nie wyglądał na kogoś, kto wymaga leczenia w specjalistycznym szpitalu[1000].

Kiedy Juwczenko oraz inni pracownicy elektrowni, w tym zastępca głównego inżyniera Anatolij Diatłow, kierownik zmiany Aleksander Akimow i starszy inżynier kontroli reaktora Leonid Toptunow obudzili się w swoich szpitalnych łóżkach w poniedziałek rano, nie cierpieli już z powodu objawów choroby popromiennej. Zawroty głowy i wymioty nękające ich w sobotę minęły. Strażacy – wielkie, tryskające zdrowiem chłopcy – znowu byli pełni sił i energii i radośnie grali w karty na swoich łóżkach[1001]. Niektórzy czuli się tak dobrze[1002], że lekarze robili wszystko, żeby powstrzymać ich przed wypisaniem się ze szpitala. Tylko niewielkie symptomy świadczyły o tym, że nie wszystko jest z nimi w porządku: niektórzy skarżyli się na lekkie bóle głowy, utratę apetytu i suchość w ustach, której nie

niwelowały żadne ilości płynów, inni – zaczerwienienie skóry[1003] i niezbyt rozległe opuchlizny w miejscach, które wystawione były na promienie gamma lub działanie radioaktywnej wody, która przesiąkała przez ich ubrania.

Głowa Aleksandra Juwczenki została ogolona przez pielęgniarkę tuż po przyjęciu na oddział, w ramach protokołu spisanego po katastrofie w zakładach Majak, której ofiary po kilku tygodniach z przerażeniem wyjmowały sobie garściami włosy z głowy[1004]. Promieniowanie włosów niektórych pracowników Czarnobyla tysiącrotnie przekraczało normę, po ścięciu zostały więc spakowane do plastikowej torby i zakopane. Sasza miał na tyle dobry humor, że żartował sobie ze swojej łysiny i wyglądał na zdrowego. Co mogło być z nim nie tak?[1005]

Powiedział Natalii, że nie chce rozmawiać w pokoju.

– Wyjdźmy na papierosa – zaproponował[1006].

Chorobę popromienną stworzył człowiek i jest ona okrutną, złożoną i mało poznaną dolegliwością, która wystawia nowoczesną medycynę na wielką próbę[1007]. Promieniowanie wywołujące chorobę może trwać chwilę i początkowo nie objawiać się w żaden sposób. Ale jego destruktywne działanie rozpoczyna się natychmiast, bo cząstki alfa i beta oraz promienie gamma niszczą DNA, a komórki zaczynają obumierać. Z intensywnością zależną od otrzymanej dawki pojawiają się nudności i wymioty, a skóra może ulec zaczerwienieniu. Ale nudności przechodzą, a zaczerwienienie znika w ciągu osiemnastu godzin z wyjątkiem najbardziej poparzonych miejsc, a pacjent wkracza w raczej spokojny okres latencyjny. W zależności od przyjętej dawki ten złudny okres dobrego samopoczucia może trwać od kilku dni do

kilku tygodni. Im mniejsza dawka, tym dłuższy okres latencji i większa szansa na wyzdrowienie, pod warunkiem, że zostanie zastosowane właściwe leczenie.

Pacjenci przybyli z Czarnobyla zostali wystawieni na bardzo różne dawki bardzo różnego promieniowania. Strażacy, którzy weszli na dach bloku trzeciego, wdychali wraz z dymem cząstki alfa i beta, a ich ciała przenikało promieniowanie gamma z porzrzucanych pastylek paliwowych i fragmentów rdzenia. Przyjęte dawki zależały od miejsca, w którym stali. Kilka kroków mogło decydować o życiu lub śmierci[1008]. Pracownicy próbujący okiełznać zniszczenia w bloku czwartym pokryci byli radioaktywnym kurzem oraz parą ulatującą z popękanych rur, a także brodzili w wodzie pełnej cząstek beta i przeczesywali ruiny pełne kawałków rdzenia reaktora. Niektórzy wchłonęli radioaktywny ksenon, krypton i argon – krótkotrwałe, ale niezwykle radioaktywne gazy dewastujące miękkie tkanki jamy ustnej oraz dróg oddechowych. Inni doświadczyli poważnych oparzeń od promieni gamma albo cząstek beta osiadłych na ich skórze lub ubraniu. Niektórzy wystawieni byli na promieniowanie przez kilka minut, inni dłużej. Akimow, który wraz z Toptunowem brodził po kostki w radioaktywnej wodzie, bezskutecznie usiłując schłodzić reaktor, przybył do Moskwy w tym samym kombinezonie, który miał na sobie przez całą noc i który przez ponad dobę powodował podrażnienia jego skóry. Zdjęły mu go dopiero pielęgniarki w Szpitalu numer 6.

Jednak gdy przybyli do Moskwy, całą dobę od wypadku, tylko najsilniej poszkodowani z dwustu siedmiu pacjentów wykazywali jakiegokolwiek oznaki choroby.

Pół tuzina strażaków pod dowództwem pułkownika Prawika z jednostki straży pożarnej w Czarnobylu, wspieranych przez jednostkę z Prypeci, których mundury nie chroniły przed promieniowaniem, przyjęło tak duże dawki, że gdy przybyli do szpitala, ich cera była woskowo szara, gdyż zewnętrzne warstwy komórek obumarły w wyniku promieniowania. Wewnętrzne zniszczenia trudno było oszacować, ale były równie zgubne i dotyczyły części ciała, w których komórki dzielą się najszybciej, zwłaszcza płuc, dróg oddechowych, jelit i szpiku kostnego. Dostępne leczenie ograniczone było do transfuzji krwi i antybiotyków podawanych w celu zwalczania infekcji. W wyjątkowych – najcięższych – przypadkach przeprowadzano przeszczepy szpiku kostnego, co było ryzykowną procedurą, która mogła spowodować powikłania, a nawet doprowadzić do śmierci.

Doktor Guskowa i jej ekipa zdawali sobie sprawę, że gdy pojawią się objawy choroby popromiennej takie jak opuchlizny, oparzenia, martwica, krwawa biegunka i krwotoki, zniszczenie szpiku, dróg oddechowych i układu pokarmowego – będzie za późno na interwencję. A bez szczegółowej wiedzy na temat okoliczności napromieniowania i dokładnej dawki trudno było ustalić właściwe leczenie. Nawet po najmniejszych i dobrze poznanych wypadkach jądrowych leczenie opierało się na szacunkach i domysłach. W chaosie powstałym po eksplozji w reaktorze numer 4 niewiele ofiar było świadomych, jak i gdzie zostały wystawione na promieniowanie. Załoga dozymetryczna elektrowni była przeciążona. Strażacy nie mieli żadnego sprzętu dozymetrycznego, a operatorzy nosili tylko podręczne, robocze dozymetry ze skalą do 2 remów. Te dozymetry, które udało się

odzyskać, zostały wysłane do Moskwy, gdzie uległy zniszczeniu podczas dekontaminacji[1009].

Ale dekady doświadczenia Guskowej[1010] pozwoliły jej na opracowanie pionierskiej metody dozymetrii biologicznej, oceniającej napromieniowanie na podstawie wywiadów i badań. Zaliczały się do nich czas, po jakim wystąpiły wymioty, i liczba leukocytów, czyli białych krwinek. Te produkowane w szpiku komórki są podstawą układu odpornościowego i najbardziej wiarygodnym znacznikiem skutków choroby popromiennej. Mierząc liczbę leukocytów i prędkość, z jaką spada, lekarze potrafili ocenić dawkę, jaką przyjął pacjent. Był to zmuśny proces[1011]. Brakowało automatycznie liczących białe krwinki urządzeń, w które wyposażeni byli zachodni hematolodzy, więc pracownicy laboratorium musieli liczyć je pod mikroskopem. Jedno badanie zamiast dwudziestu sekund zajmowało pół godziny.

Oszacowanie liczby białych krwinek wchodziło w skład analizy mającej na celu ustalenie rokowania dla każdego pacjenta. Chorzy szybko przywykli do codziennego pobierania krwi, czy to z palca, czy z żyły. Lekarze pobrali także próbki mające zmierzyć poziom strontu i cezu na skórze oraz wykonali badania moczu na obecność sodu ²⁴, który świadczył o wystawieniu na rozszczepienie atomów, które czyniło ciało radioaktywnym. Ale to badania krwi były kluczowe w ocenie, kto przeżyje, a kto niemal na pewno umrze.

Kiedy Natalia Juwczenko zapytała lekarzy o stan zdrowia Aleksandra, kazali jej czekać.

– Dowiemy się w ciągu trzech tygodni – odpowiedzieli jej. – Musicie być przygotowani na najgorsze[1012].

Przed 1 maja Guskowa wraz ze swoją ekipą zakończyła identyfikację lżej rannych pacjentów oraz przenoszenie tych, którzy wymagali intensywnej opieki, do izolatek, celem uniknięcia infekcji krzyżowych. Kiedy do pokoju Piotra Chmiela wszedł doktor[1013] z wynikami badań, nie potrafił zrozumieć, dlaczego wyniki u młodego strażaka były stosunkowo niezłe, biorąc pod uwagę pierwotne zaczerwienienie jego skóry. Zapytał więc Chmiela, czy ostatnio się nie opalał, gdyż opalenizna zdawała się bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem zaczerwienienia skóry niż wystawienie na promieniowanie gamma. Były tylko dwie możliwości, dlaczego miał tak dobre wyniki badania białych krwinek.

– Albo was tam nie było, albo piliście – powiedział lekarz. – Powiedzcie prawdę.

Chmiel, świadomy tego, co się stanie, jeśli szpital doniesie, że był pijany na służbie, z zakłopotaniem przyznał, że zaszalał. Wódka lała się strumieniami.

– To był dzień oficera – powiedział.

Lekarz uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota, poruczniku. Wyleczymy was.

Bliscy ofiar napływali do szpitala[1014] nie tylko z Prypeci i Kijowa, ale też z całego Związku Radzieckiego. Matka porucznika Prawika była jedną z pierwszych osób, które przybyły na miejsce, i nie odstępowała syna na krok. Lekarze radzili żonom i rodzicom poszkodowanych przynosić jedzenie, żeby przyspieszyć powrót do zdrowia. Zalecali zwłaszcza rosół z kury lub gęsi. Prawik w łóżku napisał radosny list[1015] do żony i ich

miesięcznej córki, w którym przeproszał za swój charakter pisma i nieobecność.

„Pozdrawiam moje ukochane! – pisał. – Wielkie pozdrowienia od waszego obiboka i włóczęgi [...]. Zaniedbuję moje obowiązki w wychowywaniu naszej małej Nataszki. Jest mi tu dobrze. Umieścili nas w klinice na obserwację. Jak wicie, przetransportowali tu wszystkich, którzy brali udział w akcji, więc mam tu całe moje towarzystwo. Wieczorami chodzimy na spacer, a nocą podziwiamy Moskwę, ale niestety tylko z okna naszego oddziału. Tak będzie pewnie przez kolejny miesiąc lub dwa. Niestety, takie są reguły. Nie mogą nas wypuścić, dopóki nie zakończą obserwacji.

Nadia, czytając ten list, płaczesz. Nie płacz. Osusz łzy. Wszystko będzie dobrze. Dożyjemy setki. A nasza ukochana córeczka przeżyje nas po trzykroć. Bardzo za wami tęsknię [...]. Jest tu ze mną mama. Przybiegła tu od razu. Odezwie się do was, żeby poinformować, jak się czuję. A czuję się dobrze”.

Rodzice starszego inżyniera kontroli reaktora, Leonida Toptunowa, byli na dacy pod Tallinem, kiedy dowiedzieli się o wypadku w elektrowni, w której pracował ich syn. Natychmiast ruszyli do domu. We wtorek otrzymali telegram od Leonida[1016]: „MAMO JESTEM W SZPITALU W MOSKWIE CZUJĘ SIĘ DOBRZE”. Dopisał adres, pod którym mogli go znaleźć. Wiera Toptunowa wraz z mężem wsiedli w najbliższy możliwy samolot lecący z Estonii. Do Szpitala numer 6 dotarli następnego dnia[1017]. Zostali poprowadzeni na górę, a następnie wąskim korytarzem do sali, z której na powitanie im wyszedł syn. Miał na

sobie przykrótką białą piżamę i czapkę i wyglądał na zdrowego. Bez problemu się poruszał i twierdził, że czuje się dobrze.

– Wszystko jest w porządku![1018] Nie przejmuj się, mamó – powiedział i się uśmiechnął. – Wszystko jest w porządku.

Ale kiedy Wiera spojrzała w dół, gdzie kończyła się piżama Leonida, zauważyła, że wcale nie było z nim dobrze. Coś potwornego działo się z jego skórą: przyjęła okropny fioletowy kolor podbitego oka, jakby jej syn miał potłuczone nogi albo wsadził je do jakiejś szkodliwej substancji.

Doktor Robert Gale miał swoje przyzwyczajenia[1019]. Każdego ranka wstawał wcześnie, a kiedy jego żona i trójka dzieci spały, golił się i pływał w basenie w posiadłości w Bel Air, u podnóża gór Santa Monica. Następnie dzwonił do kolegów w Nowym Jorku i Europie, którzy już zaczęli pracę. Dwudziestego dziewiątego kwietnia wciąż był w łazience, słuchając radia, gdy usłyszał o wypadku. Ale dopiero gdy kilka godzin później usłyszał o ofiarach w Czarnobylu, pomyślał, że mógłby pomóc.

Czterdziestoletni Gale był hematologiem w UCLA Medical Center i specjalistą od przeszczepów szpiku. Z uwielbieniem nosił drewniane chodaki, które zrobiono mu na zamówienie przy Melrose Avenue, a także szerokie krawaty udekorowane wizerunkami wielorybów lub owiec; chętnie uprawiał jogging, a na lunch jadał mrożone jogurty. Reputację indywidualisty zawdzięczał swoim żarliwym publikacjom. Był też przewodniczącym Komitetu Międzynarodowego Rejestru Szpiku Kostnego, uznał więc, że jego baza danych może pomóc ocalić życie tym, którzy padli ofiarą choroby popromiennej. Gale zdawał sobie sprawę[1020], że ZSRR odrzucił formalne oferty pomocy

medycznej od amerykańskiego Departamentu Stanu, ale postanowił spróbować innej drogi: przez swego przyjaciela i mecenasa Armanda Hammera. Około wpół do dziesiątej rano podniósł słuchawkę telefonu.

Prezes amerykańskiego koncernu naftowego Occidental Petroleum, Armand Hammer, był uznanym filantropem i kolekcjonerem dzieł sztuki. Urodził się w Nowym Jorku w rodzinie komunistów, a do ZSRR udał się po raz pierwszy w 1921 roku, przerwawszy studia medyczne. Rzekomym powodem tej podróży było dopilnowanie sowieckich interesów firmy farmaceutycznej jego ojca. W Moskwie poznał Lenina[1021], który udzielił mu koncesji handlowych. Stały się one podstawą jego fortuny – dzięki nim wyrobił sobie bezpośrednie kontakty z przywódcami Związku Radzieckiego, które przetrwały prawie siedemdziesiąt lat. Ostatecznie miał zostać zdemaskowany jako jeden z największych szarlatanów w historii – narzędzie radzieckich tajnych służb, oszust i zdrajca – ale w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat Hammer wciąż cieszył się reputacją światowego humanitarysty, o którym Walter Cronkite powiedział, że jest „unikalnym pomostem pomiędzy komunizmem a kapitalizmem”[1022].

Gale poznał go w 1978 roku w ZSRR, gdzie udał się na konferencję medyczną na Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym, a poznali się bliżej dzięki inicjatywie Hammera dotyczącej poszukiwań leku na raka. Nie znał lepszej osoby, przez którą mógł zaoferować pomoc ofiarom Czarnobyli.

Znalazłszy Hammera w hotelu w Waszyngtonie, Gale wyjaśnił mu, jak ważny jest przeszczep szpiku w ratowaniu ofiar

wystawionych na promieniowanie. Jeszcze tego samego dnia Hammer w imieniu Gale'a wystosował list do Michaiła Gorbaczowa, który przetelegrafowano na Kreml. W czwartkowe popołudnie[1023] lekarz był już na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles z biletem w rękę – i w towarzystwie fotoreporterów – oczekując na lot do Moskwy.

Operatorzy elektrowni spotykali się w korytarzach Szpitala numer 6[1024] na papierosa, przy okazji rozmawiając o zagadce, która nie dawała im spokoju: co spowodowało wypadek w elektrowni, przez który tu się znaleźli? Oficerowie KGB i śledczy z prokuratury chodzili od sali do sali i prowadzili przesłuchania. Strażacy i operatorzy mogli zgadywać, ale nikt z nich nie wiedział, co spowodowało eksplozję. Nawet ci przeszkoleni w zakresie inżynierii jądrowej i fizyki reaktorów[1025] – jak Anatolij Diatłow, Aleksander Akimow, Leonid Toptunow i Sasza Juwczenko – nic z tego nie rozumieli.

– Jesteśmy otwarci na wszelkie sugestie – powiedział Diatłow młodemu technikowi, którym tamtej nocy wydawał polecenia. – Nie bójcie się wysuwać choćby najbardziej szalonych teorii.

Nawet gdy ich stan się pogorszył, nigdy nie dyskutowali, kto jest winien. Rodzice Leonida Toptunowa, który nacisnął guzik AZ-5, wywołując eksplozję, nie chcieli poruszać w jego obecności tematu wypadku. Jednak Wiera ostatecznie nabrała odwagi, żeby zapytać go wprost[1026].

– Linoczka – zwróciła się do syna. – Co się stało? Jak to się mogło stać?

– Mamo, zrobiłem wszystko, jak należy – odparł. – Zrobiłem wszystko zgodnie z przepisami.

Przerwał im lekarz, dając Wierze znać, by nie kłopotowała syna. Więcej nie wracali do tego tematu.

W czwartkowy poranek, 1 maja, Ludmiła Ignatienko została wezwana do gabinetu Andżeliny Guskowej znajdującego się na piątym piętrze szpitala, gdzie powiedziano jej, że jej mężowi potrzebny jest przeszczep szpiku[1027]. Wasilij Ignatienko, sierżant straży pożarnej w Prypeci i najbardziej wysportowany strażak w jednostce, wraz z porucznikiem Prawikiem walczyli z ogniem na dachu bloku numer 3. Trzeba było znaleźć dawcę szpiku w rodzinie, żeby uratować jego życie. Guskowa powiedziała, że jego najbliżsi są w drodze do Moskwy[1028].

Od awarii minęło sześć dni i kończył się okres latencji choroby popromiennej u najbardziej poszkodowanych pacjentów. Wasilij trafił pod kroplówkę i dostawał zastrzyki. Tego wieczoru zaskoczył Ludmiłę bukietem kwiatów, które pomogła mu przemyścić pielęgniarka, i razem patrzyli przez okno na pierwszomajowy pokaz fajerwerków. Ignatienko wciąż mógł stać, objął ją więc ramieniem. Jego stan pogorszył się jednak na tyle, że nie mógł wypić przyniesionego przez nią rosołu. Lekarze zalecali mu surowe jajka, ale ich też nie przyjmował.

Znalezienie dawców szpiku dla najbardziej poszkodowanych nie było łatwe: poziom białych krwinek spadał tak szybko, że trudno było przeprowadzić typowanie tkankowe. Dla tych bliskich, którzy okazali się odpowiednimi dawcami[1029], proces pobierania szpiku był drogą przez mękę. Jedną z pierwszych osób, które poddały się zabiegowi, była Wiera Toptunowa, która wówczas miała pięćdziesiąt lat. Lekarze podali jej znieczulenie ogólne, następnie wykonali dwa nacięcia na pośladkach i wbili się

w kość miednicy za pomocą piętnastocentymetrowych igieł, którymi pobierali szpik. Za jednym razem pobierali objętość łyżeczki do herbaty. Potrzeba było półtorej godziny na wykonanie dwustu wkłuć niezbędnych do wypełnienia zlewki ćwiercią litra czerwonaworóżowego płynu. Następnie technicy musieli usunąć tłuszcz i fragmenty kości, resztę umieścić w wirówce, a potem w pojemniku, z którego szpik podawano dożylnie jej synowi. Teraz pozostawało czekać, aż komórki szpiku wnikną do jego kości i zaczną produkować zdrowe białe krwinki.

Kiedy Wasilij Ignatienko usłyszał[1030], że najlepszym dawcą będzie jego młodsza siostra Natalia, odmówił wykonania zabiegu.

– Nie przyjmę szpiku od Natalii – powiedział. – Wolę umrzeć.

Nawet gdy żona wytłumaczyła mu, że nie spowoduje to u jego siostry żadnej trwałej szkody, Ignatienko oponował. Ostatecznie zabiegowi poddała się jego starsza siostra, Liuda.

Do końca tygodnia[1031] doktor Aleksander Baranow nadzorował przeprowadzenie trzech transplantacji u najbardziej poszkodowanych pacjentów, w tym Toptunowa i Akimowa. Trzech kolejnych pacjentów[1032] było tak wyniszczonych, że w ich ciele zabrakło leukocytów potrzebnych do wykonania testów. U nich radzieccy lekarze przeprowadzili nową, eksperymentalną metodę transplantacji, korzystając z komórek pobranych z wątroby martwych płodów. Taki zabieg dawał mniejsze szanse powodzenia[1033], ale Guskowa i jej ludzie wiedzieli, że nic innego nie da się zrobić – tym pacjentom już nic nie było w stanie pomóc.

Wyszły na jaw ograniczenia[1034] dozymetrii biologicznej. Początkowe obliczenia Guskowej wskazywały, że niektórzy

przyjęli niskie dawki promieniowania, mniejsze niż te, które chorzy na raka przyjmują podczas radioterapii. Analiza ta jednak wykazywała[1035] skutki promieniowania gamma na szpik kostny, a nie brała pod uwagę zniszczeń wynikłych przez wdychanie radioaktywnych dymu, kurzu i pary oraz wchłanianie radioaktywnych cząstek. Kiedy na ciałach pacjentów zaczęły pojawiać się oparzenia od cząstek beta, lekarze byli w szoku, jak bardzo są rozległe i poważne[1036]. Drugiego maja doktor Baranow ocenił, że dziesięciu spośród jego pacjentów nie wyjdzie ze szpitala żywych. Wkrótce musiał podnieść tę liczbę do trzydziestu siedmiu[1037].

Mimo to pacjenci i ich rodziny pokładali wielkie nadzieje w amerykańskim lekarzu, który wkrótce miał przybyć do szpitala wraz ze swoim osławionym doświadczeniem i zachodnimi lekami ratującymi życie[1038].

Robert Gale zameldował się w Hotelu Sowieckim[1039] nieopodal placu Czerwonego w piątkowy wieczór. Następnego dnia wstał wcześnie, założył koszulkę z napisem „USA” i wyszedł pobiegać po ulicach Moskwy. Podczas śniadania w hotelu spotkał się z Aleksandrem Baranowem. Wychudzony i łysy Baranow był pierwszym w Związku Radzieckim chirurgiem, który dokonał przeszczepu szpiku, z jego zmęczonej twarzy można było wyczytać, że widział agonię wielu pacjentów. Bardzo dużo palił, a popiół strzepywał na kawałki papieru, które po każdym skończonym papierosie upychał do śmietniczki. Po śniadaniu obaj udali się[1040] do Szpitala numer 6, gdzie Baranow przedstawił Gale’a Andżelinie Guskowej. Powitała go z serdecznością, ale czuła się zawiedziona, że ten amerykański chirurg o chłopięcym

wyglądzie przywiózł ze sobą jedynie małą teczkę zamiast drogiego zachodniego sprzętu, na jaki liczyła. Następnie Baranow zabrał go na siódme piętro, żeby obejrzał pacjentów[1041].

Znajdowała się tam izolatka[1042], w której pacjenci po przeszczepach dochodzili do siebie. Zanim nowe komórki zagnieżdżą się w organizmie i zaczną produkować krwinki – co może potrwać od dwóch tygodni do miesiąca – układ odpornościowy pacjenta nie funkcjonuje, co czyni go podatnym na krwotoki, infekcje, a nawet atak ze strony bakterii znajdujących się w jelitach. Wszystko to może okazać się śmiertelne.

W izolacie[1043] Gale zastał czterech pacjentów odciętych od świata w tak zwanych wyspach życia, czyli plastikowych bańkach, które stanowiły istotną linię obrony w walce o utrzymanie ich przy życiu, zanim komórki się przyjmą. Powietrze, którym oddychali pacjenci, było filtrowane i sterylizowane za pomocą światła ultrafioletowego. Żeby zmniejszyć ryzyko infekcji, dostęp do nich mieli jedynie przedstawiciele personelu, których ręce i ubrania zostały wysterylizowane, albo udzielający pomocy przez otwory z dopasowanymi do nich rękawicami. Jako że szpital dysponował znacznie mniejszą liczbą takich wysp, niż było potrzeba, należało je jakoś rozdzielić. Dla Gale'a, który nigdy wcześniej nie widział poparzeń cząstkami beta, czterech mężczyzn, których zbadał tego popołudnia, wyglądali na chorych, ale nie śmiertelnie chorych. Niedługo potem towarzyszył Baranowowi w swoim pierwszym zabiegu pobierania szpiku.

Po tym, jak otrzymał przeszczep od siostry, Wasilij Ignatienko został przeniesiony na siódme piętro do jednej z wysp życia. Lekarze próbowali powstrzymać jego żonę, ale Ludmiła i tak

dostała się do środka, żeby zwilżyć mu usta. Zamiast pielęgniarek odwiedzali go teraz żołnierze w rękawiczkach[1044], podając mu zastrzyki i kolejne dawki krwi oraz osocza. Ludmiła myślała, że nikt nie chce wchodzić do tego pomieszczenia w obawie przed zakażeniem. Niektórzy pracownicy szpitala, zwłaszcza ci młodszy, irracjonalnie bali się pacjentów przywiezionych z Czarnobyla i wierzyli, że choroba popromienna jest zaraźliwa[1045].

Ignatienko szybko doszedł do siebie po przeszczepie, ale jego ogólny stan nagle zaczął się pogarszać w zatrważającym tempie. Jego wygląd zmieniał się z minuty na minutę: skóra zmieniała kolor, ciało się rozdymało. Nie mógł zasnąć, podawano mu więc środki uspokajające, które przyjmował wraz z kilkunastoma innymi lekami każdego dnia. Włosy zaczęły mu wypadać[1046]. Wasilij wpadł we wściekłość.

– Co się dzieje? – pytał. – Mówili, że dojdę do siebie po dwóch tygodniach. Ile czasu już minęło?

Coraz trudniej było mu oddychać. Na jego ramionach skóra pękała, a nogi napuchły i stały się sine. W końcu środki przeciwbólowe przestały działać. W niedzielę, 4 maja, nie mógł stanąć o własnych siłach[1047].

Najciężej chorzy pacjenci ze Szpitala numer 6 byli atakowani przez chorobę jednocześnie z zewnątrz i od wewnątrz. Młodzi operatorzy i strażacy zapadali na infekcje, gdy tylko spadła im liczba białych krwinek. Na wargach i wewnątrz jamy ustnej pojawiały się grube i czarne wrzody opryszczki. Ich dziąsła pokryła kandydoza, a skóra z całego ciała schodziła, odsłaniając czerwony kolor surowego mięsa. Na ramionach, nogach i torsach, w miejscach, które zostały poparzone cząstkami beta, pojawiły się

bolesne wrzody[1048]. W przeciwieństwie do zwykłych oparzeń, które goją się wraz z upływem czasu, poparzenia radiacyjne dają o sobie znać coraz bardziej, przeżerając tkankę w miejscach, które zostały wystawione na działanie promieniowania. Mężczyźni utracili włosy na całym ciele, a ich skóra najpierw stała się czerwona, potem fioletowa, a ostatecznie brązowoczarna. Pociemniawszy, zaczęła odchodzić[1049].

Promienie gamma niszczyły jelita i płuca pacjentów. Anatolij Kurguz, który usiłował zamknąć śluzę do hali reaktora tuż po wybuchu i znalazł się w oparach pary oraz kurzu, miał w swoim ciele tyle cezu, że sam niebezpiecznie promieniował. Doznawał takich napadów hysterii, że specjalistka od poparzeń, doktor Andżelika Barabanowa, musiała się na nim położyć, żeby ciężarem własnego ciała powstrzymać go przed opuszczeniem łóżka. Promieniowanie w pokoju Kurguz stało się tak wysokie, że ordynatorka oddziału musiała przenieść się ze swoim gabinetem, który znajdował się tuż obok, do innej części szpitala. Parkiet na korytarzu przed salą był tak zanieczyszczony, że trzeba było go zdjąć i położyć nowy.

Aleksander Baranow i Robert Gale przeprowadzili czternaście przeszczepów szpiku w ciągu dwunastu dni[1050], a Armand Hammer i Sandoz Corporation zebrali leki i sprzęt warte setki tysięcy dolarów, które miały zostać przetransportowane do Moskwy drogą lotniczą. Gale otrzymał pozwolenie od radzieckich władz na sprowadzenie innych lekarzy z Nowego Jorku i Los Angeles. Lekarze zdawali sobie jednak sprawę, że większość ich wysiłków skazana jest na porażkę. Później Gale powiedział na

konferencji prasowej w Moskwie, że prawdopodobnie trzy czwarte pacjentów, którzy otrzymali przeszczep, umrze[1051].

Przeszczep szpiku od brata bliźniaka nic nie wskórał u Aleksandra Akimowa, który kilka godzin spędził bombardowany ze wszystkich stron promieniami gamma i brodził w skażonej wodzie. W sumie został wystawiony na promieniowanie 10 grejów, czyli 1000 remów, cząstki beta poparzyły niemal całe jego ciało, z wyjątkiem fragmentu skóry na wysokości bioder, który był grubym wojskowym pasem[1052]. Akimow otrzymał także dawkę dziesięciu grejów wprost do płuc, co wywołało ostre zapalenie. Temperatura jego ciała rosła. Jego wnętrzności rozkładały się i wyciekały w formie krwistej biegunki. Podczas jednej z wizyt jego żona Luba zauważyła, że wyjmuje sobie wąsy całymi kępkami.

– Nie przejmuj się – powiedział jej. – To nic nie boli[1053].

Akimow zdawał sobie sprawę, że może nie przeżyć, ale póki był w stanie mówić, opowiadał przyjaciołom[1054], że jeśli uda mu się wyjść, to chciałby dalej polować i zostać leśniczym. Luba wspomniała, że mogliby zamieszkać z dwoma synami nad rzeką, pilnować boi i czuwać nad nawigacją, jak robił to ojciec zastępcy głównego inżyniera Diatłowa. Niezależnie od przyszłości Akimow był pewien jednej rzeczy.

– Już nigdy nie wrócę do pracy w przemyśle jądrowym – powiedział. – Zrobię wszystko... Zacznę życie od zera, ale nigdy nie wrócę do reaktorów[1055].

Zanim Siergiej Jankowski[1056], główny śledczy kijowskiej prokuratury, dotarł do pokoju Akimowa, żeby go przesłuchać, ciało inżyniera było całe opuchnięte. Aleksander ledwie mógł mówić.

Lekarze dawali mało czasu na przesłuchania i żądali wyjaśnień, dlaczego Jankowski nęka umierającego człowieka. Powiedzieli, że Akimowowi zostało tylko kilka dni. Detektyw nadaremno próbował go przesłuchać.

Zanim wyszedł, Jankowski pochylił się nad łóżkiem inżyniera.

– Jeśli cokolwiek pamiętacie – powiedział – zapiszcie to.

Szóstego maja Akimow obchodził swoje trzydzieste trzecie urodziny. Wkrótce potem zapadł w śpiączkę[1057].

W piątek wieczorem, 9 maja – w dniu zwycięstwa Sowietów nad nazistami podczas II wojny światowej – pacjenci oglądali przez okna szpitala pokaz sztucznych ogni[1058]. Tym razem jednak nie odczuwali radości. Skóra Wasilija Ignatienki schodziła[1059]. Oprócz tego doznawał krwotoków, kaszlał i z trudem łapał powietrze. Z ust ciekła mu krew. Piotr Chmiel, który leżał sam w pokoju[1060], otrzymał pokrzepiającą kartkę od swojego przyjaciela, Prawika, dostarczoną przez jednego z lekarzy: „Wszystkiego najlepszego z okazji święta! Do zobaczenia wkrótce!”. Chmiel nie widział swojego starego kumpla z klasy, od kiedy przybyli do szpitala dwanaście dni wcześniej i nie miał pojęcia, gdzie leży. Ale odpisał mu, odwzajemniając pozdrowienia.

Następnego dnia pacjenci zaczęli umierać[1061]. Pierwszy był strażak z jednostki straży pożarnej w Czarnobylu, sierżant Władimir Tiszura, który wraz z Prawikiem wspiał się na dach kilka minut po eksplozji. Jedenastego maja poddali się Prawik i Kibenok, dowódca jednostki straży pożarnej w Prypeci. Do bliskich Prawika na Ukrainie dotarły groteskowe plotki[1062], że został tak bardzo napromieniowany, iż kolor jego oczu zmienił się

z brązowego na błękitny, a lekarze znaleźli pęcherze na jego sercu. Tego samego dnia Aleksander Akimow zmarł jako pierwszy z operatorów elektrowni. Skonał z otwartymi oczami. Jego skóra była czarna[1063].

Doktor Guskowa zabroniła kontaktów[1064] pomiędzy pacjentami, izolując ich w salach. Na zewnątrz kwitły drzewa i była piękna pogoda. Na ulicy Marszałka Nowikowa, po drugiej stronie ogrodzenia, Moskwa żyła swoim codziennym życiem. Ci, którym udało się przeżyć, leżeli całymi dniami podłączeni do kroplówek, a towarzyszyły im jedynie pielęgniarki. Wieści o kolejnych zgonach przyjaciół docierały do nich szeptem za sprawą bliskich i niepokojących odgłosów noszy na kółkach, przejeżdżających korytarzami szpitala.

Kiedy jego towarzyszy z bloku czwartego chowano na cmentarzu[1065], agonia Aleksandra Juwczenki dopiero się zaczynała. Tak jak ostrzegali lekarze, na jego ciele powoli zaczęły pojawiać się oparzenia. Początkowo na szyi wykwitły małe czerwone kropki. Następnie zmiany pokazały się na lewym ramieniu, biodrze i łydce, którymi opierał się o masywne drzwi w hali reaktora, gdzie emitujące promienie gamma oraz cząstki beta radionuklidy przesiąkły przez jego kombinezon.

Juwczenko został przeniesiony na oddział intensywnej terapii[1066]. Najciężej chorych trzymano tam w osobnych salach. W pomieszczeniu obok leżał jego szef, kierownik zmiany Walerij Pierewaczenko. Były marynarz przyjął ogromną dawkę promieni gamma, kiedy wszedł do hali reaktora i spojrzał na płonący rdzeń. Powstrzymał Juwczenkę przed zrobieniem tego samego, chroniąc go przed najgorszym promieniowaniem. Oparzenia Juwczenki

były jednak na tyle poważne, że jego skóra czerniała i odchodziła, odsłaniając różową, delikatną tkankę pod spodem. To, co początkowo na jego ramieniu wyglądało jak poparzenie słoneczne, teraz pokryło się pęcherzami i obumierało, zmieniając kolor na żółty, a promieniowanie przeżerało się aż do kości. Ból stał się nieznośny i pielęgniarki postanowiły podać morfinę. Lekarze rozważali amputację i ściągnęli specjalistyczny sprzęt z Leningradu, żeby ocenić, czy uda się ocalić ramię.

We wtorek[1067], 13 maja, Ludmiła Ignatienko wraz z Nadią Prawik i Tanią Kibenok, których mężowie zmarli dwa dni wcześniej, pojechała autobusem na cmentarz Mitino leżący na północno-zachodnich przedmieściach Moskwy. Patrzyła, jak ich ciała oddawano ziemi. By przygotować się do pogrzebu, Ludmiła opuściła szpital o dziewiątej rano. Poprosiła pielęgniarki, by powiedziały Wasilijowi, że poszła odpocząć. Gdy po południu wróciła do szpitala, okazało się, że jej mąż także zmarł. Jego ciało było tak napuchnięte, że przedsiębiorcom pogrzebowym nie udało się wcisnąć go w jego mundur. Młodego strażaka pochowano obok towarzyszy na cmentarzu Mitino w dwóch grubych plastikowych torbach, drewnianej trumnie i cynkowej skrzyni, niczym napromieniowaną matrioszkę.

Tego samego dnia poddał się Walerij Pierewaczenko. Natalia Juwczenko próbowała ukryć ten fakt przed swoim mężem, ale Aleksander słyszał, jak w sali obok ucichły dźwięki maszyn. Trzech kolejnych operatorów z bloku czwartego, w tym Leonid Toptunow, przy którym do końca byli jego rodzice, zmarło 14 maja. Jego ciało w dziewięćdziesięciu procentach pokryte było poparzeniami beta[1068], a płuca zniszczone promieniami

gamma. Późnym wieczorem obudził się, z trudem łapiąc oddech. Udusił się, zanim przyjął się przeszczep szpiku. Lekarze obliczyli, że wchłonął promieniowanie w wysokości 1300 remów, czyli ponadtrzykrotnie przekraczające dawkę śmiertelną. Wiktor Proskuriakow[1069], jeden ze stażystów, który wraz z Pierewaczenką oglądał płonący reaktor, całe ciało pokryte miał potwornymi poparzeniami, a zwłaszcza dłonie, którymi trzymał latarkę. Walczył jeszcze trzy dni, ale zmarł w nocy 17 maja.

Do końca trzeciego tygodnia maja liczba ofiar śmiertelnych sięgnęła dwudziestu. Aleksander Juwczenko był przerażony. Wypadły mu wszystkie włosy, a liczba białych krwinek spadła do zera. „Kiedy przyjdzie kolej na mnie?” – zastanawiał się[1070]. Przebywający samotnie w pomieszczeniach najbardziej poparzeni pacjenci bali się ciemności, więc w niektórych salach cały czas paliło się światło[1071].

Juwczenko jako dobry komunista nie był religijny i nie znał żadnych modlitw. Ale każdego wieczoru błagał Boga, żeby pozwolił mu przeżyć jeszcze jedną noc.

Likwidatorzy

W środę, 14 maja 1986 roku[1072], ponad dwa i pół tygodnia po eksplozji w bloku czwartym, Michaił Gorbaczow wystąpił w telewizji, po raz pierwszy odnosząc się do awarii. W serwisie informacyjnym *Wriemia* odczytał przygotowane oświadczenie, transmitowane jednocześnie przez CNN, przed dwustoma milionami telewidzów w trzynastu strefach czasowych[1073]. Najbardziej telegeniczny przywódca w historii Związku Radzieckiego był blady i wyglądał na zagubionego. Powiedział, że wypadek w Czarnobylu „mocno dotknął obywateli radzieckich i wzbudził obawy międzynarodowej społeczności”. Jego przemówienie, które momentami przybierało ton defensywny i często podszyte było gniewem, trwało dwadzieścia sześć minut[1074].

Gorbaczow potępił „góry kłamstw”[1075] na temat wypadku, szerzone przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników z NATO, nazywając je „wrogą” kampanią, która ma na celu odwrócenie uwagi od niepowodzenia wdrożenia przez nich jego propozycji nuklearnego rozbrojenia. Podziękował Robertowi Gale’owi i Hansowi Bliksowi, a także wyraził współczucie dla rodzin dotkniętych wypadkiem. „Radziecki rząd otoczy opieką rodziny tych, którzy zginęli, i tych, którzy ucierpieli”, powiedział. Zapewnił widzów, że najgorsze minęło, ale ostrzegł, że do zakończenia akcji jest jeszcze daleko. „Po raz pierwszy musieliśmy stawić czoła sytuacji, w której tak potężna siła jak energia

jądrowa wymknęła się spod ludzkiej kontroli [...]. Pracujemy całą dobę. Zmobilizowano całe zasoby ekonomiczne, techniczne i naukowe”.

Czterdzieści osiem godzin wcześniej[1076] radziecki minister obrony, Bohater Związku Radzieckiego marszałek Siergiej Sokołow przybył do Czarnobyla w towarzystwie starszych oficerów i przedstawicieli medycznych z jego ministerstwa. Od początku maja do trzydziestokilometrowej strefy napływały siły wojskowe[1077] wzmocnione specjalistami od promieniowania, żołnierzami chemicznymi i obroną cywilną. Młodzi mężczyźni w Kijowie, Mińsku i Tallinie zostali odwołani ze swoich miejsc pracy lub obudzeni w środku nocy, wydano im mundury, nakazano złożyć przysięgę i powiedziano, że powinni postępować, jakby byli na wojnie. Dopiero na miejscu dowiedzieli się, gdzie ich zabrano. Marszałek Sokołow[1078], który w 1979 roku wysłał wojska do Afganistanu, ponownie otrzymał zadanie poprowadzenia heroicznej kampanii na rzecz obrony ojczyzny, która zyskała oficjalną nazwę „Likwidacja skutków awarii w Czarnobylu”.

Korzystając z mocy scentralizowanego państwa i zasobów najliczniejszej armii na świecie, w akcie desperacji władze kierowały do Czarnobyla mężczyzn, kobiety i sprzęt ze wszystkich republik ZSRR[1079]. Ogromne samoloty transportowe Il-76 przemieszczały na swoich pokładach żołnierzy i ciężki sprzęt. Naukowcy, inżynierzy i inni pracownicy cywilni napływali z każdego miejsca, od Rygi po Władywostok. Porzucono biurokratyczne wytyczne, plany i finansowe priorytety. Wystarczył jeden telefon, żeby z każdego zakątka ZSRR wyruszył

transport potrzebnych zasobów: ekspertów od tuneli i arkuszy ołowiu z Kazachstanu, zgrzewarek punktowych z Leningradu, bloków grafitowych z Czelabińska, sieci rybackich z Murmańska, 325 podwodnych pomp i 30 000 bawełnianych kombinezonów z Mołdawii.

Ducha patriotycznej masowej mobilizacji[1080] podsycaly pierwsze szczegółowe artykuły o wypadku pojawiające się w radzieckiej prasie, gdyż kremłowski eksperci od propagandy w końcu ustalili, jak podejść do tematu. „Izwestia” i „Prawda” opublikowały budzące podziw szczegółowe opisy bohaterskich poświęceń strażaków walczących z płomieniami, a także portrety górników i pracowników metra, drążących tunele pod ruinami. Chociaż w artykułach tych pojawiały się przebłyski głośności – szczerze opisy konsekwencji promieniowania i relacje ze Szpitala numer 6 – ich jawność była ograniczona. Nie było mowy o wspomnianiu o chaosie, niekompetencji i braku środków ostrożności. Wynikało z nich, że każdy ze strażaków ofiarnie stawiał czoła niebezpieczeństwu, w pełni świadomy ryzyka, gotowy zająć miejsce w panteonie radzieckich bohaterów. Nie wyjaśniano powodów awarii. Zapewniano też, że niebezpieczeństwo wkrótce minie. Według tygodnika „Literaturna Ukraina” atom „chwilowo wymknął się spod kontroli”, ale radzieccy naukowcy „panują nad wszystkim, co dzieje się wewnątrz i wokół reaktora”[1081]. Magazyn zapewniał, że mieszkańcy ewakuowanych terenów będą mogli wrócić do domów, gdy tylko zakończą się prace związane z odkażaniem[1082].

Pierwsza akcja sprzątnięcia[1083] ruszyła w samej elektrowni, jeszcze zanim udało się opanować wyciek promieniowania

z dymiących ruin reaktora czwartego. Skażony teren został podzielony na trzy okręgi: zewnętrzny krąg o promieniu trzydziestu kilometrów, środkowy krąg o promieniu dziesięciu kilometrów i najmniejszy z nich, otaczający bezpośrednio elektrownię, w którym skażenie było najbardziej toksyczne, zwany Strefą Specjalną. Praca spadła na barki wojskowych inżynierów i żołnierzy wojsk chemicznych oraz pracowników obrony cywilnej. Wielu z nich było młodymi ludźmi z poboru, pod dowództwem Radzieckiego Sztabu Generalnego. Panował chaos.

Nie powstały żadne plany[1084] – ani cywilne, ani wojskowe – dotyczące tego, jak sobie radzić ze skutkami wypadku jądrowego na taką skalę. Nawet w połowie maja brakowało specjalistów mogących nadzorować improwizowaną operację, nie można było też dojść do porozumienia odnośnie do maksymalnej dawki promieniowania, jaką pracownicy mogli bezpiecznie przyjąć. Lekarze z marynarki wojennej, którzy doświadczenia nabierali w praktyce, mając do czynienia z wypadkami na jądrowych łodziach podwodnych, nalegali na ustalenie granicy w wysokości 25 remów. Ale Ministerstwo Zdrowia i dowódca wojsk chemicznych, generał Władimir Pikałow, chcieli, by była ona dwa razy większa – 50 remów – czyli wynosiła tyle, ile dawka dla żołnierzy w trakcie wojny. Po trzech tygodniach udało się w końcu uzgodnić, że odpowiednia jest niższa z wymienionych dawek, ale do tego momentu wielu mężczyzn zostało wystawionych na większe promieniowanie. I nawet wtedy trudno było kontrolować dawkę 25 remów, gdyż wielu dowódców celowo ją przekraczało.

Cywilni specjaliści jądrowi, którzy przybyli z innych elektrowni atomowych z całego Związku Radzieckiego, byli

przerażeni brakiem zorganizowania[1085]. Na miejscu było zbyt mało wyszkolonych dozymetrystów, którzy mogli prawidłowo mierzyć promieniowanie. Nie przeprowadzono dokładnych badań okolicy, a ilość radionuklidów wyrzucanych przez reaktor ciągle się zmieniała, praktycznie uniemożliwiając uzyskanie wiarygodnych informacji na temat promieniowania[1086]. Ciągłe brakowało dozymetrów[1087]. Pluton trzydziestu żołnierzy nierzadko musiał korzystać z jednego urządzenia, więc dawkę przyjętą przez żołnierza, który go miał przy sobie, przypisywano po równo pozostałym, niezależnie od tego, gdzie byli ani jaką pracę wykonywali.

Zadanie posprzątania największych i najbardziej radioaktywnych odłamków w okolicy reaktora przypadło żołnierzom w wielkich pojazdach wojskowych IMR-2. Te gaśnicowe pojazdy zostały zaprojektowane do oczyszczania pól minowych lub skażeń po ataku jądrowym i wyposażone były w spychacze oraz teleskopowe żurawie w miejscu dział, a także hydrauliczne kleszcze na tyle duże, że mogły unieść powalone słupy telefoniczne lub drzewa. Żeby zminimalizować działanie promieniowania, kabiny kierowców zostały wyłożone ołowiem, a każdy z nich mógł pracować tylko przez kilka minut. Jedna z pierwszych maszyn, która wjechała na teren otaczający ruiny reaktora, szybko wpadła w tarapaty. Przez wąski opancerzony wizjer kierowca miał słabą widoczność i zaklinował się w ruinach. Dowódca nie mógł połączyć się z nim przez radio, a czas uciekał. Ostatecznie podjechał w opancerzonym pojeździe, wychylił się przez otwór i krzycząc, pokierował podwładnego tak, że ten wyjechał z niebezpiecznej strefy. Żołnierz został uratowany, ale ta

krótka chwila bez osłony okazała się zgubna dla pułkownika, który następnego dnia został wysłany do szpitala z objawami choroby popromiennej[1088].

Przed 4 maja do Czarnobyla dotarły dwa ogromne, zdalnie sterowane buldożery – jeden zbudowany w Czelabińsku, a drugi przywieziony z Finlandii – które miały usunąć radioaktywne gruzy i glebę wokół bloku czwartego. Teren ten był najbardziej śmiertelną częścią Strefy Specjalnej, promieniowanie gamma z gruzów północnej ściany reaktora sięgało tysięcy rentgenów na godzinę. Człowiek bez żadnej osłony mógłby tam spędzić tylko kilka sekund. Zdalnie sterowane jednostki pokryto ołowiem i rozpoczęto operację. Operatorzy kierowali nimi ze względnie bezpiecznej odległości kilkuset metrów z osłoniętego pojazdu. Sychano nimi rozrzucone fragmenty paliwa w kierunku bloku czwartego. Zagraniczna maszyna jednak szybko się poddała, nie potrafiła bowiem wjechać po stromej skarpie radioaktywnych szczątków, a jej dziewiętnastotonowy radziecki odpowiednik pracował niewiele dłużej, zanim zatrzymał się w cieniu reaktora i nie dało się go ponownie uruchomić[1089]. We wrześniu kilka żółtych porzuconych maszyn można było znaleźć na pobliskim polu[1090].

Ministerstwo Energetyki pilnie poszukiwało za granicą sprzętu zdalnie sterowanego, a grupa operacyjna Politbiura premiera Ryzkowa planowała przykryć reaktor lateksową płachtą. Natomiast z górą radioaktywnych gruzów przy północnej ścianie członkowie radzieckiej komisji rządowej zamierzali sobie poradzić, zalewając ją betonem[1091]. Ekipy budowlane Ministerstwa Energetyki zaczęły pompować rzadką szarą zaprawę przez rurę

długości ośmiuset metrów[1092]. Ta, wylana na porozrzucane w wyniku eksplozji kasety paliwowe, zaczęła się gotować i w powietrze wystrzeliły gejzery radioaktywnego cementu. Tymczasem rezerwiści obrony cywilnej z Batalionu Specjalnego 731[1093] własnymi rękami zaczęli usuwać górną warstwę gleby wokół reaktora. Podczas gdy pozostali żołnierze poruszali się po strefie w opancerzonych pojazdach, oni pracowali w zwykłych mundurach i bawełnianych maseczkach. Pobierali ziemię z pobliza ścian reaktora za pomocą łopat i umieszczali ją w metalowych pojemnikach, które miały zostać zakopane w częściowo już ukończonych składowiskach odpadów na potrzeby budowanych bloków piątego i szóstego. Jedna zmiana trwała piętnaście minut, ale było gorąco, a promieniowanie nie zna litości. Mundurowych szybko zaczęły boleć gardła, mieli zawroty głowy i czuli ciągłe pragnienie. Niektórym leciała krew z nosa, inni wymiotowali[1094]. Żeby posprzątać fragmenty grafitu leżące przy bloku trzecim, wezwano żołnierzy wojsk chemicznych, którzy podjechali ciężarówką i zaczęli je podnosić własnymi rękami[1095].

Taka praca wystawiała likwidatorów[1096] na maksymalną dozwoloną roczną dawkę promieniowania w zaledwie kilka sekund. W najbardziej napromieniowanych miejscach Strefy Specjalnej zadanie, które gdzie indziej mogło zostać ukończone przez jednego człowieka w ciągu godziny, tutaj wymagało pracy trzydziestu mężczyzn, tak by każdy pracował tylko po dwie minuty. Nowe rozporządzenia mówiły, że gdy ktoś osiągnie granicę wystawienia na promieniowanie 25 remów, powinien zostać usunięty ze strefy i nigdy do niej nie wracać. Każde

zadanie trzeba było rozważać nie tylko pod względem czasu, ale też pod względem liczby osób, które zostaną „spalone” w trakcie jego wykonywania. Niektórzy dowódcy ostatecznie doszli do wniosku, że lepiej korzystać z tych mężczyzn, którzy już osiągnęli limit, niż wysyłać do strefy nowych żołnierzy.

Tymczasem pod ziemią nabierała tempa walka z chińskim syndromem[1097]. Fizyk jądrowy Wieniamin Prianisznikow, który bezpiecznie ewakuował kolejną swoją rodzinę z Prypeci, wrócił do elektrowni na początku maja i odkrył, że wszystko w jego biurze pokryte było grubym na dwa centymetry radioaktywnym popiołem. Szesnastego maja dostał rozkaz zmierzenia temperatury i promieniowania bezpośrednio pod reaktorem, co mogło pomóc w ocenie szybkości przetapiania się rdzenia przez betonowe podłoże. Naukowcy podejrzewali, że paliwo jądrowe stopniowo się studzi, ale jego temperatura wciąż wynosiła 600 stopni Celsjusza[1098]. Zadaniem Prianisznikowa i jego ludzi było zebranie szczegółowych informacji na temat tego, czy stopione korium wciąż się przemieszcza i czy nadal występuje ryzyko zanieczyszczenia wód Prypeci i Dniepru.

Korzystając z palnika plazmowego zasilanego gigantycznym transformatorem sprowadzonym z Moskwy, żołnierze przez osiemnaście godzin przebijali się przez gruby beton do przestrzeni pod reaktorem[1099]. Prianisznikow szacował, że w mrocznym pomieszczeniu z setkami ton stopionego paliwa jądrowego nad głową promieniowanie będzie wynosiło tysiące rentgenów na godzinę, co oznacza, że będzie miał pięć lub sześć sekund na wykonanie zadania. Minuta byłaby samobójstwem. Ubrał się lekko, w bawełniany kombinezon i maskę, a jego jedynym orężem

w walce z promieniami gamma miał być czas. Kiedy jednak przecisnął się przez dziurę z miernikami promieniowania i temperatury, jego dozymetr zawiódł i zadanie zajęło mu znacznie więcej czasu, niż podejrzewał. Gdy kończył rozstawianie sprzętu, poczuł, że sypie mu się na głowę jakiś proszek. Przerażony Priansznikow jak najszybciej wy dostał się z zaciemnionej piwnicy, rozdzierając przy tym ubranie. Nagi przebiegł kilometrowej długości trasę do bloku administracyjnego, roztrącając na boki zaskoczonych żołnierzy. Dopiero na miejscu przekonał się, że substancją, która sypała się na jego głowę, nie było paliwo nuklearne, tylko zwykły piasek. W ciągu tych kilku chwil spędzonych pod reaktorem przyjął w sumie dawkę niespełna 20 remów.

Tymczasem około czterystu górników z zagłębi węglowych w Moskwie i Donbasie pracowało nad projektem ogromnego wymiennika ciepła, który naukowcy planowali zainstalować pod reaktorem numer 4[1100]. Termin wyznaczony przez komisję rządową wydawał się nierealny[1101]: całość miała zostać zaprojektowana, zbudowana, przetestowana i gotowa w niewiele ponad miesiąc. Górnicy zaczęli drążyć tunel[1102] około stu trzydziestu metrów od celu w pobliżu ściany bloku trzeciego i pracowali całą dobę w trzygodzinnych zmianach. Tunel miał średnicę 1,8 metra i było w nim gorąco, ale gleba chroniła ich przed najgorszym promieniowaniem, które panowało na powierzchni. Pod ziemią nie wolno im było palić, więc wychodzili na zewnątrz na papierosa lub napić się wody, gdzie zewsząd bombardowały ich promienie gamma. Kopali za pomocą kilofów i wiertel pneumatycznych[1103], a urobek wywozili niewielkimi

wózkami. Wkrótce dotarli do fundamentów reaktora, gdzie zaczęli kopać komorę o rozmiarach trzydziestu metrów kwadratowych, w której miał zmieścić się wymiennik ciepła. Nad głowami mieli betonowe fundamenty obudowy reaktora, które były ciepłe w dotyku. Projektanci ze Średmaszu wciąż ich ostrzegali, że najmniejsze odstępstwa od projektu mogą sprawić, że cała konstrukcja reaktora zawali im się na głowy, natychmiast zasypując ich w masowej mogile.

Po zakończeniu budowy komory wkroczyli inżynierowie Średmaszu, by zainstalować zbudowany w Moskwie wymiennik ciepła, dostarczony w częściach mogących pomieścić się w tunelu. Warunki pod ziemią stały się jeszcze bardziej piekielne[1104]. Spawanie części w wąskim, słabo wentylowanym pomieszczeniu powodowało gromadzenie się toksycznych gazów. Ludzie zaczęli się dusić i omdlewać. Czterdziestokilogramowe bloki grafitowe stanowiące część instalacji podawane były z ręki do ręki przez całą długość tunelu przez nastoletnich poborowych. Temperatura w tunelu sięgała 60 stopni Celsjusza, mężczyźni pracowali półnaczy, a pod koniec każdej zmiany byli tak wyczerpani, że trzeba ich było wyciągać z tunelu[1105].

Ostateczny montaż rozpoczął się w czerwcu pod kierownictwem Wiaczesława Garanichina, wyniosłego brygadzisty Średmaszu ze zmierzwionymi włosami i potarganą brodą, który w pewnym momencie wkroczył do tunelu, wymachując gniewnie siekierą w stronę pracowników[1106]. Zanim jednak projekt udało się zakończyć 24 czerwca, odczyty temperatury prowadzone przez Prianisznikowa spadły i ryzyko wystąpienia chińskiego syndromu minęło. Wymiennik ciepła, na który składała się

misterna sieć rur z nierdzewnej stali, dziesięć kilometrów kabli i dwieście ogniw termoelektrycznych oraz czujników temperatury, spoczął w betonowej studni pomiędzy warstwami grafitowych bloków. Przez kilka tygodni pracowały nad nim w pocie czoła setki górników, żołnierzy, budowniczych, elektryków i inżynierów, ale nigdy nie został uruchomiony[1107].

Pod koniec maja generał Walentin Warennikow został wezwany z Kabulu, gdzie kierował ruchami wojsk w przedłużającej się wojnie w Afganistanie. Dostał rozkaz objęcia dowództwa nad sprzątaniami skutków eksplozji w Czarnobylu[1108]. Przybywszy na miejsce, zorientował się, że w strefie pracuje ponad dziesięć tysięcy żołnierzy chemicznych, a także setki robotników powołanych przez Ministerstwo Energetyki[1109]. Ale to było za mało. W Politbiurze zdano sobie sprawę, że jeśli młodych ukraińskich poborowych, wśród których i tak panowała plaga alkoholizmu oraz narkomanii, dalej będzie się wysyłało do strefy wysokiego promieniowania, to zagrożone zostanie zdrowie całego pokolenia, czyniąc Związek Radziecki niezdolnym do obrony w wypadku ataku z Zachodu[1110]. Dwudziestego dziewiątego maja Politbiuro i Rada Ministrów ZSRR wydały dekret niespotykany w czasach pokoju[1111]: w ramach sześciomiesięcznej mobilizacji powołano setki tysięcy rezerwistów w wieku od dwudziestu czterech do pięćdziesięciu lat. Powiedziano im, że wysyła się ich na specjalne ćwiczenia wojskowe[1112]. Wielu dowiedziało się prawdy, dopiero gdy przywdziało mundury. Na początku lipca[1113] ponad czterdzieści tysięcy z nich zostało zakwaterowanych w namiotach na peryferiach Strefy Wykluczenia i każdego ranka wwożono ich

w odkrytych ciężarówkach do Strefy Specjalnej. Podróż była długa i gorąca. Ciężarówki sunęły po nowo wylanych asfaltowych drogach, połyskujących w słońcu od wody, którą zostały spryskane, żeby nie wzbijał się z nich kurz. Drzewa i pola ogrodzono sklejkowymi barierkami, na których umieszczono ostrzeżenia: „Nie zatrzymywać się – skażenie”[1114].

Niestety, długie kolumny pędzących ciężarówek i wirniki lądujących helikopterów i tak wzbijały radioaktywny kurz w powietrze[1115]. Niesione przez wiatr mikroskopijne, liczące po kilka mikronów cząstki, przemieszczały się z niezwykłą łatwością, opadając w pobliżu albo spadając z deszczem nawet setki kilometrów dalej. Fizycy z Ukraińskiej Akademii Nauk pobrali próbki powietrza ze strefy, wykorzystując do tego celu zwykłą gazę i odkurzacze i obliczyli, że przelot jednego helikoptera powoduje wzrost promieniowania nawet o tysiąc razy. Kurz pokrywał sprzęt, meble, dokumenty w biurach, osadzał się na włosach, w płucach i żołądkach tych, którzy tam pracowali. „Gorące”, niemal niewidoczne cząsteczki paliwa wyrzuconego z rdzenia mogły wewnątrz ciała poczynić znacznie większe szkody niż na zewnątrz: jeden mikrogram plutonu mógł bombardować tkanki miękkie przełyku lub płuc z siłą tysiąc radów promieniowania alfa, czego skutki były śmiertelne. Likwidatorzy nosili czapki i maski, starali się pić wodę tylko ze szczelnie zamkniętych butelek. Ci, którzy rozumieli zagrożenie[1116], wkrótce wyrobili sobie podświadomy nawyk usuwania najmniejszych drobinek kurzu z ubrań i blatów, poddając się w ten sposób ciągłej osobistej dekontaminacji. Inni jednak nie byli świadomi niewidocznego zagrożenia wokół[1117]: obnażeni do

pasa żołnierze kładli się w słońcu w pobliżu reaktora i palili papierosy. Grupa oficerów KGB zjawiała się w strefie incognito, w przebraniach czołgistów, mając przy sobie drogie japońskie dozymetry, ale nie potrafiła włączyć tych urządzeń. Jedynie truchła wron, które zbyt długo zabawiły w pobliżu reaktora i teraz napromieniowane zaśmiecały teren wokół, przypominały o cenie ignorancji[1118].

Codziennie w całej strefie oraz poza nią żołnierze w helikopterach, samolotach, opancerzonych pojazdach i pieszo, ubrani w gumowe płaszcze oraz maski, prowadzili badania promieniowania[1119]. Wykazały one, że skażenie rozprzestrzeniło się daleko poza Ukrainę, Białoruś i Rosję. Smuga dymu z reaktora czwartego rzucała się cieniem nie tylko na miasta Prypeć oraz Czarnobyl, ale też na kolchozy, zakłady przemysłowe, miasteczka, wioski, lasy i wielkie połacie ziemi uprawnej. Duże skażenie dotarło do północnych i zachodnich granic trzydziestokilometrowej strefy, ale radioaktywny opad, w skład którego wchodziło dwadzieścia jeden różnych radionuklidów powstałych w reaktorze czwartym – w tym stront 89, stront 90, neptun 239, cez 134, cez 137 i pluton 239 – tworzył strefy wysokiego skażenia rozsiane niczym cętki leoparda nawet trzysta kilometrów od elektrowni. Zagrożenie radiacyjne dla ludności było dwojakie[1120]: zewnętrzne od promieniotwórczych cząstek w kurzu i wewnętrzne od radioizotopów zatruwających żywność poprzez glebę, łąki i zwierzęta hodowlane. Pod koniec maja niebezpiecznemu skażeniu uległ teren wielkości pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych – większy niż Delaware. Wietrzna pogoda[1121] tylko pogarszała sprawę, nawiewając

radioaktywny kurz na tereny dopiero co oczyszczone przez żołnierzy, czyniąc proces dekontaminacji praktycznie bezcelowym.

Pracę oczyszczania[1122] dużych połaci terenu utrudniała nie tylko pogoda i ogromna skala przedsięwzięcia, ale też zróżnicowana topografia i dostępne materiały. Radioaktywne aerozole wsiąkały w cement, asfalt, metal i drewno. W zasięgu niebezpiecznej chmury, która dniami i tygodniami przemieszczała się po okolicy, znalazły się budynki, warsztaty, ogrody, krzewy, drzewa i jeziora. Wszystkie dachy, ściany, pola uprawne, maszyny i lasy trzeba było albo dokładnie wyczyścić, albo wyciąć, zburzyć i zagrzebać. Słowo „likwidacja”[1123] było niczym więcej jak wojskowym eufemizmem. Radionuklidów nie dało się rozbić ani zniszczyć – można było je jedynie przenieść w inne miejsce lub zakopać, najlepiej w takim miejscu, w którym długi proces rozkładu nie stanowił dużego zagrożenia dla środowiska.

Skala przedsięwzięcia nie знаła precedensów w historii ludzkości i nikt w ZSRR – ani na całym świecie[1124] – nie był na coś takiego przygotowany. Nie potrafił tego zrozumieć radziecki system, który miał absurdalne oczekiwania. Kiedy generał Pikałow, dowódca wojsk chemicznych, złożył wstępny raport ze Strefy Wykluczenia przed inspekcją przedstawicieli OPAS-u, powiedział, że dekontaminacja może potrwać nawet siedem lat. Jegor Ligaczow, twardogłowy członek Politbiura, usłyszawszy to, wpadł we wściekłość. Powiedział Pikałowowi, że ma najwyżej siedem miesięcy.

– A jeśli nie wyrobicie się w tym czasie, to odbierzemy wam legitymację partyjną!

– Z całym szacunkiem, Jegorze Kuźmiczu – odparł generał – ale w takiej sytuacji nie musicie czekać siedmiu miesięcy na moją legitymację. Możecie zabrać ją już teraz[1125].

Po powrocie do Moskwy[1126] grupa operacyjna Politbiura stanęła przed kolejnym zadaniem: jak trwale odizolować resztki reaktora czwartego od środowiska? Skoro wreszcie udało się ugasić pożar grafitu i odsunąć ryzyko wystąpienia chińskiego syndromu, teraz najważniejsze było powstrzymanie dalszej emisji promieniowania do atmosfery, a także ponowne uruchomienie pozostałych trzech reaktorów najszybciej, jak to możliwe. Produkowana przez nie elektryczność może nie była kluczowa dla radzieckiego przemysłu, ale przywrócenie ich do użytku pokazałoby siłę socjalistycznego państwa i udowodniło obywatelom, że panuje ono nad energią jądrową. A można je było uruchomić dopiero po odizolowaniu ruin reaktora czwartego. Miało się tym zająć Ministerstwo Energetyki, ale konstruktorzy szybko zostali przytłoczeni rozmiarem zadania[1127] i 12 maja po prostu się poddali.

Sekretarz generalny Gorbaczow był jednak zdeterminowany, by rozwiązać ten problem najszybciej, jak to możliwe. Powiedział, że Związek Radziecki jako pierwszy wybudował elektrownię jądrową[1128] i teraz jako pierwszy musi wybudować dla niej grobowiec. Pora było wezwać ekspertów, którzy dawali z siebie wszystko, żeby wytyczyć zasady konstrukcji radzieckich reaktorów, czyli specjalistów z Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich. Przewodniczący Średmaszu, Jefim Sławski, przybył do Kijowa następnego dnia[1129] na pokładzie prywatnego tupolewa

Tu-104 w towarzystwie dziesięciu osób, a następnie obejrzał ruiny reaktora z helikoptera.

– Co za bajzel – ocenił rumowisko z powietrza.

Jego ekipa była przerażona tym, co zobaczyła. Sytuacja prezentowała się znacznie gorzej, niż sugerowały oficjalne raporty. Z krateru reaktora, który był teraz niczym uśpiony wulkan mogący obudzić się w każdej chwili, wciąż unosił się dym. Było jasne, że każdy, kto podejmie się pracy w ruinach bloku czwartego, będzie przebywał w najbardziej wrogich warunkach znanych ludzkości. Poziom promieniowania był niewyobrażalny, miejsce pracy zbyt niebezpieczne do przeprowadzenia badań, a termin niewykonalny, gdyż Gorbaczow powiedział Sławskiemu, że chce przykryć reaktor do końca roku. Było jasne, że nie obejdzie się bez ofiar śmiertelnych. Liczący ponad osiemdziesiąt lat minister energii jądrowej zwrócił się do swoich ludzi:

– Towarzysze, będziecie musieli podjąć ryzyko[1130].

Następnego popołudnia[1131], w wywiadzie wyemitowanym w Centralnoje Telewidenije CCCP, przewodniczący rządowej komisji Iwan Silajew nakreślił plany stworzenia ostatecznego miejsca spoczynku reaktora: powstanie grobowiec, w którym jego ruiny zostaną złożone na zawsze. Wyjaśnił, że będzie to „ogromny kontener, który umożliwi pochowanie wszystkiego, co pozostało po tym... całym wypadku”. Budynek miał być ogromny i przetrwać co najmniej sto lat. Silajew przed kamerami wyjawiał jego nawiązującą do starożytnej historii nazwę: Sarkofag.

Radziecki rząd oficjalnie zapewniał obywateli[1132], że sytuacja została opanowana i że promieniowanie nie stanowi już długofalowego zagrożenia. Ale na tajnych naradach[1133] na

Kremlu członkowie OPAS-u dowiedzieli się, że katastrofa dotknęła bezpośrednio bardzo dużą liczbę osób. W sobotę, 10 maja, Ryzkow dowiedział się, że w jej wyniku do szpitali trafiło prawie dziewięć i pół tysiąca osób, a co najmniej cztery tysiące w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Ponad połowa z nich to dzieci, a u dwudziestu sześciu zdiagnozowano chorobę popromienną. Poziom promieniowania w czterech zachodnich obwodach Rosji rósł i Departament Hydrometeorologii ZSRR, mając nadzieję na zapobieżenie ewentualnym radioaktywnym opadom na miasto, zlecił wykonanie nad Kijowem lotów samolotami rozsiewającymi cząsteczki rozpraszające chmury.

Premier ZSRR wydał nowe instrukcje, jak uchronić Moskwę przed szerzącym się zagrożeniem. Żołnierze obrony cywilnej[1134] rozstawili blokady na głównych drogach wiodących do Moskwy i sprawdzali promieniowanie każdego pojazdu. Tworzyły się wielogodzinne korki, a sfrustrowani kierowcy gotowali się w nieznośnym upale. Podróżni przybywający z Białorusi i Ukrainy poddawani byli kwarantannie i dekontaminacji. Ryzkow nakazał także wstrzymanie dostaw mięsa, wyrobów mlecznych, owoców i warzyw ze skażonych terenów.

Tymczasem w Kijowie ukraiński rząd utworzył własną grupę zadaniową mającą na celu nadzorowanie oczyszczania miast i wiosek w trzydziestokilometrowej strefie i podjął środki mające ochronić przed skażeniem ludność na sąsiadujących terenach. Dwunastego maja[1135] zakazano łowienia ryb, pływania, a także prania ubrań, mycia zwierząt i samochodów w rzekach i stawach pięciu obwodów aż do stu dwudziestu kilometrów na południe od elektrowni.

Na każdym wjeździe do Kijowa[1136] milicja rozstawiła punkty, w których myto i dekontaminowano wszystkie pojazdy wjeżdżające do miasta. Cysterny wylewały na ulice i chodniki tysiące litrów wody, a żołnierze spryskiwali mury i drzewa, żeby zmyć radioaktywny kurz. Ukraińscy przywódcy, bojąc się paniki i reakcji Moskwy, wciąż nie podjęli decyzji w sprawie ewakuacji dzieci z miasta.

Wiodący specjaliści od radioterapii i meteorologii na Kremlu[1137] – Leonid Iljin i Jurij Izrael – unikali poruszania tematu długofalowych skutków napromieniowania. Wezwani z Czarnobyla na pilne spotkanie z grupą zadaniową ukraińskiego rządu eksperci stwierdzili, że reaktor został przykryty, a radioaktywna emisja ograniczona. Wkrótce zredukuje się do zera. Zapewniali, że aktualny poziom promieniowania nie uzasadnia ewakuacji, i zalecili, by republika jedynie informowała mieszkańców o podejmowanych krokach mających na celu opanowanie kryzysu. Ukraińscy przywódcy podejrzewali jednak – słusznie czy nie – że Iljin i Izrael nie chcą brać na siebie odpowiedzialności za ewakuację. Podczas specjalnej, nocnej sesji ukraińskiego Politbiura Włodimir Szczerbicki nakazał dwóm naukowcom sporządzić pisemną opinię, a następnie zamknął ten dokument w sejfie i zlekceważył ich zdanie.

Tej samej nocy Szczerbicki samodzielnie zdecydował, żeby wszystkie dzieci z Kijowa, od przedszkolaków do siódmoklasistów, a także te przesiedlone z Prypeci i Czarnobyla, zostały ewakuowane na wschód na co najmniej dwa miesiące. Następnego wieczoru ukraiński minister zdrowia Romanenko ponownie pojawił się w telewizji[1138], by zapewnić widzów, że poziom

promieniowania w republice pozostaje w normie. Jednocześnie zalecił, żeby dzieci na zewnątrz bawiły się krótko i nie grały w piłkę, co może wzbijać kurz. Dorośli codziennie powinni brać prysznic i myć włosy. Dodał, że rok szkolny zakończy się dwa tygodnie wcześniej „w trosce o zdrowie dzieci w Kijowie i w obwodzie”.

Ewakuacja rozpoczęła się pięć dni później[1139] i objęła 363 tysiące dzieci, a także dziesiątki tysięcy kobiet w ciąży i karmiących matek. W sumie ewakuowano pół miliona ludzi, czyli jedną piątą ludności Kijowa. Skala tego przedsięwzięcia sprawiała, że ewakuacja trzydziestokilometrowej strefy była przy nim bułką z masłem. Panowała atmosfera paniki. Z Kijowa co dwie godziny wahadłowo odjeżdżały trzydzieści trzy specjalne pociągi, na peronach gromadziły się tłumy uczniów z papierowymi tabliczkami przypiętymi do koszul, w razie gdyby się zgubili. Dla tych, którzy nie mogli wyjechać pociągiem, podstawiono dodatkowe samoloty. Kobiety i dzieci masowo napływały do obozów dla pionierów i sanatoriów na Ukrainie. Tymczasem wczasowicze z okolic Kaukazu dowiedzieli się, że ich wakacje zostały anulowane, a na ich miejscach w domach wczasowych od Odessy po Azerbejdżan zakwaterowano tymczasowych uchodźców. Trzy dni później w Kijowie nie było już żadnych dzieci i nikt nie wiedział, kiedy będą mogły powrócić.

Dwudziestego drugiego maja Szczerbicki podpisał partyjny raport[1140] opisujący, jak republika radzi sobie z awarią. Pomimo wielu błędów i niedbalstwa – szczególnie opóźnień w ustalaniu norm napromieniowania ludności – udało się ewakuować 90 tysięcy osób z ukraińskiej części Strefy

Wykluczenia, wszystkim przydzielono zakwaterowanie i ponad 90 procent z nich wróciło do pracy. Wypłacono im rekompensatę w wysokości 200 rubli na osobę, co wyniosło w sumie 10,3 miliona rubli. Spośród 9000 mężczyzn, kobiet i dzieci, które trafiły do szpitala na obserwację, u 161 zdiagnozowano chorobę popromienną, w tym u 5 dzieci i 49 żołnierzy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W sumie 26 900 dzieci zostało wysłanych do obozów dla pionierów w innych częściach Związku Radzieckiego, a karmiące kobiety zostały umieszczone w sanatoriach w obwodzie kijowskim.

Pomimo pozornej troski o obywateli[1141] została odsłonięta też mroczna część rosyjskiej historii. Dzień wcześniej ukraiński minister zdrowia otrzymał telegram od swojego zwierzchnika w Moskwie, w którym określano, jak należy diagnozować pacjentów wystawionych na promieniowanie. Ci, u których stwierdzono ciężkie poparzenia i chorobę popromienną, mieli być diagnozowani jako dotknięci „ostrą chorobą popromienną w wyniku kulminacyjnego wystawienia na promieniowanie”. Ale tym, którzy otrzymali mniejsze dawki i nie zdradzali poważnych symptomów choroby, w ogóle nie zamierzano wspominać o promieniowaniu. Moskwa nakazywała, by w szpitalnych dokumentach tych pacjentów wpisywać „dystonię wegetatywno-naczyniową”. Była to psychiczna przypadłość z fizycznymi objawami, takimi jak pocenie, palpacje serca, nudności i ataki, spowodowana reakcją nerwów lub „otoczeniem”, znana tylko w radzieckiej medycynie, ale podobna do zachodniej nerwicy. Stawianie równie mętnych diagnoz nakazywano w przypadku

likwidatorów, którzy otrzymali maksymalne dozwolone dawki promieniowania.

Pozostawione w strefie psy i koty[1142] również stanowiły zagrożenie – Ministerstwo Rolnictwa obawiało się epidemii wścieklizny. Głodne i zdesperowane porzucone zwierzęta domowe, a do tego ze skażoną sierścią, stanowiły niebezpieczeństwo dla każdego, kto je spotkał.

Ukraińskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zwróciło się do Towarzystwa Myśliwych i Rybaków o pomoc, powołując dwadzieścia zespołów złożonych z miejscowych mężczyzn, których zadaniem była likwidacja zwierząt porzuconych w Strefie Wykluczenia. W każdym zespole znalazło się od dziesięciu do dwunastu myśliwych, dwóch inspektorów do spraw higieny, milicjant i wywrotka. Cztery koparki kopały doły, w których chowano martwe zwierzęta. Wiosenną ciszę na opuszczonym Polesiu przerywały odgłosy broni palnej przedstawicieli Towarzystwa Myśliwych i Rybaków, polujących na swoją zdobycz w Strefie Wykluczenia.

W sumie udało się wyeliminować dwadzieścia tysięcy domowych zwierząt[1143], ale zabicie wszystkich okazało się niemożliwe. Niektóre psy uciekły ze strefy i były dokarmiane przez stacjonujących tam likwidatorów. Żołnierze lekceważyli zagrożenie, jakie niesły ze sobą te zwierzęta, ale nadawali im imiona adekwatne do sytuacji, jak Doza, Rentgen, Gamma czy Dozometr[1144].

Ludzie pod dowództwem generała Pikałowa, którzy przez całe lato 1986 pracowali w strefie, uczestniczyli w wielkim eksperymencie. Radzieckie scenariusze wypadku[1145]

w elektrowni jądrowej przewidywały jednorazową, krótkotrwałą emisję promieniowania z uszkodzonego reaktora, a nie długofalową, która trwa nawet w momencie rozpoczęcia dekontaminacji. Budynki w trzydziestokilometrowej strefie zostały skażone w różnym stopniu, w zależności od odległości od elektrowni i warunków atmosferycznych w chwili dotarcia radioaktywnej chmury. Nie było metodologii, według której można by działać. Na miejsce wezwano ekspertów[1146] z Czelabińska-40, którzy pracowali nad skutkami katastrofy w zakładach Majak i mieli wyjątkowe doświadczenie w sprzątaniu radioaktywnego terenu. Ale nawet oni nigdy wcześniej z czymś takim się nie spotkali.

Początkowo wojska chemiczne[1147] próbowały wszystko po prostu umyć. Za pomocą armatek wodnych i węzów strażackich spłukiwano budynki wodą i roztworem dekontaminacyjnym SF-2U. Ale roztwór wsiąkał w glebę, podwajając skażenie ziemi wokół budynków, jej górną warstwę trzeba było więc usunąć za pomocą buldożerów. Niektóre materiały były trudniejsze do umycia[1148], szczególnie pokryte płytkami ściany, a żelbet po umyciu pozostawał równie radioaktywny co przed myciem, więc żołnierze musieli go szorować szczotkami, żeby usunąć przynajmniej niektóre radionuklidy. W ogródkach usuwano górną część gleby[1149] i składowano na sterty, które uszczelniano warstwą gliny i zasiewaną trawą. Najbardziej skażona gleba była zakopywana w specjalnie wykopanych dołach jako odpad radioaktywny. Wiele osiedli dekontaminowano dwu-, a nawet trzykrotnie, a te budynki, które wciąż były skażone, po prostu burzono. Ostatecznie z ziemią zrównano całe wioski, a w ich

miejscu postawiono trójkątne znaki z symbolem koniczyny, ostrzegające przed skażeniem radioaktywnym.

Radzieccy technicy robili, co mogli[1150], żeby usunąć radionuklidy z budynków i otaczającej je ziemi. Żołnierze w polowych kuchniach gotowali wodę, w której rozpuszczali proszek SF-20 (poliwinyl), następnie gęstą pianą z tego roztworu myto ściany, co miało uwięzić skażone cząstki i po wyschnięciu utworzyć dającą się zerwać warstwę. Spryskiwali drogi masą bitumiczną wiążącą kurz[1151], a tam, gdzie nie dało się ich oczyścić, wlewali kilometry nowego asfaltu. Do helikopterów Mi-8 załadowali wielkie beczki z klejem, który zrzucony z powietrza miał wiązać radioaktywne cząstki na ziemi. Specjaliści z NIKIMT-u[1152] podlegającego Ministerstwu Budowy Maszyn Średnich przeczesywali fabryki w całej republice w poszukiwaniu wszystkiego, co mogłoby wiązać kurz – byle było tanie i w dużych ilościach. Całe lato transportowano koleją do strefy wszystko, w tym klej PVA i burbę – papkę zrobioną z buraków i odpadów z tartaku – a następnie spryskiwano tym teren z helikopterów.

Groźba skażenia radioaktywnego rzek, jezior i zbiorników wodnych na Ukrainie wystawiła pomysłowość radzieckich inżynierów na najwyższą próbę[1153]. W pierwszych dniach po eksplozji walczyli o to, żeby skażenie nie przedostało się do rzeki Prypeć i do wód gruntowych, a także żeby nie dotarło do wielkiego zbiornika, który zaopatrywał Kijów w wodę pitną. Wojskowe brygady budowlane, a także przedstawiciele z Ministerstwa Gospodarki Wodnej postawili 131 nowych tam i filtrów, zatopili 177 studni oraz zaczęli formować długą na pięć kilometrów, grubą na metr i głęboką na trzydzieści metrów

warstwę gliny, mającą zatrzymać skażoną wodę, zanim ta dotrze do rzeki.

W pobliżu Prypeci[1154] znajdował się las sosnowy oddzielający elektrownię od miasta. Znalazł się on na drodze radioaktywnej chmury wyrzuconej w pierwszych dniach po eksplozji. Blisko czterdzieści kilometrów kwadratowych lasu zostało pokryte grubą warstwą cząstek beta, których promieniowanie w pewnych miejscach sięgało dziesięciu tysięcy radów, zabijając wszystkie stworzenia niemal natychmiast. W ciągu dziesięciu dni gęste drzewa zmieniły kolor[1155] z głębokiej zieleni na nietypową, rdzawą czerwień. Przejeżdżający żołnierze i naukowcy[1156] nie musieli wyglądać z opancerzonych pojazdów, żeby wiedzieć, że znajdują się w Czerwonym Lesie. Nawet pod grubą osłoną i za kuloodpornym szkłem wskazówki ich dozymetrów szalały, pokazując wyjątkowo duże skażenie. Las stanowił takie zagrożenie, że wkrótce miał zostać wycięty i pochowany w betonowych grobowcach.

Na pola kołchozów[1157] naukowcy wprowadzili pługi, które głęboko orały ziemię, usuwając wraz z wierzchnią warstwą gleby szkodliwe radionuklidy. Wypróbowali około dwustu różnych roślin, żeby sprawdzić, które najlepiej absorbują promieniowanie, i posypali pola wapnem, które wiąże stront 90 w glebie, uniemożliwiając mu przedostanie się do łańcucha pokarmowego. Optymistyczne prognozy naukowców[1158] zakładały, że w ciągu roku będzie można ponownie uprawiać pola w strefie.

Jednak w miejscu[1159], w którym znajdowały się radioaktywne liście na drzewach i gleba pod stopami, była to iście syzyfowa praca. Nawet najłagodniejszy letni wiatr wzbijał

w powietrze kurz niosący cząstki alfa i beta. Z każdym deszczem spływały do stawów i strumyków radioaktywne izotopy. Gdyby była jesień, napromieniowane liście zostałyby rozwiane po całym terenie. Bagna Prypeci – największe w całej Europie – niczym gąbka nasiąknęły strontem i cezem, a ogromne połacie ziemi uprawnej okazały się zbyt wielkie, żeby je uprzętnąć nawet przez zmechanizowane szwadrony. Udało się odkazić jedynie dziesięć kilometrów kwadratowych strefy. Całkowite oczyszczenie wymagałoby usunięcia i zakopania niemal sześciuset milionów ton gleby. Nawet biorąc pod uwagę praktycznie nieograniczone zasoby ludzkie ZSRR, zadanie to uznano za niewykonalne.

Na początku czerwca trzydziestokilometrowa strefa stała się radioaktywnym polem bitwy otoczonym przez oblegającą armię[1160]. Wszędzie wokół elektrowni wały się pamiątki tej walki[1161]: porzucone pojazdy, zniszczony sprzęt, ciągnące się zygzakami okopy i ogromne wały. Ale nawet gdy chodzili tędy dozymetryści w kombinezonach, a nad nimi przelatywały wojskowe helikoptery, wysiedleni mieszkańcy Prypeci[1162] próbowali powrócić do swoich domów. Szabrownictwo było problemem, a każdy pozostawił w mieście coś, co musiał pilnie zabrać. Jedni pozostawili dowody i paszporty, drudzy duże sumy pieniędzy, jeszcze inni chcieli odzyskać swoje drobiazgi. Tylko 6 czerwca[1163] ukraińscy żołnierze zawrócili dwudziestu sześciu mieszkańców, którzy próbowali przejść przez punkty kontrolne lub wejść do strefy w innych miejscach bez wymaganego pozwolenia.

Trzeciego czerwca dowódca komisji rządowej wydał rozkazy, które z natychmiastowym skutkiem miały uczynić Prypeć

miastem nieodpowiednim do zamieszkania[1164]. Członkowie rady miejskiej opuszczonego atomgradu znaleźli tymczasową siedzibę w porzuconym biurze przy ulicy Sowieckiej w Czarnobylu i tam kilka dni później do Marii Procenko zawitał oficer KGB. Wcześniej służył w Afganistanie i w przeciwieństwie do większości kolegów z tajnej milicji sprawiał wrażenie miłego i uprzejmego. Poinformował panią architekt, że musi pomóc stworzyć nową mapę Prypeci. Planowali postawić wokół miasta płot i chciał się jej poradzić, którędy miałyby przebiegać. Procenko posłusznie rozłożyła mapę w skali 1 : 2000, raz jeszcze naszkicowała kopię i razem przeanalizowali najlepsze i najkrótsze trasy: płot miał objąć główne budynki, ale zostawić cmentarz, musiał omijać miejsca, w których wykopy mogły naruszyć rury ściekowe i kable elektryczne niezbędne dla miejskiej infrastruktury. Zadawała istotne pytania. Jak żołnierze będą kopać? Jakiego sprzętu użyją? Jak wprowadzą pale? Wmawiała sobie, że w ten sposób chronią miasto przed złodziejami i szabrownikami[1165].

Dziesiątego czerwca żołnierze z 25. Zmotoryzowanej Dywizji Strzeleckiej[1166] zjawili się w Prypeci z drutem kolczastym, drewnianymi palami i traktorami wyposażonymi w ogromne świdry. Mając świadomość, że znajdują się w strefie wysokiego promieniowania, pracowali z niezwykłą prędkością i w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin ukończyli swoje zadanie. Ukochany atomgrad Procenki został otoczony dwupasmowym ogrodzeniem wysokim na dwa metry, mającym 9,6 kilometra w obwodzie i patrolowanym przez uzbrojonych strażników. Niedługo potem zainstalowano elektroniczny system

alarmowy[1167] opracowany przez Wydział Techniczny Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich.

Na peryferiach Strefy Wykluczenia inżynierzy wyrąbali szeroką na 10–20 metrów trasę, wiodącą przez bagna, lasy i rzeki z Ukrainy na Białoruś, stawiając przy tym mosty i kopiąc przepusty. Gdy wbijali w ziemię siedemdziesiąt tysięcy pali i rozwieszali pomiędzy nimi cztery miliony metrów drutu kolczastego, towarzyszyły im biegające po leżących odłogiem polach dzikie psy. W niektórych miejscach promieniowanie było tak duże, że w trakcie prac postanowili powiększyć tę strefę[1168]. Do 24 czerwca[1169] ukończyli 195 kilometrów ogrodzenia wokół Strefy Wykluczenia. Prypeć i elektrownia jądrowa w Czarnobylu leżały teraz w centrum wyludnionej strefy o wielkości 2600 kilometrów kwadratowych i patrolowanej przez żołnierzy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, do której dostęp mieli jedynie ci, którym rząd wydał specjalne przepustki.

Maria Procenko wciąż jednak mocno wierzyła w to, co mówili partyjni przywódcy – że ewakuacja była tylko tymczasowa. Pewnego dnia – może nie wkrótce, ale kiedyś – promieniowanie zniknie i razem z rodziną będzie mogła wrócić do swojego domu nad brzegiem rzeki.

Letnie dni jednak się skracają, a Procenko w siedzibie ispołkomu w Czarnobylu coraz więcej czasu poświęcała papierologii nuklearnej ziemi niczyjej. Po zapachu ozonu unoszącym się z ubrań potrafiła odgadnąć, którzy ze specjalistów przyjeżdżają do niej wprost ze Strefy Specjalnej wokół reaktora. Dostała też oficjalne polecenie, żeby pomóc zorganizować ewakuowanym mieszkańcom odwiedzin w ich mieszkaniach

i zabrać meble oraz dobytek. Zebrano dwunastoosobowy komitet[1170] mający ustalić, co można zabrać i w jaki sposób to zrobić. Planowali sprowadzić z całego obwodu sto pięćdziesiąt ciężarówek, pięćdziesięciu dozymetrystów, którzy mieli robić pomiary w mieszkaniach i w punktach kontrolnych, oraz zorganizować autobusy, które przewiozłyby mieszkańców do strefy, i pół miliona foliowych worków na przedmioty. Po dwóch tygodniach planowania operacja była gotowa do przeprowadzenia. Ale ktoś zauważył, że jej wykonanie jest niemożliwe – w końcu mieszkańcy Prypeci byli bezdomni i nie mieli dokąd zabrać wywiezionych z miasta rzeczy.

Procenko zaprzyjaźniła się z grupą fizyków z Ukraińskiej Akademii Nauk, którzy monitorowali poziom promieniowania w strefie i to oni powiedzieli jej prawdę. Wojska chemiczne generała Pikałowa miały przeprowadzić pięciomiesięczną akcję[1171] dekontaminacji ulic i bloków atomgradu, ale tylko po to, żeby zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się skażenia. Komisja rządowa obliczyła, że odkażenie miasta w takim stopniu, żeby nadawało się do ponownego zamieszkania, wymagałoby poświęcenia 160 tysięcy osób[1172]. Cena takiej operacji byłaby niewyobrażalna.

– Zapomnijcie o tym – powiedział jej jeden z fizyków. – Już nigdy nie wrócicie do Prypeci[1173].

Śledztwo

Kiedy Siergiej Janowski zjawił się na miejscu wypadku[1174] tuż przed świtem 26 kwietnia, zastanawiał się, po co mu zwracano głowę.

Drobny, z wystającymi zębami, trzydziestoletni śledczy z kijowskiej prokuratury pracował jako detektyw od prawie sześciu lat. Zajmował się „przestępstwami przeciw osobom”: gwałtami, napaściami, rabunkami z bronią w rękę, samobójstwami i morderstwami, a także karygodnymi zaniedbaniami w pracy. KGB zajmowało się zamykaniem ludzi za opowiadanie dowcipów o Breżniewie, a przestępstwa nieideologiczne według przesłanek marksizmu-leninizmu miały być problemem kapitalistów[1175]. A jednak Jankowski miał pełne ręce roboty.

Paliwem brutalnej i nagłej śmierci często była wódka. Śluby i pogrzeby często kończyły się bójkami i atakami z użyciem noża, a zimą ludzie zasypiali na zewnątrz i następnego dnia znajdowano ich zamarzniętych. Często były śmiertelne wypadki w miejscu pracy. W jednym z kołchozów w obwodzie Jankowskiego pięciu kombajnistów zasnęło na polu pszenicy po mocno zakrapianym wódką obiedzie. Na ich nieszczęście szósty kombajnista okazał się bardziej sumienny i zanim zorientował się, gdzie są jego towarzysze, ci skończyli poszatkwani ostrzami jego kombajnu. W samym 1981 roku Jankowski wysłał dwieście trzydzieści ciał do kostnicy.

O drugiej nad ranem[1176] obudził go telefon od przełożonego, Walerija Danilenki, zastępcy prokuratora do spraw śledczych. Dwadzieścia minut później czekał już pod mieszkaniem Jankowskiego w Kijowie w mobilnym laboratorium śledczym, czyli minibusie wypełnionym sprzętem, pomalowanym w milicyjne kolory, z czerwonym i niebieskim kogutem oraz syreną. Powiedział, że w elektrowni w Czarnobylu wybuchł pożar i mają przeprowadzić śledztwo[1177].

Droga do czarnobylskiego kompleksu była praktycznie pusta i dobrze im się jechało przez cichą wiejską okolicę. Nad płaską linią horyzontu majaczyły atramentowe czubki drzew i słupy elektryczne. Jeśli kierowca zauważył inny samochód, włączał syrenę. W drodze do elektrowni wyprzedzili kolumnę wozów strażackich pędzących w tym samym kierunku.

Kiedy jednak zjawili się na miejscu, parkując dwieście metrów od reaktora czwartego, okolica była dziwnie cicha. Panował półmrok i Jankowski ujrzał jedynie jakąś mgiełkę unoszącą się nad budynkiem. Nie dostrzegł płomieni. Stały wozy strażackie, ale nic poza tym nie wskazywało, że doszło do jakiejś katastrofy. Detektyw ujrzał człowieka stojącego w mroku, leniwie palącego papierosa i obserwującego lejącą się wodę.

– Hej! Co tu się stało? – zapytał Jankowski.

– Coś wybuchło – odparł niedbale mężczyzna, jakby takie rzeczy były na porządku dziennym.

„Tą sprawą powinni zająć się miejscowi”, pomyślał Jankowski.

– Dlaczego nas wezwali? – zapytał przełożonego. – Dlaczego sprowadzili nas tak wcześnie? – Wszystko to wydawało mu się stratą czasu.

– Poczekajcie chwilę – odparł Danilenko. – Coś tu jest nie w porządku.

Razem skierowali się do głównego budynku administracyjnego, w którym byli już przedstawiciele lokalnych władz. Małomuż, sekretarz partii z Kijowa, prowadził odprawę.

– Co tu robicie? – zapytał detektywów. – Sami sobie z tym poradzimy. Ogień prawie już ugaszono i niebawem ponownie uruchomimy blok.

Kiedy jednak pojechali do komisariatu w Prypeci, zastali go wypełnionego szuchami z ukraińskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wypląnęły nowe informacje: do Centrum Medyczno—Sanitarnego numer 126 przyjęto poparzonych i wymiotujących ludzi, a wokół elektrowni KGB szukało sabotażystów. Było jasne, że stało się coś poważnego. Danilenko udał się na spotkanie ze swoim przełożonym, prokuratorem generalnym. Tymczasem miejscowy milicjant oddał Jankowskiemu do dyspozycji samochód i gabinet.

Danilenko powrócił około szóstej rano. Prokurator podjął decyzję.

– Otwieramy sprawę – powiedział do Jankowskiego. – Wysuwamy oskarżenie.

Detektyw usiadł, wyjął maszynę do pisania, wprowadził kartkę papieru i zaczął pisać.

Dochodzenie w sprawie przyczyn wypadku w bloku czwartym elektrowni jądrowej w Czarnobylu rozpoczęło się wczesnym rankiem 26 kwietnia i toczyło się dwutorowo. Jeszcze tego samego dnia, gdy wyszła na jaw skala katastrofy, zaczęło zyskiwać na znaczeniu. Do czasu obiadu, gdy Siergiej Jankowski i jego koledzy

ruszyli w teren, by przesłuchać operatorów w elektrowni i szpitalu oraz skonfiskować dokumenty ze sterowni, sprawa przestała być lokalna, a wywindowała na szczybel republiki. Wieczorem przybył z Moskwy zastępca prokuratora generalnego ZSRR z nowymi instrukcjami. Zarządził utworzenie specjalnej grupy śledczej w ramach Drugiego Departamentu Prokuratury Generalnej ZSRR, zajmującego się przestępstwami popełnionymi na terenie zamkniętych wojskowych i jądrowych instalacji. Od tej pory całe śledztwo było traktowane jako ściśle tajne.

Tego samego wieczoru[1178] komisja rządowa w Prypeci uruchomiła śledztwo dotyczące kwestii technicznej i naukowej. Powierzyła je Walerijowi Legasowowi, ale nadzorowane było przez Aleksandra Meszkowa, wiceministra wszechmogącego Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich, które zaprojektowało reaktor. Meszkow szybko doszedł do wniosku, że cała wina za wypadek spoczywa na błędzie operatora. Pompy wodne zostały przeciążone, wspomagający system chłodzenia został wyłączony, reaktor wysechł i doszło do jakiejś eksplozji. Był to groźny, ale przewidziany w projekcie wypadek, przeciw działaniu któremu szkolono każdego operatora.

Ale następnego ranka z Instytutu Kurczatowa w Moskwie przybyło dwóch ekspertów od reaktorów RBMK[1179]. Mieli przeanalizować dane z reaktora. W drodze z lotniska Żuliany do Prypeci naukowców zatrzymał niekończący się ciąg autobusów jadących w przeciwnym kierunku, więc na miejsce dotarli dopiero wieczorem. Następnego dnia udali się do bunkra pod elektrownią, gdzie przejęli rejestry z bloku czwartego, wydruki z komputera systemu diagnostycznego i rejestracyjnego reaktora, a także

taśmy z nagraniami rozmów operatorów przed eksplozją. Po przeanalizowaniu danych nakreślili zarys wydarzeń, które doprowadziły do wypadku: reaktor działał na niskiej mocy, wysunięto niemal wszystkie pręty kontrolne z rdzenia, przytłumione głosy, krzyk „naciśnąć guzik!” i aktywacja awaryjnej procedury AZ-5. Wykres pokazywał, że moc reaktora nagle wzrosła, po czym linia zrobiła się niemal pionowa i wykroczyła poza kartkę.

Dla jednego ze specjalistów, Aleksandra Kaługina, który całą karierę poświęcił reaktorom RBMK, sytuacja ta wydawała się złowieszczo znajoma. Dwa lata wcześniej brał udział w spotkaniu w biurze projektowym reaktora NIKIET-u, podczas którego ktoś zasugerował, że – w pewnych określonych warunkach – wprowadzane pręty kontrolne mogą wyprzeć wodę z rdzenia i spowodować nagły wzrost reaktywności. Naukowcy z instytutu stwierdzili wówczas, że taka sytuacja jest zbyt mało prawdopodobna, żeby się nią przejmować. Im dłużej jednak Kaługin wpatrywał się w wydruki z reaktora numer 4, tym bardziej prawdopodobny wydawał mu się ten scenariusz.

Póki jednak dane nie zostaną poddane szczegółowej analizie, teza Kaługina będzie pozostawać jedynie niewygodną teorią. Tymczasem eksperci zadzwonili do Legasowa, przedstawiając mu wstępną analizę. W poniedziałek po południu, 28 kwietnia, z Politbiura w Moskwie nadszedł telegram: „PRZYCZYNA WYPADKU NAGŁY I NIEKONTROLOWANY WZROST ENERGII REAKTORA”[1180].

Wciąż nie zdecydowano, jak do tego wzrostu energii doszło. Natychmiast zaczęto szukać kozłów ofiarnych.

Pod koniec pierwszego tygodnia maja[1181] ekipa specjalistów z Instytutu Kurczatowa powróciła do Moskwy i zaczęła analizować informacje zawarte w teczkach dokumentów, podręcznikach, na wydrukach i rolkach taśmy magnetycznej wydobytej z systemu diagnostycznego bloku czwartego. Wszystkie instytutowe komputery przeznaczono do tego zadania. Pracowały całą dobę, żeby zrekonstruować ostatnie godziny reaktora. Tymczasem śledczy z prokuratury i KGB przemierzali Szpital numer 6, przesłuchując inżynierów i operatorów, nawet tych, którzy byli u kresu życia.

Dyrektor Wiktor Briuchanow pozostał na swoim stanowisku w elektrowni[1182] pozornie niewzruszony jak zawsze, ale w rzeczywistości przytłoczony śmiercią swoich pracowników i ciężarem odpowiedzialności, do jakiej poczuwał się z powodu awarii. Wypełniał polecenia komisji rządowej najlepiej, jak potrafił i znajdował zastępców pracowników, którzy trafili do szpitala lub zostali za bardzo napromieniowani, żeby móc dalej pracować w elektrowni. Wieczorem wracał do pionierskiego obozu „Bajkowy”, gdzie razem z kolegami zamykał się w czytelni. Leżąc pomiędzy półkami wypełnionymi książkami, godzinami rozprawiali o tym, co mogło doprowadzić do katastrofy. Spali niewiele.

Kiedy Siergiej Jankowski przyszedł przesłuchać dyrektora, znalazł go w punkcie medycznym.

– Do cholery[1183] – powiedział Briuchanow. – Ufałem Fominowi. Myślałem, że będzie to test elektryczny. Nie wiedziałem, że tak to przebiegnie.

Detektyw zadrwił z niego, cytując rosyjskiego poetę Siergieja Jesienina, słynnego samobójcę: „Może jutro szpitalne łóżko przyniesie mi wieczny odpoczynek”.

Niedługo potem na miejscu wypadku zjawił się inżynier jądrowy i autor Grigorij Miedwiediew, zastając Briuchanowa wałęsającego się po korytarzu budynku rządowej komisji w Czarnobylu. Naukowcy Wielichow i Legasow oraz radziecki minister energii jądrowej dzielili gabinet na końcu korytarza i wówczas walczyli jeszcze z chińskim syndromem. Briuchanow miał na sobie biały kombinezon operatora elektrowni, jego oczy były przekrwione, skóra kredowobiała, a głębokie zmarszczki na twarzy zdradzały przygnębienie.

– Nie wyglądacie dobrze[1184] – zauważył Miedwiediew.

– Nikt mnie nie potrzebuje – odparł Briuchanow. – Kręcę się jak gówno w przerębli. Nie ma ze mnie żadnego pożytku.

– A gdzie jest Fomin?

– Oszalał. Odesłali go, żeby odpoczął.

Dwa tygodnie później[1185], 22 maja, Briuchanow złożył podanie do ministra energii atomowej, Anatolija Majorieca, prosząc o pozwolenie na odwiedzenie żony i syna, którzy zostali ewakuowani na Krym. Majoriec się zgodził i Briuchanow na tydzień poleciał na południe.

Podczas jego nieobecności minister postanowił na zawsze pozbawić Briuchanowa pozycji dyrektora elektrowni atomowej w Czarnobylu.

W trakcie trwania śledztwa przywódcy Związku Radzieckiego sugerowali publicznie, że wypadek był wynikiem dość niezwykłej zbieżności wydarzeń zapoczątkowanych przez operatorów.

„Powody leżą najwyraźniej w bardzo subiektywnej kwestii ludzkiego błędu – powiedział korespondentowi z telewizji RFN członek Biura Politycznego i późniejszy prezydent Rosji, Borys Jelcyn. – Podejmujemy środki, żeby taka sytuacja już się nie powtórzyła”[1186].

„Wypadek był efektem kombinacji wysoce mało prawdopodobnych czynników technicznych[1187] – napisał w oświadczeniu dla »Los Angeles Times« przewodniczący Państwowego Komitetu do spraw Wykorzystania Energetyki Jądrowej, Andranik Petrosjanc. – Skłaniamy się ku wersji, że personel popełnił błędy, które skomplikowały sytuację”. Petrosjanc zapewniał, że jak tylko śledztwo się zakończy, pełny raport dotyczący awarii zostanie zaprezentowany podczas międzynarodowej konferencji IAEA w Wiedniu.

Zadania poprowadzenia radzieckiej delegacji, sporządzenia raportu na konferencję – co wiązało się z bezprecedensowym wglądem w jeden z najbardziej utajnionych aspektów radzieckiej nauki – i publicznego zaprezentowania wyników przypadły Walerijowi Legasowowi. Twardogłowi przedstawiciele Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich[1188] byli przeciwni jego kandydaturze, obawiając się, że trudno go będzie kontrolować. Naukowiec po raz drugi powrócił z Czarnobyli[1189] 13 maja jako odmieniony człowiek – jego dłonie i twarz pociemniały od radioaktywnej opalenizny, a ideologiczna pewność siebie została zachwiana. Ze łzami w oczach opowiadał żonie, jak przytłoczeni byli na miejscu wypadku, jak nieprzygotowani byli na ochronę radzieckich obywateli. Brakowało czystej wody, nieskażonego jedzenia i stabilnego jodu. Badanie, któremu poddał się

w Szpitalu numer 6, wykazało, że reaktor odcisnął swój ślad w ciele Legasowa. Lekarze znaleźli u niego produkty rozszczepienia, w tym jod 131, cez 134 i 137, tellur 132 i ruten 103 w jego włosach, drogach oddechowych i płucach. Jego zdrowie ucierpiało, doznawał bólów głowy, nudności, problemów z trawieniem oraz bezsenności. Mimo to rzucił się w wir pracy nad raportem[1190], zbierając dane od licznych specjalistów i z setek dokumentów. Całymi dniami i nocami pracował w swoim gabinecie w Instytucie Kurczatowa, a także w domu, porównując z kolegami statystyki, póki nie byli całkowicie pewni, że są wiarygodne. Podłogę pokoju dziennego w willi przy Spacerowej 26 pokrył stertami papierów, które wysypywały się na korytarz i schody.

Tymczasem w Moskwie za zamkniętymi drzwiami[1191] rozpoczęła się biurokratyczna batalia nad Raportem dotyczącym powodów wypadku w bloku czwartym elektrowni jądrowej w Czarnobylu, czyli poufną wersją wydarzeń przygotowywaną dla Biura Politycznego. Podczas spotkań i w licznych notatkach oraz dokumentach baronowie radzieckiego przemysłu jądrowego – naukowcy oraz konkurujący ze sobą ministrowie – starali się odsunąć winę od siebie, zanim raport dotrze do sekretarza generalnego Gorbaczowa.

Pod żadnym względem nie była to równa gra. Z jednej strony były Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich, biuro projektu jądrowego NIKIET i Instytut Kurczatowa, na czele których stali ponadosiemdziesięcioletni tytani nauki socjalistycznej, aparaczczyki starej gwardii: były kawalerzysta z czasów rewolucji Jefim Sławski, projektant pierwszego radzieckiego reaktora

Nikołaj Dolleżał i potężny, łysy budda atomu Anatolij Aleksandrow. To oni stworzyli reaktor RBMK i przez ponad dziesięć lat ignorowali ostrzeżenia dotyczące jego wad. Po drugiej stronie stało Ministerstwo Energetyki reprezentowane przez pięćdziesięciosześcioletniego atomowego neofitę Anatolija Majorieca. Jego ministerstwo postawiło elektrownię, sprawowało pieczę nad reaktorem i było odpowiedzialne za szkolenie oraz dyscyplinę załogi, która doprowadziła do eksplozji.

Spory rozpoczęły się niemal natychmiast po ukończeniu wstępnego raportu komisji, zaledwie dziesięć dni po eksplozji, 5 maja. Sporządzony pod kierownictwem Meszkowa, zastępcy Sławskiego w Ministerstwie Budowy Maszyn Średnich, raport, tak jak się spodziewano, zrzucał winę na operatorów: wyłączyli kluczowe systemy bezpieczeństwa, zlekceważyli przepisy i przeprowadzili test bez konsultacji z projektantami reaktora. Starszy operator kontroli reaktora Leonid Toptunow nacisnął guzik AZ-5 w desperackiej i próżnej próbie powstrzymania katastrofy, kiedy ta już została zapoczątkowana w wyniku niekompetencji jego i jego kolegów. Toptunow i kierownik zmiany Aleksander Akimow nie mieli szans podważyć tej wersji wydarzeń – za kilka dni mieli być martwi.

Specjaliści z Ministerstwa Energetyki odmówili złożenia podpisów pod tym raportem. Zamiast tego stworzyli załącznik oparty na ich niezależnym śledztwie. Stwierdzali w nim, że błędy popełnione przez operatorów nie miały znaczenia, bowiem reaktor numer 4 nie eksplodowałby, gdyby nie karygodne błędy w jego projekcie, w tym dodatni współczynnik przestrzeni parowych i wadliwe pręty kontrolne, które zwiększały, a nie zmniejszały

reaktywność. Ich szczegółowa analiza techniczna wskazywała, że naciśnięcie guzika AZ-5 zamiast zamknąć reaktor, mogło spowodować eksplozję.

W odpowiedzi[1192] Aleksandrow zwołał dwie specjalne sesje Międzyagencyjnej Rady Naukowo-Technicznej, która miała zbadać powody wypadku. Wbrew swej nazwie w jej skład wchodzili przedstawiciele Średmaszu i twórcy reaktora RBMK, a przewodził jej Aleksandrow, który posiadał patent projektu reaktora. Posiedzenia ciągnęły się godzinami[1193], a przewodniczący robił, co mógł, żeby odsunąć dyskusję od kwestii wad projektowych reaktora i skierować ją na tory dotyczące błędów operatorów. Kiedy mu się to nie udało, Sławski – Ajatollah – po prostu przekrzykiwał te opinie, których nie chciał słuchać. Przedstawicielowi krajowej agencji regulującej kwestie nuklearne nie pozwolono nawet wygłosić propozycji zmian w projekcie reaktora, mających na celu poprawę bezpieczeństwa jego działania.

Ale Gennadij Szaszarin[1194], zastępca Majorieca w Ministerstwie Energetyki, odpowiedzialny za kwestie jądrowe, nie zamierzał się poddać. Po drugiej naradzie Międzyagencyjnej Rady Naukowo-Technicznej sporządził list do Gorbaczowa, w którym opisywał przyczyny wypadku i to, jak Aleksandrow i Sławski usiłują ukryć prawdę o błędach konstrukcyjnych reaktora. Szaszarin przyznawał, że obsługa popełniła błędy, ale dodawał, że koncentrowanie się na nich ujawnia jedynie brak organizacji i dyscypliny w elektrowni: „Nie przybliżyła nas to do odkrycia prawdziwych powodów awarii”. Wiceminister wyjaśnił, że nie uda się ukrywać prawdy. Globalna skala awarii sprawi, że

międzynarodowe środowisko naukowe będzie chciało poznać szczegóły techniczne wypadku. Szaszarin ostrzegął sekretarza generalnego, że „prędzej czy później te szczegóły wyjdą na jaw przed szerokim kręgiem naukowców w naszym kraju i za granicą”.

Pod koniec maja Wiktor Briuchanow wrócił z Krymu[1195]. Po przybyciu do Kijowa zadzwonił do elektrowni i poprosił o przysłanie samochodu, który zabierze go z lotniska. Gdy na linii zapanowała niezręczna cisza, zdał sobie sprawę, że stało się coś złego. Dotarłszy do elektrowni, Briuchanow skierował kroki do swojego biura w budynku administracyjnym. Okna pokryte były taflami ołowiu, a za biurkiem siedział obcy mężczyzna. Był to pierwszy z wielu przejawów publicznego upokorzenia dyrektora. Nikt nie pofatygował się poinformować go, że został zwolniony.

– Co zrobimy z Briuchanowem? – zapytał głównego inżyniera nowy dyrektor.

Postanowili stworzyć dla niego stanowisko zastępcy kierownika działu przemysłowo-technicznego z gabinetem na tyłach biura, gdzie mógł czekać na dalszy rozwój wypadków. Wiedzieli, że jest kwestią czasu, zanim będzie musiał odpowiedzieć za swoje zbrodnie[1196].

W siedzibie Drugiego Departamentu Prokuratury Generalnej ZSRR[1197], w pilnie strzeżonym budynku przy ulicy Granowskiego w Moskwie, trwały przesłuchania. Siergiej Jankowski postanowił porozmawiać także z projektantami i naukowcami, którzy stworzyli i nadzorowali działanie RBMK. Zostali wezwani na przesłuchanie jak wszyscy inni. Kiedy Jankowski wezwał projektanta reaktora Nikołaja Dolleżala,

sędziwy baron przemysłu jądrowego zapewniał go, że wina za eksplozję leży wyłącznie po stronie operatorów. Z projektem wszystko było w porządku.

W wyniku przesłuchań projektantów reaktora przed końcem lata rozpoczęto odrębne śledztwo, tymczasem sprawa operatorów elektrowni nabierała tempa. Jankowski przemierzał cały ZSRR w poszukiwaniu informacji. Poleciał do Swierdłowska, by skonfiskować dokumenty i przesłuchać załogę fabryki, w której produkowano gigantyczne pompy cyrkulacyjne wykorzystywane w bloku czwartym. Spędził dziesięć dni w Gorkim, gdzie na wewnętrznym wygnaniu za swoją działalność na rzecz praw człowieka przebywał Andriej Sacharow. Zabrał ze sobą wydruki z komputera reaktora w nadziei, że Sacharow pomoże mu w analizie. A na Ukrainie odwiedzał inne elektrownie jądrowe, zbierając dowody w sprawach poprzednich wypadków. Wszędzie, gdzie się udał, niczym cień towarzyszyli mu oficerowie KGB, pilnujący, żeby jego śledztwo nie ujawniło spraw, które powinny pozostać sekretami.

W środę, 2 lipca[1198], Wiktor Briuchanow został wezwany do Kijowa, gdzie wręczono mu bilet lotniczy do Moskwy. Następnego dnia chciano go widzieć w Biurze Politycznym. Przed odlotem poszedł się pożegnać z Małomużem, wicesekretarzem partii w obwodzie. Do tej pory sekretarz traktował Briuchanowa z lodowatym dystansem, ale w tamtym momencie powitał go z otwartymi ramionami. Nie był to dobry znak, ale zdegradowany dyrektor[1199] zdążył się pogodzić z własnym losem.

O jedenastej następnego dnia[1200] członkowie Biura Politycznego zebrali się w ponurym gabinecie na drugim piętrze

budynku na Kremlu. Pomieszczenie wypełnione było małymi biurkami, a Briuchanow znalazł się w towarzystwie czcigodnych przywódców radzieckiego przemysłu jądrowego, w tym Aleksandrowa, Sławskiego i Legasowa. Wszyscy siedzieli pokornie niczym posłuszni uczniowie. Z obowiązkowego portretu na ścianie spoglądał na nich Lenin. Sekretarz generalny Gorbaczow otworzył sesję i poprosił Borysa Szczerbinę o zaprezentowanie finalnego raportu komisji rządowej dotyczącego powodów awarii.

– Wypadek był efektem poważnych naruszeń procedur obsługi reaktora przez operatorów, a także istotnych wad projektowych reaktora[1201] – rozpoczął przewodniczący. – Skala tych przyczyn jest jednak różna. Komisja uważa, że wypadek został spowodowany przez personel.

Była to wersja, jaka podobała się Ministerstwu Budowy Maszyn Średnich, Szczerbina przyznał jednak, że błędy w konstrukcji reaktora były poważne i nie dało się ich obejść[1202]. RBMK nie spełniał współczesnych standardów bezpieczeństwa i nawet przed wypadkiem dopuszczano go do działania jedynie w ZSRR. Powiedział też, że reaktor niesie ze sobą takie ryzyko, że powinno się zaniechać planów budowy kolejnych tego typu.

Gorbaczow słuchał, pałając wściekłością. Jego gniew i frustracja narastały od tygodni, wraz z rozwojem wydarzeń. Z trudem usiłował uzyskać wiarygodne informacje na temat tego, co się stało, a jego reputacja na Zachodzie, jako reformatora i człowieka, z którym można robić interesy, została zszargana przez niezręczne próby ukrycia skali wypadku. Oskarżył Sławskiego i Aleksandrowa o to, że utworzyli tajne państwo

w państwie i próbują ukryć przed nim prawdziwe powody wypadku:

– Przez trzydzieści lat wmawialiście nam, że to wszystko jest zupełnie bezpieczne. Chcieliście, żebyśmy postrzegali was jako bogów. Oto dlaczego doszło do awarii. Nikt nie sprawował kontroli nad ministrami i ośrodkami naukowymi. Na tę chwilę nie widzę, żebyście wyciągnęli z tego jakieś wnioski. Wydaje mi się, że staracie się wszystko zatuszować.

Spotkanie ciągnęło się godzinami[1203]. Minęła pora obiadowa. Gorbaczow zapytał Briuchanowa, czy słyszał o Three Miles Island i o poprzednich wypadkach w Czarnobylu. Dyrektora zaskoczyła uprzejmość sekretarza. Sławski dalej zwał winę na operatorów[1204], podczas gdy twarogłowy zastępca Gorbaczowa, Ligaczow, starał się chwycić resztek zszarganej radzieckiej dumy.

– Pokazaliśmy światu, że potrafimy sobie z tym poradzić – bronił się. – Nie dopuściliśmy do wybuchu paniki.

Przedstawiciele Ministerstwa Energetyki przyznali[1205], że zdawali sobie sprawę z problemów z reaktorem, ale Aleksandrow i Sławski nalegali na rozbudowę programu energii jądrowej.

W pewnej chwili Meszkow stwierdził niemądrze[1206], że reaktor jest zupełnie bezpieczny, jeśli ściśle przestrzega się przepisów.

– Zdziwiacie mnie – odparł Gorbaczow.

Następnie Walerij Legasow przyznał, że naukowcy zawiedli radziecki naród.

– To oczywiście nasza wina[1207] – powiedział. – Powinniśmy byli pilnować reaktora.

– Wypadek był nieunikniony...[1208] Gdyby nie doszło do niego tu i teraz, doszłoby gdzie indziej – powiedział premier Ryzkow, który był zdania, że władza w rękach Aleksandrowa i Sławskiego poprowadziła ich ku zgubie. – Dążyliśmy ku katastrofie od dawna.

Zbliżała się dziewiętnasta, minęło niemal osiem godzin nieprzerwanych obrad. Gorbaczow zaprezentował swoje wnioski i zaproponował kary dla tych, którzy jego zdaniem ponosili winę. Następnie sporządzono rezolucję[1209], w której zawarto liczący dwadzieścia pięć punktów plan działania. Jedenaście dni później poddano ją pod głosowanie w Biurze Politycznym. Na mocy jej treści przywódcy partyjni uznali dyrektora Briuchanowa i głównego inżyniera Fomina za winnych tolerowania łamania zasad i „kryminalnych zaniedbań” w elektrowni oraz braku bezpiecznych procedur przygotowania testu, podczas którego doszło do wypadku. Skrytykowali Ministerstwo Energetyki za niedbałe zarządzanie, zaniedbanie szkoleń załogi i za lekceważenie wypadków w elektrowniach jądrowych. I wreszcie – zaatakowali państwowy organ regulacyjny do spraw jądrowych za brak dostatecznej kontroli.

Rezolucja Biura Politycznego uwzględniała też prawdziwe przyczyny zniszczenia reaktora numer 4. Katastrofa wydarzyła się „przez defekty w konstrukcji reaktora RBMK, który nie spełniał standardów bezpieczeństwa”. Co więcej, chociaż Jefim Sławski zdawał sobie sprawę z tych defektów i był wielokrotnie ostrzegany, nic nie zrobił, żeby zmienić projekt reaktora.

Najsurowsze kary Biuro Polityczne zarezerwowało dla aparaczyków średniego szczebla. Wiceminister Meszkow,

zastępca szefa Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich, i wiceminister Szaszarin, odpowiedzialny za elektrownie jądrowe w Ministerstwie Energetyki, a także zastępca przewodniczącego biura projektowego NIKIET zostali zdymisjonowani. Wiktora Briuchanowa pozbawiono legitymacji partyjnej i wysłano z powrotem do Kijowa.

Zaproponowano też zmiany w organizacjach, które ujawniły swoje słabości w wyniku wypadku. Rezolucja instruowała Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Obrony, żeby wyposażać i przeszkolić żołnierzy oraz strażaków do walki z wypadkami radiacyjnymi i do pracy dekontaminacyjnej. Gosplan i Ministerstwo Energetyki miały zrewidować swoje długofalowe oczekiwania wobec energii jądrowej. Należało zmienić standardy szkolenia i bezpieczeństwa oraz ujednoczyć nadzór nad energetyką jądrową w ramach nowego Ministerstwa Energetyki Jądrowej. I wreszcie – przyznając, że problem tkwi w samym reaktorze – przywódcy partyjni postanowili, że wszystkie elektrownie korzystające z reaktorów RBMK powinny zostać zmodyfikowane tak, żeby spełniały współczesne normy bezpieczeństwa. Natychmiast wstrzymano plany budowy nowych reaktorów RBMK.

Natomiast ci, którzy znajdowali się na samym szczycie przemysłu jądrowego i od samego początku sprawowali pieczę nad projektem, niemal całkowicie uniknęli kary. Sławskiemu – w tamtym czasie nadzorującemu budowę Sarkofagu, w którym miał spocząć nieszczęsny reaktor – i Aleksandrowowi przypomniano jedynie, że powinni dbać o bezpieczeństwo pokojowego atomu. O Nikołaju Dolleżalu nawet nie wspomniano.

Na koniec maratońskiej sesji Gorbaczow podkreślił ogromny międzynarodowy wydzźwięk katastrofy. Skalana została reputacja sowieckiej technologii i wszystko, co teraz robili, poddawane było międzynarodowej analizie. Dodał, że należy być absolutnie szczerym odnośnie do tego, co się stało, nie tylko w gronie zaprzyjaźnionych państw socjalistycznych, ale też przed IAEA oraz międzynarodowym społeczeństwem.

– Otwartość przynosi nam wielkie korzyści[1210] – powiedział. – Jeśli nie ujawnimy wszystkiego, stracimy na tym.

Nie każdy się z tym zgadzał[1211]. Następnego dnia oficerowie z Szóstego Departamentu KGB puścili w obieg listę zagadnień związanych z Czarnobylem uznanych w różnym stopniu za tajne. Dokument zajmował dwie strony maszynopisu i zawierał dwadzieścia sześć zagadnień. Oznaczone jako *sekretno* – tajne – pod numerem jeden znajdowały się „informacje ujawniające prawdziwe powody wypadku w bloku czwartym”.

Po powrocie do Kijowa[1212] Wiktor Briuchanow został zabrany do hotelu Leningrad i wezwany na złożenie zeznań w biurze prokuratora następnego dnia. Przesłuchujący dał mu listę pytań, na które Briuchanow odpowiedział pisemnie. Jego zeznanie zajęło łącznie dziewięćdziesiąt stron, a gdy skończył pisać, zawieziono go z powrotem do obozu „Bajkowy”.

W sobotę wieczorem[1213], 19 lipca, oficjalna wersja werdyktu Biura Politycznego została ogłoszona w serwisie informacyjnym *Wriemia*. Wyrok był jednoznaczny i potępiający. Prowadzący powiedział, że rządowa komisja „ustaliła, że wypadek zaistniał w wyniku serii poważnych naruszeń przepisów operacyjnych przez pracowników elektrowni [...]. Nieodpowiedzialność,

zaniedbania i brak dyscypliny doprowadziły do katastrofalnych skutków”. Podano listę zdymisjonowanych ministrów, a wiadomość kończyła się informacją, że Briuchanow został wydalony z partii. Prokuratura Generalna ZSRR wszczęła śledztwo, sprawa miała trafić do sądu. Nie wspomniano o żadnych błędach projektowych reaktora.

Następnego ranka o sprawie na pierwszych stronach informowały „Prawda”, „Izwestia” i inne radzieckie gazety. Werdykt Biura Politycznego opublikowany został także w całości przez „New York Timesa”. Tego dnia dziennikarz kanadyjskiego „Globe and Mail” zapytał kobietę polerującą pomnik Lenina w Moskwie, co sądzi na temat winy tych mężczyzn. „Powinni ich wszystkich wsadzić do więzienia”, odparła.

Matka Briuchanowa oglądała telewizję w domu w Taszkencie[1214], gdzie mieszkała z jednym ze swoich dzieci, kiedy podano tę informację. Dowiedziawszy się o hańbie najstarszego syna, wyszła na ulicę, na której dostała zawału i zmarła. Kilka dni później Komitet Centralny Komunistycznej Partii Ukrainy w Kijowie wydał własny werdykt[1215], usuwając ze swoich szeregów za „rażące błędy i zaniedbania w pracy” głównego inżyniera Nikołaja Fomina, który zlecił test będący przyczyną eksplozji, oraz degradując partyjnego sekretarza elektrowni Serhija Paraszyna.

W drugim tygodniu sierpnia Wiktor Briuchanow wrócił z pogrzebu matki w Uzbekistanie i wraz z setkami innych pracowników elektrowni oraz likwidatorami został zakwaterowany na pokładzie jednego z jedenastu statków wycieczkowych zacumowanych przy malowniczym zakolu Dniepru

około czterdziestu kilometrów od Czarnobyla[1216]. Dwunastego sierpnia zastępca głównego inżyniera elektrowni powrócił z Kijowa[1217] z wezwaniem dla Briuchanowa, który następnego dnia o godzinie dziesiątej miał się stawić w prokuraturze w pokoju numer 205 przy ulicy Reznickaja w Kijowie. Tam, po kolejnych trzech godzinach przesłuchań i godzinnej przerwie na obiad, Briuchanow został formalnie oskarżony z artykułu 220, paragrafu 2 ukraińskiego Kodeksu karnego o „naruszenie zasad bezpieczeństwa w miejscach narażonych na eksplozję” i aresztowany. Wyprowadzony został tylnymi drzwiami przez dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu, a następnie przewieziony do aresztu KGB, w którym miał spędzić większość następnego roku.

Dwa tygodnie później, 25 sierpnia[1218], ubrany w szary garnitur i pasiasty krawat Walerij Legasow, ze spuchniętą, steraną twarzą skrytą za grubymi okularami, wyszedł na mównicę w ramach pierwszego dnia specjalnej konferencji technicznej w siedzibie IAEA w Wiedniu. Atmosfera była poważna i napięta, a wyłożona drewnem sala została wypełniona po brzegi. Sześciuset ekspertów jądrowych z sześćdziesięciu dwóch krajów i ponad dwustu dziennikarzy chciało poznać prawdę o wypadku, który wprowadził w przerażenie cały świat. Na Legasowie spoczywał potworny ciężar – na szali znajdowała się nie tylko reputacja całej radzieckiej nauki, ale też przyszłość światowego przemysłu jądrowego. Katastrofa sugerowała, że sowieckim naukowcom nie można powierzyć zadania budowy reaktora, a technologia ta jest niebezpieczna sama w sobie i nawet zachodnie elektrownie jądrowe należy wyłączyć.

Legasow większość lata spędził na zbieraniu materiałów[1219], wspierając się wiedzą dwudziestu trzech ekspertów, z których połowa pochodziła z Instytutu Kurczatowa, a także projektantów reaktora, szefa radzieckiej agencji środowiskowej i meteorologicznej oraz specjalistów od medycyny radiacyjnej i dekontaminacji, doktor Andżeliny Guskowej i generała Władimira Pikałowa.

Bez względu na panującą głośność[1220] Związek Radziecki nie był gotowy na wyjawienie prawdy o licznych niedostatkach radzieckiej technologii. Kiedy projekt raportu dotarł do Komitetu Centralnego[1221], prezes Departamentu Energetyki przeczytał go z przerażeniem. Następnie przekazał go KGB z adnotacją: „Raport ten zawiera informacje, które oczerniają radziecką naukę [...]. Uważamy, że jego autorzy powinni zostać ukarani przez partię i sąd”.

Werdykt ten mógł wydawać się surowy, ale obawy Departamentu Energetyki nie były bezpodstawne. Nie do pomyślenia było ujawnienie światu prawdziwych powodów awarii: projektu reaktora, licznych błędów, tajności i zaprzeczania panujących w radzieckim programie nuklearnym oraz arogancji starszych naukowców nadzorujących jego uruchomienie. Jeśli raport wyjawia błędy projektowe reaktora RBMK, odpowiedzialność za wypadek da się pociągnąć aż do głównego projektanta i przewodniczącego Akademii Nauk. W społeczeństwie, w którym kult nauki wyparł religię, przedstawiciele przemysłu jądrowego znajdowali się wśród najświętszych ikon – filarów Związku Radzieckiego. Strącenie ich

z pantafyku podkopałoby integralność całego systemu, na jakim zbudowano ZSRR. Nie można ich było uznać winnymi.

Legasow wybrnął z sytuacji po mistrzowsku[1222]. Za pośrednictwem tłumaczy przemawiał przez pięć godzin i oczarował publiczność. Szczegółowo przedstawił budowę reaktora, przyznając, że istniały pewne „wady”, ale pomijając niewygodne fakty, minuta po minucie zrekonstruował przebieg wypadku, który okazał się o wiele bardziej przerażający, niż podejrzewali zachodni eksperci. Po zakończeniu przeszedł do kilkugodzinnej sesji pytań i odpowiedzi, wraz ze swoją ekipą odpowiadając na niemal każde zapytanie. Dociskany przez dziennikarzy na temat wad projektu reaktora, o których wspominał, Legasow odparł: „Wadą systemu było to, że projektanci nie przewidzieli nietypowych i nierozsądnych działań podejmowanych przez operatorów”. Jednocześnie przyznał, że „mniej więcej połowa”[1223] z czternastu pozostałych reaktorów RBMK w Związku Radzieckim została wyłączona w celu przeprowadzenia technicznych modyfikacji, „aby zwiększyć ich bezpieczeństwo”.

Będąc pod wrażeniem takiej bezprecedensowej szczerości radzieckich naukowców i utwierdzeni w przekonaniu, że do awarii doszło w wyjątkowych okolicznościach, które nie rzucają się cieniem na bezpieczeństwo jądrowe poza ZSRR, i że jej skutki zdrowotne oraz środowiskowe mieszczą się w dopuszczalnych normach, delegaci opuścili salę ufni w przyszłość energetyki atomowej w Związku Radzieckim i na całym świecie. Z Wiednia wyjeżdżali w radosnym, niemal świątecznym nastroju[1224]. Dla Związku Radzieckiego i dla samego Walerija Legasowa

konferencja była, jak to ujął w „Bulletin of the Atomic Scientists” prominentny brytyjski fizyk, „tryumfem public relations”.

Po powrocie do Moskwy Legasow skierował się bezpośrednio do Instytutu Kurczatowa, wbiegając po schodach na drugie piętro i krzycząc do kolegi: „Zwycięstwo!”.

Pozostały jednak pytania bez odpowiedzi.

W połowie konferencji[1225], podczas przerwy w ramach jednej z sesji zamkniętych dla mediów, fizyk MIT-u, Richard Wilson, zagadnął dwóch przedstawicieli radzieckiej delegacji o kwestię, która nie dawała mu spokoju. W egzemplarzu raportu, jaki udało mu się uzyskać, a który został pospiesznie przetłumaczony przez amerykański Departament Energii oraz był gęsto wypełniony tabelkami i danymi statystycznymi, w niektórych miejscach zdawały się pojawiać błędy arytmetyczne: suma liczb opisujących opad promieniotwórczy w niektórych regionach ZSRR nie zgadzała się z sumą całościową. Radzieccy delegaci przyznali, że obliczenia mogą zawierać pewne błędy. Wiele lat później Wilson dowiedział się, że na zlecenie Legasowa usunięto z raportu sześć stron danych dotyczących skażenia na Białorusi i w Rosji. Naukowiec fałszował raport zgodnie z poleceniami premiera Ryżkowa.

– Nie skłamałem w Wiedniu[1226] – wyznał Legasow swoim kolegom w raporcie, który dwa miesiące później złożył w Radzieckiej Akademii Nauk. – Ale też nie powiedziałem całej prawdy.

Sarkofag

W ciemnym pomieszczeniu[1227] tuż pod dachem żołnierze czekali w szeregu, aż dowódca sprawdzi ich wyposażenie. Na oliwkowozielone mundury założyli długie do kolan, ołowiane fartuchy, a na klatkę piersiową, kark i kręgosłup – szare metalowe arkusze o grubości trzech milimetrów. Przykryli także krocza oraz wypchali buty. Wokół twarzy mieli ciasno zaciśnięte zielone kaptury. Założyli też maski i gogle mające chronić oczy. Niektórzy dodatkowo mieli plastikowe kaski.

– Jesteście gotowi? – zapytał generał Tarakanow. Jego głos odbił się od betonowych ścian.

W oczach pierwszych mężczyzn widać było zdenerwowanie. Ruszyli w stronę schodów. Na górze skręcili w prawo i podążyli za przewodnikiem ciemnym korytarzem. Na szczycie znajdowała się poszarpana dziura, przez którą widać było niebo. Wybito ją za pomocą materiałów wybuchowych, na tyle dużą, żeby mógł przez nią przejść człowiek. Było to wyjście do Strefy M na dachu bloku trzeciego, gdzie kilka miesięcy wcześniej strażacy walczyli z pożarami odłamków wyrzuconych przez reaktor numer 4.

Generał Tarakanow podzielił dach na podstawie kryterium wysokości nad poziomem gruntu[1228] i poziomu promieniowania. Każdą z części nazwał imieniem kobiety ze swego życia[1229]: Strefa K (Katja), gdzie promieniowanie gamma sięgało 1000 rentgenów, Strefa N (Natasza) do 2000 rentgenów i Strefa M (Masza, starsza siostra generała). O poziomie

promieniowania w tej strefie mówiono tylko szeptem. Wychodziła ona bezpośrednio na pozostałości reaktora w bloku czwartym i cała pokryta była gruzami wyrzuconymi w powietrze przez siłę eksplozji. Niektóre porzucane wygięte elementy zbrojenia i fragmenty sprzętu z hali reaktora ważyły prawie pół tony. Wszędzie walały się grafitowe bloki niegdyś tworzące rdzeń reaktora – niektóre z nich zmieniły kolor na biały, możliwe, że od żaru eksplozji, ale poza tym były nienaruszone. W ich pobliżu promieniowanie sięgało 10 000 rentgenów na godzinę[1230]. Dawkę śmiertelną można było otrzymać w niecałe trzy minuty.

Generał Nikołaj Tarakanow, zastępca dowódcy Sił Obrony Cywilnej ZSRR, miał pięćdziesiąt dwa lata, był łysiejącym, drobnym kozakiem, piątym z siódemki dzieci, który jako chłopiec widział, jak naziści palą jego wieś. Skłamał na temat swojego wieku, żeby zaciągnąć się do armii, a piętnaście lat później zdobył doktorat nauk technicznych inżynierii wojskowej. Jako specjalista inżynierii walki postatomowej na potrzeby radzieckiego wojska napisał dwa podręczniki o odbudowywaniu infrastruktury po ataku nuklearnym. Studiował szczegółowe scenariusze przedstawiające spodziewane zniszczenia po amerykańskim ataku raketowym na główne miasta ZSRR, które zakładały okrutną śmierć setek tysięcy osób, potrzebę przeżycia w skażonym terenie i odbudowę głównych gałęzi przemysłu pod ziemią w niezbadanych rejonach głębi imperium. W 1970 roku rozpoczął eksperymenty na poligonie w Nogińsku pod Moskwą, gdzie zbudowano makietę zrujnowanego miasteczka, symulującą postapokaliptyczny krajobraz. Tam właśnie opracował techniki i protokoły, a potężny sprzęt – w tym opancerzone koparki

i buldożery, pojazdy IMR-2 z teleskopowymi ramionami i metalowymi szczypcami – sprowadzono do najbardziej skażonych stref Czarnobyla na początku maja. Ale nastał już wrzesień. Jego plany i technologie zawiodły w Strefie M i Tarakanow do walki wysyłał mężczyzn uzbrojonych tylko w łopaty.

Na końcu korytarza żołnierze zatrzymywali się obok wyjścia. Z trudem łapali oddech w gumowych maskach. Oficer uruchamiał stoper i kolejnych pięciu mężczyzn wychodziło na zewnątrz.

Cztery miesiące po tym, jak w radzieckiej telewizji Iwan Silajew ogłosił plany budowy Sarkofagu, w którym miał zostać pogrzebany reaktor, do strefy przybyła nowa ekipa architektów, inżynierów i wojskowych, którzy całą dobę pracowali nad zrealizowaniem jego planu. Ministerstwo Energetyki odpowiedzialne było za ponowne uruchomienie pozostałych trzech reaktorów, natomiast budowa Sarkofagu powierzona została powołanej specjalnie w tym celu jednostce budowniczej Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich oznaczonej jako US-605. Projektów nowej struktury domagały się przeróżne agencje i pododdziały ministerstwa: Wszechzwiązkowy Instytut Naukowo-Badawczy i Projektowania Technologii Energetycznych, czyli WNIPIET; główny departament konstrukcyjny ministerstwa, znany jako SMT-1; oraz NIKIMT, eksperymentalne laboratorium zajmujące się badaniami i rozwojem projektów jądrowych.

Ostateczny projekt[1231] wybrano z listy osiemnastu propozycji. Inżynierowie z biura, które zaprojektowało reaktor, NIKIET-u, zaproponowali wypełnienie zrujnowanego reaktora wydrążonymi kulami ołowianymi[1232]. Inni sugerowali zakopać

go pod ogromną stertą kruszonego kamienia albo wykopać pod blokiem czwartym jaskinię na tyle dużą, żeby ziemia mogła pochłonąć reaktor w całości. Na wstępie posiedzenia wojowniczy przewodniczący Średmaszu, Jefim Sławski, zaproponował własne, dość odważne rozwiązanie: zalać cały ten bajzel betonem i zapomnieć o nim. Propozycja Wielkiego Jefima spotkała się z niezręczną ciszą, którą w końcu przerwał Anatolij Aleksandrow. Przewodniczący Instytutu Kurczatowa zwrócił uwagę na fizyczne niedogodności rozwiązania Sławskiego: wysoka temperatura paliwa jądrowego pozostałego w resztkach reaktora sprawiała, że stygnięcie betonu byłoby utrudnione, o ile w ogóle możliwe.

Propozycja kompletnego odcięcia pozostałości reaktora od atmosfery wydawała się kusząca, ale paliwo wymagało wentylacji, żeby umożliwić bezpieczne chłodzenie, i ciągłego monitorowania w przypadku wystąpienia nowej reakcji łańcuchowej. Ruiny trzeba było przykryć skorupą, ale wciąż nikt nie miał pojęcia, jak to zrobić. Blok czwarty zajmował tak wielką przestrzeń – niemal taką, co boisko piłkarskie – że budowa jakiegokolwiek dachu wymagała postawienia pionowych filarów w pobliżu reaktora. Tymczasem teren ten wciąż był niedostępny dla człowieka, zalegały w nim ruiny ścian, zniszczony sprzęt i resztki cementu, z czego większość pogrzebana pod tysiącami ton piasku i innych materiałów, zrzuconych z helikopterów generała Antoszkina. Inżynierowie nie byli pewni, czy pozostała konstrukcja jest na tyle stabilna, że utrzyma ciężar nawet najcieńszego dachu. A promieniowanie uniemożliwiało jej sprawdzenie[1233].

Wśród proponowanych rozwiązań[1234] znalazły się bardzo ambitne, jak pojedynczy łuk o promieniu dwustu trzydziestu

metrów, a także propozycja postawienia serii prefabrykowanych komór na całej szerokości hali reaktora. Inny pomysł zakładał postawienie dachu jednoprzęsłowego zawieszzonego na pochylonych stalowych ramionach oddalonych od siebie co sześć metrów. Naukowcy żartobliwie nazywali go „Heil Hitler”. Ukończenie wszystkich tych fantastycznych projektów zajęłoby lata, a ich koszty byłyby astronomiczne, o ile w ogóle możliwe do zrealizowania w Związku Radzieckim. Wybór ostatecznego projektu podyktowały nierealistyczne terminy narzucone przez Biuro Polityczne i ekstremalne warunki panujące na miejscu[1235]. Konstrukcja wokół bloku czwartego musiała powstać jak najszybciej – nie była to kwestia lat, a miesięcy – żeby zatrzymać emisję promieniowania i pozwolić bezpiecznie uruchomić pozostałe trzy reaktory, tym samym ratując resztki zszarganego prestiżu ZSRR.

Techniczne wyzwanie było jednak ogromne, choćby dlatego, że konstrukcję trzeba było złożyć zdalnie. Nawet po serii bombardowań bloku czwartego piaskiem i ołowiem poziom promieniowania w okolicy był na tyle wysoki, że jedna osoba nie mogła tam przebywać dłużej niż trzy minuty. Inżynierowie planowali więc zbudować[1236] strukturę z prefabrykowanych elementów i złożyć ją za pomocą żurawi oraz robotów. Termin gonił[1237]. Piątego czerwca Gorbaczow dał Sławskiemu i jego ludziom czas do września: niecałe cztery miesiące na ukończenie jednego z najniebezpieczniejszych i najbardziej ambitnych projektów w historii inżynierii cywilnej. Na miejscu prace ruszyły, jeszcze zanim inżynierowie i architekci w Moskwie zdecydowali się na konkretne rozwiązanie.

Żeby ograniczyć wystawienie na promieniowanie, ekipy US-605 Średmaszu w Czarnobylu zmieniały się co dwa miesiące[1238]. Pierwsza zmiana, która przybyła 20 maja, musiała posprzątać bałagan pozostawiony przez Ministerstwo Energetyki: udrożnić zablokowane drogi, usunąć wraki i resztki niedokończonych projektów i zbudować infrastrukturę wymaganą do zrealizowania nadchodzącego przedsięwzięcia[1239]. Musieli przygotować kwatery, żywność i punkty sanitarne dla dwudziestu tysięcy mężczyzn, w większości rezerwistów powołanych do służby dla Średmaszu, znanych jako partyzanci[1240]. Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich uznało ekspertów – architektów, inżynierów, naukowców, elektryków, dozymetrystów – za niezastąpionych. Musieli być chronieni przed promieniowaniem, żeby mogli pracować w strefie tak długo, jak to możliwe. Ale będący w wieku średnim partyzanci postrzegani byli jako prymitywni, niewykwalifikowani i gotowi na każde wezwanie. Rzucano ich całymi garściami na linię frontu, kiedy tylko pojawiła się potrzeba wykonania czynności w strefie wysokiego skażenia. Dostawali swoje maksymalne dawki promieniowania w ciągu godzin, o ile nie minut, a następnie odsyłani byli do domu i zastępowani kolejnym mięsem armatnim.

Najważniejszym zadaniem pierwszej zmiany[1241] było zapewnienie nieprzerwanej dostawy głównego materiału chroniącego przed promieniowaniem: żelbetu. Linie kolejowe i cementownie, z których korzystano w trakcie budowy elektrowni, znalazły się bezpośrednio na drodze pierwszej chmury radioaktywnej wyrzuconej z bloku czwartego i zostały tak skażone, że trzeba było zrezygnować z ich usług. Zanim można

było rozpocząć budowę[1242], inżynierowie Średmaszu położyli trzydzieści pięć kilometrów dróg, postawili punkty dekontaminacyjne, bocznice kolejową, doki, do których miało dotrzeć pół miliona ton żwiru, oraz trzy nowe betoniarnie.

Inżynierowie zaczęli otaczać reaktor[1243], zaczynając od „pionierskich ścian”, mających chronić pracowników przed kanonadą niewidocznych promieni gamma emitowanych z ruin. W bezpiecznej odległości zespawali puste stalowe elementy o podstawie 2,3 metra kwadratowego i długości niemal siedmiu metrów, które ustawili na sobie na odkrytych platformach niczym wielkie cegły. Za pomocą uzbrojonych pojazdów wojskowych wepchnęli je na ustalone pozycje i pompami ustawionymi co najmniej trzysta metrów dalej zalali cementem – wraz z platformami. Powstałe ściany o wysokości sześciu i grubości siedmiu metrów stanowiły osłonę przed promieniami gamma, w której robotnicy mogli bezpiecznie pracować przez pięć minut. Odkazano też glebę: spryskano roztworem wiążącym pył i przykryto grubą na pół metra warstwą betonu.

Praca trwała nieustannie[1244], siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę, w czterech zmianach, po sześć godzin każda. Nocą miejsce oświetlano reflektorami, a także z przycumowanego balonu. Komisja rządowa oceniała postępy ekip budowlanych w sowieckim stylu – według ilości betonu wylanego każdego dnia – i nakazywała pracę pod ciągłą presją. Tysiąc metrów sześciennych cementu – dwanaście tysięcy ton – każdej doby opuszczało latem zakłady Średmaszu i betoniarkami transportowane było do ruin bloku czwartego nowymi drogami z prędkością stu kilometrów na godzinę, żeby towar nie ściał się

w upale i żeby kierowcy nie przyjęli zbyt dużego promieniowania[1245]. Wkrótce przy drogach roiło się od przewróconych ciężarówek.

W lipcu i sierpniu[1246] druga zmiana inżynierów Średmaszu wypełniała przestrzeń pomiędzy pionierskimi ścianami a ścianami bloku czwartego za pomocą cementu, gruzu i szczątków skażonego sprzętu. Z tych fundamentów zaczęli budować wzwyż. Z Niemiec Zachodnich za cenę 4,5 miliona rubli przywieziono kolejną trzy dźwigi marki Demag, każdy na dwóch samobieżnych gąsienicach. Mogły podnieść niemal dwadzieścia razy większy ciężar niż zwykły dźwig[1247] i wykorzystano je do instalowania wielkich prefabrykowanych stalowych elementów wypełnionych cementem, grzebiąc stosy wysoce radioaktywnego gruzu, który spadł z północnej ściany budynku reaktora. Tak powstała ściana kaskadowa, która składała się z czterech gigantycznych stopni, każdego o długości pięćdziesięciu i wysokości dwunastu metrów – niczym świątynia mściwego starożytnego boga. Przy tej strukturze ludzie i sprzęt wydawali się malutcy. Nikt nie mógł tam długo pracować. Gdyby zbliżyli się za bardzo[1248], silniki betonowych pomp wypaliłyby się i zgasły, a tarcze urządzeń dozymetrycznych oszalały, niczym igły kompasu w polu magnetycznym. Zjawiska tego ekspertom nigdy nie udało się w przekonujący sposób wyjaśnić.

Stalowe szkielety tworzące kaskadową ścianę[1249] zostały złożone w ogromne konstrukcje podtrzymywane przez żurawie, a następnie zalane cementem. Praca ciągnęła się tygodniami. Liczne dziury w ścianach bloku czwartego oznaczały, że trzeba było wylać na ruiny tysiące metrów sześciennych betonu, który

wypełnił piwnice, korytarze i klatki schodowe, zanim udało się załatać szczeliny. Gdy zaprawa stwardniała, zdalnie odpalano ładunki, żeby odciąć liny, na których były podwieszane do dźwigów, i przejść do stawiania kolejnej sekcji. Ale kiedy ustawiono część narożną kaskadowej ściany – wieżę na wysokość szesnastu pięter – ładunki wybuchowe zawiodły. Specjaliści Średmaszu znaleźli wśród partyzantów ochotnika, który zgodził się wjechać na górę na specjalnym dźwigu i ręcznie odzepić kable. Wyposażyli go w trzy różne dozymetry rejestrujące jego ekspozycję na promieniowanie. Na ziemię wrócił po godzinie, gdzie w nagrodę otrzymał trzy tysiące rubli, skrzynkę wódki i został natychmiastowo zwolniony ze służby. Dozymetry wyrzucił, bo bał się tego, co mogły pokazać.

Kiedy inżynierowie Średmaszu pracowali nad Sarkofagiem[1250], naukowcy z Instytutu Kurczatowa próbowali rozwikłać zagadkę, co stało się ze stu osiemdziesięcioma tonami paliwa jądrowego, które ich zdaniem powinny znajdować się gdzieś w tych murach. Najpierw naukowcy sądzili, że większość uranu została wyrzucona z komory reaktora przez eksplozję i leżała porozrzucana w ruinach maszynowni. Ale opuszczone z helikopterów dozymetry nie wykazały jego obecności. Legasow obawiał się, że nawet jeśli mała ilość uranowego paliwa i grafitowego moderatora pozostała nienaruszona w reaktorze, to w pewnych warunkach mogła powstać masa krytyczna, która zapoczątkuje nową reakcję łańcuchową, nad którą nikt nie będzie w stanie zapanować, a która wyrzuci do atmosfery kolejne radionuklidy. Jego kolega Wielichow[1251] obawiał się, że ekipy

Średmaszu, zalewając betonem paliwo jądrowe, nieświadomie stworzyły gigantyczną bombę atomową z opóźnionym zapłonem.

Jednak wszystkie próby znalezienia paliwa wewnątrz hali reaktora zawiodły[1252]. Członkowie Instytutu Kurczatowa mierzyli promieniowanie wszystkimi możliwymi sposobami w ruinach reaktora – z dołu, z góry, z boków – przeszukiwali stopiony ołów i piasek, węgiel boru i dolomit zrzucone z helikopterów, ale nie znaleźli żadnych śladów paliwa.

W końcu naukowcy z Kurczatowa dotarli do jednego z pomieszczeń w piwnicy, trzy piętra pod halą reaktora, na wschód od samego rdzenia. Mieli przy sobie urządzenie mierzące promieniowanie w zakresie do 3000 rentgenów na godzinę, ale po drodze towarzyszył im względnie tolerowany poziom promieniowania. Kiedy jednak wprowadzili czujnik na górę, nad miejsce, w którym stali, w pomieszczeniu 217/2 na poziomie +6 natrafił on na promieniowanie gamma tak silne, że natychmiast wskazał maksymalny odczyt, a po chwili się przepalił. Cokolwiek leżało w środku, było szalenie radioaktywne i mogło stanowić rozwiązanie zagadki setek ton zaginionego paliwa. Ale każdy, kto wszedłby do zaciemnionego korytarza 217/2, żeby sprawdzić, co to jest, ryzykował przyjęciem śmiertelnej dawki promieniowania gamma w ciągu kilku sekund.

Aleksander Borowoj, przysadzisty, czterdziestodziewięcioletni fizyk neutronów[1253], pracował w Instytucie Kurczatowa od ponad dwudziestu lat i przybył do Czarnobyla z Moskwy pod koniec sierpnia. Było ciepło, kiedy schodził z wodolotu „Rakieta” na ląd, gdzie przydzielono mu kombinezon khaki i dwie maski bez instrukcji obsługi. Wieczorem stary kolega z instytutu, który

właśnie skończył zmianę, zajrzał do niego, by zapoznać go z „przykazaniami”, jak przetrwać w strefie wysokiego promieniowania w ruinach elektrowni, zebranymi na podstawie własnych doświadczeń. Żeby się nie zgubić, nigdy nie należy wchodzić do nieoświetlonych pomieszczeń i zawsze nosić przy sobie latarkę oraz zapaliki, w razie gdyby zawiodła. Ostrzegł też, żeby unikał lejącej się z góry wody, która może być silnie skażona. Ale najważniejsze – pierwsze – przykazanie brzmiało, by zwracał uwagę na zapach ozonu. Wykładowcy w Moskwie mówią, że promieniowanie nie ma zapachu ani smaku, ale oni nigdy nie byli w Czarnobylu. Intensywne promieniowanie gamma, powyżej 100 rentgenów na godzinę, czyli na granicy wywołania choroby popromiennej, powodowało silną jonizację powietrza, która miała charakterystyczny zapach, jak po burzy z piorunami. Jeśli czujesz ozon, uciekaj – ostrzegł go kolega.

Następnego ranka Borowej pod dowództwem Legasowa udał się na swoją pierwszą misję w bloku czwartym.

Kiedy naukowcy z Instytutu Kurczatowa szukali paliwa, a ekipy Średmaszu stawały na głowie, żeby ukończyć Sarkofag, technicy z Ministerstwa Energetyki zmagali się z narzuconymi terminami: Biuro Polityczne publicznie obiecało[1254], że pierwsze dwa z trzech reaktorów w Czarnobylu zostaną ponownie uruchomione przed nadejściem zimy. Ale gdy na jaw wyszła prawda o wadach konstrukcyjnych RBMK, specjaliści musieli je najpierw zmodyfikować, zmieniając współczynnik reaktywności przestrzeni parowych i sposób działania prętów kontrolnych, a co za tym idzie – zwiększając ich bezpieczeństwo. Jednocześnie musieli poddać dekontaminacji całą elektrownię od fundamentów

aż po dach, żeby nie zagrażała ona zdrowiu pracujących w niej operatorów. Podziemne korytarze zalane radioaktywną wodą trzeba było osuszyć, a betonowe posadzki i przeciwpożarowe osłony zerwać i wymienić. Ściany i podłóża elektrowni zostały wyszorowane kwasem, polane szybkoschnącym roztworem polimeru albo przykryte grubą warstwą plastiku. Cały system wentylacyjny[1255] został przepłukany w celu usunięcia radioaktywnego osadu, a sprzęt elektryczny wyszorowany za pomocą roztworu alkoholu i freonu. Cały ten proces rozpoczął się w czerwcu i trwał trzy lata[1256].

Jednak największy problem znajdował się ponad ich głowami. Cztery miesiące po eksplozji schodkowy dach bloku trzeciego i platformy pasiastego komina wentylacyjnego sterczącego ponad blokiem czwartym pokryte były większymi i mniejszymi fragmentami grafitu i elementami reaktora. Zestawy paliwowe i grudki ditlenku uranu, pręty kontrolne i cyrkonowe kanały leżały tam, gdzie upadły, wśród węży strażackich porzuconych przez strażaków, którzy zmarli kilka tygodni temu w Szpitalu numer 6 w Moskwie. W niektórych miejscach szczątki tworzyły podstępne kopce: pięciotonowy betonowy panel[1257] z hali głównej wyrzucony siłą eksplozji spoczął na stercie grafitu z reaktora. W innych miejscach, gdzie pożar stopił bitumit, resztki zatopiły się w dachu. Wszystko to było szalenie radioaktywne i musiało zostać usunięte, by operatorzy bloku numer 3 mogli bezpiecznie wrócić do pracy.

Rządowa komisja ponownie zwróciła się do NIKIMT-u – tego samego moskiewskiego laboratorium, które zasugerowało spryskiwanie strefy pulpą z wysłodków. Naukowcy wpadli na

kolejny genialny, a przy tym oszczędny pomysł. Polecili wykorzystać szmaty pochodzące z odpadów przemysłu tekstylnego, z których uszyto by wielkie maty, nasączono je tanim klejem i opuszczono na dach, gdzie przywarłyby do rozrzuconych szczątków. Kiedy klej by się związał, podniesiono by je wraz z radioaktywnymi elementami i zakopano. Wczesne testy naukowców zakończyły się sukcesem: jeden metr kwadratowy takiej maty był w stanie unieść ciężar dwustu kilogramów na wysokość siedemdziesięciu metrów. Kiedy jednak pracownicy NIKIMT-u poprosili o pozwolenie na użycie gigantycznych dźwigów Demag do przeniesienia mat nad blok trzeci, komisja odmówiła. Żurawie potrzebne były dwadzieścia cztery godziny na dobę przy budowie Sarkofagu i nie można ich było udostępnić. Naukowcy przeprowadzili drugi udany eksperyment, tym razem podczepiając maty do helikopterów, ale użycia ich też im odmówiono, bo ruch wirnika wzburzał zbyt dużo radioaktywnego kurzu[1258].

Tymczasem technicy z Ministerstwa Energetyki planowali usunąć gruzy z użyciem robotów[1259]. Jeden z nich był specjalnie przystosowany do przenoszenia materiałów radioaktywnych i został sprowadzony z Niemiec Zachodnich pod nazwą Joker. Dwa pozostałe zdalnie sterowane pojazdy zostały stworzone w ramach radzieckiego programu księżycowego, tyle że zmodyfikowano je, dodając niewielkie spychacze. Żeby oszczędzić czas i uniknąć przenoszenia pozostałości w inne miejsca, technicy postanowili po prostu zepchnąć gruz z dachu wprost w ruiny reaktora czwartego. Niestety, delikatny Joker szybko zawiódł w silnym promieniowaniu gamma Strefy M, a maszyny

przeznaczone do badania powierzchni Księżyca nie radziły sobie w nieprzyjaznym otoczeniu dachu zrujnowanej elektrowni. Ich układy scalone wariowały, ich koła grzęzły w bitumicie, blokowały się między odłamkami murów albo plątały we własnych kablach i wkrótce też odmówiły posłuszeństwa.

Szesnastego września generał Tarakanow odebrał zaszyfrowaną wiadomość[1260], wzywającą go na spotkanie rządowej komisji w mieście Czarnobyl. Borys Szczerbina, który powrócił już z Moskwy, gdzie przedstawił raport na temat przyczyn awarii Gorbaczowowi, objął teraz pełne dowodzenie nad nią. Spotkanie odbyło się tuż po szesnastej w wyłożonym ołowiem gabinecie Szczerbiny w budynku komitetu partii przy ulicy Lenina. Najpierw przemówił szef ekipy nadzorującej poziom promieniowania podczas operacji sprzątania bloku trzeciego. Jurij Samoilenko, krępy Ukrainiec ze zmierzwionymi, ciemnymi włosami i o złowrogim spojrzeniu, wyglądał na wycieńczonego. Oczy miał podkrążone. Cały czas palił papierosy.

Wyciągnął naszkicowany plan dachu, gęsto zapisany poziomami promieniowania, z czerwonymi flagami oraz gwiazdkami oznaczającymi najgroźniejsze miejsca, i wyjaśnił sytuację, z jaką przyszło im się zmierzyć. Zawiodły wszystkie zautomatyzowane sposoby oczyszczenia dachu. Poziomy promieniowania były ogromnie wysokie. Trzeba było jednak oczyścić dachy, zanim postawi się Sarkofag, zamykając jedyne i najbardziej skażone miejsce w elektrowni. Wszystkie opcje zostały wykorzystane. Stwierdził, że nadeszła pora wysłać na miejsce ludzi, którzy wykonają to zadanie własnymi rękami.

Zapadła cisza[1261].

Rozpoczęła się kampania biorobotów.

Żołnierze Tarakanowa rozpoczęli operację trzy dni później, po południu 19 września[1262]. Nie mieli czasu na przygotowania i musieli improwizować ze sprzętem. Wstępny test w Strefie M został przeprowadzony przez radiologa z Korpusu Medycznego Armii, który wyszedł na dach w eksperymentalnej odzieży ochronnej i z dziesięcioma dozymetrami badającymi promieniowanie. Osłonięty kapturem, ołowianym fartuchem, maską i kawałkami ołowianych arkuszy zerwanych ze ścian rządowych biur w Czarnobylu przemierzył długość dachu, szybko się rozejrzał, a następnie pięć razy nabrał grafit na łopatę i zrzucił go do ruin bloku czwartego. W ciągu minuty i trzynastu sekund przyjął dawkę 15 remów i zdobył Order Czerwonej Gwiazdy. Jego strój zredukował promieniowanie o jedną trzecią. Promieniowanie gamma było tak silne, że z ochronnego ubrania nie było większego pożytku. Najlepszą ochroną żołnierzy była prędkość.

Żeby przygotować mundurowych do akcji, Tarakanow, posiłkując się zdjęciami z powietrza, wybudował makietę dachów w pełnej skali. Powstał kolejny postapokaliptyczny poligon, na wzór terenu elektrowni w Czarnobylu po katastrofie, wraz z atrapami bloków grafitu, zestawów paliwowych i elementami cyrkonowych rur. Tarakanow wydał swoim ludziom prosty i naprędce przygotowany sprzęt, w tym łopaty, grabie i drewniane deski, na których mieli przenosić większe fragmenty. Dostali też długie szczypce, którymi mieli podnosić fragmenty paliwa jądrowego, oraz młoty do rozbijania gruzów przyklejonych do bitumitu. Dowodzący akcją zebrał żołnierzy w pomieszczeniu

nieopodal dachu i korzystając z ujęć kamer podłączonych do telewizji zakładowej, przedstawił im zadanie. Przed każdą ekipą wygłaszał to samo przemówienie: „Proszę każdego z was, kto nie czuje się na siłach bądź czuje się niezdrów, o opuszczenie drużyny!”[1263]. Wielu z nich było młodych i niechętnych[1264]. Ale jeśli nie wykonają tego zadania, kto to zrobi?

Po wielu latach generał Tarakanow twierdził, że nikt się nie wyłamał[1265].

Znalazłszy się na dachu, mężczyźni biegali, potykając się pod ciężarem prowizorycznej zbroi, a ich wyłożone ołowiem buty ślizgały się na porozrzucanych szczątkach grafitu. Przebiegali po rampach, wchodzili na drabiny i zatrzymywali się, by złapać oddech w cieniu komina wentylacyjnego. Brali po kilka odłamków radioaktywnego gruzu, szli z nim nad krawędź i zrzucali na resztki reaktora numer 4. Każdemu z nich mierzono czas, żeby ograniczyć dawkę do 25 remów. Trzy minuty, dwie minuty, czterdzieści sekund – upływ czasu wyznaczało wycie syreny lub dźwięk dzwonka. Każdy miał wejść na dach tylko raz, ale niektórzy wracali tam kilkakrotnie. Bolały ich oczy, a w ustach mieli posmak metalu; nie czuli własnych zębów[1266]. W Strefie M były fotograf Igor Kostin odnosił wrażenie, że znalazł się na innej planecie. Promieniowanie było tak silne, że pozostawiało smugę na jego fotografiach, niczym woda po powodzi.

Kiedy żołnierze wracali z akcji, zdawało im się, że ich krew została wyssana przez wampiry. Zwijali się w kłębek i nie mogli ruszać. Praca każdego z nich była odnotowywana z aptekarską dokładnością w specjalnej księdze przez specjalistów z Obnińska[1267]:

Dudin N.S. – Zrzucił siedem cyrkonowych rur ważących do 30 kilo.

Barsow I.M. – Przeniósł dwie rury o średnicy 80 mm, długości 30–40 cm [...] 10 cyrkonowych rur [...] ważących 25 kilo.

Byczkow W.S. – Młotem rozbił blok grafitu, który przywarł do bitumitu.

Każmin N.D. – Zrzucił kawałki grafitu, do 200 kilo.

Przez dwanaście dni armia biorobotów Tarakanowa pracowała na dachach zmianowo od ósmej rano do ósmej wieczorem. W sumie 3828 mężczyzn, każdy z nich otrzymał dyplom i małe wynagrodzenie pieniężne za pracę dekontaminacyjną, po czym został odesłany do domu. Pierwszego października generał ogłosił zakończenie operacji[1268]. O 16.45, po kilku miesiącach prac naprawczych, modyfikacji i testów bezpieczeństwa, ponownie uruchomiono blok pierwszy. Elektrownia w Czarnobylu po raz pierwszy od pięciu miesięcy generowała prąd[1269].

Na dachu bloku trzeciego Tarakanow i naukowcy obserwujący sprzątanie urządzili małą ceremonię, żeby uczcić sukces. Trzech żołnierzy w niebieskich trampkach i kombinezonach przebiegło po pustym dachu Strefy M, wspięło się na drabinę przy ścianie ogromnego komina wentylacyjnego i na jej szczycie, na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nad ziemią, zatknęło flagę. Igor Kostin uwiecznił ten moment na zdjęciu z helikoptera: czerwony sztandar łopoczący na wietrze, porywający symbol tryumfu człowieka nad promieniowaniem[1270].

Osiem dni później, kiedy Tarakanow wsiadał do samochodu zaparkowanego pod elektrownią, upadł[1271]. Przez ponad dwa tygodnie, trwając na swoim stanowisku i obserwując postępy

żołnierzy przez telewizję zakładową oraz często wychodząc na dach, przyjął dawkę 200 remów.

Trzydziestego września dziennik „Izwestia” na pierwszej stronie poinformował o ukończeniu ściany kaskadowej Sarkofagu[1272]. Na miejscu pracowała już trzecia zmiana z batalionu 605 Średmaszu, w sumie jedenaście tysięcy mężczyzn, którym polecono podjąć się tego zadania. Główny inżynier zmiany[1273], Lew Boczarow, pracował dla Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich od niemal trzydziestu lat. Był radosnym pięćdziesięcioletnim, który paradował po Strefie Specjalnej w watomanej kurtce i czarnym berecie. Boczarow zdobył trzy państwowe nagrody i rozpoczął pracę nad jednym z najbardziej monumentalnych projektów w historii Średmaszu: stawiał liczące 150 tysięcy mieszkańców miasto Szewczenko przy kopalni uranu na odległym pustynnym obszarze Kazachstanu. Do dyspozycji miał siłę roboczą dziesięciu tysięcy więźniów gułagu, którzy mieszkali na terenie ogrodzonym drutem kolczastym. Boczarow nadzorował budowę obiektów do przetwarzania uranu, pierwszego na świecie komercyjnego reaktora powielającego, największej na ziemi odsalarni zasilanej energią jądrową i całej reszty, która była potrzebna do funkcjonowania miasta, od kin po fabrykę pasty do zębów.

Zadanie Boczarowa w Czarnobylu było najbardziej wymagającym, z jakim do tej pory zetknęli się inżynierowie Średmaszu. Spadła na niego odpowiedzialność domknięcia stalowej trumny bloku czwartego za pomocą zadaszenia zniszczonej hali głównej i ukończenia grubych betonowych ścian między blokiem trzecim a czwartym. W ten sposób zrujnowana

część budynku została odizolowana od reszty elektrowni, co pozwoliłoby na bezpieczną pracę pozostałych reaktorów. Ale projekt już był opóźniony, a nowy termin ukończenia budowy okazał się równie absurdalny co poprzedni[1274].

Na tym etapie prac blok czwarty w niczym nie przypominał części elektrowni jądrowej. Jego ruiny zostały przykryte pomalowanymi na bordowo, grubymi ścianami i stałą zabezpieczoną powłoką antykorozyjną, a wokół roztaczał się błotnisty wał i rozmieszczone były, wyglądające niczym insekty, pompy do betonu i dźwigi Demagu. Nad halą reaktora i odsłoniętym rdzeniem poziom promieniowania był tak ogromny, że wysyłanie w to miejsce spawaczy z nitownicami nie wchodziło w grę. Stalowe części zostały więc zespawane w tak wielkie elementy, jakie tylko mogły unieść żurawie, i zaprojektowane tak, aby trzymały się wyłącznie dzięki grawitacji. Budynek przywodził na myśl ogromny stalowy dom z kart[1275], był kolosalny i niezgrabny[1276]. Każdej jego części inżynierowie nadali oddzielną nazwę, w zależności od kształtu lub rozmiaru: pokrywa, osłona, ośmiornica, psia buda, samolot, kije hokejowe i wreszcie mamut – pojedyncza belka długości siedemdziesięciu metrów, ważąca prawie sto osiemdziesiąt ton, tak wielka, że na miejsce sprowadzona została na specjalnie zaprojektowanych wózkach, które poruszały się z prędkością czterech kilometrów na godzinę. Boczarow i jego inżynierowie urządzili swoją siedzibę główną[1277] tuż przed blokiem czwartym, w budynku z betonowymi ścianami o grubości jednego metra, w którym przed wypadkiem miano przechowywać płynne odpady radioaktywne. Wewnętrzna część strefy należała teraz do najmniej skażonych

obszarów w obrębie elektrowni, więc właśnie tu przewodniczący komisji Borys Szcherbina wygłaszał codziennie apele podczas odprawy i co dwadzieścia cztery godziny informował Gorbaczowa o postępach. Często odwiedzał go sędziwy przewodniczący Średmaszu, Jefim Sławski. Wewnątrz prowizorycznego bunkra siedzieli inżynierowie, którzy przez system zdalnie sterowanych kamer śledzili składanie Sarkofagu. Wpatrując się w ekrany nadające obrazy z najbardziej skażonych terenów, za pomocą krótkofalówek wykrzykiwali do operatorów dźwigów instrukcje: „Do góry!”, „W dół!”, „W lewo!”, „W prawo!”. Operatorzy dźwigów działali na ślepo. Schowani w kabinach wyłożonych grubą na piętnaście centymetrów warstwą ołowiu, na czarno-białym monitorze widzieli jedynie kołyszący się hak własnego dźwigu.

Boczarow także pracował po omacku. Nawet na etapie montażu nie miał planów Sarkofagu i nie mógł dokonać wiarygodnych pomiarów w ruinach. Działał na podstawie zdjęć bloku czwartego wykonanych z helikoptera lub z satelity albo obserwował sytuację przez lornetkę z posterunku na wysokości +67 przy bloku trzecim. Kiedy okazało się, że nie da się działać dalej bez wysłania kogoś na miejsce, naukowcy z NIKIMT-u wpadli na kolejny genialny pomysł: batyskaf[1278] – dwudziestotonowa ołowiana kabina z pojedynczym oknem o grubości trzydziestu centymetrów ze szkła ołowiowego, którą spuszczało się na pięciometrowej linie z żurawia Demag. W środku mieściło się czterech mężczyzn. Za pomocą dźwigu batyskaf mógł zostać wyniesiony na wysokość stu metrów i spuszczonej ponad blok czwarty, gdzie inżynierowie mogli zostać

stosunkowo bezpiecznie opuszczeni w najbardziej radioaktywne miejsce elektrowni.

Plan przykrycia reaktora był prosty, ale ryzykowny[1279]. Główny inżynier zaproponował położenie dwudziestu siedmiu masywnych stalowych rur jedna przy drugiej na belkach opartych o pozostałości ścian budynku reaktora zalanych betonem. Jednak poziom promieniowania nie pozwalał na ocenę, jak bardzo zniszczone zostały te ściany ani czy udźwigną nowy dach. Fizycy obawiali się, że gdyby się zapadły, mogłoby dojść do kolejnej eksplozji.

Kiedy podnoszono belkę nazywaną samolotem, okazała się tak ciężka, że jedna z lin dźwigu się urwała, wydając przy tym odgłos przypominający wystrzał z armaty. Boczarow wspominał, że operator dźwigu, w obawie, że belka spadnie, wyskoczył z ołowianej kabiny i uciekł przerażony. Minęła doba, zanim wymieniono linę i znaleziono nowego operatora, który ułożył samolot na miejscu.

Kiedy Boczarow zabrał Borysa Szczerbinę do punktu obserwacyjnego na poziomie +67, żeby pokazać mu miejsce, w którym miał spocząć najważniejszy element układanki – 180-tonowa belka mamut, wspierający dach i przykrywający Sarkofag – przewodniczący nie krył przerażenia. Zauważył, że belka zostanie położona na ruinach, w skład których wchodziły nie tylko pokruszony beton i powyginane rury, lecz także sterczące wśród gruzów resztki mebli biurowych.

– Powariowaliście? – zapytał Boczarowa. – To niemożliwe. Znajdźcie inny sposób.

Ale nie było innego sposobu. Ukończenie całego budynku zależało od prawidłowego umieszczenia tego pojedynczego, ogromnego kawałka metalu. Jeśli się nie uda, trzeba będzie budować Sarkofag od nowa[1280]. Boczarow postanowił osobiście zbadać to miejsce.

Do późnej jesieni przez strefę wysokiego promieniowania przewinęły się już dziesiątki tysięcy powołanych z całego Związku Radzieckiego partyzantów w średnim wieku skierowanych do pracy, którą mieli wykonywać do momentu osiągnięcia limitu 25 remów. Po wypełnieniu obowiązków poddawano ich dekontaminacji, demobilizowano i kazano podpisać klauzulę tajemnicy, a następnie odsyłano do domu z małą tekturową książeczką, w której podana była oficjalna dawka promieniowania, jaką przyjęli. Niewielu wierzyło w to, co było tam napisane. Niektórym przed opuszczeniem dawano za wyróżniające się zasługi możliwość wyboru nagrody[1281]: magnetofonu kasetowego lub zegarka. Po powrocie do domu wielu próbowało wypłukać promieniotwórcze pierwiastki z ciała za pomocą wódki. Wbrew temu, co w tryumfalnych nagłówkach pisały „Prawda” i „Izwestia”[1282], po miastach i miasteczkach całego ZSRR zaczęła się rozprzestrzeniać gorzka prawda na temat warunków, z jakimi się zetknęli. Kiedy więc rezerwiści dostawali kartę powołania wzywającą na „specjalny trening”, wiedzieli, co to oznacza. Niektórzy przekupywali komisję[1283], żeby móc zostać w domu: wykupienie się od wojny w Afganistanie kosztowało tysiąc rubli, a od Czarnobyła połowę tej kwoty. W niektórych namiotowych obozach na obrzeżach strefy dochodziło do buntu żołnierzy. Kiedy dwustu Estończyków[1284] dowiedziało się, że

ich pobyt został wydłużony z dwóch do sześciu miesięcy, zebrali się i odmówiło powrotu do pracy. Milicyjne patrole w Kijowie zatrzymywały starszych oficerów, którzy porzucili swoje ekipy i po pijaku próbowali uciec kolejną[1285].

Ale wciąż było wielu, którzy zgłaszali się na ochotnika przyciągani obietnicą wysokich zarobków za służbę w strefie wysokiego promieniowania albo zatrudniali się z ciekawości lub pragnienia poświęcenia się dla ojczyzny, tak jak ich ojcowie i dziadkowie czynili podczas wielkiej wojny ojczyźnianej[1286].

Władimir Usatienko miał trzydzieści sześć lat, kiedy został powołany 17 października wraz z osiemdziesięcioma innymi partyzantami z Charkowa, którzy przylecieli do Kijowa na pokładzie samolotu transportowego Iljuszyn-76, skąd zostali przetransportowani ciężarówkami do obozu nieopodal elektrowni. Był inżynierem, który odbył służbę wojskową jako radiooperator w Siłach Obrony Przeciwrakietowej ZSRR i mógł dać łapówkę, ale postanowił tego nie robić. W strefie napotkał totalny chaos: niedoinformowani żołnierze wykonywali swoje obowiązki niczym mrówki, ale starsi oficerowie nie mieli pojęcia, co się dzieje. Oddziały żołnierzy wałęsały się po strefach wysokiego skażenia, czekając na rozkazy albo obserwując, jak pracują inni, najwyraźniej nieświadomi, że cały czas rośnie przyjmowana przez nich dawka promieniowania.

Usatienko objął dowodzenie nad plutonem żołnierzy, a podoficerowie, którzy byli na miejscu od pewnego czasu, ostrzegli go, żeby uważał na siebie, nie zwracał uwagi na dowódców i chronił swoich ludzi przed najmocniejszym promieniowaniem. Niemal natychmiast odesłano ich do pracy

w jednostce Średmaszu US-605, w maszynowni pod rosnącymi ścianami Sarkofagu. Usatienko zabrał ośmiu ludzi na poziom +24,5, gdzie budowano betonową barierę pomiędzy blokami trzecim i czwartym i przez godzinę przybijał drewniane panele gwoździami do ściany. Wszystko, co robili, było tajne i żołnierzom nie wyjawiano, na czym tak naprawdę polega ich praca. Tu są deski, tam młotki, a tam gwoździe. Do roboty. Zadania były różne, ale pod najważniejszymi względami podobne do siebie: katorżnicze, manualne i bezsensowne. Nosili do piwnicy czterdziestolitrowe worki wypełnione wodą, gdzie inni ręcznie mieszały cement, zrzucali porzucone węże strażackie z dachu i zbierali gruz z osuszonych zbiorników. Kazano im po prostu podnosić, co tylko dali radę, i jak najszybciej wynosić.

Wewnątrz Sarkofagu panowały mrok i wilgoć. Usatienko najbardziej się bał, że gdzieś w tym labiryncie zgubi swoich ludzi. Wszędzie utrzymywało się wysokie promieniowanie. W niektórych pomieszczeniach czuli, jakby ktoś pryskał im w oczy niewidzialnym sprayem. W innych Średmasz zainstalował głośniki emitujące ciągły dźwięk o niskiej częstotliwości, ostrzegający, żeby nie pozostawać zbyt długo w tym miejscu. W kolejnych specjaliści z US-605 zawiesili na ścianach 36-woltowe lampy i ze swoich wyłożonych ołowiem kabin obserwowali postęp prac partyzantów za pomocą kamer. Kiedy dostali rozkaz pracy w pomieszczeniu obok reaktora, gdzie po jednej minucie dozymetry wskazały maksymalną wartość, Usatienko i jego ludzie zbuntowali się. Poszli w stronę pomieszczenia, a następnie zepchnęli kamerę i schowali się w bezpiecznym miejscu, czekając aż upłynie czas przeznaczony na zadanie. Technikom w US-605

dziesięć dni zajęło zainstalowanie nowej kamery. Tymczasem Usatienko i jego ludzie wyjechali[1287].

Władimir Usatienko odbył w sumie dwadzieścia osiem misji[1288] w bloku trzecim i czwartym i spędził w strefie czterdzieści cztery dni. Nie spotkał tam jednak oddanych patriotów. Każdy, z kim rozmawiał, myślał tylko o dostaniu przepisowych 25 remów i jak najszybszym opuszczeniu strefy.

Lew Boczarow, główny inżynier ostatniej zmiany US-605, idący w towarzystwie prowadzącego go fizyka z Instytutu Kurczatowa i ugiętego pod nieporęcznym sprzętem nagrywającym kamerzysty, udał się do ruin bloku czwartego, w miejsce, w którym zamontowana miała być belka mamucia. Mężczyźni wspięli się po schodach, które w wyniku eksplozji zostały oderwane od ściany i obecnie były zawieszane w powietrzu pod dziwnym kątem. Na wysokości +24 skręcili w ciemny korytarz i zaczęli biec. Im dalej biegli, tym niżej znajdował się sufit. W końcu zdali sobie sprawę, że korytarz został wypełniony cementem wylewanym przez Średmasz. Kiedy dotarli do końca korytarza, musieli ukucnąć i precyzyjnie przeczekać się przez otwór o wysokości czterdziestu centymetrów, trzymając za nogi osobę przed sobą. W końcu, na poziomie +39, ujrzeli światło dzienne. W miejscu, w którym miał spocząć mamut, była dziura. Boczarow zostawił innych i pobiegł po gruzach. Trzy minuty później powrócił, bogatszy o sporą dawkę napromieniowania i nowy plan.

Za pomocą dźwigu Demag, batyskafu i sześćdziesięciu partyzantów odznaczających się prędkością i zwinnością, a także sieci rybackich dostarczonych z Murmańska Boczarow utworzył improwizowaną betonową platformę, rozpostartą na gruzach na

poziomie +51. Kilka zorganizowanych naprędcie testów obciążeniowych utwierdziło inżynierów w przekonaniu, że platforma utrzyma ciężar mamuta[1289]. O godzinie dwudziestej drugiej[1290], 1 listopada, masywna belka wreszcie została ułożona na miejscu. Po raz pierwszy od rozpoczęcia likwidacji na twarzy Jefima Sławskiego zaobserwowano uśmiech.

Dalsza praca posuwała się szybko. Trujące trzewia reaktora w końcu zostały przykryte, ekipy Średmaszu zainstalowały system wentylacyjny, żeby ustabilizować atmosferę wewnątrz Sarkofagu i podłączyły sieć urządzeń monitorujących promieniowanie i temperaturę, wstawiając do pobliskiego świeżo odkażonego pomieszczenia sprzęt komputerowy. Jednak wciąż nie znaleziono stu osiemdziesięciu ton zaginionego uranu z rdzenia[1291] i Legasow wraz z innymi naukowcami obawiali się wywołania nowej reakcji łańcuchowej. Wewnątrz budynku zainstalowano więc system spryskiwaczy nadzorowany przez Instytut Kurczatowa, który spryskiwał ruiny absorbującą neutrony zawieszoną zawierającą węgiel boru. Miało w ten sposób utworzyć warstwę, powstrzymując tworzenie się masy krytycznej. Dach i okna[1292] maszynowni bloku czwartego zostały wyłożone stalowymi płytami, a zachodnia ściana hali reaktora została wzmocniona rzędem dziesięciu masywnych stalowych przypór o wysokości czterdziestu pięciu metrów.

Kiedy Sławski ponownie przybył na inspekcję, 13 listopada, Sarkofag był niemal ukończony i wyglądał niczym złowieszcza, średniowieczna fantazja na temat lochu, do którego wtrącono samego szatana. Było to niezwykle osiągnięcie, tryumf technologii w obliczu okropnych okoliczności i kolejny przejaw radzieckiej

gigantomanii: inżynierowie chwalili się[1293], że do postawienia struktury użyto 400 tysięcy metrów sześciennych betonu, 600 tysięcy metrów sześciennych żwiru i 7700 ton metalu. Koszty sięgały miliona[1294], a nawet półtora miliona rubli dziennie. Kiedy Sławski spojrział na to potężne dzieło[1295] betonowo-stalowego brutalizmu, ponoć łza zakręciła mu się w oku.

Było to ostatnie osiągnięcie Sławskiego jako przywódcy potężnego imperium Średmaszu[1296]. Tydzień później premier Ryzkow wezwał go do swojego biura na Kremlu i poprosił o złożenie rezygnacji. Sławski napisał jedno zdanie swoim charakterystycznym niebieskim ołówkiem: „Ogłuchłem na lewe ucho, proszę więc o zwolnienie”. Dał w ten sposób prztyczka w nos na pożegnanie, ujawniając prawdziwe uczucia wobec wymuszenia na nim rezygnacji w momencie, w którym uważał, że stać go jeszcze na wiele. Sławski miał osiemdziesiąt osiem lat i za pół roku świętowałby trzydziestolecie na czele Średmaszu. Kiedy wieści o jego rezygnacji dotarły do siedziby Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich przy ulicy Bolszaja Ordynka w Moskwie, jego podwładni płakali.

Dokument formalnie potwierdzający ukończenie budowy Sarkofagu został podpisany 30 listopada 1986 roku, siedem miesięcy i cztery dni po tym, jak eksplozja rozerwała reaktor numer 4. Trzeciego grudnia Lew Boczarow zakończył swój pobyt w Strefie Specjalnej. Na Ukrainie zaczynała się zima. Wkrótce Sarkofag miał zniknąć pod warstwą śniegu. Boczarow, ubrany w zimową kurtkę i pasiasty podkoszulek, który otrzymywał każdy żołnierz w Afganistanie, dotarł na stację kolejową w Kijowie. W towarzystwie paru kolegów wsiadł do nocnego pociągu

zmierzającego do Moskwy. Mieli ze sobą kartonową skrzynkę wypełnioną butelkami wódki. W drodze do domu pili.

Kiedy rankiem pociąg wjeżdżał na stację w Moskwie, Boczarow myślał, że będą witani niczym bohaterowie, ale na peronie nie było żadnego tłumu. Spotkał tylko żonę i przyjaciela, który przywiózł ją samochodem. Zaczepił go też żołnierz z Afganistanu, który rozpoznał wojskowy kamuflaż.

– Kandahar?[1297] – zapytał mundurowy.

– Czarnobyl – odparł Boczarow.

Żołnierz objął go ramieniem.

– Bracie, mieliście trudniejszą misję.

Strefa Wykluczenia

Na początku sierpnia 1986 roku[1298] liczba grobów w specjalnej części nowego cmentarza na przedmieściach Moskwy nieopodal wioski Mitino wzrosła do dwudziestu pięciu. Stały w dwóch rzędach, pięćdziesiąt metrów od wyłożonego żółtymi płytkami krematorium usytuowanego przy głównej bramie. Obok nich było miejsce na kolejne. Niektóre miały białe marmurowe nagrobki z pozłacanymi inskrypcjami i były udekorowane radziecką gwiazdą. Inne były tak świeże, że przykrywał je wzgórek ziemi, na którym leżały kwiaty z wetkniętą w nie tekturową tabliczką. Ponad nimi krążyły wrony. Kiedy zachodni dziennikarze udali się na cmentarz, aby spisać nazwiska zmarłych, policja odebrała im notesy i po cichu wyprowadziła na zewnątrz.

We wrześniu doktor Andżelina Guskowa ogłosiła[1299], że w wyniku eksplozji w bloku czwartym elektrowni atomowej w Czarnobylu zginęło trzydzieści jeden mężczyzn i kobiet. Od tej pory liczba ta traktowana była jako oficjalna liczba ofiar śmiertelnych katastrofy. Wszelkie wyższe dane traktowano jako przejaw burżuazyjnej, zachodniej propagandy. Ciało operatora pomp Walerija Chodemczuka[1300], który zginął na miejscu w wyniku eksplozji lub przysypany gruzem, zostało pogrzebane w budynku reaktora. Jego kolega Władimir Szaszenok, który zmarł kilka godzin później w szpitalu w Prypeci z powodu odniesionych obrażeń i poparzeń, został pochowany w małej

wiosce niedaleko elektrowni. Na oddziale radiologii w Kijowie i w klinice specjalistycznej w Moskwie w wyniku choroby popromiennej zmarło dwadzieścia dziewięć osób[1301] – operatorów, strażaków i pracowników bezpieczeństwa. Spośród trzynastu pacjentów, u których Robert Gale i radzieccy specjaliści wykonali przeszczep szpiku, zmarli wszyscy oprócz jednego[1302]. Guskowa uznała tę metodę za nieskuteczną w leczeniu choroby popromiennej. Ale wiele osób, które w pierwszych godzinach po eksplozji doznało poważnych obrażeń, po kilku miesiącach leczenia w Szpitalu numer 6 zaczęło odzyskiwać siły.

Zastępca głównego inżyniera Anatolij Diatłow[1303], który wbrew sprzeciwowi podwładnych nalegał na kontynuowanie feralnego testu turbiny, a potem przez kilka godzin z niedowierzaniem przemierzał ruiny bloku czwartego, doznał rozległych poparzeń nóg cząstkami beta i otrzymał dawkę promieniowania 550 remów, ale na początku listopada wypisano go ze szpitala. Wrócił do Kijowa, gdzie wkrótce został aresztowany. Majora Leonida Tielatnikowa[1304], który dowodził oddziałem strażackim z Czarnobyla, nie poinformowano o śmierci jego ludzi aż do lipca, kiedy to mógł opuścić izolatkę i poruszać się po szpitalu samodzielnie w masce z gazy chroniącej przed infekcjami. W sierpniu został wypisany i wysłany wraz z żoną i dwójką dzieci do sanatorium nad łotewskim morzem. Polecono mu jednak unikać słońca i tłustych potraw, gdyż promieniowanie zniszczyło mu wątrobę. Po miesiącu czuł się na tyle dobrze, że odwiedził rodziców w Kazachstanie.

Wyleczenie niektórych wystawionych na największe promieniowanie operatorów lekarze uznawali niemal za

cud[1305]. Jeden z inżynierów elektryków, Andriej Tormozin, znajdował się zaledwie sto dwadzieścia metrów od reaktora w momencie eksplozji, a następnie spędził kilka godzin w wysoce skażonej hali turbin, usiłując zatrzymać pompy i ugasić pożar oleju. Otrzymał prawie 1000 remów, co Guskowa i pozostali specjaliści uważali za śmiertelną dawkę promieniowania beta i gamma. Jego ciało odrzuciło przeszczep szpiku, w wyniku promieniowania doznał zatrucia krwi i zapalenia wątroby. Nikt się nie spodziewał, że przeżyje. Ale pod koniec maja wyniki badania krwi się poprawiły i z powodów, których lekarze nie potrafili w pełni wyjaśnić, całkowicie wyzdrowiał.

Aleksander Juwczenko[1306], który słyszał, jak urządzenia podtrzymujące życie jego kolegów w sąsiednich pokojach milkną jedna po drugiej, przez cały maj balansował na granicy życia i śmierci. Przez kilka tygodni jego żona, Natalia, budziła się każdego dnia w pobliskim hostelu, pełna obaw, co mogło się wydarzyć przez noc, i prosiła matkę, żeby zadzwoniła do szpitala. Przesądna Juwczenko miała nadzieję, że jeśli to nie ona zadzwoni, stan zdrowia jej męża się poprawi. Po odrzuceniu przeszczepu lekarze dalej robili mu transfuzje, a Natalia przemierzała miasto w poszukiwaniu rzadkich i drogich preparatów, które mogły poprawić mu zdrowie. Przynosiła mu kanapki z kawiozem, a jego przyjaciel Sasza Korol nalegał, żeby spróbował keczupu. Ale Juwczenko nie był w stanie niczego jeść, karmiono go przez kroplówkę.

W czerwcu szpik Juwczenki zaczął znowu funkcjonować[1307], w jego krwi pojawiły się pierwsze białe krwinki, a wraz z nimi nadzieja, że będzie żył. Nie wiadomo było jednak, czy poparzenia,

zwłaszcza na ręce i ramieniu, kiedykolwiek w pełni się zagoją. Chirurdzy wciąż musieli nacinać mu skórę i mięśnie, żeby usunąć czarną, gnijącą tkankę. W miejscu, w którym cząstki beta przeniknęły do łokcia, tworzyły się bolesne rany i wydawało się, że już nigdy w pełni nie odzyska zdrowia.

Ale w drugiej połowie września lekarze pozwolili Juwczence udać się na krótko do nowego mieszkania, które jego rodzina dostała od rządu, w dobrze usytuowanej dzielnicy w pobliżu Uniwersytetu Moskiewskiego. Był wyniszczony i wychudzony, a także uzależniony od narkotyków, które podawano mu, żeby uśmierzyć potworny ból spowodowany poparzeniami. Po tygodniach całodobowej opieki lekarze próbowali odstawić Juwczence leki przeciwbólowe i zachęcić go do bardziej samodzielnego funkcjonowania. Ale promieniowanie jeszcze z nim nie skończyło. Nawet kilka miesięcy po eksplozji na jego nogach i rękach pojawiały się nowe oparzenia, został więc ponownie przyjęty do Szpitala numer 6 na dalsze leczenie.

Ci, którzy przeżyli chorobę popromienną, leżeli w szpitalu w Moskwie, natomiast ci, których ewakuowano z Prypeci, pozostawali zawieszani w pustce, nie wiedząc, czy i kiedy będą mogli powrócić do swoich domów w opuszczonym atomgradzie. Tuż za strefą wykluczenia w mieście Poliśke[1308] tysiące ewakuowanych mieszkańców, bez czystej odzieży i pieniędzy, zakładało na siebie to, co miało pod ręką, w tym szlafroki i białe kombinezony pracowników elektrowni. Ich wiara w lecznicze działanie wódki doprowadziła do tego, że włamali się do pobliskiego sklepu monopolowego, a butelki samogonu rozchodziły się po trzydzieści pięć rubli za litr, czyli za tyle, ile

kosztował dobry koniak w Kijowie. Tymczasem państwo próbowało im znaleźć nowe miejsca pracy i stworzyć szkoły dla dzieci. W maju radziecki Czerwony Krzyż[1309] wypłacił jednorazową zapomogę w wysokości pięćdziesięciu rubli na osobę każdemu mieszkańcowi ewakuowanej strefy. Pod koniec miesiąca rząd wypłacił kolejne dwieście rubli każdemu członkowi każdej ewakuowanej rodziny. Co rano piętnastu kasjerów rozdzielało miliony rubli dostarczone w gotówce pod nadzorem uzbrojonych milicjantów z banku do urzędu miejskiego w Poliśke. A mimo to przez cały czerwiec i lipiec ludzie przychodzili do tymczasowej siedziby rady miejskiej przy ulicy Sowieckiej w Czarnobylu, pytając: „Kiedy będziemy mogli wrócić do domu?”.

Dwudziestego piątego lipca dostali odpowiedź[1310]: tego ranka pierwsze autobusy z mieszkańcami Prypeci ruszyły z powrotem do miasta, ale tylko w ramach oficjalnego programu umożliwiającego zabranie dobytku z mieszkań i domaganie się rekompensaty za to, czego zabrać nie mogli. W punkcie kontrolnym na granicy trzydziestokilometrowej Strefy Wykluczenia wydano im bawełniane kombinezony, osłony na buty, maski i grube plastikowe torby. Po sprawdzeniu dokumentów pozwolono spędzić im trzy do czterech godzin w mieszkaniach i na ulicach miasta, na które wiatr nawiał żółtego piasku. Tego ranka z autobusów wysiadło sześćdziesiąt dziewięć osób, a w kolejnych miesiącach do domów powróciły jeszcze setki, by odzyskać to, co się dało.

Wysiedleńcy mogli zabrać przedmioty tylko z niektórych, ściśle określonych kategorii[1311]. Zabronione były duże meble i rzeczy, które łatwo się kurzą, w tym dywany i telewizory, a także

zabawki i przedmioty należące do dzieci oraz wszystko to, przy czym zarejestrowano poziom promieniowania wyższy niż 0,1 milirentgena na godzinę. Od bloków mieszkalnych odcięto wodę i prąd, cierpki zapach dymu papierosowego i potu, który niegdyś unosił się na klatkach schodowych i korytarzach, wywietrzał. Pomimo patroli milicyjnych i zainstalowanych przy wejściach do budynków alarmów wiele osób odkryło, że ich mieszkania zostały obrabowane. Lodówki wypełnione były resztkami rozkładającej się żywności zakupionej na święto 1 Maja. Niektórzy ze łzami w oczach patrzyli na dobytek pozostawiany w zatęchłych mieszkaniach, których już pewnie nigdy nie zobaczą[1312].

We wrześniu[1313] Natalia Juwczenko powróciła do dwupokojowego mieszkania, które dzieliła wraz z Aleksandrem i ich synem przy prospekcie Robotników. Przy wejściu na klatkę znalazła zniszczony wózek Kiryła. Weszła po schodach na górę w obawie, co może tam zastać, ale mieszkanie wyglądało tak samo jak w momencie, kiedy je zostawiła. Pierwszą rzeczą, którą ujrzała, był karton mleka przyniesiony przez Saszę Korola w dniu ewakuacji. Wciąż spoczywał na siodełku roweru Aleksandra. Nie zabrała ze sobą wiele, ale wzięła kilka slajdów i fotografii, w tym z urodzin Aleksandra rok wcześniej, na której pozują w kapeluszach, i z zabawnym wierszem, który na tę okazję napisał dla nich sąsiad. Inni mieszkańcy zabierali[1314] w pośpiechu przypadkowe rzeczy – torbę z powieściami science fiction, sztuce – to, co mogło im się wydawać przydatne i do czego czuli sentyment. Każdy mieszkaniec miał maksymalnie cztery godziny na zdecydowanie, co chce i może zabrać, po upływie tego czasu musiał wracać do autobusu. Walentina Briuchanowa[1315],

która teraz mieszkała nad rzeką w miejscowości Zeleny Mys i pracowała na dwie zmiany w elektrowni, podczas gdy jej mąż przesiadywał w areszcie KGB w Kijowie, odzyskała najcenniejsze rzeczy: kryształowe kieliszki, które otrzymali na dwudziestą piątą rocznicę ślubu, portret rodzinny, zrobiony, kiedy ich syn był jeszcze mały, cenny płaszcz z owczej skóry, który ostatecznie oddała sąsiadce, i kilka książek, które przetała octem w nadziei, że zneutralizuje promieniowanie.

Kiedy mieszkańcy docierali do punktu kontrolnego na granicy strefy, często już się ściemniało[1316]. Tam ich dobytek sprawdzany był przez studentów inżynierii jądrowej z MEPhI w Obnińsku. Pracowali w każdą pogodę, wymachując różdżkami radiometrów nad pudełkami z porcelaną, magnetofonami, książkami, aparatami fotograficznymi, odzieżą i bibelotami. Kiedy coś okazało się zbyt skażone, niektórzy próbowali przekupić strażników gotówką lub inną walutą, popularną w Strefie Wykluczenia, czyli wódką. Studenci ze zdumieniem odkryli, że nawet byli pracownicy elektrowni w Czarnobylu nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa promieniowania i z zaskoczeniem patrzyli na obcych ludzi wyłaniających się z półmroku i oferujących skrzynki z alkoholem w zamian za pozwolenie poszperania w stercie skonfiskowanych przedmiotów, które następnie planowali sprzedać na bazarach poza strefą.

Wizyty w opuszczonym mieście trwały dokładnie cztery miesiące[1317] i zakończyły się 25 października 1986 roku. Przez ten czas swoje mieszkania w Prypeci odwiedziło 29 496 osób. Niektórzy byli więcej niż raz, inni nie przyjechali wcale i nikt nie zgłosił się po ich dobytek. Rada miejska planowała[1318]

zorganizować kolejne wycieczki jesienią następnego roku, ale komisja rządowa nie pozwoliła na nie. Zdecydowano o wypłacie rekompensaty za utracone mienie: cztery tysiące rubli dla samotnej osoby i siedem tysięcy rubli dla dwojga. W tamtych czasach nowy samochód kosztował pięć tysięcy rubli (jeśli tylko ktoś miał tyle szczęścia, że udało mu się go zdobyć). Przez całe lato ispołkom otrzymywał setki podań dziennie o rekompensatę. Do końca roku suma rekompensat dla mieszkańców Prypeci na rzecz spustoszeń wywołanych przez pokojowy atom – wyłączając z tego samochody, garaże, dachy i łodzie motorowe – wyniosła sto trzydzieści milionów rubli. Sklepy z meblami w Kijowie spodziewały się tej jesieni wzrostu obrotów, gdyż przesiedleńcy próbowali odbudować swoje życie, kupując na nowo rzeczy, które kiedyś posiadali.

Początkowo los tych, którzy stracili domy w wyniku eksplozji reaktora, wzbudził współczucie w całym ZSRR. Pod koniec kwietnia rząd założył fundusz pomocowy w banku, nazwany z typową radziecką prostotą: Konto numer 904, na które można było wpłacać datki na ofiary. W maju na stadionie olimpijskim w Moskwie zorganizowano pierwszy w Związku Radzieckim koncert rockowy[1319], który przyciągnął trzydzieści tysięcy osób. W trakcie imprezy połączono się na żywo ze studiem w Kijowie, z którego górnicy, operatorzy elektrowni, likwidatorzy i strażacy czytali nazwiska towarzyszy zmarłych w Szpitalu numer 6. Na początku sierpnia prezes banku obwieścił, że na Konto numer 904 wpłynęło prawie pięćset milionów rubli[1320], wysłanych przez osoby prywatne i członków spółdzielni, pobrane z wypłat, rent i premii, a także przelewy z zagranicy w obcej walucie.

Ale stałe przesiedlenie stu szesnastu tysięcy osób – specjalistów i ich rodzin z Prypeci, mieszkańców Czarnobyla i rolników z wiosek rozsianych po trzydziestokilometrowej Strefie Wykluczenia – i znalezienie im nowych miejsc pracy, szkół i domów było bardziej skomplikowane. W czerwcu Biuro Polityczne wydało rezolucję[1321], która mówiła, że los wysiedleńców jest priorytetem politycznym, i wezwała rządy republiki ukraińskiej i białoruskiej do wybudowania przed zimą dziesiątek tysięcy nowych mieszkań. Pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn i kobiet[1322] zjechało z całej Ukrainy i natychmiast zabrało się do pracy. Pierwsze osiedle[1323] – sto pięćdziesiąt ceglanych domów w pobliżu kołchozu Gorcki, nieco ponad sto kilometrów na południe od Czarnobyla – zostało uroczyście oddane w sierpniu. Każdy dom wyposażono w meble, ręczniki i tkaniny, doprowadzono gaz i prąd, a betonową piwnicę wypełniono ziemniakami[1324]. Republika Ukrainy podjęła się ukończenia budowy 11 500 domów jednorodzinnych przed 1 października[1325].

Biuro Polityczne zabrało dodatkowe trzynaście tysięcy nowo wybudowanych mieszkań w Kijowie i innych miastach Ukrainy tuż sprzed nosa rodzinom, które zapisane były na nie od lat, o wręczyło klucze mieszkańcom Prypeci. Specjaliści z elektrowni jądrowej wraz z bliskimi zostali przeniesieni do trzech pozostałych elektrowni jądrowych, w Konstantynówce, Zaporozżu i Równem, gdzie dostali nowe stanowiska i nowe mieszkania. Nie zostali tam wcale ciepło powitani przez swoich kolegów, którym nie podobało się to, że muszą oddać swoje ciężko zapracowane miejsca w kolejce kolegom po fachu, którzy najwyraźniej utracili swoje

domy na skutek niekompetencji[1326]. Kilka dużych projektów budowlanych, które miały zostać ukończone w Kijowie przed zimą i najpewniej zostałyby przydzielone ewakuowanym, nagle bez wyjaśnienia wstrzymano[1327]. Ostatecznie wielu byłych mieszkańców Prypeci znalazło dom na tym samym osiedlu wysokich wieżowców w dzielnicy Trojeszczyna, daleko od centrum, na północno-wschodnim skraju miasta.

Spotkali się tam z ostracyzmem sąsiadów, którzy żywili urazę do przesiedleńców i bali się skażenia promieniotwórczego[1328]. W szkołach rodzice zabraniali swoim pociechom siedzieć w ławkach z dziećmi z Prypeci[1329]. Ich obawy nie były bezpodstawne. Odczyty poziomego promieniowania na korytarzach i klatkach schodowych nowych bloków w Trojeszczynie wykazały, że panuje tam promieniowanie setki razy wyższe niż w innych częściach Kijowa[1330].

Tymczasem komisja rządowa w Czarnobylu głowiła się nad przywróceniem do użytku elektrowni w sercu skażonej strefy. Pierwszy reaktor uruchomiono na początku października[1331], a nowy dyrektor elektrowni ogłosił plany rychłego uruchomienia kolejnego. Blok trzeci był tak skażony, że główny inżynier elektrowni i specjaliści z Instytutu Kurczatowa uznali, że jego uruchomienie będzie zbyt kosztowne i szkodliwe dla zdrowia operatorów[1332]. Ale ich uwagi zostały zignorowane i podłączenie trzeciego reaktora do sieci zaplanowano na drugi kwartał 1987 roku. Komisja wydała nawet rozkaz[1333] wznowienia budowy reaktorów piątego i szóstego, które były bliskie ukończenia, ale w dniu awarii wstrzymano nad nimi pracę[1334].

„Prawda” poinformowała[1335] o ambitnych planach budowy kolejnego atomgradu, który pomieściłby pracowników wskrzeszonej elektrowni w Czarnobylu i ich rodziny. Miało to być miasto przyszłości, na miarę XXI wieku, leżące czterdzieści pięć kilometrów na północny wschód od Prypeci, pośrodku lasu nad brzegiem Dniepru. Nazwano je Sławutycz i miało nowoczesną infrastrukturę, a szczególną wagę przykładano do zintegrowania go ze środowiskiem naturalnym. Zbudowano je wokół placu głównego, na którym miał stanąć pomnik Lenina. W pobliżu planowano stworzyć muzeum bohaterów Czarnobyla.

Moskiewska propaganda wokół awarii skupiła się teraz na wielkim poświęceniu strażaków i ich dowódcy, majora Tielatnikowa. Jego fotografia – wciąż łysyego na skutek choroby popromiennej – pojawiła się we wrześniu na pierwszej stronie „Izwestii” pod nagłówkiem „Dziękujemy Wam, Bohaterowie Czarnobyla”. Media poinformowały, że generał Antoszkina, dowodzący misją helikopterów, otrzymał najwyższe odznaczenie, tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Dwóm młodym porucznikom, Władimirowi Prawikowi i Wiktorowi Kibenokowi, którzy poprowadzili swoich ludzi na dach reaktora, by gasić elementy paliwa i szczątki grafitu, przyznano to wyróżnienie pośmiertnie. Komendanci Średmaszu US-605, którzy zbudowali Sarkofag, dostali medale Bohaterów Pracy Socjalistycznej. Kiedy kasztanowe włosy Tielatnikowa odrosły, został wysłany za granicę, gdzie witano go jak gwiazdę. Dostał nagrody od strażaków w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, udzielił wywiadu magazynowi „People”, a w Londynie spotkał się z premier Margaret Thatcher.

W trakcie emitowanej przez telewizję uroczystości, która odbyła się w styczniu następnego roku, siwowłosy przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR Andriej Gromyko wygłosił przemówienie wychwalające strażaków, wojskowych likwidatorów i konstruktorów Średmaszu, którzy pogrzebali pozostałości reaktora pod piaskiem i betonem. „Dziesiątki milionów osób na całym świecie, z bliska i z daleka, pełni nadziei obserwowały waszą pracę – powiedział. – Ta uroczystość to wielka uroczystość całej ludzkości. Wspólnie dzieliliśmy ból Czarnobyla, ale stał się on symbolem zwycięstwa radzieckich ludzi nad cząstkami [...]. Jednocześnie nasza partia oddaje należną cześć każdej osobie. Nie ma tu bezimiennych bohaterów. Każdy ma swoją twarz, swój charakter, swoje doświadczenia”[1336].

Jednak niektórzy bohaterowie byli równiejsi od pozostałych. Nikt publicznie nie podziękował inżynierom i operatorom elektrowni w Czarnobylu, którzy ugasili pożary i zapobiegli kolejnym eksplozjom w hali turbin, ani tym, którzy udali się w najbardziej skażone części elektrowni, nadaremnie usiłując schłodzić reaktor. Nieliczne nagrody[1337] dla pracowników elektrowni zostały przyznane w ścisłej tajemnicy. Anatolij Dobrynin, sekretarz Komitetu Centralnego do spraw zagranicznych, odwiedził rannych operatorów w Szpitalu numer 6, ale prasa o tym nie poinformowała[1338]. Zamiast wyrazów uznania dla bohaterstwa, rodziny Aleksandra Akimowa i Leonida Toptunowa otrzymały informację, że zgodnie z artykułem 6, paragraf 8 ukraińskiego Kodeksu karnego podejrzani unikną wniesienia oskarżenia jedynie z powodu ich śmierci[1339].

Skompromitowany dyrektor elektrowni Wiktor Briuchanow zimę 1986 roku spędził w celi KGB w Kijowie, czekając na proces. Nie mógł przyjmować odwiedzin, ale raz w miesiącu jego żona, Walentina, mogła przynieść mu pięciokilogramową paczkę z żywnością, do której pakowała kielbasy, ser i masło[1340]. Okazjonalnie Briuchanow miał w celi współlokatora[1341] – fałszerza lub włamywacza – ale większość dłużącego się w nieskończoność czasu spędzał w samotności, czytając książki z więziennej biblioteki i ucząc się angielskiego. Walentina mogła mu przynosić anglojęzyczne gazety. Do czasu aż pewnego dnia ich syn przemycił w jednej z nich krótką wiadomość: *I love you, Daddy*. Po tym incydencie odebrano mu ten przywilej[1342].

Briuchanow początkowo odmówił korzystania z usług obrońcy[1343], bo wiedział, że wyrok zapadł już dawno temu. Żona przekonała go jednak do zmiany zdania i w grudniu udała się do Moskwy, gdzie znalazła prawnika, który zgodził się reprezentować byłego dyrektora elektrowni. Był to specjalista uprawniony do udziału w sprawach dotyczących zamkniętych stref radzieckich kompleksów nuklearnych, posiadający wgląd w ściśle tajne akta zebrane przez Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich[1344]. Tego samego miesiąca[1345], w ramach procedury ujawniania materiałów zgodnie z radzieckim prawem, śledczy udostępnili Briuchanowowi dowody, które zdobyli podczas przesłuchań, a które miały zostać użyte przeciwko niemu. W stercie papierów dyrektor znalazł list[1346] napisany przez jednego z ekspertów z Instytutu Kurczatowa, z którego dowiedział się o tajemnicach reaktora RBMK – szeregu niebezpiecznych defektów projektowych, o których naukowcy

wiedzieli od dawna, ale które przez szesnaście lat trzymali w tajemnicy przed Briuchanowem i jego pracownikami.

Dwudziestego stycznia 1987 roku, po tym jak przez sześć tygodni Briuchanow w samotności zapoznawał się ze szczegółami sprawy, śledczy z prokuratury wnieśli oskarżenie do Sądu Najwyższego ZSRR. Wysłali do Moskwy w sumie czterdzieści osiem akt z dowodami[1347], wszystkie ściśle tajne. Piętnaście z nich, zawierających dokumenty zabrane z elektrowni, było tak skazane, że prawnicy musieli je przeglądać w kombinezonach ochronnych.

Briuchanowa – wraz z czterema innymi starszymi pracownikami elektrowni, w tym z Diatłowem i Fominem – oskarżono z artykułu 220, paragraf 2 ukraińskiego Kodeksu karnego o „naruszenie przepisów bezpieczeństwa”, co doprowadziło do utraty życia i innych poważnych konsekwencji w „podatnym na eksplozje obiekcie”[1348]. Była to sprytna prawna zagrywka[1349], bo radzieccy prawnicy nigdy wcześniej nie traktowali elektrowni jądrowej jako obiektu podatnego na eksplozje. Był to też pierwszy z wielu logicznych forteli potrzebnych do zrzucenia winy za wypadek na wybrane kozły ofiarne. Żeby wzmocnić zarzuty[1350], Briuchanow i Fomin zostali ponadto oskarżeni z artykułu 165 Kodeksu karnego o nadużywanie władzy. Były dyrektor został oskarżony o celowe zaniżanie odczytów poziomu promieniowania w elektrowni w dniu wypadku, opóźniając tym samym ewakuację elektrowni i Prypeci, oraz świadome wysyłanie ludzi w najbardziej skazone rejony budynku reaktora. W przypadku uznania ich winnymi

trzej najstarsi pracownicy elektrowni mogli dostać maksymalną karę dziesięciu lat więzienia.

Proces miał się rozpocząć 18 marca 1987 roku, ale został przełożony, kiedy okazało się, że zastępca głównego inżyniera Nikołaj Fomin jest zbyt rozbity psychicznie[1351], żeby stanąć przed sądem. Został aresztowany w tym samym czasie co Briuchanow i w więzieniu próbował popełnić samobójstwo, rozbijając swoje okulary i podcinając sobie odłamkami szkła nadgarstki[1352]. Wysłano go do szpitala, a proces został przełożony.

Maria Procenko powróciła[1353] do Prypeci jeszcze raz, w styczniu 1987 roku. Odziana w wełnianą kurtkę i w grubych filcowych walonkach na nogach, poprowadziła niewielki oddział żołnierzy po pokrytych śniegiem schodach Białego Domu. Chodzili od pomieszczenia do pomieszczenia, opróżniając każdą szufladę i sejf, wypełniając torby dokumentami zbyt skażonymi, żeby oddać je do archiwum bezdennej radzieckiej biurokracji, ale zbyt cennymi, żeby je zostawić. Kiedy skończyli, Procenko zabrała klucze do wszystkich pomieszczeń, a żołnierze wrzucili torby do ciężarówki. Następnie zakopali je w jednym z ośmiuset dołów na odpady radioaktywne wykopanych w całej Strefie Wykluczenia.

Osiemnastego kwietnia[1354] odbyły się wybory do rady miejskiej nowego atomgradu Sławutycz. Administracja Prypeci została oficjalnie rozwiązana, a Procenko, po blisko rocznej bezustannej harówce w Strefie Wykluczenia, oddelegowana do nowej pracy w Kijowie. W nagrodę za wszystko, co zrobiła po awarii, pozwolono jej złożyć wniosek o członkostwo w Komunistycznej Partii. Pod koniec roku Procenko zgłosiła się

do szpitala w Kijowie, gdzie spędziła ponad miesiąc, cierpiąc na objawy czegoś, co lekarze określili jako napięcie nerwowe związane z przepracowaniem. W jej aktach umieścili adnotację: „Zwykła choroba: niezwiązana z promieniowaniem jonizującym”. Opustoszały budynek ispołkomu w Prypeci stał się siedzibą Stowarzyszenia Przemysłowego „Kompleks”, nowego przedsięwzięcia, które miało kierować długofalowymi badaniami i likwidacją w trzydziestokilometrowej strefie. Nowe władze na powrót otworzyły basen w Prypeci, aby likwidatorzy mieli gdzie się zrelaksować, i założyły farmę eksperymentalną w miejskich szklarniach, gdzie w skażonej promieniotwórczo glebie hodowano truskawki i ogórki[1355].

Sprzątanie trwało, a morale wśród dziesiątek tysięcy likwidatorów[1356] skierowanych do wykonania tego niebezpiecznego i obowiązkowego zadania malało. Wiatr nawiewał kurz z wysoce skażonych obszarów[1357] do tych, które właśnie zostały uprzątnięte, udaremniając tygodnie ciężkiej pracy. Wydawało się, że w Prypeci Kompleks czyni postępy[1358], póki KGB nie odkryło, że specjaliści podają odczyty jedynie z najmniej skażonych obszarów, tym samym ponaddziesięciokrotnie zaniżając poziom skażenia w mieście. Tajna milicja zaobserwowała, że jedzenie likwidatorów jest zanieczyszczone, są braki w środkach bezpieczeństwa, pracownicy nie dostają wypłaty na czas, a jedno ze składowisk odpadów radioaktywnych regularnie zalewane jest przez rzekę. Szefom Kompleksu partia udzieliła reprimendy za tolerowanie nepotyzmu, złodziejstwa i pijaństwa.

Tymczasem szabrownictwo w strefie szalało na skalę przemysłową[1359], często inicjowane przez samych likwidatorów,

niekiedy w zмовie z ich zwierzchnikami. Pewnej nocy oficer zwiadowczy do spraw promieniowania, Aleksander Logaczew, z niedowierzaniem patrzył[1360], jak grupa żołnierzy załadowywała jedną ciężarówkę po drugiej palnikami gazowymi i materiałami budowlanymi wyniesionymi z wysoce skażonego magazynu, znajdującego się obok elektrowni.

– Chłopaki, czy was pojebało? – zapytał, ale go zignorowali. A nad ranem dwa potężne samoloty transportowe Antonow 22 wypełnione skażoną kontrabandą wystartowały w stronę wojskowych rejonów na Syberii.

Porucznik Logaczew sam wkrótce zaczął podkradać, ale był przynajmniej na tyle odpowiedzialny, żeby odkazić skradzione przedmioty, zanim wyniósł je poza teren strefy.

Ponad tysiąc samochodów i motocykli pozostawionych na ulicach Prypeci[1361] zostało zniszczonych przez wandalów, którzy kradli szyby i niszczyli karoserię. Niektóre auta zarekwirowano na użytek naukowców i techników pracujących w strefie, tworząc w ten sposób prowizoryczną flotę jaskrawych ład żiguli i moskwiczy. Na masce i drzwiach każdego z nich namalowano liczbę w białym kółku, a Maria Procenko aż do końca swojej pracy w strefie sumiennie notowała w notesie, kto i gdzie korzysta z danego samochodu. Setki pojazdów, które były zbyt skażone, żeby oddać je właścicielom, zostały przeniesione na rumowisko, zmiażdżone i zepchnięte do dołu, a następnie zasypane.

W kwietniu 1987 roku, gdy zbliżała się pierwsza rocznica awarii[1362], i członkowie moskiewskiego Biura Politycznego rozważali serię propagandowych działań, pokazujących w najlepszym świetle, jak ZSRR radzi sobie z jej skutkami.

Zaproponowano tematy programów telewizyjnych i artykułów w prasie naukowej do publikacji za granicą. Oficjalny radziecki raport IAEA[1363] zawierał siedemdziesiąt stron szczegółowych informacji udostępnionych przez doktor Andżelinę Guskową i jej kolegów, w tym średnią dawkę promieniowania szacowaną dla siedemdziesięciu pięciu milionów mieszkańców zachodniej części ZSRR będącą konsekwencją wypadku. Radziecki raport nie uwzględniał jednak liczby ofiar śmiertelnych i zachorowań w wyniku promieniowania. Zachodni specjaliści[1364] wypełnili tę lukę liczbami, które wprawiły radzieckich lekarzy we wściekłość. Robert Gale powiedział prasie[1365], że można spodziewać się siedemdziesięciu pięciu tysięcy zgonów na raka bezpośrednio powiązanego z katastrofą, z czego czterdzieści tysięcy w Związku Radzieckim, a reszty za granicą.

Pomimo większej wolności kontrolowanych przez partię mediów za czasów głośności Gorbaczowa w tym przypadku prawda nie mogła stanąć na drodze poleceniu „zdementowania wrogich, pełnych uprzedzeń oświadczeń zachodniej prasy”. Zastępca szefa Krajowego Komitetu Radia i Telewizji ZSRR zaproponował agencji TASS listę dwudziestu sześciu zagadnień do zrealizowania, wśród których znalazł się temat *Urodzeni w Czarnobylu*, pokazujący los trzystu dzieci rodzin ze Strefy Wykluczenia i udowadniający, że są one pod ciągłą obserwacją medyczną bez oznak choroby. Kolejnym był *Jak w kwietniu pachniał wiatr?*, w którym przewodniczący radzieckiej agencji meteorologicznej prezentował dane zaprzeczające temu, jakoby niebezpieczne radioaktywne cząstki spadły na zachodnią Europę. No i *Stoiska wiosennego bazaru* rozwijające zagadnienie

wiosennych dostaw owoców i warzyw do Kijowa, które poddano badaniom dozymetrycznym wykazującym na brak radionuklidów.

Ostateczny plan zatwierdzono 10 kwietnia i zawierał on kontrpropagandę rozsyłaną do radzieckich ambasad na całym świecie oraz propozycję, by umożliwić delegacji zagranicznych dziennikarzy przeprowadzenie reportaży ze Strefy Wykluczenia. Reporterzy z „New York Timesa” i „Chicago Tribune” wkroczyli do strefy dopiero pod koniec czerwca, by na własne oczy ujrzeć sterylny betonowo-asfaltowy krajobraz wokół Sarkofagu, uschnięte sosny w Czerwonym Lesie i puste ulice Prypeci.

Ponad rok po katastrofie[1366] wieczorem wciąż zapalano uliczne latarnie, a z głośników przy ulicy Kurczatowa czasami płynęła operowa muzyka. Ale jaskrawe flagi wyblakły od słońca i zostały poszarpane przez wiatr, a rozwieszane na balkonach pranie zaczęło gnić. Wszystko to jednak nadal udawało, że miasto nie umarło, a jedynie śpi i gdy powrócą do niego mieszkańcy – obudzi się[1367].

Proces

Proces Wiktora Briuchanowa i pięciu innych mężczyzn, których oskarżono o spowodowanie katastrofy w elektrowni atomowej w Czarnobylu, rozpoczął się 7 lipca 1987 roku[1368]. Radzieckie prawo wymagało, by rozprawa toczyła się w pobliżu miejsca przestępstwa. Prypeć jednak była skażona i wymarła, proces odbył się więc w najbliższym dostępnym mieście, czyli oddalonym o czternaście kilometrów Czarnobylu. Chociaż od miesięcy poddawano je intensywnej dekontaminacji, miejscowość pozostawała w Strefie Wykluczenia i dostać się do niej mogli tylko ci, którzy posiadali wydaną przez rząd przepustkę. Formalnie proces był otwarty, ale w rzeczywistości mogli się na niego dostać jedynie ci, którzy pracowali w strefie lub którym władze wydały pozwolenie. Nie tylko w Związku Radzieckim, ale i na całym świecie ludzie oczekiwali na wyrok w sprawie największej katastrofy nuklearnej, partia jednak nie chciała publicznej prezentacji tej prawniczej pantomimy. Zaproszono więc tylko nielicznych przedstawicieli międzynarodowych mediów, w tym korespondentów BBC i japońskiej telewizji, i to jedynie na otwarcie oraz zamknięcie procesu, podczas których odczytano zapisane wcześniej oświadczenia. Sypiący się pałac kultury na rogu ulic Sowieckiej i Karola Marksa odnowiono i odmalowano: do auli wstawiono nowe krzesła, na ścianach powieszono szare kotary, a przy wejściu ustawiono punkt dozymetryczny[1369].

O godzinie trzynastej sędzia Sądu Najwyższego ZSRR Raimond Brize zajął swoje miejsce i sześciu oskarżonych, eskortowanych przez żołnierzy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zasiadło na ławie. Przez dwie godziny słuchali, jak Brize czyta akt oskarżenia. Sześciu mężczyzn oskarżono o rażące zaniedbania przy przeprowadzaniu niebezpiecznego i nieposiadającego formalnej akceptacji przełożonych eksperymentu na reaktorze numer 4 w elektrowni atomowej w Czarnobylu, który doprowadził do całkowitego zniszczenia bloku, wycieku promieniotwórczych substancji, ewakuacji stu szesnastu tysięcy osób z dwóch miast i kilkunastu wsi, a także hospitalizacji ponad dwustu ofiar choroby popromiennej, z których co najmniej trzydzieści zmarło. Sąd oznajmił też, że elektrownia atomowa w Czarnobylu miała długą historię wypadków, które były zatajane. Uznawana za jedną z najlepszych i najbardziej zaawansowanych jądrowych instalacji w ZSRR, w rzeczywistości, ze względu na pobłażliwe i niekompetentne zarządzanie, działała cały czas na granicy awarii. Ani słowem nie wspomniano o błędach projektowych reaktora RBMK-1000.

Wszyscy oskarżeni o naruszenie przepisów bezpieczeństwa w „obiekcie podatnym na eksplozję” – w tym naczelnik nocnej zmiany w chwili wypadku Borys Rogożkin i kierownik warsztatu Aleksander Kowalenko, który podpisał zgodę na test – nie przyznali się do winy. Ale Briuchanow i Fomin przyznali się do uchybień w obowiązkach z artykułu 165, który przewidywał niższą karę pięciu lat pozbawienia wolności.

– Uważam, że nie jestem winien oskarżeń wniesionych przeciwko mojej osobie – powiedział Briuchanow przed sądem –

ale jako dyrektor dopuściłem się pewnych zaniedbań[1370].

Przesłuchania rozpoczynały się o godzinie jedenastej i trwały do dziewiętnastej z godzinną przerwą obiadową. Pałace letnie słońce rzucało promienie na dach zbudowanego z cegły budynku, jeszcze bardziej podgrzewając napiętą atmosferę w sali rozpraw, Briuchanow mimo to pozostał opanowany i beznamiętny. Miał na sobie marynarkę bez krawata i siedział z lekko uniesioną głową, uważnie słuchając zeznań świadków i ekspertów[1371]. Zeznał, co robił w noc awarii, ale nie próbował się bronić[1372]. Opisał przepisy bezpieczeństwa obowiązujące w elektrowni i niewykonalne cele jego pracy: trudności w znalezieniu wyszkolonej załogi i przytłaczający ciężar odpowiedzialności za każdy szczegół zarówno w elektrowni, jak i w mieście. Przyznał, że zarządzenie ewakuacji Prypeci nie leżało w jego kompetencjach. Nie zamierzał też ukrywać prawdziwych poziomów promieniowania. Briuchanow twierdził, że nie przeczytał uważnie raportu o poziomie promieniowania w okolicy elektrowni i w mieście, który podpisał. Kiedy prokurator zapytał go, jak mógł wykazać się brakiem dbałości przy tak ważnym zadaniu, odpowiedział milczeniem[1373].

W trakcie przesłuchań krzyżowych jeden z oskarżonych zapytał dyrektora, czy istnieją dokumenty dowodzące tego, że elektrownia została uznana za „podatną na eksplozje”. Briuchanow ostrożnie zaprzeczył:

– Odpowiedź na to pytanie znajduje się w aktach śledztwa[1374].

Pomimo wszystkich upokorzeń i ciężkich doświadczeń, jakie na niego spadły, a także świadomości nieuchronności czekającego

go losu, Briuchanow pozostał produktem systemu, który go ukształtował. Rozumiał, jakiej postawy oczekuje od niego partia, i posłusznie trzymał się scenariusza.

– Jak uważacie, kto jest winny? – zapytał go biegly.

– Sąd zadecyduje – odparł Briuchanow.

– Czy uważacie, że jesteście głównym sprawcą? – zapytał oskarżyciel.

– Myślę, że jest nim personel zmiany, w tym Rogożkin, Fomin i Diatłow.

– A wy, jako dyrektor?

– Ja też[1375].

Główny inżynier Nikołaj Fomin, niegdyś władczy partyjniak, który studiował fizykę jądrową korespondencyjnie, stanął przed sądem zupełnie złamany, marszcząc twarz lub wpatrując się w jakiś odległy punkt[1376]. Jego oblicze było blade i lśniło od potu[1377]. Wstał, żeby odczytać zapisane zeznanie. Wyjaśnił, że kilka miesięcy przed awarią ucierpiał w wypadku samochodowym[1378], nie dawał rady natłokowi obowiązków i na próżno apelował do Ministerstwa Energetyki, żeby pozwoliło mu zrestrukturyzować zarząd elektrowni. Przyznał, że zatwierdził feralny test reaktora numer 4 bez informowania władz i jego projektantów w Moskwie, ani nawet Briuchanowa. Opisał, jak o czwartej nad ranem przybył do bunkra nieświadomy skali zniszczeń[1379] i obrażeń odniesionych przez załogę. Oskarżyciel przyznał, że poziom ignorancji głównego inżyniera był „niepojęty”.

Zapytany, kto spowodował wypadek, Fomin odparł:

– Diatłow i Akimow, którzy nie trzymali się programu testu[1380].

Zastępca głównego inżyniera Anatolij Diatłow okazał się najbardziej konfrontacyjny ze wszystkich oskarżonych. Siedział wyprostowany na krześle, gotowy do wtrącenia pytania, poprawki, żądania bądź prośby o wyjaśnienie odniesień do konkretnych dokumentów i wytycznych. Znał się na technicznych aspektach zeznań, każdego dnia zdobywał nowe informacje ujawniane w materiałach dowodowych i chętnie wchodził w polemikę. W pewnym momencie, kiedy jeden z ekspertów zapytał go o margines reaktywności reaktora, odparł:

– To ma być egzamin z fizyki? To wy odpowiedzcie na to pytanie[1381].

Diatłow od samego początku utrzymywał, że operatorzy z Czarnobyli nie ponosili żadnej winy za to, co stało się z reaktorem numer 4, i szczegółowo odpowiadał na każdy z zarzutów pod jego adresem. Twierdził, że za wypadek odpowiadają ci, którzy nie ostrzegli personelu elektrowni, iż operuje on na reaktorze, który może eksplodować, i że osobiście nie wydał żadnego polecenia, które naginałoby przepisy[1382]. Mimo że wielu świadków twierdziło inaczej[1383], Diatłow upierał się też, że nie był obecny w sterowni bloku czwartego w krytycznym momencie, kiedy Leonid Toptunow pozwolił obniżyć moc reaktora niemal do zera, i że nie nakazał podnieść mocy i nie wysłał dwóch, zmarłych już, stażystów do hali reaktora, żeby ręcznie wprowadzili pręty kontrolne.

Szybko jednak stało się jasne, że sąd nie będzie rozpatrywał projektu reaktora ani długiej listy wypadków zatajonych przez władzę przed tą awarią. Wprawdzie żadnego z oskarżonych nie poddano torturom ani nie oskarżono o działalność

kontrrewolucyjną, ale nikt nie miał wątpliwości, jaki będzie wyrok[1384]. Proces ten okazał się jednym z ostatnich pokazowych procesów w Związku Radzieckim. Główny oskarżyciel opierał się na oficjalnym rządowym raporcie dotyczącym katastrofy, ignorując to, co napisano w nim o problemach z projektem reaktora. Reporterom powiedziano, że przeciwko projektantom wytoczy się odrębną sprawę w późniejszym terminie[1385].

Wielu ekspertów wezwanych w roli świadków[1386] pochodziło z rządowych agencji – w tym NIKIET-u i Instytutu Kurczatowa – odpowiedzialnych za projekt reaktora RBMK-1000. Nic dziwnego, że naukowcy nie chcieli brać winy na siebie i twierdzili, że reaktor stawał się niebezpieczny jedynie w rękach niekompetentnych operatorów. Sąd starał się zdusić[1387] wszelkie odstępstwa od tej narracji. Kiedy jeden ze specjalistów jądrowych zaczął wyjaśniać, że Toptunow, Akimow i Diatłow nie mogli mieć pojęcia o istnieniu dodatniego współczynnika reaktywności przestrzeni parowych, który przyczynił się do eksplozji reaktora, prokurator natychmiast go odwołał. Diatłow przedstawił na piśmie dwadzieścia cztery pytania do ekspertów odnośnie do specyfikacji reaktora i tego, czy był zgodny z przepisami Krajowego Komitetu Bezpieczeństwa Jądrowego ZSRR, ale sędzia po prostu wykluczył je z toku sprawy bez żadnego wyjaśnienia.

Dwudziestego trzeciego lipca[1388] prokurator przedstawił uwagi końcowe. Był bezlitosny. Starszy inżynier kontroli reaktora Leonid Toptunow, który zmarł w wyniku choroby popromiennej na trzy miesiące przed swoimi dwudziestymi szóstymi urodzinami, był „słabym specjalistą”. Jego szef, naczelnik zmiany

Aleksander Akimow, był „mało stanowczy i niezdecydowany” i bał się Diatłowa, który został przedstawiony jako inteligentny, ale nierozważny i okrutny. Prokurator nazwał Diatłowa „atomowym chuliganem”, który „bezmyślnie złamał kanon i przykazania bezpieczeństwa jądrowego” i za sprawą swoich kryminalnych czynów bezpośrednio odpowiadał za awarię. Główny inżynier Fomin mógł powstrzymać katastrofę, zanim do niej doszło, ale nie zrobił tego.

Ale najsurowszą ocenę prokurator zachował dla dyrektora elektrowni jądrowej w Czarnobylu. Sugerował, że Briuchanow okłamywał swoich przełożonych w nadziei, że uda mu się ukryć skalę awarii i zachować swoją pozycję. Ryzykował życiem nie tylko załogi, ale też mieszkańców Prypeci.

– Nie ma powodu, by wierzyć, że Briuchanow nie miał pojęcia o rzeczywistym poziomie skażenia – powiedział. Zachowanie dyrektora ujawniło „moralne rozbicie Briuchanowa jako przywódcy i jako człowieka”[1389].

W odpowiedzi prawnicy oskarżonych wysunęli własne argumenty, a i sami oskarżeni wygłosili swoje mowy. obrońca Briuchanowa powiedział, że jego klient jest przyzwoitym człowiekiem, który wie, że musi ponieść karę. Obaj zdawali sobie sprawę[1390], że zgodnie z prawem dyrektor jest formalnie odpowiedzialny za wszystko, co dzieje się na terenie elektrowni. Mieli jednak nadzieję, że Briuchanow zostanie skazany jedynie za uchybienia administracyjne, a nie za bardziej poważne nadużywanie władzy. Fomin przyznał się do winy i poprosił o łagodny wymiar kary[1391]. Diatłow wyraził głęboki smutek z powodu zmarłych w wyniku katastrofy i współczucie dla tych,

którzy ucierpieli, ale nie zmienił swojego stanowiska. Trzej pozostali członkowie personelu – Rogożkin, Kowalenko i inspektor bezpieczeństwa jądrowego w elektrowni Jurij Lauszkin – poprosili o oczyszczenie ze wszystkich zarzutów.

Radzieccy obywatele oczekiwali jednak surowych wyroków dla osób, których zepsucie i brak kompetencji skaziły ziemię trzech republik i zatrwały tysiące niewinnych ofiar. Redaktor działu naukowego „Prawdy”, Władimir Gubarew, opublikował już sztukę o fikcyjnej elektrowni jądrowej zatytułowaną *Sarkofag. Tragedia*[1392], w której obwiniał nieudolny system, ale też pracownika elektrowni: bezimiennego dyrektora, który zatwierdził budowę niebezpiecznie łatwopalnego dachu, żeby ukończyć pracę na czas, i który po eksplozji ewakuuje własne dzieci, resztę mieszkańców pozostawiając na pastwę losu.

Kiedy nagrodzonego strażaka, majora Leonida Tielatnikowa, poproszono o opinię w sprawie, wyraził się jednoznacznie: „Oczywiście, powinni zostać ukarani. Według komisji rządowej awarię spowodował błąd ludzki. To ich wina. Konsekwencje błędu okazały się bardzo poważne”[1393]. Inni szli jeszcze dalej. Podczas przerwy w procesie[1394] Walentina Briuchanowa usiadła na ławce w kijowskim parku obok starszego człowieka, który walczył w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Kiedy rozmowa zeszła na temat Czarnobyla, weteran powiedział, że niektórzy twierdzą, iż oskarżeni powinni wylądować w więzieniu, ale jego zdaniem to za mało. Powinno się ich rozstrzelać.

We wtorek, 29 lipca, w kolejny szalenie upalny dzień, sędzia Brize ogłosił wyrok[1395]. Wszystkich sześciu mężczyzn uznano winnymi: Jurij Lauszkin dostał dwa lata więzienia, Aleksander

Kowalenko trzy, a Borys Rogożkin pięć. Wszyscy zostali natychmiast aresztowani. Briuchanow, Fomin i Diatłow dostali maksymalne wyroki – dziesięć lat kolonii karnej. Wszyscy z wyjątkiem Fomina, który wybuchnął płaczem, zachowali spokój. Walentina Briuchanowa zemdląła. Później jeden ze śledczych powiedział jej: „Teraz możecie w każdej chwili rozwiązać małżeństwo”[1396].

Były dyrektor elektrowni atomowej w Czarnobylu został przewieziony z pałacu kultury czarną ciężarówką z kratami w oknach do zakładu karnego w Doniecku, na wschodzie Ukrainy, gdzie miał odsiedzieć wyrok. Na miejsce dotarł koleją, jedną ze stołypinek, jak nazywano okryte złą sławą więzienne wagony. Przebycie siedmiuset kilometrów zajęło mu dwa tygodnie i miał szczęście, że dotarł na miejsce żywy, ponieważ podczas podróży żywił się głównie niewielkimi racjami marynowanych śledzi[1397]. Kiedy w końcu przybył do zakładu karnego, więźniowie wyszli na dziedziniec, by zobaczyć twarz skazanego – odzianego w niebieski kombinezon, małego i wątłego – odpowiedzialnego za największą jądrową katastrofę świata[1398].

Pod koniec 1987 roku[1399] nowy atomgrad dla pracowników Czarnobyla i ich rodzin w Sławutyczu był niemal gotowy na przyjęcie pierwszych mieszkańców, zarówno z pracowniczych osiedli domków kempingowych nad Dnieprem, jak i i kijowskich mieszkań. Postawiony w szaleńczym tempie i sławny już Sławutycz miał pokazać radziecką jedność, a jego pięć dzielnic zostało wybudowanych w różnych stylach przez architektów z republik Kaukazu, Ukrainy, Rosji i krajów bałtyckich. Ale nawet ten prestiżowy projekt musiał zmagać się z typową

biurokracją, opóźnieniami, sporami pracowników i niedbalstwem wykonawców. Tuż przed oddaniem atomgradu mieszkańcom uszkodzeniu uległ system centralnego ogrzewania, czyniąc miasto niezdatnym do zamieszkania przed wiosną.

We wrześniu, przed przybyciem pierwszych obywateli do Sławutyczy, naukowcy do spraw monitorowania hydrometeorologicznego Ministerstwa Zdrowia i Ministerstwa Obrony dokonali pomiarów promieniowania[1400]. Okazało się, że miasto postawiono na ziemi zanieczyszczonej cezem 134, cezem 137, rutenem 106 i cezem 144. Pobliskie lasy zawierały izotopy cezu, strontu i plutonu. W raporcie napisano, że roczna ekspozycja na promieniowanie mieści się w granicach przyjętych dla ludności żyjącej w pobliżu elektrowni jądrowej, ale zalecono położenie asfaltu na wszystkich drogach i regularne mycie ulic oraz podwórek, a także ścięcie drzew i usunięcie liści, zwłaszcza w pobliskich lasach, w których ludzie mogli szukać grzybów.

Czwartego grudnia 1987 roku, po ponad półtorarocznej dekontaminacji, po dokonaniu wszelkich napraw i usprawnień, uruchomiono ostatni z pozostałych trzech reaktorów elektrowni atomowej w Czarnobylu[1401]. Blok trzeci był teraz odseparowany od swojego bliźniaka ścianą z betonu i ołowiu, ale i tak pozostawał tak silnie skażony, że jego operatorzy, by uniknąć nadmiernego wystawienia na promieniowanie, wymieniali się podczas zmiany z członkami ekip pozostałych reaktorów. Pomimo poświęcenia generała Tarakanowa i jego biorobotów pastylki paliwa uranowego wciąż leżały rozrzucone na dachu budynku, a operatorzy turbin, którzy pracowali w hali turbin poniżej, robili

to z ochronnych betonowych kabin wyposażonych w iluminatory ze szkła ołowiowego[1402].

Trzy czarnobylskie reaktory – wraz z dwunastoma innymi reaktorami RBMK-1000 rozsianymi po całym ZSRR – zostały poddane technicznej modernizacji zgodnie z tajnym poleceniem Biura Politycznego z lipca ubiegłego roku. Cichym przyznaniem się[1403] projektantów do odpowiedzialności za katastrofę było wyposażenie każdego reaktora RBMK w paliwo z bardziej wzbogaconego uranu i zainstalowanie dodatkowych prętów kontrolnych, które redukowały dodatni współczynnik reaktywności przestrzeni parowych. Ponadto posiadały one teraz szybszy i wydajniejszy system wyłączania awaryjnego. Władze uaktualniły materiały szkoleniowe dla operatorów i wyłożyły pieniądze na stworzenie komputerowych symulacji scenariuszy wypadków[1404]. Ale tak naprawdę niewiele się zmieniło: ponad rok po awarii Biuro Polityczne otrzymało raport wykazujący, że radzieckie elektrownie atomowe wciąż mają problemy z nieprawidłową konstrukcją, niezdyscyplinowanym personelem i setkami niewielkich wypadków[1405].

W czarnobylskiej elektrowni operatorzy pracujący na trzech pozostałych reaktorach nie mogli pogodzić się z tym, że za katastrofę obwiniono ich zmarłych kolegów[1406]. Posłusznie stawiali się w pracy każdego dnia, ale wielu z nich uważało, że nie ujawniono prawdziwych przyczyn tego, co się stało. Niektórzy byli przekonani, że podobny wypadek przytrafi się im. Niemal nikt nie chciał mieszkać w Sławutyczu.

Publicznie Walerij Legasow w kwestii bezpieczeństwa radzieckiego przemysłu jądrowego trzymał się linii partii.

Powiedział, że nie wini radzieckich reaktorów, które zostały zaprojektowane tak, żeby wziąć pod uwagę wszystkie z wyjątkiem najbardziej nieprawdopodobnych okoliczności. Naukowiec przekonywał, że energia atomowa to szczytowe osiągnięcie nauki jądrowej i jest kluczowa dla przyszłości cywilizacji[1407]. Prywatnie jednak był zszokowany tym, co premier Ryzkow powiedział nieco ponad rok wcześniej Gorbaczowowi i pozostałym członkom Biura Politycznego – że eksplozji w Czarnobylu nie można było uniknąć i jeśli nie doszłoby do niej tam, to doszłoby prędzej czy później w innej radzieckiej elektrowni. Dopiero wtedy Legasow zdał sobie sprawę, jak bardzo zepsuty jest przemysł jądrowy, pełen tajemnic i popadania w samozadowolenie, arogancji i zaniedbań, byle jakich projektów i konstrukcji. Zdał sobie sprawę, że zarówno reaktory RBMK, jak i ich konkurencja, reaktory WWER, są niebezpieczne same w sobie. Zbadał problem głębiej i optował w Średmaszu za budową nowej generacji reaktorów chłodzonych stopionymi solami. Ale jego sugestie spotkały się z wściekłością i oburzeniem: Jefim Sławski, który wciąż stał na czele Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich, powiedział Legasowowi, że jest naukowym analfabetą i nie powinien wtykać nosa w nie swoje sprawy[1408].

Jednocześnie zwiększyły się problemy zdrowotne Legasowa, który coraz częściej bywał pacjentem Szpitala numer 6, gdzie leczył się na nerwicę, z powodu nieprawidłowych wyników białych krwinek, problemów z sercem i szpikiem kostnym. Wprawdzie lekarze nie zdiagnozowali u niego choroby popromiennej, ale jego żona nie miała wątpliwości, co mu dolega. Zachęcony wzmagającym się powiewem pierestrojki Legasow zaczął

pracować nad projektami modernizacji skostniałej struktury radzieckiej nauki. Raport, jaki przedstawił swoim kolegom w Akademii Nauk, podważał hegemonię niektórych z najsilniejszych elementów kraju i wielu osobom wydawał się politycznie ryzykowny. Zaproponował podzielenie Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich na mniejsze jednostki, które konkurowałyby ze sobą na rynku wewnętrznym, a także finansowanie badań Instytutu Kurczatowa na nowych zasadach, uwzględniających skuteczność rezultatów. Proponował też[1409], by starszych pracowników, kontrolujących budżet i obejmujących posady do końca życia, zastąpić młodszymi, bardziej energicznymi naukowcami. Legasow miał powody sądzić, że raport spotka się z dobrym przyjęciem. Nie tylko pokazał się jako skuteczny likwidator w Czarnobylu i obrońca przemysłu jądrowego w Wiedniu, lecz także był namaszczonego przez Aleksandrowa następcą przewodniczącego Instytutu Kurczatowa i miał mocne wsparcie Biura Politycznego[1410].

Jednak jego propozycje zostały zignorowane. Nie zdawał sobie sprawy, że jego pomysły odrzucają nie tylko starą gwardię, która prowadziła wygodne życie na swoich posiadach, ale też przychylnych reformom kolegów, którzy widzieli Legasowa jako wychowanka ery stagnacji, który dzięki uprzywilejowanej pozycji zwinnie piął się po szczeblach kariery. Nawet jego rola w Czarnobylu[1411] budziła kontrowersje, gdyż inni naukowcy zaczęli podważać słuszność decyzji przykrycia płonącego reaktora piaskiem i ołowiem. Wiosną 1987 roku Komitet Centralny Partii Komunistycznej zażądał, by Instytut Kurczatowa wprowadził zasady pierestrojki[1412] i powołał nadzorczą Radę do spraw

Nauki i Technologii. Legasow, tłumacząc się słabym zdrowiem[1413] – i mając świadomość, że głosy przeciwko niemu zagroziłyby jego szansie na bycie następcą Aleksandrowa – nie chciał kandydować. Aleksandrow jednak nalegał i kiedy ogłoszono wyniki, Legasow przekonał się, jak niewiele wiedział o tym, co jego koledzy o nim myślą. Spośród 229 głosów, jedynie 100 było za nim, a 129 przeciwko. Legasow poczuł się jak rażony piorunem. W wieku pięćdziesięciu lat zrozumiał, że jego kariera się wali.

Podczas posiedzenia komórki partyjnej, 10 czerwca, stary Aleksandrow miał do przekazania lepsze wieści: poinformował zebranych, że powinni pogratulować Legasowowi. Wyjaśnił, że widział listę osób, które mają zostać nagrodzone przez Biuro Polityczne za bohaterstwo w Czarnobylu, i nazwisko Legasowa było wśród tych, którzy mieli dostać order Bohatera Pracy Socjalistycznej, jak dotąd będący poza jego zasięgiem. Kiedy jednak opublikowano ostateczną listę, zabrakło na niej nazwiska Legasowa. Mówiło się, że Gorbaczow w ostatniej chwili stwierdził, że nie chce przyznawać osobom z Instytutu Kurczatowa państwowej nagrody za opanowanie katastrofy, do której ten instytut się przyczynił. Następnego dnia Legasow zadzwonił z domu do swojej sekretarki. Przed końcem rozmowy poprosił ją, żeby opiekowała się dwójką jego dzieci. Zaniepokojona poinformowała o rozmowie jego kolegów, którzy pognali do domu przy ulicy Spacerowej 26, gdzie znaleźli nieprzytomnego naukowca i buteleczkę tabletek nasennych obok niego.

Legasow doszedł do siebie po tej nieudanej próbie samobójczej, ale gdy wrócił do pracy, nie był już tą samą osobą. Przygasła radość w jego oczach, a idąc po schodach, powłóczył nogami

niczym starzec. Na konferencji naukowej w Anglii, która odbyła się tego lata, spotkał swojego starego przyjaciela i redaktora działu naukowego w „Prawdzie”, Władimira Gubarewa, którego sztukę *Sarkofag* wystawiano teraz w Teatrze Narodowym w Londynie. Gubarew zachęcał przyjaciela, żeby korzystał z tej podróży, poznał jakieś dziewczyny albo może wybrał się na wystawiany na West Endzie musical *Koty*. Ale Legasow chciał wrócić do hotelu. Tej jesieni po raz pierwszy w życiu zaczął czytać Biblię[1414]. Korzystając z japońskiego dyktafonu[1415], który dostał w prezencie od starego przyjaciela, nagrał serię taśm na temat tego, co przeżył w Czarnobylu, zbierając materiał na pamiętnik. Bliskim mówił, że jego kariera dobiegła końca. Podjął ponowną nieudaną próbę samobójczą.

Gubarew próbował podnieść przyjaciela na duchu[1416], proponując mu przekucie swoich myśli na temat bezpieczeństwa jądrowego w artykuł, który ukazałby się w „Prawdzie”. Legasow napisał go w kilka dni, a po jego publikacji codziennie dzwonił do Gubarewa, pytając, jak został przyjęty. Kiedy okazało się, że artykuł zignorowano, Legasow podjął bardziej drastyczny krok. Udzielił wywiadu liberalnemu pismu literackiemu „Nowy Mir”, w którym ostrzegł – wbrew temu, co sam mówił wcześniej – że awaria podobna do tej, która miała miejsce w Czarnobylu, może wydarzyć się w każdej chwili w każdej elektrowni na terenie ZSRR, w której znajduje się reaktor RBMK. Powiedział, że wielu naukowców zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale nikt nic nie robi, żeby mu zapobiec. W wywiadzie dla magazynu „Junost”[1417], który poluzował cenzurę w ramach głośności, Legasow posunął się jeszcze dalej.

Wypierając się politycznej ortodoksji, w którą wierzył, od kiedy był nastolatkiem, przyznał, że radziecka nauka się pogubiła. Mężczyźni i kobiety odpowiedzialni za wielkie tryumfy radzieckiej technologii, którzy zbudowali pierwszą elektrownię jądrową i wynieśli Jurija Gagarina w kosmos – walczyli o nowe, lepsze społeczeństwo i działali zgodnie z moralnością i wytrwałością odziedziczoną po Puszkynie i Tołstojem. Ale po nich przyszło pokolenie młodych osób, wykształconych, lecz moralnie zepsutych. Legasow wierzył, że awaria reaktora numer 4 to nie wina garstki lekkomyślnych operatorów, ale wielkiej porażki radzieckiego eksperymentu społecznego.

Na początku 1988 roku[1418] Legasow utracił nadzieję, że zostanie następcą Aleksandrowa na stanowisku dyrektora Instytutu Kurczatowa. Zamiast tego, w duchu przyspieszających reform Gorbaczowa i nasilającej się publicznej krytyki kraju, powołał Radę Ekologiczną i zamierzał utworzyć własny instytut zajmujący się bezpieczeństwem jądrowym – autonomiczne ciało, które niezależnie regulowałoby bezpieczeństwo radzieckiego przemysłu jądrowego. Przedstawił swoje plany Akademii Nauk, wierząc, że zostaną zatwierdzone, choćby w uznaniu dla jego zasług w usuwaniu skutków największej katastrofy jądrowej w historii.

Kiedy jednak pod koniec kwietnia rozpoczęto debatę, jego mentor Aleksandrow wyraził zaledwie chłodne poparcie i wniosek Legasowa został odrzucony. Naukowiec został o tym poinformowany 26 kwietnia 1988 roku, dokładnie dwa lata po katastrofie. Tego popołudnia córka Legasowa, Inga[1419], jak zwykle odebrała syna z przedszkola. Wracając do domu, ucieszyła

się, widząc ojca czekającego przed wejściem, obok swojego samochodu. Inga zaprosiła go na obiad[1420], ale powiedział, że musi iść.

– Wracam z Akademii Nauk – powiedział. – Wpadłem na chwilę, by się z tobą zobaczyć.

Wtedy ostatni raz widziała go żywego.

Następnego dnia w porze obiadowej syn Legasowa, Aleksiej, wrócił z pracy do domu przy Spacerowej 26, gdzie znalazł ojca powieszzonego nad schodami. Nie zostawił żadnego listu. Kiedy kolega[1421] z Instytutu Kurczatowa zbadał przedmioty w gabinecie Legasowa, okazało się, że wszystkie są zbyt skażone, żeby zwrócić je rodzinie. Włożono je więc do plastikowych toreb i zakopano. Kiedy w gabinecie Anatolija Aleksandrowa zjawił się przedstawiciel władz, by przedyskutować kandydaturę następcy na stanowisko Legasowa, osiemdziesięcioletni dyrektor załamał się i wybuchnął płaczem.

– Dlaczego mnie zostawił? – zapytał. – Dlaczego mnie zostawił?[1422]

Dwa tygodnie po śmierci Legasowa radziecki minister zdrowia wygłosił przemówienie na temat konsekwencji medycznych katastrofy w ramach otwarcia międzynarodowej konferencji w Kijowie[1423], na którą przybyli przedstawiciele Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej i Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Radzieccy naukowcy po raz pierwszy przyznali, że na najbardziej skażonych przez katastrofę terenach Ukrainy, Białorusi i Rosji żyło 17,5 miliona osób, w tym 2,5 miliona dzieci do siódmego roku życia. Do końca 1986 roku zbadano 696 tysięcy z nich. Jednak oficjalna liczba ofiar

śmiertelnych w dalszym ciągu nie zmieniała się i wynosiła 31 osób. Minister zdrowia powiedział, że nie odkryli ani jednego przypadku uszczerbku na zdrowiu będącego wynikiem promieniowania.

– Trzeba stanowczo powiedzieć – zwrócił się do zebranych delegatów – że jesteśmy dziś pewni, iż katastrofa w Czarnobylu nie wpłynęła w żaden sposób na zdrowie ludzi.

Jednak obywatele Związku Radzieckiego nie ufali już naukowcom. W Kijowie nawet dwa lata po awarii[1424] młode małżeństwa obawiały się mieć dzieci, a ludzie każdy, nawet niewielki problem ze zdrowiem przypisywali promieniowaniu. Ukraińska „Prawda” zaczęła publikować cotygodniowe raporty o poziomie promieniowania w trzech największych miastach w pobliżu elektrowni, które miały być aktualizowane na bieżąco niczym prognoza pogody. Ale do tęgich głów stojących na czele przemysłu atomowego[1425] wciąż nie docierało, w jakim stopniu utracili zaufanie społeczeństwa. Do tej pory traktowano ich jak ikony socjalistycznej utopii, a teraz odnoszono się do nich z podejrzliwością i wrogością. Mimo to kurczowo trzymali się swoich przekonań.

Przemawiając na zamknięciu konferencji medycznej w Kijowie, przewodniczący Radzieckiego Instytutu Biofizyki skarcił tych naukowców, którzy publicznie przewidywali, że w wyniku awarii tysiące ludzi zachoruje na raka.

– Czynią wielką szkodę, zapominając, że pod uwagę trzeba wziąć wiele zmiennych – powiedział. – Nigdy nie rozmawiamy o konkretnych liczbach. To niemoralne[1426].

Doniesienia o przypadkach chorób spowodowanych długofalowymi konsekwencjami katastrofy zbył słowami o nowym psychologicznym syndromie, który nazwał „radiofobią”.

Dla ostatnich przywódców ZSRR najbardziej destrukcyjne siły, jakie wyzwoliła eksplozja, nie były natury radiologicznej, ale politycznej i ekonomicznej. Chmura radioaktywna, która rozprzestrzeniła się po całej Europie, czyniąc katastrofę niemożliwą do zatuszowania, wymusiła głośność Gorbaczowa nawet na najbardziej konserwatywnych członkach Biura Politycznego. Sekretarz generalny zdał sobie sprawę[1427], że tajemnice, niekompetencja i stagnacja przeżarły nawet przemysł jądrowy. Sfrustrowany i wściekły sięgnął po drastyczne środki i mocno zaangażował się w pierestrojkę, desperacko próbując uratować sowiecki eksperyment, zanim będzie za późno.

Kiedy jednak partia raz poluzowała kontrolę przepływu informacji, odzyskanie uprzedniego poziomu dyscypliny okazało się niemożliwe. Zaczęło się od bardziej otwartych relacji na temat Czarnobyla[1428] – artykułów w „Prawdzie” i „Izwestii”, dokumentów telewizyjnych i osobistych wspomnień w popularnych czasopismach – by z czasem przerodziło się to w dyskusję na temat cenzurowanych od dawna tematów, w tym uzależnienia od narkotyków, epidemii aborcji, wojny w Afganistanie i okropieństw ery stalinizmu. Najpierw opornie, ale potem coraz szybciej radzieccy obywatele zaczęli zdawać sobie sprawę, jak bardzo byli wprowadzani w błąd nie tylko w kwestii katastrofy i jej następstw, ale też w sprawach ideologii i wartości, wokół których zbudowane zostało ich społeczeństwo. Wypadek i niezdolność władz do ochrony ludności przed jego

konsekwencjami ostatecznie zburzyły iluzję ZSRR jako globalnego, technologicznie zaawansowanego supermocarstwa, które rządziło światem. Kiedy próby ukrycia prawdy wyszły na jaw, nawet najwierniejsi obywatele Związku Radzieckiego zdali sobie sprawę, że ich przywódcy są zepsuci, a komunistyczne marzenie jest jedynie blagą.

Krótko po samobójstwie Legasowa „Prawda” opublikowała fragment jego taśm[1429], w którym opisał beznadziejny brak przygotowania na katastrofę i długą historię zaniedbań, które do niej doprowadziły. „Po mojej wizycie w elektrowni jądrowej w Czarnobylu doszedłem do wniosku, że wypadek był apoteozą gospodarczego systemu rozwijanego w ZSRR od wielu dekad” – stwierdził w swoich wspomnieniach, które ukazały się drukiem pod tytułem *Moim obowiązkiem jest o tym opowiedzieć*. To, jak szybko system ulegał zmianom, ukazuje fakt, że do września 1988 roku Biuro Polityczne, w reakcji na zaniepokojenie ludności, zarzuciło pracę nad dwiema nowymi elektrowniami atomowymi, mimo że jedna z nich – na przedmieściach Mińska – była niemal ukończona[1430].

Dziesięć miesięcy później inżynier jądrowy Grigorij Miedwiediew opublikował w „Nowym Mirze” sensacyjną relację z katastrofy. Pomimo wprowadzenia głośności[1431] dwa lata zajęło mu wydrukowanie artykułu, o który toczył walkę z KGB i komisją cenzury Czarnobyla powołaną specjalnie po to, by chronić przed ujawnieniem najbardziej wrażliwe informacje na temat katastrofy. Stał za nią Borys Szczerbina, przewodniczący komisji rządowej, który słusznie obawiał się, że Miedwiediew ujawni jego działania w Prypeci. *Czarnobylski zeszyt*

Miedwiediewa minuta po minucie rekonstruował wydarzenia z 26 kwietnia na podstawie jego własnej wizyty na miejscu zdarzenia i wielu wywiadów przeprowadzonych ze świadkami. Wiktora Briuchanowa przedstawiał jako pozbawionego kręgosłupa głupca, tęgie głowy z radzieckiego przemysłu jądrowego jako bezwzględne i niekompetentne, a Szczerbinie zarzucał, że niepotrzebnie odwlekał ewakuację nieszczęsnego atomgradu. Słowo wstępne napisał najślynniejszy radziecki dysydent, Andriej Sacharow, który dzięki Gorbaczowowi dopiero co wrócił z zesłania. W osobistym liście do sekretarza generalnego[1432] Sacharow groził, że jeśli Komitet Centralny nie dopuści do opublikowania historii Miedwiediewa, osobiście dopilnuje, żeby zawarte w niej informacje zostały rozpowszechnione wszędzie, gdzie to możliwe. „Wszystko, co dotyczy katastrofy w Czarnobylu, jej przyczyn i konsekwencji, musi zostać objęte głośnością[1433] – napisał Sacharow we wstępie. – Trzeba całkowicie obnażyć prawdę”.

W lutym 1989 roku, niemal trzy lata po wypadku, reportaż wyświetlony przez *Wriemia* w porze największej oglądalności ujawnił, że ukrywano prawdziwy poziom skażenia radioaktywnego poza granicami trzydziestokilometrowej Strefy Wykluczenia i że skażenie poza strefą było wyższe niż w niej[1434]. „Głośność wygra wszystko. Takimi słowami możemy zacząć naszą historię”[1435] – powiedział korespondent, stojąc przed kolorowymi mapami, które pokazywały, że najbardziej skażone tereny leżą nawet trzysta kilometrów od elektrowni na terenie Białorusi, w pobliżu miast Homel i Mohylew, gdzie w kwietniu i maju 1986 roku spadł czarny deszcz. Ziemia została tak bardzo skażona[1436], że białoruski rząd planował ewakuację

kolejnych stu tysięcy mieszkańców i chciał domagać się od Moskwy równowartości szesnastu miliardów dolarów.

Kilka tygodni później, kiedy ostatni radzieccy żołnierze wracali pokonani z Afganistanu, a wokół krążyły coraz gorsze wieści dotyczące stanu gospodarki, sekretarz generalny Gorbaczow po raz pierwszy udał się na miejsce katastrofy[1437]. W białym płaszczu i czapce, z żoną Raisą u boku odwiedził reaktor drugi w czarnobylskiej elektrowni i miasto Sławutycz. W Kijowie rozmawiał z przedstawicielami partii, ogłosił program ochrony środowiska i obiecał, że każdy nowy kontrowersyjny projekt zostanie poddany pod głosowanie w publicznym referendum. Prosił o cierpliwość w kwestii coraz większych braków towarów i chwiejącej się gospodarki i ostrzegwał, że jeśli któraś republika myśli o opuszczeniu ZSRR, to „igra z ogniem”. Problemy ekologiczne już od pewnego czasu były głównym przedmiotem zainteresowania rodzących się ruchów niepodległościowych na Łotwie i w Estonii, a wkrótce miały stać się kluczową platformą dla opozycyjnej partii Zielonyj Swit[1438] – Zielony Świat – na Ukrainie. Kiedy w Kijowie Gorbaczow wysiadł ze swojej limuzyny i zgodnie z planem wyszedł do ludzi porozmawiać z nimi o potrzebie wsparcia dla pierestrojki, tłum przestał trzymać się scenariusza[1439]. „Ludzie się boją”, powiedziała mu jedna z kobiet, a kiedy próbował jej odpowiedzieć, inna mu przerwała, pytając, co myśli o budowie dwóch nowych reaktorów na Krymie.

Kiedy zbliżała się trzecia rocznica awarii[1440], dziennik „Moscow News” opublikował reportaż z kołchozu w pobliżu Żytomierza, czterdzieści kilometrów na zachód od Strefy

Wykluczenia, gdzie odkryto skażenie radioaktywnym strontem 90 i cezem 137. Od czasu wypadku rolnicy zaobserwowali zwiększoną liczbę wad wrodzonych u trzody – opisywali prosiaki z oczami niczym u żaby i zniekształconymi czaszkami, wspominali o cielakach, które rodziły się bez nóg, oczu albo głów. Jeden z członków Ukraińskiej Akademii Nauk[1441] z Kijowa, który odwiedził gospodarstwo, powiedział prasie, że odkrycia są „przerażające”, i nawoływał do natychmiastowej ewakuacji mieszkańców regionu. Przedstawiciel Instytutu Kurczatowa stwierdził, że te deformacje nie mają żadnego związku z katastrofą, winą obarczając nadmierne użycie nawozów i niewłaściwe metody hodowli. W październiku 1989 roku gazeta „Sowieckaja Rassija” doniosła, że setki ton wieprzowiny i wołowiny skażonej radioaktywnym cezem potajemnie dodawano do kielbas sprzedawanych od 1986 roku na terenie całego Związku Radzieckiego. Pracownikom masarni, w której produkowano te kielbasy, wypłacono rekompensatę za wystawienie na promieniowanie, ale raport Biura Politycznego donosił, że czarnobylska kielbasa jest zupełnie bezpieczna i została wyprodukowana „zgodnie z surowymi wytycznymi Ministerstwa Zdrowia ZSRR”[1442].

Wewnątrz strefy, gdzie tysiące żołnierzy wciąż usuwało radionuklidy z gleby, burzyło osady i wyrzucało skażone meble przez okna mieszkań w Prypeci, naukowcy zaobserwowali dziwne zjawisko[1443] wśród dzikiej zwierzyny, zamieszkującej tamte tereny. Jeże, wilki i ryjówki stały się radioaktywne, u krzyżówek pojawiły się genetyczne deformacje, a w zbiornikach chłodniczych elektrowni karpie rozrosły się do monstrualnych rozmiarów.

Liście drzew w pobliżu Czerwonego Lasu stały się nienaturalnie wielkie, igły sosen były dziesięciokrotnie większe, niż powinny, a listki akacji okazały się „wielkie niczym rączka dziecka”. Władze ogłosiły plany otwarcia na Białorusi rezerwatu dzikiej przyrody i międzynarodowego centrum badań nad długofalowymi skutkami promieniowania na środowisko w strefie.

Brakowało jednak pieniędzy[1444]. Radziecka gospodarka po kilkudziesięciu dekadach przeznaczania dużej części budżetu na wyścig zbrojeń zataczała się pod ciężarem nieudanych reform rynkowych pierestrojki Gorbaczowa, wycofywania żołnierzy z Afganistanu i kryzysu na wewnętrznym rynku paliwowym. Koszt awarii w Czarnobylu (skażenie, zniszczenie sprzętu, ewakuacje, opieka medyczna, utrata fabryk, ziemi uprawnej i milionów kilowatów elektryczności) wciąż rósł. Koszt budowy i utrzymania samego Sarkofagu wynosił cztery miliardy rubli, czyli prawie 5,5 miliarda dolarów. Jeden z szacunków mówił[1445], że łączna kwota pokrycia kosztów katastrofy wynosiła ponad 128 miliardów dolarów – tyle co cały budżet obronny ZSRR w 1989 roku. Katastrofa okazała się jeszcze jednym ciosem, po którym radziecki kolos nie potrafił stanąć na nogi i powoli staczał się na dno.

W lipcu 1989 roku Gorbaczow wygłosił przemówienie, w którym sygnalizował obywatelom państw satelickich Związku Radzieckiego – NRD, Czechosłowacji, Rumunii i innym – że nie będzie interweniował, jeśli zdecydują się zmienić swój rząd lub nawet całkowicie odejść od socjalizmu. Cztery miesiące później mur berliński upadł i radzieckie imperium zaczęło się rozpadać.

W ZSRR przybierały na sile podziały etniczne i sprzeciw wobec Moskwy, wzmagane ciągłym niedostatkami dóbr i załamującą się gospodarką. W piętnastu republikach radzieckich doszło do zamieszek i protestów. Na Litwie[1446] sześć tysięcy osób otoczyło elektrownię jądrową w Ignalinie, manifestując przeciwko dwóm nowym reaktorom RBMK-1500, co zapoczątkowało protesty, które niebawem doprowadziły do ogłoszenia niepodległości trzech krajów bałtyckich. W Mińsku osiemdziesiąt tysięcy osób przemarszerowało pod siedzibę białoruskiego rządu, domagając się przesiedlenia ze skażonych terenów. „Nasi przywódcy okłamywali nas przez trzy lata – powiedział jeden z uczestników radzieckiej gazecie. – A teraz opuścili tę ziemię przeklętą przez Boga i Czarnobyl”[1447].

Nawet na Zachodzie zaufanie do energii atomowej – które i tak zostało podkopane przez wypadek w Three Miles Island – zostało całkowicie zniszczone przez eksplozję reaktora numer 4. Katastrofa wywołała falę publicznej nieufności i protestów przeciwko energii jądrowej na całym świecie[1448]. W ciągu dwunastu miesięcy po awarii władze Szwecji, Danii, Austrii, Nowej Zelandii i Filipin obiecały całkowicie porzucić programy nuklearne, a dziewięć innych krajów postanowiło albo zaniechać, albo odsunąć w czasie plany budowy kolejnych reaktorów. Sondáže wykazały, że po katastrofie w Czarnobylu dwie trzecie ludzi na całym świecie sprzeciwia się dalszej eksploatacji energii jądrowej. Stany Zjednoczone zaniechały budowy reaktorów[1449], a sama nazwa ukraińskiej elektrowni atomowej stała się w różnych językach synonimem niedoskonałości technologicznej i uzasadnionego braku zaufania do oficjalnych informacji.

Radzieckie Ministerstwo Energetyki, które zamierzało budować kolejne elektrownie atomowe na Ukrainie, znalazło się na celowniku miejscowej opozycji wobec Moskwy. Kiedy Kijów zaapelował o wstrzymanie kontrowersyjnej budowy elektrowni na Krymie, ona trwała dalej, aż w końcu miejscowe władze rozpoczęły strajki, a bank obciął fundusze na projekt[1450]. Pierwszego marca 1990 roku Rada Najwyższa Ukrainy uchwaliła serię ustaw mających na celu ochronę środowiska republiki, a wśród nich plan zamknięcia pozostałych trzech reaktorów w Czarnobylu w ciągu pięciu lat. Drugiego sierpnia ustawodawcy ogłosili moratorium na budowę nowych elektrowni jądrowych na Ukrainie. Ministerstwo Energetyki w Moskwie musiało rozważyć, kto będzie kontrolował sieć elektrowni jądrowych ZSRR, skoro podejmowanie decyzji przeszło nagle w ręce republik.

W Strefie Wykluczenia setki tysięcy ton gruzów z reaktora, skażonej radiacyjnie gleby, roślin, mebli, samochodów i sprzętu zostało zasypanych w ośmiuset mogiłnikach, czyli betonowych rowach spryskanych polimerem, na których zasadzono trawę[1451]. Ale składowiska odpadów radioaktywnych były tworzone pośpiesznie i niedbale. Nikt nie notował, co gdzie zasypano, a na początku 1990 roku zaczęło brakować likwidatorów. Kiedy rezerwistom mówiono, że zostaną wysłani do Czarnobyla, to pomimo oferowanego żołdu wynoszącego dwukrotność średniej radzieckiej pensji i premii wypłacanych bezpośrednio na konto bankowe, większość odmawiała[1452]. Ciągłe mobilizacje budziły publiczny sprzeciw i w końcu radziecka armia postanowiła zaprzestać wysyłania żołnierzy do strefy. W grudniu 1990 roku likwidacja została wstrzymana.

Trudno podliczyć, ilu likwidatorów służyło w sumie w Strefie Wykluczenia, po części dlatego, że dane były fałszowane przez sam rząd radziecki. Na początku 1991 roku szacowano, że nawet sześćset tysięcy mężczyzn i kobiet z całego Związku Radzieckiego brało udział w sprzątanii radioaktywnej pustyni w pobliżu reaktora czwartego[1453]. Osoby te uznano oficjalnie czarnobylskimi likwidatorami. W podzięce za ich służbę wielu z nich wydano specjalne dowody i wręczono emaliowany medal przedstawiający greckie litery alfa, beta i gamma okalające czerwoną kroplę krwi. Gest ten rozumiano jako otoczenie ich opieką do końca życia, podobnie jak weteranów wielkiej wojny ojczyźnianej. Radzieckie Ministerstwo Zdrowia powołało w Kijowie specjalną klinikę[1454] – Międzyzwiązkowe Centrum Medycyny Radiologicznej – mające leczyć osoby wystawione na działanie promieniowania. Kiedy jednak pierwsi likwidatorzy w stanie spoczynku zaczęli chorować i zgłaszać objawy, które zdawały się niewyjaśnione, niespodziewane lub przedwczesne, lekarze niechętnie łączyli ich dolegliwości z pracą wewnątrz trzydziestokilometrowej strefy[1455]. Stojące na krawędzi bankructwa państwo nie potrafiło zaoferować specjalistycznej opieki ponad połowie miliona nowych potencjalnych inwalidów, lekarze spisywali więc swoje notatki szyfrem, a ich rejestry traktowane były jako tajne. Z wyjątkiem najbardziej ekstremalnych przypadków wszystkie diagnozy brzmiały jak ta dotycząca Marii Procenko: „Zwykła choroba, niezwiązana z promieniowaniem jonizującym”.

Na początku grudnia 1991 roku, podczas narodowego referendum ogłoszonego cztery miesiące wcześniej przez

parlament w Kijowie, Ukraińcy wybrali niezależność od ZSRR i Michaił Gorbaczow przegrał walkę o utrzymanie pozostałych dwunastu republik. Po nieudanym przewrocie sierpniowym powrócił na krótko do władzy, ale rosyjski prezydent Borys Jelcyn odebrał mu ją i zawiesił działalność Komunistycznej Partii. W Boże Narodzenie Gorbaczow wygłosił w telewizji emocjonalną przemowę pożegnalną, a czerwony sztandar Związku Radzieckiego został po raz ostatni opuszczony na maszcie na Kremlu. W chaosie panującym w upadającym imperium zapomniano o ludziach, którzy walczyli w Czarnobylu – o ostatnich obrońcach kraju, który zniknął z dnia na dzień.

W kolejnych latach wielu z tych, którzy przeżyli katastrofę, zostało inwalidami. Zaczęli zapadać na tajemnicze przypadłości, w tym wysokie ciśnienie, katarakty, problemy z nerkami i przewlekłe zmęczenie. Kapitan Siergiej Wołodin, pilot helikoptera, który jako pierwszy zjawił się na miejscu, przelatując przez chmurę radioaktywnej pary unoszącej się z reaktora, nabawił się lęku wysokości i wybrał pracę za biurkiem[1456]. Ci, którzy w ogóle nie byli w stanie pracować, musieli polegać na topniejących wciąż rentach i walczyć o pomoc medyczną. Niektórzy zmarli w kijowskich i moskiewskich szpitalach na choroby serca i krwi, w tym białaczkę[1457]. Major Tielatnikow[1458], który w noc awarii dowodził strażakami, zmarł w grudniu 2004 roku w wieku pięćdziesięciu trzech lat na raka szczęki. Inni, przytłoczeni ciężarem katastrofy, nie potrafili odnaleźć się w tak nagle odmienionym świecie. Inżynier elektryk Andriej Tormozin, który cudem przeżył wystawienie na śmiertelną dawkę promieniowania, odrzucony przeszczep szpiku

i zatruciu krwi, został wypisany ze Szpitala numer 6, ale wpadł w depresję i zapisał się na śmierć[1459].

Niemal dwie dekady po katastrofie, w lutym 2006 roku, w wyludnionej kawiarni w pobliżu jego kijowskiego mieszkania, spotkałem się z fizykiem Wieniaminem Prianisznikowem. Miał wówczas sześćdziesiąt dwa lata, nosił trzyczęściowy garnitur i krawat w kropki, był żywiołowy, empatyczny, a jego opowieści były pełne metafor i ciętego humoru. Doskonale pamiętał plamki grafitu na liściach truskawek żony i walkę z chińskim syndromem w bloku czwartym. Powiedział mi, że spośród pięciu mężczyzn, którzy w najgorszych dniach maja 1986 roku pobierali odczyty temperatury i poziomu promieniowania w szczątkach reaktora, czterech już zmarło.

– A zatem przeżyło dwadzieścia procent – powiedział, uśmiechając się ponuro. – Wliczając mnie.

Likwidatorzy, którzy przeżyli, obawiali się, że powrócą z pola walki ze śmiertelnymi ranami, których nikt nie zauważy.

– Zdawaliśmy sobie sprawę, że niewidzialny wróg zżera nas od środka niczym robak[1460] – powiedział generał Nikołaj Antoszkin, którego załogi helikopterowe próbowały ugasić nuklearne piekło. – Dla nas wojna się nie skończyła i kawałek po kawałku jesteśmy zabierani z tego świata[1461].

Kiedy w 2006 roku odwiedziłem Aleksandra i Natalię Juwczenków w ich mieszkaniu nieopodal Uniwersytetu Moskiewskiego, ramiona i plecy inżyniera pokryte były fioletowo-czerwonymi bliznami po przeszczepach skóry, których przeszedł tak dużo, że stracił rachubę po piętnastu. Gdy tylko został wypisany ze Szpitala numer 6, natychmiast powrócił do pracy, ale

potem dwa tygodnie spędził w niemieckim szpitalu pod opieką wojskowych lekarzy, a teraz co roku musi przechodzić dwutygodniowe badania. Juwczenko niedawno rozpoczął nową pracę, powróciwszy po raz pierwszy od 1986 roku do inżynierii jądrowej. Z radością odbył służbowe podróże na Ukrainę, gdzie odwiedził pozostałe elektrownie jądrowe i gdzie znowu pracował z kolegami, których znał jeszcze z czasów studiów w Odessie[1462].

Kiedy jednak zaczął wspominać katastrofę, na jego twarzy pojawiły się strużki potu, a chusteczka, którą trzymał w dłoni, szybko przemokła. Juwczenko nie był pewien, czy promieniowanie nie uczyniło go bezpłodnym, mimo że lekarze zapewniali parę, że może mieć kolejne dzieci. Natalia jednak im nie ufała i kwestionowała ich motyw: nie chciała stać się biernym obiektem jakichś eksperymentów.

Ich syn Kirył, który wówczas studiował medycynę, pozostał więc ich jedynym dzieckiem. Ponadto kupili syjamskiego kota imieniem Charlie, który urodził się 26 kwietnia, co uznali za dobry omen. Aleksander twierdzi, że skutki promieniowania, jakich doświadczył, nie są tak złe, jak wyobrażają sobie ludzie.

– Lekarze powtarzają mi, że przeżyłem i mogę się nie przejmować – powiedział. – Ale kiedy wróciłem na Ukrainę, zaczęli mi mówić o ludziach, którzy zmarli. Czy z powodu promieniowania? Nie wiem. Nie rozumiem tych statystyk. Kiedy pytają mnie o to moi przyjaciele, mówię im: im mniej o tym myślisz, tym dłużej będziesz żyć[1463].

Stopa Słonia

Poniedziałkowe popołudnie 25 kwietnia 2016 roku było w Prypeci piękne i ciepłe – bardziej przypominało lato niż wiosnę. Miasto było ciche i wyludnione, nasiona topól unosiły się na wietrze, a głęboką ciszę przerywał tylko śpiew ptaków. Niemal dokładnie trzydzieści lat po eksplozji w bloku czwartym zrodzony z niczego atomgrad Wiktora Briuchanowa w końcu powracał na łono natury. Piękne bałtyckie róże, zasadzone na życzenie dyrektora dawno temu, zdziczały, zmieniając się w gęstą sieć krzaków pośrodku placu miejskiego. Na boisku do piłki nożnej wyrósł las wierzb, sosen i dzikich grusz. Na schodach wiodących do Białego Domu pięła się srebrzysta brzoźka, a dęby i akacje przemieniły szeroką ulicę Kurczatowa w leśną ścieżkę. Symbole sierpa i młota na latarniach przetrwały, ale radzieckie gwiazdy pordzewiały i powyginały się pod naporem pnących się gałęzi. Dziesiątki lat działania słońca i deszczu sprawiły, że wyblakły pasy na przejściu dla pieszych, a rozpadający się diabelski młyn zarósł gęstym mchem[1464].

Wielu miejskim budynkom, wystawionym na działanie różnych środków chemicznych[1465], atakowanym przez wodę, mróz i powodujące korozję porosty, groziło zawalenie. Na ulicy Sportowej wejście do jednego z obiektów mieszkalnych przysypały masywne bloki odpadającego betonu. Szabrownicy i złomiarze wynieśli z miasta niemal wszystkie kawałki metalu, jakie mogli znaleźć, pozostawiając w mieszkaniach jedynie ciemniejsze

miejsca po skradzionych kaloryferach i dziury na ulicach w miejscach, z których wyrwali stalowe rury i kable. W blokach przy prospekcie Lenina klatki schodowe pokryły potłuczone szkło i tapeta zerwana ze ścian sypialni, wyblakła i bezbarwna. Na trzecim piętrze Budynku 13/34 wychodzącego na ulicę Kurczatowa, drzwi wejściowe do mieszkania Briuchanowów zostały wyjęte z zawiasów i położone na korytarzu, gdzie przykryła je gruba warstwa szarego kurzu. Wielkie narożne mieszkanie zostało niemal całkowicie ogołoczone i trudno odgadnąć, kto w nim mieszkał. W ciemnej łazience zachował się przyklejony do płytek dziecięcy obrazek samochodu, a w kuchni jeden but na obcasie. Ale z balkonu wciąż widoczny jest napis na wieżowcu naprzeciwko: *Chai bude atom robotnikom, a ne soldatom!* („Niech atom będzie robotnikiem, a nie żołnierzem!”)

Trzy kilometry dalej dźwigi na budowie reaktorów piątego i szóstego elektrowni w Czarnobylu zatrzymały się w miejscu, w którym w noc awarii stanęła praca. Ale w samej elektrowni wciąż pracowała niewielka załoga. Kiedy niepodległa Ukraina dostała rachunki za prąd z Rosji, rząd wstrzymał decyzję o zamknięciu pozostałych trzech reaktorów w elektrowni i działalność ostatniego z nich zakończono dopiero w 2000 roku. Do tego czasu ciągle zmniejszająca się liczba pracowników chłodziła, zatrzymywała i rozmontowywała bloki pierwszy, drugi i trzeci, dojeżdżając do pracy specjalnym pociągiem z oddalonego o godzinę Sławutycza.

Kiedy po raz pierwszy odwiedziłem elektrownię w Czarnobylu[1466], w środku zimy, zawiodło ogrzewanie i wewnątrz było nieznośnie zimno. Na poziomie +10, po „brudnej”

stronie przebieralni, przez okienne szczeliny wlatywały płatki śniegu, a gdy dwaj mężczyźni w białych kombinezonach i grubych kurtkach przechodzili korytarzem deareatora, z ich ust buchała para. W sterowni numer 2 przy pulpitych stało trzech inżynierów, palili papierosy i półgłosem rozmawiali przez telefony. Wiele spośród pokręteł i lampek na panelu zostało zalepionych białą taśmą i podpisanych „wyłączone z użytku”. Pośrodku przestarzałego pulpitu sterowania, który niegdyś bezustannie błyskał odczytami z reaktora, stał niewielki kolorowy ekran, wyświetlający obrazy z hali turbin, gdzie powoli rozmontowywano gigantyczne turbiny. Po zachodniej stronie długiego korytarza, niegdyś łączącego wszystkie bloki elektrowni, chodzili nieliczni pracownicy. W opustoszałym bloku trzecim panowała przytłaczająca cisza. Podłogi wciąż pokryte były poźółkłą plastikową matą, rozłożoną w trakcie dekontaminacji w 1986 roku. Bure światło przebijało się przez zabrudzone szyby, z sufitu zwisały rury, a w wilgotnym powietrzu unosił się cierpki zapach oleju i ozonu.

Po zejściu schodami do pozbawionego okien korytarza nie dało się już iść dalej. Niemal czuć było obecność czegoś gigantycznego, lecz niewidocznego. Gęsta sieć rur biegnących nad głową nagle się urywała, a ich ucięte końcówki zwisały tuż przed betonową ścianą postawioną w miejscu, w którym niegdyś było przejście. Pod ścianą, w kałuży białawego płynu, stał pomnik z czerwonego marmuru z płaskorzeźbą z brązu: zarys postaci w okrągłej czapce pracowników elektrowni z jedną ręką uniesioną w pełnym obawy geście[1467], jakby sięgającą po pomoc, która nie nadejdzie. To nagrobek Walerija Chodemczuka, pierwszej ofiary eksplozji

w bloku czwartym. Jego koledzy postawili ten pomnik najbliżej, jak się dało, miejsca, w którym spoczęły jego szczątki. Spoczywają po drugiej stronie trzymetrowej betonowej ściany pokrytej warstwą ołowiu, pogrzebane pod tonami gruzów, piasku i innych odłamków. Gdzieś tam leży także stopione serce reaktora czwartego, bezkształtna masa uranu, cyrkonu i innych elementów rdzenia, równie tajemniczych i śmiertelnych co w dniu katastrofy sprzed trzydziestu lat.

Niewielka grupka ekspertów z Instytutu Kurczatowa, która latem 1986 roku zaczęła badać wnętrze powstającego Sarkofagu, od samego początku napotykała na wielkie przeszkody[1468]. Eksperci zostali przysłani z Moskwy, żeby znaleźć setki ton paliwa jądrowego, które niegdyś zasilало czwarty reaktor. Na ich drodze stawały promieniowanie gamma, powalone wraki, kaskady świeżo wylanego przez Średmasz cementu i zniszczony sprzęt. Próby wykorzystania robotów zakończyły się fiaskiem, podobnie jak w innych częściach strefy. Podczas pierwszego testu jedno z urządzeń, które zbudowano ogromnym kosztem specjalnie do eksplorowania ruin, nie było w stanie pokonać nawet najmniejszych przeszkód. Operatorzy musieli je ciągle ratować, aż w końcu zmarło w strefie wysokiego skażenia. W uchwyconej na taśmie wideo scenie, wyświetlonej zebranych pracownikom, robot niespodziewanie powrócił do życia, odbył przedziwny taniec, błyskając światłami i wymachując kończynami, ruszył pędem korytarzem, aż nagle się zatrzymał i upadł. Gdy operatorzy go znaleźli, klęli na czym świat stoi.

Ostatecznie rekonesans rozpoczął się za pomocą małego plastikowego czołgu zakupionego przez jednego z naukowców za

dwanaście rubli (wówczas równowartość pięciu dolarów) w sklepie Dzieckij Mir – Świat Dziecka – w Kijowie. Zabawka działała na baterie i sterowana była przez kabel. Przymocowano do niej dozymetr, termometr i mocną latarkę. Naukowcy wykorzystywali ją niczym psa zwiadowczego, który biegł dziesięć metrów przed nimi, ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Pracownicy Instytutu Kurczatowa zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw na nich czyhających, ale przybyli tu z misją odnalezienia zaginionego paliwa, aby zapobiec nowej reakcji łańcuchowej, jak i wiedzeni zwykłą ciekawością. Wewnątrz Sarkofagu badali zupełnie obcy świat, napotykać promieniowanie gamma tak silne, jakiego nikt wcześniej nie odnotował, i dziwne nowe substancje, wytworzone w temperaturze przekraczającej 10 000 stopni Celsjusza w tyglu zniszczonego reaktora jądrowego[1469].

Jesienią 1986 roku ekipa Instytutu Kurczatowa dokonała jednego z pierwszych i najważniejszych odkryć po tym, jak udało jej się w końcu wejść do tajemniczego korytarza 217/2, gdzie kilka miesięcy wcześniej sprzęt mierzący promieniowanie wyszedł poza skalę i się przepalił. Żeby tam dotrzeć, naukowcy musieli precyzyjnie przeczekać wąski tunel uzbrojeni w latarki i w cienkich plastikowych kombinezonach, chroniących ich przed radioaktywnym pyłem. W niezbadanym dotąd korytarzu znaleźli masywną, kulistą, przypominającą stalagmit formację z tajemniczej substancji. Najwyraźniej spłynęła ona z góry, a następnie stwardniała w antracytowo-czarną, szklistą masę. Nazwali ją Stopą Słonia. Sięgała dorosłemu mężczyźnie do pasa i ważyła dwie tony. Jej powierzchnia emitowała 8000 rentgenów na godzinę, czyli 2 rentgeny na sekundę, zatem wystarczyło

pozostać pięć minut w jej pobliżu, żeby zapewnić sobie śmierć w męczarniach. Tak czy inaczej, z góry nadeszły rozkazy wykonania zdjęć i pełnej analizy[1470].

Naukowcy, którzy wciąż nie mogli znaleźć paliwa z reaktora ani ponad szesnastu tysięcy ton[1471] materiałów zrzuconych z helikopterów generała Antoszkina, mieli nadzieję, że Stopa Słonia zawiera przynajmniej część ołowiu, który miał schłodzić rdzeń. Nie tak łatwo było jednak pobrać próbki do badań. Substancja okazała się zbyt twarda dla wiertła zamocowanego na ruchomym wózku, a żołnierz, który zgłosił się na ochotnika, żeby zaatakować ją siekierą, wrócił z 217/2 z pustymi rękami i tak napromieniowany, że musiał zostać natychmiast ewakuowany z Czarnobyli[1472]. W końcu milicja przysłała snajpera, który za pomocą karabinu odstrzelił fragment substancji. Analiza próbki wykazała, że Stopa Słonia to zestalona masa dwutlenku krzemu, tytanu, cyrkonu, magnezu i uranu. Radioaktywna lava zawierająca wszystkie radionuklidy paliwa jądrowego emitującego promieniowanie jakoś przedostała się do tego korytarza z sąsiednich pomieszczeń[1473]. Nie znaleziono jednak w niej śladu ołowiu zrzuconego na reaktor w pierwszych dniach maja[1474].

Dokonując pomiarów temperatury powietrza w pomieszczeniach pod reaktorem, eksperci z Instytutu Kurczatowa zaczęli przypuszczać, że w sali na końcu korytarza, w której znajdował się gigantyczny krzyż ze stali nierdzewnej – Struktura S – podtrzymujący obudowę reaktora, może znajdować się jeszcze więcej lawy, wciąż gorącej od rozpadu promieniotwórczego. Jednak na ich drodze ponownie stanęły

gruzy i promieniowanie. Na niemal każdym posiedzeniu komisji rządowej Borys Szczerbina i jego przedstawiciele wyrzucali im, że jeszcze nie znaleźli paliwa i pytali o ryzyko nowej reakcji łańcuchowej[1475].

Na początku 1988 roku powstała nowa grupa, interdyscyplinarna załoga złożona z trzydziestu naukowców chcących zbadać Sarkofag i sporządzić mapę wszystkiego, co zawierał, wspieranych przez 3500 budowniczych – Ekipa Eksploatacji Obiektu w Czarnobylu. Za pomocą wiertel horyzontalnych o długości do dwudziestu sześciu metrów obsługiwanych przez techników ze Średmaszu i radzieckich górników ekipa zaczęła wiercić w głębinach bloku czwartego, pobierając próbki do badań[1476]. Późną wiosną 1988 roku, niemal dokładnie dwa lata po eksplozji, dotarli do studni reaktora. Trzeciego maja wiertło przeszło przez betonową ścianę, warstwę piasku, stalowe ściany wewnętrznego zbiornika osłonowego, aż do samej komory reaktora. Naukowcy wprowadzili sondę przez otwór, chcąc zbadać zniszczenie stosów grafitu i zestawów paliwowych w rdzeniu reaktora, czyli w miejscu, w którym doszło do wypadku. Sonda jednak nie napotkała na żaden opór i bez problemu przeszła na wylot do liczącej 11,8 metra średnicy dawnej strefy aktywnej[1477].

Naukowcy byli zbici z tropu. Gdzie się podziało paliwo? Następnego dnia wprowadzili peryskop i silną lampę, żeby oświetlić wnętrze i to, co zobaczyli, wprowadziło ich w zdumienie: gigantyczna komora reaktora numer 4, która niegdyś zawierała sto dziewięćdziesiąt ton paliwa uranowego i tysiąc siedemset ton

bloków grafitowych, a teraz powinna być wypełniona piaskiem, ołowiem i dolomitem, była niemal zupełnie pusta[1478].

Na przestrzeni kolejnych lat, wraz z coraz głębszą penetracją ruin bloku czwartego, wraz z kolejnymi pobranymi próbkami, zrobionymi zdjęciami i nakręconymi filmami, badacze poznali tajemnicę tego, co wydarzyło się w tym miejscu podczas najbardziej gorączkowego okresu walki o Czarnobyl. Odkryli, że tylko niewielka część spośród siedemnastu tysięcy ton materiałów zrzuconych z góry trafiła do komory reaktora. Większość znaleziono w wysokich na piętnaście metrów kopcach porzrzucanych wśród gruzów hali głównej[1479]. Niektóre sztabki ołowiu[1480] trafiły w biało-czerwony komin wentylacyjny i dach bloku trzeciego, znajdujący się kilkanaście metrów od celu, i zostały zmiażdżone innym ładunkiem zrzuconym z góry. Ponadto wyglądało na to, że niemal tysiąc trzysta ton grafitu, które nie zostało wyrzucone siłą eksplozji, strawił ogień. Płonący reaktor w końcu sam się wypalił[1481]. Wysilek bohaterских pilotów, którzy usiłowali zdusić ogień piaskiem, okazał się niemal całkowicie bezcelowy[1482].

Ekspedycja wykazała jeszcze, że obawa naukowców przed chińskim syndromem, który specjaliści ze Średmaszu uważali za praktycznie niemożliwy, wcale nie była taka daleka od rzeczywistości. Ustalili, że dwie tony śmiertelnych składników w Stopie Słonia stanowiło zaledwie ułamek rozżarzonej rzeki radioaktywnej lawy, która uformowała się we wnętrzu reaktora w ciągu kilku minut od eksplozji i spłynęła do niższych kondygnacji, aż sama komora reaktora stała się niemal zupełnie pusta[1483].

Najpierw stopiło się cyrkonowe pokrycie zestawów paliwowych, w przeciągu pół godziny od eksplozji osiągając temperaturę 1850 stopni Celsjusza, rozpuszczając zawarte w nich pastylki ditlenku uranu i przemieniając się w gorącą metalową zupę, która wchłonęła elementy samego reaktora, wliczając w to nierdzewną stal, serpentynit, grafit i stopiony beton. Radioaktywna lava, zawierająca teraz jakieś sto trzydzieści pięć ton stopionego uranu, zaczęła przeżerać się przez biologiczną osłonę reaktora, czyli masywny stalowy dysk wypełniony kruszywem serpentynitu, ważący tysiąc dwieście ton[1484]. Przepaliła się na wylot przez osłonę, absorbując jedną czwartą jej całkowitej masy i przeciekając do pomieszczeń poniżej. Stalowy krzyż, podtrzymujący komorę RBMK – Struktura S – doszedł do granicy swojej wytrzymałości i się odkształcił. Tarcza wypadła z dna reaktora, a płonące korium zaczęło przepalać dziurę w podłożu przestrzeni pod reaktorem[1485]. Rury systemu chłodzenia parą, które zawiodły w momencie agonii reaktora, teraz okazały się dogodnym wyjściem z budynku dla lawy, która rozdzieliła się na południe i wschód wzdłuż czterech odrębnych tras, topiąc po drodze metalowe przedmioty, przelewając się przez otwarte przejścia, powoli wypełniając korytarze i pomieszczenia oraz przetapiając się przez stropy, piętro po piętrze aż do fundamentów bloku czwartego[1486].

Zanim korium dotarło do basenów rozbryzgowych tak wielkim wysiłkiem osuszonych przez kapitana Zborowskiego i specjalistów z elektrowni, przepaliło się przez trzy piętra przestrzeni pod reaktorem[1487], pochłaniając coraz więcej elementów budynku, aż osiągnęło łączną masę co najmniej tysiąca ton. W niektórych

pomieszczeniach stopiony metal utworzył kałuże o głębokości piętnastu centymetrów[1488] i zastygł. Pomimo wysiłków Zborowskiego i jego ludzi w basenach rozbryzgowych pozostało kilkaset metrów sześciennych wody i dopiero gdy korium tam dotarło, chiński syndrom się zatrzymał. Kiedy lawa spłynęła na resztki wody w basenach rozbryzgowych, ostudziła się i stopione serce reaktora czwartego zakończyło swoją wędrówkę, tworząc szary, ceramiczny, radioaktywny pumeks unoszący się na powierzchni zaledwie kilka centymetrów od fundamentów dzielących budynek od gleby[1489].

Odnalezienie większości stopionego paliwa i sporządzenie raportu zapewniającego komisję rządową, że duch reaktora „na chwilę obecną” nie powinien się obudzić, trwało aż do 1990 roku[1490]. Nawet cztery lata po katastrofie temperatura wewnątrz niektórych kaset paliwowych wynosiła do 100 stopni Celsjusza. Naukowcy obliczyli jednak, że o ile nie wypełni się ich wodą, wytworzenie się nowej masy krytycznej jest niemal niemożliwe, i zainstalowali nowy system monitorujący, który miał ich ostrzegać, jeśli do takiej sytuacji jednak by doszło. W tym czasie trwał już polityczny rozpad Związku Radzieckiego, która odwracał finansową oraz polityczną uwagę od Czarnobyla.

Zapomniana i pozbawiona środków Ekipa Eksploatacji Obiektu w Czarnobylu mozolnie pracowała dalej[1491]. Jej przywódca, tęgi fizyk neutrin Aleksander Borowoj, w sumie ponad tysiąc razy wszedł do wnętrza Sarkofagu. Borowoj powiedział, że zawsze brakowało mu odwagi i rozumiał niebezpieczeństwa promieniowania, ale podjął ryzyko. Za każdym razem, kiedy wkraczał do ciemnego budynku, budziły się w nim te same emocje

co przy słuchaniu uwertury VI symfonii Czajkowskiego: złowieszczy preludeum zapowiadającego walkę życia z nicością. Fizykom brakowało komputerów i sprzętu ochronnego. Za każdym razem, gdy wkraczał do środka, Borowoj zabierał ze sobą rolkę przylepca, którym zaklejał rozdarcia na kombinezonie.

W końcu zabrakło im nawet bielizny, ale po wyemitowaniu przez BBC filmu dokumentalnego o ekspedycji zaczęli otrzymywać z Zachodu paczki z ręcznie zrobionymi skarpetami. Borowoj wręczał je w formie nagrody tym, którzy wyróżnili się wewnątrz Sarkofagu[1492]. Pomimo tych wszystkich trudności naukowców tak bardzo fascynowało to zajęcie i uważali je za tak ważne, że niektórzy odmawiali opuszczenia tego miejsca po zakończeniu swojej misji. Wielu z nich zostawiało dozymetry w biurze, żeby nie odesłano ich do domu po otrzymaniu maksymalnej dawki[1493]. Oprócz Stopy Słonia znaleźli także inne zastygłe formacje wewnątrz ruin bloku czwartego, uformowane w przedziwne kształty, którym nadali imiona[1494]: Łza, Sopol, Stalagmit, Sterta. Odkryli też nową substancję, którą nazwali czarnobylitem – piękną, ale śmiertelnością, niebieskokrystaliczną, krzemianową, złożoną głównie z cyrkonu i uranu, którą udało im się wydobyć z ruin. Można ją było badać tylko przez krótki czas, a jej próbki trzeba było wynosić z bloku czwartego w pojemnikach pokrytych ołowiem[1495]. Kiedy skończyły się pieniądze, a obawa przed nową samopodtrzymującą się reakcją łańcuchową stała się bezpodstawną, ekipa badaczy zdała sobie sprawę z nowego problemu. Zbudowany w pośpiechu i wielkiej tajemnicy Sarkofag nie był takim tryumfem radzieckiej inżynierii, jakim przedstawiała go propaganda.

W trakcie budowy starannie ukryto niedoskonałości budynku, ale Borowoj i jego ekipa znaleźli w ścianach szczeliny na tyle duże, że przecisnąłby się przez nie dorosły mężczyzna, i pęknięcia, przez które mogła przepłynąć woda i przedostać się radioaktywny pył. Obawiali się też, że betonowy szkielet bloku czwartego może wkrótce się zawalić[1496]. Kiedy Borowoj wrócił do Moskwy, było jasne, że trzeba znaleźć nowe środki na ochronę przed wciąż gorącym reaktorem.

Były dyrektor elektrowni Wiktor Briuchanow wyszedł na wolność 11 września 1991 roku, po odsiedzeniu pięciu lat z dziesięcioletniego wyroku. Większość tego czasu spędził w kolonii karnej w Doniecku. Został zwolniony wcześniej za dobre sprawowanie i ostatnie miesiące kary pozwolono mu spędzić w obozie pracy przymusowej – znanym jako *chimija*, czyli chemia – w Umanie, mieście, które znajdowało się bliżej Kijowa, gdzie mieszkała jego żona[1497]. Opuścił więzienie w wieku pięćdziesięciu pięciu lat rozbity i wyniszczony. Czeski płaszcz, który Walentina kupiła mu po przeprowadzce do Kijowa, wisiał na nim jak worek. Gdy powrócił do domu, pokazała mu ich nowe mieszkanie na tym samym osiedlu, na które przeniesiono wielu jego kolegów i pracowników, a które zaczęto nazywać Małą Prypecią. Przedstawiła go też ich pięcioletniej wnuczce, której nigdy wcześniej nie widział[1498].

Briuchanow wyszedł na zupełnie inny świat. Partia, której tak wiernie służył, rozwiązywała się i nawet jego niesława jako człowieka odpowiedzialnego za katastrofę w Czarnobylu została przyćmiona przez inne, większe zbrodnie. Dwudziestego szóstego grudnia 1991 roku przewodniczący kolegium do spraw

przestępstw kryminalnych Sądu Najwyższego ZSRR przesłał do moskiewskiego prawnika Briuchanowa dwuwiersowy list[1499], w którym napisał, że apelacja od wyroku jego klienta została odrzucona bez rozpatrzenia, gdyż państwo odpowiedzialne za jego wydanie przestało istnieć.

Briuchanow początkowo pragnął powrócić do Prypeci i pomimo wszystkiego, co zaszło, miał nadzieję na znalezienie pracy w elektrowni, którą wybudował[1500]. W końcu Witalij Skliarow, sardoniczny były aparaczyk, który wciąż sprawował pieczę nad ukraińskim Ministerstwem Energetyki, teraz wchodzącym w skład nowego – narodowego – rządu, znalazł Briuchanowowi pracę w ministerialnym Wydziale Handlu Międzynarodowego w Kijowie[1501]. Na początku 1992 roku kompletnie zapomniany Wiktor wrócił do pracy[1502].

Dyrektor jako ostatni ze skazanych pracowników czarnobylskiej elektrowni wyszedł na wolność. Kowalenko i Rogożkin wniesli o wcześniejsze zwolnienia i powrócili do pracy w elektrowni. Były inspektor do spraw bezpieczeństwa jądrowego, Lauszkin, również został zwolniony, ale wkrótce potem zmarł na raka żołądka[1503]. Główny inżynier Nikołaj Fomin nigdy do końca nie pozbiierał się po katastrofie. Dwa lata po aresztowaniu, w 1988 roku, zdiagnozowano u niego zaburzenia psychotyczne i przeniesiono do szpitala psychiatrycznego. Z przyczyn zdrowotnych wypuszczono go w 1990 roku. Znalazł pracę w elektrowni jądrowej w Kalininie, na północ od Moskwy, chociaż jego stan psychiczny wciąż nie był stabilny[1504].

Anatolij Diatłow, despotyczny zastępca głównego inżyniera, odsiadkę spędził, kwestionując wyrok radzieckiego sądu, pisząc

listy i udzielając w więzieniu wywiadów. Starał się rozpowszechnić to, czego dowiedział się o błędach konstrukcyjnych reaktorów RBMK, a także oczyścić imię swoje i swoich pracowników. Pisał bezpośrednio do Hansa Bliksa z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej w Wiedniu, wskazując na błędy w ich analizie technicznej, ale też do rodziców Leonida Toptunowa, opisując, jak ich syn pozostał na stanowisku, próbując ocalić reaktor, i jak niesprawiedliwie został oskarżony o spowodowanie wypadku. Wyjaśnił, że reaktor nigdy nie powinien zostać dopuszczony do użytku i że Toptunow oraz jego zmarli koledzy padli ofiarami próby zatuszowania sprawy. „W pełni wam współczuję i z wami boleję – napisał Diatłow. – Nie ma nic gorszego niż utrata dziecka”[1505].

W więzieniu Diatłow w dalszym ciągu cierpiał na okropne poparzenia powstałe w wyniku promieniowania, których nabawił się, przemierzając ruiny bloku czwartego, i z powodu coraz gorszego stanu zdrowia został zwolniony w październiku 1990 roku[1506]. Zamieszkał w Trojeszczynie i kontynuował swoją misję ujawnienia prawdy o błędach projektowych reaktora i o tym, jak Legasow i radziecka delegacja zatuszowali prawdziwe przyczyny wypadku.

Pomimo publikacji różnych relacji, w tym w *Czarnobylskim zeszycie* Grigorija Miedwiediewa, który kwestionował oficjalną wersję rządu, raporty komisji rządowej dotyczące przyczyn wypadku wciąż były utajnione, a opinia publiczna przeświadczona o tym, że niezawodny reaktor został wysadzony przez niekompetentnych operatorów. Kiedy jednak w kraju przestano utrzymywać wiele spraw w tajemnicy, prawda na temat eksplozji

w bloku czwartym zaczęła wychodzić na jaw. Wbrew protestom NIKIET-u[1507] i Ministerstwa Energetyki Jądrowej krajowa niezależna rada bezpieczeństwa jądrowego ponieważ rozpoczęła własne śledztwo dotyczące przyczyn wypadku. Rada konsultowała się zarówno z projektantami średniego szczebla reaktorów RBMK, jak i byłymi specjalistami z elektrowni w Czarnobylu. Jej przewodniczący dużo korespondował z Diatłowem na temat wydarzeń bezpośrednio poprzedzających eksplozję. Niepozorne dokumenty przedstawione przez radzieckie władze Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej zaczęły podkopywać oficjalną wersję, a w lipcu 1990 roku jeden ze starszych członków radzieckiej delegacji w Wiedniu publicznie przyznał, że za katastrofę odpowiedzialni są głównie projektanci, bo wina operatorów była zaledwie marginalna[1508].

Raport przedstawiony przez radę bezpieczeństwa jądrowego sowieckiej Radzie Ministrów w styczniu 1991 roku całkowicie podważał wersję Legasowa z Wiednia o delikatnym urządzeniu wysadzonym w powietrze przez nieodpowiedzialnych operatorów, którzy złamali wszystkie najważniejsze przepisy bezpieczeństwa. Jej wnioski nie oczyszczały całkowicie Diatłowa, który nie tylko twierdził, że personel elektrowni nie ponosił żadnej winy za wypadek, ale też że w kluczowym momencie – kiedy Leonid Toptunow podniósł moc niemal zatrzymanego reaktora, żeby móc kontynuować test – nie było go w pomieszczeniu. Ustalono jednak, że chociaż działania operatorów przyczyniły się do tragedii, nie powinno się ich winić za katastrofę, na którą zanosilo się od dziesięcioleci.

W maju 1991 roku[1509], kiedy raport wciąż był badany przez Departament Paliw i Energetyki Rady Ministrów, jeden z jego czołowych autorów, były główny inżynier w Czarnobylu, Nikołaj Steinberg, zaprezentował własne wnioski podczas otwarcia Międzynarodowego Kongresu Praw Człowieka w moskiewskim Centrum Sacharowa. Powiedział zebranym, że przyczyny czarnobylskiego wypadku stanowią mieszankę „fizycznych, technicznych, społeczno-ekonomicznych i ludzkich czynników”[1510], która mogła zaistnieć tylko w ZSRR. Radziecki przemysł jądrowy, pozbawiony podstawowych zasad bezpieczeństwa, polegał wyłącznie na operatorach, którzy co noc z precyzją robotów wykonywali swoje zadania, pomimo ciągłej presji „wyrobienia planu ponad normę”, co nieuchronnie prowadziło do pogwałcenia przepisów. Stwierdził, że Diatłow i nieżyjący już operatorzy ze sterowni numer 4 wprowadzili reaktor w niestabilny stan, ale jedynie ze względu na presję wykonania testu turbiny, jaka na nich spoczywała.

„W tych okolicznościach[1511] – stwierdzał Steinberg – operatorzy bloku i ich zwierzchnicy podjęli decyzję, która najprawdopodobniej doprowadziła do późniejszego wypadku”. Nikt tego jednak nie wiedział na pewno, bo wciąż nie ustalono, czy w momencie rozpoczęcia testu dałoby się jeszcze bezpiecznie wyłączyć reaktor. Mimo że Diatłow, naczelnik zmiany Akimow i starszy inżynier kontroli reaktora Toptunow złamali niektóre przepisy, nie mieli pojęcia o poważnych błędach projektowych reaktora RBMK-1000, które sprawiały, że wprowadzenie prętów kontrolnych zamiast wyłączyć reaktor, może spowodować jego rozbieg i reakcję łańcuchową.

Wszyscy badacze podpisani pod raportem zgadzali się, że skok mocy, który zniszczył reaktor, miał swój początek wraz z wprowadzeniem prętów do rdzenia. „W ten sposób wypadek w Czarnobylu wpisuje się w typowy schemat najpoważniejszych wypadków na świecie. Zaczęło się od nałożenia na siebie niewielkich nagięć przepisów [...]. Doprowadziły one do niepożądanych okoliczności, z których każda z osobna nie była szczególnie niebezpieczna, ale wraz z czynnościami operatorów zapoczątkowały wydarzenia uwalniające potencjalnie destrukcyjne i niebezpieczne cechy reaktora”[1512].

Steinberg zauważył, że odpowiedzialność za przyczyny wypadku spoczywa na tych, którzy zaprojektowali reaktor i na utrzymującej tajemnicę, kumoterskiej biurokracji, która dopuściła go do użytku. Stwierdził jednak, że przypisywanie winy nie jest już konstruktywne, czy to wobec „tych, którzy zawiesili załadowaną strzelbę na ścianie, czy tych, którzy niechcący pociągnęli za spust”[1513].

Jednak potentaci przemysłu nuklearnego nie palili się do poznania prawdy[1514]. Minister energetyki atomowej na Kremlu nie przyjął od razu wniosków Steinberga, tylko zarządził drugie śledztwo nowej komisji, w skład której tym razem wchodziły osoby odpowiedzialne za raport wiedeński z 1986 roku. Pod presją projektantów z NIKIET-u wskazówka winy znowu zaczęła wychylać się w stronę operatorów. Dwaj członkowie komisji wybrani z rady bezpieczeństwa jądrowego ustąpili w ramach protestu, a ich zwierzchnik odmówił złożenia podpisu pod dokumentem. Sprawa wciąż pozostawała nierozwiązana, kiedy

w sierpniu 1991 roku Jelcyń i Gorbaczow stawili czoła próbie zamachu stanu i ZSRR zaczął się ostatecznie sypać.

Dopiero w następnym roku, po tym jak radziecka rada bezpieczeństwa jądrowego została rozwiązana, jej wnioski zostały opublikowane w ramach dodatku do zaktualizowanej wersji oryginalnego raportu Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej dotyczącego wypadku w Czarnobylu. Chcąc zadośćuczynić nieścisłościom raportu z 1986 roku i opierając się na tak zwanych nowych informacjach[1515], eksperci IAEA ujawnili w końcu prawdziwą skalę próby zatuszowania przyczyn wypadku: długą historię wypadków RBMK, niebezpieczny projekt reaktora, jego niestabilność i to, jak operatorów wprowadzano w błąd. Za pomocą szczegółowej naukowej analizy opisano problemy dodatniego współczynnika reaktywności przestrzeni parowych i fatalne konsekwencje efektu „zakończeń” prętów kontrolnych.

Chociaż badacze IAEA uznali zachowanie operatorów Czarnobyla za „pod wieloma względami [...] niesatysfakcjonujące”[1516], przyznali, że główne przyczyny najgorszej katastrofy jądrowej w historii nie miały związku z osobami w sterowni bloku czwartego, tylko z projektem reaktora RBMK. Sześć lat po tym, jak na cmentarzu Mitino pochowano Aleksandra Akimowa, Leonida Toptunowa i pozostałych operatorów, ci zostali w końcu częściowo zrehabilitowani. Jednak górnolotny język raportu wypełniony techniczną terminologią nie zwrócił dużej uwagi nikogo spoza kręgu specjalistów[1517]. Zastępca głównego inżyniera Diatłow, wciąż niezadowolony, prowadził w Kijowie samotną krucjatę mającą na celu oczyszczenie się z zarzutów aż do samej śmierci[1518] w grudniu

1995 roku, spowodowanej nowotworem szpiku kostnego, w wieku sześćdziesięciu czterech lat. W 2008 roku, ponad dwie dekady po wypadku, uznano w końcu bohaterstwo Akimowa i Toptunowa – oraz dwunastu innych pracowników elektrowni: inżynierów, elektryków i operatorów turbin – kiedy to prezydent Wiktor Janukowycz pośmiertnie przyznał każdemu z nich Order za Odwagę III klasy[1519].

Grobowiec Walerija Chodemczuka

Wczesnym październikowym wieczorem w 2015 roku powróciłem do ceglanej kamienicy przy Prospekcie Wiernadskiego w Moskwie, gdzie niemal dziesięć lat wcześniej poznałem Aleksandra i Natalię Juwczenków. Słońce już zaszło i było zimno, ale nie spadł jeszcze pierwszy śnieg. Znajdujące się na dziesiątym piętrze mieszkanie Juwczenków zostało dużym kosztem wyremontowane, wstawiono nowoczesną kuchnię i łazienkę, ale sprawiało wrażenie spartańskiego i zimnego. Nie było już kota Charliego. Natalia powiedziała, że ostatnio dużo czasu spędzała w Niemczech, gdzie pracowała jako kosmetyczka, i moskiewskie mieszkanie odwiedzała tylko okazjonalnie. Licząca pięćdziesiąt cztery lata Juwczenko była blada, miała ptasi profil i nosiła zielony sweter z krótkimi rękawami udekorowany różową wypustką. Na głowie miała trwałą, a jej włosy były ufarbowane na kolor ciemnego kasztanu. Przygotowała herbatę, poczęstowała mnie ciastem i po chwili opowiedziała, co się stało z jej mężem.

Kiedy odwiedziłem ich w 2006 roku, Aleksander wyglądał dobrze i dopiero pod koniec roku Natalia zauważyła, że chudnie. Ale uznała, że to dobrze, że mąż stracił trochę na wadze, bo dzięki temu wyglądał młodziej. Całkiem nieźle wiodło mu się w nowej pracy w przemyśle jądrowym, wyglądał na zdrowego i szczęśliwego. Na początku października udali się na wakacje na Kretę i pewnego dnia wyszedł na plażę, trzymając w ręku wiosło.

– Nataszo – powiedział – chciałbym, żebyś dotrzymała mi towarzystwa.

W wyścigach kajakarskich nie uczestniczył już od dwudziestu lat, ale jego miłość do sportu nie wygasła i nie przegapił żadnych zawodów w telewizji.

Teraz znalazł kajak, ale potrzebował partnera. Natalia nigdy nie wiosłowała, ale mąż nalegał: tylko po zatoce, tylko kilka minut. Weszła do łódki, a Aleksander usiadł za nią. Zanurzyła wiosło w błękitnej wodzie. Nie było to łatwe. Była bardzo szczupła i niedoświadczona, a jej czterdziestoczteroletni mąż wciąż miał szerokie plecy i dużo siły. Musiała wiosłować niezwykle szybko, żeby nadążyć za nim, ale udało jej się znaleźć odpowiedni rytm. Kiedy w końcu dotarli do plaży, odwróciła się i ujrzała męża radosnego i zdyszanego – wyczerpanego próbą dotrzymania jej niezwykle tempu.

– Jesteś mistrzynią! – powiedział i w ramach nagrody kupił jej parę akwamarynowych kolczyków u pobliskiego jubilera.

Kiedy wracali samolotem do Moskwy, Aleksander nagle poczuł się słabo, krew odpłynęła mu z twarzy. Uznał, że to z powodu zmiany ciśnienia w kabinie i nie przywiązywał do tego wagi. Kiedy dotarli do domu, czuł się dobrze, mimo że wciąż był bardzo blady. Wyniki morfologii krwi były w normie i Natalia uznała, że może za dużo pracował i powinien nieco zwolnić.

Na początku stycznia 2007 roku Aleksander wrócił do domu z wysoką gorączką. Uznali, że to wirus, wziął więc leki na zabicie gorączki. Jednak jego temperatura ciągle skakała – rano była niska, a wieczorami wysoka – uznali więc, że musi być jakiś powód. Ich syn, Kirył, wezwał lekarza.

Badania wykryły, że śledziona Aleksandra rozrosła się do rozmiaru kilkakrotnie większego niż normalny, co było charakterystycznym objawem białaczki. Morfologia okazała się niewiarygodna. Juwczenkę przyjęto do szpitala, ponieważ jego szpik kostny nie domagał. Powrócił do Szpitala numer 6, teraz nazywanego się Centrum Medyczne Burnaziana, gdzie w charakterze konsultantek nadal pracowały dwie lekarki, które opiekowały się nim w 1986 roku – osiemdziesięciodwuletnia Andżelina Guskowa i siedemdziesięciodwuletnia Andżelika Barabanowa. Natalia Juwczenko początkowo miała nadzieję, że przy odpowiednim leczeniu chorobę męża da się opanować i pozostanie mu jeszcze kilka lat normalnego życia, ale w ciągu kolejnego półtora roku rozwinął się u niego złośliwy guz, który zakłócił całą terapię, na którą składało się przyjmowanie nowych, eksperymentalnych leków importowanych ze Szwajcarii.

Pod koniec lata 2008 roku Natalia była przygotowana na najgorsze. Sądziła, że nie pozostało mu więcej jak pięć dni życia i razem z Kiryłem i bratem Aleksandra, Władimirem, siedzieli przy jego łóżku na zmianę przez całą dobę. Natalia gotowała mu w domu, zabierała jedzenie do szpitala i tam go karmiła. Kiedy pod koniec sierpnia nagle poczuł się lepiej i stanął na nogi, byli w szoku. Lekarze pozwolili mu wracać do domu na weekendy, gdzie mógł chodzić na spacer, jeździć samochodem i kupować na targu świeże warzywa. Gdy wracał do szpitala, pracował w łóżku. Nalegał, żeby Natalia wybrała się w delegację do Paryża, którą zaplanowała na listopad. Ale chociaż pozostał aktywny i pełen zapału do pracy, jego stan się pogarszał. Twarz i ciało Aleksandra tak napuchły, że przestał przypominać samego siebie.

Na początku października 2008 roku, kiedy lekarze nie dawali mu już żadnej szansy, pozwolili mu powrócić na dwa tygodnie do domu, żeby spędził czas z rodziną. Codziennie po południu podjeżdżał samochodem do biura Natalii i zabierał ją do domu. Dwudziestego piątego października skończył czterdzieści siedem lat. Wypił szampana, a z całego świata z życzeniami dzwonili przyjaciele i koledzy z pracy, nawet ci, z którymi od lat nie utrzymywał kontaktu.

Tydzień później, ponad dwadzieścia dwa lata po tym, jak po raz pierwszy przekroczył próg brązowego budynku przy ulicy Marszałka Nowikowa, Aleksander Juwczenko po raz ostatni powrócił do Szpitala numer 6. Tego samego dnia zadzwonił do Natalii, mówiąc, że zabierają go na oddział intensywnej terapii, gdzie podda się operacji, więc nie będzie mógł do niej potem zadzwonić. Kirył, który miał dwadzieścia pięć lat i był chirurgiem stażystą w tym szpitalu, widywał ojca codziennie. Kiedy jednak na oddziale zarządzono kwarantannę i zabroniono odwiedzin, Kirył ostrzegł Natalię, żeby nawet nie próbowała przychodzić do kliniki. Jeszcze w sobotę razem się śmiali i żartowali, a w poniedziałek, 10 listopada, Aleksander zapadł w śpiączkę. Osiem godzin później, tuż przed północą, Kirył zadzwonił do matki.

– Ojciec nie żyje – powiedział[1520].

Niemal dwadzieścia pięć lat po eksplozji reaktora numer 4, w lutym 2011 roku, trzydziestokilometrowa Strefa Wykluczenia wokół elektrowni wciąż pozostawała wysoce skażona. Poziom promieniowania różnił się w zależności od miejsca i trudno było przewidzieć jego natężenie, ponieważ niewidzialny opad

radioaktywny nierównomiernie pokrywał cały teren. Czerwony Las – w którym żołnierze wycięli skażone drzewa i zakopali je w betonowych dołach, przykrywając świeżą glebą i siejąc trawę oraz sadząc sosny – okazał się tak radioaktywny, że zakazano przez niego przechodzić. Zamiast tego do elektrowni wytyczono nową drogę, kilkaset metrów na wschód. Na piaszczystej ścieżce, która przecinała drzewostany zdrowych drzew iglastych w kierunku płatów wrzecionowatych i zdeformowanych sosen, elektroniczne sygnały licznika Geigera wzrastały stopniowo od lekkich stuknięć do nieprzerwanej kanonady, dopóki przewodnik nie powiedział mi, że nie powinniśmy iść dalej. Przed nami rozciągała się jałowa polana usłana uschniętymi igłami i połamanymi gałęziami, na której niemal nic nie rosło, a licznik wydawał odgłos, jakiego nikt nie chciałby usłyszeć: nieprzerwany dźwięk wskazujący na poziom promieniowania tysiąckrotnie przekraczający normę[1521].

Na przestrzeni dziesięcioleci, od momentu, kiedy pierwsi żołnierze z 25. Zmotoryzowanej Dywizji Strzeleckiej postawili tu płot z drutem kolczastym latem 1986 roku, terytorium Strefy Wykluczenia wciąż się rozszerzało – nowe, niezależne rządy przechodziły od radzieckich norm ustalających bezpieczny poziom promieniowania do zachodnich standardów. W 1993 roku główna część skażonej ziemi na Białorusi, znana pod nazwą Poleski Narodowy Rezerwat Radiacyjno-Ekologiczny, została powiększona o dodatkowe osiemset pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych terenu. W 1989 roku Ukraina dodała kolejne pięćset kilometrów kwadratowych skażonej ziemi na zachód od strefy, włączając okolice Polesia i Narodyczy i tworząc jednostkę administracyjną

zwaną Strefą Wykluczenia i Strefą Bezwarunkowego (Obowiązkowego) Wysiedlenia. Do 2005 roku w sumie ponad cztery tysiące siedemset kilometrów kwadratowych ziemi północno-zachodniej Ukrainy i południowej Białorusi oficjalnie uznano za niezdatną do zamieszkania z powodu skażenia radiacyjnego[1522].

Skażenie jednak rozciąga się daleko poza tę strefę i ma długofalowy skutek. Wiele lat po eksplozji znajdowano w mięsie, nabiale i produktach rolnych pochodzących z gospodarstw od Mińska po Aberdeen i od Francji po Finlandię ślady strontu oraz cezu i trzeba było je wycofywać z rynku. W Wielkiej Brytanii ograniczenia dotyczące handlu mięsem owiec pasących się na wzgórzach północnej Walii zniesiono dopiero w 2012 roku[1523]. Badania wykazały[1524], że nawet trzy dekady po wypadku połowa dzików upolowanych w czeskich lasach wciąż jest zbyt skażona, żeby można było spożywać ich mięso.

Jednocześnie ze Strefy Wykluczenia dochodziły niewiarygodne opowieści o niezwykłym odrodzeniu przyrody. Rośliny i zwierzęta pozostawione w ewakuowanej strefie na powrót szybko zasiedliły dotknięty katastrofą teren. Pierwsze dowody tego fenomenu[1525] pojawiły się, gdy w pobliżu reaktora natrafiono na trzy krowy i byka. Zabrano je na eksperymentalną farmę w okolicy Prypeci i wszystkie cztery zwierzęta – nazwane przez naukowców Alfa, Beta, Gamma i Uran – początkowo były całkowicie bezpłodne z powodu otrzymania dużych dawek promieniowania, ale powoli dochodziły do siebie i pierwszy cielak w gospodarstwie urodził się w 1989 roku. Kiedy eksperymentalna hodowla się powiększyła do

ponad trzydziestu jednostek bydła, w tym także hodowanych poza strefą skażenia, naukowcy zbadali zwierzętom krew.

Spodziewali się znaleźć różnice w wynikach pomiędzy tymi dwiema grupami – hodowanymi w strefach o różnym poziomie skażenia – ale nie znaleźli żadnych.

Po rozpadzie ZSRR[1526] gospodarka Ukrainy i Białorusi doświadczyła drastycznej regresji i stopniały fundusze na badania nad Czarnobyłem. Jednak jeden naukowiec – Siergiej Gaszczak, były likwidator, który latem 1986 roku po dwanaście godzin dziennie przez sześć tygodni zmywał radioaktywny pył z samochodów i ciężarówek – pozostał w strefie. Zapuszczając się głęboko w lasy i na bagna wyludnionej ziemi, Gaszczak natrafił na przedstawicieli gatunków dawno wytępionych w innych częściach Białorusi i Ukrainy przez myśliwych i rolników: wilki, łosie, niedźwiedzie brunatne i rzadkie drapieżne ptaki. Jego obserwacje pomogły ukształtować nowe spojrzenie na strefę, pocieszające, choć zupełnie sprzeczne z intuicją, pokazujące, że natura potrafi sama się uzdrowić w nieprzewidywalny sposób. Pod nieobecność człowieka rośliny i zwierzęta mnożyły się w skażonym edenie[1527].

Filmy dokumentalne i książki prezentowały strefę jako przykład tego, że długotrwałe wystawienie na stosunkowo niski poziom promieniowania może okazać się nieszkodliwe – a w niektórych przypadkach nawet korzystne – dla zwierząt. Jednak naukowe udowodnienie tej tezy[1528] było mało wiarygodne, a w każdym razie pełne sprzeczności. Sam Gaszczak nie miał pieniędzy na przeprowadzenie dużych badań flory i fauny, a ekipa niezależnych badaczy pod przewodnictwem

Timothy'ego Mousseau ze Stanów Zjednoczonych i Andersa Pape-Mollera z Danii opublikowała szereg badań, które podważały jego tezy, wykazując, że zwierzęta i rośliny w strefie umierały wcześniej i cierpiały na deformacje.

Większość przeprowadzanych od 1986 roku badań nad niskim poziomem promieniowania w strefie potwierdziła, że różne gatunki rozmaicie reagują na długotrwałe wystawienie na promieniowanie. Sosny radziły sobie znacznie gorzej niż brzozy. Moller i Mousseau wykazali, że migrujące jaskółki dymówki były bardzo wrażliwe na promieniowanie, bardziej niż lokalne ptaki. Nasiona zbóż ozimych pobrane ze Strefy Wykluczenia tuż po eksplozji reaktora, a następnie zasadzone w nieskażonej glebie wytworzyły tysiące różnych mutacji i każda nowa generacja pozostawała genetycznie niestabilna, nawet dwadzieścia pięć lat po wypadku. Ale badanie z 2009 roku nad nasionami rosnącej w pobliżu reaktora soi wykazało, że roślina zmodyfikowała się na poziomie molekularnym tak, żeby chronić się przed promieniowaniem[1529].

Tymczasem Światowa Organizacja Zdrowia zapewniała[1530], że u osób mieszkających w pobliżu strefy nie zaobserwowano konsekwencji dziedzicznych lub reprodukcyjnych z powodu awarii. Potwierdziło to dziesiątki lat wcześniejszych badań wykazujących[1531], że chociaż płody ssaków narażone na promieniowanie w macicy mogą cierpieć na wady wrodzone, ryzyko spowodowania dziedzicznych mutacji u ludzi było prawie na pewno zbyt małe, aby je wykryć. Inni badacze jednak ostrzegali[1532], że nie możemy być całkowicie pewni, jak DNA człowieka potrafi zaadoptować się do długotrwałego wystawienia

na promieniowanie, a znalezienie odpowiedzi na to pytanie może zająć dekady, a nawet stulecia. Argumentowali, że genetyczne następstwa długotrwałego wystawienia na promieniowanie u badanych gatunków często były bardzo subtelne, zróżnicowane i ujawniały się dopiero po wielu pokoleniach. Potencjalne zmiany genetyczne u ludzi, którzy w 2011 roku stanowili dopiero trzecie pokolenie – gdy wnuki likwidatorów zaczęły zakładać własne rodziny – mogą zostać ujawnione w pełni dopiero za kilkaset lat. „Tego właśnie chcemy się dowiedzieć – wyjaśniał Moller. – Czy w kwestii mutacji jesteśmy bardziej jak jaskółki dymówki czy jak soja?”[1533].

Kiedy w 2011 roku zbliżała się dwudziesta piąta rocznica katastrofy, rząd Ukrainy planował otwarcie Strefy Wykluczenia jako atrakcji turystycznej. „Czarnobyl nie jest tak straszny, jak myśli cały świat – powiedziała rzeczniczka brytyjskim reporterom. – Chcemy współpracować z wielkimi biurami podróży i przyciągnąć zachodnich turystów, którzy pragną odwiedzić to miejsce”[1534]. Już wcześniej władze przymknęły oko na dyskretny powrót do strefy ponad tysiąca wieśniaków, „tubylców nuklearnego rezerwatu”[1535], którzy woleli starość spędzić w swoich domach na odludziu, żywiąc się wyhodowanymi własnoręcznie owocami i warzywami. Naukowcy obawiali się, że ta inicjatywa to wstęp do ponownego zasiedlenia strefy, i byli tym faktem oburzeni – Siergiej Gaszczak, bo miał nadzieję, że stanie się ona rezerwatem dzikiej przyrody, gdzie łosie i rysie będą mogły żyć z dala od myśliwych, a Moller i Mousseau, bo obawiali się jej długofalowego wpływu na zdrowie osób, które pozostaną na tym terenie.

Zbiorowa pamięć o najstraszniejszym wypadku atomowym świata przyblakła po ćwierćwieczu. W świetle rosnących cen ropy i globalnego ocieplenia rządy ponownie rozważały rentowność energii jądrowej. Pracowano nad pierwszym od ponad trzydziestu lat kontraktem na budowę elektrowni atomowej w Stanach Zjednoczonych[1536]. Na początku marca 2011 roku Ukraina ogłosiła plany budowy dwóch nowych reaktorów nieopodal Czarnobyla. Rząd w Kijowie myślał o przyszłości Strefy Wykluczenia, gdy 11 marca 2011 roku napłynęły wieści z elektrowni atomowej Fukushima w Japonii[1537].

Katastrofa obejmująca trzy wybudowane przez General Electric reaktory na północno-wschodnim wybrzeżu wyspy Honsiu miała znany przebieg, tym razem transmitowany na żywo przez telewizję. Utrata chłodziwa doprowadziła do stopienia reaktora, niebezpiecznego nagromadzenia wodoru i kilku katastrofalnych eksplozji. Nikt nie ucierpiał w wyniku emisji promieniowania, ale trzeba było ewakuować trzysta tysięcy ludzi ze strefy, która przez dziesięciolecia pozostanie skażona. Podczas wczesnego etapu sprzątanía skutków awarii okazało się, że roboty nie radzą sobie w wysoce skażonym środowisku wewnątrz elektrowni. Wysłano więc japońskich żołnierzy, ogłaszając kolejne pyrrusowe zwycięstwo biorobotów nad technologią.

Fukushima rozwiała ułudę, że to, co wydarzyło się w Czarnobylu, było wypadkiem jednym na milion lat, zduszając renesans energii atomowej u jego zarania. Japoński rząd natychmiast wyłączył pozostałe czterdzieści osiem reaktorów, a Niemcy zamknęły osiem z siedemnastu, zapowiadając wyłączenie reszty do roku 2022 i przejście na energię odnawialną.

Wszystkie plany budowy nowych reaktorów w Stanach Zjednoczonych zawieszono lub zrezygnowano z nich.

Jednak energia atomowa przetrwała[1538]. Ponad siedem lat po katastrofie w Japonii Stany Zjednoczone wciąż mają setkę funkcjonujących reaktorów, w tym ten w Three Mile Island. Francja siedemdziesiąt pięć procent energii wytwarza dzięki elektrowniom atomowym[1539], a Chiny w ostatnich latach rzuciły się w wir budowy reaktorów, mając trzydzieści dziewięć już funkcjonujących i dwadzieścia w trakcie budowy. Niektórzy ekolodzy twierdzą, że ludzkość nie potrafi obejść się bez pokojowego atomu. Globalna potrzeba elektryczności rośnie wykładniczo i mówi się, że zużycie energii wzrośnie dwukrotnie do 2050 roku[1540]. Pomimo rosnącej pewności, że spalanie paliw kopalnych jest główną przyczyną niszczycielskich zmian klimatycznych i kładzenia nacisku na zmniejszenie emisji węgla, czarne złoto pozostaje najpowszechniejszym źródłem energii na świecie. Cząstki emitowane przez tradycyjne elektrownie w Stanach Zjednoczonych zabijają ponad trzynaście tysięcy osób rocznie, a na świecie trzy miliony osób w ciągu roku umiera w wyniku zatrucia powietrza przez elektrownie napędzane węglem i ropą[1541]. Żeby odsunąć zmiany klimatyczne[1542], cała dodatkowa energia generowana na świecie w ciągu kolejnych trzydziestu pięciu lat powinna być „czysta”, ale ani elektrownie wiatrowe, ani słoneczne, ani wodne, ani geotermalne – ani żadna z ich kombinacji – nie są w stanie sprostać temu zapotrzebowaniu.

Elektrownie jądrowe nie emitują dwutlenku węgla i statystycznie są bezpieczniejsze niż konkurencyjne źródła

energii, w tym turbiny wiatrowe[1543]. W końcu, po siedemdziesięciu latach od wprowadzenia tej technologii, inżynierzy uruchamiają reaktory, których głównym celem nie jest stworzenie bomb, a generowanie elektryczności. Reaktory czwartej generacji będą tańsze, bezpieczniejsze, mniejsze, bardziej wydajne i mniej szkodliwe niż ich poprzednicy[1544]. Dzięki temu mogą okazać się technologią, która zbawi świat.

Niecały miesiąc przed eksplozją reaktora numer 4 w 1986 roku ekipa inżynierów w Argonne National Laboratory-West w Idaho zaprezentowała pierwszy integralny reaktor szybki, który był bezpieczny nawet w sytuacji, jaka zniszczyła Three Miles Island 2 i miała okazać się katastrofalna w przypadku Czarnobyla i Fukushima. Jeszcze bardziej zaawansowany reaktor torowy na ciekłych fluorkach (LFTR), opracowany w Oak Ridge National Laboratory w Tennessee, zasilany jest torem[1545]. To znacznie powszechniejszy pierwiastek niż uran i znacznie trudniej stworzyć z niego bombę. Tor spala się efektywniej w reaktorze i wytwarza mniej szkodliwe radioaktywne produkty, których okres połowicznego rozpadu wynosi setki, a nie dziesiątki tysięcy lat. Działa pod dużym ciśnieniem powietrza i bez osiągnięcia stanu krytycznego, nie wymaga budowy dużych osłon chroniących przed utratą chłodziwa i eksplozją oraz może być wytwarzany tak niskim kosztem, że każda stalownia lub każde miasto mogłoby posiadać własny mikroreaktor pod ziemią.

W 2015 roku założyciel firmy Microsoft, Bill Gates, rozpoczął finansowanie badań nad projektem podobnym do reaktorów czwartej generacji, szukając źródeł energii neutralnych pod względem emisji dwutlenku węgla. W tym czasie rząd chiński

w ramach walki z zanieczyszczeniem powietrza oddelegował siedmiuset naukowców do budowy pierwszego na świecie reaktora torowego[1546]. „Stało się jasne, że istnieje problem z węglem – powiedział dyrektor inżynieryjny projektu. – Jedynym rozwiązaniem jest energia jądrowa”[1547].

Nie minęło trzydzieści lat od katastrofy, a Strefa Wykluczenia została otwarta dla turystów i wyglądało na to, że międzynarodowa społeczność naukowa osiągnęła konsensus w sprawie długoterminowych konsekwencji zdrowotnych eksplozji w Czarnobylu. Radzieckie dane medyczne były niekompletne, częściowo utajnione lub sfałszowane, badania naukowe w sprawie katastrofy zostały więc przejęte przez pozarządowe organizacje działające pod opieką Organizacji Narodów Zjednoczonych. Po upływie pierwszych pięciu lat od katastrofy Światowa Organizacja Zdrowia, Komitet Naukowy ONZ do spraw Skutków Promieniowania Atomowego (UNSCEAR) i IAEA doszły do tego samego wniosku: wpływ wypadku w Czarnobylu na zdrowie publiczne „nie był tak szkodliwy, jak się tego obawiano”[1548].

Forum Czarnobyla, grupa badawcza ONZ współpracująca z rządami Ukrainy, Białorusi i Rosji, oceniła, że do 2005 roku u około czterech tysięcy osób, które w chwili wypadku było dziećmi, rozwinię się nowotwór tarczycy spowodowany jodem 131 z reaktora, powodując dziewięć przypadków śmiertelnych. Szacowano, że w najbardziej skażonych rejonach byłego ZSRR może pojawić się do pięciu tysięcy przypadków zgonów z powodu nowotworów, stanowiących część przewidywanych dwudziestu pięciu tysięcy dodatkowych przypadków raka w całej Europie. Jako że w skażonych rejonach mieszkało ponad pięć milionów

ludzi, naukowcy z ONZ uznali te liczby za nieistotne statystycznie[1549]. Większość chorób w obszarach, które zostały skażone radioaktywnymi produktami, przypisywano czynnikom psychologicznym – „paralizującemu fatalizmowi”[1550], czyli najnowszemu wcieleniu radzieckiej „radiofobii”. W raporcie uzupełniającym, opublikowanym dziesięć lat później, WHO zauważyła częste przypadki katarakty u likwidatorów i zmniejszyła limit bezpiecznej dawki dla pracowników przemysłu nuklearnego ustalonej przez Międzynarodową Komisję Ochrony Radiologicznej. Zaobserwowano także wzrost chorób układu krążenia wśród likwidatorów wystawionych przez długi czas na niskie dawki promieniowania, ale stwierdzono, że mogą tutaj mieć wpływ także inne czynniki, w tym zła dieta, brak aktywności fizycznej i stres[1551].

Doktor Robert Gale, który dzięki pracy w Szpitalu numer 6 w Moskwie zyskał pewną sławę i stał się poważaną osobistością w środowisku medycyny radiacyjnej, ogłosił, że pod względem medycznym pora zapomnieć o sprawie. „Właściwie nic się tam nie stało – powiedział. – Nic się nie stało i nic się nie stanie”[1552].

Niemal wszystkie te wnioski[1553] zostały wysnute z badań na grupach likwidatorów, często wystawionych na duże dawki promieniowania i chorych na raka tarczycy, albo z dość ogólnych modeli projekcji ryzyka. Nie zaprzętało sobie głowy utworzeniem międzynarodowej organizacji badającej długofalowe skutki wypadku na szerokiej populacji, które kontynuowałyby siedemdziesięcioletnie badania ofiar bomb atomowych zrzuconych w 1945 roku na Japonię. Agencje ONZ oparły się na z natury mało wiarygodnych badaniach poziomu promieniowania

przeprowadzonych wśród cywilów, by stwierdzić, że nie ma potrzeby prowadzić dalszych obserwacji, które pomogłyby zrozumieć długofalowy wpływ niskiego poziomu promieniowania na człowieka. Niezależni naukowcy z całego świata notowali „problemy endokrynologiczne, mięśniowo-szkieletowe, oddechowe i krążeniowe, a także wzrost liczby przypadków nowotworów złośliwych, zwłaszcza piersi i prostaty” u osób zamieszkujących skażone tereny.

A w zaistniałej sytuacji niepokój i niezrozumienie rzeczywistych zagrożeń radioaktywności i energii jądrowej nadal się mnożyły.

W Moskwie, Kijowie i Mińsku, a także w miastach i wsiach na terenie całego byłego Związku Radzieckiego świadkowie wydarzeń z kwietnia 1986 roku żyli dalej, dobiegając podeszłego wieku i doświadczając coraz częstszych problemów ze zdrowiem.

W mieście Dniepr, leżącym we wschodniej części Ukrainy, rozmawiałem z pułkownikiem Borysem Nesterowem, który poprowadził pierwszych pilotów śmigłowców bombardujących reaktor. Powiedział, że chirurdzy usunęli mu jedną piątą jelita, ale w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat wciąż pilotuje maszyny.

W ogrodzie daczy leżącej w wiejskiej okolicy pod Kijowem były major KGB wyjaśnił, że poprzedniej nocy musiał wziąć zwolnienie lekarskie i planował odwołać nasze spotkanie, ale żona przekonała go, żeby tego nie robił, bo może być to ostatnia szansa na podzielenie się tym, co wiedział. Siedzący w przysypanej śniegiem chacie na skraju rezerwatu Aleksander Pietrowski, który pomógł ugasić pożary na dachu bloku trzeciego, zawdzięcza

życie świeżemu powietrzu i codziennym kąpielom w pobliskiej rzece, które wyciągnęły go z depresji i alkoholizmu, będących plagą wśród jego byłych towarzyszy. Piotr Chmiel, strażak, który popędził na miejsce eksplozji, wypiwszy butelkę radzieckiego szampana, wciąż pracuje i nalegał na uczczenie naszego spotkania koniakiem nalanym z karafki w kształcie pistoletu, którą trzyma na biurku.

Kiedy poznałem Marię Procenko, była główną architekt Prypeci, dobiegała siedemdziesiątki. Mieszkała sama z sześcioma kotami[1554] na przedmieściach Kijowa i z trudem poruszała się za pomocą dwóch sfatygowanych lasek. Po upadku z trzeciego piętra – zatrzasnęła drzwi i próbowała dostać się do domu przez balkon sąsiada, co wcześniej udawało jej się wielokrotnie – lekarze powiedzieli, że już nie będzie chodzić. Udowodniła im jednak, że się mylą, i dojeżdża do pracy w Instytucie Sztuki Salvadora Dalí, gdzie wykłada architekturę wnętrz. Przywitała mnie ubrana w schludną ciemnoszarą garsonkę i kremową bluzkę z przypinką Związku Radzieckich Architektów w klapie. Przyznała, że tuż po wypadku bała się mówić o tym, co widziała:

– Zdawałam sobie sprawę, jak mogę skończyć. W pamięci wciąż miałam mojego dziadka.

Teraz jednak wszystko opisuje ze szczegółami, niczym weteran, który podkoloryzuje wszelkie wydarzenia z wyjątkiem tych najmroczniejszych. Wciąż opłakiwała śmierć męża i syna – obaj zmarli na raka. Córka, która ostatnie popołudnie w Prypeci spędziła na oglądaniu telewizji z ojcem, nie chce mówić o tym, co się stało. Kiedy spotkaliśmy się rok później, Procenko przyniosła

własnej roboty prezenty wielkanocne, przepustkę likwidatora i notes, z którego przez kilka miesięcy korzystała w strefie.

– Wciąż pachnie promieniowaniem... niczym deszcz. Ozonem – powiedziała.

Gdy odparłem, że nic nie czuję, pochyliła się nad stolikiem i ku mojemu przerażeniu zdmuchnęła kurz w kierunku mojego nosa.

– Tfu! – Splunęła i mrugnęła szelmowsko. – Gdyby to było niebezpieczne, nie przynosiłabym go![1555]

Wikora Briuchanowa zastałem pewnego jesiennego ranka[1556], niedługo przed osiemdziesiątymi urodzinami w jego mieszkaniu na trzecim piętrze, gdzie od momentu powrotu z zesłania mieszkał razem z żoną, Walentiną. Briuchanow zrezygnował z pracy w ukraińskim Ministerstwie Energetyki, kiedy zaczął mu się pogarszać wzrok, i od tego czasu coraz bardziej się wycofywał z życia publicznego. Po dwóch udarach jest niemal całkowicie niewidomy i praktycznie nie może ruszać mięśniami twarzy. Ale jego umysł pozostał bystry. Wspominał optymizm i wielkie nadzieje pierwszych tygodni w Czarnobylu, jego zmagania z partyjnymi przełożonymi, opowiadał o wyzwaniach budowania od zera miasta na bagnach Prypeci i planach budowy jeszcze większych reaktorów oraz drugiej elektrowni po przeciwnej stronie rzeki. Kiedy jednak rozmowa zesłała na noc, podczas której zniszczeniu uległ blok czwarty, powoli podniósł się z fotela i wyszedł do drugiego pokoju, zostawiając narrację żonie.

Gdy powróciłem do nich kilka miesięcy później, Briuchanow był po trzecim udarze. Nieszczęśliwie upadł, łamiąc sobie lewą rękę, którą lekarze za pomocą skomplikowanego temblaka

unieruchomili mu przy brzuchu. Leżał na zielonej welurowej kanapie w pokoju na tyłach mieszkania z głową uniesioną na stercie poduszek. Miał na sobie jasnoniebieski podkoszulek, wojskowe spodnie i grube skarpety. Włosy miał siwe, krótko przystrzyżone, skórę suchą, koloru pergaminu, a ciemnoniebieskimi oczami wpatrywał się w jakiś punkt. Prawa ręka mu drżała. Kiedy jednak się odezwał, to choć słowa z trudem wydobywały się ze zdrętwiałych ust, mówił równie szybko co kiedyś. Bronił swoich decyzji podjętych w noc eksplozji i utrzymywał, że o całkowitym zniszczeniu reaktora numer 4 dowiedział się dopiero następnego dnia, kiedy zobaczył go z pokładu helikoptera. Podczas procesu przyznał się do winy za to, co się stało, jako dyrektor, po prostu dlatego, że na tym polegała jego praca.

– Dyrektor odpowiada za wszystko, co dzieje się w elektrowni i z personelem. Musiałem więc się przyznać.

Twierdził, że nie zawracał sobie głowy obroną w sądzie, bo wiedział, że wyrok i tak wyda partia. A po upadku ZSRR nie miał zamiaru prosić ukraińskich władz o oczyszczenie swojego imienia.

– To bezcelowe – skwitował. – Nikt nigdy nic w tej kwestii nie zrobi.

Przyznał jednak, że wciąż nie daje mu spokoju jego osobista odpowiedzialność za wypadek. Mówił o tym tak, jakby to była zaledwie jakaś błahostka administracyjna:

– Wciąż czuję się odpowiedzialny za ludzi i za instalację.

Kiedy zapytałem go, czego najbardziej żałuje, obudziły się duchy dawno uspionej ambicji. Z wysiłkiem się podniósł.

– Żałuję najbardziej, że nie doczekałem otwarcia mojego biura na szczycie dziesięciopiętrowego budynku, z którego mógłbym doglądać obie elektrownie w Czarnobylu – odparł.

Walentina, najwyraźniej zaskoczona tym przebłyskiem technokratycznej sowieckiej pychy, wytarła ślinę z kącików ust męża za pomocą chustki w grochy.

– Nie rozumiem tego, Wicia – powiedziała. – Nie rozumiem.

– Zgodnie z planem miał zostać zbudowany dziesięciopiętrowy budynek... – zaczął, ale przerwał. – Żartuję, oczywiście[1557].

Oczy niemal ślepego starca skierowały się wprost na mnie. Świdrowały mnie szafirowobłękitne tęczówki. Na moment ujrzałem dyrektora Wiktora Briuchanowa, zdobywcę Orderu Czerwonego Sztandaru Pracy i Orderu Rewolucji Październikowej, wpatrującego się wprost we mnie. Możliwe, że w jego słowach nie było ani krzty żartu.

Nad ranem 26 kwietnia 2016 roku[1558] pogoda w Prypeci nagle się zepsuła. Lodowaty wiatr wiał od rzeki w stronę elektrowni, a z szarego nieba zacinał deszcz. Pod masywnym łukiem wzniesionym kilkaset metrów od sypiącego się Sarkofagu stanął przy mikrofonie ukraiński prezydent, były czekoladowy magnat Petro Poroszenko. Jego nagłośnione słowa odbiły się echem od stalowego dachu niczym słowa Zeusa w taniej ekranizacji greckiej mitologii:

Na brzegu Prypeci drzemie szatan[1559].

Spoczywa potępiony w ukryciu suchej wierzby nad brzegiem Prypeci, nad brzegiem rzeki niegdyś błękitnej i czystej.

Tuż przed podium prezydenta grupa budowniczych w szaroniebieskich kurtkach zebrana za jaskrawą pomarańczową

taśmą wstała, żeby się rozgrzać.

Czarna świeca w atomowym bloku migocze dla niego.

A wioski popadły w ruinę i wznoszą ku niemu jęki.

Jego szponiaste korzenie zakotwiczone są w piasku.

A wiatr szepcze do jego pustego ucha.

Za plecami Poroszenki ciężarówka i koparka wzniosły błotnisty pagórek, a mężczyźni w gumiakach i z maskami na twarzach kręcili się przy budowie nowej struktury powstającej w ruinach bloku czwartego. Z każdym podmuchem lodowatego wiatru poziom promieniowania gamma gwałtownie rósł. Alarm kieszonkowego dozymetru brzęczał nieprzerwanie. Teren ten jest wciąż tak skażony, że zabroniono jedzenia i picia na zewnątrz.

Na ścianach domów wypisywał oszczerstwa.

Kradł ikony, zgubił maskę ochronną.

I teraz pragnie odpoczynku.

To jest jego królestwo. On jest tu carem.

Po zakończeniu inwokacji Poroszenko wygłosił mowę transmitowaną na żywo w państwowej telewizji, w ramach uroczystości trzydziestej rocznicy awarii. Powiedział o roli wypadku na drodze do niepodległości Ukrainy i rozpadu Związku Radzieckiego, umieszczając go na osi wydarzeń, które zagrażały istnieniu narodu, od wielkiej wojny ojczyźnianej po rosyjską inwazję na Krym w 2014 roku[1560]. Wspomniał o wciąż rosnących kosztach wypadku: sto piętnaście tysięcy osób już nigdy nie wróci do swoich domów w Strefie Wykluczenia, dwa i pół miliona wciąż mieszka na skażonej ziemi, a setki tysięcy czarnobylskich inwalidów wymagają ciągłej opieki kraju i społeczeństwa.

– Wciąż odczuwamy następstwa tej katastrofy – powiedział. – Jej ciężar spoczywa na ramionach Ukraińców i, niestety, koniec jest jeszcze daleko.

Następnie prezydent zwrócił się w stronę połyskującego łuku, pod którym stał, a który konstruktorzy nazwali Nową Bezpieczną Powłoką – nowoczesną strukturą, która, jak ogłosił, „przykryje Sarkofag niczym wielka kopuła”. Nieukończony projekt zrodził się z obaw Ekipy Instytutu Kurczatowa w 1990 roku i planów sformułowanych przez kraje G7 w 1997 roku, ale jego budowa została opóźniona o ponad dekadę, gdyż nie można było dojść do porozumienia, kto za niego zapłaci. Oficjalny koszt ukończenia konstrukcji będzie trzykrotnie wyższy i sięgnie co najmniej półtora miliarda euro – na co złożą się czterdzieści trzy kraje z całego świata[1561] – pomimo starań, żeby funduszy nie pochłonęła szalejąca na Ukrainie rządowa korupcja*. Zaprojektowany tak, żeby hermetycznie zamknąć w sobie rozpadający się Sarkofag, budynek jest jednym z najambitniejszych przedsięwzięć w historii inżynierii cywilnej. Gigantyczny stalowy łuk ma sto osiem metrów wysokości – czyli jest na tyle wysoki, żeby przykryć Statuę Wolności – wyposażony jest w systemy wentylacyjne i sprzęt osuszający oraz jest trzykrotnie większy od bazyliki Świętego Piotra w Rzymie.

Jego twórcy musieli stawić czoła problemom, z jakimi nie zetknęli się żadni specjaliści od czasu, gdy brygady US-605 Średmaszu złożyły narzędzia zimą 1986 roku. Reaktor numer 4 wciąż był zbyt radioaktywny, żeby prace mogły trwać w jego pobliżu, łuk więc został zbudowany czterysta metrów dalej, skąd francuscy inżynierowie za pomocą szyn i dziesiątek tłoków

hydraulicznych przesunęli go na miejsce. Wążący trzydzieści sześć tysięcy ton jest największą lądową ruchomą konstrukcją, jaką kiedykolwiek wybudowano. Pomimo postawienia betonowej osłony przed promieniowaniem każdy z pracowników musiał ciągle monitorować swoje wystawienie na radiację. Czas pracy wahał się od godzin do zaledwie sekund.

Poroszenko wyraził nadzieję, że wraz z międzynarodową pomocą – w tym świeżym zastrzykiem 87,5 miliona euro z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju – uda się wreszcie ukończyć projekt i katastrofa przejdzie do historii.

– Ukraińcy są silnymi ludźmi – powiedział – i potrafią pokonać nawet nuklearnego demona[1562].

Sześć miesięcy później mgła i śnieg znowu przykryły pola wokół Prypeci, gdzie Poroszenko stanął przed kierownictwem Europejskiego Banku, francuskim ambasadorem na Ukrainie i osiemdziesięcioośmioletnim byłym szefem Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, Hansem Bliksem, podczas wielkiej ceremonii poświęcenia. Wewnątrz podgrzewanego namiotu postawionego w pobliżu miejsca, gdzie Wiktor Briuchanow i przedstawiciele moskiewskiej nomenklatury niegdyś świętowali rozpoczęcie budowy ich wielkiego projektu wbiem pierwszego pala i kolejką koniaku, tłum postawnych mężczyzn w ciemnych garniturach świętował szampanem, przystawkami i talerzami z kremówkami. Przy wejściu młode kobiety w jednolitych mundurkach przyozdobionych czerwonymi chusteczkami rozdawały zawieszane na tasiemkach dozymetry, monitorujące ekspozycję gości na promieniowanie. Niektórzy wychodzili na zewnątrz zrobić sobie zdjęcie na tle cudu inżynierii cywilnej.

Masywna Nowa Bezpieczna Powłoka została już umieszczona na miejscu, połykając czarną sylwetkę Sarkofagu. Kiedy spoza grubych chmur wyjrzało słońce, stał połyskiwała w jesiennym świetle[1563].

Świeżo ukończona konstrukcja – nowoczesne świadectwo siły gigantomanii – nadrabiała rozmiarem to, czego brakowało jej w elegancji, estetyką przypominając hangar, a osobowością podmiejskie centrum handlowe. Architekci Sarkofagu odnosili się do niej z pogardą i twierdzili, że budowla jest absurdalnym aktem wyrzucenia pieniędzy w błoto[1564]. Jeśli jednak będzie działała sprawnie, to zabezpieczy ruiny bloku czwartego na kolejne sto lat.

– Zamknęliśmy ranę, jądrową ranę, która należy do nas wszystkich[1565] – powiedział zgromadzonym ludziom Hans Blix.

Nowa budowla jest jednocześnie pomnikiem miejsca spoczynku Wiktora Chodemczuka – radioaktywnym mauzoleum, przypominającym kolejnym pokoleniom pierwszą ofiarę tej katastrofy.

Inżynierzy mieli nadzieję, że Nowa Bezpieczna Powłoka umożliwi w końcu rozebranie stopionego rdzenia reaktora numer 4, nikt jednak nie miał pewności, jak można by to osiągnąć. Co najmniej jeden doświadczony ekspert od energii jądrowej obawia się, że nawet trzydzieści lat po katastrofie żaden człowiek ani żadna maszyna nie może pracować w tak nieprzyjaznym środowisku[1566].

Epilog

Anatolij Aleksandrow[1567] zrezygnował z funkcji przewodniczącego Radzieckiej Akademii Nauk w październiku 1986 roku, a dyrektora Instytutu Kurczatowa na początku 1988 roku, ale dalej pracował, aż do śmierci w wieku pięćdziesięciu lat w lutym 1994 roku. Nigdy nie wziął na siebie odpowiedzialności za eksplozję reaktora czwartego, a w udzielonym tuż przed śmiercią wywiadzie wciąż obwinił za to operatorów: „Jeśli jedziesz samochodem i zwrócisz kierownicę w nieodpowiednim kierunku, to spowodujesz wypadek – powiedział. – Czy winny jest silnik? Albo projektant samochodu? Każdy powie, że winę ponosi niewykwalifikowany kierowca”.

Generał major **Nikołaj Antoszkina**[1568] został w 1989 roku przeniesiony do Moskwy, awansowany na generała pułkownika, a potem założył pierwszy rosyjski lotniczy zespół akrobacyjny. Jako dowódca frontowych Sił Powietrznych Federacji Rosyjskiej nadzorował powietrzne operacje podczas wojny w Czeczenii. W 1998 odszedł z wojska, a w 2002 roku został przewodniczącym Stowarzyszenia Bohaterów Związku Radzieckiego. W 2014 roku wybrano go do Dumy jako członka partii rządzącej Jedna Rosja.

Hans Blix był dyrektorem IAEA do czasu przejścia na emeryturę w 1997 roku. Trzy lata później został powołany do ONZ w roli przewodniczącego Komisji Monitoringu, Nadzoru oraz Przeglądów Narodów Zjednoczonych mającej nadzorować wywiązywanie się Iraku ze zobowiązań pozbycia się broni masowego rażenia. W lutym 2003 roku jego komisja wydała

opinię, że kraj ten nie posiada broni masowego rażenia, a mimo to miesiąc później prowadzona przez Stany Zjednoczone koalicja licząca 125 tysięcy żołnierzy dokonała inwazji na Irak. Wkrótce potem Blix opuścił ONZ na dobre.

Lew Boczarow, główny inżynier trzeciej zmiany batalionu budowlanego US-605 Średmaszu, odpowiadał za Sarkofag do czasu upadku Związku Radzieckiego. W 1996 roku jako przedstawiciel rosyjskiej grupy przedstawił prezydentowi Ukrainy propozycję nowej budowli, która została odrzucona, gdyż okazała się nie tak dobra jak zachodnie projekty. Dziś jest żwawym osiemdziesięcioletnim mieszkającym z żoną w zaprojektowanym przez siebie domu w Zwienigorodzie na zachód od Moskwy.

Aleksander Borowoj[1569] przez kolejne dwadzieścia lat po wypadku badał i monitorował wnętrze Sarkofagu. Udało mu się znaleźć niemal całe (z wyjątkiem pięciu procent) brakujące paliwo jądrowe. Pomógł opracować pierwotny projekt Nowej Bezpiecznej Powłoki i poświęcił się katalogowaniu i archiwizowaniu dokumentacji Czarnobyli.

Doktor Robert Gale w kolejnych latach często powracał do Moskwy i Kijowa, stając się znaną osobistością w Związku Radzieckim. W 1988 roku opublikował książkę *Final Warning*, która opowiada o jego doświadczeniach; w ekranizacji pod tym samym tytułem jego samego zagrał Jon Voight, a Armanda Hammera – Jason Robards. Jako ekspert w dziedzinie leczenia chorób popromiennych Gale odwiedził miejsca kilku wypadków jądrowych, w tym w Goiânia w Brazylii w 1987 i w Fukushima w 2011 roku.

Po utracie władzy[1570] **Michaił Gorbaczow** założył organizację charytatywną oraz powołał zespół doradców w Moskwie, a także starał się pozostać wpływowym rosyjskim politykiem. W 1996 roku ubiegał się o fotel prezydenta Rosji, ale zabrakło mu niecałego procenta. Później twierdził, że to eksplozja reaktora numer 4, a nie jego nieudane reformy, przyczyniła się do upadku ZSRR, który on chciał desperacko uratować. W kwietniu 2006 roku napisał: „Katastrofa jądrowa w Czarnobylu, do której doszło dwadzieścia lat temu, w większym stopniu niż moja pierestrojka przyczyniła się do upadku Związku Radzieckiego pięć lat później. Katastrofa w Czarnobylu była historycznym punktem zwrotnym – po niej nastąpiła zupełnie nowa epoka”.

Doktor Andżelina Guskowa[1571] wydała szereg publikacji, w których opisywała odkrycia poczynione w trakcie leczenia pacjentów w Szpitalu numer 6, a także prowadziła wykłady dla personelu elektrowni jądrowych w całej Rosji. Do końca życia popierała rozwój energetyki jądrowej i prawie do samej śmierci, w 2015 roku w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat, pracowała w Centrum Medycznym Burnaziana.

Po zakończeniu ostatniej misji w Strefie Wykluczenia **Aleksander Logaczew** starał się o uznanie przez Moskwę wiodącej roli 427. Pułku Zmechanizowanego Obrony Cywilnej na miejscu katastrofy. W 1987 roku uzyskał prywatną audiencję u Michaiła i Raisy Gorbaczowów. Ostatecznie sześćdziesięciu czterech członków pułku otrzymało medale i nagrody, ale Logaczewa tuż po spotkaniu z sekretarzem generalnym przeniesiono na Syberię. Z wojska odszedł w 1989 roku. Obecnie praktykuje medycynę alternatywną.

Wieniamin Prianisznikow zmarł z powodu powikłań raka żołądka w Kijowie w maju 2014 roku w wieku siedemdziesięciu lat.

Maria Procenko nadal prowadzi zajęcia ze sztuki, projektowania i architektury w Kijowie. Co roku 26 kwietnia zakłada medal likwidatora i składa kwiaty pod pomnikiem tych, którzy zginęli w katastrofie. Następnie wygłasza wykład i odpowiada na pytania studentów dotyczące wypadku i jego konsekwencji. Od ponad trzydziestu lat nie była w Prypeci.

Cliff Robinson odszedł z pracy w laboratorium elektrowni jądrowej Forsmark jesienią 1986 roku, rozpoczynając w ramach pracy doktoranckiej roczne badania nad radioaktywnym deszczem, który tamtej wiosny spadł na Szwecję. Jednak ostatecznie podjął pracę nauczyciela fizyki w szkole średniej w Uppsali, gdzie dziś mieszka.

Premier **Nikołaj Ryzkow**[1572] stopniowo oddalał się od Gorbaczowa, nie popierając jego reform gospodarczych, a pod koniec 1990 roku doznał zawału serca. Rok później przegrał wyścig z Borysem Jelcynem o fotel prezydenta Federacji Rosyjskiej i zaczął głosić konieczność odbudowy ZSRR i przywrócenia gospodarki planowej. W 2014 roku w wieku osiemdziesięciu czterech lat został poddany amerykańskim sankcjom będącym konsekwencją jego roli w aneksji Krymu przez Rosję.

Borys Szczerbina[1573] kontynuował nadzorowanie likwidacji skutków awarii w Czarnobylu aż do grudnia 1988 roku, kiedy to Gorbaczow wysłał go do Armenii jako przewodniczącego nowej komisji, której zadaniem było zbadanie katastrofalnego trzęsienia

ziemi, w którym zginęło dwadzieścia pięć tysięcy osób. Wysoki poziom promieniowania, na jakie został narażony, mocno nadwerężyło zdrowie Szcherbiny i ciężar poradzenia sobie z nową katastrofą go przerósł. Sześć miesięcy później został zwolniony ze swoich obowiązków w Radzie Ministrów. Zmarł w sierpniu 1990 roku w wieku siedemdziesięciu lat.

Wołodymyr Szcherbicki[1574] pozostał zaciekle przeciwnikiem zarówno głośności, jak i ukraińskiego nacjonalizmu i jeszcze przez kilka lat utrzymywał się u władzy. We wrześniu 1989 roku został zwolniony z Biura Politycznego przez Gorbaczowa, oddał władzę nad Komunistyczną Partią Ukrainy swojemu zastępcy i ogłosił przejście na emeryturę. Zmarł 16 lutego 1990 roku jako zniszczony, schorowany człowiek. W kwietniu 1993 roku, po rocznym dochodzeniu prokuratury nowo powstałej Ukrainy, stwierdzono, że Szcherbicki wraz ze starszymi ministrami celowo ukrywał prawdę na temat katastrofy w Czarnobylu i skażenia promieniotwórczego na Ukrainie, nie wywiązując się z obowiązku ochrony ludności republiki. Ze względu na śmierć Szcherbickiego i przedawnienie sprawy zgodnie z ukraińskim prawem okazała się ona niczym więcej jak polityczną szopką i została zamknięta, zanim ruszył proces.

Ukraiński minister energii **Witalij Skliarow**[1575] szybko odnalazł się w postsowieckim świecie i stał się entuzjastycznym orędownikiem prywatyzacji przemysłu energetycznego, natomiast sprzeciwiał się budowie nowych elektrowni atomowych z przyczyn ekonomicznych i ekologicznych. W 1993 roku, po ponad trzydziestu latach spędzonych u władzy, zrezygnował ze swojej pracy w ministerstwie i został doradcą ówczesnego premiera

Witalija Masoła. Podczas kilku dni spędzonych w Strefie Wykluczenia przyjął dawkę 80 remów, ale dziś ma ponad osiemdziesiąt lat i cieszy się dobrym zdrowiem, spędzając czas na swojej daczce w Koncza-Zaspie.

Po przymusowym przejściu na emeryturę **Jefim Sławski** spędził resztę życia w swoim wielkim moskiewskim mieszkaniu, coraz bardziej tracąc słuch i otaczając się pamiątkami z lat spędzonych u władzy. Sfrustrowany patrzył, jak system polityczny, któremu poświęcił całe swoje życie, rozpada się. Zmarł w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat w listopadzie 1991 roku.

Borys Stoliarczuk został silnie napromieniowany w sterowni bloku czwartego w noc katastrofy, ale przeżył i powrócił do pracy w przemyśle jądrowym. W 2017 roku został mianowany przewodniczącym Ukraińskiego Państwowego Inspektoratu Dozoru Jądrowego.

Generał **Nikołaj Tarakanow**[1576], po wyleczeniu się z wywołanej ekspozycją na promieniowanie białaczki, powrócił do pracy w służbach kryzysowych Związku Radzieckiego, udając się na miejsce trzęsienia ziemi w Armenii w 1988 roku. W szpitalu zaczął pisać wiersze, opublikował trzydzieści książek i podróżował po Stanach Zjednoczonych, dając wykłady na temat swojej pracy w Strefie Wykluczenia i ryzyka wypadków jądrowych. W 2016 roku skończył osiemdziesiąt dwa lata i ogłosił, że jego ostatnia książka będzie biografią Władimira Putina zatytułowaną *Wódz naczelny*.

Władimir Usatenko[1577] za 1400 rubli zarobionych podczas sześciotygodniowej pracy jako likwidator w Strefie Wykluczenia kupił sobie pierwszy kolorowy telewizor. W 1990 roku wybrano go

do parlamentu ukraińskiego i został przewodniczącym podkomitetu do spraw nauki, społecznych i prawnych kwestii związanych z katastrofami i energetyką jądrową na Ukrainie.

Po samobójstwie Walerija Legasowa i przejściu na emeryturę Anatolija Aleksandrowa, **Jewgienij Wielichow** został wybrany dyrektorem Instytutu Kurczatowa w 1988 roku. W 1992 roku został prezesem organizacji i przewodniczył rosyjskiej grupie w ramach międzynarodowego projektu ITER, mającego na celu budowę eksperymentalnego reaktora plazmowego. W 2001 roku został wybrany przez prezydenta Władimira Putina do kierowania rosyjskimi naukowcami w ramach międzynarodowej inicjatywy budowy nowych jądrowych technologii przedstawionych przez Putina w trakcie Milenijnego Szczytu ONZ.

Detektyw **Siergiej Jankowski**[1578] nie brał udziału w procesie sześciu mężczyzn uznanych za winnych katastrofy, tylko powrócił do spraw związanych z morderstwami i korupcją. W 1995 roku został przeniesiony do pracy w Radzie Ukrainy i domagał się zwrócenia przez Moskwę pięćdziesięciu siedmiu tomów akt dotyczących wypadku w Czarnobylu. Kiedy osiem lat później odchodził z pracy, dokumenty i nagrania wciąż spoczywały w piwnicy rosyjskiego Sądu Najwyższego zaklasyfikowane jako ściśle tajne. Wiosną 2017 roku miał sześćdziesiąt jeden lat i dochodził do siebie po niedawnej chorobie w państwowym sanatorium w Kijowie. „Akta te zawierają wiele spraw, o których nikt nigdy się nie dowie”, powiedział.

Po rozwiązaniu rady miejskiej Prypeci **Aleksander Esaułow** został przeniesiony do nowego mieszkania w miejscowości Irpień pod Kijowem i podjął się pracy w biurze w ukraińskim przemyśle

energetycznym. Rozpoczął karierę pisarza i do tej pory napisał dwadzieścia siedem książek, wiele z nich to powieści przygodowe dla dzieci. Na swoim biurku wciąż trzyma pieczęć burmistrza Prypeci i w wolnym czasie oprowadza turystów po opuszczonym mieście.

Natalia Juwczenko żyje i pracuje w Moskwie. Ma blisko do syna Kiryła, jego żony i trójki wnucząt.

Po wypompowaniu wody z piwnicy bloku czwartego kapitan **Piotr „Łoś” Zborowski**[1579] został awansowany na majora. Otrzymał Order Czerwonej Gwiazdy „za opanowanie nowego sprzętu i broni”. W 1993 roku został przeniesiony do rezerwy obrony cywilnej i początkowo objął pracę dozorczy, a potem ochroniarza. Opuściły go jednak siły, zaczął często tracić przytomność, a jego kości stały się łamliwe. Zmarł w 2007 roku w wieku pięćdziesięciu pięciu lat.

Podziękowania

Początki tego projektu sięgają wielu lat wstecz. Historię tę wpierw śledziłem w mediach jako nastolatek, a kilkadziesiąt lat później powróciłem do niej jako autor piszący dla prasy. Otrzymałem nieocenioną pomoc od przyjaciół i kolegów z całego świata. Moja praca była możliwa dzięki mężczyznom i kobietom, których życie zmieniło się po eksplozji reaktora numer 4 i którzy zgodzili się podzielić ze mną historiami z czasu, jaki spędzili w Prypeci, w elektrowni w Czarnobylu i w innych atomgradach i zakładach jądrowych na terenie ZSRR. Począwszy od mojego pierwszego spotkania z Aleksandrem i Natalią Juwczenkami pewnego pochmurnego popołudnia w Moskwie, w każdym domostwie podejmowano mnie z uprzejmością, gościnnością i cierpliwością, nawet kiedy rozmawialiśmy o najbardziej traumatycznych wydarzeniach. Jestem im wdzięczny za to, że zgodzili się być przepytawanymi przez obcokrajowca, który chciał przedstawić szerokiemu gronu czytelników ich doświadczenia. Chcę także podziękować Annie Korolewskiej za pomoc w dotarciu do wielu świadków katastrofy, a także Jelenie Kozłowej, Tomowi Lasicy, Marii Procenko i Nikołajowi Steinbergowi, którzy pomogli mi dokładnie ustalić przebieg wypadków.

Powstanie mojego pierwszego reportażu z Czarnobyla możliwe był dzięki redaktorom w „Observer Magazine”, Allanowi Jenkinsowi i Ianowi Tuckerowi, którzy – po ożywionej debacie – zaufali mi, wręczając kopertę z twardą walutą i wysyłając w podróż do Rosji i Ukrainy. Później redaktorzy z redakcji

„Wired” w Londynie i San Francisco umożliwili mi kolejne wyprawy do Strefy Wykluczenia. Przed każdą z nich przysięgałem, że to mój ostatni raz. Kiedy zabrałem się za pracę nad książką, miałem szczęście otrzymać porady od Piersa Paula Reada, który poświęcił mi swój czas i zaangażowanie, a także otrzymałem praktyczne wskazówki dotyczące poruszania się po krajach byłego ZSRR od Natalii Lenci, Andrieja Śliwki, Micky’ego Lackmanna, Fiony Cushley i Matta McAllestera.

Katia Baczek, Peter Canby, David Kortava, Tali Woodward, Joshua Yaffa i Polina Sinowiets pomogli mi dotrzeć do rosyjskojęzycznych badaczy i faktografów, o których wspominam w innym miejscu. Eugenia Butska, Anton Powar i Giennadij Milinewski udostępni mi zamknięte dla zwiedzających części miasta Prypeć, elektrowni jądrowej w Czarnobylu i Strefy Wykluczenia, co było priorytetowe dla tej książki. Chciałbym też podziękować Andrei Gallo, Innie Łobanowej-Healsey, Michaelowi Wilsonowi, Michaelowi D. Cooperowi i Gunnarowi Bergdahlowi za ich pomoc.

Podczas moich pobytów na Ukrainie na przestrzeni lat doświadczyłem wielu wspaniałych rzeczy i szczególnie chciałbym podziękować Romanowi Szumejko za jego słusznie wychwalany pilaw i wspaniałe wieczory spędzone na picu nad jeziorem. W domu pomogli mi i wspierali mnie Rose George, Greg Williams, James i Ana Freedmanowie, Yudhijit Bhattacharjee, Brendan Koerner, Julie Satow, Ted Conover, Evan Ratliff, Nick Thompson i Keith Gessen.

Ihor Kułyk oraz personel Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, a także Christian Ostermann i badacze z Centrum

Wilsona z Cold War History Project pomogli mi dotrzeć i przetłumaczyć najważniejsze dokumenty na Ukrainie. Melanie Locay i jej ekipa z Biblioteki Publicznej Nowego Jorku udostępnili mi materiały, do których w inny sposób bym nie dotarł, a które mogłem przejrzeć w ciszy i spokoju w Allen Room.

W trakcie długiego procesu, jaki upłynął od początkowego pomysłu do ukończenia książki, mogłem polegać na układnym i niewzruszonym wsparciu mojego agenta, Edwarda Orloff'a. Millicent Bennett, Henry Vines, Michelle Kroes i Scott Rudin od pierwszej chwili wierzyli w ten projekt. Jon Karp i Ben Loehnen z Simon & Schuster od początku podzielali mój entuzjazm związany z tą książką, dzielili się opiniami na temat rękopisu i wymyślili wspólny tytuł. Amar Deol poprowadził mnie sprawnie przez zawiły proces publikacji, a Kayley Hoffman, Phillip Bashe i Josh Cohen uchronili mnie przed licznymi typograficznymi błędami i literówkami.

Mam niezmierny dług wobec Katie Mummah, Roba Goldstona, Franka von Hippa i Alexandra Sicha za to, że wyjaśnili mi skomplikowane zagadnienia fizyki jądrowej i inżynierii nuklearnej, a także byli recenzentami fragmentów książki opowiadających o konstrukcji i wadach reaktora RBMK-1000. Timothy Jorgensen wykazał się podobną szczerością i cierpliwością, pomagając mi zrozumieć zagadnienia i terminologię z dziedzin radiobiologii i medycyny radiacyjnej. Wszelkie błędy i uproszczenia, jakie przedostały się do książki, powstały wyłącznie z mojej winy.

Chciałbym też podziękować Chrisowi Heathowi, Lauren Hilgers, Nathanowi Thornburgh i innym dobrym ludziom z Roads

of Kingdoms za to, że nie dali mi zwariować, kiedy zaszyłem się przy Jay Street, żeby przeistoczyć góry zebranego materiału w książkę. Składam również podziękowania wszystkim przyjacielom, których poznałem w trakcie długiego procesu opowiadania tej i wielu innych historii, a którzy udostępni mi swoje kanapy, materace i pokoje, żebym miał gdzie się zatrzymać. Wśród nich są: Toby Amies, Andrew Marshall, Peg Rawes i Tom Corby, David Keeps, Ian Tucker, Michael Odell, Dan Crane, Kate i John, Micky i Lisa, Rupert, Julie, Stella, Soren i Nancy, Matt, Pernilla i Harry – dziękuję Wam. I spóźnione przeprosiny za to, że tak rzadko zmywałem.

Ale najbardziej jestem wdzięczny Vanessie Mobley, która udzielała mi zawsze najszczerzej krytyki i niezmiernie mnie wspierała. Jej oraz naszej córce Islie dziękuję za miłość i wyrozumiałość za to, że latami znosiły moje długie nieobecności, ciągle poprawki i wchodząc do domu, potykały się w korytarzu o potencjalnie radioaktywne buty i sterty książek o radzieckiej gospodarce. Nie ukończyłbym tego projektu bez Was.

Nowy Jork, wrzesień 2018

Od autora

Jest to książka historyczna, ale też reportaż. Żeby odtworzyć doświadczenia świadków katastrofy, opierałem się na wywiadach, które zacząłem przeprowadzać w 2006 roku, a także na relacjach opublikowanych w odtajnionych radzieckich dokumentach. Nie byłoby to możliwe bez ofiarnej pomocy wspaniałych tłumaczy, korektorów i badaczy. Wśród nich są Olga Tikusz, Misza Smietnik, Anna Sorokin i Artemis Dawlejew z Rosji, Alex Liwotka, Ostap Zdorowyło, Natalia Mackessy, Tetiana Wodianycka i Дмитро Czumak z Ukrainy. James Appell spędził w Nowym Jorku wiele miesięcy, szukając źródeł i tłumacząc dokumenty oraz korespondencję. Anna Korduński wzięła na siebie zadanie sprawdzenia rękopisów i niezmordowanie służyła pomocą we wszystkim, od technicznych szczegółów projektu reaktora po subtelności rosyjskiej etymologii.

Książka ta jednak nie powstałaby bez wiedzy i wsparcia Tarasa Szumejki. Był moim przewodnikiem i towarzyszem na przestrzeni kilkunastu lat, odwiedzał ze mną świadków katastrofy w prowincjonalnych miasteczkach i w przysypanych śniegiem wioskach, na międzynarodowych konferencjach i wewnątrz Strefy Wykluczenia. Taras pomógł dotrzeć do wielu mężczyzn i kobiet, których relacje okazały się kluczowe dla tej książki. Oczarowywał i namawiał niechętnych weteranów i archiwistów, a także docierał do dokumentów i przeprowadzał wywiady, które stały się fundamentem tej historii.

Doskonałym źródłem relacji z pierwszej ręki okazało się kilka rosyjskojęzycznych książek, które opisywały wydarzenia z kilku miesięcy po wypadku. Zarówno *Czarnobyl* Borysa Szczerbaka, jak i *Czarnobyl. Tak było – widok z wewnątrz* Wasilija Woźniaka i Stanisława Troickiego zawierają wartościowe relacje świadków. Osobiste eseje likwidatorów zebrane przez A.N. Semenowa w *Czarnobyl. Dziesięć lat później. Nieuchronne czy wypadek?* pomogły mi zrozumieć doświadczenia ministrów, inżynierów jądrowych i innych specjalistów zaskoczonych przez katastrofę. *Walka z niepewnością* Jeleny Kozłowej doskonale odmalowuje pracę nad budową Sarkofagu, praktycznie słowami samych budowniczych.

W opisie wydarzeń wiodących do katastrofy niezastąpiona okazała się przetłumaczona na język angielski książka Nikołaja Karpana *From Chernobyl to Fukushima*, w której zawarte zostały transkrypcje zeznań z procesu Wiktora Briuchanowa. Niezredagowane transkrypcje i wywiady przeprowadzone na potrzeby serialu BBC *The Second Russian Revolution* z lat 1990 i 1991 znajdują się w bibliotece London School of Economics i zawierają szczerze relacje z katastrofy członków Biura Politycznego i innych ważnych radzieckich osobistości, do których w inny sposób nie udałoby się dotrzeć. Moją mapą do prywatnych historii pracowników elektrowni w Czarnobylu była książka *Ablaze: The Story of the Heroes and Victims of Chernobyl* Piersa Paula Reada, który przeprowadził wywiady niemal ze wszystkimi głównymi bohaterami tej historii, tworząc jedno z pierwszych anglojęzycznych kompendiów na temat tych wydarzeń.

Upadek Związku Radzieckiego, rewolucje na Ukrainie i upływ trzech dekad od katastrofy sprawiły, że odtajniono wiele archiwów. Protokoły i transkrypcje posiedzeń Biura Politycznego i Czarnobylskiej Grupy Operacyjnej Nikołaja Ryzkowa okazały się niezwykle ważne w oddzielaniu faktów od mitów, chociaż podchodziłem do nich z pewną ostrożnością. Protokoły Biura Politycznego sporządzone zostały w różnych formach, są różnej długości, różnią się szczegółami i prawdopodobnie są w różnym stopniu zgodne z prawdą. Udostępnione zostały w formie fotografii oryginalnych dokumentów, a w niektórych przypadkach przepisane przez badaczy, którym udzielono pozwolenia na wgląd w dokumenty. Jestem wdzięczny zarówno Markowi Kramerowi, dyrektorowi programowemu Cold War History Project w Centrum Badań Davisa nad Rosją i Euroazją na Harvardzie, jak i historykowi Władimirowi Malejewowi za pomoc w poruszaniu się po tym obszarze. Niewiele zachowało się dokumentów poświadczających ważne decyzje i wczesne rozważania komisji rządowej w Prypeci i Czarnobylu. Niektóre źródła sugerują, że zostały one zniszczone na miejscu lub niedługo potem, żeby ograniczyć wyciek informacji. Jestem więc niezmiernie wdzięczny Annie Korolewskiej, wicedyrektorce działu nauki Muzeum Czarnobyla w Kijowie za udostępnienie oryginalnego dziennika ukraińskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który prowadzono od wczesnych godzin 26 kwietnia do 6 maja 1986 roku, najwyraźniej zachowanego przez oficera, który miał go zniszczyć. Umożliwił on nieoceniony wgląd w rozwój wydarzeń.

Szersze spojrzenie na katastrofę, począwszy od decyzji budowy elektrowni atomowej w pobliżu Kijowa pod koniec lat

sześćdziesiątych, poprzez samą awarię, aż po współczesność dobrze zostało przedstawione w zbiorach dokumentów *Fond 89: The Soviet Communist Party on Trial* wchodzących w skład ponad dziewięciu milionów niegdyś tajnych dokumentów sfotografowanych w Rosyjskim Krajowym Archiwum Historii Współczesnej (RGANI) i zachowanych w Instytucie Hoovera w Stanford. Udostępniono mi egzemplarz w Bibliotece Lamonta na Harvardzie. Jeszcze więcej źródeł zostało zawartych przez ukraińską historyk Natalię Baranowską w książce *Tragedia Czarnobyla. Dokumenty i materiały*. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej zgromadził wciąż rosnącą kolekcję dokumentów dotyczących katastrofy w formie internetowego archiwum. Działania ukraińskiego KGB w elektrowni w Czarnobylu szczegółowo opisane zostały w 121 dokumentach opublikowanych przez Jurija Daniljuka jako *Czarnobylska tragedia w dokumentach i materiałach*. Najważniejsze jednak jest to, że miałem również dostęp do rejestrów, listów, map, fotografii i dokumentów rządowych przechowywanych w Muzeum Czarnobyla.

Ilość literatury fachowej na temat katastrofy jest przytłaczająca, ale żeby zrozumieć, jak zwyczaje i imperatywy radzieckiego przemysłu jądrowego doprowadziły do zniszczenia reaktora numer 4, polegałem na badaniach Sonji D. Schmid i Paula Josephsona, a zwłaszcza ich książkach *Producing Power* i *Red Atom*. W zrozumieniu zawilosci nauki o promieniowaniu pomogły mi książka *Final Warning* Roberta Gale'a i Thomasa Hausera oraz doskonała *Strange Glow* Timothy'ego Jorgensena. Chcąc dokładnie odtworzyć przebieg awarii, polegałem na

bogatym w szczegóły raporcie IAEA znanym jako INSAG-7 i doskonałej pracy doktorskiej doktora Alexandra Sicha *The Chornobyl Accident Revisited: Source Term Analysis and Reconstruction of Events During the Active Phase*.

Słowniczek

Akademia Nauk: Najbardziej dystyngowany instytut naukowy w ZSRR, poświęcony studiom matematycznym, przyrodniczym, fizycznym i społecznym, posiadający wydziały w każdej republice radzieckiej.

Aktyw: Grupa aktywistów Partii Komunistycznej, której powierzono wdrażanie decyzji partii na poziomie lokalnym, szczególnie w miejscu pracy.

Aparat: Część biurokratyczna Związku Radzieckiego, a szczególnie samej Partii Komunistycznej.

Aparatczyk: Funkcjonariusz aparatu.

Atomiści: Inżynierowie jądrowi. Elita specjalistów w dziedzinie energetyki jądrowej, często szkolonych w jednostkach wojskowych Ministerstwa Budowy Maszyn Średnich.

Energetiki: Inżynierowie energetyki, w tym także ci pracujący w elektrowniach jądrowych, bezpośrednio zatrudnieni przez Ministerstwo Energetyki i Elektryfikacji.

Gorkom: Lokalny komitet Partii Komunistycznej odpowiedzialny za wdrażanie decyzji partii na szczeblu miejskim.

Gospłan: Państwowy Komitet Planowania, mózg gospodarki scentralizowanej.

Instytut Energii Atomowej imienia Kurczatowa: Główna w ZSRR agencja zajmująca się badaniami nad energią atomową, mająca swoje korzenie w tajnym Laboratorium numer 2 Akademii Nauk, które zbudowało radziecką bombę atomową.

Ispołkom: Miejscowy komitet rządowy wyznaczony do zarządzania sprawami miasta, miejscowości lub dzielnicy, odpowiednik rady miejskiej.

Kołchoz: Gospodarstwo kolektywne.

Komitet Centralny: Teoretycznie najwyższe ciało decyzyjne Partii Komunistycznej, decydujące o działalności komitetów partyjnych, ministerstw i przedsiębiorstw na terenie całego ZSRR. W praktyce podległe znacznie mniejszemu Biuru Politycznemu.

Komsomoł: Komunistyczny Związek Młodzieży, młodzieżówka Partii Komunistycznej, do której wstąpić mogły osoby w wieku od 14 do 28 lat.

Minenergo: Ministerstwo Energetyki i Elektryfikacji, radzieckie ministerstwo zajmujące się cywilną energetyką.

MWD: *Ministerstwo wnutrennyh dieł* – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, paramilitarna agencja odpowiedzialna za policję, strażaków i bezpieczeństwo wewnętrzne.

NIKIET: *Nauczno-issledowatelskij i konstruktorskij institut energotechniki* – Naukowo-Badawczy i Projektowy Instytut Techniki Energetycznej, agencja, w której powstały projekty radzieckich reaktorów jądrowych, w tym RBMK.

NIKIMT: *Nauczno-issledowatelskij i konstruktorskij institut montažnoj* – Naukowo-Badawczy i Projektowy Instytut Techniki Montażu, wydział Średmaszu zajmujący się technologicznymi rozwiązaniami konstrukcji atomowych.

Nomenklatura: Elita Partii Komunistycznej wyznaczana na najwyższe stanowiska, ciesząca się specjalnymi przywilejami

i wysokimi płacami, a także nazwa list stanowisk, których obsadzenie było zarezerwowane wyłącznie dla jej członków.

Oblast (obwód): Jednostka podziału administracyjnego. W 1986 roku Ukraina podzielona była na dwadzieścia cztery obwody, z których największy był obwód kijowski. Każdy obwód podzielony był na rejony, w podobny sposób jak Polska podzielona jest na województwa i powiaty.

Okres stagnacji: Okres po 1970 roku nazwany tak przez Michaiła Gorbaczowa, w którym doszło do skostnienia radzieckiej gospodarki i kultury.

OPAS: *Gruppa okazanija pomoszczi atomnym stancjam pri awarijach* – Grupa operacyjna Ministerstwa Energetyki niosąca pomoc w wypadkach w elektrowniach jądrowych.

Pionierzy: Odpowiednik zachodnich harcerzy, indoktrynująca politycznie jednostka Partii Komunistycznej dla dzieci w wieku od 10 do 14 lat.

Politbiuro: Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego mające podejmować decyzje pomiędzy posiedzeniami Komitetu Centralnego. W rzeczywistości miało najwyższą władzę w ZSRR.

Rada Ministrów: Radziecki gabinet premiera, z odpowiednikami w każdej republice, wdrażający decyzje Politbiura.

Rada Najwyższa: Tytularnie parlament ZSRR odpowiedzialny za formułowanie prawodawstwa dla całego ZSRR, posiadający organy w każdej z republik.

RBMK: *Rieaktor Bolszoj Moszcznosti Kanalnyj* – wrzący reaktor atomowy z moderatorem grafitowym, zaprojektowany

w Związku Radzieckim.

Sekretarz generalny: Przywódca Partii Komunistycznej Związku Radzieckiego i *de facto* przywódca kraju.

Sojuzatomenergo: Wszechzwiązkowe Stowarzyszenie Przemysłowe do spraw Energetyki Atomowej, cywilna agencja podlegająca Ministerstwu Energetyki nadzorująca pracę elektrowni jądrowych.

Średmasz: Ministerstwo Budowy Maszyn Średnich, odpowiedzialne za radziecki program broni jądrowych i technologię reaktorów.

WNIAES: *Wsesojuznyj nauczno-issledowatelskij institut po eksploatacii atomnych elektrostancij* – Wszechzwiązkowy naukowo-badawczy instytut eksploatacji elektrowni atomowych, cywilny organ wspomagający badania nad elektrowniami jądrowymi.

WWER: *Wodo-wodiannyj energetycznyj reaktor* – reaktor chłodzony i moderowany wodą, podobny do zachodnich reaktorów wodnych.

ŻEK: *Żiliszczo-ekspluatatsionnaja kontora* – biuro zakwaterowania i utrzymania miejskich budynków mieszkalnych.

Jednostki promieniowania

Istnieją różne sposoby prowadzenia pomiarów promieniowania i jego skutków, terminologia wciąż się zmienia od momentu, w którym ponad sto lat temu zrodziła się ta nauka. Chociaż dziś naukowcy korzystają z jednostek układu SI, w książce przeważają jednostki stosowane w ZSRR w chwili katastrofy, głównie rentgeny i remy. Poniżej omówiono każdy z nich, żeby pomóc zrozumieć czytelnikowi ich znaczenie i stosunek pomiędzy nimi.

kiur (Ci): Jednostka miary radioaktywności, pierwotnie oznaczająca liczbę rozpadów promieniotwórczych jednego grama radu (około 37 000 000 000 rozpadów na sekundę). W układzie SI jednostka została zastąpiona **bekerelem**.

rad: Przyjęta dawka promieniowania, miara dawki promieniowania jonizującego na daną masę materii – czy to cegły, sosny czy organizmu ludzkiego. W układzie SI zastąpiona **grejem (Gy)** oznaczającym jeden dżul energii promieniowania jonizującego pochłoniętej przez kilogram materii. Sto radów równa się jednemu grejowi.

rentgen (R): Miara ekspozycji na promieniowanie X i gamma oparta na ilości energii przyjętej przez promieniowanie jonizujące przez masę powietrza. Jedna tysięczna rentgena to **milirentgen (mR)**, jedna milionowa rentgena to **mikrorentgen (μ R)**. Wystawienie w czasie może zostać wyrażone w **rentgenach na godzinę (R/h)**. Normalne promieniowanie tła w ZSRR w 1986 roku określano na 4–20 mikrorentgenów na godzinę.

rem: Jednostka równoważnika dawki promieniowania jonizującego pochłoniętego przez organizm, określająca skutki zdrowotne wystawienia na promieniowanie jonizujące. Rem mierzy równoważnik dawki i oblicza się go, biorąc pod uwagę różne czynniki, w tym przyjętą dawkę i rodzaj promieniowania. Można go wykorzystywać do prognozowania efektów biologicznych przyjętej dawki, w tym do szansy wystąpienia nowotworu, niezależnie od tego, czy jest to promieniowanie alfa, beta, neutronowe, X czy gamma. Jeden rem to niewiele mniej niż mieszkańcy Denver w stanie Kolorado przyjmują z naturalnego promieniowania tła w ciągu roku. Pięć remów to limit rocznej dawki dla amerykańskich pracowników przemysłu jądrowego. Sto remów to granica wystąpienia choroby popromiennej, a jednorazowa dawka 500 remów na całe ciało byłaby śmiertelna dla większości osób. Rem został zastąpiony jednostką układu SI, **siwertem (Sv)** i jego pochodnymi: **milisiwertem (mSv)** – jedną tysięczną siwerta, oraz **mikrosiwertem (μSv)** – jedną milionową siwerta, z których korzysta większość nowoczesnych dozymetrów. Jeden siwert to 100 remów.

BIBLIOGRAFIA

Archiwalne kolekcje i materiały

Wywiady autora

Książki i pamiętniki

Artykuły i reportaże

Film i TV

Przypisy

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

2 2

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

gorkom

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

tzw. partyzantami,

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Epilog



Miasto Prypeć na początku lat 80. z elektrownią atomową w Czarnobylu w tle.
Reaktor bloku czwartego znajdował się zaledwie trzy kilometry od
południowo-wschodniego krańca miasta
Nikołaj Bielechow / Pripyat-city.ru



Widok na prospekt Lenina, wzdłuż którego ciągną się topole
Maria Procenko



Dom towarowy Raduga – czyli Tęcza – na rogu ulicy Kurczatowa i prospektu Lenina. Dyrektor elektrowni, Wiktor Briuchanow, podobnie jak inni starsi pracownicy kompleksu, mieszkał nad sklepem. Napisy na dachu głoszą „Chwała Leninowi!” i „Chwała Partii”
Stanisław Konstantinow / Pripjat-city.ru



Wokół Prypjeci rozciągały się lasy i białe, piaszczyste plaże. Kursujący codziennie wodolot „Rakieta” zapewniał tanie i szybkie połączenie z oddalonym o dwie godziny Kijowem.
Witalij Kozłow / Pripjat-city.ru



Wiktor Briuchanow, jego żona Walentyna i syn Oleg
zbierają grzyby w lasach w pobliżu Prypeci w 1980 roku
Walentyna Briuchanowa



Natalia z synem Kiryłem, który wówczas miał dwa lata, w domu w Prypoci.
Nowy Rok 1985 roku
Natalia Juwczenko



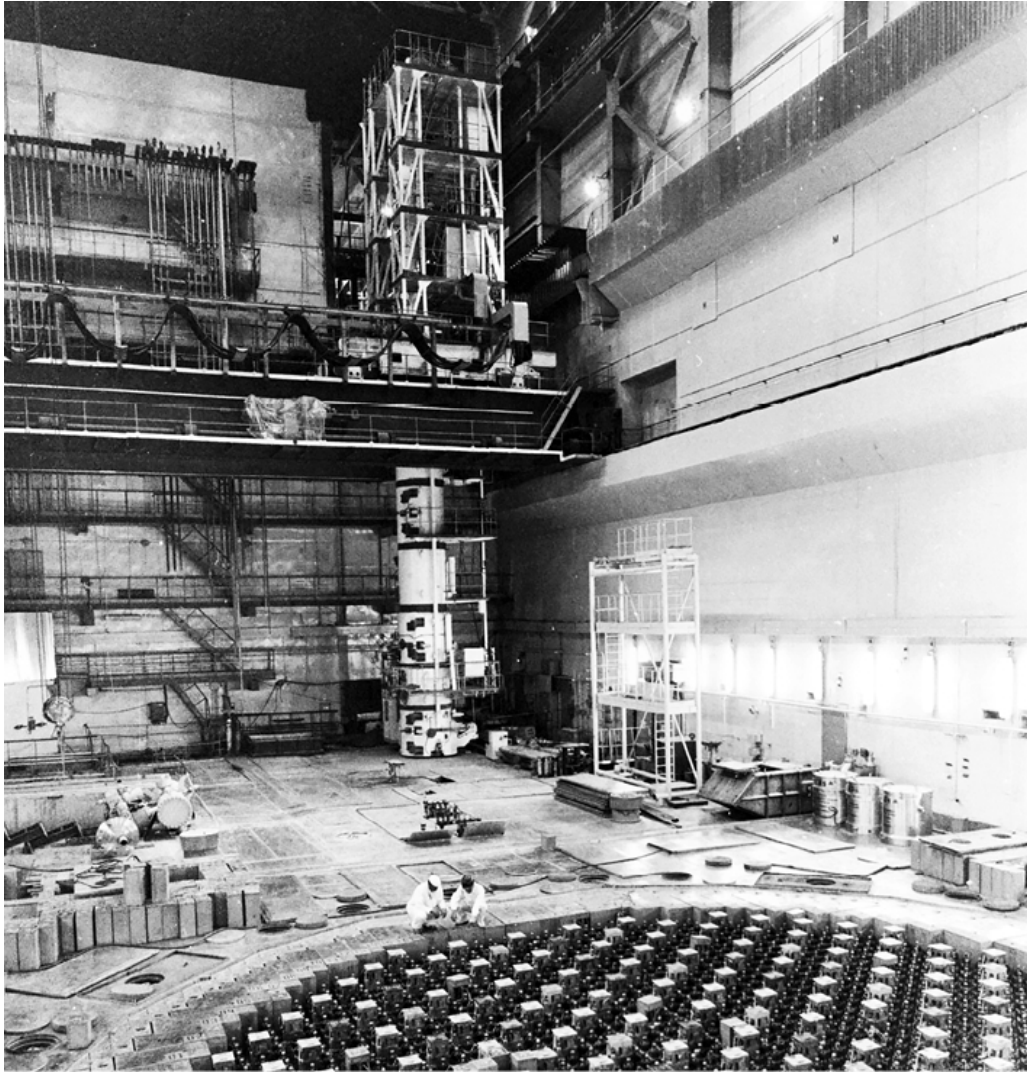
Wiktor Briuchanow (w środku, w ciemnych okularach), sekretarz Komunistycznej Partii w czarnobylskim kompleksie Serhij Paraszyn (po lewej stronie dyrektora) oraz inni partyjni dygnitarze z elektrowni i Prypeci podczas parady z okazji Dnia Zwycięstwa, 9 maja 1985 roku, świętują 40. rocznicę pokonania Niemiec przez Związek Radziecki w wielkiej wojnie ojczyźnianej
Pripjat-city.ru



Starszy inżynier piątej zmiany bloku czwartego Aleksander Juwczenko i jego żona Natalia pozują w pożyczonych kapeluszach w dniu jego 24. urodzin, 25 października 1985 roku
Natalia Juwczenko



Anatolij Aleksandrow, dyrektor Instytutu Kurczatowa i przewodniczący Radzieckiej Akademii Nauk, dający wykład na tle zdjęć z napędzanymi energią jądrową lodołamaczami, które pomógł opracować. Aleksandrow osobiście popierał szybką ekspansję energii jądrowej w ZSRR i był jednym z wynalazców reaktora RBMK
Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla



Główna hala bloku trzeciego w czarnobylskiej elektrowni. Na pierwszym planie 1600 kanałów paliwowych z usuniętymi pokrywami. Reaktory RBMK-1000 w bloku trzecim i czwartym były niemal identyczne
Aleksander Sich



Blok czwarty, najnowszy i najbardziej zaawansowany z bloków reaktora w elektrowni w Czarnobylu, sfotografowany tuż po ukończeniu jego budowy w 1983 roku

Petr Wyhowski / Pripyat-city.ru



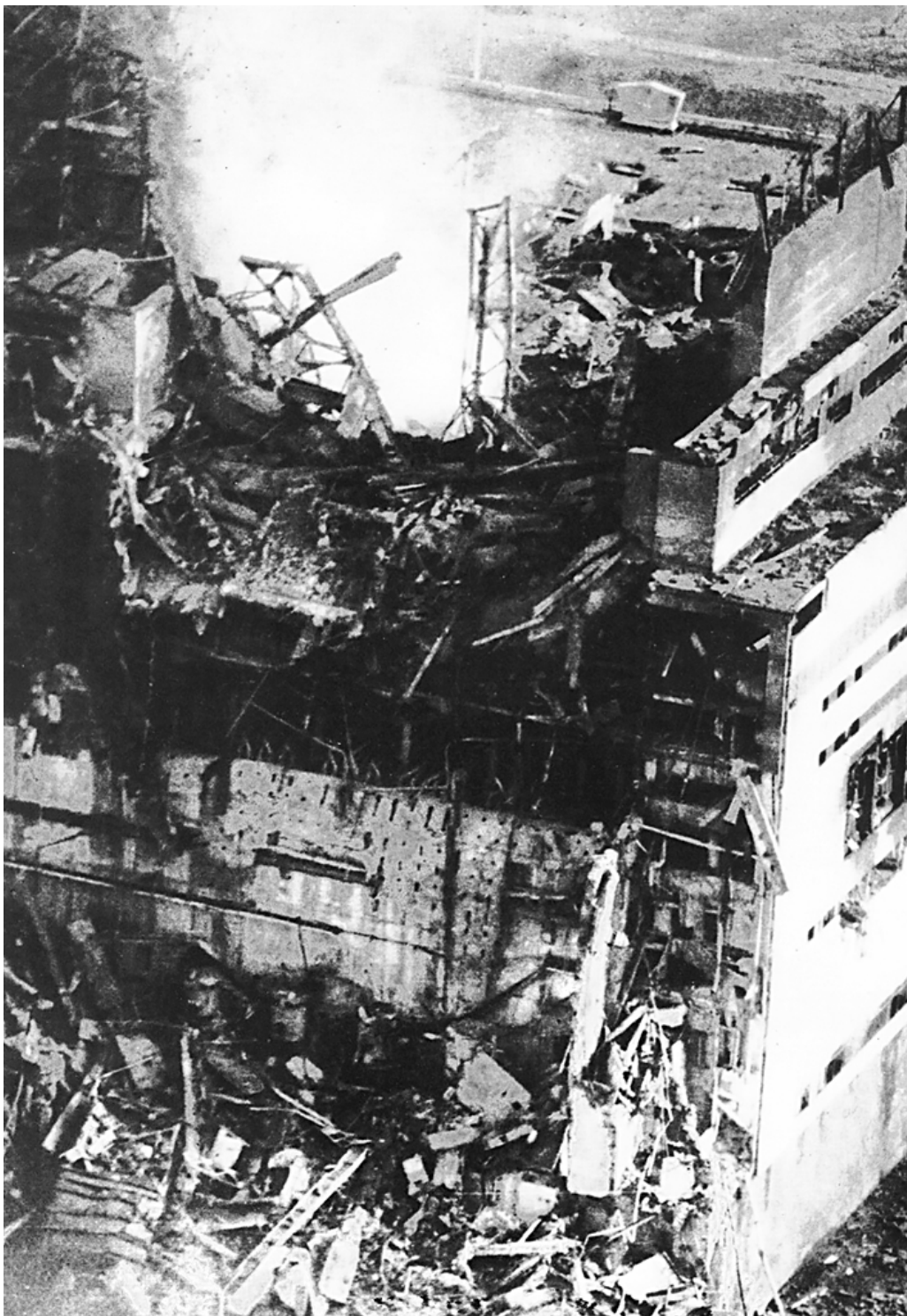
Porucznik Władimir Prawik, 23-letni naczelnik trzeciej zmiany straży pożarnej w Czarnobylu w nocy 25 kwietnia



Leonid Toptunow (po lewej), starszy operator reaktora nocnej zmiany z 25 kwietnia, z przyjacielem Aleksandrem „Saszą” Korolem (pośrodku) w 1981 roku podczas wycieczki z niezidentyfikowanym kolegą na dwa lata przed tym, jak ukończyli Moskiewski Instytut Inżynierii i Fizyki
Aleksander Korol



Aleksander Akimow, naczelnik nocnej zmiany, w sterowni reaktora czwartego
w nocy z 25 na 26 kwietnia
Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla (2)



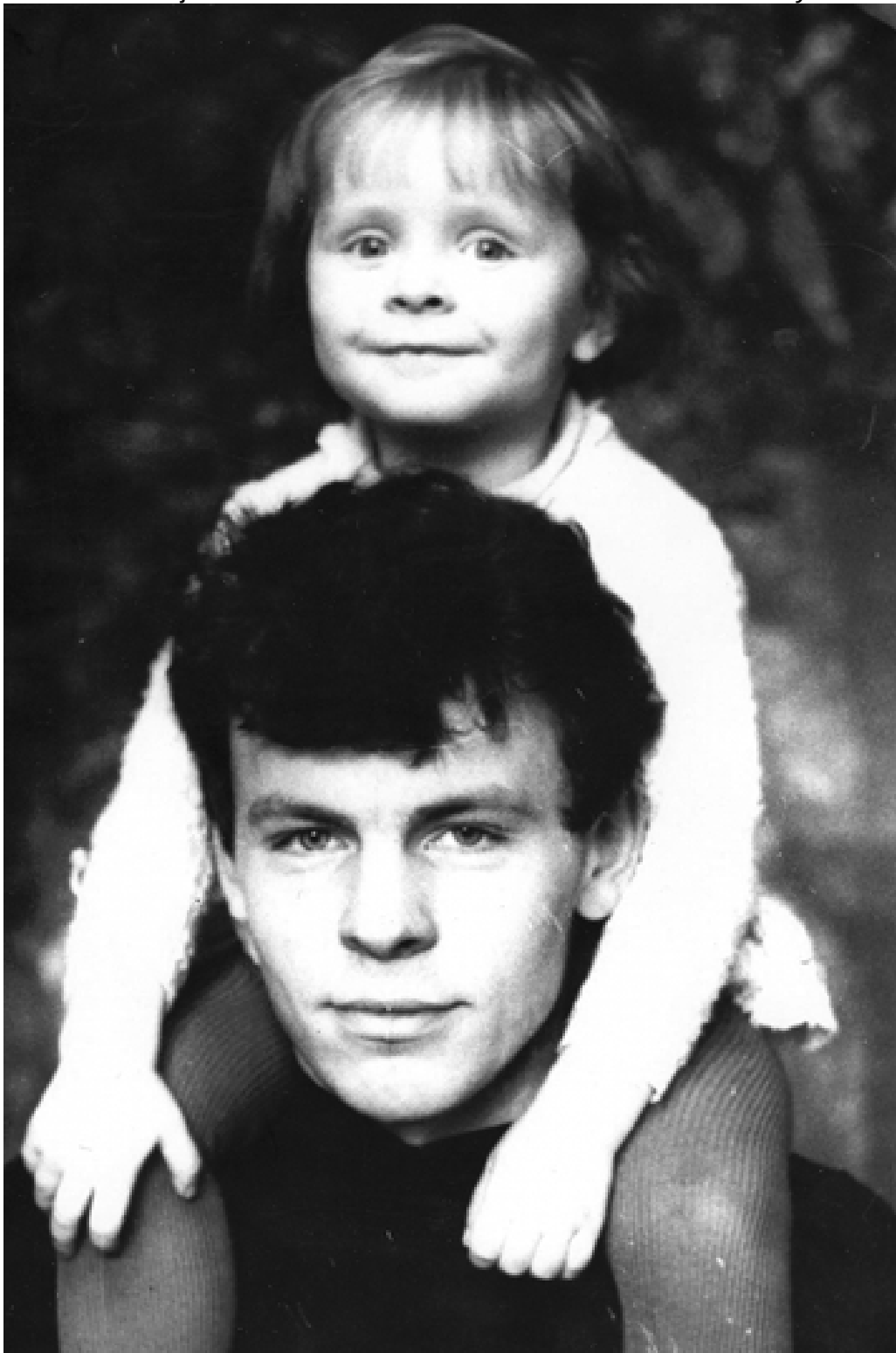
Pierwsza fotografia bloku czwartego po wypadku wykonana z helikoptera przez fotografa Anatolija Rasskazowa około godziny 15.30, 26 kwietnia 1986 roku

Anatolij Rasskazow / Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla



Szkic wykonany przez członka ekipy wysłanej nad ranem 26 kwietnia do otwarcia gigantycznego zaworu dostarczającego chłodziwo do reaktora: Aleksander Akimow (na dole po lewej) i Leonid Toptunow (na dole po prawej) broczą po kolana w radioaktywnej wodzie. Akimow nie potrafi ustać o własnych siłach. Zgięty w pół Toptunow wymiotuje

Arkadij Uskow / Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla



Starszy porucznik Aleksander Logaczew, dowódca rekonesansu 427. Pułku
Zmechanizowanego pod Czerwonym Sztandarem Sił Obrony Cywilnej dystryktu
kijowskiego z córką w 1984 roku
Aleksander Logaczew/ Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla

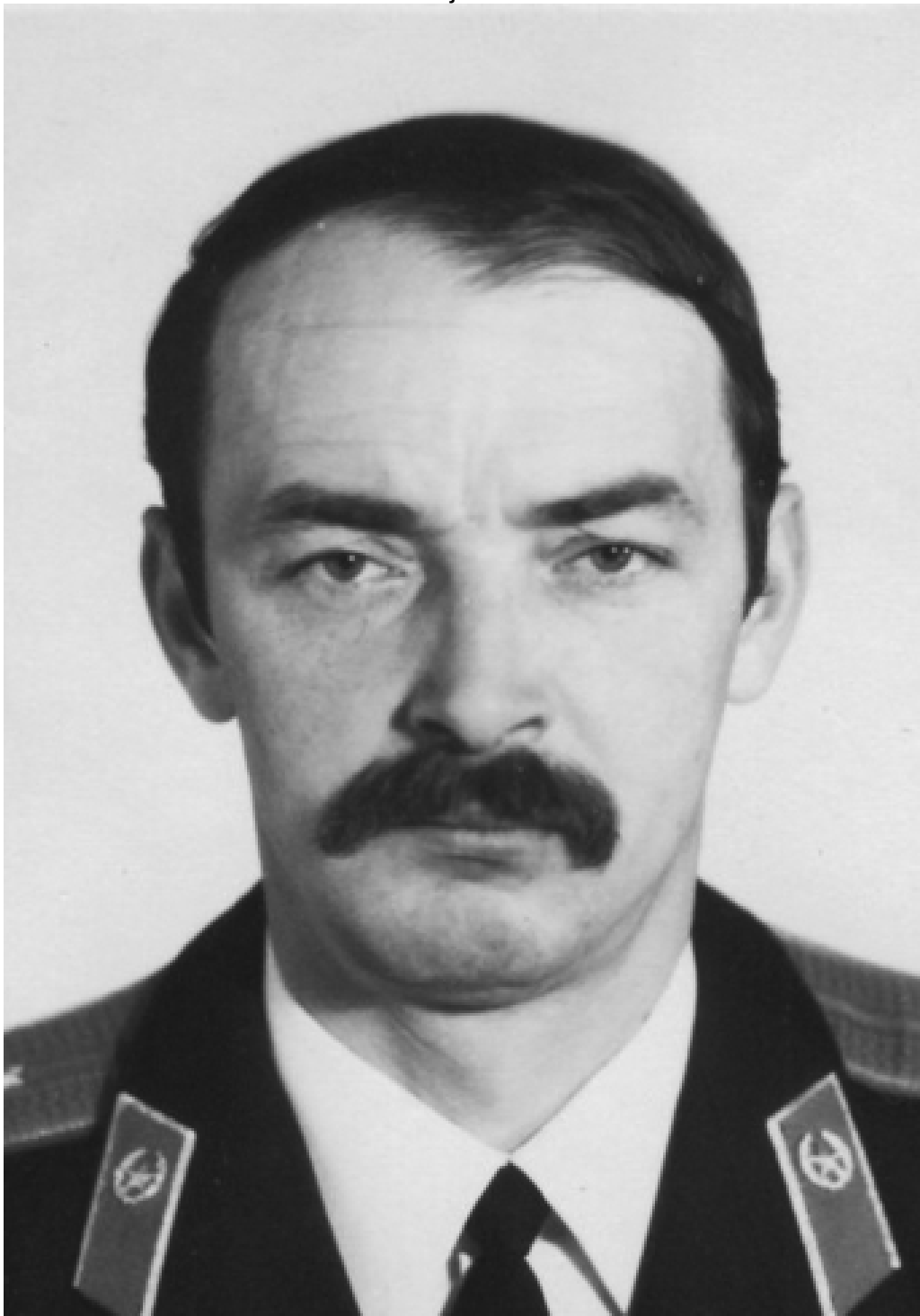


Na górze, po lewej: 1. kapitan Siergiej Wołodin, pierwszy pilot helikoptera na miejscu katastrofy, w kokpicie swojej maszyny
Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla



Kapitan Piotr Zborowski w 1986 roku. Ze względu na swoją siłę nazywany był Łosiem. Zborowski dowodził operacją wypompowywania wody z piwnic bloku czwartego, mającą na celu odsunięcie ryzyka kolejnej eksplozji, która według naukowców mogła być silniejsza od poprzedniej

Nikołaj Antoszkin



Major general Nikolai Antoskin, dowódca 17. Armii Powietrznodesantowej dystryktu kijowskiego w kabinie jednego z dowodzonych przez niego

helikopterów
Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla



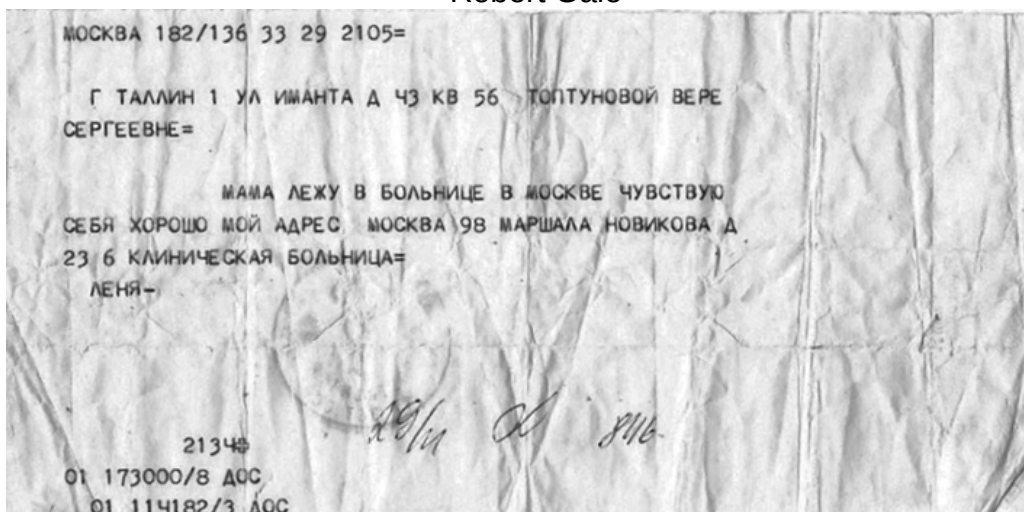
Zdjęcie hotelu Polesie (po lewej) i budynku ispołkomu Prypeci zwanego Białym Domem (po prawej). Dopiski Antoszkina pokazują, skąd jego oficerowie dowodzili helikopterami zrzucającymi ładunki na blok czwarty
Nikołaj Antoszkin



Główna architekt Prypoci Maria Prochenko w biurze po katastrofie w Czarnobylu. Za nią wisi mapa ewakuowanego miasta
Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla

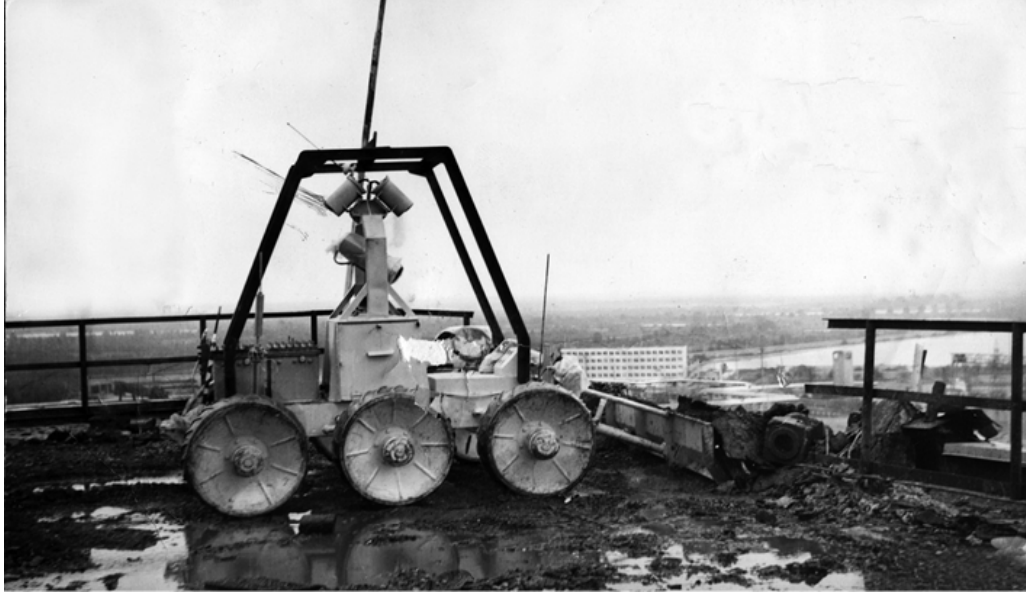


Dwaj amerykańscy hematolodzy, którzy na początku maja przybyli do Moskwy, by pomóc leczyć ofiary wypadku, wraz z radzieckimi kolegami w Szpitalu Klinicznym numer 6 w Moskwie. Od lewej lekarze: Richard Champlin, Robert Gale, Aleksander Baranow i Andżelina Guskowa
Robert Gale



Telegram wysłany przez Leonida Toptunowa ze szpitalnego łóżka do rodziców w Estonii,

29 maja: MAMO, LEŻĘ W SZPITALU W MOSKWIE. WSZYSTKO ZE MNA DOBRZE. Dalej podany jest moskiewski adres, pod którym mogą go znaleźć Maria Procenko



STR-1, jeden z niewielu radzieckich robotów, które późnym latem 1986 roku miały usuwać radioaktywne szczątki z dachu bloku trzeciego. Kiedy okazało się, że promieniowanie jest zbyt wysokie dla robotów, na miejsce wysłano ponad 3000 mężczyzn

Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla



Wicepremier Iwan Siłajew (po lewej), drugi przywódca komisji rządowej wysłany z Moskwy w celu opanowania sytuacji, wraz z naukowcami Jurijem Izraelem (w środku) i Jewgienijem Wielichowem (po prawej) przygląda się lotniczym fotografiom zrujnowanej elektrowni. Maj 1986 roku

Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla

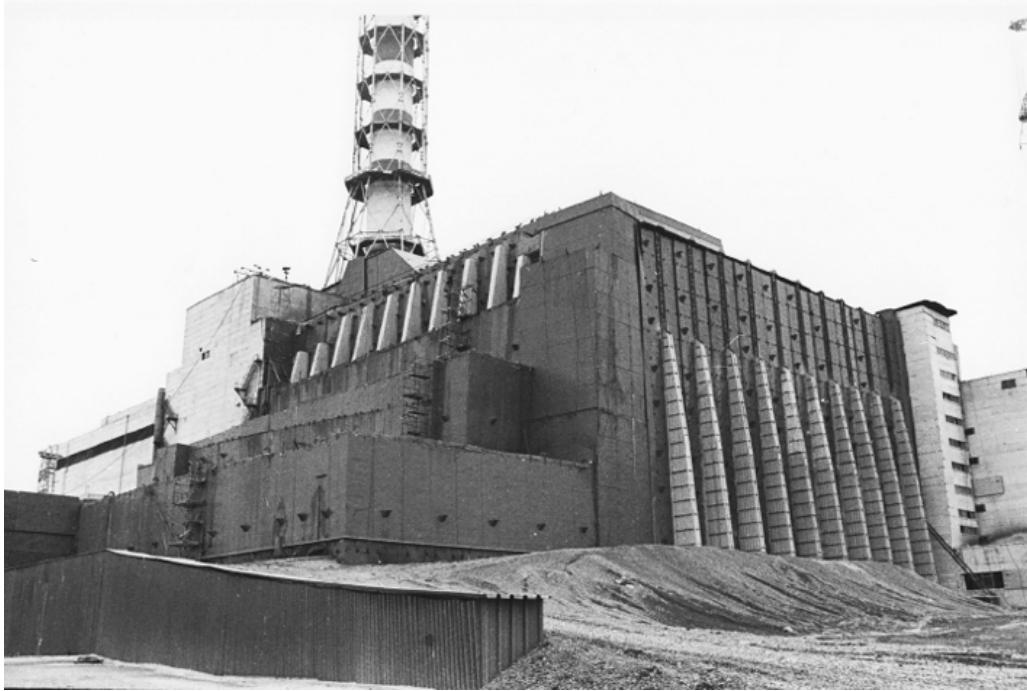


Wicepremier Borys Szczerbina (drugi od lewej), pierwszy przywódca komisji rządowej, oraz Walerij Legasow (czwarty od lewej) po powrocie do Czarnobyla, gdzie w dalszym ciągu mieli nadzorować trwającą likwidację skutków katastrofy.
Wrzesień 1986 roku

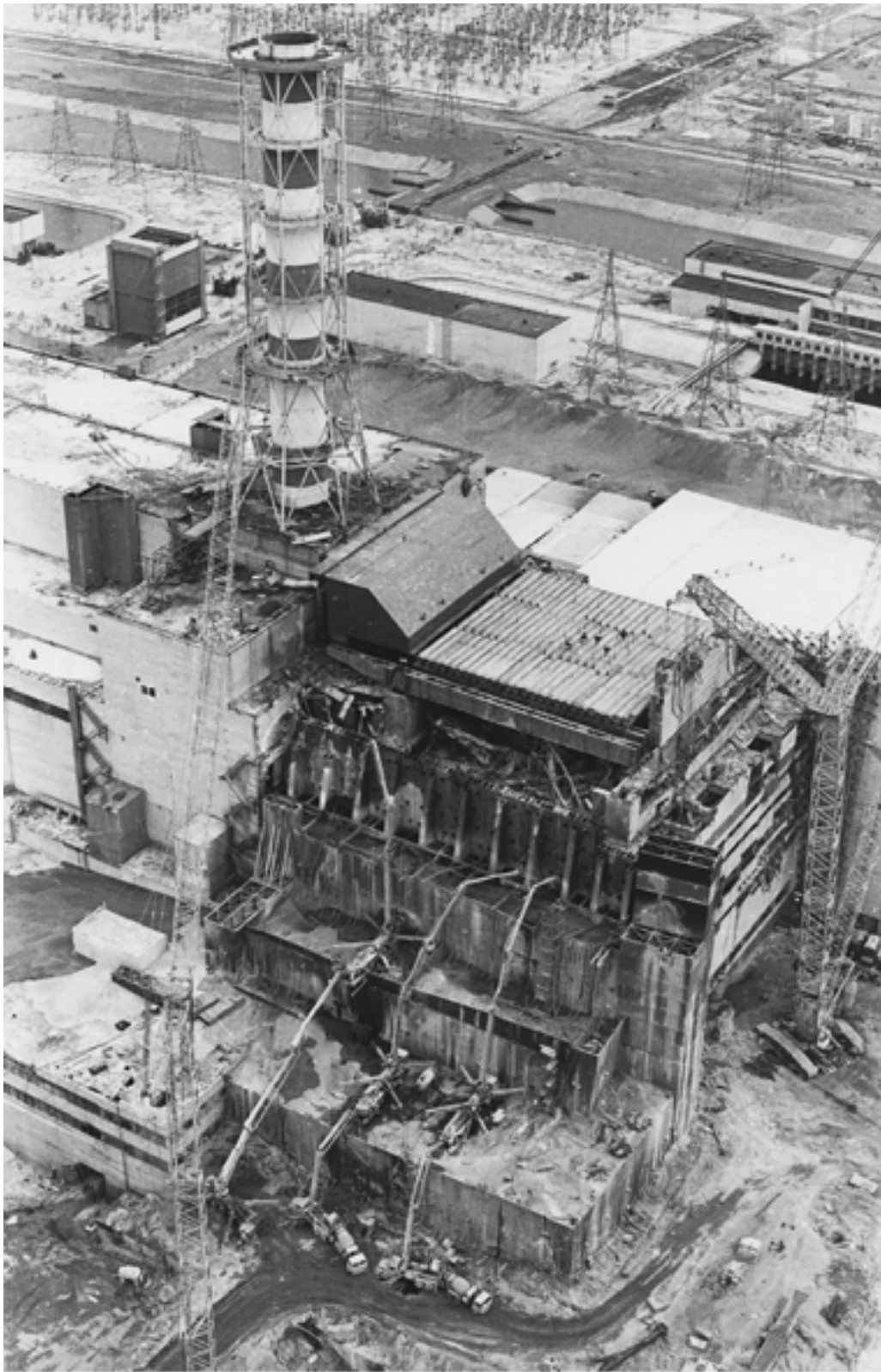
Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla



Jefim Sławski – znany jako Wielki Jefim lub Ajatollah – minister średniego przemysłu maszynowego (po lewej), ze specjalistami od projektów i inżynierii, Władimirem Kurnosowem (w środku) i Ilją Dudorowem (po prawej) na miejscu wypadku we wrześniu 1986 roku. Sławski utworzył jednostkę US-605, która miała przykryć ruiny reaktora stalowo-betonowym sarkofagiem Mykoła Walickij / Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla



Ukończony sarkofag w listopadzie 1986 roku
Aleksander Sich



Sarkofag w budowie, połowa października 1986 roku. Górne poziomy ściany kaskadowej wypełniane są cementem pompowanym za pomocą rur

z ciężarówek. Po prawej żuraw gąsienicowy Demagu stawia wieżę, która
podeprze zachodnią część budowli
Aleksander Sich



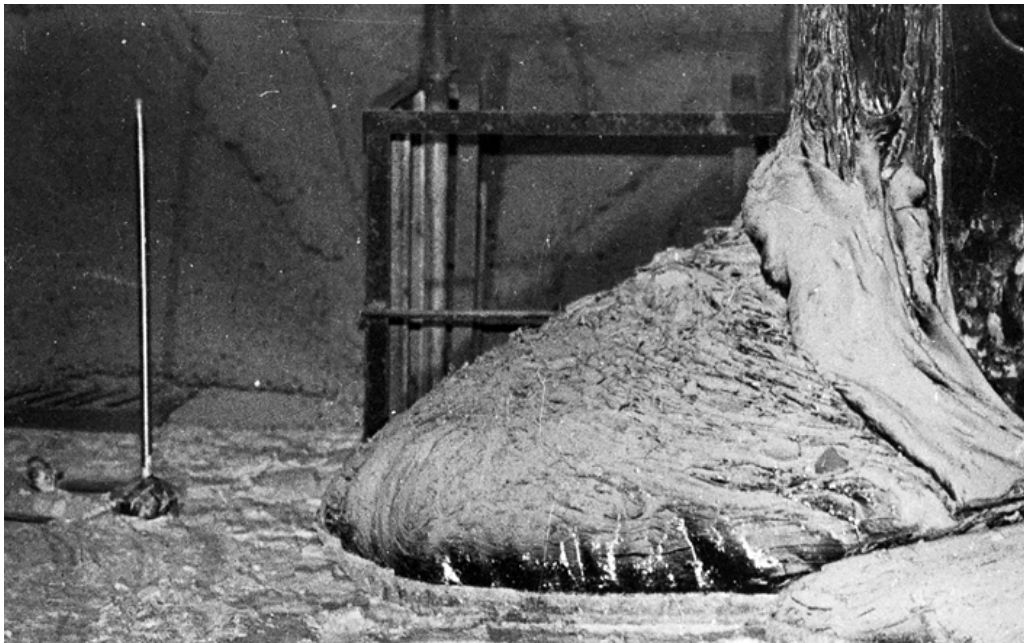
Proces oskarżonych o spowodowanie katastrofy rozpoczął się w pałacu
kultury w Czarnobylu w lipcu 1987 roku. Pomędzy strażnikami siedzą (od
lewej): dyrektor elektrowni Wiktor Briuchanow, zastępca głównego inżyniera
Anatolij Diatłow i główny inżynier Nikołaj Fomin
Ukraińskie Narodowe Muzeum Czarnobyla



Jedno z cmentarzysk sprzętu, gdzie po wypadku skierowywano zbyt mocno
skażone autobusy, wozy strażackie, helikoptery, pojazdy opancerzone i sprzęty

budowlane. Według szacunków do 1997 roku łączne straty z powodu katastrofy
sięgnęły 128 miliardów dolarów

Aleksander Sich



Stopa Słonia – wielka zastygła masa płynnej niegdyś mieszanki piasku,
paliwa uranowego, stali i betonu – znaleziona w piwnicach pod ruinami reaktora
czwartego przez naukowców ekspedycji kompleksu w Czarnobylu jesienią 1986
roku. Była tak radioaktywna, że niecałe pięć minut w jej pobliżu doprowadziłoby
do śmierci w męczarniach

Adam Higginbotham



Miasto Prypeć w kwietniu 2016 roku z widoczną na horyzoncie Nową
Bezpieczną Powłoką.

Trzydzieści lat po wypadku atomgrad został niemal całkowicie przejęty przez
naturę

Aleksander Sich

Midnight in Chernobyl.

The Untold Story of the World's Greatest Nuclear Disaster

Copyright © by Adam Higginbotham 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Copyright © for the translation by Robert Filipowski 2019

Tekst wiersza Na brzegu Prypeci drzemie szatan dzięki uprzejmości Liny Kostenko

Oryginalne plany reaktora RBMK-1000 umieszczone na wyklejkach dzięki

uprzejmości Alexandra Sicha

Redakcja i korekta – Małgorzata Kuśnierz, Paulina Stoparek

Konsultacja merytoryczna – Mirosław Dworniczak, Marek Rabiński

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2019

ISBN EPUB: 978-83-8129-563-5

ISBN MOBI: 978-83-8129-562-8



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w wydanie O północy w Czarnobylu:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Łukasz Próchno, Gabriela Matlak, Aldona Liszka,

Szymon Gagatęk

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń,

Ewa Bieś

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Osoby dramatu

Prolog

Część pierwsza. Narodziny miasta

1 Radziecki Prometeusz

2 Alfa, beta i gamma

3 Piątek, 25 kwietnia, godzina 17.00, Prypeć

4 Sekrety pokojowego atomu

5 Piątek, 25 kwietnia, godzina 23.55, sterownia reaktora numer 4

6 Sobota, 26 kwietnia, godzina 1.28, Zmilitaryzowana

Jednostka Straży Pożarnej numer 2

7 Sobota, godzina 1.30 w nocy, Kijów

8 Sobota, godzina 6.15, Prypeć

9 Niedziela, 27 kwietnia, Prypeć

Część druga. Upadek imperium

10 Chmura

11 Chiński syndrom

12 Bitwa o Czarnobyl

13 W Szpitalu numer 6

14 Likwidatorzy

15 Śledztwo

16 Sarkofag

17 Strefa Wykluczenia

18 Proces

19 Stopa Słonia

20 Grobowiec Walerija Chodemczuka

Epilog

Podziękowania

Od autora

Słowniczek

Jednostki promieniowania

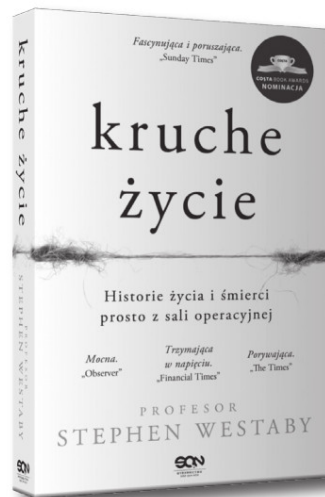
Bibliografia

Przypisy

Zdjęcia
Strona redakcyjna

POCZUJ, JAK TO JEST TRZYMAĆ W RĘKU LUDZKIE ŻYCIE

Kruche życie to zdumiewająca i zapierająca dech opowieść wybitnego kardiochirurga, którego ścieżkę zawodową znaczyły geniusz i brawura. Stephen Westaby dzieli się najciekawszymi i najbardziej wzruszającymi historiami z sali operacyjnej, z jakimi dane mu było się zetknąć w czasie 35-letniej kariery. Uratował w tym czasie setki osób, którym szans nie dawał absolutnie nikt.



**TO NIE JEST KSIĄŻKA DLA LUDZI
O SŁABYM SERCU**

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl